

*Chciałbym wymienić następujące osoby,
dziękując im za pomoc i wsparcie: Nancy Bush,
Anita Diamant, Sally Peters,
John Scognamiglio i Larry Sparks.*

Prolog
Portland, Oregon
Październik 1993
Adria

Gdyby tylko coś jej się przypomniało.

Gdyby tylko знаła prawdę.

Gdyby miała pewność, że nie zrobi z siebie idiotki. Spojrzała na ciemne październikowe niebo i poczuła na twarzy typową dla Oregonu delikatną mgiełkę. Czy kiedyś, dawno temu, nie odrzucała głowy w tył tak samo, pozwalając miękkiej wilgoci osiąść na policzkach i wargach? Czy nie stała już kiedyś na tej ulicy, naprzeciwko starego hotelu „Danvers”, trzymając matkę za rękę i czekając, aż zmieni się światła?

Samochody i autobusy przejeżdżały, rozbryzgując wodę z kałuż. Przebiegł ją nagły dreszcz. Nie dlatego że jesienny dzień był chłodny, a znad rzeki przepływającej przez miasto zaledwie kilka przecznic dalej wiał wiatr. Zadrżała na myśl o tym, co zamierzała zrobić, o tym, co - tak jej to w każdym razie przedstawiono - było jej przeznaczeniem. Wyruszyła, żeby stoczyć bitwę swojego życia.

Ale było już za późno. Teraz nie może się wycofać. Przejechała setki kilometrów, odbyła bolesną podróż do piekła i z powrotem, spędziła niezliczone godziny w bibliotekach i archiwach prasowych Północnego Zachodu, czytając każdy artykuł, każdą wzmiankę, każdą notkę, jaką udało się jej znaleźć na temat rodziny Danversów.

Teraz jej plany i działania wydadzą owoce lub legną w gruzach. Spojrzała w górę na hotel - siedem pięter wiktoriańskiej architektury. Kiedyś był to najwyższy budynek w mieście, teraz jednak przytłoczyły go potężne konstrukcje ze szkła i betonu, drapacze chmur przypominające wycelowane w niebo ostrza noży, rzucające złowrogi cień na wąskie ulice miasta.

- Boże, pomóż mi - szepnęła.

Nie czekając na zmianę światła, przebiegła przez jezdnię. Silny podmuch zerwał jej z głowy kaptur. Zapadał zmierzch. Słońce chowało się za wzgórze na zachodzie, wciąż jeszcze porośnięte zielonymi lasami, wśród których gdzieś błyskały światła luksusowych rezydencji.

Wprawdzie hotel „Danvers” był od kilku miesięcy zamknięty z powodu remontu, który miał mu przywrócić świetność, jaką szczycił się na przełomie wieków, ona jednak śmiało wkroczyła do środka przez boczne drzwi, otwarte na oścież dla robotników. Prace dobiegały już końca. Przez ostatnie dwa dni obserwowała ciężarówki z meblami podjeżdżające przed wejście dla dostawców. Tego dnia przywieziono już szkło, pościel i obrusy, a nawet niektóre artykuły żywnościowe na wielkie otwarcie zapowiedziane na koniec tygodnia.

Podobno cały klan Danversów - pierwsza żona Witta i jego czworo żyjących dzieci - przybył do miasta. To dobrze.

Poczuła, jak zalewają zimna fala lęku. Odkąd dowiedziała się o remoncie hotelu, postanowiła, że przedstawi się rodzinie, ale najpierw chciała porozmawiać z człowiekiem odpowiedzialnym za prace renowacyjne - z Zacharym Danversem, czarną owcą w rodzinie, drugim synem Witta. Wzmianki prasowe dowodziły, że Zachary nigdy nie pasował do reszty swoich krewnych. Wszyscy członkowie rodziny byli do siebie podobni, tylko on odstawał jak bolący palec, a w czasach wczesnej młodości nieraz był na bakier z prawem. Dzięki pieniądзом starego Danversa Zachary'emu udało się nie wpakować w naprawę poważne kłopoty. Plotka głosiła, że nie tylko był najmniej lubianym dzieckiem starego, ale też że właściwie został pominięty w jego testamentie.

Tak, najpierw musi spotkać się z Zacharym. Tyle razy oglądała jego zdjęcia, że na pewno natychmiast go rozpozna. Nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, czarne włosy i ogorzała twarz, szare, głęboko osadzone oczy i gęste brwi. Zachary był jedynym synem Witta Danversa, który nie przypominał ojca - prawdziwego niedźwiedzia. Smuklejszy od niego i od braci miał rysy jakby wykute w skale. Był szorstki, surowy, a jego nieco okrutne usta rzadko uśmiechały się na zdjęciach, które widziała. Blizna biegnąca przez prawe ucho aż po linię włosów i złamany nos świadczyły o temperamencie.

Teraz albo nigdy. Weszła do holu, w sam środek gorączkowych przygotowań. Minęło ją dwóch mężczyzn uginających się pod ciężarem owiniętej w plastikową folię kanapy. Zza ściany dobiegały głosy innych robotników; pracownicy hotelu i dostawcy nieustannie wchodzili do kuchni i jadalni naprzeciw głównego wejścia i wychodzili stamtąd. W powietrzu unosił się zapach rozpuszczalnika, terpentyny i świeżej farby. Dźwięk piły mieszał się z odgłosami odkurzaczy.

Na chwilę zatrzymała się w holu. Kiedy robotnicy ustawiali kanapę przy wielkim kominku, rozejrzała się wokół. Hotel był kiedyś najbardziej ekskluzywnym budynkiem w Portland, miejscem, gdzie spotykali się dygnitarze i ojcowie miasta. Tu zapadały ważne decyzje i powstawały plany na bliższą i dalszą przyszłość. Zagryzła wargi i spojrzała w górę, na witraże nad głównym wejściem. Rzucały barwne refleksy na posadzkę przed blatem recepcji.

Z trudem przelknęła ślinę. Ten hotel to jej dziedzictwo, jej posag, jej przyszłość.

A może nie?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Ruszyła w stronę szerokich, łukowato wygiętych schodów wiodących na galerię.

- Halo, proszę pani! Zamknięte! - usłyszała donośny głos.

Wysoki, krzepki mężczyzna stał na rusztowaniu pod podestem drugiego piętra i majstrował coś przy żyrandolu nad recepcją.

Nie zwracając na niego uwagi, zaczęła wchodzić po pokrytych dywanem stopniach.

- Halo, do pani mówię!

Zawahała się, dłonią w rękawiczce ścisnęła poręcz. Wiedziała, że to nie będzie proste. Ten elektryk to tylko drobna przeszkoda na drodze do celu. Jedna z wielu, które będzie musiała pokonać. Uśmiechając się zniewalająco, aby go rozbroić, odwróciła się i uniosła lekko ramiona w geście zapytania.

- Pan Zachary Danvers?

Doskonale wiedziała, że nie.

- Nie, ale...

- Należy pan do rodziny Danversów?

- Co takiego? - mężczyzna zmarszczył brwi pod rondem kapelusza. - Jasne, że nie, ale pani nie może tam wejść!

- Jestem umówiona z Zacharym Danversem - oznajmiła tonem kogoś, kto ma prawo tak mówić.

- Umówiona? - powtórzył elektryk. Najwyraźniej jej nie wierzył.

- Tak, umówiona. Mam się tu z nim spotkać - odrzuciła głowę w tył, nie cofając się ani o milimetr.

- Pierwsze słyszę. Nie wspominał mi o żadnym spotkaniu - patrzył na nią nieufnie,

- Może zapomniał - odpowiedziała mu zimnym, opanowanym głosem, choć żołądek ścisnął się jej ze zdenerwowania. - Muszę z nim porozmawiać. Albo z kimś innym z jego rodziny.

- Wróci za jakieś pół godziny - stwierdził mężczyzna niechętnie.

- Zaczekam na niego. W sali balowej.

- Zaraz, nie sądzę...

Nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. Szybko przebyła pozostałe stopnie. Gruby dywan tłumił odgłos kroków. Tylko urywany oddech zdradzał jej zdenerwowanie.

- A niech to - mruknął robotnik. - Cholerne baby... - ale pozostał na rusztowaniu i po chwili wrócił do pracy.

Serce waliło jej jak młotem. Prawie nie mogła oddychać, ale u szczytu schodów bez wahania skręciła w lewo. Wzięła głęboki oddech i zdecydowanym ruchem pchnęła podwójne drzwi. W sali było ciemno. Czując, że coś ściska ją w gardle, sięgnęła do włącznika.

W jednej chwili pomieszczenie zalało rześiste światło setek miniaturowych, imitujących świeczki lampek na ścianach i suficie. Na widok wypolerowanego dębowego parkietu, wysokich łukowatych okien i światełek niezliczonych żarówek odbijających się w rźniętym kryształe żyrandoli jej serce na moment zamarło. Z trudem powstrzymała napływające do oczu łzy. Więc tutaj to wszystko się stało? Tu jako dziecko została zepchnięta z drogi przeznaczenia i zmuszona do błądzenia wśród obcych twarzy i miejsc?

Dlaczego? Zagryzła wargi. Dlaczego, na Boga, niczego nie może sobie przypomnieć?

Krople jesiennego deszczu spływały mu po włosach za kołnierz zamszowej kurtki. Mokre liście oblepiały chodniki. Nad ulicami unosiła się mgła, która zbierała się na rogach budynków. Ciężarówki i furgonetki mijają go z przytłumionym szumem silników i światłami rozmytymi w iluminacji zamglonych ulicznych lamp.

Zachary Danvers miał trochę w czubie. Praca, której się podjął, zabrała mu już zdecydowanie za dużo czasu, a poza tym sprawiała, że czuł się jak cholerny hipokryta. Z ulgą myślał, że to wszystko już się kończy. Przeklinając siebie, rodzeństwo, a zwłaszcza ojca, pchnął szklane drzwi starego hotelu. Gdy stanął w wykładanym włoską terakotą holu, jego nozdrza wypełnił dobrze znany zapach rozpuszczalnika i farby. Zmarnował tu rok życia. Cały rok. I to wyłącznie z powodu obietnicy, jaką złożył przy łożu śmierci ojca kilka lat temu. Ale także z powodu własnej chciwości. Przede wszystkim jednak dlatego, że widok starego Danversa błagającego o cokolwiek sprawił mu niekłamaną przyjemność.

Teraz na samą myśl o tym aż ścisnęło go w dołku. Może miał więcej wspólnego z ojcem, niż chciałby przyznać.

Nowy kierownik hotelu, nerwowy mężczyzna o mocno już przerzedzonych włosach i z nieustannie poruszającym się jabłkiem Adama, stał z jednym z urzędników hotelowego biura za mahoniowym blatem recepcji - perłą holu i dumą Zachary'ego, który znalazł ten mocno już nadgryziony zębem czasu mebel w położonej za Burnside ponad stuletniej tawernie przeznaczonej do rozbiórki. Teraz, po pracochlonnej renowacji, nieskazitelna mahoniowa powierzchnia lśniła w świetle żyrandoli.

Wszystkie elementy instalacji, a także meble, które nie nadawały się już do renowacji, zostały zastąpione innymi antykami lub ich wiernymi kopiami. Dzięki temu hotel łączył autentyczny urok roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego z wszelkimi wygodami dostępnymi w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym.

Ludzie z reklamy uwielbiają takie teksty.

Na pytanie, dlaczego - koniec końców - zgodził się zająć remontem hotelu, Zachary wciąż nie umiał

odpowiedzieć, choć ostatnio podejrzewał, że powodem był spóźniony przyływ poczucia rodzinnej dumy.

- Sukinsyn - mruknął pod nosem.

Miał już serdecznie dość miasta, jego zgiełku, wyziewów i świateł, no i przede wszystkim swojej rodziny, a raczej tego, co z niej zostało. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy rzuci wszystko w diabły.

- Panie Danvers! - zawołał Frank Gillette z wyżyn swojego rusztowania. Ciągłe zajmował się wyjątkowo opornym żyrandolem. - Właśnie pana szukałem. W sali balowej jest kobieta. Czeka już ponad godzinę.

Zach zmrużył oczy.

- Co to za kobieta?

- Nie przedstawiła się. - Frank zaczął schodzić z rusztowania. - Powiedziała tylko, że jest z panem umówiona i że nie będzie ze mną rozmawiać, bo - cytuję - nie należę do rodziny Danversów.

Frank zeskoczył na podłogę i otrzepał ręce z kurzu. Zmiętą chustką do nosa, którą wyciągnął z tylnej kieszeni spodni, otarł czoło pod twardym plastikowym kaskiem.

Od strony kuchni dobiegł nagle trzask tłuczonego szkła i brzęk rozsypanych sztućców, który rozniósł się echem po hotelu.

- Chryste - Frank aż podskoczył. Spojrzał ze złością w stronę kuchni. - Do diabła z tym Caseyem.

- To jakaś dziennikarka?

- Ta kobieta? - Frank wsadził rękę do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. - Nie mam pojęcia. Nie nazywam się Danvers, więc nie chciała ze mną rozmawiać. Ale nie miałbym nic przeciwko, żeby spędzić z nią trochę czasu.

- Ładna?

- Superlaska - przyznał Frank niechętnie.

- Jasne.

- Tylko że jej zgrabny tyłeczek może nam narobić sporo kłopotów. Nikomu spoza ekipy nie wolno przebywać na terenie hotelu. Jeśli coś jej tu spadnie na głowę albo jeśli się potknie i skręci swój śliczny kark, a ubezpieczalnia się o tym dowie...

- Za bardzo się przejmujesz.

- Za to mi pan płaci. - Frank znalazł w końcu pogniecioną paczkę cameli i wytrząsnął z niej papierosa.

- Po prostu rób swoje. Poradzę sobie z ludźmi z ubezpieczalni. Z tą kobietą też.

- To świetnie - uśmiechnął się Frank, pstrykając zapalniczką. Zapalił papierosa i zaciągnął się mocno. - Zobaczmy, czy to cholera nareszcie świeci. Hej, Roy, włącz prąd. - Pochylił się nad blatem i sięgnął do włącznika. Pstryknął i spojrzał na żyrandol. Małe elektryczne świece jaśniały przez chwilę pełnym światłem, po czym zamigotały i zgasty. - Szlag by to trafił - mruknął i poczerwieniał ze złości. - Cholerny kabel. Mówiłem temu półgłówkowi, żeby użył... Do diabła! - Wypuścił nosem kłęb dymu. - Roy! Wyłącz prąd! - ryknął.

- Idę na spotkanie z tajemniczą nieznajomą.

- Jasne - mruknął Frank i ruszył z powrotem na rusztowanie.

Zach nie miał cienia wątpliwości, że w chwili wielkiego otwarcia wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Frank tego dopilnuje, nawet gdyby sam miał trzymać ten kabel w rękach.

Na schodach Zach rozejrzał się wokół i pomyślał o ojcu. O Witcie Danversie. Królewskim Wrzodzie na Dupie. Jedynym - który przeżył - synu Juliusza, wielkiego drewnianego barona czy, jak kto woli, króla tartaków wszech czasów, który zgromadził fortunę za pomocą ręcznych pił, siekier i innych ludzi. Witt kontynuował te tradycje, wykorzystując piły łańcuchowe, kołowroty, ciężarówki i innych ludzi.

Teraz Witt byłby dumny z syna, którego tyle razy się wyrzekał. To oczywiście bez znaczenia. Witt Danvers był martwy, jego ciało zostało skremowane, a prochy rozsypane nad lasami Oregonu dwa lata temu. Sprawiedliwy koniec króla tartaków, który niemal całe życie spędził, grabiąc tę ziemię. Witt wiedział, czego chce, i sięgał po to bez wahania. Każdy, kto kiedykolwiek ośmielił się stanąć mu na drodze, szybko zaczynał żałować, że przeciwstawił się najpotężniejszemu człowiekowi w Portland. Łącznie z jego drugim synem.

Przez miękkie zamsz kurtki Zach wyczuł na ramieniu grubą bliznę, pamiątkę po ojcu. Zacisnął zęby. Lata zajęło mu uporanie się ze starym, a teraz już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

- Odpoczywaj w pokoju, nędzny stary draniu. - Zacisnął usta i pchnął drzwi sali balowej. Ojciec zawsze traktował go inaczej niż resztę dzieci. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Zachary prowadzi własne interesy, ma własną tożsamość. Ta pętla - fakt, że był synem najbogatszego człowieka w Portland - zwolniła już ucisk, jaki dawniej nieustannie czuł na swojej szyi.

Zrobił dwa kroki w głąb sali i nagle stanął jak wryty.

Stała tam otulona miękką czarną peleryną, w sięgających kolan czarnych botkach. Odwróciła się, gdy usłyszała skrzyp drzwi, ale jeszcze zanim zdążyła otworzyć usta, Zachary wiedział, dlaczego tu przyszła.

Czarne włosy otaczały idealną twarz. Duże błękitne oczy ocienione firanką gęstych czarnych rzęs patrzyły na niego uważnie. Miał wrażenie, że serce na moment zamarło mu w piersi, kiedy lekki uśmiech uwypuklił wystające kości policzkowe i podkreślił mocny, znamionujący upór podbródek.

Bezwiednie wstrzymał oddech.

- Ty jesteś Zachary - powiedziała, jakby miała prawo stać na środku sali balowej, jakby to było jej miejsce.

Zaschło mu w gardle. Głęboko ukryte wspomnienia - teraz uwolnione - atakowały go ze wszystkich stron.

- Zgadza się.

- Danvers - dodała. Głos miała niski. Usta lekko jej zadrżały przy tym słowie. Odrzuciła włosy do tyłu i ruszyła w jego stronę z dłonią wyciągniętą przed siebie w powitalnym geście. - Od dawna czekałam na tę chwilę - zmusiła się do uśmiechu. - Nazywam się...

- London - dopowiedział. Miał wrażenie, że jego ciało zeszytywniało przeszyte bólem przeszłości.

- Poznałeś mnie? - błękitne oczy rozświetliła nadzieja.

- Jest pewne podobieństwo. Domyśliłem się.

- Ach, tak - powiedziała z wahaniem. Jej zapał osłabł.

- Dlatego tu przyszłaś, prawda?

- Tak.

- Sądzisz, że jesteś moją dawno utraconą siostrą- nie zdołał złagodzić ironii tych słów.

Błękitne oczy pociemniały, a wyciągnięta ręka, którą zupełnie zignorował, opadła.

- Tak sądzę. Ale mówiąc szczerze, nie mam stuprocentowej pewności.

Dlatego tu przyszłam. - Zaczęła odzyskiwać pewność siebie. - Przez wiele lat nosiłam imię Adria.

- Nie masz pewności? - powtórzył za nią. Przez chwilę nie widział nic poza tymi wielkimi niebieskimi oczami - przypominały inne oczy, które zdawały się widzieć go na wylot - ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. Skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że ta kobieta może być London? Czyż nie wyczuwał oszustów na kilometr? Wygląda jak jego macocha - wielkie rzeczy! - Moja siostra nie żyje od ponad dwudziestu lat - powiedział oschle, tonem zarezerwowanym dla kłamców i złodziei.

- Przyrodnia siostra.

- To bez znaczenia.

Westchnęła i objęła dłońmi ramiona.

- Chciałam sprawdzić, czy pamiętam to miejsce...

- London miała tylko trzy lata.

- Cztery. Prawie pięć. Nawet z tak wczesnego dzieciństwa zostają nam wspomnienia... może bardzo mgliste, ale jednak... - Spojrzała za siebie. - Tu, wrogu, stała orkiestra, a tam były jakieś rośliny... chyba drzewa przy oknach... - Ciemne brwi zbiegły się u nasady nosa, jakby z trudem próbowała uchwycić coś, co wymykało się jej pamięci. - I wielka fontanna. I rzeźba konia, biała... nie, nie, po prostu rzeźba konia w biegu. I jeszcze...

- Wystarczy.

Zacisnęła usta.

- Nie wierzysz mi.

- Myślę, że powinnaś już iść. - Zachary wskazał drzwi zdecydowanym ruchem głowy. - London nie żyje. Od ponad dwudziestu lat. Więc zabieraj się stąd i wracaj do domu, zanim stracę cierpliwość i pomogę ci wyjść. Chyba nie chcesz wylądować przed drzwiami razem z workami śmieci?

- Skąd wiesz, że London nie żyje?

Poczuł nagle nieznośny ucisk w gardle. Stały mu w pamięci wszystkie oskarżenia, wytykające go palce, podejrzliwe spojrzenia rzucane mu ukradkiem.

- Mówię poważnie. Lepiej się stąd zabieraj.

- Ja też mówię poważnie, Zach. - Owinęła się peleryną, ostatni raz popatrzyła na salę balową i spojrzała na niego.

- Nie poddaję się łatwo. Przekonasz się.

- Nie będę miał okazji.

- Kto tu rządzi?

- To nie ma znaczenia - powiedział twardo, zdecydowanie, brutalnie. - Możesz spróbować z moimi braćmi albo z siostrą, z moją matką albo nawet z naszymi prawnikami. Nikt nie poświęci ci nawet dziesięciu minut. Lepiej oszczędź sobie rozczarowania, a mnie straty czasu. Posłuchaj mojej rady i wracaj do domu.

- To mógłby być mój dom.

- Guzik prawda.

- Szkoda, że Katherine nie żyje.

Samo wspomnienie pięknej i stanowczo zbyt młodej macochy ścięło Zachary'emu krew w żyłach. Podobieństwo między tą młodą arogancką kobietą stojącą teraz przed nim a drugą żoną jego ojca Katherine - tą Kat, która zamieniła jego życie w piekło na wiele lat - było zdumiewające.

- Szkoda? Naprawdę? A może właśnie dobrze się składa? - Dziewczyna pobladła. - Wynoś się.

- Ty się mnie boisz.

- Powiedziałem: wynoś się.

Przez jedną krótką, mrozącą krew w żyłach sekundę wytrzymała jego wzrok, potem wyszła z sali i zeszła po schodach. Zachary podszedł do okna. Patrzył, jak przechodzi przez ulicę szybkim, zdecydowanym krokiem, chowając głowę w ramionach. Deszcz zamienił się właśnie w prawdziwą ulewę.

Wróci tu. One zawsze wracają. Dopóki pieniądze i władza Danversów nie staną im ością w gardle i nie zmuszą

do porzucenia wybujałych marzeń o uszczknięciu czegoś z fortuny starego.

Dobra robota, powiedział sobie, kiedy zniknęła już za rogiem. Ale miał dziwne przeczucie, jakby sam diabeł wspinał mu się po plecach. Nawet więcej - miał absolutną pewność, że ta kobieta, która dziś się tu wdarała, podając za London Danvers, znacznie różni się od wszystkich swoich poprzedniczek.

Część pierwsza

1974

Zachary

I

Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie - szepnęła Katherine Danvers do ucha mężowi. Tańczyli na lśniącej posadzce sali balowej. Na podwyższeniu w rogu niewielka orkiestra grała As Jime Goes By, a melodia unosiła się nad zebranych tłumem. - Zaskoczony? - zapytała i pieszczotliwie potarła nosem o jego policzek, ani przez chwilę nie gubiąc rytmu.

- Z twojej strony nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć - odchrząknął. Wiedział oczywiście, że zarezerwowała salę w hotelu dla jakiejś fikcyjnej kobiecej organizacji. W końcu od pięćdziesięciu lat był najbystrzejszym człowiekiem interesu w Portland i po drodze nauczył się niejednej przydatnej sztuczki. Rozbawiony ścisnął żonę za ramię i poczuł, jak jej ukryte pod czarną satyną piersi mocniej na niego napierają. Jeszcze kilka lat temu podnieciłby go sam zapach jej perfum i świadomość, że pod czarną suknią nie nosiła nic. Miała na sobie tylko suknię i szpilki.

Zmarszczyła śliczny nosek, kiedy pianista zagrał solówkę. Jej czarne włosy lśniły w przymglonym świetle żyrandoli, a oczy w kolorze głębokiego błękitu spoglądały na niego potulnie spod czarnych rzęs.

Kiedyś oddałby całą swoją gigantyczną fortunę za jedną noc z nią w łóżku. Była tak zmysłowa, tak domyślna, tak dobrze wiedziała, jak sprawić przyjemność mężczyźnie. Nigdy, nawet na samym początku ich znajomości, nie zapytał jej, skąd tyle wie o miłosnych rozkoszach, był po prostu wdzięczny za to, że pozwoliła mu zostać swoim kochankiem i ponownie obudziła w nim pożądanie, które bezpowrotnie utracił, jak mu się zdawało, gdy osiągnął tak zwany wiek średni.

Słodkie małe kociątko w łóżku zamieniało się w dziką kocicę i przez kilka lat jej niespożyta energia seksualna wystarczała, by go zaspokoić. Ożenił się z nią, był jej wiemy, a w pierwszych latach małżeństwa kochał się z nią niemal co drugą noc. Jednak jego namiętność szybko wygasła - jak zwykle - i teraz nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio to robili. Na myśl o impotencji oblał go zimny pot. Nawet teraz, kiedy w tańcu jej uda tak ściśle przylegały do jego nóg, a koniec jej gorącego języka odszukał wrażliwe miejsce za uchem, nie poczuł nic - ani znajomego przyspieszenia tętna, ani erekcji. Nawet najbardziej wymyślna gra wstępna nie była w stanie go podniecić. Zakrawało na cud, że w ogóle udało mu się spłodzić dziecko.

W przyływie naglej złości gwałtownie odepchnął ją od siebie, po czym jednym szarpnięciem zamknął z powrotem w ramionach. Zaśmiała się niskim, gardłowym śmiechem, który chwilami brzmiał prawie wulgarnie. Podobał mu się to. Wszystko mu się w niej podobało. Żałował tylko, że nie może rzucić jej teraz na parkiet i wziąć tak, jak ona by tego chciała - jak zwierzę, na oczach zgromadzonych tu ludzi, którym mógłby udowodnić, że ciągle jest mężczyzną zdolnym zaspokoić żonę.

Próbowała już wszystkiego, wszelkich możliwych sztuczek. Przezryzane negliże, nieprzyzwoite staniki z dziurkami, przez które wyglądały różowe sutki, czarne pończochy na koronkowym pasku opinające kształtne uda. Kusila go językiem, szeptała do ucha sprośne słowa, wymierzała udawane razy, ale nie było nic, co mogłoby go jeszcze podniecić, a myśl, że może już nigdy nie będzie miał erekcji i może już nigdy nie będzie kochał się z kobietą, doprowadzała go do rozpacz i zamieniała jego życie w piekło.

Kiedy melodia dobiegła końca, przechylił ją nagle w tył tak, że musiała się go mocniej uchwycić. Patrzyła w górę, prosto na niego, czarne włosy niemal dotykały podłogi zasłanej konfetti i płatkami róż. Zdawało się, że jej piersi, posłuszne prawu ciężenia, wyskoczą zaraz z głębokiego wycięcia sukni.

Świadom, że wszyscy na nich patrzą, przycisnął nagle wargi do tego cudownego zagłębienia między jej piersiami, jakby nie był w stanie się powstrzymać, a potem szybko postawił ją z powrotem na nogi. Przez salę przebiegł pełen aprobaty śmiech.

- Ty ogierze! - zawołał jakiś mężczyzna i Kat spłonęła rumieńcem jak niewinna dziewczyna.

- Zabierz ją na górę, na co czekasz? - wtórował mu inny „chłopiec” w średnim wieku. - Czy to nie czas na syna?

- Później. - Witt spojrział na roześmiane twarze gości zadowolony, że nikt nie zna jego tajemnicy, i pewny, że Kat nigdy nie puści pary z ust na ten temat. Syn. Gdyby ci wszyscy krewni, przyjaciele i partnerzy w interesach wiedzieli...

Nie będzie już żadnych dzieci, niech to szlag. Spłodził trzech dorodnych synów i córkę w małżeństwie z Eunice, tą rozkochaną w przybłędach suką. Z Katherine będzie miał tylko London, czteroletnią ubóstwianą córkę. Troszczył się o nią bardziej niż o wszystkie inne dzieci razem wzięte i nie czuł z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. W końcu one - niektóre już zresztą zupełnie dorosłe - sprawiły mu tyle bólu, a ich matka...

Chryste, co on kiedykolwiek widział w Eunice Prescott - kobiecie kościstej, o języku ostrym jak brzytwa, która miłość z nim traktowała jak jeszcze jeden uciążliwy obowiązek? Doszedł w końcu do wniosku, że jest oziębła, aż pewnego dnia... Do diabła, nie chciał myśleć o Eunice i jej cholernym ciemnowłosym macho śmiejącym się z niego za plecami.

Zły na siebie odprowadził żonę na środek sali, gdzie w świetle żyrandoli wielka rzeźba z lodu przedstawiająca galopującego konia zaczynała już powoli topnieć. Tuż obok szemrała tryskająca szampanem fontanna.

Orkiestra zagrała *In the Mood* i kilka odważnych par wyszło na parkiet. Witt wziął z tacy smukły kieliszek i wychylił szampana jednym haustem.

- Tatusiu!

Podniósł wzrok i zobaczył London z czarnymi lokami tańczącymi wokół buzi i pulchnymi rączkami wyciągniętymi w jego stronę. Miała na sobie granatową sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem i mankietami. Podbiegła do niego i przytuliła się. Ucisnął ją mocno. Podniósł małą do góry, gniotąc aksamit odświętnej sukienki. Krótkie nóżki w białych rajstopkach wisiały mu na wysokości pasa.

- No, jak ci się podoba bal, księżniczko?

Błękitne oczy były szeroko otwarte, a policzki zaróżowione podnieceniem.

- Głośny jest.

- Rzeczywiście - zaśmiał się.

- I za dużo dymu!

- Nie mów mamie. To miała być niespodzianka, więc nie chcemy, żeby było jej przykro. - Uśmiechnął się do córki.

Odpowiedziała mu filuternym spojrzeniem i wtuliła swój mały nosek w jego szyję. Poczul zapach szamponu dla dzieci. Złapała za starannie zawiązaną muszkę, a on znowu zaczął się śmiać. Nic nie było w stanie uszczęśliwić go bardziej niż rezolucyjne poczynania jego nad wiek rozwiniętej córki.

- Hej, hej, to moje zadanie - powiedziała Kat z uśmiechem i delikatnie odgięła dziecięce paluszki zaciśnięte na kołnierzyku Witta. - Zostaw muchę taty w spokoju. - Ucałowała włosy córki.

- Zatańczymy? - zapytał Witt córkę. Dwie niemal niedostrzegalne zmarszczki między brwiami jego żony pogłębiły się jak zawsze, gdy coś się jej nie podobało.

Witt nie zwrócił na to uwagi. Wychylił jeszcze jeden kieliszek szampana i pociągnął London za sobą na parkiet. Jego mała księżniczka zapiszczała uszczęśliwiona.

- Niedobrze mi się robi, jak na to patrzę - stwierdziła Trisha ze swojego miejsca przy orkiestrze. Oparta o podwyższenie sączyła szampana. Niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat i korzystała w pełni ze swoich praw.

Zachary wrzusił ramionami. Zdążył się już przyzwyczaić do ostentacyjnych zachowań ojca, a poza tym nic, co robił Witt, już go nie obchodziło. Nigdy nie umiał się z nim dogadać, a sytuacja uległa jeszcze pogorszeniu, kiedy ojciec rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną, a potem ożenił z kobietą zaledwie siedem lat starszą od swojego najstarszego syna Jasona, brata Zachary'ego. Prawdę mówiąc, Zach nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w tym przyjęciu i przyszedł tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia. Nie mógł się doczekać, kiedy opuści to zadymione, hałaśliwe miejsce pełne nudnych starych ludzi - samych frajerów.

- Ojciec nie może odkleić się od Kat - powiedziała Trisha. Język zaczął się jej już odrobinę plątać. - To obrzydliwe. - Pociągnęła z kieliszka i dodała: - Zbereżny stary dureń.

- Ostrożnie, Trisha - powiedział Jason, który właśnie dołączył do rodzeństwa. - Ojciec na pewno założył tu podsłuch. Wiecie, że ten hotel mógł mieć coś wspólnego z Watergate.

- Bardzo zabawne. - Trisha przerzuciła długie włosy przez jedno ramię, ale nawet się nie uśmiechnęła. Wyglądała na obojętną i znudzoną, a jej niebieskie oczy zdawały się nieustannie kogoś lub czegoś szukać w tłumie.

Jason dotknął węża i zmrużył oczy.

- Wiesz, że połowa ludzi tutaj tylko czeka, żeby powinęła mu się noga.

- To jego przyjaciele - sprzeciwiła się Trisha.

- I wrogowie. - Jason oparł się biodrem o fortepian. Orkiestra właśnie miała przerwę. Cały czas obserwował ojca, który z London na rękach tanecznym krokiem przechodził od jednej grupki rozbawionych gości do drugiej, ani na moment nie stawiając córki na ziemi.

- Kogo to obchodzi? - spytał Zachary.

- Zawsze zbuntowany. - Jason uśmiechnął się lekko pod wężem. Ten uśmiech doprowadzał Zacha do szału.

Brat zachowywał się tak, jakby świat nie miał przed nim tajemnic. Miał dwadzieścia trzy lata, studiował prawo i był siedem lat starszy od Zachary'ego, o czym ani na chwilę nie pozwalał młodszemu, zbuntowanemu bratu zapomnieć.

Zach szarpnął za kołnierzyk swojej sztywnej koszuli do smokingu. Nie znosił Jasona, podobnie zresztą jak siostry. Oboje za bardzo przejmowali się starym, a zwłaszcza zgromadzoną przez niego fortuną Danversów.

Pozostawił ich samych z problemem, którym od jakiegoś czasu było przesadne przywiązanie ojca do London, minął kilka ożywionych grupek zawzięcie dyskutujących o prezydencie Nixonie i racjonowaniu benzyny. To też go

nie obchodziło.

Korzystając z chwilowej nieobecności kelnera, wziął ze stojącej samotnie na stole tacy kieliszek szampana i przysunął się do wychodzących na miasto okien. Poczul coś w rodzaju satysfakcji, gdy tak spoglądał w gorącą lipcową noc i popijał zakazany napój. Mimo problemów z benzyną ulicą ciągnął nieprzerwany sznur samochodów próbujących przebić się przez miasto i płynącą leniwie rzekę Wilamette - ciemny, zamulony szlak wodny oddzielający zachodnią część miasta od wschodniej. Znad ulic unosiła się gęsta mgła, powietrze było parne i wilgotne.

W oddali, poza zasięgiem świateł miasta, górski łańcuch stał na straży horyzontu. Ciężkie burzowe chmury od rana gromadzące się nad Portland zasłoniły księżyc i gwiazdy. Od czasu do czasu rozświetlające niebo błyskawice potęgowały napięcie tej gorzkiej nocy. Zach dopił szampana i z nadzieją, że nikt nie zauważy, wsadził pusty kieliszek do donicy z palmą.

Czuł się tu obco, jak zawsze w towarzystwie rodziny. A afera z Kat jeszcze dobitniej uświadomiła mu, jak bardzo różni się od braci i siostry. Nawet fizycznie nie był do nich podobny. Członkowie klanu Danversów mieli niebieskie oczy i włosy w różnych odcieniach brązu, od jasnego do ciemnego.

Zach najbardziej przypominał przyrodnią siostrę London, co zresztą nie przysparzało mu popularności wśród rodzeństwa, które zgodnie kultywowało niechęć wobec księżniczki.

London. Nie dbał o tego dzieciaka ani trochę. Oczywiście grała mu na nerwach. Była czasem prawdziwym utrapieniem, jak każde zresztą czteroletnie dziecko. Ale właściwie bawiło go, że mała już teraz stosowała sztuczki, których opanowanie zajęło Kat lata. Nic dziwnego, że ojciec traktuje ją jak bezcenny skarb.

Jakby czytając w jego myślach, London przepchnęła się przez tłum i złapała go za nogę. Odwrócił się z zamiarem spławienia jej, ale to małe półdiabłe odkryło już jego kieliszek na wpół zakopany w ziemi.

- Zostaw to! - wysyczał.

London odpowiedziała mu śmiałym, przekornym spojrzeniem. Boże, gdyby jeszcze mogła wyjść na balkon i przynieść papierosa - kolejną rzecz, której ojciec i macocha surowo mu zabraniali, choć Kat nie pokazywała się nigdzie bez złotej papierośnicy, a Witt często palił cygara szmuglowane z Hawany.

London wsadziła kieliszek z powrotem do donicy.

- Schowaj mnie przed mamą! - Ze złośliwym chichotem ukryła się za jego nogami.

- Co jest. Nie mam zamiaru brać udziału w twoich głupich zabawach!

- Ćśś, idzie! - szepnęła London.

Świetnie. Tylko tego mu jeszcze brakowało.

- London? - Głos Katherine wzniósł się ponad dźwięki granej właśnie ballady.

Ukryta za nim dziewczynka próbowała zdusić śmiech.

- London, gdzie jesteś? Chodź już... Czas do łóżka. A, tu cię mam! - Kat minęła grupkę rozmawiających mężczyzn z wystudiowanym, uroczym uśmiechem, pomachała komuś na drugim końcu sali i namierzyła córkę z precyzją i szybkością rasowego posokowca.

- Nie! - zawołała London.

- Chodź kochanie, już prawie dziesiąta.

- To co!

- Lepiej słuchaj mamy - powiedział Zachary, spoglądając na macochę. Dobrze wiedział, co jego ojciec widział w młodej żonie. Katherine Danvers była chyba najbardziej seksowną kobietą, jaką Zach kiedykolwiek spotkał w swym krótkim życiu. W wieku lat szesnastu zaczynał już rozumieć, co znaczy słowo żądza. Gwałtowna, niepohamowana, mogła zżerać mężczyznę po kawałku, zawęzić świat do jednej myśli o zdobyciu obiektu pożądania.

- No, chodź. - Kat schyliła się, by wziąć córkę na ręce. Czarny jedwab na moment opiął zgrabne pośladki, a piersi ściślej wypełniły śmiały dekolt.

- Zaprowadzę ją do łóżka - zaproponowała opiekunka London Ginny. Była to niska prosta kobieta w butach na rozsądnym obcasie i w niepozornym oliwkowym kostiumie. Przy Katherine wydawała się stara i gruba, choć w rzeczywistości pewnie całkiem niedawno przekroczyła trzydziestkę. Była więc mniej więcej w wieku Kat.

- Nie chcę iść do łóżka - upierała się London.

- Co za maruda. - Katherine podniosła wzrok i zobaczyła kelnera idącego w jej stronę. Spojrzała na córkę i powiedziała z westchnieniem: - Posłuchaj, kochanie, już czas na tort urodzinowy. Możesz zostać i zobaczyć, jak tatuś będzie zdmuchiwał świece, a potem pójdziesz na górę.

- Mogę też dostać tortu?

Katherine zacisnęła na moment usta, ale powiedziała cierpliwie:

- Oczywiście, kotku. Ale zaraz potem pójdziesz z Ginny na górę. Będziesz spała w pokoiku obok mamusi i tatusia. Przyjdziemy później pocałować cię na dobranoc.

Zadowolona London pobiegła na środek sali, a Katherine wyprostowała się i wygładziła suknię na biodrach. Ginny szybko podążyła za swoją podopieczną. Zach miał cichą nadzieję, że Katherine także sobie pójdzie i zarządzi *Happy Birthday*, ale ona uniosła tylko trochę podbródek, chłodno spoglądając na pasierba. Zach był od niej o

pół głowy wyższy, ale Kat miała swoje sposoby, żeby sprawić, by czuł się przy niej mały.

- Trzymaj się z dala od alkoholu. - Wyciągnęła jego kieliszek z donicy. Trzymała go smukłymi palcami za nóżkę. Nawet udzielając mu reprimendy, była pociągająca jak jasna cholera. Jakby wiedząc, jaką ma władzę nad nim i nad każdym mężczyzną, który nie jest ślepy, ściągnęła usta w słodki dzióbek i pomachała mu kieliszkiem przed nosem. - Nie chcemy, żeby cokolwiek zepsuło tacie przyjęcie, prawda? Gdyby ktoś cię z tym przyłapał, miałbyś poważne kłopoty.

- Nikt mnie nie przyłapie.

- Nie bądź tego taki pewien, Zach. Widziałam, jak częstowałeś się szampanem. Anie tylko ja patrzyłam wtedy w twoją stronę. Każdy mógł cię przyuważyć, łącznie z Jackiem Loganem. Pamiętasz, to ten facet z policji. Mam wrażenie, że już go kiedyś spotkałeś.

Zach zacisnął zęby. Czuł się idiotycznie.

- Powiedziałem, że nikt mnie nie przyłapie.

- Mam nadzieję, bo jeśli znowu wylądujesz w areszcie albo w poprawczaku, Witt na pewno nie zapłaci kaucji. Więc - uśmiechnęła się słodko - lepiej uważaj, co robisz.

Zostawiła go w końcu. Podeszła do grupki gości. Zachary stał bez ruchu, ale w jego wnętrzu panował zamęt. Wyobrażał sobie, jak cudownie byłoby zacisnąć palce na jej szyi i nauczyć ją rozumu, a jednocześnie nie mógł oderwać wzroku od jej pośladków zmysłowo poruszających się pod czarnym jedwabiem, kiedy szła powoli przed siebie. Każdy krok doprowadzał go do szaleństwa. Niewiarygodnie wysokie obcasy miażdżyły po drodze płatki róż. Smukłe plecy, odsłonięte aż po krzyż, były nieskazitelnie gładkie. Zach przeczuwał, jak cudownie muszą się prężyć pod odpowiednim mężczyzną.

Poczuł, że za chwilę będzie miał erekcję, i odwrócił się, by nie patrzeć na Kat.

Czasami miał wrażenie, że ona to robi specjalnie, że dręczenie go w ten sposób sprawia jej przyjemność. Kiedy indziej znowu posądzał się o zbyt wybujałą wyobraźnię i mylną interpretację zupełnie niewinnych gestów.

By uciszyć rozszalałe zmysły, przytknął czoło do szyby, która natychmiast zaparowała. W sali balowej było bardzo gorąco, Zach miał wrażenie, że zaraz się udusi. Krew ciągle pulsowała mu w skroniach. W szesnastym roku życia wciąż był niewinny, co zresztą mu nie przeszkadzało, dopóki nie znalazł się sam na sam z Katherine. Starał się tego unikać.

Wsadził rękę do kieszeni, by ukryć wybrzuszenie w spodniach, i podszedł do tacy. Szybko wziął kieliszek i duszkiem wychylił szampana, nie spuszczać oczu z macochy. Zdawała się go nie widzieć. Rozochocony przysunął się do innej tacy, złapał kolejny kieliszek i jednym haustem wypił. Kilka kropli spłynęło mu po brodzie, ale nie zwrócił na to uwagi.

Temperatura w sali rosła, poluzował więc krawat. Fala gorąca zalała go, jednocześnie poczuł się mile rozluźniony. Zdecydowanie alkohol uderzył mu do głowy. Cóż, trudno. Nie miał ochoty tu przychodzić. Ale skoro musiał, to równie dobrze może się trochę zabawić.

Kończył właśnie kolejnego drinka, kiedy miękka dłoń ujęła go za ramię. Podskoczył, wylewając sobie szampana na koszulę. Długie palce Kat ścisnęły jego rękę żelaznym uchwytem. Była wściekła.

- Nie wiesz, kiedy przestać, co?

Odrzącił jej rękę.

- Nie będziesz mi mówić, co mam robić.

- Nie? - Uniosła piękną brew do góry. - Hm, zobaczymy.

Patrząc jej bezczelnie w oczy, dokończył szampana, ale ona zdawała się nie mieć nic przeciw temu. Uśmiechnęła się lekko, a w błękitnych oczach zaśniło odbite światło żyrandola. Z niewinną miną wzięła go nagle za rękę i wsunęła swoje palce między jego.

- Zatańcz ze mną, Zach.

Mimo lekkiego zamroczenia natychmiast wyczuł kłopoty.

- Ja... ja nie umiem tańczyć.

- Oczywiście, że umiesz. To proste.

- Ale...

Zbliżyła się do niego i przytknęła wargi do jego ucha.

- Ludzie patrzą. Chodź.

Zupełnie zaschło mu w gardle.

- Katherine, naprawdę nie chcę...

Miała rację. Czuł na sobie palący wzrok ludzi wokół. Chciał umrzeć, teraz, natychmiast. Kątem oka dostrzegł Jasona, który przyglądał mu się z nie-odgadnionym wyrazem twarzy. Trisha piła szampana i Bóg wie co jeszcze. Zażenowanie Zacha wywołało uśmiech pijackiego rozbawienia na jej twarzy. Witt, jego ojciec, znowu tańczył z London i był zbyt zajęty, żeby zauważyć, że Zach znalazł się w pułapce.

- Naprawdę, Katherine. Nie chciałbym...

- Ależ chciałbyś, Zach - szepnęła, opierając się o niego, przyciskając biodro do jego uda. - Przecież widzę. I poskarżę się twojemu tacie, jeśli ze mną chociaż raz nie zatańczysz.

Zach spojrzął na ojca, ale on nie widział, że jego syna, tego, który przysparza mu zazwyczaj najwięcej kłopotów, wloką teraz na parkiet jak konia na rzeź. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest tańczyć z Katherine, czuć jej ciało tuż przy swoim. Na samą myśl serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Kiedy byli już na środku sali. Kat odwróciła się i przywarła do niego całym ciałem, już kołysząc się w rytm muzyki.

- Czy to nieprzyjemne? - mruknęła, napierając na niego na przemian biodrami i piersiami.

Zamknął oczy. Próbował zapanować nad swoim ciałem. Czuł, że znowu twardnieje.

- Puść mnie - poprosił zrozpaczony.

- Nie chcesz nigdzie iść - wygięła się lekko, ocierając zmysłowo swoim podbrzuszem o jego. Boże, musiała wyczuć, że ma erekcję. - Przecież widzę.

- Nie...

Chryste Panie, pod palcami prawej ręki czuł jej nagie plecy, aksamitną skórę i poruszające się pod nią mięśnie. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście wydała cichy, gardłowy jęk pożądania?

- Skłamałeś - szepnęła, muskając oddechem jego ucho.

Zach miał wrażenie, że umiera. Ogarnęła go panika uniemożliwiająca racjonalne myślenie. Jakaś jego część rozpaczliwie chciała uciec jak najdalej, ale rozbudzona wyobraźnia rysowała mu przed oczami fantastyczne wizje. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby nagle wsunął dłoń pod czarny jedwab sukni. Co by zrobiła, gdyby delikatnie przejechał językiem po jej szyi?

Jakby domyślając się, czego pragnie, Kat przechyliła głowę w jedną stronę, pokazując nieco więcej białego ciała.

- Pozwolicie, że się przyłączę? - głos Witta wybił się ponad inne dźwięki i Zachary stanął jak wryty, gwałtownie opuszczając ręce.

Usiłował odsunąć się trochę od Katherine, ale trzymała go mocno.

Sennymi oczami popatrzyła na męża i uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie sądziłam, że o to zapytasz - szepnęła.

Twarz Witta oblał rumieniec. Jego oczy zwięzły się, gdy spojrzął na swojego zbuntowanego syna, który zrobił krok w tył. Witt wręczył mu London, którą miał na rękach.

- Trzymaj się z dala od szampana - powiedział Witt. - To byłby już szczyt wszystkiego, gdyby Jack cię tu arestował. Zakręć się parę razy z London, a potem poproś do tańca którąś z sióstr Kramer. Cały wieczór wodzą za tobą oczami.

Zach przełknął ślinę. Miał ochotę rzucić się ojcu do gardła. Spojrzął na Kat. Śmiała się, a w jej oczach widać było złośliwe rozbawienie. Nieźle się bawiła jego kosztem. Zaciśnął pięści. Gdyby nie London, którą trzymał na rękach, naprawdę mógłby poważnie pogorszyć tę i tak okropną sytuację. Wyglądało to tak, jakby ojciec i macocha uknuli spisek mający na celu zrobienie z niego idioty.

Całe ciało zeszytywniało mu z wściekłości, czuł, że się czerwieni. Mimo że kilka dziewcząt w eleganckich drogich sukniach próbowało zwrócić na siebie jego uwagę, nawet nie spojrzął w ich stronę. Wręczył London niani. W tej chwili miał ochotę tylko na jedno: uderzyć w coś... w cokolwiek.

Zerwał krawat z szyi. Musi wyjść z tego cholernego hotelu i zaczerpnąć świeżego powietrza. Marząc, żeby zostać sam, opuścił parkiet. Jak mógł być taki głupi? Jak? Oczywiście z powodu Kat. Cholerna baba! Zaciśnął pięści w bezsilnej złości. Musi się stąd wyrwać.

Jason z drinkiem w dłoni - czysty bourbon, bez żadnych dodatków - znalazł brata opartego o jeden z filarów przy drzwiach wejściowych, samotnie planującego ucieczkę.

- Nie pozwól jej się do siebie zbliżyć - poradził.

- Komu?

- Kat. - Jason pociągnął ze szklanki i uśmiechnął się do Zachary'ego.

- O czym ty mówisz? - spytał Zachary, starając się nadać głosowi możliwie nonszalanckie brzmienie.

Jason wzruszył ramionami i wskazał ruchem głowy parkiet.

- Widziałem to małe przedstawienie przed chwilą.

Zach zaciśnął zęby.

- Boże, to naprawdę suka. - Jason palcami przecesał gęste kasztanowate włosy. - Dobrze widzę, o co jej chodzi. Widziałem, jak cię chciała podejść. Prawie rozłożyła przed tobą nogi. - Pociągnął ze szklanki i spojrzął na Kat i Witta. - Ona prowadzi jakąś grę.

Zach poczuł, że mięsień z prawej strony twarzy zaczął mu drgać, ale nie był w stanie opanować tiku.

- Zrobiła to celowo, wiesz. Postanowiła doprowadzić cię do szaleństwa, co zresztą, muszę przyznać, udało jej się w stu procentach.

- Nienawidzę jej.

- Jak my wszyscy - odparł Jason, nie spuszczając oczu z tańczącej Kat. - Ale to prawdopodobnie najbardziej pociągająca kobieta na tej planecie. Ludzie opowiadają o seksapilu Raquel Welch czy Ursuli Andress tylko dlatego, że nie znają naszej macochy. Ciekaw jestem, jaka jest w łóżku.

- A ja nie - burknął Zachary, bojąc się nawet spojrzeć na tańczący przedmiot ich rozmowy.

- Jasne, że tak. Każdy facet tutaj chciałby uszczknąć coś dla siebie z naszej Kat. - Jason objął Zacha. - Ale ona nie

zaczyna z nimi swoich gierk. Z jakichś względów wybrała ciebie. Gdybym nie znał sytuacji, pomyślałbym, że się na ciebie napaliła.

- O Jezu! Chyba zwariowałeś! - wykrzyknął Zach, ale podskoczyło mu serce.

- Nie mam pewności. Ale koło mnie Kat nie kręci się tak jak koło ciebie. Widziałem, jak ci się przyglądała, kiedy nikt nie patrzył. Rany, to było gorące!

- Przestań.

- Wiesz, że nie wolno ci się z nią zadawać. Gdyby ojciec się dowiedział...

- Daj spokój, Jason - przerwał mu Zach, nagle zły. Najpierw Katherine, a teraz jego brat. - Nie mam zamiaru się z nią zadawać.

Jason wzruszył ramionami

- Wszyscy zawsze twierdzili, że jesteś inny, i myślę, że Kat postanowiła się o tym przekonać.

- Boże, Jason! Posłuchaj, co mówisz! To jest chore!

- Wiesz, co powinieneś zrobić?

Zach nie odpowiedział.

- Idź i prześpij się z kimś. - Przysuwając się bliżej, Jason wycelował palec w grupkę nastolatków uczesanych w niemal jednakowe koki i umalowanych zgodnie z radami zamieszczonymi w magazynie „Seventeen”. W porównaniu z Katherine wydawały się młode, głupie i... zdesperowane. - Ale nie z Kat. Stary wyprułby z ciebie flaki, gdyby się dowiedział. Za to Alicia Kramer jest na ciebie tak napalona, że już nie może wytrzymać. Założę się, że robi się mokra, jak tylko na ciebie popatrzy.

- Przestań - syknął Zach, ale Jason tylko się roześmiał zadowolony, że jego słowa wywołały tak gwałtowną reakcję.

- Mówię ci, wejdiesz w nią jak w gorący pudding.

- Chryste, przestań już! - Zach spojrzał w stronę Alicii i napotkał jej pełen nadziei wzrok. Alicia była drobną dziewczyną o dużych piersiach i brzydkiej cerze ukrytej pod grubą warstwą makijażu. Miała ładne proste zęby dzięki noszonemu od kilku lat aparatowi ortodontycznemu. Nie była brzydka. Zachichotała i splonęła rumieńcem, kiedy Zach na nią spojrzał. Zacha jednak nie interesowała córka bogatego bankiera. W porównaniu z Kat Alicia była nieopierzonym dzieciakiem.

- Jest tak napalona, że z trudem powstrzymuje się, żeby nie wyskoczyć z sukienki. Słuchaj, z własnego doświadczenia wiem, że dziewczęta Kramerów mają duży temperament. Myślę, że Alicia zapewni ci niezapomniane przeżycia.

- Nie, dziękuję.

- Mówię ci, braciszku, już najwyższy czas. Mogę cię umówić z...

- Zapomnij, Jason.

Jason ścisnął go za ramię.

- Naprawdę, Zach. Wiem, jak się czujesz - jak beczka prochu gotowa w każdej chwili eksplodować. Wierz mi, długo tak nie wytrzymasz. - Zniżył głos. - Znam pewną dziewczynę... cóż, kobietę, która... która wie, jak sprawić przyjemność mężczyźnie. Czeka na mnie dziś w nocy.

- Dziwka? Mówisz o jakiejś prostytutce? - spytał Zach zaskoczony i trochę zaintrygowany. Jason zna prawdziwą prostytutkę? Do diabła!

Brat ujął go pod ramię i odprowadził na bok, w pusty kąt sali, z dala od gości i zastawionych stołów.

- Tylko posłuchaj. Ta dziewczyna, Sophia... wierz mi, spodoba ci się. To miła osoba.

Zach przełknął ślinę.

- Miłe osoby nie są kurwami.

- Wiem, co mówię. To nie żadna ulicznica. Robi to, bo lubi. Zawsze jest gotowa.

- O Boże...

- Jest ładna i czysta i robi tylko to, czego będziesz chciał. Możesz pieprzyć ją całą noc, ale jeśli będziesz wolał się wygadać... ona cię wysłucha. Naprawdę. Wszystko zależy od ciebie. - W głosie Jasona było słychać braterską troskę.

Zach wiedział, że powinien zmyć się stąd jak najszybciej, ale nie był w stanie się ruszyć. Miła dziwka z powołania. Czeka na Jasona? Będzie tylko słuchać?

- Wiem, że nie zawsze dobrze się między nami układało, ale znam cię, więc, na Boga, posłuchaj mnie choć ten jeden raz. Potrzebujesz kobiety. Bardzo. I to nie może być Kat. - Jason sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd klucz do hotelowego pokoju. Wcisnął małe metalowe kółko w spoconą dłoń Zacha. - Trzy przecznice stąd hotel „Orion”. Sophia. Nie martw się o pieniądze. Wszystko już załatwione.

- Ale ja nie chcę...

- Wyświadczyć sobie przysługę. Zapomnij o Kat. Prześpij się z kimś. - Jason uśmiechnął się przyjaźnie i ruszył w stronę baru, zostawiając Zacha z kluczem w ręce. Zachary przełknął ślinę, otworzył dłoń i spojrzał na klucz do pokoju trzysta siedem, klucz do swej męskości, do wolności od Kat.

Uświadomił sobie nagle, że każdy z gości mógł podsłuchać jego rozmowę z Jasonem. Wsadził ręce głęboko w

kieszenie, zastanawiając się, kto jeszcze widział jego upokorzenie na parkiecie. Kto jeszcze poza ojcem i bratem widział, jak usta Kat dotknęły jego ucha, a jego niezgrabne spocone palce sunęły w dół jej pleców, by wślizgnąć się pod suknię i złapać za jeden z tych sprężystych pośladków? Boże, musi przestać myśleć o takich rzeczach! Klucz ciążył mu w kieszeni.

Orkiestra przeszła do *For He's a Jolly Good Fellow*. Myślami krążąc wokół tajemniczej Sophii, dziwki o wielkim sercu, Zach patrzył na ogromny tort w kształcie choinki, który wjeżdżał właśnie do sali. Pięćdziesiąt świeczek otaczało tort jak łańcuch bożonarodzeniowe drzewko. Małe światełka migotały, dopóki Witt, z pomocą Katherine i London, nie zdmuchnął ostatniego z nich.

Rozległ się śmiech i oklaski i Witt, jak pan młody, odciął duży kawałek tortu i podał go żonie. Wśród radosnych okrzyków gości Kat odwdzięczyła mu się, po czym, spoglądając zalotnie na męża, oblizwała palce. Zachowi zrobiło się słabo.

Kiedy London została w końcu odesłana na górę do jednego z apartamentów zarezerwowanych dla Danversów, Witt był już trochę wstawiony. Popatrzył twardo na Zacha i nawet z tej odległości Zach dostrzegł w oczach ojca ostrzeżenie. Serce w nim zamarało. Wiedział, że Witt na pewno nie zapomni o tym, że młoda żona flirtowała z jego synem. Nic nie umknęło jego uwagi i prędzej czy później przyjdzie za wszystko zapłacić. Zach miał już na plecach kilka śladów po ojcowskim pasie. Jutro o tej porze będzie ich pewnie trochę więcej, a w każdym razie na pewno zostaną mu ślady na psychice, niezatarte wspomnienia gniewu i upokorzenia. Witt Danvers potrafił być brutalny. Nie oszczędzi uczuć Zacha. Postara się, żeby jego zbuntowany syn dowiedział się, jak bardzo zawiódł ojca i że nigdy do niczego w życiu nie dojdzie. Zach znał to na pamięć.

Zresztą co go obchodzą pretensje starego?

Przez spodnie wyczuł mały twardy kształt przyciśnięty do jego uda.

Witt i Katherine znowu zaczęli tańczyć. Uwagę ojca zupełnie pochłonęła młoda żona. Zach natychmiast skorzystał z okazji i nie oglądając się za siebie, szybko minął grupę roześmianych gości. Z sali balowej wyszedł na podest wielkich hotelowych schodów. Tam zatrzymał się na moment, by złapać oddech i opanować lekkie zawroty głowy spowodowane zbyt dużą ilością szampana.

Co właściwie ma zamiar zrobić? Nie może przecież tak po prostu opuścić przyjęcia. Ojciec będzie wściekły.

Jeszcze bardziej wściekły. I dobrze.

A może będzie się martwił, co się stało z jego drugim synem.

Obawiając się, że za chwilę zmieni zdanie, Zach chwycił poręcz i szybko ruszył w dół.

- Cześć, Zach. Gdzie idziesz? - Nelson, jego młodszy brat, siedział na poręczy schodów. Miał czternaście lat, ciemnoblond włosy spadały mu na oczy. Uwielbiał swojego starszego brata.

- Nie teraz - warknął Zach. Uwielbienie brata było mu tak potrzebne do szczęścia jak pogarda ojca.

- Ale...

- Po prostu nic nikomu nie mów, dobra?

Zach nie widział powodu, dla którego miałby wtajemniczać smarkacza w swoje plany. Nelson przez chwilę usiłował dotrzymać mu kroku, w końcu jednak dał za wygraną. Zach, nie zwracając więcej na niego uwagi, przeszedł hol. Minął po drodze wielkie fotele klubowe przy kominku, recepcję i potężne palmy w donicach. Szedł szybkim zdecydowanym krokiem, starając się nie myśleć o tym, co zrobi ojciec, gdy odkryje, że go nie ma.

Na zewnątrz była gorąca, parna noc. Zapach rzeki, stęchły i rybi, unosił się w powietrzu, kleił do skóry, przesiąkał ubrania. Zach zdjął marynarkę i ruszył na północ, starając się zapanować nad ogarniającym go zdenerwowaniem.

To, co planował zrobić, było czystym szaleństwem, ale wypił tyle szampana, że czuł się odważniejszy niż zazwyczaj. Nawet jeśli stary się dowie, co z tego? Co mu zrobi? Wyrzuci go z domu Danversów i zmusi, żeby zamieszkał z matką? No, to rzeczywiście byłoby przykre.

Gdzieś w głębi duszy Zach ciągle kochał kobietę, która wydała go na świat, ale ona nie zasługiwała na miłość, nie po tym, jak ich wszystkich porzuciła. Zostawiła ich samych w wielkim domu na wzgórzu, tylko z Wittem. Zach dobrze znał tę historię. W punkcie kulminacyjnym Witt nakrył żonę w łóżku z najbardziej zniechęconym rywalem Anthonym Polidorim. Sypiała z nim od lat. Nie miała wyboru. Gdyby nie zaakceptowała warunków rozwodu podyktowanych przez Wittę, on wywłóczyłby ten niechlubny fakt w sądzie i mediach. Tak więc Witt dostał dzieci i lwią część majątku, a jej pozostały alimenty. Dzięki temu jednak uniknęła skandalu oraz roztrząsania kwestii cudzołóstwa na sali sądowej. Jej pozycja społeczna nie ucierpiała na rozwodzie w żaden sposób, czego nie można niestety powiedzieć o dzieciach.

Do swojego ojca Zach odnosił się z pogardliwą niechęcią, ale głęboko skrywanym respektem darzył Wittę Danversa biznesmena i władzę, jaką miał nad ludźmi i miastem.

Na myśl o swojej matce, kobiecie, która zhańbiła ojca i rozdarła jego duszę, Zach odczuwał głównie ból i gniew. To Eunice zraniła dumę Wittę Danversa, co pchnęło go w końcu w ramiona Katherine LaRouche spotkanej w hotelu „Empress” w Wiktorii, w Kolumbii Brytyjskiej. Katherine miała uleczyć ból zadany przez Eunice, szanować go i być mu wierną. Witt poślubił ją w ciągu zaledwie tygodnia. Dzieciom powiedział krótko, że jego wybranka pochodzi ze znanej i bogatej rodziny w Ontario, że jest dwadzieścia lat od niego młodsza i że ją kocha. Że odtąd

będzie ich nową matką.

Rodzina była w szoku, prawnicy Danversów bliscy apopleksji, ale było już za późno. Katherine LaRouche - kimkolwiek była - udało się zostać żoną najbogatszego człowieka w Portland. Wydawało się - przynajmniej na początku - że mimo wszystko jest właściwą osobą do tej roli. Teraz jednak, patrząc na to z perspektywy czasu, Zach widział dokładnie, jak jej stosunek do niego zmieniał się niemal niedostrzegalnie na przestrzeni lat. Kiedy dorósł, często miał wrażenie, że macocha przygląda mu się jakoś inaczej, czuł na sobie jej wzrok, ilekroć był bez koszuli, gdy pływał czy jeździł konno w starych, obciętych powyżej kolan dżinsach. Im bardziej mężniał, tym większym zainteresowaniem darzyła go Katherine.

Mówił sobie, że to tylko jego wyobraźnia, że to świeżo zdobyta świadomość własnej męskości zmieniła jego percepcję, ale teraz nie był już tego taki pewny. Słowa Jasona potwierdziły tylko jego podejrzenia.

Westchnął i potrząsnął głową. Wsadził rękę do kieszeni, namacał klucz i nagle obleciał go strach. A co, jeśli pójdzie do hotelu „Orion”, zastuka do drzwi, a w nich stanie stara, śmierdząca wiedźma bez zębów? Albo mężczyzna? Jakiś pedał przebrany za dziwkę? O Jezu! A może to pułapka, chore poczucie humoru Jasona?

Zach zacisnął zęby i rozejrzał się podejrzliwie wokół. Był już pod hotelem. Wyglądało na to, że jednak nikt go nie śledził, a w każdym razie nikogo nie zauważył. Anonimowość dodała mu odwagi. Wszedł na wiodące do wysokiego budynku schody zalane światłem neonów. Hotel „Orion” wznosił się nad nim, jaśniejąc na tle czarnego nieba.

Po chwili wahania Zachary zacisnął usta, wyprostował się dumnie i zdecydowanym ruchem pchnął drzwi wejściowe. Doszedł do wniosku, że już najwyższy czas stać się mężczyzną.

2

Korytarz hotelowy był pusty i zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Na podłodze leżał złotawy dywan, a metalowe drzwi pomalowano tak, by wyglądały na drewniane. „Orionowi” brakowało szyku i uroku hotelu „Danvers”, ale Zach nie zwrócił na to uwagi. Zwalczył w sobie nagłą chęć, by niczym pies podkulić ogon i rzucić się do panicznej ucieczki. Chwilę stał w drzwiach, a kiedy w końcu zamknęły się za nim, ruszył z mocno bijącym sercem do pokoju trzysta siedem. Do Sophii. Naprzeciw swojemu przeznaczeniu.

Odnalazł właściwy pokój i nie czekając, aż znowu straci odwagę, mocno zastukał do drzwi.

- Otwarte - odpowiedział młody kobiecy głos.

Chryste! Przez moment Zach miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Spoconą dłonią ujął gałkę i otworzył drzwi.

Kobieta leżała tyłem do niego, zmysłowo rozciągnięta w poprzek łóżka. Miała na sobie tylko czarny stanik i koronkowe czarne pończochy na seksownym czarnym pasku. Zach spojrzał na dołeczki w krągłych pośladkach, smukłe uda i poczuł suchość w ustach.

- Spóźniłeś się - powiedziała z nutą łagodnego wyrzutu, nie odwracając się.

Zach nie mógł złapać oddechu, czuł ucisk w piersi i nagle wydało mu się, że ma za ciasne spodnie.

Odwracając się powoli, kobieta ukazała pełne piersi osłonięte satyną kilka rozmiarów za małego stanika i uśmiechnęła się ślicznie. Uśmiech jednak znikł z jej twarzy, gdy tylko napotkała wzrok Zacha.

- Kim jesteś? - zapytała przerażona. - Wynoś się! - Rozejrzała się wokół, jakby szukała broni albo czegoś, czym mogłaby się okryć. - Słyszałeś? Wynocha!

Złapała różowy jedwabny szlafroczek, gorączkowo próbując trafić drżącymi rękami w rękawy.

- Przysłał mnie Jason.

Kobieta znieruchomiała.

- Akurat - mruknęła z niedowierzaniem.

Szlafroczek był okryciem raczej symbolicznym. Zach nie mógł oderwać wzroku od zmysłowej szparki między jej piersiami. Czuł, jakby miał kulę w gardle, i kiedy się odezwał, modlił się, żeby nie skrzeczeć.

- Jason jest ciągle na przyjęciu u ojca i...

- U ojca?

- Jestem jego bratem. Nazywam się Zachary. - Odruchowo wyciągnął rękę, wiedząc, że to błąd. Ze wstydu chciał paść trupem. To prawdziwa dziwka, a on stoi tu, drżąc, jękając się, nie mając o niczym pojęcia. Prawiczek! Na pewno od razu to wyczuła.

Kobieta nadal przyglądała mu się podejrzliwie.

- Nie jesteś do niego podobny.

Jasne. Refren jego życia.

- Wiem. - Nie ruszył się.

- Zamknij te cholerne drzwi.

Zach zatrzasnął je nogą, ale nie przekręcił klucza w zamku.

Dziewczyna przesunęła się w stronę wezgłowia łóżka, szczerzej otulając szlafroczeniem opalone ciało, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

- Po co cię tu przysłał? - odgarnęła z twarzy czarne włosy. - Jezu, ale mnie wystraszyłeś.

- Nie chciałem.

- No, dobra, wchodź - powiedziała wyraźnie zaintrygowana.

Powoli, w obawie, że jeśli wykona jakiś gwałtowniejszy ruch, ona ucieknie, krzyząc, że ją gwałcą, Zach ruszył po wyłożonej pomarańczową wykładziną podłodze i usiadł w nogach łóżka.

- Jason cię przysłał? - spytała i wzięła zmiętą paczkę papierosów z nocnego stolika, na którym stała jeszcze szklanka z niedopitym drinkiem. Drżącymi palcami wyluskała z pudełka pali małą bez filtra, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do papierosa. Pomachała, dłonią, by zgasić zapałkę, zaciągnęła się głęboko i nie wyjmując papierosa z wilgotnych różowych ust, wypuściła dym nosem. Z dolnej wargi zdjęła kawałek tytoniu. - Dlaczego?

- Bo on... on... musiał zostać dłużej. Ojciec go potrzebował.

W odpowiedzi dziewczyna uniosła tylko jedną brew i zaciągnęła się ponownie. W końcu wyjęła papierosa spomiędzy warg.

- A ciebie nie? - spytała.

- Jason jest najstarszy - odparł Zach, jakby to wszystko wyjaśniało. Bo wyjaśniało. Przeznaczeniem Jasona, od dnia, w którym przyszedł na świat, było zostać dziedzicem fortuny Danversów. Fakt, że Witt spłodził drugiego syna, niczego nie zmienił.

Prostytutka uśmiechnęła się.

- Więc jest ulubieńcom starego.

- Nie, to London jest jego ulubienicą.

- Ach, tak. Jason o tym wspominał. Ta mała. Ile ona ma lat? Trzy?

- Cztery, prawie pięć. - Zach nie bardzo wiedział, jakie to ma znaczenie, zwłaszcza w tej sytuacji. W pokoju hotelowym rozmawiał kulturalnie z prostytutką o swojej przyrodniej siostrze. Cóż, Jason uprzedził go, że ona lubi gadać. Zach jednak liczył na bardziej zmysłową rozmowę.

Sophia umieściła papierosa w popielniczce i wzięła do ręki drinka. Zamieszała topniejące kostki lodu długim, pomalowanym na fioletowo paznokciem i przesunęła wzrokiem po ciele Zacha, od na wpół rozpiętej koszuli aż po potargane przez wiatr włosy.

- Jason chciał, żebyś zajął dziś jego miejsce?

- Tak... chyba tak.

Sophia pociągnęła duży łyk ze szklanki i oblizała pełne wargi.

- Jesteś prawiczkiem, Zachary?

To pytanie było jak nagły piekący policzek.

- Oczywiście, że nie.

- Hm, więc miałeś już... wiele kobiet? - Znowu podniosła szklankę do ust, skrywając uśmiech.

- Kilka - odpowiedział, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że oboje wiedzą, jaka jest prawda. Do diabła, co można powiedzieć prostytutce, która zadaje takie pytania?

- A robił ci już ktoś łaskę?

Zach zadrzał. Czy ona mówi poważnie, czy tylko się z nim droczy? Spojrzał w jej czarne oczy, szukając w nich drwiny.

Znowu zaschło mu w gardle, kiedy zobaczył, jak Sophia odstawia szklankę na stolik. Rozchylone poły szlafrocza odsłoniły piersi. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Czuł, jak twardnieje, ale tym razem nie próbował ukryć erekcji. Szlafrok zsunął się jej z ramion. Skóra Sophii wyglądała na miękką i gładką.

- To co robimy? - zapytała, kładąc się na plecach. Różowy szlafrok, zupełnie rozchylony, odsłonił prężne ciało. Nie odpowiedział, więc przysunęła się bliżej: najpierw zbliżyła do niego stopy, a potem nogi i pośladki, ściągając narzutę. Jej oczy błyszczały pożądaniem, były jak ciemne lustra odbijające jego męki. Zdawało mu się, że kobieta przejrzała go na wskroś, że zna wszystkie jego kłamstwa. Ukłękła przed nim na łóżku i dotknęła czołem jego czoła. Poczul delikatny zapach perfum, dymu papierosowego i burbona.

- Nie masz zamiaru się odzywać, co? Dobra. Powiedz tylko, jeśli zrobię coś, co ci się nie spodoba.

Przywarła do niego całym ciałem, zbliżając gorący język do jego ucha. Zach jęknął. Wybrzuszenie między nogami zaczęło go boleć i kiedy przesunęła po jego uchu językiem, przestraszył się, że zaraz spuści się w spodnie i skompromituje do końca.

- No dalej, skarbie, na co czekasz? - szepnęła miękko. Temu zaproszeniu nie sposób było się oprzeć. Zach chwycił ją gwałtownie w ramiona i przycisnął wargi do różowych pełnych ust, rozmazując jej szminkę po twarzy. Pchnął ją na łóżko i rzucił się na nią. Chciał poczuć ją pod sobą. Podniósł się, zdarł z niej szlafrok i spojrzał na piękne, osłonięte tylko koronką stanika piersi.

- Grzeczny chłopiec - mruknęła zadowolona. Ciemne krągłe sutki zdawały się zapraszać jego dłonie i usta. Zachary niemal stracił panowanie nad sobą.

Potał brodawkę kciukiem, Sophia uniosła się, ocierając ciemnym, nagim brzuchem o jego dzinsy. Jej palce odnalazły guziki jego koszuli i twarde młode ciało pod ubraniem. Podniosła się trochę i figlarnie pociągnęła go za rzadką kępkę włosów na piersi. Zachary zatracił się zupełnie pod dotykiem jej dłoni. Już wcześniej kręciło mu się w głowie od szampana, ale teraz pokój zdawał się wirować, jakby świat zadrzał pod dotykiem jej palców i

gorącego, wilgotnego języka. Jęknął, kiedy zsunęła się niżej. Nagle zatrzymała się i zeszywniała ze wzrokiem wbitym w drzwi. Zach wyczuł kłopoty. Otworzył oczy i zobaczył przerażenie na jej twarzy. Sięgnął do rozporoka. Drzwi, otwarte z rozmachem, uderzyły o ścianę. Sophia krzyknęła przeraźliwie, chcąc uciec z łóżka.

- Nie! Nie! - krzyczała, próbując go odepchnąć.

Zach, wciąż zdezorientowany, spozjrzał na drzwi. Przez chwilę nie mógł się ruszyć, ale Sophii udało się w końcu od niego odsunąć.

W drzwiach stało dwóch mężczyzn. Ich sylwetki były doskonale widoczne na tle wpadającego z korytarza światła. Jeden był wysoki i ciemny, miał brzydkie zęby i tłuste włosy, drugi, mały i grubawy, miał złamany nos i ospowatą cerę.

- Wynoście się stąd - rzucił Zach.

Mężczyźni ani drgnęli.

- Powiedziałem...

- Zamknij się! - uciał wysoki, wchodząc do pokoju.

Drugi spojrzął na Sophię i kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

Zanościło się na bójkę. Zachary zerwał się na równe nogi. Stał między łóżkiem a dwoma intruzami. Z jednej strony czuł, że powinien bronić kobiety, z drugiej marzył, by jak najszybciej wydostać się z tego pokoju. Na razie stał nieruchomo, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Dzwon po ochronę - polecił Sophii.

- Danvers? - spytał niższy. Zach dopiero teraz zauważył, że mężczyzna miał długie do ramion brązowe włosy.

- Tak... o co chodzi? - Zachary ścierpł. Znał jego nazwisko. Ale skąd? Dziwka! To musi być jakiś spisek!

Sięgnął do telefonu, ale wysoki uprzedził go, jednym celnym kopniakiem usuwając aparat poza jego zasięg.

- Co jest...

Zach rzucił się do drzwi, było już jednak za późno. Ze zwinnością dzikiego kota wysoki mężczyzna złapał go za ramię i wykręcił je do tyłu. Zach skrzyknął się cały i zaklął.

- Zamknij mordę!

Zach wierzgnął, trafiając napastnika w gołeń obcasem. Mężczyzna aż syknął.

- Ty sukinsynu! Ty wstrętny gnojku! - Z nieludzką siłą szarpnęła ramieniem Zacha w górę. Zach usłyszał chrzęst i jego rękę przeszył palący ból.

- Pomóż mi, Rudy!

Kątem oka Zach dostrzegł, że skulona na łóżku i bardzo blada Sophia próbuje dosięgnąć zwisającej słuchawki telefonu.

- Nic z tego, siostrzyczko - rzucił mniejszy facet. Rudy, i wyrwał sznur z gniazodka.

- Proszę - Sophia zaczęła płakać.

- Zamknij się! - wrzasnął większy.

Zach skorzystał z chwili nieuwagi i kopnął go jeszcze raz.

- Puszczaj!

- Nic z tego, Danvers. Za daleko się posunąłeś. - Oprawca z szyderczym uśmiechem pociągnął ramię Zacha w górę i w bok. Zach miał wrażenie, że umiera. Zaczął krzyczeć z bólu.

- Chcesz go zabić, Joey? - warknął Rudy.

- Może - odparł spokojnie Joey i z całej siły uderzył Zacha w twarz wielką pięścią.

Gdzieś w głębi czaszki Zacha eksplodowała bomba bólu, a jego twarz w ciągu sekund załapała się krwią, która zaraz zaczęła spływać mu na koszulę. Czerwone kropelki opryskały też Rudy'ego.

- Hej, uważaj. - Rudy przez chwilę przyglądał się uważnie twarzy Zacha, a potem spojrzął na kumpla. - Cholera! Słuchaj, to chyba nie ten facet. Nie wygląda jak...

- To pomyłka - szlochała Sophia, otulając się kołdrą. Drżała na całym ciele.

- Nie sądzę. - Joey nie był przekonany. - Bierzmy się do roboty, Rudy. Dość zabawy.

Zachary resztką siły spróbował dopaść drzwi. Kątem oka zobaczył, że Rudy sięga do kieszeni. W świetle lampy srebrne ostrze załśniło złowieszczo. Zacha sparaliżował strach. Usłyszał charakterystyczny szczęk i prawie zsiadł się ze strachu. Nóż sprężynowy!

- Dobra. Załatw go - polecił Joey.

Zach czuł jego oddech na swoim policzku.

- Nie! - Zach odzyskał zdolność ruchu. Zaczął miotać się rozpaczliwie w nadziei, że jego oprawca straci równowagę

- Powiedziałem, załatw go! - wrzasnął Joey.

Nóż Rudy'ego przeciął powietrze.

Sophia krzyknęła. Zach zrobił unik, ale poczuł, że ostrze weszło w skórę nad uchem. Niemal stracił przytomność z bólu.

- Nie! - Krew z rany zalewała mu oczy.

- To nie ten facet. - Rudy otarł ostrze o spódnie. - Widziałem Danversów i...

- No i co z tego? Poza tym powiedział, że nazywa się Danvers.
- Cholera!
Oszalały z bólu i strachu Zach kopał na oślep.
- Kogo obchodzi, kto to - zgodził się w końcu Rudy. Nóż wszedł w ramię Zacha jak w masło. Ból stawał się nie do zniesienia. Zachary'emu zrobiło się ciemno przed oczami. Krwawił i czuł się coraz słabszy. Zabiją mnie, pomyślał, zarzną jak psa. Próbował jeszcze walczyć, ale nie miał już sił.
- Powiedział, że nazywa się Jason Danvers, więc skończmy z nim i spadajmy - postanowił Joey.
Jason? Oni myślą, że nazywa się Jason?
- Zachary. - Zach wypluwał słowa i krew ze spuchniętych ust z największym wysiłkiem. - Jestem... Zachary... Zachary Danvers...
- On mówi prawdę. - Po trupiobiałej twarzy Sophii płynęły łzy. - To nie Jason! Na litość boską, zostawcie go w spokoju!
- Nie Jason? - powtórzył Rudy. - Wiedziałem!
- Cholera. - Joey puścił Zacha i wyciągnął nóż z jego ramienia. Rana piekła, paliła żywym ogniem. Zach opadł na podłogę i nie był w stanie podnieść się z lepkiej kałuży krwi zbierającej się pod nim.
- Mówiłem ci, że to nie ten facet. Do diabła, człowieku, czemu ty nigdy nie słuchasz? - syknął Rudy ze złością. Wskazał na łóżko, gdzie ciągle kulila się przerażona Sophia. - Włóż coś na siebie i zabieraj się stąd.
- Ale chłopak... - szepnęła.
- Przeżyje - mruknął Rudy, obrzucając Zacha przeciągłym, ponurym spojrzeniem. Znow popatrzył na prostytutkę.
- A ty zabieraj stąd swój śliczny tyłeczek, chyba że masz zamiar tłumaczyć się policji, co robiłaś w pokoju z na wpół żywym synem Witta Danversa.
Nie odchodził, próbował poprosić Zach, ale słowa nie mogły wydostać się z jego ust. Patrzył tylko na trzy pary mijających go stóp - jej małe i białe i dwie pary w ciężkich butach. Gruby dywan tłumił odgłos ich kroków i chłonał jak gąbka jego krew. Zdołał unieść trochę głowę.
- Skurwysyn! - Zobaczył czarny but zbliżający się do niego z ogromną szybkością, poczuł kopnięcie w podbrzusze i zwinął się z bólu. Żółć podeszła mu do gardła.
- Uspokój się, Danvers. Przeżyjesz.
Zach próbował walczyć z ogarniającą go ciemnością, otwierał szeroko oczy, żeby nie stracić przytomności. Jak przez mgłę widział, że drzwi pokoju numer trzysta siedem otwierają się i znowu zamykają, a potem otoczyła go miękka czarna pustka.

Katherine nie czuła nóg, bolała ją głowa, a oczy piekły od nadmiaru dymu papierosowego. Przyjęcie było bardzo udane i Witt, nawet jeśli się czegoś wcześniej domyślał, znakomicie odegrał zdumienie i zachwyt.

Kat siedziała na krześle koło pustej teraz sceny. Zdjęła jeden ze swych wysokich pantofelków i masowała stopę. Podłoga była zasłana kolorowymi śmieciami.

Zbliżał się świt, daleko na wschodzie niebo nieznacznie pojaśniało, ale wciąż jeszcze kilku gości ociągało się z odejściem, rozmawiając, śmiejąc się i nawołując.

- Chodźmy na górę - powiedziała Kat do męża, wkładając bucik z powrotem na stopę. - London wstanie, zanim zdążymy zamknąć oczy. - Wstała i przeciągnęła się świadoma faktu, że nawet po nieprzespanej nocy, z potarganymi włosami i przyblakłym makijażem jest piękna i zmysłowa. Także tej nocy tęskny wzrok niejednego mężczyzny przesuwiał się po jej ciele.

Witt, który od wielu godzin pił jeden kieliszek szampana za drugim, ziewnął i objął żonę muskularnym ramieniem. Był potężny jak niedźwiedź i Kat zachwiała się pod jego ciężarem, a także dlatego, że sama tej nocy sporo wypila.

Wieczorem szykowała się na przyjęcie i wybierała suknię z zamiarem uwiedzenia męża, choćby miało ją to wiele kosztować, ale teraz była zmęczona, bolały ją nogi, dudniło w głowie i miała ochotę tylko na jedno - długi sen w wygodnym łóżku.

Podeszli razem do windy. Przez kilka godzin ich goście, elegancko ubrani i obwieszeni drogocenną biżuterią, nie pamiętali o polityce, prezydencie i oplakany stan gospodarki. Nawet Witt przestał w kółko gadać o przemyśle drzewnym. Chwała Bogu, bo rozmowy o nowych technologiach, cenach paliwa i podobnych rzeczach śmiertelnie ją nudziły.

Z cichym szumem winda ruszyła w górę i zatrzęsła się lekko chwilę potem, stając na siódmym piętrze.

- Chodź, mój solenizancie - powiedziała, wciąż lekko go podtrzymując.

Ruszyli w stronę apartamentu, z którego okien rozciągał się widok na rzekę. Kat otworzyła drzwi i zapaliła światło. Nawet nie spojrzała w okno. Podprowadziła Witta do ogromnego łóżka, posłanego już przez pokojówkę. Zwalił się na przykryty satyną materac jak kłoda.

- Chodź tutaj - wyciągnął rękę do żony zasłaniającej okna.

- Masz ochotę? - zachichotała Kat figlarnie.

- Na ciebie zawsze - wymruczał z przekonaniem. - Kocham cię, Katherine. Dziękuję.

Kat poczuła, że łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się od okien. Odwzajemniała jego uczucia.

- Ja też cię kocham, skarbie.

- Żałuję, że nie mogę... to znaczy...

- Cśś. To nie ma znaczenia - powiedziała. W tej chwili rzeczywiście tak myślała.

Seks jest ważny, ale nie tak cenny jak miłość. Kat mogła znaleźć seks zawsze i wszędzie, ale wiedziała, jak skąpo ludzie dozują uczucia. Pochyliła się nad Wittem, połaskotała go filuternie włosami i pocałowała w policzek.

- Zaraz wracam. Sprawdź tylko, co u London.

- Ja też. - Zamglone oczy Witta oprzytomniały trochę na myśl o małej.

Kat westchnęła. Sama uwielbiała London, ale jakaś jej część była odrobinę zazdrosna o uwagę, jaką mąż poświęcał swej najmłodszej córce - ich jedynemu dziecku. Witt usiadł na łóżku, a Kat otworzyła drzwi, wpuszczając trochę światła z apartamentu do pokoiku zajmowanego przez London i jej nianię.

W pierwszej chwili pomyślała, że zmęczone oczy płatają jej figła, że za dużo wypila i nie potrafi się skupić, ale kiedy weszła do pokoju, serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Drżącą ręką sięgnęła do włącznika. Białe światło zalało pomieszczenie.

Oba łóżka były puste, nietknięte. Na obu leżały wygładzone kołdry o jednakowo odgiętych rogach, na obu poduszkach leżały cukierki miętowe.

Przez chwilę Katherine nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

- London? - powiedziała w końcu słabo. Oparła się o framugę i zajrzała do otwartej toalety. W środku było pusto - żadnych ubrań, toreb, które były tu przedtem. Ani śladu London i Ginny.

O Boże, spraw, żeby to nie była prawda. Wróciła do pokoju. Czowała, jak przenikają lodowate zimno. Tylko bez paniki! London gdzieś tu jest. Musi być. Ale coś się stało. Zaczęła bać się nie na żarty, coraz bardziej.

- Witt? - zawołała, zdumiona spokojnym głosem. To na pewno jakaś pomyłka. Niania pewnie przeniosła się z London do innego pokoju, żeby zapewnić rodzicom małej więcej intymności. - Witt!

- Co takiego? - Witt podszedł do drzwi i oparł się o framugę. - Co się dzieje?

Kat przestała nad sobą panować. Nagle ogarnęła ją rozpacz.

- Dzwon po ochronę! Nie ma London i Ginny. Pewnie... pewnie są w innym pokoju. - Starła się uspokoić. - Ale i tak zawołaj ochronę i kierownika, na wszelki wypadek. - Zawsze tak trzeźwa i opanowana, odchodziła od zmysłów ze strachu o jedyne dziecko, ale starała się zachować rozsądek. To tylko nieporozumienie. Nic więcej. Nie ma powodu, żeby wpadać w histerię. Jeszcze nie. Tylko dlaczego tak trzęsą się jej nogi? O Boże, nie pozwól, żeby coś się stało mojemu dziecku!

Witt wszedł do pokoju, potknął się o dywan i zaklął. Zrozumiał, że jego dziecko rzeczywiście zniknęło, i zaczął ścierać pościel z łóżek, jakby mógł odszukać tam córkę lub jakiś ślad jej obecności.

- Zostaw to policji! - Kat rzuciła się ku niemu. - Zawołaj tę cholerną ochronę!

- Ona nie zginęła. - Witt nagle otrzeźwiał. - To niemożliwe. Jest w hotelu. W innym pokoju. - Otworzył drzwi na korytarz - Jason! Zach! Na litość boską, chodźcie tu! - Odwrócił się do żony. - Znajdziemy ją. I tę cholerną niankę. A jak je już znajdziemy, przysięgam, że Ginny Slade drogo mi zapłaci za ten dowcip.

Mówił spokojnie, ale był błąd jak ściana i Katherine widziała w jego oczach strach, że może już nigdy nie zobaczą córeczki żywej. Ogarnęło ją przerażenie. Miała wyrzuty sumienia. Kochała London całym sercem, ale teraz przypomniały jej się wszystkie chwile, kiedy była o nią zazdrosna. Zaczęła się zastanawiać, czy to nie kara. Nie wierzyła w Boga, ale... Żeby tylko nic jej się nie stało, proszę, proszę!

Wbiegła do małżeńskiej sypialni i drżącymi palcami wystukała numer.

- Mówi Katherine Danvers - powiedziała, zanim urzędnik zdążył otworzyć usta. - Proszę natychmiast przystać ochronę do pokoju siedemset czternaście. London zniknęła.

Witt odpiął dwa górne guziki koszuli i wyjrzał przez okno na miasto, które kochał, w którym czuł się tak bezpiecznie. Światła ulicznych latarni, drapaczy chmur i przejeżdżających samochodów wyglądały tak samo jak każdego niedzielnego ranka, ale teraz miasto wydało mu się groźne i złe. Portland - jego dom - zdradziło go.

Widział swoje odbicie w szybie, przejrzyste i blade na tle jaśniejącego nieba. Widział pooraną zmarszczkami ściągniętą twarz, błędny wzrok, obwisłe ramiona. W tej chwili wyglądał raczej na osiemdziesiąt niż na pięćdziesiąt lat.

Ktokolwiek odebrał mu dziecko, zapłaci za to słono. Jednak gdzieś w zakamarkach umysłu czaił się strach. A co, jeśli London nigdy nie zostanie odnaleziona?

Nie, nie będzie myślał o takich rzeczach. Oczywiście, że London się znajdzie. Cała i zdrowa. To w końcu London Danvers, na miłość boską. Ta kwestia dręczyła go nie mniej niż strata córki - ktoś ośmielił się wejść mu w drogę, ktoś, kto dobrze wiedział, jak go zranić, tak by wykrwawił się na śmierć.

Sięgnął po paczkę papierosów Virginia Slim należących do jego żony i zapalił jednego w nadziei, że nikotyna jakoś mu pomoże. Nie pomogła.

Odwrócił się od okna i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych członków rodziny, zmęczonych i błądzących, z podkrążonymi, wystraszonymi oczami. Stawili się wszyscy z wyjątkiem London. I Zacha.

Rozległo się donośne pukanie do drzwi.

- Policja, Danvers! Co się, do diabła, dzieje?

Jason otworzył drzwi i wpuścił Jacka Logana, który jeszcze kilka godzin temu był na dole na przyjęciu. Jack, zanim poznał Witta, był uczciwym gliną, teraz jednak siedział w jego kieszeni. Wraz z detektywem sierżantem Loganem do pokoju wkroczyło czterech innych policjantów.

- Odebraliśmy informację, że London została porwana. - Logan przeliczył szybko zgromadzonych i stwierdził, że brakuje nie jednego, ale dwojga Danversów.

- Tędy. - Witt zgasił papierosa i wskazał policji pokój London.

- Jezus, Maria - mruknął Logan pod nosem.

Pokojem zajęli się fachowcy, a Logan wrócił do apartamentu, gdzie wraz z sierżantem Trentem rozpoczął przesłuchanie.

Członkowie rodziny zostali dokładnie wypytni - każdy z osobna i wszyscy razem. Logan nikomu nie ufał. Podczas gdy policjanci kończyli robić notatki, Logan zażądał listy uczestników wczorajszego przyjęcia. Chciał nazwisk i numerów telefonów wszystkich gości, pracowników obsługi, członków orkiestry, firmy zajmującej się kwiatami i dostawców artykułów żywnościowych. Jaką agencję Katherine wynajęła do organizacji imprezy? Co z piekarzem i rzeźbiarzem w lodzie? Czy na przyjęciu byli jacyś dziennikarze albo fotoreporterzy?

Kim jest Ginny Slade? Skąd się wzięła? Czy ma rodzinę? Jakie przedstawiła referencje?

Co łączyło ją z Zachem?

- Nic! - powiedziała Katherine z naciskiem, ale znowu zaczęła tracić panowanie nad sobą. Niebieskie oczy w ciemnych obwódkach z rozmazanego tuszu patrzyły gniewnie na sierżanta. - Zacha nic nie łączyło z...

- Jego też nie ma, prawda? - odparował Logan. - Nie wiadomo, czy to tylko zbieg okoliczności.

- Na litość boską, on ma szesnaście lat. Jak mógłby być wplątany w coś takiego? Pewnie też został porwany - wtrącił Witt. Logan posłał mu wymowne spojrzenie.

- Ten chłopak od dwunastego roku życia sprawia kłopoty. Spójrz prawdzie w oczy. Ratowałem jego tyłek niezliczoną ilość razy.

- To nigdy nie było nic poważnego - odparł Witt spokojnie, ale poczuł strach. Logan może mieć rację. Zach miał na swoim koncie całkiem sporo i sprawiał wrażenie, jakby za nikim z rodziny specjalnie nie przepadał, nawet za London, choć ona bardzo go lubiła.

- Wiesz, kto za tym stoi, Logan. Aresztuj tego cholernego makaroniarza.

- Nie wiesz, czy to on.

- Dobrze wiem! - ryknął Witt. Zaczął sapać. Napięcie panujące w pokoju zaczęło mu się udzielać, czuł, że jeszcze chwila, a puszczą mu nerwy.

Logan wciąż patrzył na Witta jak na człowieka wymagającego pomocy medycznej. Żyłastą dłonią przecesał białe włosy. Twarz miał pomarszczoną i ogorzałą od wiatrów wiejących nieustannie nad wąwozem Columbia River. Po jego wschodniej stronie przez dziesięć lat uganiał się za przestępcami z bronią w ręku. Na dużym nosie widniały cienkie czerwone żyłki - efekt długotrwałego romansu z irlandzką whisky. Był twardy i kierował się w życiu zdrowym rozsądkiem. Trudno było znaleźć na niego haka. Wittowi przekonanie go, że można czasem nagiąć trochę przepisy czy wziąć łapówkę zabrało wiele lat. W końcu jednak nadarzyła się okazja, kiedy córka Logana Risa, narkomanka, wpadła w poważne kłopoty. Witt dyskretnie umieścił dziewczynę w prywatnej klinice i użył swych wpływów, by ta historia nie dostała się do mediów.

Od tego czasu miał w Leganie zaufanego przyjaciela i sojusznika, który zawsze mówił to, co myślał.

- Moim zdaniem Zach wie, co się stało z twoją córką, Witt. - Detektyw rzucił okiem na Kat, która zbladła jak ściana i wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. - Czy miał jakiś powód, żeby źle jej życzyć?

- To tylko chłopiec... - powiedziała słabo Kat.

- Więc może chciał was nastraszyć?

- Nie, do cholery! - rzucił Witt, choć oblał go zimny pot. Nigdy nie mógł się dogadać z Zachem. Żyli jak pies z kotem od lat. Fakt, że Zach był tak zupełnie niepodobny do nikogo z rodziny, wzbudzał pewne podejrzenia. Krążyły plotki, ohydne plotki, że Zach nie jest jego synem. A teraz jeszcze ten problem z Kat... Witt widział, jak tańczyła ze swoim pasierbem, ciągnęła go na parkiet, szeptała mu czule słówka do ucha, żeby go potem zawstydzić. Może z zemsty... Nie, do diabła! Zach był jedynym jego dzieckiem, które zdawało się lubić London. Poza tym on ma dopiero szesnaście lat, powiedzmy to wyraźnie. Szesnaście lat!

- To się już nieraz zdarzało, znamy takie wypadki - upierał się Logan. - Jedno dziecko zazdrosne o drugie...

- W żadnym wypadku. Nie wątpię, że Zach znów wpakował się w kłopoty po uszy, ale to nie on porwał London.

- Przemyśl to w każdym razie - rzucił Logan. Kazał swoim ludziom porozmawiać ze wszystkimi, którzy choćby luźno byli związani z rodziną Danversów. Kilku innych miało przesłuchać wszystkich gości hotelowych i sprawdzić, kto zatrzymał się tu w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Podczas gdy wszyscy członkowie rodziny byli przesłuchiwać po raz drugi i trzeci, sierżant wydawał dalsze polecenia przez radio. Jego ludzie sprawdzali budynek i jego otoczenie centymetr po centymetrze, krążyli po ulicach, donosząc o wszystkim, co wydało im się podejrzane. Logan skontaktował się też ze swoimi informatorami i z każdym, kto w policyjnych kartotekach widniał pod hasłem „uprowadzenie”, ale czuł, że ten przypadek różni się

od tych, którymi się do tej pory zajmował. To nie była robota drobnego szantażysty- - amatora, ta historia mogła naprawdę źle się skończyć.

Logan miał doświadczenie. Swojego stanowiska nie zawdzięczał wykształceniu czy szczególnemu talentowi, ale temu, że jakimś cudem zawsze doprowadzał sprawy do końca. W ciągu dwudziestu dwóch lat pracy w policji nazywano go mułem, terierem, Brudnym Mickiem i egoistycznym draniem, ale nikt nigdy nie zdołał zaprzeczyć, że osiągał zamierzone cele. Szorstki, podejrzliwy i twardy nadużywał pięcioliterowego słowa zaczynającego się na „k”, ale poświęcił życie oczyszczaniu ulic Portland ze śmieci i brudu. Nazywał rzeczy po imieniu. Był przekonany, że Zachary Danvers to zakała tej rodziny, może nawet nie należy mu się nazwisko Witta. Plotka głosiła, że ojcem Zacha jest Anthony Polidori, a choć Logan nie wierzył w większość plotek, które do niego docierały, z doświadczenia wiedział, że nie ma dymu bez ognia. Niejednego przestępcę złapał na podstawie anonimowych informacji przekazanych przez telefon czy rozmów podsłuchanych przez kogoś na ulicy. Może wzajemna niechęć Zacha i Witta była silniejsza, niż stary chciał przyznać. Może Zach nienawidził człowieka, który go wychował. Biorąc pod uwagę wrogość panującą między rodzinami Polidorich i Danversów, wszystko było możliwe.

Im prędzej odnajdą Zacha, tym prędzej odnajdą London. Logan był o tym przekonany. A kiedy odda córkę Winowi, wyrówna rachunki i nic nie będzie mu już winien.

Teraz Danversowie, rozczocharani i bladzi, rozmawiali szeptem, by nie drażnić Katherine stojącej nieruchomo przy oknie z zapomnianym papierosem w dłoni.

Trisha obgryzała paznokcie, Jason chodził od okna do stolika i z powrotem, Nelson miał rozszerzone źrenice i drżał, jakby był na haju, zauważył Witt z niesmakiem. Wszyscy tu byli, z wyjątkiem London, Ginny i Zacha.

Witt powiódł wzrokiem po twarzach starszych dzieci, modląc się w duchu, żeby London była bezpieczna, żeby po prostu z jakichś przyczyn trafiła nie tam, gdzie powinna. Wciąż miał nadzieję, że mała zła, że nie pozwolono jej zostać na przyjęciu, zaprotestowała przeciw temu, „uciekając” i chowając się gdzieś w hotelu, a ta idiotka Ginny, zamiast zaalarmować wszystkich, postanowiła, że znajdzie ją sama, i przeczesuje teraz hotel. Ale serce podpowiadało mu, że karmi się pustą nadzieją. Dziecko zniknęło. Porwane, a może gorzej. Zagryzł zęby w bezsilnej rozpacz, zastanawiając się, gdzie teraz jest jego córka i czy jeszcze żyje. Nie, nie może myśleć o takich rzeczach, bo straci resztki zdrowego rozsądku.

Policjanci, z wyjątkiem Jacka Logana, wyszli z pokoju.

Kat przeczesła włosy palcami i niewidzącymi oczami spojrzała na męża. Z wysiłkiem zgasła papierosa.

- Myślę, że powinniśmy coś zrobić.

- Ludzie Logana przeszukują hotel, Jack sprawdza wszystkich gości. Przesłucha każdego, kto był w hotelu.

- To nie wystarczy - odparła Kat ze śmiertelnym spokojem. - Moje dziecko zginęło, Witt. Nasze dziecko. Zniknęło! Wyparowało! - W jej oczach błysnęły łzy. Podeszła do torebki i wyciągnęła papierosa ze złotej papierośnicy. Zapaliła i objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

- Co chcesz, żebym zrobił? - Był bezradny i nie mógł znieść tego uczucia. Zawsze taki władczy, silny. Człowiek wzbudzający szacunek i strach...

- Użyj swoich wpływów, na litość boską. Jesteś najbogatszym człowiekiem w tym mieście, a siedzisz i czekasz, aż policja wszystko zrobi sama. Zrób coś, Witt. Nie obchodzi mnie, kogo przekupisz czy zastraszysz. Zadzwoń do tego cholernego FBI! Po prostu znajdź moją córkę! - Drżącymi palcami podniosła papierosa do ust.

- Logan już zawiadomił federalnych na wypadek, gdyby została wywieziona poza granice stanu. A ja zrobię wszystko, żeby ją odnaleźć, wiesz o tym. Robię, co mogę, wierz mi.

- Rób więcej! - Zdusiła papierosa w szklanej popielniczce. - Ona może być z Zachem - dodała, choć na początku go broniła. Oskarżyłaby go zresztą pierwsza, gdyby sama myśl, że mógłby zabrać jej dziecko, nie wydała jej się tak niesmaczna. - Może Zach zabrał ją gdzieś dla kawału. - Dostrzegła sceptyczny wyraz twarzy Witta. - Jest w to zamieszany. Znasz go, Witt, zawsze na bakier z prawem. Jak jego ojciec...

Witt, ugodzony tymi słowami w samo serce, nie odezwał się jednak. Plotki na temat tego, kto może być ojcem Zacha, dotarły do niego, ale nigdy nie rozmawiał o tym z żoną. Nigdy nie uwierzył, nigdy nie pozwolił sobie na to, by choćby dopuścić do siebie podejrzenie, że ojcem Zacha może być Polidori. Na samą myśl o tym czuł mdłości. To możliwe, ale nie, nie uwierzy, że w żyłach chłopca, którego przywykł uważać za swego drugiego syna, płynie brudna włoska krew. Nie miał jednak zamiaru dyskutować z Kat na ten temat w tej chwili. I tak nie trafiłyby do niej żadne racjonalne argumenty. Musi zachować zimną krew i jasność umysłu, cokolwiek miałyby się stać.

Nelson, jego najmłodszy syn, wyglądał na wystraszonego. Witt nigdy nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi. Miał czternaście lat i wciąż był jeszcze dzieckiem, które - jak mu się wydawało - wdało się w niego. Mimo to jednak Nelson przypominał mu o pierwszej żonie Eunice. W tej chwili chłopiec był jakiś... dziwny. Niespokojny.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Zach nie poszedł z tobą na górę?

Nelson przełknął ślinę i spuścił wzrok.

- Przecież mieliście spać w jednym pokoju. - Witt nie dawał za wygraną.

- Nie wiem.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem.

Witt westchnął i spojrzał na syna twardo.

- Wiesz, gdzie on jest.

- Nie!

- Ale coś wiesz - naciskał Witt, czując, że chłopak zaczyna się załamywać. Do diabła, ale ma zawzięte, nieustępliwe dzieci.

- Tak... Widziałem, jak wychodził z przyjęcia - wykrztusił w końcu Nelson z taką miną, jakby dopuścił się właśnie niewybaczalnej zdrady wobec rodzzonego brata.

- Wyszedł? Kiedy? - Witt nawet nie drgnął.

Katherine wstała i podeszła do Nelsona.

- Tuż po tym, jak Witt zaczął kroić tort, prawda?

Nelson bez słowa pokiwał głową.

A więc Kat miała oko na Zacha.

- Czy była z nim London? - spytał Witt, choć już znał odpowiedź.

Nelson tak zdecydowanie potrząsnął głową, że aż jego długie jasne włosy zatańczyły wokół głowy.

- Był sam, nie chciał, żeby mu zwracać głowę.

- Dlaczego nam wcześniej o tym nie powiedziałaś? - Kat wyglądała tak, jakby miała go zaraz uderzyć.

- Nie chciałem pakować go w kłopoty.

- London zginęła! - krzyknęła Katherine. Była na granicy hysterii i to, co mówiła, nie miało zbyt wiele sensu. - Nic mnie nie obchodzi, czy twój brat będzie miał kłopoty, czy nie!

Witt wkroczył między żonę i syna.

- Niczego na razie nie wiemy! Jeszcze nie. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

- Ten chłopak to nic dobrego - rzuciła Kat. - Nie chciałam w to wierzyć, ale widzę, w kogo się wdał...

- Dość! - uciał Witt. Spojrzał na swojego najstarszego syna, który przyglądał się tej scenie z ironicznym uśmiechem w kącikach ust. - Co cię tak śmieszy?! - ryknął rozwścieczony.

- Nic.

Witt zmrużył oczy.

- Zachowujesz się tak, jakbyś wiedział, gdzie jest twój brat.

- Prawdopodobnie na randce z dziewczyną - powiedział Jason, wzruszając ramionami. - Był nieźle napalony. Myślę, że spędza dzisiejszą noc z jakąś lalą, którą udało mu się poderwać.

Katherine wyglądała na zaskoczoną.

- Daj spokój, tato - dodał Jason. - Nie udawaj, że nie pamiętasz, jak to jest, kiedy ma się szesnaście lat i myśli tylko o jednym. Zach po prostu chciał się z kimś przespać.

Witt niewiele pamiętał z czasów, kiedy miał szesnaście lat, i nic go to w tej chwili nie obchodziło. Nie teraz, kiedy London została porwana.

3

Syreny.

Gdzieś daleko wyły syreny, trąbiły klaksony samochodów, krzyczeli ludzie. A w jego głowie nadal dudniło. Powoli Zach otworzył jedno oko. Podłoga zachybotała niespodziewanie i Zach po raz drugi doszedł do wniosku, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Spróbował się poruszyć i natychmiast poczuł ostry ból w ramieniu. Cały czas kręciło mu się w głowie, która ważyła chyba tonę.

Zacisnął zęby i udało mu się uklęknąć. Zobaczył ciemną plamę krwi - swojej krwi - na taniej wykładzinie. Pokój zdawał się tańczyć wokół niego. Bolała go głowa i niewiele pamiętał z wczorajszego wieczoru. Do chwili, kiedy pochwycił odbicie swojej zakrwawionej twarzy w lustrze nad stolikiem. Hotel „Orion”. Pokój numer trzysta siedem. Sophia. Nagle przypomniał sobie wszystko, zmysłową dziewczynę i opryszków, którzy zakłócili ich słodkie tête-a-tête i niemal go zabili.

Dlaczego?

Bo wzięli go za Jasona.

Cholerny drań. Wystawił go. Jego rodzony brat go wystawił. Zach podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał do łazienki. Przy każdym ruchu strasznie bolała go głowa i brzuch w miejscu, gdzie został kopnięty, a ramię zdawało się płonąć. Zdołał jednak odkręcić kurek z zimną wodą i ochlapać to, co kiedyś było jego twarzą, a teraz nie przypominało niczego, co już kiedyś widział. Skóra wokół oczu zaczęła już puchnąć i sinieć, zasychająca krew z nozdrzy spłynęła mu na usta. Miał zmiażdżoną jedną kość policzkową, a niemal od czubka głowy przez nos i policzek biegło równe, głębokie cięcie

Eleganckie ubranie, smoking, który kupiła mu Kat, był podarty i poplamiony krwią i błotem.

Wstyd i gniew walczyły w nim o pierwszeństwo, kiedy tak stał i przyglądał się swemu odbiciu. Jason skusił go dziwką - jakąś głupią dziwką - i wystawił go tym draniom. Którzy, na Boga, mogli go przecież zabić.

Ale nie zabili. Przeżył i chociaż pewnie będą musieli go pozszywać w szpitalu, pożyje dość długo, by rozwalić swemu bratu łeb za to, co go spotkało. Białym ręcznikiem oznaczonym literą „O” otarł delikatnie twarz i aż syknął, kiedy ciepła woda spłynęła na ranę zadaną nożem. Nie miał odwagi ruszać ramienia, które mogło zacząć znowu

krwawić. Poza tym musi jak najszybciej stąd zniknąć. Nie zamierza nikomu wyjaśniać, co zaszło w tym pokoju, ani dać tym oprychom szansy dobiecia go, gdyby jednak zmienili zdanie. Musi szybko i niepostrzeżenie wrócić do hotelu „Danvers”.

To nie powinno być trudne. Zegarek wskazywał czwartą trzydzieści, prawie świt. Przyjęcie Witta pewnie dobiega właśnie końca. Ci, którzy pozostali jeszcze w hotelu, będą zapewne zbyt pijani, by zauważyć dyskretny powrót Zacha.

A kiedy już znajdzie się w hotelu, odszuka brata i spuści mu porządne manto. Tak, Jason odpowie mu na kilka pytań.

Niezauważony wyslizgnął się z pokoju, zszedł schodami na pierwsze piętro i kiedy recepcjonista odwrócił się na chwilę, przeszedł przez hol, minął stojak z gazetami i już był na zewnątrz.

Szalała letnia burza. Z nieba lały się strumienie ciepłego deszczu. Wielkie krople odbijały się od chodnika i ściekały Zachowi za koszulę.

Wcisnął głowę w ramiona i ruszył w stronę hotelu „Danvers”. Miał wrażenie, że jego nogi i ramiona zostały wykonane z gumy. Gdy tylko minął róg ulicy, zobaczył sześć czy siedem samochodów policyjnych stojących przed hotelem jak sępy nad konającą owcą. Błękitne i czerwone światła odbijały się w oknach budynku, pod którym krążyło kilkunastu policjantów.

Zach stanął jak wryty.

Złość przerodziła się w strach, dotarło do niego, co się stało.

Joey i jego koleżka porzucili Zacha, a następnie zapewne napadli Jasona w hotelu jego ojca. Jason nie żyje! O Boże! Zach rzucił się pędem do hotelu, zmuszając ciężkie, obolałe nogi do biegu. Zapomniał przy tym zupełnie, jak wygląda, nie zwrócił też uwagi na uzbrojonych policjantów. Jego kroki dudniły na mokrym betonie. Przebiegł przez ulicę, ignorując czerwone światło, między trąbiącymi wściekle samochodami, hamującymi przed nim z piskiem opon.

Jason. O Boże...

- Hej, ty! - zawołał donośny męski głos.

Zach nie zwrócił na niego uwagi. Przeciskał się właśnie między dwoma zaparkowanymi pod hotelem samochodami.

- Ty tam, do ciebie mówię! Stój!

Zach jednak był tak pochłonięty własnymi myślami i bólem, który ze zdwojoną siłą odezwał się w jego ramieniu, że nie usłyszał wołania.

- Policja! Stać!

Zatrzymał się gwałtownie i cudem uniknął zderzenia z dwoma policjantami, którzy nagle wyrosli tuż przed nim. Mieli broń wycelowaną w jego pierś, a wyraz ich twarzy wskazywał, że to nie żarty.

- Ręce do góry! No, już!

Zach powoli podniósł jedno ramię. Drugie zwisało żałośnie wzdłuż ciała.

- Cholera, patrz tylko na niego, Bill! - powiedział ten z donośnym głosem. - Wygląda na to, że wdaliśmy się w niezłą bójkę. Co się stało? Widziałeś tę małą?

- Słucham? - Zach doszedł do wniosku, że mówią o Sophii, ale nie odezwał się. Coś tu było nie tak, a policjanci nie wzbudzili jego zaufania.

Drugi funkcjonariusz - Bill - uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiła się podejrzliwość.

- Wiesz, kogo my tu mamy, Steve? To chłopak Danversów. Ten, co to też niby zaginał.

- Zachary?

- Tak, i co z tego? - spytał zniecierpliwiony Zach.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia. Zach poczuł nagle, że oblewa go zimny pot.

- Więc gdzie jest ta mała? - zapytał wysoki policjant, Steve.

- Jaka znowu mała?

- Twoja siostra.

Trisha? London?

- O co chodzi? - zapytał. - Gdzie jest Jason?

Policjant chwycił go za ramię i Zach omal nie upadł na ziemię. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

- Chryste, puśćcie mnie - syknął przez zęby, także zresztą nadwyrężone w bojach. - Popatrz na to - policjant odchylił półę marynarki Zacha gumową pałką, ukazując krwawe ślady na jego koszuli. - Nic ci nie jest, mały?

- Zabierzmy go do ojca. W hotelu jest jakiś lekarz. Z matką. A stary Danvers wezwał już swojego medyka. Chodź, synu, wejdziemy od tyłu. Nie chcesz chyba, żeby twoje zdjęcia dostały się prasy, prawda?

- Co się stało z Trisha? - spytał Zach przestraszony. Ci dwaj, Joey i Rudy, znaleźli jego siostrę. Była pijana i... o, Boże! Gniew podniósł mu niemal włosy na głowie.

- Może ty nam powiesz. - Bill pociągnął Zacha w stronę wejścia dla dostawców. - Zdaje się, że masz wiele do powiedzenia.

- Guzik mnie obchodzi, która jest godzina! - ryknął Witt, tracąc cierpliwość. London zaginęła. Jego ukochana

córka zniknęła bez śladu. Ta wiadomość niemal złamała mu serce, dezorientowała go, przeraziła. Był zmęczony, ale teraz - po sześciu filiżankach kawy - odzyskał jasność umysłu i wiedział dobrze, kto za tym stoi.

- Chcę, żebyś posłał samochód do domu Polidorich, obudził tego cholernego Italiańca i sprawdził, co on wie na ten temat! - krzyknął do Logana.

- Uspokój się. Witt. Przesłuchamy pana Polidoriego, kiedy już zrobimy, co trzeba, w hotelu.

- Jasne, że tak - mruknął Witt, sięgając do pudełka z cygarami leżącego na biurku w jego biurze. Katherine spała dzięki doktorowi McHenry'emu i kilku tabletkom nasennym. Witt zapalił i usiadł za masywnym biurkiem. - Sprawdziłeś wszystkie pokoje?

- Dwa razy - odparł Logan. Też już tracił cierpliwość. Drażnił go brak zaufania ze strony Witt.

- A windę dla dostawców...

- I kotłownię, i toalety, i sale konferencyjne, i chłodnie, i pralnie, a nawet przewody wentylacyjne i szyby wszystkich wind. Sprawdziliśmy także parking, restaurację, piwnice i wszystkie inne cholerne pomieszczenia i zakamarki w tym hotelu. A ponieważ budynek był nieraz remontowany i przebudowywany, więc moi chłopcy obejrzelili całą dokumentację techniczną w poszukiwaniu sekretnej komnaty, o której wszyscy zapomnieli. Wierz mi, Witt, twojej córki nie ma na terenie tego hotelu.

- Na co więc czekasz?

- Nie mam jeszcze wiadomości od ludzi pracujących poza hotelem. Przeczesały teren dziesięć przecznic w każdą stronę, wypytują ludzi na ulicach, przeszukują inne budynki, niemalże zrywają chodniki, żeby sprawdzić, co jest pod nimi.

- Tracisz czas - warknął Witt niecierpliwie. - Polidori...

W tej chwili drzwi gabinetu otworzyły się i Zach, zakrwawiony, posiniaczony i brudny, wpadł do środka wraz z dwoma policjantami. Witt zamarł. Twarz chłopca była biała jak kreda, z jednej strony biegła okropna szrama. Rana ciągle krwawiła. Z sinego, rozbitego nosa także ciekła krew.

Witt zerwał się na równe nogi i wyszedł zza biurka.

- Zawołajcie doktora - powiedział do policjantów. Odwrócił się do syna. - Co się stało?

Zach spojrzał na policjantów podejrzliwie i oblizał suche, opuchnięte wargi.

- Czy coś się stało Trishy?

- Do diabła, nie! O czym ty mówisz?

- Oni, to znaczy policja powiedziała mi, że zaginęła...

- Mówili o London.

- London? To przecież dziecko... - Zach przełknął ślinę.

- Więc nie była z tobą?

Przerażony Zach pokręcił głową.

- Chryste. - Cały świat Witt leży w gruzach. Wiedział, kogo za to winić.

- Co się z nią stało? - spytał Zach.

- Nie ma jej.

- Nie ma jej?

- Nie ma też Ginny. Zniknęły. Tylko tyle wiemy. - Mimo przerażenia Witt zainteresował się synem pobitym tak, że rodzona matka z trudem by go poznała. - Jak się czujesz?

- Przeżyję. - Zach zacisnął zęby.

- Co się stało? - spytał Witt. Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. - Czy jest tam jeszcze McHenry? Posłałem po niego. Tak, powiedz mu, żeby tu przyszedł. Tak, do mojego biura. Chodzi o Zacha. Wrócił bardzo pobity. Wygląda dość poważnie. - Rzucił słuchawkę i gestem nakazał dwom policjantom, żeby wstali z zielonej sofy. - Chodź tu, połóż się. Zdaje się, że straciłeś dużo krwi.

- Postoję.

Witt się zdenerwował.

- Rób, co ci mówię, dobrze? Choć raz w życiu nie sprzeciwiaj mi się, Zach, dobrze ci radzę. Połóż się na kanapie i pozwól McHenry'emu się zbadać. Słyszałeś?

Przez chwilę Zach wyglądał tak, jakby miał zamiar odpowiedzieć ojcu równie ostro, ale zamiast tego usiadł posłusznie na sofie. Do gabinetu wszedł doktor McHenry. Dobiegał siedemdziesiątki, od wielu lat był lekarzem Witt, najlepszym, jakiego można mieć za pieniądze. Znał się na rzeczy, a ponadto umiał trzymać język za zębami. Kombinacja tych dwóch cech sprawiała, że był praktycznie nieoceniony.

- No, no, nie chciałbym widzieć przeciwnika - mruknął lekarz, pomagając Zachowi zdjąć koszulę. Witt drgnął na widok brzydkiej czerwonej rany.

- No dobra, Zach, mów - rozkazał, przysiadając na rogu biurka. Sięgnął po kolejne cygaro. Poprzednie wciąż tliło się w popielniczkę.

Zach był błądy, zabiegi lekarza sprawiały mu ból, więc nie odezwał się ani słowem. Znowu bunt. Witt gniewnie wydmuchnął kłęb dymu.

- Słuchaj, Zach, nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz. Do cholery, teraz liczy się tylko London, więc lepiej mów,

co ci się przydarzyło, bo od tego może zależeć życie twojej siostry.

Zach rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści, ale Witt nie zwrócił na to uwagi. Popatrzył prosto w irlandzkie oczy Logana.

- I nic, co tu zostanie powiedziane, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

Logan kiwnął głową i usatysfakcjonowany Witt rozsiadł się w swoim fotelu.

- No to słuchamy, Zach.

Zach zamknął oczy w nadziei, że pokój przestanie wirować wokół niego. Miał zamiar skłamać, ale opowiedział swoją historię, wprowadzając do niej zaledwie dwie zmiany. Nie wspomniał o tym, że macocha flirtowała z nim na balu, i nie wymienił imienia Jasona. Powiedział, że sam zaaranżował spotkanie z Sophią. Nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Może sam chciał rozprawić się z Jasonem. A może odezwało się w nim w końcu uczucie dla starszego brata, a może był po prostu zbyt przerażony.

Doktor McHenry nie odezwał się ani słowem. Mruczał tylko do siebie, aplikując maść i coś, co szczypało jak wszyscy diabli, a potem zabrał się do zszywania skóry na ramieniu i koło ucha. Zadowolony ze swego dzieła zajął się twarzą pacjenta.

- Nos znowu został złamany, ale doda to twojej twarzy wyrazu, kiedy już się zestarzejesz - powiedział, zmywając zaschniętą krew. Ilekroć dotknął nosa, Zach był bliski omdlenia. - A to coś przeciwbólowego. - Szybko wyjął strzykawkę z torby, nałożył igłę i nieco opuścił spodnie Zacha. Nabrał do strzykawki trochę płynu z małej fiołki i wbił igłę w pośladek. - I jeszcze zastrzyk przeciwtężcowy.

Zach nie był zły na lekarza, który właśnie pokazał jego tyłek ojcu i ludziom Logana. Nic go nie obchodziło, co robi z nim ojciec i jego lekarz. Czuł, że prawdziwe problemy zaczną się dopiero, gdy policja weźmie go w obroty.

W końcu detektyw sierżant Logan, jeden z najlepszych w Portland i - zdaniem Zacha - opłacony dupek, wziął się do niego. Zach widział sceptyczny wyraz jego twarzy, dostrzegł powątpiewające spojrzenia dwóch innych policjantów, kiedy opowiadał o Sophii. Obojętnie, co mówił, oni i tak uważali, że kłamie.

Logan szczegółowo wypytywał go o wszystko i nagrywał rozmowę, podczas gdy policjanci robili notatki, ale Zach widział niedowierzanie w oczach starego wyjadacza.

- Ci dwaj, którzy ci pobili - spytał Logan, kiedy McHenry pakował swoją torbę - nazywali się Rudy i Joey?

- Tak się do siebie zwracali.

- Widziałeś ich już kiedyś?

- Nigdy.

- Powinien trafić do szpitala - wtrącił się lekarz.

- Słuchaj, doktorku - Logan zareagował błyskawicznie - próbujemy właśnie odnaleźć tę małą. Nie muszę ci chyba mówić, że już najwyższy czas. Zach musi pójść do komisariatu i rzucić okiem na kilka zdjęć. To wszystko.

- Odradzam to w tej chwili.

Bruzda między brwiami Witta pogłębiła się, gdy spojrzał na syna.

- Zach?

Głowa bolała go coraz bardziej, w ustach czuł gorzki smak, a każdy ruch ramienia kosztował go bardzo wiele, ale pokiwał głową.

- Pójdę.

McHenry nie mógł już nic więcej zrobić. Odciągnął Witta na bok i przed czymś ostrzegął go półgłosem, ale Zach nie dosłyszał przed czym. Pojechali razem policyjnym samochodem do komisariatu, gdzie w maleńkim pokoiku oświetlonym jarzeniówką, w którym unosił się zapach papierosów i kawy, Zach przeglądał czarno-białe zdjęcia, choć czuł się coraz gorzej.

- A ten? - zapytał oficer, podsuwając mu kolejną fotografię pod nos, po to tylko by Zach mógł przyjrzeć się jej z wysiłkiem, a potem przecząco pokręcić głową. W pokoiku zgromadziło się jeszcze więcej ludzi niż w hotelowym gabinecie ojca. Mijały godziny, policjanci wchodzili i wychodzili. Przyglądali mu się z ciekawością, odpinając broń i opowiadając sobie sprośne kawały.

- A ten? Co o nim powiesz?

Pytania ciągnęły się w nieskończoność, Zach przyglądał się kolejnym zdjęciom - wszystkie czarno-białe, gruboziarniste. Na każdym widniała twarz obcego mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widział. Zbliżał je do oczu, potrząsał głową, brał następne. Ojciec też był w pokoju, wypełniając niewielkie pomieszczenie dymem swojego cygara. Chodził nerwowo w kółko i sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę rozerwać kogoś - obojętne kogo - na strzępy.

Po jakimś czasie wszystkie twarze zaczęły się Zachowi wydawać bardzo podobne. Traciły ostrość, odpływały gdzieś w bok. Bolały go plecy, zdawało mu się, że nie spał od stu godzin. Pod sufitem gromadził się dym, policjanci rozmawiali, kończyła się jedna zmiana, zaczynała druga. Siedzący na rogu stołu policjant bacznie obserwował reakcje Zacha, drugi poszedł po kawę, która smakowała jak ścieki.

Zach opadł na oparcie krzesła, marząc o papierosie.

- No, to by było na tyle. Nic - powiedział wielki policjant, ziewając. Szczupła policjantka, która właśnie zaczęła służbę, zbierała zdjęcia ze stołu.

- Wygląda na to, że Rudy i Joey nie dali nam się jeszcze sfotografować. - Oficer O'Donnelly zgasił papierosa w swojej filiżance po kawie.

- Rudy? - Policjantka spojrzała na Logana, a potem na Witta.

- Tak, chłopak słyszał, jak do siebie mówili. - O'Donnelly wstał i przeciągnął się, aż mu chrząsnęło w kościach.

- Czemu nie powiedzieliście od razu? - Kobieta otworzyła książkę ze zdjęciami i podsunęła Zachowi przed nos. Chłopak z wysiłkiem skupił wzrok na fotografiach.

- Nie sądzę...

- Popatrz dobrze! Wyobraź sobie tego faceta porządnie ogolonego albo z włosami ufarbowanymi na inny kolor czy coś w tym rodzaju - rzucił Logan niecierpliwie.

Zach zacisnął zęby, przesuując zamglony wzrok ze zdjęcia na zdjęcie, aż zatrzymał się na jednym w dolnym rzędzie. Włosy teraz były rzeczywiście inne, dłuższe, a broda i wąsy pokrywały ospowatą skórę, ale oczy, okrutnie i zimne, były dokładnie takie same.

Położył drżący palec na fotografii.

- Myślę, że...

- Rudolpho Gianotti. - Kobieta uśmiechnęła się i spojrzała z satysfakcją na kolegów. Zach odniósł wrażenie, że lubi pokonywać mężczyzn. - Z gangu Josepha Siriego.

- Brudni makaroniarze - wysyczał Witt. Stał nad Zachem i wlepił wzrok w zdjęcie. Poczerwieniał na twarzy i zaczął trząść się z wściekłością. - Założę się, że ma powiązanie z Polidorim.

- Bingo - odparła kobieta. - Pracujemy nad tym od jakiegoś czasu. Narkotyki i prostytutka. Podejrzewamy też nielegalny hazard.

- Mówiłem ci! - ryknął Witt, kopiąc stołową nogę. - Jak tylko dostanę Anthony'ego w swoje ręce, zapłaci mi za wszystko. Chodźmy!

- Zaraz, zaraz! - zawołała policjantka. - Nie chodzi o starego! Ci goście - wskazała na zdjęcie Rudy'ego - są powiązani z synem. Z Mariem.

Oczy Witta pociemniały. Syna nienawdził niemal tak samo jak jego ojca.

- Sprowadź go tu, Jack. Pogadajmy z nim.

- Zrobimy to - zapewnił go Logan - ale najpierw trzeba odszukać Gianottiego i Siriego. Zobaczyć, co mają do powiedzenia, co wiedzą. Potem zajmiemy się Mariem Polidorim.

- I jego starym.

- Może.

Twarz Witta wykrzywił grymas wściekłości.

- On za tym stoi, Jack. Mówiłem ci od samego początku. Porwał moją małą dziewczynkę i Bóg jeden wie, co się z nią teraz dzieje.

- Nie martw się, Witt, znajdziemy ją. - Logan zniżył głos do szeptu, ale Zacha i tak nie obchodziło, co mówi. Pokój wirował wokół niego, kręciło mu się w głowie, a ciało odmawiało już posłuszeństwa. Zaczął mrugać, żeby rozproszyć ciemność, ale na próżno. Z głuchym jękiem zsunął się z krzesła. Stracił przytomność, jeszcze zanim uderzył głową o wyłożoną linoleum podłogę.

Dwa dni później Zach obudził się w szpitalnym łóżku. W ustach czuł smak goryczy, ramię paliło żywym ogniem. Oddychał z trudem z powodu czegoś - zapewne bawełnianych wacików - wepchniętego głęboko do dziurek w nosie. Głowę miał dokładnie zabandażowaną, ramię także, a wszystko wokół wydzielalo ohydny zapach szpitala.

- Wyglądasz okropnie.

Odwrócił się szybko na dźwięk głosu Jasona i natychmiast jęknął z bólu. Wspomnienia - Sophia, napastnicy, nóż sprężynowy, London - wszystko to naraz zaatakowało jego umysł.

- Ty draniu - wykrztusił z trudem. Miał spuchnięty, suchy język. - Wystawiłeś mnie. - Spróbował się podnieść, ale bez rezultatu.

- To nieporozumienie, Zach. Tak mi przykro. Nie miałem pojęcia, że...

- Kłamca!

Jason na moment przymknął oczy.

- To prawda, wiedziałem, że mam mały problem z alfonsem Sophii.

- Mały problem! Ci goście mieli zamiar obciąć mi jaja! - Zach urwał, sapiąc z bezsilnej złości na samego siebie za to, że tak głupio dał się nabrać. - Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę!

- Nie wiedziałem, że oni się tam pojawią.

- Akurat! - Zach odwrócił głowę do okna. Ze swego miejsca widział niebo i odrzutowiec zostawiający za sobą białą linię na bezkresnym błękitnie. Zacisnął zęby tak mocno, że aż zabolala go szczęka. Nie chciał patrzeć na brata. Wykrochmalona poszewka na poduszce była szorstka i drażniła pokiereszowany policzek. Boże, jak on nienawdzi szpitali! Niemal tak samo jak Jasona.

- Ojciec uważa, że to Polidori stoi za porwaniem London.

Zach nie odpowiedział. Waśń między rodzinami Polidorich i Danversów ciągnęła się od pokoleń.

Odpowiedzialnością za swoje niepowodzenia Witt natychmiast obarczał Anthony'ego Polidoriego, zasłużenie czy nie - to było bez znaczenia.

- Na razie nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Nawet FBI nic nie wie. Nikt nie zażądał okupu i Logan obawia się, że London mogła zostać porwana przez jakąś grupę terrorystyczną. Wiesz, coś jak uprowadzenie Patty Hearst.

- Logan to dupek.

- Ale może mieć rację. - Jason obszedł łóżko i stanął tak, żeby brat mógł go widzieć. - Widzisz, Zach, wiem, że to wszystko może nie najlepiej o mnie świadczy, i czuję się... - Urwał, szukając właściwego słowa. - Cóż, czuję się za to odpowiedzialny.

- Powinieneś.

- Ale ja naprawdę nie przypuszczałem, że napadną tam na ciebie.

- Wiedziałaś, że tam będą.

- Skąd, człowieku! Przysięgam. Wiedziałem tylko, że czeka na mnie Sophia. Nie przypuszczałem, że jej alfons wkurzy się na tyle, żeby nasłać tam na mnie jakichś gości z nożami. - Szarpnął nerwowo koniec wąsa. - Musisz mi uwierzyć, Zach. Gdyby był choć cień podejrzenia, nie posłałbym cię do „Oriona”.

Zach tylko prychnął z niedowierzaniem.

- Nie wierzysz mi i trudno się temu dziwić - westchnął Jason - bo prawdą jest też, że postanowiłem przestać spotykać się z Sophia. Miałem zamiar unikać tego miejsca jak ognia, ale nie przypuszczałem, że tobie może coś grozić. Myślałem, że prześpisz się z dziewczyną i to wszystko. Przysięgam. Musisz mi uwierzyć.

Zach był innego zdania. Wykazał się wystarczającą łatwowiernością, gdy zaufał Jasonowi za pierwszym razem. Drugi raz nie popełni już tego błędu. Podniósł wzrok na metalowy stolik stojący przy łóżku.

- Gdybym mógł zmienić to, co się stało, zrobiłbym to. - Jason wsadził jedną rękę do kieszeni, a drugą położył na stoliku. - Teraz... lepiej, żebyś wiedział, że w domu źle się dzieje. Ojciec wstąpił na wojenną ścieżkę z Polidorim. Kat jest albo pijana, albo na prochach. Wiesz, tabletki nasenne, uspokajające... Trisha świruje, no, ale to nic nowego. - Jason znowu przesunął się trochę, ale Zach nie raczył na niego spojrzeć. - Natomiast dla Nelsona jesteś bohaterem.

Zach zacisnął zęby.

- Tak. - Jason zdjął marynarkę z jedyne go krzesła w pokoju. - Nelson sądzi, że każdy, kto prześpi się z dziwką, a potem dostanie nożem, jest pieprzonym bohaterem.

- Zach?

Kobięcy głos brzmiał znajomo, przywoływał ciepłe wspomnienia dawno minionych chwil. Nagle znowu usłyszał dziecięcy śmiech i poczuł aromat cynamonu i gorącej czekolady zmieszany z jaśminowym zapachem jej wody toaletowej. Gdzieś, chyba na werandzie od strony ogrodu, zaszczekał pies. Ale to było tak dawno...

- Przyjechałam, kiedy tylko się dowiedziałam.

Zach otworzył ociężałe powieki. Górne światło było wyłączone, tylko nocna lampka rozjaśniała szpitalny pokój, a przez okno wpadało trochę światła ze strzeżonego parkingu. Zmrużył oczy i najpierw rozpoznał zarys sylwetki, a dopiero potem rysy twarzy wysokiej, postawnej kobiety w drogiej, miękko układającej się bluzce i spódnicy. Jego matka Eunice Patricia Prescott-Danvers-Smythe stała w nogach łóżka. Nagle zapanował w nim chaos sprzecznych uczuć, których nie zamierzał teraz analizować. Pękała mu głowa i był bardzo zmęczony.

- Co... co ty tu robisz?

Spojrzała na niego oczami pełnymi smutku, bólu i żalu - efekt dawno popełnionych błędów.

- Nelson zadzwonił... Powiedział, co się stało. Przyleciałam pierwszym samolotem z San Francisco. - Przechyliła się nad poręczą i szczupłą chłodną dłonią ujęła jego rękę. Był to silny uścisk. Bruzdy na jej twarzy mówiły o cierpieniu. - Tak mi przykro z powodu tego, co się stało, Zach. Dobrze się czujesz?

Nigdy nie czuł się dobrze, o czym oboje doskonale wiedzieli.

- A czy ciebie obchodzi, jak ja się czuję? - Zach z trudem zmuszał opuchnięty język do ruchu. Zdecydowanym gestem cofnął rękę.

Matka drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Oczywiście, że mnie to obchodzi. Bardzo mnie obchodzi. Bardziej niż kogokolwiek, kogo spotkasz w życiu.

Zach wzruszył ramionami.

- Nie wierzysz, że cię kocham - powiedziała cicho. - Nigdy w to nie wierzyłeś.

Zamknął oczy, żałując, że nie ma dość sił, by zakryć również uszy i nie słyszeć tych wszystkich kłamstw. Gdyby go kochała, gdyby go naprawdę kochała, nie zostawiłaby go z Wittem. Nie odpowiedział, tylko zaczął udawać, jak to miał w zwyczaju przez wszystkie te lata, że ona nie istnieje. Tak było łatwiej. Wtedy odrzucenie nie bolało tak bardzo. Miał wiele czasu, żeby się z tego otrząsnąć, zaleczyć rany. Obojętnie, co by powiedziała, pozostaje faktem, że Witt ją kupił, zapłacił jej tyle, że zdecydowała się porzucić własne dzieci.

- Myślałam, że między tobą i mną istnieje coś szczególnego - powiedziała z westchnieniem.

Zach nie tyle zobaczył, ile poczuł, że podeszła do okna. Zastanawiał się, czy zaczęła już nerwowo bawić się

sznurem pereł na szyi, tak jak to miała w zwyczaju, kiedy dyskutowała o czymś z Wittem. Ile to już czasu minęło od chwili, gdy jej ufał i wierzył? Osiem lat? Dziewięć? A może nigdy jej nie ufał.

- Złe, że o tym mówię, Bóg jeden wie, że matka nie powinna, ale ty zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem. Ze wszystkich dzieci ty byłeś zawsze najbliższy memu sercu.

- Nie kłam, mamó, proszę. Oboje wiemy, że nie masz serca.

Wciągnęła powietrze gwałtownie, ze świstem.

- Zachary, nie waż się nigdy... - Ale jej gniew znikł tak nagle, jak się pojawił. - Cóż, chyba na to zasłużyłam.

Co za gówno! Dlaczego ona się po prostu nie zamknie? Ale słuchał uważnie tego, co mówiła, nie mógł się powstrzymać.

- Nigdy bym cię nie zostawiła, ale... cóż, wasz ojciec zrobił wszystko, żebym już nigdy nie mogła się do was zbliżyć. Pewnie znowu mi nie uwierzysz, ale to straszna cena, którą musiałam zapłacić... Żalowałam tego...

Zach zamknął oczy. Nie, nie uwierzy jej. Ciągnęła swój romans z Polidorim latami, wiedząc, jakie będą tego konsekwencje. Według Zacha odwróciła się plecami do swoich dzieci, do swojego męża i całego życia dla kilku miłych chwil z facetem, który wykorzystał ją, żeby wyrównać rachunki z Wittem.

Ani przez chwilę nie wierzył, że jego matkę i Anthony'ego Polidoriego kiedykolwiek łączyła miłość. Nie, to był zawsze tylko seks, czysty, prosty seks. Na myśl o tym wszystko się w nim przewracało. Polidori wybrał Eunice, żeby zagrać na nosie swemu przeciwnikowi, a ona sypiała z wrogiem swojego męża, żeby zyskać miłą odmianę w nudnym, pustym życiu. Ten romans miał udowodnić, że ciągle jeszcze jest atrakcyjna dla mężczyzn, i pokazać mężowi, który ją zaniedbywał, że potrafi podejmować samodzielne decyzje. Słuszne czy nie.

Zach znał jej argumenty i w głębi serca wiedział, że jego rodzice nigdy nie byli ze sobą szczęśliwi. W domu zawsze panował napięta atmosfera, odkąd pamiętał. Zastanawiał się, w jaki sposób matka związała się z Polidorim, gdzie i kiedy go spotkała, kto zrobił pierwszy krok... ale były to rzeczy, o których dzieci miały nie wiedzieć. Zach doszedł do wniosku, że może to i lepiej.

- Zbyt pochopnie mnie osądzasz - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. - Nie wiesz, jak to jest być samotnym i lekceważonym. Mieć całe życie zaplanowane przez kogoś innego, udawać, że jest się szczęśliwym, choć jest zupełnie inaczej, śmiać się, podczas gdy nocą poduszka jest mokra od łez...

Podniósł powieki i zobaczył, że Eunice oparła czoło o szybę. Głowę opuściła tak nisko, że podbródek niemal dotykał klatki piersiowej. Na szybie osiadła mgiełka jej oddechu. Wyglądała na zmęczoną. Zach nie wiedział jednak, czy to wyczerpanie pochodziło jeszcze z czasów jej burzliwego małżeństwa z Wittem, czy też było efektem poczucia winy, że przedłożyła swoje życie ponad dzieci. A może miało związek z jej nowym mężem, jednym z najbardziej znanych kardiologów w kraju.

Odwróciła głowę, jakby czując, że na nią patrzy.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidził, Zach - powiedziała, mrugając oczami. Koniuszkami palców wytarła kąciki. - Bo ja tak bardzo cię kocham.

- Ty nie wiesz, co to miłość.

- Och, wiem, bardzo dobrze wiem. Znam to uczucie i wiem, jaki ból może sprawić. Niestety, i ty się o tym kiedyś dowiesz. Nikt, nawet ty, nie przejdzie przez życie, nie poznawszy jej smaku. - Założyła ręce na piersi i zakolysała się na piętach. - Chcesz mnie nienawidzić, bo tak jest łatwiej. Zraniłam cię, bo oszukałam twojego ojca...

- Nie chcę tego słuchać.

- Cóż, musiałam, rozumiesz? Witt był taki... skoncentrowany na sobie. Z nikim się nie liczył, a już najmniej ze mną. Spotkałam Anthony'ego na przyjęciu dobroczynnym. Był uroczy, troskliwy i chociaż wiedziałam, że nie powinnam... Tak się to zaczęło. Teraz wiesz. Podejrzewam, że nadal chcesz się na mnie odegrać. To zrozumiałe.

- Naprawdę guzik mnie to wszystko obchodzi.

- Ależ obchodzi cię, i to bardzo. Czy będzie to miało jakieś znaczenie, jeśli powiem, że bardzo mi przykro?

Zach nie raczył odpowiedzieć.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko, Zach. - Zabrzmiało to tak szczerze, że prawie dał się nabrać. Ale była to tylko chwila słabości, która szybko minęła.

- Tak? To trzeba było tu zostać. A może to zbyt wygórowane żądanie?

- Nie rozumiesz...

- Nie chcę rozumieć. - Znowu zaczęła go boleć głowa.

Eunice chciała coś powiedzieć, nabrała powietrza, ale zrezygnowana zamknęła usta. Kiedy je znowu otworzyła, mówiła spokojnie, lodowato.

- Wiesz, gdzie mnie szukać, Zach. Choćbyś nie wiem jak się starał, ja i tak wiem, że życie z twoim ojcem nie jest dla ciebie łatwe. Gdybyś chciał kiedyś przyjechać do San Francisco i pomieszkać trochę ze mną i Lyle'em...

- Nie, dzięki. - Nie potrzebuje tego. Jeśli w Eunice odezwały się jakieś spóźnione uczucia macierzyńskie, to jej problem, on nie ma zamiaru tego słuchać. Był pewny, że przyszła tylko z powodu wyrzutów sumienia, które gnębiły ją od czasu do czasu - na przykład co roku w okresie Bożego Narodzenia i prawie zawsze, gdy nadchodził dzień jego urodzin. Doskonała matka - na ćwierć etatu. Najwyraźniej bardzo jej to odpowiada.

- Może zmienisz zdanie. - Eunice zaczęła zbierać swoje rzeczy, torebkę i jedwabny żakiet, i szykować się do

wyjścia.

- Wątpię.

- Jak uważasz, Zach. Wiedz jednak, że przyszedłem tu, bo cię Kocham.

Wyszła z pokoju, postukując cicho obcasami i zostawiając ten sam zapach drogich perfum, który zapamiętał z wczesnego dzieciństwa.

Znowu ogarnęło go poczucie dojmującej samotności i bólu, ale zacisnął zęby i postanowił mu się nie poddawać. Do nikogo nie należy. Ojciec mu nie ufa, matka, choć temu zaprzecza, nie kocha go, a on sam nie czuje żadnej więzi z rodzeństwem. O swojej macosze mając najgorsze zdanie. Prawie nie ma przyjaciół - i nie chce ich mieć. A teraz jeszcze ta sprawa z London. Sam się zdziwił, jak bardzo go to obeszło. Wyobrażał ją sobie, taką małą, przerażoną i samotną. Zamrugał, by powstrzymać się od łez, które nagle zaczęły cisnąć mu się do oczu. Nie będzie płakał. Ani z powodu matki, ani nad London. Ani nad sobą. Wyplakał już cały zapas łez, kiedy Eunice odeszła wiele lat temu. Teraz nie ma zamiaru zaczynać wszystkiego od nowa.

Tak, już czas zabrać się stąd na dobre. Jak tylko wydobrzeje, sprzeda swoje porsche i... Do diabła, dość tych mrzonek. Nie może wyjechać, jeszcze nie. Musi zostać tak długo, dopóki nie wyjaśni się sprawa porwania London. Teraz ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, od razu miałby na karku połowę stanowej policji. Może jednak zanim wyjdzie ze szpitala, London wróci cała i zdrowa do domu. A wtedy nikt nie zauważy jego zniknięcia.

Musi uzbroić się w cierpliwość. To nie będzie łatwe, bo brak mu tej cechy. Ale podjął już decyzję. Nie ma innego wyjścia.

4

Jack Logan nie lubił Polidorich. Nigdy ich nie lubił i nigdy ich nie polubi. I to nie tylko dlatego, że są Włochami, ale też dlatego, że zadzierali nosa. Banda aroganckich hałaśliwych makaroniarzy.

Najgorsi z możliwych, pomyślał, włączając Isniącą zapalniczkę w dwu- drzwiowym fordzie galaxy rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty, swojej dumie i radości. Samochód - wiśniowoczerwony, z kremowym dachem i nieprawdopodobną liczbą koni mechanicznych pod maską - był prezentem od Witta Danversa. Bardzo drogim prezentem. Logan nie dopuszczał jednak do siebie myśli, że to łapówka. Spojrzał we wsteczne lustro i zmarszczył brwi. Nie chciał się zastanawiać, czy on - z gruntu uczciwy glina - nie został przypadkiem kupiony przez Witta Danversa. Wyciągnął z paczki marlboro i wsadził go do ust. Prawdę mówiąc, nie lubił Danversów dużo bardziej niż Polidorich. Zapalniczka wydała krótkie szcęknięcie i Jack Logan zapalił papierosa.

Logan w ogóle nie ufał bogaczom, zwłaszcza tym, którzy poza pieniędzmi mieli jeszcze jakieś ambicje polityczne, a na jego liście najmniej godnych zaufania ludzi w Portland pierwsze miejsce zajmowali Anthony Polidori *ex aequo* z Wittem Danversem. Polidori zamierzał dostać się do stanowego senatu i zdobył poparcie Włochów i katolików. Witt, zdaje się, ostrzył sobie zęby na stanowisko burmistrza lub gubernatora i pewnie wielu białych protestantów o anglosaskim rodowodzie na niego zagłosuje. Cholera, jeśli wszystko pójdzie po myśli Witta, wkrótce zostanie przełożonym Logana. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Co za burdel!

Przejechał na żółtym świetle przez McLoughlin Boulevard i ruszył na południe, poza miasto, w stronę Milwaukee, gdzie znajdowała się cała enklawa włoskich farmerów. Polidori początkowo sprzedawali warzywa, ale prędko zaczęli oszczędzać i inwestować w tanią ziemię. Wkrótce dostarczali już swoje produkty najlepszym restauracjom w mieście i powoli zgromadzili fortunę - nie tak wielką jak Danversów, ale równie imponującą.

Tak, pomyślał Logan, zaciągając się dymem, miło byłoby przyskrzynić Anthony'ego Polidoriego za porwanie London. Miałby niezłą zabawę, obserwując tego makaroniarza, jak wije się w krzyżowym ogniu pytań. Ale tak się nie stanie. Logan to wiedział, Polidori to wiedział i uparty stary Danvers, choć pewnie nigdy by się do tego nie przyznał, też dobrze o tym wie.

Strzepnął popiół z papierosa za okno i wcisnął pedał gazu. Nie zwracając uwagi na ograniczenia prędkości, przejechał krętymi ulicami Milwaukee. Wjechał na obsadzoną świerkami aleję wiodącą do „Waverley Country Club”, gdzie wielkie domy stojące w ogrodach otaczały najbardziej elitarny klub w mieście. Ogromne zielone tereny ciągnące się aż nad rzekę, ongiś dzierzawione przez handlujących owocami przodków Polidorich, teraz należały do klubu.

Rodzina Polidorich mieszkała na wzgórzach, odkąd Logan sięgał pamięcią. Stary Stephano, ojciec Anthony'ego, miał dość rozumu, by zainwestować pieniądze w spory kawałek placu w Portland, gdzie powstał targ i mała kafejka, która później stała się znakomitą, autentyczną włoską restauracją. Tylko „Jake's Crawfish” i „Chowder House” mogły z nią konkurować. W czasach wielkiego kryzysu Stephano kupił od miasta kolejne działki po śmiesznie niskiej cenie i kiedy gospodarka stanęła znów na nogi, wybudował nowe restauracje w różnych punktach miasta. Kupił też jeden z najstarszych hoteli zaledwie trzy przecznice od hotelu „Danvers” - najelegantszy budynek w całym Portland.

Stephano miał jednak dalsze plany, wszystkiego było mu mało. Teraz, gdy osiągnął już bogactwo i prestiż, potrzebował także nowego domu dla swej rodziny. W ten sposób rodzina Polidorich zamieszkała w wielkiej posiadłości w pobliżu „Clubu”.

Jako pierwszy Amerykanin włoskiego pochodzenia Stephano osiedlił się na ekskluzywnych wzgórzach, gdzie kupił wielki dom i przebudował go tak, by jak najbardziej przypominał włoską willę. Rozparta na zboczu jednego

ze wzgórz, pyszniąca się sześcioma marmurowymi kominkami, trzema fontannami i tarasowym, schodzącym nad samą rzekę ogrodem rezydencja godnie reprezentowała bogactwo jej właścicieli. Była największa w całym Waverley.

Kiedy Stephano, wdowiec, zmarł nagle, dom - nazywany w okolicy „małą Italią” - odziedziczył jego syn Anthony.

Na czole Logana pojawił się mars. Bez wahania skręcił w aleję prowadzącą do posiadłości i zatrzymał się przed bramą, czekając, aż ochroniarze - wszyscy czarnowłosi, smagli i drwiąco uśmiechnięci - zdecydują, czy go wpuścić. Logan nie miał czasu na ceregiele. Wyjął odznakę z kieszeni i pokazał ją strażnikom - była to strata czasu, gdyż wszyscy i tak go tu znali - po czym zgasił papierosa w samochodowej popielniczce.

Brama otworzyła się powoli z cichym szumem. Logan wcisnął pedał gazu i jego ford podjechał pod dom, mijając po drodze rosarium i szemrzące dyskretnie fontanny.

W tej chwili Anthony Polidori we własnej osobie stanął we frontowych drzwiach. Był to niski, tęgawy mężczyzna z cienkim czarnym wąsikiem i ciemnymi oczami, które rzucały groźne błyski, kiedy był zły. Wprowadził gościa do holu, w którym bez problemu zmieściłby się cały bungalow Logana.

- Nie trudź się wyjaśnianiem celu swej wizyty - powiedział Polidori, puszczając go przodem przez podwójne drzwi z polerowanego ciemnego drewna. - Wiem, że znowu chodzi o córkę Danversów. - Wskazał mu skórzany fotel i podszedł do baru. Do rżniętych kryształowych szklanek nalał irlandzkiej whisky na trzy palce. Jedną z nich podał Loganowi.

Zapach whisky podrażnił nozdrza policjanta, ale odstawił szklankę na masywny stół. Marzył o drinku, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Twoje nazwisko często się pojawia. W różnych kontekstach.

- Słyszałem. - Polidori stał przy oknie i patrzył na rzekę. - Twój ludzie przychodzą tu codziennie. Wiesz, że jestem cierpliwy, ale nawet ja uważam to, co robicie, za marnowanie mojego czasu i pieniędzy podatników. Niczego więcej się ode mnie nie dowiecie. Odwołaj stąd swoich ludzi, Logan. Niech szukają prawdziwego przestępcy.

Logan milczał. Niech się makaroniarz wygada.

- Zaskoczyłeś mnie, pojawiając się tu osobiście.

- Nie byłem zadowolony z raportu Taylora. Wydał mi się, hm, niekompletny.

Polidori mlasnął ze zniecierpliwieniem i pociągnął łyk ze swojej szklanki.

- Nie wiem już, co mam wam powiedzieć. Nie mam nic wspólnego z tym porwaniem. Przekaż, proszę, państwu Danversom najszczęśliwsze wyrazy...

- Przestań chrząnąć - przerwał mu Logan głosem, który nawet jemu w pierwszej chwili wydał się obcy.

W źrenicach Polidoriego pojawił się błysk.

- Nie wierzysz mi - westchnął teatralnie.

- Przyjrzyjmy się faktom. Dwóch twoich zbirów napadło na Zachary'ego Danversa, ciężko go pobiło, tak ciężko, że jest teraz w szpitalu, a mniej więcej w tym samym czasie zniknęła też mała London Danvers i jej niania. Zbieg okoliczności?

- Czy powinienem już wezwać prawnika?

- Ty mi to powiedz. Najlepiej wiesz, co masz na sumieniu.

- Nie mam nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim - rzucił Polidori, podszedł do baru i nalał sobie jeszcze whisky. - Nic.

Logan nie wierzył w ani jedno jego słowo.

- Może chciałbyś wiedzieć, czemu tak się na ciebie uwzięłem. Tak się składa, że mam bardzo dobrą pamięć i pamiętam dokładnie, co mówiłeś, kiedy zmarł twój ojciec.

- To było wiele lat temu.

Logan patrzył na niego twardo.

- Nie ukrywałeś, że winisz Juliusa Danversa, ojca Witta, za ten wypadek w restauracji.

Twarz Anthony'ego spurpurowiała.

- Poprzysiągłeś zemstę Danversom.

Polidori zacisnął usta, ale jego oczy błyszczały taką nienawiścią, że nawet Loganowi nagle zrobiło się zimno.

- To było wiele lat temu. Julius Danvers...

- Nie żyje.

- ...był mordercą. To on zabił mojego ojca. Ja to wiem i ty, i całe Portland. Wynajął ludzi, żeby rozlali naftę w hotelu. Wszystko zajęło się w okamgnieniu. - Nozdrza Anthony'ego drgały, kiedy nachylił się nad Loganem. - Siedmiu ludzi zginęło w tym piekle. Dlatego tylko siedmiu, że hotel był zamknięty tamtej nocy. Ale ktoś wiedział, że mój ojciec będzie tam wtedy, albo się tego domyślał. I trafił w dziesiątkę.

- Albo też twój ojciec sam to zorganizował, żeby zgarnąć forszę za ubezpieczenie. - Logan uwielbiał balansować na brzegu przepaści.

Twarz Włocha zbladła z wściekłości.

- On zginął, Logan. Został uderzony w głowę w swoim gabinecie, a potem ktoś rozlał dokoła niego naftę i rzucił zapaloną zapalniczkę. Nigdy się nie dowiem, czy mój ojciec zmarł nieprzytomny, czy przeciwnie, wił się i krzyczał, płonąc żywym ogniem. Nie ma dnia, żebym nie zadawał sobie tego pytania. - Pociągnął ze swojej szklanki i pochwycił spojrzenie Logana w lustrze nad barem. - Stephano był porządnym człowiekiem. Dobrym ojcem. Wiernym mężem. I został zmieniony w żywą pochodnię przez Juliusa Danversa. Witt dobrze o tym wie.

- Przypuszczenie.

Polidori uśmiechnął się zimno.

- Ile on ci płaci, Jack, co? Żeby zatrzymać cię w swojej drużynie. Wszystko jedno, ile ci płaci, to wciąż za mało.

Logan drgnął, słysząc te słowa. Miał coraz większą ochotę się napić, ale tylko rozparł się wygodnie w fotelu, starając się robić wrażenie niewzruszonego.

- Wróćmy do córki Danversów. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Już mówiłem, że nie mogę wam pomóc.

- Więc nie postanowiłeś dopełnić dzieła zemsty, porywając dziecko Witta?

- Nie bądź śmieszny - warknął Polidori, ale ścisnął szklankę tak, że aż zbieleły mu kostki.

- Jak sprawić, by Witt cierpiał i płakał? Nic nie zraniłoby go bardziej niż odebranie mu ukochanego dziecka.

- Wierz mi, nie zrobiłem tego. Jeśli nie przestaniesz mnie molestować, Wezwę prawnika. - Wielkimi krokami podszedł do biurka i sięgnął po telefon.

- Nie wierzę ci - odparł Logan chłodno, nie spuszczać wzroku z Polidoriego. Dostrzegł drobne kropelki potu zbierające się na czole Włocha pod linią siwiejących włosów. Jest winny, jest winny jak wszyscy diabli. Ale czego?

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz, Jack. Interesuje mnie tylko to, co możesz udowodnić. Jeśli przyszedłeś tu z wizytą, uważaj, co mówisz, i wypij whisky, którą cię poczęstowałem. A jeśli jesteś tu służbowo, przedstaw zarzuty albo zjeżdżaj stąd, i to szybko.

Logan ani drgnął. Teraz może w końcu do czegoś dojdzie. Polidori przestał nad sobą panować.

- Joey Siri i Rudy Gianotti pracowali dla ciebie.

- Ostatnio już nie.

- Więc pracowali dla twojego syna.

Polidori poczerwieniał i spojrzał gniewnie na Logana.

- Zostaw Maria w spokoju - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Siedzi w tym pewnie po uszy - odparował Logan. - Wieść niesie, że kręcił z córką Danversów, tą starszą, kilka lat temu. Była wtedy jeszcze nieletnia. Miała szesnaście lat, kiedy, jak mówią, ich romans stracił swój platoniczny charakter.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Logan byłby już martwy.

- Mój syn był na Hawajach, kiedy ta mała zniknęła.

- Jak to się dobrze składa, prawda?

- Nawet nie wie o porwaniu.

- Wszyscy w mieście wiedzą o porwaniu, Tony. Piszą o tym lokalne gazety, a państwowe stacje telewizyjne podawały tę informację. Założę się, że znalazła się nawet w wiadomościach w Waikiki. Ludzie mówią, że London została porwana dla okupu jak dzieciak Lindberghów albo że jest w to zamieszana jakaś grupa terrorystyczna, tak jak w wypadku Patty Hearst, choć to nieprawdopodobne, zważywszy na jej wiek. Ale jest faktem, że zniknęła, a na razie nikt nie przyznał się do porwania ani nie zażądał za nią złamanego centa. Dziwne, co? - Logan patrzył na Anthony'ego martwym wzrokiem. - Wydaje mi się, że ktoś po prostu chciał dokopać Wittowi Danversowi. Rozpytywałem więc, kto ma z nim na pieńku, i zgadnij, czyje nazwisko widnieje teraz na pierwszym miejscu mojej listy?

- Nie mam zamiaru tego słuchać. - Polidori sięgnął po telefon.

- Jest Mario? Chciałbym z nim porozmawiać. - Logan poczuł wreszcie, że prowadzi w tej grze. Wziął do ręki szklankę. Jest na służbie. No i co z tego?

- Nie masz o czym rozmawiać z moim synem.

- Mogę pogadać z nim tutaj - Logan od niechcienia powiódł palcem po brzegu szklanki - albo skuć go i zawieźć do komisariatu. - Zmarszczył brwi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiając. - Ciągłe kręci się tu mnóstwo dziennikarzy. Pracownicy chłopcy. Szukają ciekawych historii. Ale cóż, wybór należy do ciebie.

- Jesteś świnią, Logan.

- A ty brudnym makaroniarzem. - Policjant spojrzał na niskiego Włocha w drogim garniturze. - Nic nowego pod słońcem.

Polidori odłożył słuchawkę i wygładził marynarkę. Logan niemal widział trybiki obracające się w jego włoskim mózgu. Boże, jakie to miłe uczucie sprawić, żeby drań się trochę spocił.

- Jeśli Mario będzie współpracował, prawdopodobnie nie będę musiał go zabierać. A jeśli nie... - Logan wzruszył ramionami i popatrzył na Polidoriego znad swojej szklanki. To był dobra, droga whisky. Ciepła, aromatyczna, wypaliła sobie znajomą ścieżkę do jego żołądka. - Gazety znowu wywloką wszystkie ciemne sprawy twojego

syna. - Uśmiechnął się do szklanki. - Skandale wypluwają czasem ponownie ze zdwojoną siłą. Ludzie w tym mieście mają wyjątkowo dobrą pamięć.

Polidori zmrużył oczy.

- Zatrzymasz to dla siebie?

- Mogę być świnią, ale nie kłamię.

Anthony chrząknął z niedowierzaniem, usiadł w wielkim skórzanym fotelu i nacisnął dzwonek ukryty w szufladzie biurka. Prawie natychmiast pojawił się ochroniarz. Nastąpiła krótka i nieprawdopodobnie szybka wymiana zdań po włosku. Ochroniarz wyszedł, a po chwili w drzwiach ukazał się Mario. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, był o całą głowę wyższy od ojca i miał jaśniejsze oczy. Kręcone ciemne włosy, zniewalający uśmiech - bananowy synalek bogatego tatusia. Jeśli akurat nie uczestniczył w wyścigach samochodowych ani nie żeglował na Karaibach, zajmował się prowadzeniem jednej z restauracji w centrum miasta. W tej chwili zdradzał objawy nerwowości, był nienaturalnie ożywiony, jakby rozpieęła go energia. Narkotyki? Adrenalina? A może po prostu strach?

Anthony wyciągnął rękę w stronę fotela, na którym siedział Logan.

- Znasz detektywa sierżanta Logana?

- Owszem, poznaliśmy się kiedyś. - Mario obrzucił Logana krótkim obojętnym spojrzeniem.

- Cóż, sierżant sądzi, że możesz coś wiedzieć na temat porwania córki Danversów.

- Chyba żartujesz, Jack - odparł Mario, opierając się niedbale o krawędź biurka. Cały czas rytmicznie uderzał końcem stopy o podłogę. - Byłem wtedy na Hawajach.

- Znasz Joeya Siriego i Rudy'ego Gianottiego.

- Tak, pracowali dla mnie kiedyś.

- A co robili?

- Wszystko, co im kazałem. - Mario uśmiechnął się uroczo, ukazując białe i nieskazitelnie równe zęby. - Głównie w knajpie. Wylałem Rudy'ego pół roku temu. Wplątał się w narkotyki. Przyłapałem go, jak handlował, i pokazałem mu drzwi. Joey się stawiał, mówił, że odejdzie, jeśli wyrzucę Rudy'ego, więc także wyleciał. - Odepchnął się od biurka i podszedł do okna, cały czas unikając wzroku policjanta.

- Ach tak? I potem już nigdy ich nie widziałeś?

Mario wzruszył ramionami.

- Nie, jasne, że ich widywałem. Niektórzy z moich pracowników ich znają, ale ci dwaj wiedzą, że mają się trzymać z daleka.

- Zach Danvers twierdzi, że to oni go pobili. Wiesz o tym?

- Zach Danvers kłamie. - Mario ponownie wzruszył ramionami.

- Nie tym razem. - Logan z wielkim zainteresowaniem przyglądał się swojej pustej szklance. - Doszły mnie słuchy, że coś ci łączyło z Trishą Danvers... coś więcej niż przyjaźń.

Rysy młodego Włocha niemal niezauważalnie stwardniały.

- Poznałem ją przy jakiejś okazji.

- Hm, a przy innej przeleciałeś, jak słyszałem.

- O co ci chodzi, Logan? - Orzechowe oczy Maria pociemniały. Tak, mimo całego bogactwa widać było, że chłopak potrafi używać pięści.

- Cóż, stary Danvers zakończył ten romans. Nie mógł pozwolić, żeby jego córka prowadziła się z brudnym Włochem. Dopilnował, żeby nie było dziecka.

- Naprawdę?

- Nie znam szczegółów, ale pracuję nad tym. I już widzę, że masz całkiem dobry motyw, żeby odegrać się na Witcie Danversie.

- Mnóstwo ludzi w tym mieście chciałoby oglądać upadek Witta Danversa - odezwał się Anthony.

Logan uniósł brew.

- Niektórzy bardziej niż inni.

- Byłem na Hawajach, w interesach, kiedy ktoś napadł Zacha Danversa...

- Wiem, wiem, popijałeś maitais na plaży w Waikiki. - Logan odstawił szklankę na stół. - Ale Rudy i Joey pobili Zacha i w tym samym czasie porwano jego siostrę i jej nianię.

- Ciągłe stawiam na Zachary'ego - Mario uśmiechnął się zimno. - Daj spokój, Logan, kryłeś tego smarkacza, odkąd wyrósł z pieluch. Sprzedałby własną matkę, żeby doprowadzić swojego starego do szału. - Mario rzucił okiem na Anthony'ego, ale Logan nie widział, co znaczy ta wymiana spojrzeń. Mógł się tylko domyślać, że ma jakiś związek z domniemanym ojcostwem. Plotkowano, że Anthony'ego jest ojcem Zacha, i prawdą było, że Zach bardziej przypominał Maria niż kogokolwiek spośród swojego rodzeństwa.

- Zach nienawidzi Witta. To żadna tajemnica - powiedział Mario. - Moim zdaniem zaplanował to wszystko, żeby odegrać się na ojcu. Kilka cięć nożem i już ma żelazne alibi. Założę się, że zapłacił opiekunce za wywiezienie London gdzieś daleko. Każdy głupi wie, że najłatwiej dobrać się do skóry starego, odbierając mu jego małą księżniczkę. Tracisz tylko czas, Logan.

- Myślisz, że ojciec tak by się przejmował, gdyby porwano któreś z nas? - spytała Trishą gniewnie. - Zapomnij. Staje na głowie, bo chodzi o London!

Zach nie miał ochoty tego słuchać. Wyciągnięty na leżaku koło basenu zamknął osłonięte ciemnymi okularami oczy, marząc w duchu, żeby Trishą poszła do diabła. Ale nic z tego. Rozłożyła swoje sztalugi w cieniu rosnących wzdłuż muru świerków. Na trawie tańczyły jasne plamki słońca przeświecającego przez gałęzie, woda migotała oślepiającym blaskiem. Panował nieznośny upał. Rozgrzane powietrze drgało nad betonem. Zacha bolała głowa i ramię. Dochodził do siebie, ale bardzo powoli. Sięgnął po puszkę z colą i uśmiechnął się. Wcześniej wylał jej zawartość i wypełnił metalowy pojemnik znalezionym w lodówce piwem. Wszystko się wyda, rzecz jasna, ale nic go to nie obchodziło. Pociągnął długi łyk ze swojej puszki i poczuł w gardle rozkoszną zimną goryczkę alkoholu. Tak, zaraz się odpręży. Na razie jednak spróbuje ignorować siostrę.

- Ojciec szaleje, bo policja i FBI nie są w stanie odkryć, kto za tym stoi - powiedziała Trishą, rozmazując palcem rysunek węglem. - Obwinia Polidorich tylko dlatego, że ci dwaj, którzy ciebie napadli, kiedyś dla nich pracowali.

Czemu zawraca mu głowę? Zach dopiero cztery dni temu wyszedł ze szpitala, a tego dnia po raz pierwszy opuścił swój pokój. Postanowił położyć się nad wodą, bo miał już dość gapienia się ciągle na te same twarze Jimmy'ego Hendriksa i Ali McGrow spoglądające na niego z plakatów na ścianach.

- Mama dzwoniła wczoraj, żeby spytać, jak się czujesz... ale akurat spałeś.

Nie chciał teraz myśleć o matce. Eunice. Nagle postanowiła odgrywać rolę matki. A przedtem porzuciła go, żeby zachować dobre imię. Bo nie mogła dłużej żyć z egoistycznym, humorzystycznym Wittem. Ale zostawiła swoje dzieci, sprzedała je w zamian za reputację, która na pewno mocno by ucierpiała, gdyby wyszły na jaw jej ciemne sprawy. Kompromitujący romans z Polidorim. Zach zniechęcił ją. Ale wciąż słyszał jej słowa. Matka nie powinna tego mówić, ale zawsze byłes moim najukochańszym dzieckiem. Nagle coś ścisnęło go za gardło.

- Była u mnie w szpitalu - powiedział z trudem.

- A ty nie chciałeś z nią rozmawiać.

- Nie miałem jej nic do powiedzenia.

- Chryste, jak możesz być taki zimny i nieczuły? - Trisha przyglądała się swemu dziełu ze zmarszczonymi brwiami.

- To cecha rodzinna.

- Bądź poważny.

- Jestem.

Gdyby tylko wiedziała. Sięgnął do stolika i włączył radio tranzystorowe w nadziei, że muzyka, hard rock, spłoszy siostrę. Po chwili znalazł właściwą stację. Rytmiczny refren starego hitu The Rolling Stones *Satisfaction* niósł się donośnym echem po wodzie.

- Nie słyszę własnych myśli, kiedy to ryczy! Zaraz ogłuchnę.

Zach nie odpowiedział. Guzik go obchodziło, czy ogłuchnie, czy nie, byle przestała gadać. Chciał być sam. Nie chciał mówić ani myśleć o matce. Ani o London. Ani o niczym innym. Pociągnął kolejny łyk piwa. Miał wrażenie, że wszyscy ciągle go podpuszczają, chcąc wydobyć z niego jakieś informacje dotyczące porwania. Zupełnie jakby liczyli, że się w końcu załamie i przyzna nagle do uprowadzenia dzieciaka. Ale po co? Jak? I dokąd?

Nie ufał nikomu z rodziny. Może to była prawda, że krew Polidorich płynie w jego żyłach, pomyślał, uśmiechając się sarkastycznie. To by było coś, gdyby rzeczywiście okazało się, po tych wszystkich latach, że jest synem Anthony'ego Polidoriego. Wiele by to wyjaśniało - na przykład dlaczego jest ulubionym dzieckiem Eunice, żeby już nazwać rzecz po imieniu! Ale wcale by mu się to nie podobało. Ani trochę. Prawda, Witt to drań pierwszej wody, ale Polidori jest tylko pospolitym łotrzykiem najgorszego gatunku. Od lat policja próbuje odkryć jego powiązania ze zorganizowaną przestępczością.

- Wyłącz to, do cholery! - wrzasnęła Trisha.

Zach nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Są jakieś szanse na odnalezienie krewnych Ginny Slade? - zapytał.

Jason opowiedział mu, jak policja wyrzuciła jej pokój do góry nogami. Ginny jest chyba kluczową postacią w tym porwaniu. Jej referencje okazały się fałszywe, a cała rodzina zniknęła bez śladu.

- Hm, tego nie wiem. - Trisha przekrzywiła głowę i zmarszczyła nos, patrząc na rysunek. - Ale wszyscy są zdania, że raczej nie maczała palców w tym porwaniu, w przeciwnym razie zażądałaby już pieniędzy. Jej konto jest nietknięte. Ma tam ciągle kilkaset dolarów. Ma też oszczędności w First National, prawie tysiąc dolarów. Też nienaruszone.

- Skąd to wszystko wiesz?

Trisha rzuciła mu szybkie spojrzenie i wzruszyła ramionami.

- Podłuchuję. Przez dziurki od klucza, niedomknięte drzwi i przewody wentylacyjne.

Pierwszy raz w życiu Zach zainteresował się tym, czego dowiedziała się jego siostra. Od lat uważał ją za zajętą własnymi sprawami egocentryczką. Zakładał, że nie obchodzi jej nic poza nią samą, jej fryzurą, jej ostatnim chłopakiem i nowymi prochami zwiększającymi możliwości ludzkiego umysłu. Choć ostatnio nie wychodziła zbyt

często z domu. Po fiasku z Mariem... Zach spojrzął z ukosa na siostrę. Dość ładna, pomyślał, z tymi gęstymi kasztanowatymi włosami i błękitnymi oczami. Ma wprawdzie za mocny makijaż i nosi zbyt wyzywające obcisłe ubrania, ale jak niemal wszystkie dzieci Danversów ma w sobie coś pociągającego, ujmującego. Na ogół jednak, oczywiście, jest jak wrzód na tyłku.

W wieku dwudziestu lat Trisha ciągle chodziła na zajęcia plastyczne. Trzy- czy czterokrotnie wyprowadzała się z domu, do którego wracała zawsze ze złamanym sercem, na haju albo splukana co do centa. Albo i jedno, i drugie, i trzecie. Ekscesami po narkotykach - głównie marihuanie i czasem haszyszu - zajmował się osobiście i dyskretnie dobry stary detektyw Jack z Portland, a Witt natychmiast pokrywał jej rachunki i debety na koncie. Trudniej było uleczyć złamane serce. Trisha miała już długą listę niepowodzeń miłosnych. Z Mariem Polidorim na czele.

Niezależnie od powodów swoich kolejnych wyprowadzek Trisha zawsze wracała do domu - z ogonem podwiniętym pod siebie i ręką wyciągniętą w stronę portfela tatusia. Zach szybko się domyślił, że świat ze swoimi opłatami za czynsz i energię był zbyt skomplikowany dla jego siostry. Lepiej, żeby płacił ojciec, znacznie lepiej.

Zach rozparł się wygodnie w leżaku i spojrzął na siostrę. Coś w linii jej czoła i ust przypominało mu matkę. W ciągu kilku ostatnich lat, od afery z Mariem Polidorim, Trisha bardzo się zmieniła. Zach nie wiedział, co dokładnie zaszło między Włochem i Trisha, ale słyszał awantury ciągnące się czasem długo w noc, płacz odbijający się echem wśród ścian starego domu i domyślił się, że Mario wykorzystał jego siostrę, by odegrać się na Witcie. Trisha była tylko niewinna, choć bardzo chętną ofiarą wojny między dwiema rodzinami, trwającej od prawie stu lat. Nic nie wskazywało na to, by konflikt miał się w najbliższym czasie zakończyć. Zach się tym nie przejmował. Nic go to nie obchodziło.

- Wiesz, Zach - powiedziała Trisha, przekręcając sztalugi, żeby pokazać mu swoje dzieło - karykaturalny wizerunek jego postaci, nonszalanckiego, rozczochanego nastolatka rozwalonego na leżaku i popijającego colę. Obok stało wiernie odtworzone radio i butelka po piwie. - Ty lepiej uważaj.

- Bardzo zabawne - odparł, wskazując na karykaturę.

- Nie tylko ja przejrzałam cię na wylot. - Wrzuciła węgiel do pudełka. - Kat i tato mają zamiar dobrać ci się do skóry. Mówią o szkole wojskowej albo o szkole dla chłopców w Europie. Słyszałam też coś o wysłaniu cię na ranczo, gdzie, cytuję, „urobisz sobie ręce po pachy i nie będziesz miał czasu, żeby wpakować się znowu w jakieś gówno”.

- Nic z tego - mruknął Zach, choć wersja „ranczo” była zdecydowanie lepsza niż dwie poprzednie. Spojrzął w górę na chmury nadciągające od zachodu.

- Jakkolwiek by na to patrzeć, czeka cię albo mundurek w Europie, albo łopata gdzieś blisko - powiedziała Trisha, robiąc aluzję do znanej szkoły dla nieletnich przestępców w Oregonie.

- Myślą, że tak właśnie skończę?

- Nie wiem, co myślą, ale tak sędzę, Zach. Ciężko się z tobą dogadać, odkąd wróciłeś ze szpitala, a ta akcja z dziennikarzami...

Zach uśmiechnął się pod nosem i potarł nadwyrężone kostki prawej dłoni.

- Nie przysparza ci to przyjaciół.

- Facet na to zasłużył. - Zach ciągle słyszał pytania, widział wycelowane w siebie obiektywy aparatów fotograficznych, kiedy wysiadał z lincolna swojego ojca. Usiłował uciec przed jednym z dziennikarzy, który nagle wyskoczył zza żywopłotu.

- Możesz wyjaśnić, jak to się stało, że zostałeś napadnięty akurat wtedy, gdy twoja przyrodnia siostra...

Ręka sama zwinęła się w pięść i wylądowała na szczęce dziennikarza. Dał się słyszeć chrzęst łamanej kości. Trysnęła krew. Ramię Zacha natychmiast przeszył nieznosny ból, a dziennikarz upadł na ziemię, jęcząc. Prawdopodobnie dojdzie do procesu.

Trisha, jakby czytając w jego myślach, westchnęła i złożyła sztalugi.

- Myślisz, że to ja porwałem London? - spytał, powtarzając sobie w duchu, że i tak ma to gdzieś.

Trisha potrząsnęła głową, patrząc na bliznę przecinającą jego policzek.

- Nie wiem, co robiłeś tamtej nocy, ale nie powiedziałeś prawdy... w każdym razie całej prawdy. I w końcu będziesz musiał za to zapłacić, chyba że wyjdiesz z tego czysty.

Zach zeszytniał. Myślał o tym samym.

- Od kiedy to stałaś się taka cnotliwa? - Dopił piwo i zgniótł puszkę w dłoni.

Trisha spojrzała na niego smutnymi niebieskimi oczami, które widziały za dużo bólu jak na tak krótkie życie.

- Nic o mnie nie wiesz, Zach. Chciałam wyświadczyć ci przysługę, ale zapomnij o tym. - I ruszając w stronę domu, dodała: - Popełniłam błąd. To twój pogrzeb.

Katherine nie była w stanie otworzyć oczu. W ustach czuła gorzki smak, jakby cały dzień lizała popielniczkę. Dudniło jej w skroniach. W końcu udało się jej otworzyć jedno oko. Słońce wpadające do pokoju przez przysłonięte okno oślepiło ją na chwilę. Z jękiem przewróciła się na bok, zastanawiając się, skąd wzięło się to uczucie dojmującego smutku, z którym się obudziła.

Jest przecież w swojej sypialni... O Boże... Nastąpił bolesny powrót do rzeczywistości. London zniknęła porwana

dwa, a może już trzy tygodnie temu. Rozpacz, to dzikie, bezlitosne zwierzę, wczepiła w nią swe pazury. Musi zapalić. Drżącą ręką sięgnęła do stolika, gdzie znalazła jednak tylko pustą paczkę po papierosach. Rzuciła ją na podłogę i poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami. Nie wytrzyma tego, to już koniec. Bezradna policja, bezużyteczne FBI i dziennikarze, niech ich piekło pochłonie. Ci, którym udało się zwieść strażników, zadawali pytania rozdzierające jej serce i duszę, patrzyli na nią roziskrzonym wzrokiem, wietrząc sensację, obojętni na jej ból... Nic dziwnego, że Zach pobił jednego z nich i zniszczył mu aparat zaraz po powrocie ze szpitala.

Wstała, chwając się na nogach, i rozsunęła zasłony trochę bardziej. Na podjeździe stały dwa samochody policyjne i chevrolet z opuszczonym dachem. Dalej, za łagodnie schodzącym w dół trawnikiem i rosarium, dostrzegła bramę wjazdową, gdzie zbierały się sępy. Stały tam dwa czy trzy samochody w cieniu rozłożystego dębu. Jego potężne konary wychodziły z terenu posiadłości poza mur broniący dostępu tym hienom.

- Mam nadzieję, że wszyscy będziecie się smażyć w piekle - mruknęła, opuszczając zasłony.

Która może być godzina? Zmęczone oczy odnalazły zegar - druga po południu. Spała siedemnaście godzin, otumaniana tabletkami nasennymi McHenry'ego i Bóg wie czym jeszcze. W końcu będzie musiała wziąć się w garść, zacząć normalnie żyć. Z London albo bez niej.

Na samą myśl o tym zadrżały jej kolana. Oparła się o brzeg biurka żeby złapać równowagę. Odnajdzie swoje dziecko. Musi. Nie ufa federalnym ani policji, a Witt, cóż, nie był dotąd zbyt pomocny. Nie chciał teraz sypiać z nią w jednej sypialni, twierdząc, że trzeba jej odpoczynku, co bardzo ją zmartwiło. Znała prawdziwy powód. Obawiał się, że mogłaby chcieć czegoś więcej niż głaskania po głowie. Mogłaby chcieć, żeby ją pocałował, przytulił, a nawet kochał się z nią.

Boże, musi zapalić.

Obliżała spierzchnięte wargi i ruszyła wolno do łazienki. Zrzuciła nocną koszulę, którą miała na sobie od kilku dni, i odkręciła wodę. Zanim weszła pod prysznic, spojrzała w lustro i westchnęła. Bez makijażu, włosy w strąkach, krągłe niegdyś ciało wychudło z braku jedzenia. Przypomniała sobie mgliście Marię, kucharkę, wchodzącą do jej pokoju i próbującą wmusić w nią trochę zupy.

Przez całe życie Katherine nigdy nie pozwoliła sobie na żadne zaniedbania swojego ciała, które uważała za największy atut. Spędzała całe godziny na gimnastyce i masażach, u fryzjera i manikiurzystki. Ubierała się tak, by pod- i kreślić zalety figury, ale jej stroje zawsze miały klasę i nienaganny krój.

Jednak teraz wyglądała okropnie.

Weszła pod strumień ciepłej wody. Spływała miękko po włosach i ciele. Kat zamknęła oczy w nagłym przypiływie rozpaczki ogarniającej ją zawsze, kiedy pomyślała o London, i oparła się o wyłożoną kafelkami ścianę. Nie może się poddać, bo jest jedyną szansą London. Jeśli ona uzna ją za straconą, zrobią tak wszyscy inni.

Szloch uwiązał jej w gardle, ale powiedziała sobie, że tu, sama, może pozwolić sobie na rozpacz, na płacz i krzyk. Łzy zaczęły płynąć słonym strumieniem po jej policzkach, mieszając się z wodą.

Dopóki jest sama, może wycić i lkać, wśród ludzi musi udawać, że jest silna.

Godzinę później zeszła na dół. Umyte i wysuszone włosy zostały porządnie wyszczotkowane i lśniły. Była starannie, choć dyskretnie umalowana, miała na sobie błękitne krótkie spodenki i bluzkę dobrane do koloru oczu. Wyjęła sok pomarańczowy z lodówki i nie zwróciła uwagi na Marię, która nalegała, by zjadła śniadanie. Dowiedziała się, że Witt i policjanci zamknęli się w gabinecie, nakazując surowo, żeby im nie przeszkadzać. Świetnie. Odwróciła się, dołała trochę wódki do soku, połknęła dwie tabletki uspokajające, wetknęła pod pachę „Wall Street Journal”, a do kieszeni wsunęła paczkę papierosów. Była gotowa, tak jej się w każdym razie wydawało. Ale światło oślepiło ją i musiała jeszcze wziąć okulary przeciwsłoneczne. Na zewnątrz powietrze stało nieruchome, panował nieznośny upał. Usłyszała jakiś dźwięk, spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, przechodząc wysadzaną rododendronami alejką, że Zachary właśnie się kąpie. Ciał woda jak zawodowy pływak. Rany wciąż widoczne na jego ciele zagoiły się na tyle, że mógł się już całkiem swobodnie poruszać.

Nagle Katherine poczuła coś niebezpiecznie zbliżonego do pożądania. Ze wszystkich dzieci Witta Zachary zawsze wydawał się jej najbardziej pociągający. Niepodobny do rodzeństwa, miał skórę ciemniejszą i był mocniej zbudowany, a jego oczy miały szare, chmurne spojrzenie, chociaż charakterystyczną cechą wszystkich Danversów były jasnoniebieskie tęczęwki.

Może plotki na jego temat są prawdziwe, choć Katherine nie umiała wyobrazić sobie Eunice - tej wielkiej, wysuszonej amazonki - uprawiającej seks z Anthonym Polidorim.

W każdym razie, czy to z powodu genów, czy nieznanego ojca, Zach bardzo różnił się od innych dzieci. Nie miał prostego nosa Witta, ale Kat doszła do wniosku, że to dlatego, że Zach miał nos złamany co najmniej trzy razy - raz tej nocy, gdy porwano London, raz w wypadku motocyklowym i raz w bójce na pięści. Doszło do niej z powodu pewnego wyrostka, który oznajmił, że całe Portland wie, iż Zach jest włoskim bękartem, jego matka makaroniarską dziwką, a Witt rogiaczem. Chłopak przerastał Zacha o głowę, ale po wymianie argumentów miał podbite oczy i spuchniętego ptaszka, który zawarł bliższą znajomość z podkutym butem Zacha. Zachary zresztą wyszedł na tym gorzej, bo okazało się, że nie tylko jego nos został złamany, ale i kilka żeber. Niemniej jednak ojciec przeciwnika, sprytny prawnik pracujący w banku First National, groził procesem. Na szczęście Witt zażegnał niebezpieczeństwo, sięgając do mieszkania, na co zresztą tatuś prawnik skrycie liczył.

Nonszalancki i seksowny jak diabli Zach był atrakcyjny z różnych względów.

Katherine opadła na leżak, wyciągnęła przed siebie nogi i patrzyła, jak jej pasierb pruje wodę. Smukłe, pięknie umięśnione ciało, mokre i lśniące w słońcu, zdawało się poruszać bez najmniejszego wysiłku. Ciekawe, zastanawiała się Katherine, czy całe jest takie ciemne, czy pod krótkimi elastycznymi spodenkami jego pośladki mają jaśniejszy odcień.

Od chwili gdy złożyła przysięgę małżeńską, Katherine była wierna Wittowi. Nawet w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy on zaniechał już wszelkich miłosnych prób, potrafiła zwalczyć w sobie pożądanie budzone od czasu do czasu przez jakiegoś szczególnie interesującego mężczyznę. Miała wiele okazji i wiele propozycji - niektóre składali zdeklarowani przyjaciele Witt'a - ale zbywała je śmiechem jak nie najlepsze dowcipy. Nigdy nie poddała się żądzy, która czasami w nocy doprowadzała ją niemal do szaleństwa.

Zachary ją kusił. Bez wątplenia jej zainteresowanie nim było odwzajemnione. Mógł krzyknąć, że to nieprawda, ale ona wiedziała swoje. Ostatnio, kiedy poniósł ją temperament i udało się jej go zmusić, żeby z nią zatańczył na urodzinach Witt'a, czuła, jak jego ciało reaguje na jej bliskość, widziała rumieniec na jego twarzy. Była już trochę wstawiona i zastanawiała się, jaki byłby w roli kochanka. Czy okazałby się mistrzem w sztuce miłości, czy to ona musiałaby go wszystkiego uczyć? Czy skończyłby jak dzieciak, w ciągu kilku sekund, czy nauczył się już cierpliwości?

Dość! To syn Witt'a, na litość boską! Twój pasierb! Drżącymi palcami zdjęła celofan z pudełka virginia slim, wytrząsnęła papierosa i zapaliła. Zach nie patrzył w jej stronę, nie wiedział, że siedzi nad basenem, pływał tam i z powrotem, jakby nigdy nie miał przestać.

Wydmuchując kłęb dymu w niebo, Kat próbowała myśleć o czymś innym. Ale wtedy natychmiast stanęła jej przed oczami London i wróciła czarna, bezsilna rozpacz. Gdzie jest? Czy żyje? Przerazona i zapłakana? A może jest już martwa, brutalnie zamordowana? O Boże, nie może myśleć o takich rzeczach! Nie będzie o nich myśleć!

- London - szepnęła, czując, że znowu wilgotnieją jej oczy.

Pociągnęła długi łyk ze szklanki w nadziei, że wódka ukoji trochę jej nerwy. Gdyby tylko ktoś ją objął i mocno przytulił, szepnął, że wszystko będzie dobrze... że London jest bezpieczna i wróci do domu. Sama miała wrażenie, że zaraz utonie w oceanie bólu i niepewności.

Potrzebuje kogoś, kogokolwiek. Zacha.

Zacisnęła zęby, by opanować paraliżujący strach, który towarzyszył jej od tygodni, otworzyła gazetę i udawała zainteresowanie zmianami na rynku akcji. Cały czas jednak obserwowała Zacha. Oczywiście miała ukryte za ciemnymi okularami i była pewna, że Zach niczego się nie domyśla. Tymczasem ona zaczęła planować, jak go uwieść.

Zacha bolały płuca, odezwało się też ramię. Pływał całą godzinę w nadziei, że Kat skończy drinka i pójdzie sobie wreszcie. Niestety. Wyglądało na to, że ma zamiar spędzić na leżaku cały dzień. W rzeczywistości jej pojawienie się nad basenem przyjął z pewną ulgą. To było do niej niepodobne siedzieć całe dni w swoim pokoju, prawie nie wystawiając z niego nosa.

Ale teraz w domu nic już nie było takie jak dawniej. Policja i agenci federalni, dziennikarze zebrani pod bramą, ponury, wściekły Witt, nieobecna, półprzytomna Kat. Jason znowu wprowadził się do domu i przemierzał go bezszelstnie jak uwięzione zwierzę klatkę, a Nelson, który łąził za Zachem jak wiemy pies przez kilka dni, zamknął się w swoim pokoju i słuchał Led Zeppelin czy czegoś w tym rodzaju.

Zach nikomu nie ufał. Miał wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają, jakby sądzili, że jednak coś wie o London i jej cholernej niańce.

Wypląnął na powierzchnię, odrzucił włosy do tyłu i otarł twarz. Wyszedł z basenu i stał na brzegu, ociekając wodą. Jego ręcznik znajdował się po drugiej stronie, tuż obok Kat, a od czasu przyjęcia postanowił unikać macochy jak ognia. W jej obecności czuł się nieswojo, częściowo dlatego, że przypominała mu o jego lęku o London, a częściowo z powodu tego, co wydarzyło się tamtej nocy na parkiecie. Poza tym dodatkowo upokarzał go fakt, że Kat wiedziała o jego schadzce z prostytutką. Z dziwką! Tak jakby musiał za to płacić.

W końcu wiele dziewcząt w jego wieku pchało mu się w ręce, ale jego nie interesowały chichoczące dzieci. Taka podfruwajka pewnie pozwoliłaby mu się tylko obmacać w zamian za pierścionek czy coś w tym rodzaju. Dziewczęta szukały miłości, a jego to zupełnie nie interesowało. Nie wierzył w miłość, nigdy w nią nie uwierzył. Jego rodzice i rodzeństwo dowiedli mu, że miłość nie istnieje, że to tylko słowo, które nic nie znaczy.

Po rozgrzanym betonie, który parzył mu stopy, zbliżył się w końcu do Kat i chwycił swój ręcznik.

Spojrzała na niego i posłała mu zapierający dech w piersiach uśmiech.

- Widzę, że poczułaś się lepiej - powiedział słabo, czując, że macocha chce porozmawiać.

- Tak. - Podniosła okulary przeciwsłoneczne, żeby go lepiej widzieć.

Boże, ależ ona jest piękna. Pełne różowe usta, linia policzka i skroni. Stojąc nad nią, widział jej smukłą szyję i dekolt aż po zmysłowe wgłębienie między krągłymi piersiami. Linia jej opalenizny, teraz nieco przyblakłej, była wciąż wyraźna i Zach był pewny, że gdyby pochyliła się ciut do przodu, mógłby dojrzeć jej sutki.

- Żadnego trwałego uszczerbku na zdrowiu? - zapytała, jakby naprawdę ją to interesowało.

- Na to wygląda. - Przetarł ręcznikiem twarz i włosy, starając się nie zwracać uwagi na promieniującą od niej

niepohamowaną zmysłowość. Do diabła, czemu ona tak na niego patrzy?

- To dobrze. Martwiłam się o ciebie. - Przeciągnęła się wolno. W tym ruchu było coś kociego, niepokojącego. Poczł gorący dotyk słońca na karku.

- Naprawdę? - Nie wierzył jej i nagle znowu stał się czujny. Człł się jak królik, który dostał się we wnyki.

Kat przelknęła ślinę i oblizała swoje piękne usta. Gdzieś w domu trzasnęły drzwi.

- Tak, tyle rzeczy się zdarzyło, takich okropnych rzeczy... - W błękitnych oczach błysnęły łzy i nagle zrobiło mu się jej strasznie źal. - A ja cię tak źle traktowałam, wiem o tym. Ta scena w hotelu była zupełnie niepotrzebna. Byłam trochę wstawiona i źla, i... o Boże, Zach... chcę cię za to przeprosić.

- Nie ma o czym mówić - odparł Zach, czerwieniąc się natychmiast.

- Tak, jeśli mi wybaczysz.

Jezu, co tu się dzieje? Odchrząknął i popatrzył gdzieś w przestrzeń.

- Oczywiście.

- Dziękuję. - Jeszcze jeden zniewalający uśmiech, choć tym razem po jej policzkach spływały łzy. Zach zdał sobie sprawę, jak bardzo Katherine przeżywa utratę dziecka.

Człł się niezręcznie i głupio. Jak mógł przypuszczać, że jej zachowanie ma podtekst erotyczny! Jest zagubiona, zrozpaczona. Nerwowo kręcił ręcznikiem.

- Ja... to znaczy... nie martw się o London. Na pewno się znajdzie.

- Tak myślisz?

Do diabła, w jej głosie było tyle nadziei. Czy zrobił coś głupiego - czy obudził w niej złudną nadzieję, że jej córeczka wróci do domu, choć naprawdę być może już nie żyje? Do diabła z tym! Człł się coraz gorzej.

- Nie wiem... ale wszyscy jej szukają... - Zabrzmiało to nieprzekonująco nawet dla niego i zobaczył lęk w jej oczach. A niech to, słabo mu to wychodzi.

Kat podniosła rękę i ujęła jego dłoń w swoją. Zach miał wrażenie, że jego rękę na chwilę objął ogień.

- Mam nadzieję - szepnęła i zamrugła, ściskając jego palce. Tym razem przez jego ciało przebiegł prąd elektryczny o wysokim napięciu. Serce zabiło mu szybciej. W tej chwili wyglądała tak młodo, tak bezbronne, tak krucho. Musiał przypomnieć sobie, że to ona. - Boże, mam nadzieję, Zach.

Złapała go mocniej za ramię i wstała z leżaka. Stanęła tuż przed nim, a następnie, ku jego niewypowiedzianemu zdumieniu, wspięła się na palce i delikatnie, niewinnie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, Zach. Za zrozumienie. Potrzebowałam przyjaciela. - Spojrzała mu w oczy.

Zach człł jej oddech na swojej twarzy. Nie poruszył się, mając mglistą nadzieję, że ona jeszcze raz go pocałuje, ale Kat uśmiechnęła się tylko smutnie. Puściła jego dłoń, pozbierała swoje rzeczy i odeszła powoli w stronę domu.

Zach stał jeszcze chwilę, ociekając wodą i zachodząc w głowę, co się właściwie przed chwilą stało.

Ból, ostry i przerażający, jakby zesłany przez samo piekło, przeszył pierś Witta. Na moment stracił oddech i miał wrażenie, że jakaś nieubłagana dłoń chwyciła go zimnymi palcami za gardło, by go udusić. Gdzie te tabletki, do cholery? Zdołał otworzyć szufladę i zobaczył znajomą fiolkę. Ostatkiem sił otworzył ją i drżącą ręką włożył tabletkę nitrogliceryny pod język. Oddychał z trudem, czekając z łokciami na biurku i głową opartą na dłoniach, aż lekarstwo zacznie działać. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu. Odezwał się telefon wewnętrzny, Witt nie ruszył się jednak. Wiedział, że Shirley, jego sekretarka od ponad dwudziestu lat, odbierze wiadomość.

Telefon umilkł. Pięć minut później atak minął. Witt poczul, że wraca do życia, i poprawił krawat. Nikt poza McHenrym nie wiedział o chorobie. Dla wszystkich innych miała pozostać tajemnicą. Witt nie znosił słabości, a jego serce... cóż, nie jest już tak silny jak kiedyś.

Sięgnął do pudełka, podniósł pokrywkę i poczul ciężki zapach kubańskich cygar. Wyjął jedno i włożył do ust, ale go nie zapalił. Nie teraz, nie po ataku.

Wcisnął guzik interkomu, dowiedział się, że Roger Phelps czeka koło recepcji Danvers International, i kazał Shirley wprowadzić go natychmiast. Wciąż bał się zapalić cygaro, choć marzył o wciągnięciu w płuca dymu.

Po chwili Phelps siedział już naprzeciw niego po drugiej stronie biurka. Nie wyróżniał się absolutnie niczym. Luźne spodnie z irchy, brązowa marynarka, biała koszula i tani krawat w bliżej nieokreślonym kolorze. Twarz pozbawiona jakichkolwiek cech charakterystycznych. Regularne rysy z zaczątkiem drugiego podbródka, pasującego do wybruszenia pączkującego nad paskiem u spodni. Witt był bardziej niż rozczarowany wyglądem człowieka, który pracował w CIA, zanim porzucił agencję rządową dla niezależnej działalności.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Danvers? - zapytał Phelps nosowym głosem.

Podciągnął nieco spodnie, siadając, i Witt zauważył, że jego buty - tanie mokasyny od Kinneya - są już porządnie zniszczone.

- Zapewne domyśla się pan, czemu chciałem się z panem spotkać. Moja córka London została porwana. Policja i FBI to nieudolni dumie. Nie mają pojęcia, gdzie ona jest, a zniknęła prawie miesiąc temu.

Phelps nie odpowiedział, upił za to łyk kawy.

- Polecono mi pana jako znakomitego fachowca.

Wzruszenie ramion.

Witt zaczął się irytować.

- Może mi pan powie, czemu mam panu płacić, skoro FBI i policja nie zdołały niczego ustalić?

Na twarzy Phelpsa zaszła ledwo dostrzegalna zmiana, która przywiodła Wittowi na myśl wilka wietrzącego zwierzynę.

- To proste. Chce pan odnaleźć córkę.

- A pan może to zrobić? - Witt oparł się wygodniej w swoim fotelu. Może w wypadku Phelpsa pozory bardzo mylą.

- Jeśli nie, nic nie jest mi pan winien, z wyjątkiem zaliczki.

- W wysokości pięciu tysięcy dolarów.

- To niewiele, prawda? - Phelps postawił filiżankę na biurku. - Proszę tylko, żeby pańska rodzina była ze mną szczerą. Żadnych tajemnic. Żadnych kłamstw. Żadnych rodzinnych sekretów.

- To uczciwy układ. Może pan wypytać ich o wszystko, póki tu są, ale musi pan wiedzieć, że mam zamiar ich wywieźć - nawet starsze dzieci - na ranczo koło Bend. Nie chcę stracić już nikogo. Zachary... - Na myśl o swoim średnim synu Witt spochmurniał. Zawsze zbuntowany. Zawsze arogancki. Zawsze po uszy w kłopotach. Syn Polidoriego. Nie! - Zachary jedzie pierwszy, choć jeszcze o tym nie wie. Reszta dołączy do niego za kilka tygodni. Więc lepiej, żeby pan zaczął od niego.

- To ten, co wymyślił bajeczkę o prostytutce.

- Powiedział prawdę! - Uniósł się Witt. - Policja rozmawiała z tą dziewczyną, Sophią jakąś tam.

- Sophią Constanzo. Ja też z nią rozmawiałem.

Witt przesunął niezapalone cygaro z jednego kącika ust w drugi.

- I co powiedziała?

- To samo co policji. Niewiele. Zapewniła pańskiemu synowi alibi, ale mam przecucie, że kłamie.

- Przecucie? - spytał Witt sceptycznie.

- Proszę mi wierzyć, nie mówi wszystkiego, co wie. - Phelps uśmiechnął się ponuro. - Ale nie ma problemu. Poradzę sobie z nią. A jeśli chodzi o Zacha, to pogadam z nim i zobaczymy, może puści farbę. Wszystkich innych też złapię, zanim wyjadą. - Wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki i przez chwilę coś w nim szybko notował. Zmarszczył brwi. - A pańska żona? Zostanie tutaj czy pojedzie z dziećmi na ranczo?

Witt zawahał się, ale trwało to tylko sekundę. Od dłuższego czasu męczył się, nie wiedząc, jaką podjąć decyzję, ale teraz nie mógł już odkładać jej na później.

- Katherine jedzie na ranczo. - Sam nie wiedział, czemu myśl o wysłaniu jej do środkowego Oregonu przynosi mu ulgę. Miał jednak nadzieję, że zmiana otoczenia dobrze na nią wpłynie.

Phelps przekrzywił głowę, bacznie mu się przypatrując.

- A pan?

- Ja mam mnóstwo pracy. - Ten facet zaczyna grać mu na nerwach. - Znajdzie mnie pan tutaj.

- Dobrze. - Phelps założył ręce na brzuchu. - Chcę tylko jednego, szcerości. Pana i pańskiej rodziny.

- Załatwione - zgodził się Witt, chcąc jak najszybciej zakończyć to spotkanie. Ten dociekliwy człowieczek wydawał mu się coraz bardziej denerwujący. Ale potrzebował go. Potrzebował kogoś, kto pomoże mu odnaleźć London. Policja okazała się bandą głupców błędzących we mgle, a FBI całymi miesiącami nie było w stanie namierzyć porywaczy Patty Hearst... Czarne myśli zakradły się do jego głowy i zaczął się już zastanawiać, czy oto nie spotyka go kara... Nie wierzył zbyt w Boga, chociaż chodził do kościoła, wiedział jednak, że ma wiele na sumieniu.

- Aha, jeszcze jedno. - Phelps przerwał mu niewesołe rozmyślenia. Pochylił się do przodu i spojrzał Wittowi prosto w oczy. - Jeśli okaże się, że stoi za tym ktoś z pańskiej rodziny, to spodziewam się, że i tak otrzymam zapłatę.

- Tak, oczywiście - zgodził się Witt, choć poczuł, że kołnierzyk koszuli wpija mu się w szyję jak kolczatka.

Phelps uśmiechnął się z przymusem i Witt miał wrażenie, że jednocześnie pociągnął za łańcuch przytwierdzony do jego obroży, żeby mu przypomnieć, gdzie się znajdują.

- Dobrze. Rozumiemy się.

5

Gorący suchy wiatr wiał nad polami, niosąc kurz i zapach benzyny od strony traktora jadącego z warkotem drogą wzdłuż sosnowego zagajnika. Zach z wysiłkiem przeciągnął drut kolczasty między dwoma słupkami, zapierając się obcasami. Jego ramiona i czoło lśniły od potu, który wsiąkał w czerwoną chustkę na głowie. Słońce paliło niemiłosiernie, ale Zach nie zwracał na to uwagi.

- Zaczep tutaj - powiedział Manny, pracownik rancza. - Przytrzymaj, a ja zwiążę.

Pierwszy raz od wielu tygodni Zach czuł się wolny. Rany zablizniły się już prawie całkiem, a ranczo - trzy tysiące akrów na północny zachód od Bend - bardzo mu się podobało. Dotykając na wschodzie podnóża gór, ziemia Danversów ciągnęła się aż po horyzont. W przeciwieństwie do posiadłości w Portland, otoczonej wysokim, grubym murem niczym forteca, ranczo Łazy M było dzikie i bezkresne. Ta przestrzeń budziła zachwyt włóczęgowskiej duszy Zacha.

Przyjechał tu zaraz po rozmowie z Rogerem Phelpsem, który był kimś w rodzaju prywatnego detektywa wynajętego przez ojca. Detektyw był cierpliwy, mówił wolno i niemal udało mu się skłonić Zacha do powiedzenia czegoś, czego wcale nie miał zamiaru powiedzieć. Zach wyszedł z tego przesłuchania z przeświadczeniem, że zdaniem Phelpsa jest głównym podejrzanym w sprawie porwania. Zastanawiał się, czy nie wyjawic prawdy, ale nie widział, co donoszenie na Jasona mogłoby zdziałać dobrego. Kogo by to obchodziło? Te dwie sprawy były przecież zupełnie ze sobą niepowiązane. Zach miał własny kodeks moralny, choć niezbyt surowy. Jednej rzeczy na pewno nie robił nigdy - nie donosił.

Po rozmowie z Phelpsem przysłano go tutaj. Witt uważał, że ciężka fizyczna praca na ranczu - przy sianie, budowie ogrodzeń i wypasie bydła - oraz jazda konna dobrze mu zrobią. Lepiej niż znieawidzona szkoła wojskowa, której groźba wisiała nad nim stale, od chwili gdy London zniknęła. Witt sądził, że ciężka praca na wolnym powietrzu zmęczy syna i powstrzyma od wpakowania się znowu w jakieś kłopoty. Zach zgodził się tym razem bez dyskusji. Chciał wyrwać się z domu daleko od podejrzliwych spojrzeń macochy i policji. Jack Logan, podobnie jak Roger Phelps, zdawał się obwiniać Zacha o wszelkie możliwe przestępstwa.

Gdyby tylko wiedzieli.

Jasne, że Zach kilka razy wszedł w konflikt z prawem. Nieraz przyłapywano go na picu alkoholu. Kiedyś zabrał karawan i jeździł nim po mieście, podczas gdy dyrektor domu pogrzebowego i zrozpaczona rodzina nie wiedzieli, co się stało. Witt musiał się wtedy sporo namęczyć, żeby Zacha, mimo jego młodego wieku, nie oskarżono o kradzież pojazdu. Omal nie usunięto go też ze szkoły za wybuch spowodowany w jednym z laboratoriów. Brał udział w wielu bójkach i wypadkach motocyklowych, jeszcze zanim dostał prawo jazdy.

- Piekło na kółkach - nazywał go Jack Logan.

Jason wstawiał się za bratem.

- To tylko szczeniackie wygłupy - mówił ojcu. - Buntuje się trochę, to wszystko. Nic wielkiego. Daj mu się wyszumieć.

Kat wyglądała na rozbawioną.

- Założę się, że byłeś taki sam w jego wieku - powiedziała po incydencie z karawanem, kiedy rozwścieczony Witt zdradzał chęć uduszenia syna gołymi rękami.

Nelson, po każdym powrocie Zacha do domu nocą i z rozbitym nosem, chodził za nim, dopytując się o szczegóły i wyrażając nadzieję, że jego brat „nieźle skopał tyłek” przeciwnikowi.

Tylko Trisha nie mówiła nic, uśmiechając się tak, jakby była zadowolona, że to jemu się znów oberwało, a nie jej.

Tak, Zach przysparzał rodzinie wielu kłopotów i nic go to nie obchodziło. Witt najbardziej bolał nad tym, że Zach nie miał żadnych zainteresowań, żadnej pasji. Trisha zajmowała się przynajmniej swoją sztuką, Jason miał zamiar zostać najlepszym prawnikiem na całym Północnym Zachodzie. Zach tymczasem nie miał żadnych ambicji ani celu w życiu. Nie interesowały go hotele ani przemysł drzewny, ani nic luźno choćby powiązanego z Danvers International.

Ale Zach uwielbiał ranczo.

I nie miał nic wspólnego z porwaniem London. Tylko dlaczego nikt nie chce mu uwierzyć?

London była oczywiście nieznośna i Witt psuł ją niemożliwie, ale prawdę mówiąc, Zach lubił tę małą, która potrafiła zdobyć wszystko, co chciała, spoglądając na ojca z zadartą głową, podczas gdy jej błękitne oczy lśniły tajemniczo, jakby skrywały jakiś jej tylko znany sekret.

Tak, każdy, kto potrafił manipulować jego starym, wzbudzał szacunek Zacha. Nawet jeśli było to tylko czteroletnie dziecko.

Było mu przykro, że zniknęła, i starał się powstrzymywać od ponurych rozmyślań nad jej losem. Bo on w każdym razie uznał ją za zmarłą. A jeśli nawet żyła, ten, kto ją porwał, nie miał zamiaru jej uwolnić, minęło już za dużo czasu.

- Dobra, wystarczy! - Manny sprawdził swój słupek i zadowolony z tej części ogrodzenia dał Zachowi znak ręką. - Jest piątek, więc na dziś koniec.

Zach spojrział na zegarek. Kwadrans po piątej. Odkąd przybył na ranczo tydzień temu, Manny ani razu nie puścił go z pracy przed ósmą. Wszystko odbywało się co dzień tak samo. Zmachany Zach wracał wieczorem do domu, szedł pod prysznic, jadł kolację i zasypiał przed dziewiątą, by dobrze wypocząć przed kolejnym dniem pracy, który zaczynał się jak zwykle o piątej rano.

Teraz zsunął z czoła chustkę, otarł pot z twarzy i zszedł na ocieniony brzeg strumyka, gdzie zostawił swojego konia po lunchu. Mógł wprowadzić jeźdźcę w furgonetce obok kierowcy albo nawet na pace, ale wołał konie, a ten. Cyklon, był jego ulubieńcem. Uparty młody ogier z białymi skarpetkami na czterech nogach, znany z tego, że kopie i gryzie, był najszybszym koniem na ranczu.

- No, chodź - powiedział, nakładając mu pled i siodło na grzbiet. - Już czas.

Koń położył uszy i wierzgnął gwałtownie, ale Zach zdołał uniknąć uderzenia.

- Zimny drań z ciebie, wiesz? - Wskoczył na konia i chwycił lejce. - Mnie to zresztą nie przeszkadza, bo ze mnie też nieźle ziółko. Dalej! - Dźgnął boki konia, pochylił się do przodu, a Cyklon ruszył z kopyta.

Wiatr rozwiewał Zachowi włosy i wyciskał łzy z oczu. Drzewa po bokach zwały się w zieloną masę i Zach znowu poczuł się wolny i dziki - jakby mógł robić wszystko, na co mu tylko przyjdzie ochota.

Nie tęsknił za rodzeństwem. Jason zaprzedałby duszę diabłu za parę groszy, a Trisha buntowała się przeciw ojcu w sposób znany i wypróbowany - spotykając się znowu z Mariem Polidorim, synem odwiecznego wroga Witta. Najwyraźniej teoria, że kto się raz sparzy, ten na zimne dmucha, nie sprawdzała się w jej wypadku. Chodziły słuchy, że znowu bierze, choć Zach nie zauważył u niej żadnych oznak otumanienia narkotykami. A jeśli chodzi o Nelsona - ten był prawdziwym utrapieniem. Od porwania łąził wszędzie za Zachem, żeby wciąż słuchać historii o dziwce i nożownikach, jakby starszy brat był bohaterem wojennym. Drażniło to Zacha, bo dzieciak trochę przesadzał, a jego adoracja była strasznie męcząca.

Inna sprawa była z London. Zach zabronił sobie myśleć o niej, wołał wydawać się obojętny, niż domyślać się, przez jaki koszmar jego siostra może właśnie przechodzić.

- Dalej! - krzyknął na ogiera. Uderzył go piętami, a koń zareagował natychmiast. Przyspieszył, choć zbliżali się już do parowu, którym strumień płynął przez pola. Nie wahając się ani sekundy, Cyklon zebrał się w sobie i skoczył. Już po chwili koń i jeździec mknęli przed siebie po kamieniach, rozbryzgując czystą, zimną wodę.

Po drugiej stronie koń zręcznie pokonał kamienisty brzeg i ze zdwojoną energią, ochłodzony, pognął przez żółte ściernisko. Chmary koników polnych i spłoszone bażanty, trzepocząc skrzydłami, wyskakiwały ze stert słomy.

Zach położył się na grzbiecie ogiera, zmuszając go do jeszcze szybszego biegu. Cyklon pędził szybki jak wiatr, który świszczął mu w uszach. Końska sierść pociemniała od potu. Śmiejąc się głośno pierwszy raz od tygodni, Zach krzyczał coś, pijany radością istnienia.

Dopiero kiedy zbliżyli się do wybiegu dla koni, ściągnął lejce, zmuszając uparte zwierzę do uległości.

- Wolno! - krzyknął, unosząc się w strzemionach.

Kiedy wjeżdżali na wybieg, koń zdążył już przejść z galopu w kłus, a potem w spokojnego stępa.

Cyklon rzucał głową, walcząc z niewidzialnym demonem, który go dosiadł.

- Dobrze się spisałeś - powiedział Zach. Cyklon dyszał ciężko i Zach Utrzymywał go w ruchu tak długo, aż oddech konia się wyrównał. - Tak lepiej. No, już.

Zach nie zauważył siostry skrytej w cieniu sosen. Dostrzegł Trishę, dopiero gdy podjechał do ogrodzenia, a ona podeszła i wspięła się na górną belkę. Zrobiło mu się słabo na myśl, że znowu będzie musiał stawić czoło rodzinie. Nagle poczuł się tak, jakby mu podcięto skrzydła. Odezwał się w nim stary gniew i uraza, a ranczo, jeszcze przez chwilę tak wielkie i pełne możliwości, wydało mu się małe i nudne.

- To miejsce to prawdziwe więzienie! - Trisha odepchnęła na bok długą gałąź przełożoną przez ogrodzenie.

- Co tu robisz? - spytał Zach, chociaż dobrze wiedział. Wszyscy już tu są. Na dobre.

- Wakacje z rodziną - odparła sarkastycznie, marszcząc nos na widok much zbierających się wokół łajna. Smród obornika zmieszany z zapachem moczu, potu i kurzu wyraźnie ją zemdlił. - Wierz mi, próbowałam odwieść ojca od tego pomysłu, ale wiesz, jaki on jest, kiedy już wbije sobie coś do głowy.

- Taaak... - Zach zeskoczył z konia.

- W pewnym sensie rozumiem go. Ci wszyscy ludzie musieli go bardzo denerwować, siedząc w domu i czekając na telefon. Nawet policja i federalni. Nic nie robili!

Zach pamiętał tę atmosferę oczekiwania.

- Tato powiedział, że wszyscy gramy mu już na nerwach. Nic nowego - dorzuciła sarkastycznie.

Zach nie odpowiedział.

- Tak czy inaczej, myślę, że obawiał się następnego porwania.

- Wątpię. - Zach zdjął siodło z konia i przewiesił je przez ogrodzenie. - Czy to nie ty sama powiedziałaś kiedyś, że nic by go nie obeszło, gdyby porwano któreś z nas? Przejął się, bo chodzi o London.

Trisha zrobiła nadąsaną minę.

- Wiesz, myślę, że gdybym to ja nagle zniknęła, uczyłby ten fakt butelką najlepszego szampana.

- Przesadzasz - mruknęła Trisha bez przekonania, po czym, przechwyciwszy spojrzenie Zacha, powiedziała: - No dobrze, może masz rację. W każdym razie choć nie wiemy dlaczego, przysłał nas wszystkich tu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Wszystkich?

- Tak, łącznie z Kat.

Serce zabiło mu mocniej, ale zdołał ukryć emocje.

- No, jej się tu na pewno nie spodoba - rzucił obojętnie.

- Już się jej nie podoba. - Trisha urwała igłę z sosnowej gałęzi wiszącej nad jej głową i przyglądała się jej uważnie, obracając między palcami. - Żałuj, że nie słyszałeś tej awantury. Przypomniało mi się to, co wyprawiali ojciec z matką, zanim się rozeszli. Kat była naprawdę niezła, muszę przyznać, ale mimo protestów trafiła tu razem z nami i jest naprawdę wkurzona. Chciała zostać w Portland ze względu na śledztwo. Wyglądało na to, że zabierze dwudziestkę dwójkę ojca i podziurawi go jak rzeszoto, zanim wyjedzie z miasta. Ale ojciec oczywiście postawił na swoim. - Oczy Trishy pociemniały i Zach domyślił się, że nie myśli już o Kat.

- Zawsze stawia na swoim.

Trisha spojrzała na brata.

- Myślę, że ojciec miał szczególny powód, żeby pozbyć się jej z miasta.

Zach uniósł pytająco brwi.

- Kat zaczynała już świrować, bo śledztwo nie przynosi żadnych rezultatów. Ani policja, ani federalni nie mają pojęcia, czego się trzymać. Banda durniów.

- A Phelps?

- Ten prywatny detektyw? To chyba jakiś żart. Widziałeś kiedyś kogoś równie... pospolitego? - Rzuciła igłę na ziemię, otrzepała ręce i popatrzyła gniewnie na brata, jakby był odpowiedzialny za zaistniałą sytuację. - To zresztą bez znaczenia. Ojciec chce wierzyć, że to Polidori za tym stoi.

- A stoi?

- Anthony nie jest głupi. Zdawałby sobie sprawę, że będzie na czele listy podejrzanych.

Zach nie był przekonany, ale nie chciało mu się dyskutować. Niech Trisha myśli, co chce.

- To wszystko jest takie denerwujące. Odkąd London zniknęła, nikt nie może się ruszyć bez ochroniarza deptającego mu po piętach.

Zach przywiązał lejce do belki. Nie miał ochoty wysłuchiwać narzekań siostry. Trisha jest oczywiście wkurzona, bo nie może spotykać się z Mariem Polidorim. Obie rodziny były przeciwne temu romansowi. Była to jedyna i kwestia na przestrzeni ostatnich stu lat, co do której zgadzały się bez zastrzeżeń. Trisha argumentowała wprawdzie, że oboje są już pełnoletni, ale Witt postawił sprawę jasno - jeśli Trisha jest już dorosła, to niech się w końcu wyprowadzi i zacznie samodzielne życie. Dopóki mieszka pod jego dachem, ma stosować się do panujących tu zasad.

Trisha miała inne plany. Chyba wydawało się jej, że jest współczesną Julią, a Mario jej pięknym Romeem. Na samą myśl o tym Zach poczuł mdłości i splunął na zakurzone klepisko. Doprawdy, Trisha mogłaby wyciągnąć wnioski ze swojej znajomości z uroczym Mariem. Umieścił siodło na ramieniu i ruszył do stajni. Trisha weszła za nim do środka.

- Myślę, że moglibyśmy się dogadać.

Zach posłał jej spojrzenie, które mówiło: „Nie jestem zainteresowany, więc do widzenia”. Nie potrzebował problemów Trishy. Miał dość własnych. Tym razem mu się udało, ale stary cały czas bąkał o szkole wojskowej i Zach rozważał już potajemnie opuszczenie domostwa Danversów na zawsze.

- Słuchaj, Zach. Potrzebuję twojej pomocy.

Zach wytrzepał koc, wzbijając tuman kurzu i końskiego włosia, i powiesił go na drągu. Trisha zaczęła kichać i kaszleć, a Zach odwrócił się, żeby ukryć uśmiech. Ma za swoje. Nigdy nie lubiła koni. Przylazła tu tylko dlatego, że czegoś chce. I to bardzo.

- Dobra - powiedziała. - Sprawa jest prosta: muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. W nocy.

- Po co?

- To sprawa osobista.

- Żeby się spotkać z Mariem, co?

- Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

- Nie.

- Słucham? - Spojrzała na niego z urazą. - A ja wstawiałam się za tobą...

- Tak? A w jaki sposób? - zapytał Zach.

- Powiedziałam Kat, że ty nigdy nie zrobiłbyś London krzywdy.

- Dzięki za zaufanie - mruknął Zach. Wyciągnął z kieszeni swoją chustę i otarł szyję z potu.

- To więcej niż ktokolwiek inny dla ciebie zrobił, a Kat i tak nie jest jeszcze przekonana, że nie brałaś w tym udziału. Ale ponieważ masz dopiero szesnaście lat...

- Czemu miałbym porwać London?

- Dla pieniędzy - powiedziała Trisha powoli i Zach nie zdołał się opanować. Drgnął i spojrzał na siostrę, mrużąc wściekle oczy.

- No to chyba zażądałbym już okupu.

- Minęło niewiele czasu.

- A jak, na Boga, miałbym to zorganizować? Jak mógłbym porwać Ginny i London, ukryć je gdzieś i jeszcze pociąć się nożem, żeby zapewnić sobie alibi? To nie ma sensu, Trisha, wszyscy o tym wiedzą. Podejrzewają mnie, bo ja też wyszedłem z hotelu tamtej nocy, a nie ma nikogo innego, na kogo mogliby zrzucić winę.

- Powiedz to Loganowi.

- Logan to dupek. Do diabła, kogo to obchodzi? - Zach wypadł na zewnątrz, odwiązał Cyklona, który podrzucając łbem, dał się wprowadzić do stajni. Drżąc z bezsilnej złości, Zach napełnił wiadro wodą i dał koniowi pić. - Tracisz czas, Trisha - powiedział w końcu.

Trisha z ponurą miną przysiadła na worze owsa. Łokcie oparła na kolanach, a brodę na dłoniach. Patrzyła w zamyśleniu przez brudne okno, przygryzając dolną wargę.

- No już dobrze, dobrze - rzuciła. - Może rzeczywiście nie powinieneś być pierwszym podejrzany.

- Dzięki.
- Więc kto ją porwał?
- Nie chcę nawet o tym myśleć. - To była szczerą prawdą.
- Ktoś to zrobił.
- Cóż, więc Ginny.
- Tak, ale dla kogo pracowała?
- Nie mam pojęcia. Do licha, czy musimy znowu wywlekać to wszystko? - Zach nawet przed sobą nie chciał się do tego przyznać, ale brakowało mu tej małej. To prawda, wkurzała go czasami, przeszkadzała mu i nieraz opryskliwie kazała jej „spadać”. Ale martwił się o nią i często w nocy nie mógł zasnąć, zastanawiając się, gdzie może teraz być i czy jest cała i zdrowa.

Trisha wyciągnęła źdźbło siana ze żłobu.

- Jedno moje słowo i będziesz miał prawdziwe kłopoty.
- Jak to? - Zach rozczesał zgrzeblem grzywę Cyklona, odsuwając się, kiedy ogier próbował kopnąć go w gołęń.
- Mogłabym powiedzieć, że maczałeś palce w tym porwaniu. Że wiem to od Maria Polidoriego.
Zach zeszytniał. O co jej chodzi? Powoli zaczął szcزتkować grzbiet konia.
- To kłamstwo.
- Ale wszyscy w nie uwierzą. Wiesz, jakie plotki wciąż krążą na twój temat.
- Daj spokój, Trisha. - Znał plotki, ale nie chciał, żeby ktokolwiek mu o nich przypominał. Zaciśnął zęby i pracował, miarowo przesuwając zgrzeblem po sierści konia, ignorując siostrę i jej pogrożki. Chryste, czego ona od niego chce?

- Ja po prostu tu nie wytrzymam, Zach. Tu... nic nie ma. Chcę wracać do Portland.

- Dopiero co przyjechałaś.

- Co to ma za znaczenie?

- Chcesz być blisko Maria.

- No i co z tego?

Zach spojrział na nią z politowaniem.

- Obudź się, Trisha. Nic z tego nie będzie. Ojciec nigdy nie zaaprobuje związku z Polidorim.

- Od kiedy tak się mną przejmujesz?

- Wcale się nie przejmuję. To tylko dobra rada.

- Zachowaj swoje dobre rady dla siebie.

- Dobrze. - Zach otworzył drzwi stajni i wypuścił ogiera na wybieg. Parskając i rzucając łbem, koń wybiegł, wierzgał chwilę w miejscu, w końcu położył się na grzbiecie, wzbijając tumany kurzu i suchej ziemi. Po chwili Zach widział już tylko cztery białe pęciny wierzgające wściekle w powietrzu.

- Więc nie masz zamiaru mi pomóc? - spytała Trisha.

Zach potrząsnęła głową.

- Nie ma mowy.

Trisha uniosła cienką brew i uśmiechnęła się na poły tajemniczo, na poty złośliwie.

- No to pożałujesz.

- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem - odparł Zach zirytowany i wyszedł szybko ze stajni, marząc tylko o tym, żeby jego rodzina dała mu wreszcie święty spokój.

Minęło kilka godzin, zanim znalazła go Kat. Słońce już zaszło i Jason zabrał Trishę i Nelsona do miasteczka. Zach, który jak mógł, unikał rodziny, ukradł z lodówki dwa piwa i tak zaopatrzony wdrapał się na dach stodoły przylegającej do stajni. Ciemne niebo było usiane gwiazdami. Zach siedział na dachu sam, oparty plecami o wyższą zewnętrzną ścianę stajni, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Ze stajni dochodziło go parskanie koni i szelest słomy. Księżyc oświetlał słabo drzewa osłaniające ranczo i zabudowania gospodarskie. Dom jarzył się jak choinka na Boże Narodzenie, okna lśniły w ciemności ciepłym blaskiem. Kat nie położyła się jeszcze, krążyła po pokojach. Widział ją, jak mija kolejne okna, nie zatrzymując się ani na chwilę. Postanowił, że wróci do swojego pokoju dopiero wtedy, gdy w domu pogasną wszystkie światła i będzie miał pewność, że i ona już śpi. Dotąd udało mu się uniknąć spotkania z nią, wiedział jednak, że nie zawsze będzie miał takie szczęście.

Zgiął jedną nogę w kolanie i spojrział w niebo, próbując przywołać to uczucie wolności i nieskrępowania, którego doświadczał przed przyjazdem rodziny. Teraz jednak, nawet gdy spoglądał na ciągnące się w nieskończoność tereny na zachodzie, miał wrażenie, że coś go ogranicza, więzi. To wszystko przez nich. Zaciśnął zęby i otworzył puszkę piwa. Z sykiem pojawiła się piana. Zach szybko podniósł puszkę do ust i w tej samej chwili usłyszał ostrzegawcze warczenie starego psa, a tuż potem dźwięk kroków kogoś zmierzającego w stronę stajni. Serce na moment przestało mu bić. Kilka sekund później rozległ się charakterystyczny szcęk drabiny przyczepianej do okienka. I co teraz?

Poczuł zapach jej perfum, zanim jeszcze dostrzegł w okienku bladą twarz w obramowaniu czarnych jak noc włosów. Pomyślał o ucieczce, ale było już za późno.

- Manny powiedział, że może tu cię znaleźć - rzekła swobodnie, jakby całe życie wdrapywała się na drabiny. Wyszła przez okienko na dach stajni. Przytrzymując się jedną ręką krawędzi, podeszła do Zacha i usiadła obok niego.

Teraz od zapachu perfum zakreśliło mu się w głowie. Siedziała tak blisko, że czuł ciepło bijące od jej ciała. Przypomniał sobie tamtą chwilę, kiedy w tańcu trzymał ją w objęciach, taką zmysłową, gorącą i chętną... O Boże-

- Czego tu szukasz?

- Towarzystwa. - Uśmiechnęła się do niego. - Myślałam, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Gdzieś w oddali zawył kojot.

- Nie wiem, czy to możliwe.

- Możemy spróbować. Na początek mógłbyś mnie poczęstować piwem.

Zachowi całkiem zaschło w gardle. Podał jej drugą puszkę. Podziękowała mu jeszcze jednym uśmiechem, błyskając w ciemnościach bielą zębów, otworzyła ją i zachichotała, kiedy piana trysnęła w górę i ścięła po jej palcach. Zebrała ją językiem. Zach z całych sił starał się nie myśleć o tym, jak seksownie wygląda z tymi białymi śladami na ustach i brodzie.

- Noc jest dziś taka piękna - powiedziała, patrząc w niebo, i westchnęła głośno. - Jeśli ktoś lubi takie rzeczy.

- Ty nie lubisz?

- Ja jestem miejską dziewczyną. - Napila się piwa i podciągnęła kolana pod brodę. Objęła gołe nogi ramionami. Miała na sobie szorty, które ledwo przykrywały jej pośladki, ale Zach patrzył przed siebie i starał się myśleć o czymś innym. - Dorastałam w Ottawie.

Nie odpowiedział, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Siedzieli w ciszy przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca. Zachowi serce waliło jak młotem. Zastanawiał się, czy ona to słyszy. Udawał uprzejmą obojętność, ale podejrzewał, że przejrzała go na wylot.

- Nie chciałam tu przyjeżdżać - przyznała. - Wołałabym zostać w domu, na wypadek gdyby nadeszły jakieś wiadomości o London... - Przy imieniu córki głos jej zadrżał, ale opanowała się. Westchnęła i przeczesła palcami gęste czarne loki otaczające piękną twarz. - Nie przepadasz za mną, co, Zach? - spytała nagle.

- Jesteś moją... macochą...

- Taką jak ta zła macocha z bajki?

Wzruszył ramionami i jednym łykiem dokończył swoje piwo. Spojrzała na niego, jej oczy błyszczały wewnętrznym światłem. A potem, wciąż patrząc na niego, śmiało, otwarcie położyła mu rękę na ramionach i musnęła jego usta wargami. Zach przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

- Jezus, Katherine - wykrztusił. Serce waliło mu tak mocno, jakby miało zaraz pęknąć. - Przestań!

- Cśś. - Kat szybko przyłożyła znowu swoje usta do jego, zaledwie na sekundę - sekundę, która zmieni bieg jego życia. Jej wargi, miękkie i pełne, obiecywały raj na ziemi.

Zach wydał cichy, gardłowy jęk.

- Nie rób tego, Kat.

- Ty też tego chcesz. - Jej szept był tak cichy jak ta letnia noc.

Powtarzał sobie, że nigdy nie będzie mógł jej dotykać i całować, zabraniał sobie nawet myśleć o niej, ale teraz brakło mu sił, by wysunąć się z jej objęć. Jej usta poczynały sobie coraz śmielej, a okryte jedynie bawełnianą koszulką piersi musnęły jego odsłoniętą pierś.

Tysiące powodów, dla których powinien natychmiast przestać, przyszło mu natychmiast do głowy, walcząc o pierwszeństwo, ale kiedy poczuł na wargach jej język, poddał się. Rozchylił usta i oddał jej pocałunek, zapominając o całym świecie.

A jej język był delikatny, ciepły, cudowny. Dotknął podniebienia Zacha, musnął zęby i znowu wargi, obiecując niewypowiedziane rozkosze.

Ogarnęła go fala gorąca, poczuł, jak budzi się jego męskość, wypychając zapięcie krótkich spodenek. Nie rób tego! Przestań! - wołał jakiś wewnętrzny głos, ale było już za późno. Nie protestując więcej, sięgnął dłonią do jej głowy i wsunął palce w gęste czarne włosy. Kat zsunęła się trochę w dół i zaczęła całować jego nagą klatkę piersiową. Przeszedł go dreszcz podobny do ognia. Upuścił puszkę po piwie, która z hałasem stoczyła się po dachu. Zadrżał konwulsyjnie, ogarnęło go nieopanowane pożądanie. Objął ją z niespodziewaną, zrodzoną z rozpaczysią, pocałował zachłannie, gwałtownie. Myślał tylko o tym, żeby całą noc całować ją, pieścić, dotykać, kochać się z nią bez przerwy.

To żona twojego ojca! - zawołał teraz wewnętrzny głos i tym razem Zach go usłyszał. Znalazł dość siły, aby ją odepchnąć.

- To nie ma sensu - powiedział, dysząc ciężko, i natychmiast zapragnął cofnąć te słowa. Był tak rozpalony, że bał się nagłego, niekontrolowanego wyładowania. Zaciśnął palce na jej ramionach, trzymając ją na odległość wyciągniętych rąk.

Katherine zaśmiała się cicho, a jej głos zdawał się odbijać echem od dalekich wzgórz.

- O co chodzi, Zach?

- To, co robimy, jest złe. O to chodzi! - opuścił ramiona i przeczesał włosy drżącymi palcami.

Kat nachmurzyła się trochę.

- Od kiedy przejmujesz się tym, co jest dobre, a co złe?

- Nie drwij sobie ze mnie, Kat - odparł i sam zdziwił się przekonaniem, z jakim wypowiedział te słowa.

- Myślałam, że się rozumiemy. - Kat wzruszyła ramionami i przysiadła na piętach, patrząc na niego z góry. - Nie wiem, o co ci chodzi. Myślałam, nie, wiedziałam, że tego chcesz.

- Nie chcę.

Kat prychnęła pogardliwie.

- Prawdę mówiąc, jestem pewna, że właśnie tego potrzebujesz.

- Nie potrzebuję - powiedział z uporem, żałując, że nie może się odsunąć i zwiększyć dystansu między jej zmysłowym, pięknym ciałem a swoim, spoconym i drżącym. - Nikogo nie potrzebuję.

- Och, kotku, i tu się właśnie mylisz.

Z przerażeniem zobaczył, że znowu się do niego przysuwa. Poklepała go po głowie, jakby był niegrzecznym chłopcem, któremu jednak postanowiła wybaczyć. Zach odsunął się odruchowo, jakby jej dotyk go parzył.

- Zostaw mnie w spokoju, Kat - mruknął pod nosem. Ciągłe czuł ból w pachwinie i było mu strasznie gorąco, ale patrzył prosto przed siebie na zarys odległych gór, unikając jej wzroku. Kat westchnęła, wstała i przeszła po dachu z powrotem do okienka. Kiedy odeszła, Zach padł na wznak, patrząc gniewnym wzrokiem na gwiazdy i zastanawiając się, czemu jest takim idiotą. Mógł ją mieć, przyszła do niego sama i powiedziała, czego chce, a on, powodowany jakimś niedzisiejszym poczuciem honoru, odrzucił jej awanse. Czuł jeszcze unoszący się w powietrzu zapach jej perfum zmieszany z zapachem papierosów, pamiętał dotyk jej rąk, ten miękki, zmysłowy dotyk.

Jezu, ale z ciebie dureń.

W ciągu kolejnych czterech dni Zach unikał Katherine. Kilka godzin przed tym, jak Kat otwierała oczy, by powitać nowy dzień, zaczynał pracę w polu. Wracał o zachodzie słońca. Kat niezmiennie siedziała wtedy w swoim pokoju przy włączonym telewizorze. Nie widywali się prawie wcale. Jego rodzeństwo natomiast - wszyscy razem i każde z osobna - doprowadzało go do szału. Jason nachodził Zacha co chwila, proponując, że zabierze go do miasta na kobietki, Zach jednak zawsze odmawiał. Jason wyruszał więc samotnie na swoje wieczorne eskapady. Trisha usychała z tęsknoty za Mariem i zapewne snuła plany ucieczki do ukochanego. Popalała czasem marihuanę, a jej oczy często były podejrzenie szkliste. Kiedy była trochę oszołomiona, Zach miał z nią mniej kłopotu niż wtedy, gdy trzeźwa i przytomna opracowywała plany ucieczki. Nelson był zupełnie nieznośny. Nie ustawał w swojej czci dla bohatera, jakim był w jego oczach Zach. Łaził za nim wszędzie i bez przerwy chciał rozmawiać o nocy z prostytutką. Nie miało znaczenia, ile razy Zach tłumaczył, że nic szczególnego się wtedy nie stało poza tym, że trochę oberwał i ma kilka blizn więcej. Nelson był zafascynowany przejściami brata i pewny, że odniósł swe rany, broniąc honoru kobiety czy coś w tym stylu.

Dzieciak ma chyba nierówno pod sufitem, pomyślał Zach. Wyszedł spod prysznic i wciągnął szorty. Zainteresowanie Nelsona wszystkim, co miało jakikolwiek związek z seksem, wydawało mu się mocno skrzywione. Chłopak chciał wiedzieć wszystko o sadomasochizmie, wiązaniu i innych podobnych rzeczach, o których Zach nie miał i nie chciał mieć pojęcia. Kobiety i mężczyźni w skórach, z łańcuchami i pejcami w dłoniach - jak Anioły Piekieł czy coś w tym rodzaju. Na samą myśl o tym Zachowi cierpła skóra.

Zach dotarł do kuchni i porzucił rozmyślenia o Nelsonie, a zajął się zostawionym dla niego jedzeniem. Ponieważ pokojówka skończyła już pracę, sam odgrzał pieczeń wieprzową, wyjął z lodówki piwo i zaniósł to wszystko na ganek z tyłu domu. W rogu spał zwinięty w kłębek stary owczarek collie. Podniósł głowę, czując zapach mięsa. Zach rozsiadł się przy stole, a pies tuż przy nim, spoglądając z nadzieją na zawartość jego talerza.

- Daj spokój, stary - upomniął go Zach. - Zobacz, jaki jesteś gruby.

Pies kilka razy uderzył ogonem o podłogę. W oddali rozległo się pohukiwanie sowy i trzepot skrzydeł nietoperzy. Pachniało końmi, kurzem i szatnią. Zach pomyślał, że tu, w tym miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, mógłby odnaleźć spokój. Gdyby nie jego rodzina. Wykrzywił się szpetnie sam do siebie. Nie dość, że fizycznie nie przypomina nikogo z rodzeństwa, to jeszcze różni się od nich temperamentem. Jest inny. Jego bracia i siostra wciąż deklarowali miłość do matki, choć ich opuściła, i lgnęli do Witta, czy to z miłości, czy z chciwości - Zach nie miał co do tego pewności.

Skończył posiłek, rzucił psu kość do ogryzienia i wytarł palce o wystrzępione brzegi swoich krótkich spodenek. Dwoma haustami dokończył piwo i ruszył do kuchni po następne. Pijąc je szybko, poczuł przyjemny zawrót głowy. Zgniół puszkę w dłoni i wrócił do swojego pokoju. Włączył stereo, rzucił się na łóżko. Po chwili rozległy się dźwięki starej piosenki The Doors.

- *Come on. Baby, light my fire...*

Kat. Boże, ona potrafiła rozpalić ten ogień, niebezpieczny ogień. Zach zamknął oczy i słuchał.

- *Try and set the night on fire!*

Gdzieś trzasnęły drzwi, słaby powiew musnął zasłony. Otworzył oczy i leżał bez ruchu, patrząc w sufit. Był twardy, tak jak wtedy, kiedy Kat pocałowała go na dachu. Sama myśl o niej sprawiała, że trzy noce z rzędu nie

mógł zasnąć. Zaczął już nawet rozważać możliwość wyjazdu do miasta z Jasonem i znalezienia sobie jakiejś kobiety. Ale wspomnienie ostatniego spotkania z prostytutką zatrzymało go na ranczu. Nie potrzebował więcej kłopotów, choć, dobry Boże, potrzebował kobiety. Ten ucisk. Pulsowanie, pulsowanie...

Gdzieś w głębi duszy wiedział jednak, że wcale nie chce kobiety, jakiejkolwiek kobiety. Mógłby to oczywiście zrobić z pierwszą z brzegu dziewczyną, ale był pewny, że to Kat jest tą, której naprawdę pragnie. I to było najgorsze. Jego macocha. Przewrócił się na bok i pomyślał o samotnym zaspokojeniu swych żądz. Nie zdarzyłoby mu się to po raz pierwszy, rzecz jasna. Ale... potem zawsze czuł się tak głupio... tak samotnie i pusto. Spójrz prawdzie w oczy, Danvers, chcesz jej. Wystarczy przejść przez hol, skrócić za róg i zapukać do drzwi, a okaże się, że najślodsza, najgorętsza kotka po tej stronie Gór Skalistych czeka na ciebie, gotowa spełnić wszelkie twe zachcianki.

Zaschło mu w gardle. Przymknął oczy i poddał się losowi, czyli sięgnął do rozporoka.

W tej samej chwili usłyszał jakiś ruch przy drzwiach balkonowych, poczuł powiew powietrza na twarzy. Serce podskoczyło mu w piersi. Otworzył oczy. W pierwszej chwili sądził, że to jakaś zjawą, ta piękna kobieta po drugiej stronie szyby. Światło księżycy osrebrzyło czarne włosy Kat, jej jedwabna piżama połyskiwała w ciemności. Serce zaczęło bić mu tak głośno, że musiała to słyszeć, był pewien, że słyszała.

Pchnęła drzwi balkonowe, do pokoju wpadło kilka zeschniętych liści, wiatr rozwiął jej włosy. Kiedy weszła, zauważył, że ma łzy w oczach, drży i pociąga nosem.

- Co... co ty...?

- Po prostu mnie przytul, Zach - powiedziała cicho głosem pełnym bólu.

- O co chodzi?

Westchnęła, podeszła ciężkim krokiem do jego łóżka i stanęła tam, jakby nad czymś się zastanawiając. Zach usiadł.

- Nie powinnaś tu przychodzić...

- Wiem, ale... o Boże. - Podniosła wzrok na sufit, a po policzkach spłynęły jej dwie wielkie łzy. Po chwili płakała już otwarcie, szlochając rozpaczliwie. - Witt... dzwonił właśnie... policja zgubiła ślad... śledztwo jest ciągle otwarte. Ale oni wszyscy myślą, policja i FBI, że London... że London nie żyje. - Ostatnie słowa powiedziała niemal niedosłyszalnym szeptem.

Zach nie mógł się powstrzymać. Wstał i objął jej wstrząsane łkaniem ciało, próbując wlać w nią trochę otuchy.

- O Boże. O Boże. - Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi, obejmując ją mocno. Starał się, jak mógł, by patrzeć na nią nie jak na kobietę, ale jak na osobę ciężko doświadczoną przez los. Przywarła do niego całym ciałem jak dziecko, płacząc bez przerwy. Jej łzy spadały mu na pierś. Powtarzał, że London na pewno żyje i wkrótce wróci do domu, ale miał wrażenie, że kłamie.

Kiedy Kat trochę się uspokoiła, uniósł jej głowę i spojrzał w wilgotne, smutne oczy. - Powinnaś wrócić teraz do siebie, wziąć tabletkę na sen...

- Nie mogę. Nie chcę być sama. Proszę, Zach, nie wyrzucaj mnie. Pozwól mi tu zostać. Tylko mnie przytul, proszę. Nic więcej.

Zach czuł, że podpisuje na siebie wyrok, ale nie potrafił jej odmówić. Kiedy znowu na niego spojrzała, pocałował jej drżące wargi, wiedząc, że przekracza granicę, spoza której nie ma powrotu. Życie nigdy już nie będzie takie samo. Kłamstwa pokryją prawdę lepkiem brudem. Ale pocałował ją, a ona oddała pocałunek, drżąc i tuląc się do niego.

W głowie miał zamęt. Kiedy poczuł jej szczupłe palce zsuwające się w dół jego pleców i niżej, krew zawrzała mu w żyłach. Od dłuższej chwili rozbudzona męskość stwardniała jeszcze bardziej. Wiedział, że już za późno na odwrót. Sprawnie rozpięła guziki jego szortów. Jej miękkie, ciepłe dłonie dokonywały cudów, których istnienia nawet nie podejrzewał.

Przewrócili się na łóżko, szukając swoich ust. Zanim Zach zdał sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji swego czynu, zerwał z niej górę piżamy. Kilka szwów puściło pod niecierpliwym szarpnięciem jego rąk. Patrzył jak zahipnotyzowany na jej boskie piersi, na wpółotwarte wilgotne usta. Czuł jej dłonie na swoich plecach. Na moment zabrakło mu tchu, kiedy przejechała językiem po jego sutkach i rozchyliła nogi, unosząc biodra, by potrzeb swym kędzierzawym gniazdkiem o jego podbrzusze.

Zach przeraził się, że to może stać się zaraz.

- Kat...

- Po prostu zrób to, Zach. Proszę. - Ścisnęła palcami jego ramiona. Zach zamknął oczy i wszedł w to miękkie, wilgotne ciepło. Krzyknął i nie mógł się już zatrzymać. Trzy ruchy i było po wszystkim. Mokry i gorący opadł na nią, mgliście uświadamiając sobie, że właśnie zamienił swe życie w piekło. Syn, który traci cnotę z żoną swojego ojca, nie powinien spodziewać się, że będzie żył długo i szczęśliwie.

Ale nic go to w tej chwili nie obchodziło. Otulił się jej ciepłem i pocałował ją znowu. Przybyło mu pewności siebie. Teraz będzie inaczej, wolniej. Nauczy się od niej wszystkiego, co ona lubi, i będzie najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała.

Zach nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał tak mocno i zdrowo. Poruszył się i poczuł drugie ciało leżące tuż przy nim, miękkie, ciepłe i nagie. Uśmiechnął się na wspomnienie nocy pełnej miłości. Przewrócił się na bok i zobaczył Kat spoglądającą na niego spod w półprzymkniętych powiek. Świtało. Wkrótce słońce wzejdzie nad horyzont i ranczo zbudzi się do życia. Kat będzie musiała iść do siebie.

- Zastanawiałam się, jak byłoby mi z tobą - powiedziała, przesuwając palcem po bliźnie wciąż widocznej przy linii jego włosów. Uśmiechnęła się, ale oczy miała smutne.

- I jak było? - Potarł nosem o jej policzek. To, co robił, było niebezpieczne, ale nie mógł się powstrzymać. Kochał się z nią tej nocy trzy razy, ale obudził się gotowy, by zrobić to po raz czwarty. Może jest jeszcze dość czasu na krótkie...

- Najlepiej, Zach - powiedziała, choć na jej twarzy wciąż malowała się troska.

Zach uśmiechnął się i odsunął jej z twarzy czarny loczek. Gdyby tak samo mógł zetrzeć smutek z jej ust i oczu. Jakby czytając w jego myślach, zaczęła łkać cicho i przysunęła się bliżej, przytulając do niego nagie ciało.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Nic na to nie poradzę, nie...

- Ćśś. Znajdziemy London. - Nagle poczuł się silny, zdolny zmienić świat. - Ja ją znajdę.

- Och, Zach, co ty możesz zrobić...

- Zdziwisz się. - Jego dłonie odnalazły jej piersi. - Pozwól, że ci pokażę...

Jej ciało zeszytywniało nagle, odsunęła się od niego i znieruchomiała z szeroko otwartymi oczami.

- Słyszałeś to?

- Nie...

- A ja tak. - Usiadła na łóżku, przyciskając prześcieradło do piersi. - Słyszę coś...

Zach zmarszczył brwi, nasłuchując. Jęknął, kiedy i do niego dotarł dźwięk silnika samochodu - prawdopodobnie furgonetki.

- To pewnie Pete przyjechał dziś wcześniej. Zdarza mu się to czasami - powiedział Zach, znowu podniecony. Boże, nie miał jej dosyć. Położył dłoń na wygięciu jej biodra.

- Jesteś pewny? - zapytała, ciągle niespokojna.

- Uhm. - Znowu zaczął nasłuchiwać i nagle serce na moment przestało mu bić. Dźwięk nie pochodził z silnika rozklekotanej furgonetki. Był to cichy, równy pomruk dobrego, drogiego samochodu jadącego w dół alei. Na przykład lincolna continental. - O Boże!

Rozległ się chrzęst żwiru na podjeździe przed domem i pisk hamulców.

- Witt - szepnęła Katherine.

- Nie... - ale mówiąc to, słyszał już szybkie kroki na ścieżce. Kroki, które rozpoznałby na końcu świata. Stanowcze kroki jego ojca. Kroki przeznaczenia.

- Do diabła, Kat! Musisz stąd uciekać!

Było już jednak za późno. Rozległ się szcęk otwieranych drzwi frontowych i kroki, głośniejsze teraz i jeszcze szybsze, zbliżały się do małżeńskiej sypialni. Kat znieruchomiała, słysząc stukanie do drzwi.

- O Boże - szepnęła. - O Boże.

- Wychodź. Tędy - Zach pchnął ją w stronę drzwi balkonowych.

Kat wyskoczyła z łóżka, złapała swoją podartą piżamę i podbiegła do okna. Głos Witta słychać było w całym domu.

- Katherine? Jesteś tu? - Był już mocno zaniepokojony.

- Idź! - Zach chwycił spodenki i wciągnął je, słysząc, jak pierwsze drzwi w tym korytarzu otwierają się i znowu zamykają. Jeszcze tylko kilka sekund.

Drzwi do jego pokoju otworzyły się w chwili, gdy Kat zniknęła na balkonie.

Stojący w drzwiach ojciec wydawał się olbrzymi. Zach nawet nie próbował udawać, że śpi. Witt nie odezwał się ani słowem, rozejrzał się tylko po pokoju, spojrzął na zmiętą pościel i pociągnął kilka razy nosem. W powietrzu wciąż unosił się zapach perfum Katherine. Usta Witta zmieniły się w wąską białą linię. Mięsień pod okiem zaczął mu drgać nerwowo.

- Wynoś się - rzucił przez zaciśnięte zęby. Zach stoczył się z łóżka, kiedy pięść ojca wylądowała na jego szczęce. Ból zaślepił go na moment. - Ty podły bękarcie!

- Witt! - W drzwiach stanęła Kat, ściskając konwulsyjnie klamkę. - Przestań. To... to moja wina.

- Twoja wina? Zmusiłaś go, żeby się z tobą pieprzył? - Z nieludzką siłą Witt pchnął syna na ścianę.

Zach uderzył w mur głową, tynk posypał się na podłogę.

- Ty cholerny sukiny! - ryknął Witt, potrząsając nim jak workiem kartofli. Lustro spadło ze ściany i rozbiło się na tysiąc kawałków. - Zawsze podejrzewałem, że nie jesteś moim synem, a teraz jestem tego pewny! Wynoś się, zanim cię zabiję!

Zach rzucił się do drzwi. Prawie nie widział, gdzie idzie, czuł, że coś lepkiego i gęstego spływa mu z tyłu głowy.

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknęła Kat. Zach usłyszał odgłos uderzenia, od którego zrobiło mu się słabo. Odwrócił się i zobaczył czerwony ślad na policzku Kat i zdumienie na twarzy Witta, jakby sam nie wierzył, że

zrobił coś takiego.

- Nigdy więcej nie waż się mnie tknąć - rzuciła, wycofując się z pokoju.
- Przepraszam, Katherine, przysięgam, nigdy bym cię nie skrzywdził...
- Zrobił krok w jej stronę, ale ona odsunęła się dalej.
- Trzymaj się ode mnie z daleka, Witt, mówię poważnie - powiedziała i wybiegła w szary, chłodny świt. Potężne ramiona Witta obwisły, oparł się o ścianę. Spojrzał na syna wzrokiem, który przeklinał go na wieki.
- Zobacz, co narobiłeś, Zach - powiedział, z trudem łapiąc powietrze. Dysząc zemstą, poluzował krawat i Zach natychmiast przypomniał sobie czasy, kiedy dostawał od ojca pasem. Nigdy więcej. Nie będzie znosił tego, przez co musiał przechodzić, kiedy miał osiem lat, przerzucony przez łóżko, gryząc wargi do krwi, żeby nie krzyknąć i nie płakać. Mowy nie ma.
- Wynoś się teraz i nigdy więcej... - Witt zbladł nagle jak ściana i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął fiolkę i drżącymi palcami zdjął wieczko. Włożył tabletkę pod język. - Nigdy więcej tu nie wracaj.
- Nie wrócę - obiecał Zach, zaciskając zęby. Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości ogarnęło drżeniem całe jego ciało. Spojrzał ojcu w oczy bez cienia wyrzutu sumienia. - Nigdy już mnie nie zobaczysz.
- Niebieskie oczy Witta odpowiedziały mu zimną furią.
- Tego sobie właśnie życzę, chłopcze. - Zrobił krok w stronę syna. - Ale jeśli odkryję, że miałeś coś wspólnego z porwaniem swojej siostry, przysięgam, że dorwę cię, gdziekolwiek byś był, i osobiście rozerwę cię na strzępy.
- Zach, potykając się, ruszył do drzwi. Bolała go głowa i szczęką. Spojrzał po raz ostatni na człowieka, którego przez całe życie nazywał ojcem. Teraz musi już iść. Natychmiast. Musi uciekać tak daleko i tak szybko, jak zdoła. A jeśli ponownie spotka Witta Danversa za sto lat, to i tak będzie za wcześnie.

Część druga
Portland, Oregon
1993
Rodzina

6

- Wspomnienie tych chwil było tak żywe, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.
- Pan jest mściwym Bogiem, Adria...
 - To nie mój Bóg - odparła Adria, wówczas osiemnastoletnia. - To twój Bóg, mamó. Twój. Ale nie mój!
 - Policzek, który Sharon Nash wymierzyła swojej adoptowanej córce, był jednym z niewielu i Adria odczuła go bardzo boleśnie - zdawał się sięgać samego jądra jej duszy.
 - Nigdy, nigdy więcej tak do mnie nie mów. - Kwaśny oddech Sharon, zmieszany z zapachem kawy i ginu, owiał twarz dziewczyny. - A teraz idź się umyj. I zapomnij o tym chłopaku Kennedych. Więcej się z nim nie spotkasz. To śmieć. Słyszysz? Śmieć. Jak jego matka. Zła krew płynie w jego żyłach, dziecko.
 - A jaka krew płynie w moich?
 - Nie wiemy. Ty też nie musisz tego wiedzieć.
 - Oczywiście, że muszę!
 - Niezbadane są wyroki Pana, ale przywiódł cię do nas nie bez powodu. Ty masz się poddać woli Boga bez gadania. Słyszysz?
- Adria odwróciła się na pięcie i pobiegła do swojej małej sypialni na poddaszu. Całe lata temu. A wydaje się jej, że było to zaledwie wczoraj. Wypowiedziane wówczas słowa rozbrzmiały teraz w malutkim pokoiku motelowym przy Osiedziu Drugiej Alei. Przypomniała sobie tę kłótnię z powodu spotkania z Zacharym Danversem, kolejnym buntownikiem, kolejnym mężczyzną, którego powinna unikać. Rozmawiała z nim wprawdzie tylko przez kilka minut, ale przeczytała wszystko, co udało jej się znaleźć w prasie o nim i jego rodzinie, jej rodzinie. Nie była tym rozczarowana. Wyraźnie był czarną owcą - często uciekał z domu i postępował wbrew woli ojca. Wszystko robił po swojemu, guzik go obchodziło, że urodził się w tak bogatej rodzinie, a jego niezależna, rogata dusza pewnie nieraz okazała się przekleństwem. Tak, on może zechce pomóc jej dotrzeć do prawdy.
- A może nie. Zdaje się, że na rok przed tym, jak Witt zmarł, on i Zach postanowili zakopać topór wojenny. Tak czy inaczej Adria czuła, że Zachary będzie jej jedynym sprzymierzeńcem w rodzinie. Pozostali byli zainteresowani wyłącznie fortuną Witta.
- Może Zachary też tylko o tym myśli. Jeśli tak, będzie musiała stoczyć bitwę znacznie cięższą, niż początkowo sądziła.
- Spojrzała na swoje odbicie w pękniętym lustrze i zagryzła wargi. Czy to z góry przegrana sprawa? Czy naprawdę sądzi, że może zmierzyć się z wpływową, wszechwładną w tym mieście rodziną Danversów? I dlaczego Zachary Danvers, jej przyrodni brat - nazwijmy w końcu rzecz po imieniu - wydal jej się tak atrakcyjny?
- Adrię zawsze ciągnęło do mężczyzn, którymi Sharon Nash głęboko gardziła - samotnych buntowników, wyrzutków, nieudaczników. Do wszystkich Zachów Danversów tego świata.
- Gdy zastanawiała się, do kogo z rodziny Danversów zwrócić się najpierw, instynktownie pomyślała o Zachu.

Czuła, że tylko jemu spośród rodzeństwa może zaufać. Zaufanie! Ironicznym parsknięciem skwitowała własną głupotę. Zach Danvers był pewnie równie godny zaufania jak głodny kot na polowaniu. Znalazła kopię taśmy wideo, która przywiodła ją do Portland, i wsadziła do torebki. Zastanawiała się, dlaczego dotychczas tak niewiele wie o mężczyznach.

Fakt, że Zachary może być jej przyrodnim bratem, wcale automatycznie nie zapewnia jej bezpieczeństwa. Wyglądał trochę jak drapieznik, jak nie do końca oswojone dzikie zwierzę. Na pewno był człowiekiem, który podejmie każde wyzwanie, mężczyzną, którego nie będzie zbyt interesowało, że ona może być jego siostrą. Tak, było w nim coś pierwotnego, zwierzęcego - czysto męskiego i niebezpiecznego - przy czym wszelkie związki rodzinne czy zakazy społeczne po prostu się nie liczyły. Był dziki, seksowny, nieobliczalny.

Nic dziwnego, że jej się spodobał. Zawsze podobali jej się chłopcy i mężczyźni ze szramami na twarzach - gwałtowni i nieodpowiedni.

- Idiotka - powiedziała do swojego odbicia w lustrze, stojąc boso na poplamionym pomarańczowym dywanie, przy drzwiach wytartym już prawie do osnowy.

Ale jeśli nie może zaufać Zachary'emu, to komu innemu w tej rodzinie miałaby zawierzyć? Nikomu. Tak jak oni nie mogą zaufać jej.

Ubrana tylko w koronkową halkę przeszła do łazienki, gdzie na drzwiach wisiała jej sukienka. Znalazła ją w butikującym ubrania „z drugiej ręki”. Biała jedwabna sukienka opatrzona metką znanego projektanta leżała na niej idealnie. Adria nigdy dotąd nie miała takiej kreacji, nigdy też nie wydała tylu pieniędzy na kiecę, w dodatku używaną.

Jej adopcyjna matka była oszczędną, bogobojną kobietą. Nie uznawała żadnych ozdób ani biżuterii, z wyjątkiem ślubnej obrączki lub złotego krzyżyka na łańcuszku. Ubierała siebie i córkę skromnie. Sukienki musiały być przede wszystkim praktyczne i tanie, buty - solidne i pasujące do wszystkiego.

Ojciec był zupełnie inny. W przeciwieństwie do żony Wiktor był typem marzyciela, który zawsze spodziewał się zbiorów większych, niż mogła dać ziemia, który zawsze z nadzieją patrzył w przyszłość, głęboko przekonany, że każdy następny rok będzie lepszy od poprzedniego.

A Adria mu wierzyła. Kiedy odkryła jego tajemnicę - to znaczy przekonanie, że to ona może być zaginioną London Danvers - chwyciła zawieszoną przed nosem złotą marchewkę. I trzymała ją mocno.

Rozpoczęła metodyczne poszukiwania, przeczytała każdą notkę i artykuł poświęcony Danversom, przeszukała dokładnie papiery zgromadzone w biurku ojca, zadzwoniła do sekretarki nieżyjącego już wuja Ezry, modląc się o coś, co ponad wszelką wątpliwość potwierdziłoby, że jest lub że nie jest małą zaginioną księżniczką potentata z Portland. Ezra Nash, prawnik znany ze skłonności do naginania prawa, zajmował się wszystkim, co miało związek z jej adopcją. Niestety, albo nie przejmował się zbyt gromadzeniem dokumentów, albo zostały one już zniszczone, albo też okoliczności jej narodzin miały pozostać tajemnicą.

Adria starała się zachować spokój i nie poddawać emocjom, jakie wzbudziła w niej myśl, że jest być może London Danvers, że może w końcu odkryje swą prawdziwą tożsamość. Ma zaledwie jedną szansę na milion, że istotnie jest córką Danversów, powtarzała sobie bez przerwy. Ostatecznie jednak poszła za głosem serca - a także za głosem ojca - i pojechała starym chevy nova na zachód do Portland, rodzinnego miasta London. Po drodze prawie uwierzyła, że istotnie jest London Danvers, nabrała przekonania, że odnajdzie swoją prawdziwą rodzinę, która po pierwszych trudnych chwilach otrząśnie się z zaskoczenia i otworzy ramiona, by ją powitać. Przekrzywiając głowę, by zapiąć kolczyki z cyrkoniami, zagryzła dolną wargę. Małe przejrzyste kropelki migotały w świetle jak najprawdziwsze diamenty, którymi nie były. Miały wyglądać na drogocenne klejnoty, a były tylko tanimi, pospolitymi błyskotkami.

Jak ty.

Nie! Nigdy nie uwierzy w historie, których słuchała przez całe życie, szeptane za jej plecami w małym miasteczku, gdzie dorastała. Zadrżała na wspomnienie tamtych czasów. Miała wtedy zaledwie jedenaście lat. Tommy Sinclair, dwa lata od niej starszy, złapał ją na boisku, próbując zaimponować kolegom. Adria walczyła jak lwica, kopiąc, drapiąc i krzycząc, ale Tommy położył swoją brudną tłustą łapę na jej ustach i zawłókł ją za róg zabudowań szkolnych, gdzie za tamaryszkiem stały wielkie kontenery na śmieci, które okropnie śmierdziały. Było tam zupełnie pusto. Ani żywej duszy w zasięgu wzroku - mogło się zdawać, że pełne dzieci boisko znajduje się w odległości tysiąca kilometrów. Ich śmiech i krzyki brzmiały tu jak odgłosy z innej galaktyki.

- Przestań! - usiłowała krzyknąć, ale wielka dłoń skutecznie tłumiała jej głos.

- Zamknij się, głupia suko, i rób, co do ciebie należy! - wrzasnął Tommy, rzucając ją na ziemię. Jego małe świńskie oczka błyszcząły z podniecenia.

Adria uderzyła głową o brudne klepisko i nagle cały świat zawirował jej przed oczami. Tommy usiadł na niej okrakiem, przygniatając ją ciężarem swego ciała. Kropelki potu spływały mu z nosa na jej bluzkę.

- Puść mnie! - błagała Adria, ale on tylko mocniej przycisnął dłoń do jej ust.

- Chcę tylko zobaczyć, co tam masz na dole, a może tu na górze. - Siedział jej na żebrach, utrudniając oddychanie. Adria tłukła go, gdzie popadło, machając rozpaczliwie ramionami i szarpiąc za włosy.

- Przytrzymajcie ją! - krzyknął Tommy do swoich kolegów Bena Whittakera i Billy'ego Ackermana, którzy

wyszli teraz zza tamaryszku. Odgłosy boiska wydawały się tak dalekie...

Głos Bena był teraz trochę zaniepokojony.

- Nie, Tommy, nie sądzę...

- Przytrzymaj ją!

- O cholera! - Ben posłusznie złapał ją za nadgarstki i usiadł jej na rękach. Adria usiłował zwinąć dłonie i uszczypnąć go, ale był za ciężki i za silny.

- Daj spokój, Tommy, nie rób jej nic! To miał być tylko żart...

- Zamknij się, idioto! To był twój pomysł!

- Nie! Nie! Nie! Pomocy! - próbowała krzyczeć Adria, ale żaden dźwięk nie wydostał się spod dłoni Tommy'ego. Spojrzała w górę, szukając wzrokiem pomocy u Bena, ale on odwrócił głowę, jasne włosy opadły mu na oczy. Ogarnęło ją przerażenie i wściekłość. Przyszło jej nagle do głowy, że jest zupełnie bezsilna, ale wiedziała, że nie może poddać się tej myśli. Tommy rozerwał jej bluzkę. Piersi, widoczne pod cienkim sportowym stanikiem, były małe, a brodawki nieproporcjonalnie duże w stosunku do niewielkich wypukłości, które wieńczyły.

- Kurczę, tu nic nie ma.

- Przestań! - udało się jej krzyknąć przez jego palce.

- Dalej, Tommy! - zachęcił go przyszczaty Billy piskliwym, podnieconym głosem. - Zobacz, co jeszcze ma!

Adria żałowała w tej chwili, że nie jest martwa. Gorące łzy wstydu i gniewu napłynęły jej do oczu. Wierciła się gorączkowo, próbując zrzucić napastnika. Przez cienkie dzinsy Bena zdołała wbić paznokcie w jego ciało.

- Hej, to dzika kotka! - zawołał Ben, marszcząc brwi.

Tommy rozerwał jej stanik i popatrzył na żałośnie małe piersi.

- Płaska jak deska - oznajmił.

Billy zaśmiał się drwiąco.

- Dość tego, Tommy - powiedział Ben, rozluźniając ucisk.

- Mowy nie ma, zabawa dopiero się zaczęła - odparł Tommy. W kącikach jego ust, pod wąsikiem, którego nie zaczął jeszcze golić, pojawiła się ślina. Adria wierzgała z furją, w tej chwili wypełniała ją nienawiść do nich, do siebie samej, do pani Eliot, nauczycielki, która się nimi tego dnia zajmowała, że nie przyszła jej na ratunek. Wzniesając kłęby kurzu, miotła głową w piasku, ale Tommy tylko zachichotał szyderczo na te daremne próby oswobodzenia. Zmarszczył nos, przyglądając się jej drobnym piersiom, i sięgnął niżej, zsuwając się w dół klatki piersiowej, tak że nie mogła go kopnąć. Odnalazł zamek błyskawiczny jej spodni i rozpiął go ze złowieszczym świstem.

- Nie! - krzyknęła przez jego dłoń. Wiła się rozpaczliwie, chcąc zrzucić ciężar przygniatający ją do ziemi.

Ale Tommy miał nad nią przewagę dwóch lat i dziesięciu kilogramów, a jej wysiłki tylko wzbudzały w nim śmiech.

- Wiesz, Adria, że jesteś bękartem jakiejś dziwki? Dała się wypieprzyć i wpadła. Pewnie nawet nie wiedziała, kto był twoim ojcem.

- Nie! - krzyczała, ale wielka łapa tłumiała jej głos.

Palce Tommy'ego wcisnęły się pod jej majtki, uśmiechnął się obleśnie.

- Tak. Twoja matka była dziwką. Dawała każdemu za kilka dolców. Pewnie nie było tu chłopaka, z którym tego nie robiła. Założę się, że pójdziesz w jej ślady, jak ci już urosną cycki. - Wsunął rękę głębiej.

Boże, jeśli istniejesz, spraw, żeby padł martwy na miejscu! Proszę! Obiecuję, że będę grzeczna!

- Lepiej przestań - powiedział Ben zdenerwowany.

- Jeszcze nie! Najpierw zobaczymy, co tam chowa między nogami. Może ma chociaż niezły...

Adria otworzyła usta najszerzej, jak się dało, i z całej siły ugryzła go w rękę. Chwyliła zębami zaledwie mały kawałek brudnej, spoconej dłoni, ale Tommy wydał ryk bólu, a ona szybko podniosła kolano, próbując kopnąć go między nogi.

- Ty suko! - rzucił wściekle. Jego oczy zmieniły się w dwie szparki wypełnione zimnym okrucieństwem. - Powiniennem nauczyć cię rozumu. Tu i teraz! - Sięgnął do rozporoka, a Adria z przerażeniem zobaczyła wypukłość pod jego dzinsami.

Zaczęła krzyczeć, a on z całej siły uderzył ją w twarz. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Przestań, Tommy! - krzyknął Ben, zrywając się na równe nogi i puszczając jej ręce. - Zostaw ją!

- Mowy nie ma. To tylko głupia dziwka, jak jej matka. Chce tego.

- Nie! - krzyczała Adria, wierzgając, kopiąc i machając rękami na oślep.

- Chodźcie, chłopcy. - Głos Bena drżał. - Idziemy stąd...

- On ma rację - zgodził się Billy. - Lepiej stąd spływajmy. O kurczę!

Kątem oka Adria dostrzegła jakiś ruch i nagle inny chłopak wpadł na nich, uderzył Tommy'ego w brzuch, zrzucając go z niej w piasek. Szybko się zerwała, patrząc z przerażeniem, jak Mark Kennedy z zaciśniętymi pięściami rzuca się na jej oprawcę.

- Ty tłusta świnię, zostaw ją w spokoju!

Po chwili jednak Tommy przekreślił się i uderzył Marka pięścią w twarz. Mark, drobniejszy, runął na wznak.

Zerwał się natychmiast i stanął między Adrią a napastnikiem.

- Nie wtrącaj się do tego, Kennedy. - Tommy dyszał ciężko i pociągał nosem, z którego cienką strużką płynęła krew. Z boiska po drugiej stronie zagajnika dobiegł przenikliwy gwizd.

- O cholera! To stara pani Eliot! - Z tymi słowami Billy przeskoczył ogrodzenie, a za nim uciekł Ben.

Tommy wahał się jeszcze. Z kącika jego ust także płynęła krew, ale patrzył na Adrię wzrokiem pełnym nienawiści.

- Wszyscy wiedzą, że twoja matka cię nie chciała. Oddała cię temu suchemu farmerowi i jego żonie, bo miała cię gdzieś.

- Nie!

- Była dziwką, Adria. Dawała każdemu i lubiła to. Nawet nie wiedziała, kto był twoim ojcem!

- Zamknij się!

- A ty...- Tommy spojrzał na Marka. - Twój ojciec to oszust, a matka się puszcza!

Mark zacisnął pięści i z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości rzucił się na Tommy'ego. On jednak zdążył już przeskoczyć przez płot. W tej samej chwili rozległ się dzwonek. Mark kopnął płot, odetchnął parę razy głęboko, a potem odwrócił się do niej.

- Wszystko w porządku?

Adria kiwnęła głową, ale nie mogła powstrzymać łez.

- Nie przejmuj się Tommym, to dupek. Nie wie, o czym mówi.

Adria spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Czy... czy to prawda? Czy wszyscy wiedzą, kim była moja matka?

Mark otarł nos rękawem swetra.

- Ależ skąd. On ma nierówno pod sufitem, wiesz o tym...

- Nienawidzę go!

- Wiem. - Mark uśmiechnął się ponuro. - Ja też.

Rozległ się dźwięk drugiego dzwonka.

- Udowodnię mu, że się myli! - zawołała Adria.

- Jasne, zaraz po tym, jak ja go zabiję.

- Ja... chciałam... - Adria nagle nie potrafiła znaleźć właściwych słów. - Chciałam ci podziękować. Za...

- Nie ma za co. - Mark wzruszył ramionami. - Od dłuższego czasu czekałem na jakąś okazję, żeby mu przyłożyć.

Tommy, Ben i Billy zostali zawieszani w prawach ucznia na tydzień. Ale tego dnia Adria zakochała się w Marku Kennedym i rozpoczęła podróż w poszukiwaniu swojej tożsamości. Zawsze ciekawiło ją, skąd pochodzi i kim byli jej biologiczni rodzice. Jednak dopiero po upokorzeniu, jakiego doznała na boisku, postanowiła się tego dowiedzieć. Tommy dostarczył jej bodźca i teraz, wiele lat później, być może uda jej się poznać prawdę.

Wyjęła białą suknię z plastikowego worka i wsunęła ją przez głowę. Miękki jedwab ułożył się na jej ciele, tak jakby suknia została uszyta na miarę.

Adria uśmiechnęła się do siebie. Dzisiaj. Dzisiaj jest wielki początek. Czekala długo i wreszcie jest tak blisko odkrycia tajemnicy.

Od czasu gdy Tommy Sinclair tak ją upokorzył, sprawa naturalnych rodziców nie dawała jej spokoju. Sharon Nash natomiast nie miała zamiaru uchylić rąbka tajemnicy przed córką. Pytania Adrii o jej pochodzenie stały się więc źródłem nieustannych tarć i konfliktów. Czasem zdawało się, że Wiktor ma ochotę coś ujawnić, ale jedno spojrzenie żony sprawiało, że gryzł się w język. Okoliczności jej narodzin wciąż pozostawały dla niej tajemnicą.

Adria miała wrażenie, że odebrano jej część jej samej. Nie miała pojęcia, skąd pochodzi i co się stało z jej rodzicami. W miarę upływu lat pytania te dręczyły ją coraz bardziej. Gdy dorosła, bardzo często leżała w nocy i patrzyła w sufit, zachodząc w głowę, skąd się tu wzięła. Gdyby tylko mogła się tego dowiedzieć...

Przejrzała wszystkie papiery zamknięte na klucz w górnej szufladzie biurka, licząc na to, że znajdzie wśród nich jakiś ślad rodziców, ale między dokumentami ubezpieczeniowymi i wydrukami bankowymi nie znalazła nic. To był czas, kiedy miała wrażenie, że nic jej się w życiu nie udaje. Wszystko, co mogło mieć jakiś związek z jej biologiczną rodziną, jakby się pod ziemię zapadło, w domu ciągle kłóciła się z matką, a w jej związku z Markiem, który rozbudził ją seksualnie, pewne sprawy wymykały się jej z rąk, choć bardzo chciała mieć wszystko pod kontrolą.

Sharon nie znosiła Marka, podobnie jak całej jego rodziny. Kategorycznie zabroniła Adrii spotykać się z nim, choć nigdy nie powiedziała dlaczego.

Pewnego wieczoru, gdy cała rodzina zgromadziła się przy stole z klonowego drewna, pijąc kawę, Adria zebrała się na odwagę. Dołała do kawy śmietanki i spojrzała na matkę.

- Co właściwie masz przeciw Markowi? - spytała od niechcienia.

Sharon omal nie wypuściła z rąk filiżanki. Oblała się rumieńcem i zamrugała, spoglądając nerwowo na męża.

- Nic... nic przeciw niemu nie mam...

Adria miała dość jej gier.

- Ależ masz, mam. - Udało się jej zachować spokój. - Zadzwoń do jego ojca i powiedz mu, że Mark ma

się trzymać ode mnie z daleka.

- Nic takiego nie... - zaczęła Sharon, ale szybko się zreflektowała. - Nie muszę ci się tłumaczyć. Przez piętnaście lat wychowywałam cię najlepiej, jak umiałam, i myślę, że robiłam to bardzo dobrze. Poświęciłam dla ciebie niejedno, kiedy było trzeba, i pozwalałam ci często na więcej, niż uważałam za stosowne. Jeździłaś konno, mogłaś wspinać się po górach i żeglować, i co tylko strzeliło ci do głowy, więc teraz nie masz prawa - oczy Sharon błyszczały gniewnie, ręce drżały - nie masz prawa kwestionować moich decyzji!

- A ty nie masz prawa ukrywać niczego, co dotyczy mojego życia!

- Ja nie...

- Więc dlaczego tak nie znosisz Marka?!

- Ja nie...

- I kim są moi naturalni rodzice? Wiesz, kim są, prawda?

- Dobry Boże - wyszeptła Sharon drżącym głosem. - Dałam ci całą swoją miłość, a ty...

- Tu nie chodzi o miłość, mamó. Tu chodzi o prawdę. Wciąż powtarzasz, że trzeba żyć w prawdzie i w świetle wiary i miłości Jezusa! Więc pewnie Jezus chciałby, żebym знаła prawdę!

Ze zduszonym szlochem Sharon wybiegła z kuchni.

- Do diabła - mruknął ojciec. Zmiał serwetkę, rzucił ją na stół i szybkim krokiem wyszedł za żoną.

Adria pomyślała, że mogłaby pójść za nimi i przeprosić, ale nie mogła. Gniew przeważył. Ten sam gniew, który obudził się w niej, gdy Tommy Sinclair zawlókł ją za śmietnik koło boiska. Wstała od stołu i poszła do siebie na górę. W swoim pokoju usiadła przy oknie. Patrzyła na gwiazdy i czuła ciepły powiew letniego wietrzyka na swojej twarzy.

Rodzice byli w ogrodzie, matka ciągle płakała, stojąc między grządkami, ojciec trzymał ją pod rękę. Do Adrii docierały strzępy ich rozmowy.

- ...robiłam, co mogłam. - Sharon pociągała nosem - Bóg jeden wie, jak się ucieszyłam, kiedy Virginia przywiozła to dziecko. To była odpowiedź na moje modlitwy.

Virginia? Serce Adrii zabiło mocniej. Kim jest Virginia?

- Wiem, kochanie. No, już dobrze, uspokój się - mówił łagodnie ojciec.

- Przez całe lata żyłam w strachu, że wróci i zabierze Adrię. Tak się bałam, och, Wiktor, tak się modliłam...

Adria omal nie wypadła przez okno. Virginia to jej matka! Jej rodzona matka! Wiktor rozmawiał z Sharon o jej prawdziwej matce! Ścisnęło ją w gardle, przez moment nie mogła złapać tchu. Wiedziała, że jest adoptowanym dzieckiem, że wuj Ezra zajął się adopcją od strony prawnej, ale nigdy nie słyszała imienia swojej prawdziwej matki. Virginia. Virginia, a co dalej?

- Nikt nam jej nie zabierze - mówił ojciec uspokajająco.

- Skąd wiesz?!

- Sharon, przestań się zadreć. Nikt w rodzinie nie ma pojęcia, co się stało z Virginia. Pokazała się wtedy i zniknęła.

Sharon znowu wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

- Jeśli nie Virginia, to ktoś inny... na przykład ten okropny chłopak... Odbierze nam ją. Mam takie okropne sny, Wiktor. Wiem, że Adria kiedyś wyjdzie za mąż, założy własną rodzinę i oczywiście tego właśnie chcę, ale...

- Ale nie chcesz, żeby wyszła za Marka.

- Nie - odparła Sharon cicho.

- Nie martw się - wymamrotał ojciec pocieszająco. - To tylko dzieci, pełne życia i...

- Myślę, że... no, wiesz... że oni ze sobą sypiają!

Adria przełknęła ślinę. Te słowa były bardzo bliskie prawdy. Wprawdzie sprawy między nią a Markiem nie zaszły jeszcze tak daleko, ale... Mark naciskał, a Adria czuła, że wkrótce ulegnie. Ponieważ go kocha.

- Nie możesz tego wiedzieć...

- Ten chłopak jest taki napalony... jak jego matka... Wszystko, czego chce, to... och, chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Jeśli jeszcze nie zawlókł Adrii do łóżka, to zrobi to w najbliższym czasie!

- Chryste, Sharon, posłuchaj, co ty wygadujesz!

- O! - Matka wydała okrzyk, jakby ugodzono ją w samo serce. - Nie waż się wzywać imienia Pana naszego nadaremnie!

Na chwilę umilkli oboje i Adria słyszała tylko szelest wiatru w zeschniętych kolbach kukurydzy.

- Chodź do domu, kochanie. - Głos ojca był spokojny i łagodny. - Nic złego się nie dzieje. Adria to dobre dziecko. Po prostu musisz jej zaufać, to wszystko.

- I modlić się za nią. Zawsze była trochę dzika, Wiktor, wiesz o tym. To pewnie wrodzone. A ty jeszcze ją dopingujesz, pozwalasz na wszystkie szaleństwa. Traktujesz ją, jakby była twoim synem, a nie córką! Do tego jest taka uparta! Nigdy nie widziałam, żeby dziewczynka była tak uparta. Na przykład Alice Weber to takie miłe dziecko...

Adrii zrobiło się niedobrze. Alice Weber była dwulicowa i fałszywa. Niewątpliwie była ostatnią osobą, do której Adria chciałaby się upodobnić.

- Alice Weber gra tylko taką grzeczną przy dorosłych - powiedział ojciec.
- Cóż, przynajmniej nie robi rodzicom wstydu, prowadząc się z jakimś okropnym wyrostkiem. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że to ten chłopak nie zapłacił za benzynę ze stacji Pitchartsa dwa tygodnie temu albo włamał się do domu McAllisterów w czerwcu, kiedy pojechali do Nory do Kansas!

Adria zagryzła wargi w bezsilnej złości, słuchając tych kłamstw.

- Nikt nie wie, kto to zrobił, Sharon.

- Wiele osób podejrzewa Marka Kennedy'ego.

- Ale nikt nie potrafi tego udowodnić, prawda?

- To nie ma znaczenia. Oboje wiemy, że to zły chłopak i że interesuje się Adrią i... och, Wiktor, musimy gorąco się modlić. Naprawdę gorąco.

Adria przełknęła ślinę, wspominając te słowa. Matka była nieugięta w swej niechęci do Marka i surowa w ocenie córki.

- Jest dzika... rozwydrzona... ma domieszki złej krwi... nie można jej ufać...

Adria jednak nie przestała spotykać się z Markiem, nie porzuciła też nadziei, że uda jej się odkryć, kim byli jej rodzice. Strzępy rozmów, szepty dobiegające zza drzwi, zmieszane spojrzenia, jakie wymieniali między sobą rodzice, ilekroć ktoś poruszył ten temat, tylko zaostrzyły jej ciekawość. W końcu Adria doszła do wniosku, że nie jest w stanie dłużej znieść tej niepewności.

Był wczesny ranek. Adria była już spóźniona do szkoły. Zbiegła po schodach i opadła na swoje krzesło przy kuchennym stole.

- Najwyższy czas - powiedziała matka, spoglądając na dzinsy córki z dezaprobatą. Tym razem jednak powstrzymała się od uwag na ten temat. - Siadaj, ojciec zmówi modlitwę.

Adrię skręcało w środku, gdy słuchała cichej modlitwy ojca poprawianego kilkakrotnie przez Sharon.

- Daj mi powiedzieć to własnymi słowami - zasugerowała w końcu, ale Sharon tylko popatrzyła na nią lodowato.

Po skończonej modlitwie Adria smarowała tost masłem, rozmyślając nad swoim życiem.

- Dlaczego nigdy mi niczego nie powiedziałaś o moich prawdziwych rodzicach? - rzuciła nagle.

Sharon podnosiła właśnie do usta kawałek jajka. Jej ręka zatrzymała się gwałtownie w pół drogi, a półpłynne żółtko przeciekło między ząbkami widelca i plasnęło o talerz.

- Powiedzieliśmy ci już dawno, że pochodzisz z rodziny, której nie było stać na to, żeby cię zatrzymać.

- Jak się nazywali?

Sharon nerwowo oblizwała usta.

- Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy.

Adria spojrzała na ojca, który nagle odkrył coś fascynującego na swoim talerzu i nie odrywał od tego wzroku.

- Tato?

- Wuj Ezra zajął się wszystkim.

- Więc są jakieś dokumenty.

- Nie wiem.

- Chcę wiedzieć, skąd pochodzę - upierała się Adria, choć czuła się w tej chwili mała i słaba. Miała ochotę ich zranić tak boleśnie, jak oni zranili ją. Ciska, która zapadła przy stole, zdawała się wypełniać cały świat ciemnością i smutkiem. Adria czuła, że jest samolubna i okrutna dla ludzi, których jedyną winą było to, że ją kochali.

Wiktor odchrząknął.

- Zobaczę, może uda się coś znaleźć.

- Ale wszystkie dokumenty spłonęły... - szepnęła Sharon blada jak ściana.

- Ja tylko chcę się czegoś dowiedzieć. - Adria wiedziała, że ich rani, ale nie mogła się teraz wycofać. Najwyższy czas, żeby poznała prawdę. Od lat chciała się dowiedzieć, kim byli jej rodzice. Karmiła wyobraźnię wizją kochającego się małżeństwa, zbyt ubogiego, by ją wychować, lub zatruwała się myślą, że jest córką prostytutki, która nie знаła nawet imienia ojca swego dziecka. Słowa Tommy'ego Sinclaira głęboko zapadły jej w pamięć. - Myślałam, że może wiecie, jak nazywała się moja matka. Słyszałam kiedyś, jak rozmawialiście o kobiecie imieniem Virginia.

- Och, Panie nasz. - Sharon przytknęła dłoń do ust.

- Kto to jest?

- Adria, przestań - szepnęła Sharon.

Rodzice wymienili między sobą przerażone spojrzenia.

Ojciec odłożył widelec.

- Virginia jest... była... moją krewną. Daleką kuzynką. Nie mogła wychowywać cię sama.

- A mój ojciec?

- Naprawdę nie wiem.

- Czy ona... czy ona wiedziała, kim on jest? - Adria miała wrażenie, że zaraz udusi się ze zdenerwowania. Ściany kuchni zdawały się napierać na nią ze wszystkich stron. Brakowało jej powietrza i niemal czuła ból Sharon.

- Nigdy o to nie pytaliśmy - odparł ojciec.

- Jak mogę się z nią skontaktować?
- Nie możesz - powiedziała Sharon z wysiłkiem. - Po prostu nie możesz.
- Próbowałem odnaleźć Virginie - dodał ojciec - ale mi się nie udało. Naprawdę.
- Ale ja mam prawo znać moją matkę! - krzyknęła Adria. - Nigdy mi nie powiedzieliście o istnieniu tej kobiety, chcieliście, żebym myślała, że moi rodzice nie żyją!
- My jesteśmy twoimi rodzicami. - Sharon wyglądała, jakby ją ktoś uderzył.
- Moi biologiczni rodzice - sprecyzowała Adria bezlitośnie.

Wiktor dotknął jej ramienia.

- To nie było kłamstwo. Ponieważ nie byliśmy w stanie odszukać Virginii, a nigdy nie słyszeliśmy o twoim ojcu - o twoim prawdziwym ojcu - założyliśmy, że oboje nie żyją. W każdym razie dla ciebie.

- A nie przyszło wam do głowy, że może chciałabym to wiedzieć? - zapytała Adria oskarżycielsko.

- Owszem. Jak powiedziałem, zobaczę, może uda mi się coś znaleźć. To wszystko, co można w tej sprawie zrobić, Addie.

Adria poprzestała na tym, nie miała już czasu, a poza tym nie było powodu, by przeciągać tę rozmowę i ranić ich jeszcze bardziej. Jasno przedstawiła swój punkt widzenia, jeśli chodzi o Marka i kwestię swojego pochodzenia. Rzuciła okiem na kuchenny zegar i połknęła pośpiesznie kawałek tosta z bekonem. Wiedziała, że matce nic już teraz nie przejdzie przez gardło.

- Po szkole zaraz wracaj do domu - powiedziała Sharon miękko, kiedy Adria złapała książki i ruszyła do drzwi. Zamknęły się za nią z trzaskiem. Nie odwróciła się, nie chciała widzieć cierpienia na twarzy matki.

Teraz może znajdzie odpowiedzi na pytania dręczące ją od lat. Wzięła szczotkę i zaczęła układać długie, kręcone włosy. Sharon nazywała je „włosami czarownicy”, kiedy w dzieciństwie spadały Adrii na ramiona niesforną falą. Ona jednak zupełnie się tym nie przejmowała.

Adria zaplanowała, że pojawi się na uroczystości otwarcia hotelu „Danvers”. Już czas, by stanąć oko w oko z rodziną. Próbowała skontaktować się z Zacharym po ich spotkaniu, ale nie była w stanie przekonać recepcjonisty, żeby połączył ją z nim. Zostawiła kilka wiadomości, ale Zachary nie oddzwonił. Do żadnego innego członka rodziny wolała nie dzwonić. Wiedziała o nich aż za dużo i nikomu nie ufała. Zachary miał najmniej do stracenia i był jedynym dzieckiem Witta, które samo do czegoś w życiu doszło. Z tego, co przeczytała na temat rodziny, cała reszta - Jason, Trisha, Nelson - wolała pozostać w cieniu ojca, korzystać z jego pieniędzy i czekać jak sępy, aż umrze.

Ale Zach był inny, różnił się od nich od początku, krążyły nawet sensacyjne plotki o tym, kto w rzeczywistości był jego ojcem. Bywał na bakier z prawem i podobno ciągle stawiał się Wittowi. Kiedy Zach był jeszcze w szkole, doszło do największej awantury. Adrii nie udało się ustalić, o co poszło, wiedziała jednak, że Zach został wyrzucony z domu i wydziedziczony. Dopiero całkiem niedawno, tuż przed śmiercią Witta, pozwolono mu wrócić na łono rodziny. Uważała, że w kimś, kto przez całe życie dał koty z rodziną, najłatwiej znajdzie sprzymierzeńca. Jak dotąd jednak jej przypuszczenia się nie sprawdziły. Więc tego wieczoru wyjawi całej rodzinie, po co tu przyjechała, i zmusi ich, żeby ją przynajmniej dostrzegli. Nawet gdyby na tym miało się skończyć.

To oszustka.

Zach wyczuwał oszustów na kilometr, a ta kobieta z czarnymi włosami i zagadkowymi błękitnymi oczami, która z nonszalanckim uśmiechem twierdziła, że jest London, była warta tyle co czek bez pokrycia.

Nie mógł jednak przestać o niej myśleć. Próbował, ale ona wciąż stawała mu przed oczami.

Zach był w kiepskim nastroju z powodu zbliżającego się wielkiego otwarcia hotelu „Danvers”. Nalał sobie drinka z barku w apartamencie, który przez kilka ostatnich miesięcy nazywał domem. Tu miał spać w nocy, gdy London została porwana. Teraz apartament na siódmym piętrze wyglądał inaczej, wystrój nawiązywał raczej do schyłku ubiegłego stulecia, a nie do lat siedemdziesiątych obecnego, ciągle jednak budził złe wspomnienia. Wspomnienia wściekłości Witta, łez Katherine, przerażenia pozostałych dzieci... ocalałych... patrzących w osłupieniu na siebie nawzajem i na kręcących się po hotelu policjantów.

Przejechał palcem po okiennej szybie i wyciągnął z kieszeni klucz do apartamentu. Nie ma czasu na wspomnienia. Był zły na Adrię za to, że przywiozła ze sobą ból i gniew przeszłości, o której chciał zapomnieć.

W tej chwili Zach miał ochotę zabrać się stąd jak najdalej. Dotrzymał umowy, to znaczy wyremontował hotel, i teraz miał zamiar odebrać należność obiecaną mu przez Witta tuż przed śmiercią.

To była trudna rozmowa. Ojciec próbował przełamać lody i przyznać, że mylił się co do swej niewiernej żony, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów i znowu skończyło się na awanturze. Zach stał już w drzwiach, kiedy ojciec go zatrzymał.

- Ranczo jest twoje, chłopcze, jeśli je chcesz.

Zach stanął z dłonią na klamce.

- Ranczo?

- Tak. Po mojej śmierci.

- Daj spokój.

- Chcesz je, prawda?
Zach odwrócił się i spojrzął na ojca lodowatym wzrokiem.
- Zawsze dostajesz to, czego chcesz, o ile sobie przypominam.
- Spadam stąd.
- Zaczekaj - poprosił Witt. - Ranczo jest warte kilkanaście milionów.
- Mam gdzieś forszę.
- Prawda. Mój szlachetny syn. - Witt stał koło okna z jedną ręką w kieszeni. Druga ścisnęła szklanę z irlandzką whisky. - Tak czy inaczej, chciałbyś mieć to ranczo. Dlaczego? - uniósł krzaczaste, białe brwi. - Nostalgia?
Cios był celny, ale Zach nawet nie drgnął.
- To nie ma już znaczenia.
Witt zachnął się.
- Ranczo jest twoje.
Zach nie dał się nabrać. Miał dość rozumu, by wiedzieć, że ranczo ma swoją cenę - wysoką cenę.
- Co mam zrobić w zamian?
- Och, nic wielkiego. Wyremontować hotel.
- Słucham?
- Nie zachowuj się, jakbym kazał ci fruwać, do cholery. Masz firmę budowlaną. Sprowadź tu swoją ekipę albo wynajmij robotników. Pieniądze nie grają roli. Chcę, żeby ten hotel wyglądał tak jak wtedy, kiedy został wybudowany.
- To czyste szaleństwo. Taki remont pochłonie fortunę.
- Zrób to dla mnie. O nic więcej nie proszę - powiedział Witt cicho. - Ty kochasz ranczo, ja ten hotel. Gięda, inwestycje - to wszystko nie ma większego znaczenia. Nie dla mnie. Ale ten hotel ma klasę. W czasach swojej świetności był najlepszy. Chcę, żeby tak było znowu.
- Wynajmij kogoś innego.
Witt zmrużył oczy i dopił whisky.
- Chcę, żebyś ty się tym zajął, chłopcze. Chcę, żebyś to zrobił dla mnie.
- Idź do diabła.
- Już tam byłem. Zdaje się, że miałeś z tym coś wspólnego.
Zacha ścisnęło w gardle. Od tak dawna nie widział ojca, że prawie go nie znał. Wiedział jednak, że to gest pojednania. W dodatku w tle majaczy ranczo...
- Nie pozwól, żeby duma przeszkodziła ci w dostaniu tego, czego chcesz.
- Nie pozwolę - skłamał Zach.
Witt wyciągnął do niego swoją wielką dłoń.
- To jak będzie?
Zach zawahał się, ale trwało to tylko ułamek sekundy.
- Umowa stoi - powiedział w końcu i uściśnął rękę ojca.
Zach zaczął remont hotelu, a Witt zmienił testament. Prace nad przywróceniem hotelowi „Danvers” dawnej świetności trwały dwa lata. Witt zmarł na długo przed ich zakończeniem, nie doczekał spełnienia marzeń. Zach większość czasu spędzał na ranczu, dopiero w marcu gorączkowe przygotowania do otwarcia zmusiły go do przyjazdu do Portland.
Zacisnął węzeł krawata pod szyją. Musi jakoś wytrzymać uroczystość otwarcia hotelu, a potem wróci do siebie.
A Adria?
Chryste, czemu nie może o niej zapomnieć? Miał wrażenie, że ciągle jest gdzieś obok, gotowa w każdej chwili zająć jego myśli swoją osobą. Zupełnie jak Kat. Prawdziwe przekleństwo. Bo cokolwiek by mówić, jest rzeczywiście bardzo podobna do jego zmarłej macochy. Czarne włosy, niebieskie oczy, spiczasty podbródek, wystające kości policzkowe - wykapana Katherine LaRouche-Danvers. Adria nie była tak drobna jak Katherine, ale równie piękna. I miała ten sam koci wdzięk, którego nie spotkał już potem u żadnej kobiety.
Ścisnęło go w dołku na wspomnienie tamtej niezwyklej i strasznej nocy, którą spędził z żoną Witta. Znowu, jak zawsze na myśl o niej, ogarnęła go fala zakazanych uczuć. Uwiodła go, odebrała mu cnotę, ukazała przedsmak raj, a potem wtrąciła w otchłań piekła, którego wspomnienie wlecze się za nim od lat. Ale przecież nawet gdyby mógł, niczego by w swoim życiu nie zmienił.
Dlaczego więc jedno spotkanie z Adria Nash obudziło w nim aż tyle wspomnień, które przez dwadzieścia lat starał się zepchnąć na peryferie pamięci?
Wtedy, w sali balowej, gdzie z błyszczącymi oczami usiłowała go przekonać, że jest jego zaginioną siostrą, zobaczył ją po raz pierwszy. Wiedział jednak, że nie po raz ostatni. Pojawi się znowu. One zawsze wracają. Próbowała się do niego dodzwonić, on jednak nie zamierzał się z nią kontaktować. Nie, nie da jej satysfakcji. Ani fałszywej nadziei. Nie ona pierwsza złożyła mu wizytę, twierdząc, że jest zaginioną małą London, i nie ona ostatnia.
Wsadził palce pod sztywny kołnierzyk koszuli i wykrzywił się do swojego odbicia w lustrze. Sam nie wiedział,

czemu postanowił męczyć się w czymś tak cudacznym jak smoking. Oficjalne przyjęcia. Nie cierpiał ich. Nie miał najmniejszej ochoty iść na otwarcie hotelu. Rzucił okiem na spakowaną już torbę podróżną. Jutro o tej porze dawno go tu nie będzie.

- Byle do jutra - mruknął, zamykając drzwi.

Wielkimi krokami przemierzył korytarz i stanął przy windzie.

Nie powiedział reszcie rodziny o przyjeździe Adrii. Nie było powodu. Staliby się tylko jeszcze bardziej czujni, nieufni i zamknięci w sobie. Majątek Witta nie został jeszcze rozdzielony, a gdyby główni spadkobiercy zwietrzyli kolejne wcielenie London... Uśmiechnął się krzywo na samą myśl. Przesunął palcem po lśniących mosiądzem drzwiach windy i przez chwilę zastanawiał się, czy nie poinformować ich o tym właśnie teraz, tuż przed przyjęciem, w końcu jednak porzucił ten pomysł. Obserwacja reakcji rodzeństwa już dawno przestała go bawić.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Zachary przez chwilę spoglądał w otwarte drzwi sali balowej. Goście już się zebrawali, przypominali stado różnobarwnych ptaków. Zach doznał nagle wrażenia déjà vu. Szelest jedwabiu, pobrzękiwanie kryształów, cichy pomruk rozmów i kobiecego śmiechu. Sala stała zamknięta przez prawie dwadzieścia lat. Ostatnim przyjęciem, które się tu odbyło, były urodziny Witta. Zach zeszytniał pod smokingiem. Spodziewał się kłopotów. Pianista we fraku zaczął grać na ustawionym w rogu koncertowym fortepianie, lśniącym jak wypolerowany heban. Zach rozpoznał melodię, był to motyw z jakiegoś filmu.

Szampań spływał pieniądź z fontanny do małego jeziora u stóp lodowej rzeźby przedstawiającej konia stojącego na tylnych nogach - symbol hotelu „Danvers”. W kryształowych wazach pływały róże, lniiane śnieżnobiałe obrusy zostały posypane różanymi płatkami. Zach poczuł się dziwnie nieswojo. Wszystko było tak jak wtedy.

Pozwolił, żeby Trisha zorganizowała przyjęcie, prawie nie słuchając, co mówiła o liście gości, obsłudze, muzykach i wszystkim, co miało związek z tą cholerną uroczystością. Powiedział jej, żeby zrobiła, co uważa za stosowne. On zrobił swoje, remontując hotel. Zostanie na przyjęciu, ale samo otwarcie nic go nie obchodzi.

Teraz zastanawiał się, czy nie otrzymał puszek Pandory. To przyjęcie z całą pewnością obudzi wspomnienia niespodzianki, jaką Kat przygotowała na pięćdziesiąte urodziny Witta. Małe białe światełka błyskające wśród zieleni tropikalnych roślin, wypolerowany, lśniący parkiet, lista gości, nawet szampań podawany w długich kieliszkach z truskawkami, malinami i plasterkami brzoskwiń - wszystko przypominało tamto przekłete przyjęcie.

Minął stół zastawiony przystawkami sprowadzonymi z najlepszych restauracji w Portland i ruszył w stronę baru, nie zwracając uwagi na zapraszające gesty brata stojącego w grupie przyjaciół. Wszyscy oni wyglądali tak samo jak Jason. Porządnie przystrzyżone włosy, nieskazitelne, drogie smokingi, lśniące czarne buty, ciała wyćwiczone w ekskluzywnych siłowniach. Zach założyłby się o każdą sumę, że wszyscy byli młodszymi partnerami w nadętych firmach prawniczych. Zastanawiał się, komu są potrzebni tacy ludzie. Oparł łokieć o blat baru. Barman, młody, najwyżej dwudziestojednoletni chłopak z małym wąsikiem, krótko przystrzyżoną bródką i złotym kółkiem w uchu podszedł do niego z uśmiechem.

- Co podać?

- Piwo.

- Słucham?

- Piwo. Jakiegokolwiek. W puszcze, butelce, kuflu, obojętne. Co tam macie.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie mamy... - barman uśmiechnął się protekcyjnie.

- Więc przywieźcie jakieś - warknął Zach i barman, zmieszany, powiedział coś szybko do przechodzącego chłopca na posyłki, który zaraz ruszył do windy dla obsługi.

- Hej, Zach, świetna robota. Hotel wygląda bajecznie - usłyszał pretensjonalny damski głos. Nawet się nie odwrócił.

Inna kobieta, zapewne z prasy, ujęła go pod ramię.

- Tylko kilka pytań, panie Danvers, odnośnie do tego hotelu...

- Moja siostra przekazała informacje prasie.

- Wiem, ale mam jeszcze kilka pytań.

- Proszę rozmawiać z Trishą, z Trishą McKittrick. To ona jest odpowiedzialna za wystrój wnętrza - rzucił Zach prawie niegrzecznie.

- Ale to pan był głównym wykonawcą.

- Moja siostra zajmowała się wnętrzami. - Zach odwrócił się na pięcie, pozostawiając kobietę i jej pytania samym sobie. Spojrzał na zegarek. Jason miał wygłosić mowę i odebrać gratulacje od burmistrza, gubernatora i przedstawiciela towarzystwa historycznego. Zach miał stanąć obok, dać się kilka razy sfotografować, a następnie po angielsku opuścić przyjęcie.

Czekając na piwo, podszedł do okna. Marzył, żeby już było po wszystkim. Żałował, że zgodził się zostać. Do licha, zrobił się zbyt miękki. Kiedyś wyraźnie powiedziałby Jasonowi, gdzie może go pocałować, gdyby ten próbował go zmusić do wzięcia udziału w takiej farsie. Ale tym razem, może dlatego, że był dumny ze swojego dzieła, Zach, choć niechętnie, zgodził się zostać. Jesteś taki sam jak oni wszyscy, Danvers, zawsze masz nadzieję na uznanie i komplementy.

- Panie Danvers?

Zach odwrócił się i zobaczył chłopca ze srebrną tacą, na której stało piwo Henry Weinhard's Private Reserve w butelce z długą szyjką i zmrożona szklanka. Zach uśmiechnął się pod wąsem i złapał piwo.

- Nie potrzebuję tego - wskazał na szklankę. - Ale jedno to są mało.

- W barze, proszę pana.

- Dzięki. - Otworzył butelkę i upił łyk.

Spojrzał przez okno na sznur białych limuzyn czekających w kolejce pod pasiastą markizą, by wypuścić pasażerów, elitę Portland, przed głównym wejściem. Kobiety w futrach, jedwabiach i klejnotach i mężczyźni w czarnych smokingach wysiadali ze współczesnych karoc i wchodzili do hotelu.

Wszystko to wydawało mu się niesmaczną farsą.

Pomyślał o papierosie, ale zaraz skarcił się w myślach. Rzucił palenie pięć lat temu. Oparł się o framugę okienną i popatrzył na nocne miasto. Wtedy ją zobaczył. Jak duch z przeszłości Adria Nash wyłoniła się zza rogu po drugiej stronie ulicy. Zach miał wrażenie, że zamiast żołądka ma kamień. Adria szła w stronę hotelu, klucząc między taksówkami i limuzynami stojącymi przed głównym wejściem. Otulona w tę samą czarną pelerynę, w której zobaczył ją po raz pierwszy, przeskoczyła kałużę i minęła portiera.

Zatem miała czelność przyjść na uroczystość.

Dokończył piwo, postawił pustą butelkę na stole i zaczął przeciskać się przez tłum. Kilka osób próbowało go zatrzymać, kobiety uśmiechały się zachęcająco, mężczyźni patrzyli na niego, gdy przechodził. Był dziś pewnie głównym tematem niejednej rozmowy. Wszyscy wiedzieli, że zawsze był czarną owcą w rodzinie, a wielu zapewne uważało, że pogodził się z ojcem tuż przed jego śmiercią, by nie ominął go spadek. Zach jednak miał to wszystko w nosie.

Zauważył ją, kiedy stanęła w drzwiach. Uśmiechając się uroczo, tłumaczyła kierownikowi hotelu, że została zaproszona.

- Mówi pani, że nazywa się Nash? - kierownik odpowiedział jej równie przyjaznym uśmiechem, przeglądając listę gości.

- W rzeczywistości nazywam się Danvers.

Kierownik nadal się uśmiechał.

- Danvers? Więc jest pani spokrewniona z rodziną Danversów.

- Tak...

- W porządku, Rich. Ta pani jest ze mną. - Zachary złapał Adrię za zgrabiałą z zimną rękę, ale się nie uśmiechnął.

Adria spojrzała na niego przejrzyście błękitnymi oczami, które zdawały się widzieć go na wylot.

- Dzięki, Zach - powiedziała lekko, jakby znali się od wieków.

Coś mu mówiło, że popełnia kolosalny błąd, czuł to w kościach, ale pomógł jej zdjąć pelerynę w szatni i wprowadził ją do sali balowej. Czuł się jak zdrajca, jak tamtej nocy, kiedy spał z Kat. Miał takie samo uczucie, że wstępuje na drogę, z której nie ma odwrotu, która nigdzie go nie zaprowadzi. Pozwolił jednak Adrii ująć się pod ramię.

Wydawało mu się, że wszyscy odwrócili głowy w ich stronę. Adria była równie piękna jak kobieta, która - jak twierdziła - była jej matką. Czarne włosy lśniły związane w luźny warkocz opadający na nagie plecy. Ramiączko białej, migoczącej w świetle sukni zsuwało się zalotnie z ramienia. Materiał opływał piersi, opierał się na krągłych biodrach i spadał kaskadą w dół, na podłogę.

- Co ty tu robisz? - spytał, kiedy odeszli od reszty gości.

- Dowiedziałbyś się, gdybyś odpowiedział na moje telefony.

- Akurat. - Nie wierzył jej.

- To moje miejsce.

- Jasne!

Adria uśmiechnęła się lekko.

- Czemu więc pomogłeś mi przy wejściu?

- Nie pomogłem.

- Ależ tak. W przeciwnym wypadku stary Richard wyrzuciłby mnie na zbity pysk. - Zbliżył się do nich kelner z drinkami. Adria wzięła z tacy smukły kieliszek szampana. Zach tylko potrząsnął głową i kelner zniknął w tłumie gości. - Spójrzmy prawdzie w oczy, Zach, uratowałeś mnie.

- Po prostu chciałem uniknąć sceny.

- Więc myślisz, że to właśnie bym zrobiła? - uśmiechnęła się zniewalająco. - Okropną scenę?

- Ja to wiem.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Poza tym, że jesteś oszustką szukającą łatwego łupu.

- Sam w to nie wierzysz.

- Oczywiście, że wierzę.

- Trzeba więc było mi pozwolić zrobić scenę i załatwić się samej. - Podniosła kieliszek do ust i uśmiechnęła się z wysiłkiem na użytek kilkunastu par ciekawskich oczu.

- Nie chcę tu skandalu.
- Od kiedy tak cię to obchodzi?
- Cóż, w tej rodzinie było ich i tak już za dużo.
- A ja sądziłam, że ta rodzina i jej dobre imię niewiele cię obchodzą. - Uniosła brwi w sposób, który sprawił, że Zach poczuł nagły przyływ pożądania.

- Bo mnie nie obchodzą. - Popatrzył na nią uważnie. Nie była tak pewna siebie, udawała trochę. W jej oczach dostrzegł pytania, ale także jakieś światło, które rzucało mu wyzwanie. Równie piękna jak Kat. Miała pełne wargi, wystające kości policzkowe i śmiało wygięte brwi nad tajemniczymi błękitnymi oczami. Była zmysłowa i pociągająca. Była też w niej jednak jakaś niewinność, której Katherine LaRouche-Danvers nigdy nie miała. Nawet bezbronna i zraniona, Kat zdawała się grać, a jej rola była zawsze rolą seksownej manipulantki.

- Możesz udowodnić, że jesteś London? - Zach postanowił przejść do meritum.

- Mogę i zrobię to.

- Niemożliwe.

Adria podniosła nagie ramię i powoli wypila szampana. W tej chwili pianista zaczął grać starą piosenkę Beatlesów, przy czym udało mu się kompletnie odrzec tę melodię z uroku. Śmiech i szmer rozmów wraz z papierosowym dymem płynęły pod sufit, gdzie kryształowe żyrandole lśniły tysiącami małych światełek - dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat temu. Wrażenie déjà vu było tak silne, że Zach musiał mocno wziąć się w garść.

- Myślę, że powinieneś przedstawić mnie reszcie rodziny.

- Po to tu dzisiaj przyszedłeś?

Adria uśmiechnęła się wolno, a serce Zacha na moment przestało bić.

- Wróciłam, żeby cię znowu zobaczyć - odparła.

Zupełnie jak Kat. Kręciło mu się w głowie, ale postanowił, że tym razem nie da się nabrać.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się. Lepiej nie próbuj schlebiać mojej próżności. Na mnie to nie działa.

Uśmiechając się tak, jakby wiedziała, że żartuje, powiedziała:

- Pomyślałam, że ty jesteś jedynym członkiem rodziny, do którego może uda mi się zbliżyć, jedynym, który może mi uwierzyć, da szansę.

- To się pomyliłaś, siostrzyczko. Nie wierzę ci. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani w co tam grasz, ale nie wierzę, że jesteś London. Możesz sprzedać swoją historię prasie, jeśli chcesz, i opowiedzieć ją mojej rodzinie. Możesz nawet zwrócić się do królowej Anglii, nic mnie to nie obchodzi.

- Kłamiesz, Zachary - powiedziała Adria tonem, który go zmroził, bo miała rację. Najwyraźniej odrobiła pracę domową i wiedziała o nim znacznie więcej niż on o niej.

- Świetnie. Poznaj resztę klanu. Są czarujący. - Złapał ją pod ramię i pociągnął między gości, unoszących na ich widok brwi i szepczących między sobą.

Trochę przerażona Adria posłusznie szła za Zachem. Wiedziała, że pojawienie się w hotelu tego wieczoru będzie najlepszym sposobem, żeby zwrócić na siebie uwagę całej rodziny. W głębi duszy miała nadzieję, że znajdzie sprzymierzeńca, kogoś, kto będzie wobec niej uczciwy. Myślała o Zacharym z powodu tego, co o nim przeczytała: że wkrótce po porwaniu siostry został wydziedziczony, że sprzeciwiał się ojcu. Wyrzucony z rodziny dorobił się własnego małego majątku, kupując firmę budowlaną stojącą na skraju bankructwa i stawiając ją na nogi. Wprawdzie popadł w niełaskę, ale zdołał jakoś wrócić na łono rodziny. Zach, odznaczający się ulicznym sprytem, szorstki w obejściu i bezkompromisowy, zawsze spadał na cztery łapy.

Adria rozpoznała Jasona, którego widziała wcześniej na fotografiach prasowych. Wysoki, dobrze zbudowany, miał rudawobrazowe włosy przetykane siwizną i poważny wyraz twarzy. Rozmawiał z bardzo szczupłą kobietą mniej więcej o połowę od niego młodszą. Zauważył brata i spojrzał na jego towarzyszkę. Spojrzał, zawałał się i zmrużył oczy, jakby chciał widzieć lepiej. Zbladł gwałtownie mimo opalenizny, nerwowo przełknął ślinę. Powrót do roli opanowanego, niewzruszonego prawnika zabrał mu dobrą chwilę.

Adria nie była zdziwiona jego reakcją. Zdawała sobie sprawę z uderzającego podobieństwa do kobiety, która prawdopodobnie była jej matką. Strach w oczach Jasona powiedział jej, że i on je zauważył.

- Pomyślałem, że może zechcesz kogoś poznać - odezwał się Zach, podchodząc do brata.

- Przepraszam na chwilę - szepnęła Jason do swojej szczupłej jasnowłosej przyjaciółki. Dziewczyna spojrzała na Adrię i między jej idealnymi brwiami pojawiła się zmarszczka. - Tylko na minutkę, obiecuję. Kim.

Kim ani drgnęła. Wysunęła tylko lekko dolną wargę, gotowa przyjąć wyzwanie rzucone przez Adrię.

Zach ujął ramię Adrii w żelazny ucisk, jakby obawiał się, że zaraz zrobi coś głupiego.

- To jest Adria Nash, mój brat Jason.

- Czy myśmy się już nie spotkali? - spytał Jason.

- W innym życiu - uciał Zach. - Adria uważa, że jest London.

Kim otworzyła usta, ale Jason zdobył się na uśmiech.

- Jeszcze jedna London. Idealny moment, zważywszy na okoliczności. - Jego głos był równie zimny jak spojrzenie niebieskich oczu. - Niech zgadnę, pojawiłaś się tu dzisiaj, żeby mieć dobre wejście i pewność, że

zauważą cię wszyscy dziennikarze i fotoreporterzy? - Podniósł kieliszek do ust i obserwował ją nad jego brzegiem.

- Mam rację?

- Właściwie Adria pojawiła się tu tydzień temu. - Wtrącił Zach, puszczając jej ramię.

Jason odwrócił się do brata.

- I nic nam nie powiedziałaś?

- Myślałem, że wyjedzie.

- Wyjedzie, tak po prostu. - Jason wymruczał coś pod nosem o naiwnych głupcach. Patrzył na Adrię lodowatym, pogardliwym wzrokiem. - Jak się tu dostałaś?

- Powiedziałem, że jest ze mną. - Znowu ubiegł ją Zach.

Usta Jasona zmieniły się w wąską kreskę.

- Wpuściłeś ją tu, wiedząc, co planuje? A może ty maczałeś w tym palce? Tak?

Zach tylko wzruszył ramionami.

- Chcesz zobaczyć, jak zareaguje rodzina, co?

- Ona nie jest London- powiedział Zach obojętnie. - Niech robi, co chce.

- Nie tutaj. Nie teraz. - Jason zniżył głos, bo zauważył, że już wiele osób spogląda na nich z zaciekawieniem. - Nie wiesz, co zrobi firma prawnicza zajmująca się majątkiem ojca, jeśli... - Spojrzał lodowato na Adrię, która przez chwilę miała ochotę schować się przed jego wzrokiem pod stół. - Zabierz ją na górę do swojego apartamentu. Nie, lepiej zabierz ją do mojego domu. Masz klucze.

- Nikt mnie nigdzie nie zabierze. - Odezwała się w końcu Adria.

- Sama to zaczęłaś - przypomniał jej Zach.

- I właśnie dlatego zrobimy wszystko po mojemu - odparowała. Wiedziała, że musi być silna. Zdradzenie się ze słabością przed Danversami równało się samobójstwu.

Zach uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Może zresztą rzeczywiście jesteś London. Ona też była strasznie uparta.

- Po prostu ją stąd zabierz. Spotkamy się u mnie w domu.

- A Nicole? - spytała Zach. Twarz Jasona stężała na wspomnienie żony. Delikatnie rzecz ujmując, jego małżeństwo należało do burzliwych.

- Nie ma jej w mieście. Pojechała do rodziny w Santa Fe.

Zach poprzestał na tym. Nie interesowało go, dlaczego żona Jasona nie uczestniczy w przyjęciu - jednym z najważniejszych w życiu męża.

- Nigdzie nie idę - oznajmiła Adria. - I przestańcie o mnie mówić tak, jakby mnie tu nie było. Myślę, że mam takie samo prawo tu być jak każdy z was.

- Ma trochę racji.

- Zabierz ją gdzieś, Zach.

- Powiedziałam, że się stąd nie ruszam - upierała się Adria, niewzruszona wściekłością starszego z braci. Wychowała się w Montanie i wiedziała, jak sobie radzić z aroganckimi, przemądrzałymi mężczyznami. Potrafiła być równie uparta i nieprzejednana jak oni, kiedy w grę wchodziło coś, w co wierzyła, a teraz była pewna no, prawie pewna, że jest zaginioną London Danvers.

Adria pochwyciła spojrzenie Zacha i zdała sobie sprawę, że on świetnie się bawi, obserwując, jak jego brat traci panowanie nad sobą. Jason prawnik. Jason, który tak korzystnie się ożenił. Jason jedyny, który kontroluje majątek rodziny.

- To nie czas ani miejsce...

- Więc wyznacz je - przerwała mu twardo. Kątem oka dostrzegła, że Kim, chuda przyjaciółka Jasona, przysunęła się bliżej, uważnie słuchając każdego słowa.

- Co?

- Wyznacz odpowiedni czas i miejsce. - Nie wycofa się teraz, żeby nie wiem co, zaszła już zbyt daleko, uspiła wszelkie wątpliwości, zdobyła się na odwagę. Nie zmarnuje tego.

- Mój Boże! - rozległ się za nią inny męski głos. Adria odwróciła się i zobaczyła wysokiego szczupłego blondyna o szeroko otwartych niebieskich oczach. Wpatrywał się w nią z osłupieniem. - Przecież ona wygląda zupełnie jak...

- Tak, Nelson, wiemy o tym - rzucił Jason wyraźnie podenerwowany.

- Nelson, to jest Adria Nash - powiedział Zach powoli, coraz bardziej ubawiony popłochem, jaki Adria wzbudziła w rodzinie. - Twierdzi, że jest London.

Nelson przenosił wzrok z jednego brata na drugiego.

- Ale to niemożliwe. Wszyscy wiedzą, że London została zamordowana...

- Wszyscy zakładają - ucięła krótko Adria.

Jason stracił cierpliwość. Spojrzał wściekle na Zacha.

- Ty ją tu wpuściłeś, ty ją stąd zabierz.

- Ale ja nie mam zamiaru nigdzie iść.

- Jeśli chcesz, żeby rodzina wysłuchała twojej historii, to lepiej teraz zabierz stąd swój śliczny tyłeczek, i to

szybko - rzucił Jason.

- Ja się nią zajmę. - Zach ujął ją pod ramię, ale wyrwała mu się stanowczym ruchem.

- Nikt nie musi się mną zajmować - powiedziała chłodno.

- Tak? To po co tu przyszedłeś? - spytał Jason. - Jeśli nie po to, żeby uszczknąć kawałek z naszego tortu, żeby znaleźć kogoś, kto się tobą zainteresuje, to równie dobrze mogłaś zostać tam, skąd przyjechałaś.

- Przyszedłem tu, bo muszę wiedzieć, kim jestem.

- Więc nie chodzi o pieniądze?

Adria nie odpowiedziała i Jason uśmiechnął się drwiąco. Jego towarzyszka Kim nie spuszczała z niej ciekawskiego wzroku.

- Zawsze chodzi o pieniądze, Adria - powiedział. W sali zapanowała nagle cisza, pianista wstał od fortepianu. - Nie ma sensu twierdzić, że jest inaczej.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Zachary chwycił ją za ramię i tym razem nie miała szans mu się wyrwać. Nie chciała robić sceny, więc pozwoliła mu się wyprowadzić ze znajomej sali balowej. Wiedziała, że była tu wiele lat temu, wszystko wyglądało prawie tak samo jak teraz. Światła, muzyka... nie, wtedy była tu cała orkiestra, a nie tylko pianista. Kieliszki do szampana też były trochę inne, miały dłuższe nóżki. Poza tym wtedy był tu ogromny tort z pięćdziesięcioma świeczkami, a lodowa rzeźba przedstawiała konia w biegu, a nie stojącego na tylnych nogach. A płatki róż rozsypane były na podłodze, gdzie tworzyły pachnący pastelowy dywan.

Oczywiście, że pamięta pięćdziesiąte urodziny Witt, ostatni dzień spędzony z rodzicami - a może tylko jej się tak wydaje, może dała się omamić przypuszczeniu, że jest London? W ciągu kilku ostatnich miesięcy przeczytała wszystkie artykuły, obejrzała wszystkie zdjęcia, przestudiowała wszystkie notki prasowe dotyczące Danversów. Rozpoznawała swoich przyrodnych braci, bo знаła ich z fotografii. Rozpoznałaby też rodziców, gdyby jeszcze żyli.

Witt nigdy nie porzucił nadziei, że jego ukochana córka wróci, by objąć swe dziedzictwo, i wyznaczył nagrodę w wysokości miliona dolarów dla tego, kto mógłby ją odnaleźć. Umieścił także London w swoim testamencie, a jego majątek szacowano na ponad sto milionów dolarów.

Pieniądze są nieważne, powiedziała sobie, kiedy Zachary podawał jej pelerynę, ale prawdy musi się dowiedzieć, bez względu na konsekwencje.

7

Dlaczego przypuszczasz, że jesteś London? - Zachary zatrzymał się na czerwonym świetle, które odbijało się w mokrym asfalcie ulicy. Silnik jeepa ucichł. Wycieraczki niestrudzenie zbierały wodę z szyby.

- Mam dowód. - Nie do końca była to prawda, ale właściwie też nie kłamstwo.

- Dowód - powtórzył Zach, ruszając, kiedy zmieniło się światło. Jeep zaczął wspinać się stromymi, krętymi ulicami na zachodnich wzgórzach. Przez okno Adria widziała światła miasta błyskające daleko w dole między gałęziami drzew. - Jaki dowód?

- Kasetę.

- Jaką kasetę?

- Kasetę, którą dał mi ojciec.

- Ojciec to znaczy Witt? - Zach wziął zakręt trochę za szybko. Opony zapiszczały na asfalcie.

- Mój adopcyjny ojciec. Wiktor Nash. Mieszkaliśmy w Montanie.

- Och - rzucił kpiąco. - To wiele wyjaśnia.

- Nie musisz być taki sarkastyczny.

Spojrzał na nią wymownie. Byli już na górze. Samochód skręcił na podjazd i Zach otworzył elektroniczny zamek bramy, przyciskając odpowiednie guziczki. Zaparkował koło garażu. Dom został wybudowany w stylu Tudorów - trzy piętra z kamienia i cegły wsparte na ciężkich, ciemnych belach i dach ze spiczastym szczytem. Budynek zdawał się wyrastać wprost z ziemi, na której go postawiono. Ogrodowe lampy, skryte wśród zieleni azalii i rododendronów, oświetlały drogę i ściany domu białym światłem. Bluszcz obrósł pięknie jeden z kominów, a wysokie smukłe świerki wystawały ponad kamienne ogrodzenie otaczające posiadłość.

- Chodź. - Zach pochylił się, by otworzyć drzwiczki jeepa po jej stronie. Wysiadł z samochodu i ruszył kamienną ścieżką w stronę tylnego wejścia. - Jakies wspomnienia? - spytał, zapalając światła w ogromnej kuchni.

Adria potrząsnęła głową. Zach podniósł do góry brew, jakby zaskoczony, że się do tego przyznała.

- Tak, to jest właśnie to. Dom, ukochany dom.

Adria przełknęła ślinę i rozejrzała się wokół w nadziei, że coś rozpozna, ale ani podłoga wyłożona błyszczącymi kafelkami, ani szklane drzwi, ani korytarze rozchodzące się w różnych kierunkach, ani miękkie wschodnie dywany nie przypominały jej niczego, co już kiedyś widziała.

- Zaczekamy w gabinecie - powiedział Zach, przyglądając jej się uważnie. - Jason wkrótce do nas dołączy.

Adria poczuła nagły ucisk w żołądku na myśl o konfrontacji z Danversami, ale nie okazała zdenerwowania. W gabinecie na tyłach domu pachniało tytoniem i dymem papierosowym. Na kamiennym kominku żarzyły się zwęglone kawałki drewna. Zach kucnął i dorzucił do nich jeszcze dębowe polano. Wstał i otrząpał dłonie z kurzu. Zdjął marynarkę i przerzucił ją przez oparcie skórzanego fotela.

- No i jak? Prywatny gabinet ojca. Miałaś w zwyczaju, to znaczy London miała w zwyczaju wpadać tu, żeby dać

ojcu całusa na dobranoc. - Patrzył na nią wyzywająco, wysuwając podbródek.

- Nie... nie wydaje mi się, żebym... - przyznała Adria, przesuwając dłonią po blacie starego biurka.
- No, no, co za niespodzianka - zakpił. - Jedna z wielu, bez wątpienia. - Oparł stopę na podstawie paleniska. - To co, chcesz mieć to już za sobą i opowiedzieć mi swoją historyjkę czy wolisz zaczekać na resztę klanu?
- Czy musisz być taki nieprzyjemny?
- To dopiero początek. Wierz mi, jestem prawdziwym księciem w tej rodzinie, jeśli chodzi o maniery.
- Naprawdę? Co innego o tobie czytałam. - Adria odzyskała pewność siebie. - Buntownik, marnotrawny syn, czarna owca, nic dobrego, młodociany przestępca. - On niczego jej nie oszczędził, więc odplaci mu pięknym za nadobne.

- To też prawda, przynajmniej częściowo - syknął przez zaciśnięte zęby. - To co, panno Nash, zaczynamy?
- Nie mam zamiaru się powtarzać. Sądzę, że zaczekamy na resztę rodziny.
- Jak chcesz - obrzucił ją spojrzeniem szarym i zimnym jak niebo nad Arktyką i podszedł do barku. - Drinka?
- Raczej nie, dziękuję.
- Cóż, łatwiej by nam było przełamać pierwsze lody. - Znalazł butelkę szkockiej i nalał trochę do pękatej kryształowej szklanki. - Wierz mi, jak rodzinka się z tobą rozprawi, będziesz tego bardzo potrzebować.

- Jeśli chcesz mnie przestraszyć, to tracisz czas.
Zach potrząsnął głową i podniósł szklankę do ust.
- Tylko cię ostrzegam.
- Dziękuję, ale myślę, że zniosę wszystko, co będą mieli do powiedzenia.
- To będziesz pierwszą, której to się uda.
- Tym lepiej.

Zach wzruszył ramionami, dokończył drinka i odstawił szklankę.
- Usiądź. - Wskazał kanapę. Ściągnął krawat, odpiął guzik przy kołnierzyku i podwinął rękawy koszuli. Mimo późnej jesieni był opalony, a jego ręce porastały ciemne włosy. - Tak przy okazji - podjął. - Ile by nas kosztowało, żebyś zamknęła buzię i wróciła do domu?

- Słucham?
Zach położył dłonie płasko na blacie baru i wbił w nią bezlitosne spojrzenie szarych oczu.
- Nie wierzę w takie bzdety, rozumiesz? To strata czasu. Lepiej od razu się dogadajmy. Chcesz narobić szumu, powiadomić prasę, prawników i tak dalej, że jesteś cudownie odnalezioną London, tak? - Nalał sobie kolejnego drinka, ale zostawił go nietkniętego na barze.

- Ja jestem London. Przynajmniej myślę, że jestem.
- Oczywiście, jesteś London. - Głos Zacha ociekał sarkazmem.
- Nie musisz traktować mnie tak protekcyjnie.
- Zgoda, więc jesteśmy w punkcie wyjścia. Ile pieniędzy musiałabyś dostać, żeby zmienić zdanie i dojść do wniosku, że jednak jesteś po prostu Adria Nash?
- Jestem Adria Nash.
- Więc chcesz być jedną i drugą.
- Na razie.
- Tak długo, aż uznamy cię za London.

Kawałek drewna na kominku strzelił głośno.
- Nie oczekiwałam, że mi uwierzysz - powiedziała Adria spokojnie. Postanowiła nie dać się sprowokować, choć w środku cała się trzęsła. Dłonie i plecy miała wilgotne od potu, ale wiedziała, że musi zachować zimną krew. Nie może cię wyprowadzić z równowagi, a właśnie o to mu chodzi. - Ale nie odbyłabym całej tej podróży, gdybym naprawdę nie sądziła, że byłam, że jestem twoją siostrą.

- Przyrodnią siostrą. - Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne i surowe. - Trzymajmy się faktów. Jeśli masz zamiar zrealizować swój plan, Adrio, musisz trzymać się faktów.
- Znam fakty - odparła Adria. - I wiem wszystko o twojej rodzinie.
- Więc postanowiłaś wykorzystać swoje podobieństwo do mojej macochy.
- Może powinieneś obejrzeć tę kasetę.
- Kasetę?

- Tak, kasetę wideo, którą ze sobą przywiozłam. - Kasetę mogła dać do myślenia, nie była jednak niezbitym dowodem. Nagle wydała się jej bardzo niepewnym świadectwem jej przynależności do rodziny Danversów, tak jak i wiara jej ojca w to, że przez dwadzieścia lat wychowywał kogoś w rodzaju współczesnej królowej Śnieżki. - Znalazłam ją po śmierci ojca. Zostawił ją dla mnie.

- Nie mogę się doczekać - mruknął zjadliwie. Spojrzył na nią i nalał szkockiej do drugiej szklanki. - Ale poczekamy z projekcją na resztę. - Postawił jej drinka na szklanym blacie stolika do kawy, zabrał swojego z baru i zajął miejsce przy oknie. Stał tam jak wartownik, patrząc przez zroszone deszczem szyby.

Adria wstała.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę przypudrować nos.

- Przypudrować nos? - parsknął Zach. - Jaki śliczny eufemizm, pasuje do dziewczyny z farmy w Montanie. Przez chwilę Adria wpatrywała się w swoje dłonie. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kochasz to robić, prawda?

- Niczego nie kocham. - Otaksował ją wzrokiem.

- Och, ale bawi cię znęcanie się nade mną. Czerpiesz z tego jakąś perwersyjną przyjemność.

- Sama zaczęłaś. - Zach zacisnął usta. - Myślę, że pomieszczenie, w którym zazwyczaj, hm, pudruje się nos, też możesz znaleźć sama. Zobaczmy, czy wspomnienia z dzieciństwa wskażą ci drogę.

Adria niemal zazgrzytała zębami w bezsilnej złości. Złapała swoją torebkę i wyszła z gabinetu. Korytarz wydał się jej zupełnie obcy, ale skręciła w prawo i nagle stanęła jak wryta. Za rogiem znajdowało się coś, co można by chyba określić mianem świątyni rodziny Danversów. Zdjęcia, trofea, pamiątkowe tabliczki zostały umieszczone w oszklonej, wmurowanej w ścianę gablocie.

Adria poczuła uścisk w gardle na widok dużego portretu całej trójki: Witta, Katherine i małej London. Czy to może?... Serce zabiło jej mocniej, dotknęła gabloty, ścierając warstwę kurzu z grubej szyby. Katherine, ubrana w suknię z długimi rękawami w kolorze czerwonego wina, siedziała w wiklinowym fotelu. Na jej szyi i palcach migotały brylanty. Trzymała roześmianą London, która mogła mieć najwyżej trzy lata. Włosy dziewczynki otaczały jej głowę ciemnymi rozwichrzonymi lokami. Miała na sobie różową aksamitną sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i krótkimi bufiastymi rękawkami. Witt stał za fotelem, jedną dłoń położył władczo na ramieniu żony. Uśmiechał się do obiektywu, a w oczach miał jakiś filuterny błysk.

- Tato - chciała powiedzieć Adria, ale słowo nie przeszło jej przez gardło. Czy to jest jej rodzina? Jej prawdziwa rodzina. Miała wrażenie, że serce stanęło jej w piersi. Pod powiekami poczuła piekące łzy. Więc po wielu latach oddalenia i niewiedzy może w końcu patrzy na swoją rodzinę. Zrobiło jej się gorąco, zamrugła gwałtownie. Zarys podbródka Katherine tak bardzo przypominał jej własny. Spojrzała na uśmiechniętą twarz dziecka. Tak, wyglądała znajomo, choć Wiktor i Sharon zrobili jej niewiele zdjęć, kiedy była mała.

Czy byłaś moją matką? - spytała bezgłośnie kobiety na fotografii i znowu dotknęła szyby palcem.

- Wzruszające, prawda?

Adria aż podskoczyła. Nie słyszała kroków Zacha, nie wiedziała, że za nią stoi, opierając się o ścianę, i obserwuje jej reakcję. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie... nie usłyszałam cię.

Zach wzruszył ramionami.

- No i co sądzisz o naszym małym rodzinnym muzeum? Milutkie, prawda? - Popijając powoli szkocką, patrzył na obwieszoną zdjęciami ścianę. - Rodzina Danversów i inni. Coś jak Ozzie i Harriet, no nie?

Adria oglądała zawartość gabloty. Były tam dyplomy i puchary sportowe, nagroda, którą Trisha otrzymała w szkole sztuk pięknych, dyplom przyznany Nelsonowi za wybitne osiągnięcia na uniwersytecie, medal z zawodów pływackich z wyrytym na awersie imieniem Jasona i klucz do miasta przekazany Wittowi. Wokół gabloty wisiały dziesiątki zdjęć: Witta w towarzystwie ludzi biznesu i polityków; Witta z jednym lub kilkoma z jego dzieci; Witta, kiedy był młody, z ojcem; Jasona w stroju do gry w piłkę nożną; Nelsona w studenckiej todze i graniastym kapeluszu z chwostem. Były pamiątkowe fotografie ze ślubu Jasona i duże zdjęcie Trishy ubranej w długą wieczorową suknię i krótkie eleganckie bolerko.

Ale brakowało choćby jednego, nawet małego, czarno-białego i zamazanego zdjęcia Zachary'ego. Adria nie wierzyła własnym oczom. Doszła do wniosku, że musiała przeoczyć fotografię, i rozpoczęła poszukiwania od nowa.

- Cóż, nie wygrałem zbyt wielu konkursów - wyjaśnił Zach, jakby czytając w jej myślach. - Stary wiesz tu tylko to, co mu się podobało.

- Ja, hm, nie spodziewałam się, że zobaczę coś takiego. - Adria wskazała na ścianę.

- A kto by się spodziewał?

Zach spojrzał na portret Witta i jego drugiej żony oraz córki. Przez chwilę patrzył Katherine prosto w oczy i coś w jego twarzy drgnęło. Adria nagle poczuła się jak intruz, który wtargnął do świętego, intymnego miejsca. Kiedy Zach patrzył na Katherine, powietrze zrobiło się dziwnie gęste, naładowane elektrycznością.

- Nie znalazłam...

Zach oderwał wzrok od zdjęcia i spojrzał na nią z roztargnieniem. Mrok w jego oczach zniknął.

- Za rogiem. Drugie drzwi na prawo.

Nie czekając na dalsze wskazówki, Adria ruszyła korytarzem przed siebie. Szła szybko, jakby przed czymś uciekała. Przed czymś prywatnym, tajemniczym i mrocznym, co ją przeraziło.

W łazience ochlapała twarz zimną wodą. Nie daj się im, powtarzała w myślach, patrząc na swoje blade odbicie w lustrze, nie dajcie im.

Kiedy wróciła do gabinetu, Zach znowu stał przy oknie. Patrzył w ciemną, ponurą noc.

Przypominając sobie, że powinna znaleźć w rodzinie choć jednego sprzymierzeńca, który będzie skłonny jej uwierzyć, Adria wzięła szklankę zostawioną dla niej na stoliku i podniosła ją do ust. Whisky na moment objęła jej gardło i przylek żywym płomieniem.

- Wiesz, dlaczego postanowiłam najpierw przyjść do ciebie? - spytała w nadziei, że uda jej się przebić przez mur, jaki nagle między nimi wyrósł.

Zach nie odpowiedział, patrzył tylko w noc, jakby jej czerń była wrogiem gotowym w każdej chwili rzucić mu się do gardła.

- Myślałam, że ty to zrozumiesz.

- Nie rozumiem kłamstw i oszustw.

Adria nie dawała za wygraną.

- Ty wiesz, jak to jest być poza nawiasem.

Zach drgnął. Szybko upił łyk ze swojej szklanki.

- Myślisz, że mamy coś wspólnego tylko dlatego, że zobaczyłaś kilka zdjęć, na których mnie nie ma? Tak, byłem poza nawiasem. I co z tego?

- Chciałeś wrócić, należeć do rodziny.

Zach zeszywniał.

- Powiedzmy sobie prawdę, siostruniu. Nigdy nie chciałem nigdzie należeć ani wrócić na łono rodzinki. To był pomysł mojego ojca.

- Naprawdę? - spytała tylko Adria, potem jednak pomyślała, że do niczego nie dojdzie, jeśli go trochę nie przycisnie. - Co takiego mu zrobiłeś, że cię wydziedziczył?

- Czemu to ja niby miałbym coś mu zrobić? A nie on mnie? - spojrzał na nią tak zimno, że przeszedł ją dreszcz. Znowu odwrócił się do okna.

- Tak sobie tylko pomyślałam - wycofała się Adria, ale ręce jej drżały. Mocniej objęła swoją szklankę. Sama jego obecność ją rozstrajała, trudno było zachować spokój pod jego twardym spojrzeniem.

- To źle pomyślałaś.

- Co się wtedy stało, Zach?

Odwrócił się do niej, a jego oczy, zwykle zimne, spojrzały na nią inaczej niż do tej pory. Adria miała wrażenie, że temperatura w pokoju podniosła się nagle o kilka stopni. Ogień płonący na kominku oświetlał jego twarz, wyostrzając rysy, które wydawały się teraz twarde, jakby wykute w kamieniu. Serce Adrii zabiło mocniej, gdzieś głęboko obudziło się w niej uczucie, którego wołała nie analizować. Nerwowo oblizła wargi.

- Nie twój interes.

Mimo zdenerwowania Adria podjęła szybko:

- Próbowałam... próbowałam się dowiedzieć, co zaszło między tobą i Winem, ale nie znalazłam na ten temat nic, co miałyby jakieś znaczenie. Myślałam, że to może mieć jakiś związek z porwaniem, o które byłeś podejrzany, że może to, co się tamtej nocy wydarzyło, potwierdziło jakoś twój udział w uprowadzeniu London.

Zach prychnął.

- Po części pewnie tak było.

- A co jeszcze?

Zach popatrzył na nią uważnie i przez chwilę Adria miała nadzieję, że może jej zaufa. Ale on odwrócił się z powrotem do okna.

- To już nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma...

- Daj spokój, Adria - usłyszała w jego głosie ostrzeżenie i postanowiła się wycofać. Teraz jednak była już przekonana, że musi poznać sekret Zacha. Musi odkryć, dlaczego Witt wydziedziczył swojego zbuntowanego syna. Może w plotkach na temat pochodzenia Zacha kryje się prawda, może rzeczywiście nie jest synem Witta, tylko Anthony'ego Polidorigo? Ze szklanką w dłoni powoli wróciła na kanapę.

Jason Danvers złamał kilka przepisów, jadąc swoim jaguarem przez wąskie mokre ulice zachodnich wzgórz i usiłując zachować spokój. Wcześniej opuścił przyjęcie. Wygłosił tylko dobrze przećwiczone przemówienie i zatańczył z panią burmistrz, niedawno wybraną i zaskakująco popularną. Zamienił parę słów z kilkoma osobami, przyjął gratulacje od prezesa towarzystwa historycznego, uśmiechnął się kilka razy do obiektywów, a nawet odpowiedział na dwa czy trzy pytania dziennikarzy lokalnych gazet „Oregonian” i „Wilamette Week”. W końcu po dwóch godzinach udało mu się zapakować Kim do taksówki i opuścić hotel.

Na wspomnienie pięknej twarzy Adrii, tak podobnej do Katherine, zaczynał się pocić. Czy to rzeczywiście London, po tylu latach? Największą obawą Jasona, koszmarem dręczącym go co noc, była myśl, że pewnego dnia ktoś podający się za jego zaginioną przyrodnią siostrę pojawi się w Portland i będzie na tyle przypominał matkę, że ludzie mu uwierzą. Przez prawie dwadzieścia lat przewracał się bezsennie w łóżku, podejrzewając, że pewnego dnia jakaś dziewczyna zakłóci spokój Danversów, wkraczając tanecznym krokiem w ich życie. Oznajmi cichym głosem, że jest małą zaginioną księżniczką, następnie spotka się z prasą i zacznie sądową batalię o majątek, który na całe dekady zostanie w takim wypadku zamrożony.

Jason obawiał się, że ojciec jest na tyle naiwny, by uwierzyć pierwszej lepszej czarnowłosej, błękitnookiej dziewczynie, która nazwie go „tatusiem”. Ale Witt pokazał, że jest znacznie twardszy i trzeźwiej myślący, niż

Jason kiedykolwiek przypuszczał.

Wkrótce po tym, jak London zniknęła, kiedy policja, FBI, a nawet prywatny detektyw wynajęty przez Witta, niejaki Phelps, porzucili wszelką nadzieję na jej odnalezienie, Witt postanowił, że sam ją odszuka.

Wykupił czas telewizyjny i na antenie zaoferował nagrodę w wysokości miliona dolarów każdemu, kto naprowadzi go na ślad córki.

Apel ten wywołał potworny chaos. Nadeszły tysiące listów i telefonów nie tylko z terenu Stanów Zjednoczonych, ale i z krajów tak odległych, jak Japonia, Niemcy i Indie. Wszystkie niedoszłe spadkobierczynie fortuny Danversów okazały się oszustkami, szybko rozszyfrowanymi przez wynajętych przez Witta specjalistów, ale poszukiwania kosztowały miliony dolarów i okazały się bezowocne.

Nawet Kat straciła w końcu nadzieję na odzyskanie córki, a wraz z nadzieją zainteresowanie życiem. Umarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, jedenaście lat przed mężem, jako wciąż młoda, piękna i zżerana poczuciem winy kobieta. Jej małżeństwo z Winem było w stanie rozkładu, podobnie jak jej związki z innymi ludźmi. Jedynym wyjątkiem był Jason. Nie umiał trzymać się od niej z dala. I w milczeniu znosił brzemię winy z powodu jej samobójstwa.

Jaguar z piskiem opon wziął ostatni zakręt.

Jason powinien był zauważyć śmierć skradającą się do Katherine, powinien był powiedzieć komuś, w jak ciężkiej jest depresji, ale nie zrobił tego. Wiedział, że po utracie córki Kat nigdy się nie pozbierała, że topiła rozpacz w alkoholu. Widział jej łzy, trzymał ją w ramionach, kiedy dostawała ataków hysterii. Słuchał jej niekończącej się opowieści o tym, jak bardzo kochała swoją małą dziewczynkę i że nie będzie już innej, która mogłaby ją zastąpić. Niemal proponowała mu, by został ojcem jej drugiego dziecka. Traciła kontakt z rzeczywistością.

Witt nie ufał jej po tym, jak zastał ją z Zachem na ranczu. To było dla Witta potworne deja vu i prawie zniszczyło jego pewność siebie jako mężczyzny. Najpierw Eunice zdradziła go z największym wrogiem, potem Kat... z jego własnym synem.

Ale Jason nie powiedział nikomu, że Kat jest w tak ciężkim stanie. Bo w głębi duszy był zwykłym tchórzem. Zdołał ukryć uczucia, jakie żywił dla Katherine, ale widok Adrii przywołał wspomnienia drugiej żony Witta z całą ostrością.

To uderzające podobieństwo. Przeraził się nie na żarty.

A co, jeśli to faktycznie jest London?

Ta myśl ciążyła mu jak ołów, chociaż wiedział, do diabła, wiedział, że to niemożliwe.

Za oknem dał się słyszeć szum silnika, światła samochodu omiotły dom i Zach poczuł ulgę. Jego brat w końcu przyjechał. Dobrze. Jason zajmie się Adrią, a on będzie mógł wyjechać z miasta. Nie chciał dłużej przebywać blisko kobiety, która tak bardzo przypominała Kat.

- Chyba mamy towarzystwo.

- Najwyższy czas. - Adria siedziała w rogu kanapy, zrzuciła pantofelki i podwinęła nogi pod jedwabną suknię.

Jakby to było jej miejsce. Jakby naprawdę była jedną z Danversów. Jakby była Kat. Cholera. Zach patrzył na samochód Jasona zatrzymujący się przed garażem.

- Nie będzie zachwycony.

- Ty też nie jesteś.

Zach usłyszał ironię w jej głosie i uśmiechnął się pod nosem. Ta dziewczyna to nie byle kto. Problem polega jednak na tym, że nie wiadomo, kim jest. Ale wyprowadziła Jasona z równowagi i to wystarczyło, by wzbudzić u Zacha coś na kształt szacunku.

Silnik jaguara umilkł, trzasnęły drzwiczki.

- Jeszcze możesz się wycofać.

- Nie mam zamiaru.

Jak wielu prawników Jason był jednym z najbardziej utalentowanych aktorów, jakich Zach kiedykolwiek widział. Zawsze świadom swej prezencji, dramatyzmu chwili i efektu, jaki powinien osiągnąć, nigdy nie okazywał zdumienia, chyba że mogło mu to przynieść jakąś korzyść. Dzisiejszy wieczór był wyjątkiem, musiał bowiem stawić czoło koszarowi swojego życia - myśli, że London, jego przyrodnia siostra, wróciła i jest gotowa upomnieć się o swoją część majątku. A tak się złożyło, że była to jego lwia część.

Wchodząc do gabinetu zdecydowanym krokiem, Jason miał posępny wyraz twarzy, ale całkowicie nad sobą panował. Jego strój i uczesanie były nieskazitelne, jakby dopiero szykował się do wyjścia. Miał czas, by opanować emocje po pierwszym szoku.

Z uśmiechem zimnym jak noc na Alasce podszedł do barku i nalał sobie drinka.

- Przejdźmy od razu do rzeczy, dobrze? - zaproponował, otwierając butelkę szkockiej.

Zach oparł się o kominek.

- Czego właściwie oczekujesz? - spytał Jason, patrząc na dziewczynę.

Adria miała gotową odpowiedź na to pytanie.

- Potwierdzenia.

- Że jesteś London?
 - Tak.
 Jason uśmiechnął się tak zimno, że przez chwilę Zach obawiał się, jak Adria zniesie tę rozmowę.
 - Wiesz, że ci nie wierzymy.
 - Spodziewałam się tego, tak.
 - I wiesz też, że były tu już setki dziewcząt, a każda z nich twierdziła, że jest naszą zaginioną przyrodnią siostrą. Adria milczała, ale nie spuszczała wzroku z twarzy Jasona.
 - Adria uważa, że ma na to dowód - wtrącił Zach, który czuł się coraz bardziej nieswojo z powodu aroganckiego zachowania brata.
 - Dowód? - Jason z niedowierzaniem podniósł brwi, ale coś w jego twarzy drgnęło.
 - Tak, kasetę.
 - Kasetę?
 - Tak, kasetę wideo mojego adopcyjnego ojca, która wszystko wyjaśnia.
 Jason spojrział na brata.
 - Widziałeś to?
 - Jeszcze nie.
 - Cóż, więc na co czekamy? Zakładam, że masz tę kasetę przy sobie?
 - Tak. - Adria sięgnęła do torebki.
 Zach wsadził ręce do kieszeni.
 - Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać na Trishę i Nelsona?
 - A niby dlaczego?
 - Bo ta sprawa dotyczy nas wszystkich.
 Adria wręczyła Jasonowi kasetę.
 - To jedyna kopia? - zapytał, otwierając plastikowe pudełko. Adria rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, że będzie lepiej, jeśli przestanie ją traktować jak idiotkę.
 - Oczywiście, że nie.
 - Tak myślałem. - Jason przez chwilę obracał kasetę w dłoni, po czym położył ją na biurku. - Wszystko, co znajduje się na tej kasecie, może zostać potwierdzone, tak? Odpowiednimi dokumentami.
 - Na przykład jakimi?
 - Na przykład papierami adopcyjnymi.
 - Papiery adopcyjne uległy niestety zniszczeniu.
 - Uległy zniszczeniu? - powtórzył Jason ironicznie.
 - Tak, w pożarze.
 - To bardzo wygodnie.
 - Nie wydaje mi się.
 - Na pewno zachowały się kopie. - Zach znowu się wtrącił, sam nie wiedział dlaczego. - Państwowe archiwa przechowują takie rzeczy.
 Adria potrząsnęła głową.
 - Myślę, że to nie była legalna adopcja.
 - Coraz lepiej. - Jason uśmiechnął się szyderczo i podszedł do Adrii. Stał przy kanapie i patrzył na nią z góry, zimno, nieubłagane, jakby chciał coś jej zrobić.
 Zach spojrział na niego i przeraził się tym, co zobaczył.
 - Daj spokój - powiedział ostrzegawczo.
 - O, nie. - Jason odzyskał pewność siebie i wyglądał, jakby się świetnie bawił. - To ona zaczęła.
 Ale Adria ani drgnęła.
 - Posłuchaj - rozparła się na kanapie wygodnie, jakby to wszystko, o czym rozmawiali, niewiele ją w gruncie rzeczy obchodziło, jakby to nie ona rzuciła tę bombę, oznajmiając, że uważa, iż jest ich siostrą, jakby nie widziała, że Jason uderza mocno i znienacka i tylko czeka, by rzucić się jej do gardła. - Wiem, że zrobisz wszystko, żeby udowodnić mi, że nie mam racji. Spodziewam się, że będę musiała przejść przez piekło, już ty się o to postarasz. Ale ja sama przeprowadziłam wiele poszukiwań na własną rękę i długo się wahałam, czy odbyć tę podróż. Bo jeśli mam być szczerą, nie mam pewności, czy jestem London Danvers.
 Na twarzy Jasona pojawił się wyraz niemal ekstazy, jakby już szarpał jej wnętrzności.
 - Więc zmieniłaś zdanie.
 - Nie - zaprzeczyła Adria. - Chcę tylko poznać prawdę. Mój ojciec uważał, że jestem zaginioną London Danvers.
 - Twój ojciec?
 - Wiktor Nash. Zmarł w ubiegłym roku. Nie wiedziałam o niczym, dopóki nie znalazłam tej kasety.
 - To bardzo ułatwia sprawę, prawda? - rzucił Jason. - Nie ma już twojego ojca, a zakładam, że matki też nie ma w pobliżu, nie można więc zadać jej żadnych pytań. Ale szczęśliwym dla ciebie zbiegiem okoliczności twój ojciec zostawił ci w spadku tajemniczą kasetę, na której oznajmia, że powinnaś odziedziczyć miliony. Dobrze rozumiem?

- Ojciec uważał, że powinnam wiedzieć. - W głosie Adrii pojawiła się obronna nuta.
- Więc zostawił ci w spadku opowieść o zagubionej małej księżniczce z królestwa Danvers, tak? Adria podniosła głowę i spojrzała na niego oczami pociemniałymi od bolesnych wspomnień.
- Tak.
- A ty uwierzyłaś w tę historię, bo inaczej nie byłoby cię tu.
- Oczywiście. Ale nie mam pewności.
- A ile kosztowałyby nas przekonanie cię, że nie jesteś naszą krewną?
- Już mówiłam, że nie chodzi o pieniądze. Jeśli zdobędę dowód, że nie jestem London, wyjadę.
- I nie pójdziesz do prasy?

Adria wstała i podeszła do Jasona tak szybko, że Zach w pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje. Boso była o całą głowę niższa od Jasona, ale dumnie spojrzała mu w oczy. Na policzki wypłynął jej ciemny rumieniec.

- Pewnie mi nie uwierzysz - powiedziała dobitnie, ale tak cicho, że buzujący na kominku ogień niemal zagłuszył jej słowa - ale guzik mnie obchodzi pieniądze. Widzę, co zrobiły z twoją rodziną i kilkoma innymi. Chcę znać prawdę. - Zmrużyła oczy i popatrzyła na niego z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy. - Tak szczerze, Jason, nie chciałbyś wiedzieć, czy jestem twoją siostrą?

- Ja już wiem - rzucił Zach.

Jason spojrzał na niego spode łba.

- To oszustka. - Zach skończył drinka.

Jakie to dla niego typowe, pomyślał Jason. Błyskawiczny osąd, stuprocentowa pewność. Dla Zacha wszystko jest białe albo czarne, dobre albo złe, w porządku albo nie w porządku. Braciszek - gorąca głowa - znowu okazał się ślepy na niuanse. Tym, co Jasona niepokoiło najbardziej, nie było wcale uderzające podobieństwo Adrii do Kat. Do diabła, każdy przeciętny chirurg plastyczny mógł zmienić jej twarz, czerń włosów mogła pochodzić z buteleczki, a błękitne spojrzenie mogła zawdzięczać szklom kontaktowym. To nie jej wygląd był tu największym problemem, choć wiele dał mu do myślenia, ale jej postawa. Adria była pierwszą, która nie była pewna swojej tożsamości i przyznawała się do tego. Wszystkie inne pretendenci do korony Danversów były pewne swego, groziły sądem, prasą... Adria była inna. Inna w sposób, który mroził krew w żyłach.

- Proszę usiąść - powiedział Jason głosem, który w sądzie zmuszał świadków do posłuchu w ciągu sekundy.

Adria ani drgnęła i kątem oka Jason zauważył rozbawienie na twarzy brata. Jego oczywiście ta sytuacja bawi, bo nie ma największego udziału w spadku po Wicie. Ojciec wykreślił go z testamentu, ale na starość, kiedy odkrył prawdę o swej młodej żonie, zmiękł, próbował odbudować ich wzajemne stosunki i zapisał mu ranczo, jedyną rzecz, na której Zachowi kiedykolwiek zależało.

Zachary, niechętny temu pomysłowi, skapitulował w końcu. Sędziwy ojciec i jego zbuntowany średni syn dobili targu. Żaden z nich potem już nigdy nie poruszył tego tematu. Nie podpisano żadnych dokumentów, nic nie wskazywało na to, by Zach szantażował ojca. W końcu wyremontował hotel „Danvers”, a w zamian odziedziczył ranczo w Bend - niekończące się hektary żyznej ziemi. I choć była to zaledwie kropla w morzu rodzinnej fortuny, ranczo było jednak coś niecoś warte. Fakt, że Zach chciał je mieć, dał Jasonowi jakiś punkt zaczepienia w stosunkach z młodszym bratem. Nie miał dowodu, że Zachary zmusił ojca do czegokolwiek, ale zaczynał podejrzewać, że uparty, obojętny na wszystko Zach jest równie chciwy jak reszta rodziny.

Gdyby London nagle powróciła z niebytu, część majątku przeznaczona dla Zacha nie zmieniłaby się specjalnie. Nie miał udziałów w firmach, tylko to cholerne ranczo, które najwyżej skurczyłoby się o kilkaset hektarów, gdyby miał oddać London jej część. Ale Jason, Trisha i Nelson odczuli by to znacznie boleśniej, bo Witt, niech go diabli wezmą, zapisał pięćdziesiąt procent wszystkich swoich dóbr, włączając w to ranczo, najmłodszej córce. Pięćdziesiąt procent! Żaden zapis nie uwzględniał takiej ewentualności, że London nigdy się nie odnajdzie. Dopiero po pięćdziesięciu latach - po pięćdziesięciu latach - część London miała powrócić do reszty majątku. Do tego czasu Jason spocznie na wieki pod elegancką płytą nagrobną.

Cholera, co za burdel.

Na szczęście mało kto poza rodziną wiedział o warunkach testamentu. Dzięki Bogu. W przeciwnym wypadku zapewne jedna London Danvers za drugą wypełzałyby z mroku, by położyć ręce na rodowej fortunie.

Oto pierwsza z nich stanęła przed nim z dumnie zadartą głową, tak podobna do Kat, że Jason nagle poczuł przyływ takiego samego nieopanowanego pożądania, jak wtedy gdy miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a jego macocha była najpiękniejszą, najbardziej uwodzicielską kobietą pod słońcem. Marzył o niej, śnił, fantazjował, ale ona wyraźnie czuła miętę do Zachary'ego, który był szesnastoletnim chłopcem, jeszcze dzieckiem.

Do Zacha, o mój Boże!

A Zach był zawsze dziwnie obojętny i nie umiał docenić tego, co w życiu najlepsze. Mimo to kobiety leciały na niego. Kat była pierwszą z długiej listy kobiet, które oddałyby żrenicę oka, a w każdym razie diamentowe kolczyki, byle zaciągnąć go do łóżka. To, że Zach zawsze wydawał się trochę znudzony i niezainteresowany, rozpalalo je do białości.

Jason nie rozumiał tego, nigdy nie zrozumie. Wiedział tylko, że Zachary zawsze powodował więcej problemów, niż był wart.

- Dlaczego - Adria stała przed nim, wojowniczo unosząc podbródek - nie obejrzyś po prostu tej kasety?
- Zaraz to zrobię - zapewnił ją Jason, patrząc na zegarek. - Poczekamy jeszcze na Trishę i Nelsona.
- Kolejne rodzinne przyjęcie - stwierdził cynicznie Zach. - Uśmiejemy się do łez.

- Mówię ci, to było niesamowite. - Nelson zaparkował przed garażem koło starego jeepa Zachary'ego i jaguara Jasona. - Czuję się tak, jakbym cofnął się w czasie dwadzieścia lat. Ona wygląda zupełnie jak Kat.

Na jego siostrze nie zrobiło to specjalnego wrażenia. Tyle razy już przez to przechodzili. Nelson zawsze za szybko się podniecał.

- Czego ona chce?
- Nikt nie wie. Pieniądzy, jak sądzę.
- Skąd jest?
- Mówię ci, że nikt nic o niej nie wie.
- Nie wydaje ci się, że lepiej byłoby najpierw ją sprawdzić, a dopiero potem zgodzić się na spotkanie?
- Jason nie chciał skandalu na przyjęciu. Była tam prasa.

- Więc przywiózł ją tutaj. Świetnie. - Trisha wysiadła z cadillaca Nelsona i zatrzasnęła drzwiczki. Nie miała czasu na te gierki. Zawsze były kobiety, które twierdziły, że są ich zaginioną siostrą, i zawsze będą. Czemu niby ta miałaby czymś różnić się od reszty? Trzeba ją albo zastraszyć i zmusić, żeby trzymała się z dala od rodziny, albo kupić. Te dziewczyny zawsze w końcu okazywały się dość tanie. Daj im czek na pięć czy dziesięć tysięcy, a zaraz zrobią wszystko, czego od nich zażadasz. Wszystkie podpisują w końcu oświadczenie, że nie są London Danvers, nie będą więcej twierdzić, że nią są, i już nigdy nie naruszają spokoju rodziny. Kilka z nich, podejrzewała Trisha, przespało się z Jasonem. Dziwnie ciągnęło go zawsze do kobiet w typie Kat. Jakby cierpiał na kompleks Edypa czy coś w tym rodzaju. Trishę zresztą niewiele to obchodziło, zwłaszcza że sposób okazywał się skuteczny. Wypłacanie tym małym dziwkom niewielkich kwot oszczędzało znacznie większych wydatków, na przykład honorariów prawników i kosztów sądowych, i wszyscy byli zadowoleni. Czemu więc tym razem nie można załatwić sprawy w ten sam sposób? Zabawnie będzie zobaczyć, jak Jason spróbuje zaciągnąć ją do łóżka.

- Nie możemy teraz pozwolić sobie na żaden skandal w prasie - paplał nieprzerwanie Nelson. - Moja praca...

- Nie jest warta złamanego centa. Pracujesz w biurze publicznego obrońcy i gdyby nie czekał z funduszu powierniczego, nie byłbyś w stanie opłacić czynszu - przypomniała mu Trisha bezlitośnie.

Nelson spojrzał na siostrę, mrużąc oczy.

- Wiesz, dlaczego tam siedzę. Ta praca to tylko etap niezbędny w karierze, jaką planuję.
- Polityka - rzuciła Trisha pogardliwie. - Nie jesteś lepszy od ojca. Mania wielkości.
- Polityka to władza i siła, Trisha, a oboje wiemy, jak lubisz silnych, władczych mężczyzn.

- Zupełnie tak samo jak ty - odparła z uśmiechem, choć przez chwilę miała ochotę uderzyć go w twarz. Cios był celny, ale też Nelson miał niezwykłą zdolność do odkrywania czułych punktów innych ludzi. Czasem Trisha zastanawiała się, czy istnieją jakieś rodzinne sekrety, których Nelson jeszcze nie poznał i których by nie wykorzystał we właściwym momencie do własnych celów. Cóż, ona też ma swój czuły punkt.

Weszli do domu frontowymi drzwiami i Trisha spojrzała na zegarek. Było już po północy i czuła się coraz bardziej zmęczona. Otwarcie hotelu było wielkim sukcesem i prawdę mówiąc, wolałaby się teraz pławić w zachwycie gości, niż siedzieć tutaj, w domu, w którym się wychowała, wypełnionym wspomnieniami wzajemnych urazów, kłamstw i bólu. Śmiech rzadko odbijał się echem wśród tych ścian. Trisha pamiętała głównie niekończące się spory, kłótnie i wybuchy wściekłości Witta próbującego zmusić dzieci, by odpowiadały jego wyobrażeniom.

Trisha otworzyła torebkę i wyjęła z niej papierosnicę. Przystanąła na moment w holu i zapaliła papierosa. Wciągnęła w płuca dym. Potrzebowała w tej chwili czegoś mocniejszego, na przykład drinka albo odrobiny białej kokainy. Niestety, musiała jej wystarczyć nikotyna. Ruszyła dalej, odganiając wspomnienia gniewu, nienawiści i emocjonalnych szantaży, których padła ofiarą, kiedy ojciec odkrył, że spała z Mariem Polidorim.

- Zrobiłaś to na złość mnie - ryczał Witt z twarzą nabiegłą krwią.
- Nie, tato, naprawdę, ja go kocham...
- Kochasz? - Niebieskie oczy Witta patrzyły na nią z obrzydzeniem. - Kochasz?
- Chcę za niego wyjść.

- Na rany Chrystusa! Nie wyjdiesz za niego ani za żadnego innego t śmierdzącego Włocha! Nie wiesz, kim są Polidori? Nie wiesz, co zrobili naszej rodzinie?

- Ja go kocham - powtórzyła ze łzami w oczach.

- Więc jesteś głupia, Trisha. Mimo że dużo już wiem na twój temat, nigdy nie przypuszczałem, że pewnego dnia okażesz się jeszcze na dodatek głupia.

Trisha trzęsła się w środku ze zdenerwowania, ale zrobiła wszystko, żeby się opanować.

- Nienawidzisz Maria z powodu mamy. Bo zdradziła cię z Anthonyem...

Uderzenie odrzuciło ją w tył, na ścianę gabinetu. Walnęła głową o róg kominka.

- Nie waż się nigdy więcej mówić o tej kobiecie, słyszysz? To dziwka! Dzwinka, która przespałaby się z każdym Włochem, rozumiesz? Zostawiła mnie i was, wszystkie swoje dzieci, byle tylko móc ciągnąć swój brudny romansik

z Polidorim. Więc nie opowiadaj mi tu bzdur o miłości i wychodzeniu za mąż i tego włoskiego zigołaka!

- Nie rozumiesz...

- Nie Trisha, to ty nie rozumiesz! Nigdy więcej się z nim nie spotkasz! otarło?

Skulona pod ścianą gabinetu, ze straszną twarzą ojca przed oczami Trisha uleżała uparcie. Kochała Maria. Naprawdę go kochała. Zaciśnęła pięści, a łzy zamglily jej wzrok, tak że ojciec wydał się jej nagle wielki i straszny jak golem. Nigdy nie dbał o nic, z wyjątkiem swej najmłodszej córki, rozpieszczonej, wychuchanej London. Trisha gryzła wtedy wargi do krwi i nienawidziła ojca, nienawidziła go tak, że zrobiłaby wszystko, by go zranić.

Teraz, wiele lat później, czuła to samo. Ojciec był potworem za życia i wciąż straszył po śmierci, kontrolując swoje dzieci nawet zza grobu, piętrząc przeszkody na drodze do ich spuścizny, każąc im skakać przez płonące obręcze.

Zaciągnęła się papierosem i skręciła w stronę gabinetu. Ojciec nigdy jej nie kochał, kochał tylko London, która teraz - choć pewnie to nie ona, tylko jakaś oszustka - przybywa, by wyciągnąć swe małe chciwe paluszki po pieniądze starego. Cóż, Trisha będzie z nią walczyć, oko za oko, ząb za ząb. London zniknęła, podczas gdy oni wszyscy musieli jeszcze przez wiele lat żyć z Wittem, płaszczyć się i całować go po tyłku, żeby ich przypadkiem nie wydziedziczył.

Wszyscy, z wyjątkiem Zacha. On jeden zdobył się na to, by posłać ojca do diabła, a potem znowu wkraść się w jego łaski, nic zresztą w tym kierunku nie robiąc. Choć niechętnie, Trisha musiała przyznać, że podziwiał brata za to, czego dokonał.

Jeśli chodzi o Adrię Nash, to nawet jeśli uda jej się dowieść, że jest London, Trisha przysięgła sobie, że nie pozwoli jej uszczknąć złamanego centa z majątku rodziny. Nie wypełniła swoich obowiązków, nie żyła pod jednym dachem z tyranem bez serca, jakim był jej ojciec. Nie zasłużyła więc na połowę jego pieniędzy. A zresztą ta kobieta to z pewnością tylko jeszcze jedna łowczyni majątków.

- O czym myślisz? - spytał Nelson, przyglądając się siostrze ze zmarszczonymi brwiami.

- O niczym.

Nelson wiedział swoje.

- Tylko zachowuj się jak należy, Trisha, i wysłuchaj wszystkiego, co będzie miała do powiedzenia. Weź się w garść. Ta kobieta wygląda dokładnie jak nasza droga macocha dwadzieścia lat temu.

Jednak kiedy już weszli do gabinetu, Trisha omal się nie przewróciła. Czekała na nich kobieta - piękna kobieta - była uderzająco podobna do Kat, choć nie emanowała takim zmysłowym, kocim wdziękiem. Poza tym była to skóra zdarta z Katherine LaRouche-Danvers.

Ktoś, prawdopodobnie Nelson, wcisnął Trishy do ręki drinka, więc szybko pociągnęła długi łyk ze szklanki. Zach przedstawił je sobie, ale Trisha prawie go nie słuchała. Widok tej kobiety przywołał nagle z niezwykłą siłą wspomnienia ich zmarłej macochy. Ścisnęła ją w gardle, zapomniała o papierosie. Popiół spadł w końcu na dywan. Boże, czy to możliwe? Czy ta kobieta jest rzeczywiście jej przyrodnią siostrą? Podniosła szklankę z drinkiem do ust. Jason coś mówił...

- ...więc postanowiliśmy, że zaczekamy na was i obejrzymy ją razem. Adria zapewnia, że to jest właśnie dowód. - Włożył kasetę do odtwarzacza i przycisnął odpowiedni guzik.

Trisha z trudem oderwała wzrok od Adrii i przeniosła go na ekran telewizora.

Zachary wrócił na swoje miejsce przy oknie. W gabinecie panowała napięta atmosfera oczekiwania, ale Zach z pewnym rozbawieniem patrzył na sztuczne uśmiechy swojego rodzeństwa. Adria dobrała im się do skóry. Wszystkim. Byli przerażeni. Pierwszy raz od prawie dwudziestu lat. Usłyszał głos i spojrzał na ekran, gdzie na szpitalnym łóżku leżał łysy mężczyzna. Z widocznym wysiłkiem przemawiał do kamery.

- Myślę, że powinienem być powiedzieć ci o tym wcześniej, ale z pewnych powodów, o których później, samolubnych, egoistycznych powodów, trzymałem tę historię w tajemnicy. Kiedy mnie o to zapytałaś, Bóg mi świadkiem, nie znałem jeszcze prawdy, a później... cóż, nie miałem siły, żeby ci powiedzieć.

Twoja matka, niech spoczywa w pokoju, i ja zawsze chcieliśmy dzieci, ale jak wiesz, Sharon nie mogła zająć cię ciężę. Była to dla niej tortura, zaczęła już myśleć, że to Bóg postanowił ją ukarać, choć nie mam pojęcia za co. Więc kiedy ty do nas przybyłaś... kiedy przekazano nam ciebie... to było błogosławieństwo, o które błagała w modlitwach.

Adoptowaliśmy cię z pomocą mojego brata Ezry. Ty pewnie słabo go pamiętasz, bo zmarł w siedemdziesiątym siódmym. To on cię do nas przyprowadził. Był prawnikiem. Wiedział, że rozpaczliwie pragniemy dziecka. Ale byliśmy już po pięćdziesiątce, tonęliśmy w długach i byliśmy zbyt starzy i zbyt biedni, żeby doprowadzić do legalnej adopcji.

Mężczyzna przerwał, napił się wody ze szklanki stojącej na szpitalnym stoliku, odchrząknął i znowu spojrzał w kamerę.

- Ezra powiedział mi, że córka jednego z naszych dalekich kuzynów znalazła się w trudnej sytuacji. Nazywała się Virginia Watson, była rozwiedziona i bez grosza przy duszy. Miała pięcioletnią córkę, o którą nie była w stanie należycie zadbać. Pragnęła tylko jednego, żeby jej córka Adria została umieszczona w kochającej rodzinie. Ezra był starym kawalerem. Nie chciał żadnych kłopotów, ale wiedział, że zrobilibyśmy wszystko, żeby mieć dziecko.

I zrobiliśmy. Adopcja odbyła się bardzo nieoficjalnie, a dokumenty... cóż, szczerze mówiąc, nie było ich zbyt wiele. Nie chcieliśmy włączać w to państwa, sama rozumiesz. Tak czy inaczej, Virginia przyjechała i zostawiła cię u nas i od tej chwili traktowaliśmy cię jak własną córkę.

Przerwał, jakby z trudem szukając odpowiednich słów.

- Podejrzałem, że nie wszystko odbyło się zgodnie z prawem, ale nie dbałem o to. Twoja matka była szczęśliwa po raz pierwszy w życiu. Nie wiedziałem, kim naprawdę jesteś, ale powiedziałem sobie, że ktoś cię nie chciał, a my pragnęliśmy cię nad życie, i tyle.

Dopiero po latach, kiedy umarła Sharon, zacząłem o tym myśleć. Przysięgam, do tego czasu nie miałem pojęcia, że możesz być czyimś zaginionym dzieckiem. Zresztą, prawdę mówiąc, gdybym nawet wiedział, nie jestem pewny, czybym cię oddał. Ale nie wiedziałem. Dopiero pewnego dnia, sprząając na strychu, znalazłem starą gazetę z historią porwania córki Danversów. Policja szukała kobiety, która nazywała się Ginny Slade. To też nic mi nie powiedziało, jednak kilka tygodni później usiadłem przy kominku, żeby poczytać rodzinną Biblię. Otworzyła się akurat na naszym drzewie genealogicznym i tam zobaczyłem to imię i nazwisko czarno na białym: Virginia Watson-Slade. Według tego drzewa Ginny Watson była swego czasu żoną niejakiego Bobby'ego Slade'a z Memphis.

Nerwowo obliznął wargi.

- Nie jestem głupi i umiem dodać dwa do dwóch. Wyglądało na to, że może jesteś zaginioną córką Danversów. Chciałem jednak mieć pewność, więc zacząłem szukać Virginii. Nikt od lat nie miał od niej wiadomości. Zostawiła cię u nas, a potem jakby się zapadła pod ziemię. Żadnych telefonów, listów, adresów. Jej rodzice nie wiedzieli nawet, czy jeszcze żyje, i nie mieli pojęcia, co się stało z Bobbym Slade'em. Ginny po prostu zniknęła i muszę przyznać, że mi ulżyło. Nie chciałem cię stracić.

Wiktor zamrugnął i sięgnął po szklanę z wodą.

To, co mówił, brzmiało szczerze, jakby naprawdę był ojcem na łożu śmierci, ale Zach postanowił, że nie da się nabrać. Uznał już Adrię za oszustkę i nie zmienił zdania.

- Wiem, że to zabrzmiało okropnie egoistycznie - podjął Wiktor chrapliwym szeptem - ale nie mogłem znieść myśli, że cię utracę. Byłaś dla mnie wszystkim na tym świecie. Jeśli chodzi o rodzinę Danversów, to pomyślałem sobie, że zło już się stało. Porwano im dziecko i tego faktu nic już nie mogło zmienić. Musiałem też wziąć pod uwagę okoliczności tej adopcji. Wiedziałem, że nie wszystko odbyło się, jak trzeba, że brakowało wielu dokumentów... Do diabła, cały ten interes był pewnie nielegalny. Bałem się, że zostanę oskarżony o współudział w przestępstwie, choć przecież nie miałem pojęcia, skąd się wzięłaś. Postanowiłem więc, że zachowam to wszystko w tajemnicy aż do mojej śmierci i zostawię tę kasetę w sejfie przy łóżku. Gdyby ktokolwiek kwestionował jej autentyczność... to Saul Anders pożyczył mi sprzęt, ustawił kamerę na stojaku i zadbał o to, żeby nikt mi nie przeszkadzał. On sam nie ma pojęcia, co się na kasecie znajduje, i przysięgł, że jej nie obejrzy.

Oczy starego człowieka na moment zaszyły mgłą.

- A więc, drogie dziecko, to wszystko, co wiem. Mam nadzieję, że na coś ci się to przyda. Chyba za bardzo cię kochałem, żeby powiedzieć ci prawdę. Będzie mi cię brakowało... - Uśmiechnął się z wysiłkiem i obraz zniknął z ekranu.

Nelson gwizdnął przeciągle, Jason wbił wzrok w pustą szklanę.

Trisha zaczęła klaskać, jakby była na przedpremierowym pokazie nowego filmu.

- Cóż, nie było to szczytowe osiągnięcie w historii filmów wideo. Naprawdę sądziłaś, że uwierzymy w ten szmelc?

- Nie wiem - powiedziała Adria spokojnie, tylko w jej oczach pojawił się groźny błysk.

Zach powiedział sobie, że to wszystko jest częścią spisku, że człowiek na wideo jest prawdopodobnie aktorem albo też jej prawdziwym ojcem, który z pomocą córki postanowił oskubać bogatą rodzinę z Portland.

- Wzruszające. - Głos Trishy ociekał sarkazmem.

Jason wcisnął inny guzik i kasetka z cichym szumem wyjechała z magnetowidu.

- To ten twój dowód? - spytał.

- Tak.

- To wszystko?

Kiwnęła głową, a Jason wyraźnie się odprężył.

- Cóż, to niewiele, prawda?

- To dopiero początek - odparła, wstając i wkładając buty. - Nie musicie mi wierzyć. Na Boga, spodziewałam się tego. Ale potraktujcie to jako ostrzeżenie. Mam zamiar dowiedzieć się, kim jestem. Jeśli okaże się, że nie jestem London Danvers, wierzcie mi, odejdę. Ale jeśli jestem - podniosła głowę wyżej - stawię czoło wam i waszym prawnikom, żeby to udowodnić. - Chwyciła torebkę i przerzuciła czarną pelerynę przez ramię. - Późno już, a wy macie wiele spraw do omówienia, więc zadzwonię tylko po taksówkę i...

- Odwiozę cię. - Zach poczuł nagle, że nie chce jeszcze się z nią rozstać, choć sam nie wiedział dlaczego. Z jednej strony chciał oczywiście mieć ją już z głowy, z drugiej jednak Adria zaintrygowała go swoją historią. Kim naprawdę jest?

- Nie kłopot się.
 - To żaden kłopot.
 - To naprawdę nie jest konieczne.
 - Ależ jest. - Zach pochwyił spojrzenie Trishy i Jasona. - Gościnnosc Danversów - dodał ironicznie.
 - Posłuchaj, lepiej nie wyświadczać mi żadnych grzeczności, dobrze? - Adria szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi, ale Zach złapał ją za łokieć.
 - Mówiłaś, o ile pamiętam, że potrzebujesz przyjaciela.
 Zacisnął palce na jej ramieniu i Adria poczuła, jak ciepły, pachnący lekko whisky oddech owiewa jej szyję. Przypomniała sobie, że to mężczyzna taki jak ona, bez przeszłości, jeśli wierzyć gablotce z rodzinnymi zdjęciami.
 - Może zmieniłam zdanie - rzuciła jednak oschle.
 - To byłoby niemądre, droga pani. Wygląda na to, że przyda ci się każdy, kto zechce być twoim sojusznikiem.
 Adria zawahała się, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Odwróciła się i spojrzała na resztę rodziny Danversów. Jej rodziny. A może wcale nie jej? Pokaże im, że jest niezależna. Zdecydowanym ruchem wysunęła rękę z uścisku Zacha i postąpiła krok w stronę drzwi.
 - W każdym razie dziękuję.
 Naturalnie Zach nie miał zamiaru pozwolić jej się ośmieszyć przed rodzeństwem. Wyszedł za nią z gabinetu i poszedł do kuchni, gdzie Adria sięgnęła po telefon. Delikatnie wyjął jej słuchawkę z ręki.
 - Myślę, że bardzo byś chciała spędzić ze mną trochę czasu sam na sam.
 - Nie pochlebiaj sobie.
 Zach skrzywił się.
 - Nie to miałem na myśli. Z pewnością chciałabyś się więcej dowiedzieć o rodzinie. O to ci chodzi, prawda?
 Adria zmarszczyła brwi.
 - Po czyjej ty jesteś stronie?
 - Po niczyjej. - Otworzył drzwi i do domu wpadł chłód nocy. - Dbam tylko o siebie.
 Samotnik. Człowiek, który nie potrzebuje nikogo ani niczego. Albo chce, żeby wszyscy w to wierzyli.
 - Nieładnie.
 - Nie sądziłem, że zjawiłaś się tu w poszukiwaniu szlachetnych postaw. Podobno chcesz tylko prawdy.
 - Owszem.
 Patrzył na nią twardo, nieustępliwie.
 - Więc równie dobrze możesz się dowiedzieć, że naprawdę guzik mnie obchodzą rodzina i pieniądze.
 - Obchodzi cię ranczo - odparła Adria, zarzucając pelerynę na ramiona.
 Jego oczy błysnęły w ciemności.
 - Mój czuły punkt.
 Wyszli na zewnątrz. Zimny północny wiatr szarpał gałęziami drzew rosnących wzdłuż podjazdu. Adria spojrzała na Zacha, na szerokie bary i mocny zarys szczęki. Silny i pociągający.
 - Masz ich więcej, to znaczy tych czułych punktów?
 - Już nie. - Otworzył przed nią drzwiczki swojego jeepa. - Rzuciłem rodzinę w wieku lat szesnastu, przestałem ufać kobietom w wieku lat dwudziestu ośmiu, przestałbym też pić, ale uważam, że mężczyzna powinien mieć przynajmniej jedną wadę.
 - Przynajmniej.
 - W każdym razie nie należę do grona patologicznych kłamców - dorzucił, siadając za kierownicą. W ciemnym wnętrzu samochodu jego twarz wydała się jeszcze bardziej twarda i niebezpieczna.
 - Więc dlaczego chcesz cokolwiek dla mnie zrobić?
 Zach przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył światła.
 - Wyjaśnijmy sobie jedno, dobrze? Niczego od ciebie nie chcę. - Wrzucił wsteczny i spojrzał w lusterko. - Ale mam wrażenie, że nieźle tu narozrabiasz.
 - I nic cię to nie obchodzi?
 - Nie - przekręcił kierownicę i jeep gładko wyjechał na podjazd. Zach spojrzał na Adrię oczami ciemnymi jak obsydian. - Wciąż uważam, że jesteś oszustką. Być może dobrą, ale tylko tanią oszustką.

8

Co z nią, do licha, zrobić? Przejechał przez bramę i spojrzał w jej stronę. Siedziała oparta o drzwi i patrzyła przed siebie na drogę. Wyraźnie widział jej profil, tak ładny podobny do Kat, że aż go to zabolalo. Jeśli to nie jest London Danvers, to w każdym razie ktoś bardzo do niej podobny, skóra zdarta z jej matki. Linia podbródka, gęste czarne włosy, sposób, w jaki spoglądała czasem na niego spod długich rzęs - uwodzicielski i niewinny zarazem. Zupełnie jak Kat.

Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Nie chciał, żeby ktokolwiek przypominał mu o jego pięknej, tragicznie zmarłej macosze. Wiele lat zabrało mu uwolnienie się od niej. A kiedy już myślał, że się z nią uporał, ona połknęła za dużo tabletek i demony winy przebudziły się i zaatakowały go znowu.

I teraz ta kobieta, lustrzane odbicie Kat, pojawiła się tu znikąd jak duch, żeby go dręczyć. Powinien wiać, gdzie

pieprz rośnie. Ale nie mógł. Adria miała w sobie coś, co przyciągało go i przenikało z nieodpartą siłą, mamiło, paliło żywym ogniem, a jednocześnie było zimne jak lód. Zupełnie jak Kat.

- Opowiedz mi o mojej matce - powiedziała Adria, jakby czytała w jego myślach.

- Jeśli była twoją matką - odparł natychmiast Zach.

Adria zignorowała jego słowa.

- Jaka była?

Zach zmrużył oczy.

- A co chciałabyś o niej wiedzieć?

- Dlaczego popełniła samobójstwo.

Mięsień pod jednym okiem Zacha zaczął drgać nerwowo.

- Nie wiadomo, czy to było samobójstwo, czy nieszczęśliwy wypadek.

- A co ty o tym myślisz?

- Nie myślę o tym. To i tak nic by nie dało. Nie przywróciłoby jej życia.

- Chciałbyś, żeby żyła?

Spojrzał na nią z pogardą.

- Wyjaśnijmy sobie coś, dobrze? Nie lubiłem Kat. Moim zdaniem była dziwką i manipulanką. - Zwolnił przed zakretem. - Ale nie życzyłem jej śmierci.

Jego słowa dotknęły Adrię, ale czuła, że nie mówi jej całej prawdy. Był zbyt zdenerwowany, napięty, na jego twarzy malowało się wzburzenie, nad którym za wszelką cenę starał się zapanować. Wyraźnie było jeszcze wiele rzeczy, o których jej nie powiedział.

- A reszta rodziny? Co oni o tym sądzą?

- Ich o to zapytaj - prychnął Zach. Jeep zjechał ze wzgórza i skręcił na wschód. - Gdzie się zatrzymałaś?

Adria miała gotowe kłamstwo.

- W „Bensonie”.

Zach uniósł brew i spojrzał na nią kątem oka. Adria wiedziała dlaczego. Hotel „Benson”, podobnie jak „Danvers”, był jednym z najstarszych i najbardziej prestiżowych hoteli w mieście. Hol ze ścianami wyłożonymi drewnem, z wielkim kominkiem i szerokimi schodami przypominał angielski klub. Dygnitarze, gwiazdy Hollywood i politycy zatrzymywali się tam równie często jak w hotelu „Danvers”. Za eleganckie pokoje słono tam liczono.

Ale Adria potrzebowała teraz chwili samotności, chciała znaleźć się poza zasięgiem czujnych oczu Danversów, skłamała więc. Zresztą jakie to ma znaczenie, że naprawdę mieszka w zniszczonym pokoiku na Osiemdziesiątej Drugiej? Nikt z tej rodziny nie musi wiedzieć o niej więcej, niż uznała za stosowne im powiedzieć. Przynajmniej na razie. Dopóki nie będzie gotowa. Nie ma zamiaru fabrykować swojego życia na ich użytek. Powie im prawdę, kiedy okaże się to konieczne, ale teraz jest zbyt zmęczona - walka wyczerpała ją - i na razie nie jest gotowa na drugą rundę.

- A gdzie mieszkasz, kiedy akurat nie wynajmujesz pokoju w „Bensonie”?

Dobrze zadane pytanie. Uczciwie. Adria uśmiechnęła się kącikiem ust. Podobało jej się jego nieco cyniczne poczucie humoru.

- W Montanie, mówiłam ci już. Wychowałam się w Bellamy, małym miasteczku koło Bitterroots.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Jak wielu innych ludzi.

- Całe życie tam mieszkałaś?

Spojrzała na niego uważnie.

- Odkąd sięgam pamięcią.

- Ze swoją rodziną?

- Tak. - Wiedziała, że Zach chce przyłapać ją na kłamstwie. Ale trzymała się prawdy. Choć nigdy nie była naprawdę blisko z matką, zaczęła podejrzewać, że Wiktor - zawsze wobec niej czuły i pełen miłości - był znacznie lepszym i bardziej cierpliwym ojcem niż Witt Danvers.

- Twoja matka też uważała, że jesteś London?

Adria potrząsnęła głową.

- Nie sędzę.

Przypiesząc, żeby przejechać przez pasy na żółtym świetle, Zach zapytał:

- Nie pamiętasz, kiedy pierwszy raz ich spotkałaś? Musiała mieć wtedy około pięciu lat. Sama twierdziłaś niedawno, że nawet tak małe dzieci mają wspomnienia.

Adria patrzyła na wznoszące się nad miastem drapacze chmur.

- Nie mam wspomnień, takich prawdziwych, tylko wrażenia, obrazy.

- Obrazy? Czego? - Zach skręcił w uliczkę prowadzącą do „Bensona”.

- Przyjęcia... Było głośno, ciekawie i...

- Czytałaś o tym.

- Pamiętam Witta. Jego białe włosy... przypominał mi niedźwiedzia polarnego... Był taki wielki...

- Znowu gazety. - Zach skierował jeepa na podjazd dla gości hotelowych.

Adria spojrzała na niego.

- Oczywiście, masz rację - powiedziała, ujmując klamkę. - Ale jest jeszcze coś, co tu nie pasuje. Bo wśród tych wszystkich mglistych obrazów, które mam w pamięci, jest jeden tak wyraźny, że aż mnie to przeraża.

- Co to takiego? - rzucił niedbale, ale serce nagle zaczęło mu bić jak młotem.

Adria popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pamiętam ciebie, Zach.

- Wątpię. - Zacisnął palce na kierownicy.

- Tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, pamiętam ciemnowłosego zbuntowanego chłopaka, którego uwielbiałam. -

Adria otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Zach próbował ją zatrzymać, ale ona zniknęła już w drzwiach hotelu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie zawołać, nie pobiec za nią i nie zmusić jej do wytłumaczenia tego, co przed chwilą powiedziała. Co właściwie pamięta? Ale nie ruszył się. Jej ostatnie słowa były z pewnością zaplanowane, miały go zaintrygować, zmusić do myślenia.

Usłyszał zniecierpliwiony klakson samochodu stojącego za nim, więc wcisnął pedał gazu i odjechał spod „Bensona”. Ale słowa Adrii dźwięczały mu w uszach przez całą drogę do hotelu „Danvers”, gdzie aby uniknąć spotkania z ostatnimi gośćmi, windą dla obsługi wjechał na siódme piętro i wszedł do swojego apartamentu. Czerwone światelko automatycznej sekretarki migotało przy telefonie. Zach spodziewał się, że Jason zadzwoni jeszcze tej nocy.

- Świetnie - powiedział do swoich toreb.

Stały spakowane, gotowe do odjazdu, ale Zach wiedział już, że nigdzie nie pojedzie, w każdym razie nie teraz. Zdjął buty, usiadł na brzegu łóżka i wykręcił numer. Jason odebrał telefon po drugim sygnale.

- Nareszcie. Gdzie byłeś?

- Wysadziłem ją pod „Bensonem”.

- Zatrzymała się w „Bensonie”? - spytał Jason podejrzliwie.

- Niezłe, co? Twierdzi, że jest zaginioną dziedziczką Danversów, i zatrzymuje się u konkurencji.

Zach usłyszał zaraz stłumiony głos Jasona, który nakazywał Nelsonowi zadzwonić do „Bensona” z drugiego telefonu, porozmawiać z Bobem Everhartem, który kiedyś pracował dla Witta, i dowiedzieć się, pod jakim numerem mieszka Adria. Po chwili znowu zwrócił się do Zacha:

- Wiesz, gdybym znał numer twojej cholernej komórki, zadzwoniłbym do ciebie i powiedział ci, żebyś czekał pod „Bensonem”.

- Po co?

- Po co? Żeby ją śledzić, oczywiście.

- Oczywiście - wymruczał Zach. - Czemu nie przyszło mi to do głowy?

- Ta kobieta stanowi poważne zagrożenie.

- Nie sądzę. - Zach położył się na wznak na łóżku. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle traci czas na takie rozmowy. - Posłuchaj, jest późno, rano wyjeżdżam...

- Teraz? Teraz masz zamiar wyjechać?

- Tak.

- W samym środku rodzinnego kryzysu, który nie wiadomo, jak się skończy?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Jasne, że cię obchodzi - warknął Jason. Zach spojrzał w sufit. Kłamał trochę oczywiście. Obchodziło go ranczo. A Adria wzbudziła jego ciekawość. Jaką grę prowadzi?

Jason nie poddawał się.

- Myślisz, że twoje ranczo jest bezpieczne, co? Specjalne nadanie? Cóż, sytuacja się zmieni, jeśli ta kobieta udowodni, że jest London. Setki hektarów zostały zakupione już po podpisaniu testamentu i w związku z tym nie będą traktowane jako część rancza. Jeśli zostaniemy zmuszeni do podzielenia się z nią tym, co mamy, ty też będziesz musiał się podzielić.

Zach zmarszczył brwi.

- Widzę, że nie tracisz czasu.

- Posłuchaj. Zdaje się, że ona ci ufa. Przyszła najpierw do ciebie. Spróbuj się do niej zbliżyć. Sprawdź, dlaczego jest tak... Co? - Jason znowu odwrócił głowę, ale Zach ciągle słyszał go dość wyraźnie. - Wiedziałem! Dobra, więc zacznijcie dzwonić do firm taksówkarskich. Nie wiem... Róbcie, co mówię. Policja ciągle przeprowadza takie akcje. Dobrze, zadzwonić do Logana. Wciąż coś nam zawdzięcza, poza tym w dalszym ciągu ma wiele kontaktów. Nawet na emeryturze. Nie, nie mam zamiaru słuchać o żadnych konfliktach interesów. - Kłótnia przeciągała się i Zach miał już zamiar się rozłączyć, kiedy Jason znowu zaczął mówić do słuchawki: - Cholerna niespodzianka. W „Bensonie” nie mieszka żadna Adria Nash ani London Danvers, ani London Nash, ani Adria Danvers. Pewnie poszła do toalety, zaczekała, aż zabierzesz się spod hotelu, wzięła taksówkę i pojechała, Bóg wie

dokąd.

- Pokaże się znowu. Takie jak ona zawsze wracają.
- Zapominasz o czymś, Zach. Ona jest inna. Nie wykrzykuje, że jest naszą małą zaginioną siostrzyczką. Ma inną historię, historię, którą prasa będzie wprost zachwycona. „Czy Adria jest London Danvers, czy nie jest?”. A weź pod uwagę jej podobieństwo do Kat. Musimy zmusić ją do milczenia.

- Jak?

- Przede wszystkim musisz zacząć ją śledzić...

- Chyba żartujesz!

- W żadnym wypadku.

Zach zacisnął zęby. Nie znosił, kiedy ktoś próbował nim manipulować, a w tej rodzinie, odkąd pamiętał, wszyscy usiłowali zrobić z niego marionetkę - jak nie Witt, to Kat, jak nie Kat, to Jason.

- Moim zdaniem ona ma współnika.

- Daj spokój...

- Dlaczego nie? Mówimy o wielkich pieniądzach. Wielkich. Niejeden zrobiłby wszystko, żeby się do nich dorwać. Wcieliłby się nawet w martwe dziecko. Pomyśl o tym, Zach. Wiedzieliśmy, że naszym największym problemem będzie pojawienie się kogoś takiego jak ona teraz, kiedy i Witt, i Kat nie żyją i nie ma żadnego sposobu, na przykład testów DNA, żeby udowodnić jej kłamstwo.

- Nie przejmowałbym się tym aż tak.

- A powinieneś. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś członkiem tej rodziny i... zaczekaj chwilę. - Głos Jasona znowu odpłynął gdzieś dalej, po czym wrócił. - Logan sprawdza firmy taksówkarskie. Zadzwoń do ciebie, kiedy już coś ustalimy.

- Nie kłopotz się. - Zach rzucił słuchawkę na widełki. Miał dość Portland, rodziny i całej tej hecy. Zdjął smoking - wypożyczony tylko na otwarcie hotelu - założył na niego plastikowy pokrowiec i powiesił w szafie. Zdażył się przebrać w dżinsy i sweter, kiedy telefon znowu zadzwonił. W pierwszej chwili miał zamiar nie odbierać, w końcu jednak podniósł słuchawkę. Wiedział, kto dzwoni, jeszcze zanim usłyszał głos brata.

- Jest w zajeździe „Na Brzegu Rzeki” na Osiedziu Drugiej, gdzieś koło Flavel - poinformował Zacha Jason bardzo z siebie zadowolony. - Zdaje się, że nasza mała poszukiwaczka skarbów nie jest szczególnie zamożna.

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma. Nie będzie sobie mogła pozwolić na dobrych prawników, skoro nie stać jej nawet na przyzwoity hotel. Mógłbyś tam pojechać i zobaczyć, jak się sprawy mają. Jeśli jest sama, mógłbyś zabrać ją ze sobą na ranczo.

- Mowy nie ma.

- To najlepsze rozwiązanie. Trzeba ją izolować.

- Ona nie zechce pojechać.

- Przekonaj ją.

- Jak? Mam jej powiedzieć, że może dostanie kawałek rancza? Zapomnij.

- Przestań Zach. Zrób, co ci mówię. Kto wie? Może to rzeczywiście jest London?

- Ona? W życiu - odparł Zach, choć na wspomnienie jej błękitnych oczu i uwodzicielskiego głosu zaczęło mu się robić na przemian zimno i gorąco. Tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, pamiętam ciemnowłosego zbuntowanego chłopaka, którego uwielbiałam. Spocły mu się dłonie.

- Mam nadzieję, ale wolałbym się upewnić.

- To sam do niej jedź.

- Mówiłem już, że ona ufa tobie.

- Nawet mnie nie zna. - Zach nerwowo stukał stopą w podłogę. Pomyślał o Adrii. Piękna, uwodzicielska, udało się jej zafascynować go. To niebezpieczna fascynacja. Zach nie chciał żadnej kobiety w swoim życiu, zwłaszcza takiej, która ma na oku majątek rodziny. Już to przerabiał.

- To wszystko dzieje się za szybko. Ale musimy trzymać rękę na pulsie. Wszystko, co miałbyś zrobić, to przekonać ją, żeby pojechała z tobą na kilka dni na ranczo.

- I tak się nie zgodzi.

- Cóż, przynajmniej z nią porozmawiaj. Poproś, żeby zatrzymała się w hotelu „Danvers”. Rodzinna gościnność.

Zach parsknął śmiechem.

- Uwważaj, bo ci uwierzy. Zadała sobie sporo trudu, żeby się ukryć, nie sądzę, żeby chciała zamieszkać w hotelu, gdzie cały czas będziemy mogli ją obserwować.

- Moim zdaniem chętnie zamieszka w luksusowym apartamencie. Pamiętaj, że chce pieniędzy. Na pewno upokarza ją mieszkanie w jakimś brudnym hoteliku.

- Może zależy jej na prywatności.

- To nie powinna była nigdy tu przyjeżdżać, bo zanim to wszystko się skończy, nie będzie wiedziała, co to słowo znaczy. - Przerwał na sekundę i Zach niemal widział, jak brat nerwowym gestem pociera szyję. - Do diabła, Zach, musimy ją mieć na oku.

- Więc ty ją zaproś, żeby zatrzymała się w tym cholernym hotelu.

- Ona ufa tobie.

Zach prychnął.

- Jeśli jest inteligentna, to nie zaufa nikomu z tej rodziny. - Przypomniawszy sobie, w jaki sposób patrzyła na portret Witta z Kat i małą London. Jakby naprawdę chciała wiedzieć. Albo sama wierzyła w swoją naciąganą historyjkę, albo była najlepszą aktorką, jaką kiedykolwiek widział.

- Porozmawiaj z nią - nalegał Jason.

- Och, do diabła. - Zach odłożył słuchawkę, nie mówiąc ani „nie”, ani „tak”. Chwycił torbę i zmusił się do przebycia drogi dzielącej go od podziemnego parkingu. Adria Nash to same problemy. Duże, poważne problemy, którymi nie chce i nie będzie się zajmował.

- Cholera. - Wrzucił torbę na tylne siedzenie jeepa i odjechał spod hotelu, kierując się na wschód. Mżyło. Przejechał przez rzekę i ruszył wąskimi ulicami wschodnich dzielnic miasta. O tej porze ruch uliczny był niewielki, wcisnął więc gaz. Zaprzagnął ją odszukać. A niech to, nie jest lepszy od reszty swojej rodzinki. Nie słyszał nigdy o zajeździe „Na Brzegu Rzeki”, ale szybko go znalazł. Migoczący neon reklamował darmową telewizję kablową. Zajazd był raczej motelem, połączone ze sobą domki zostały ustawione w literę „U”, okna wychodziły na asfaltowy podjazd i całodobowy bar po drugiej stronie ulicy. Nazwa motelu miała niewiele wspólnego z rzeczywistością. Żadnego brzegu. Żadnej rzeki. Za to tanie pokoje do wyboru.

Zach obejrzał samochody stojące pod hotelem i znalazł wśród nich zmalretowanego chevy nova z rejestracją z Montany stojącego pod domkiem numer osiem.

- Więc tu się ukryłaś - mruknął do siebie i zaparkował jeepa na nieoznaczonym miejscu pod dużym dębem. Wyłączył silnik i spojrzał na motel. W domku kierownika było ciemno. Zach miał nadzieję, że nikt nie wygląda zza firanek, zastanawiając się, co on tu robi. Opuścił siedzenie niżej i spojrzał na zegarek. Zmarszczył brwi, dochodziła czwarta. Coraz więcej samochodów przejeżdżało pobliską drogą, rozchlapując kałuże. Powoli wznosił się miarowy szum. Ciekawe, czy Adria należy do rannych ptaszków, pomyślał i zaraz odpowiedział sobie, że wkrótce się o tym przekona.

Jason nerwowo potarł dłonią kark. Musi przemyśleć kilka spraw. Był mózgiem rodziny, jedyną osobą, która wiedziała, jak zarządzać ogromnym majątkiem pozostawionym przez ojca. Trisha zabawiała się sztuką i dekorowaniem wnętrz, Nelson zajmował się jakąś całkiem już archaiczną formą prawa, pracując jako obrońca publiczny, Zach zarabiał na życie, prowadząc firmę budowlaną, i dbał o ranczo, ale to on, Jason, kontrolował całość rodzinnych interesów.

Zdjął smoking i przerzucił go przez oparcie krzesła. Rano pokojówka zrobi z tym porządek. Spojrzał na łóżko i zmarszczył brwi. W chwili kiedy Adria Nash pojawiła się na przyjęciu, plany Jasona na tę noc wzięły w łeb. Teraz, gdyby wszystko poszło po jego myśli, bez żadnych niespodzianek, przewracałby się z Kim w zmiętej pościeli, a pokój wypełniałyby westchnienia i jęki rozkoszy. Zamiast tego stał na wpół rozebrany, marząc tylko o jeszcze jednym drinku. Był przerażony, bo jakaś kobieta, której nigdy wcześniej nie widział, może znaleźć sposób, żeby położyć rękę na połowie ich rodzinnej fortuny.

Kiedy Zach zabrał Adrię do miasta, Jason musiał jeszcze poradzić sobie z młodszym neurotycznym rodzeństwem. Jego zdaniem oboje powinni spędzać po kilka dodatkowych godzin tygodniowo na kozetkach w gabinetach psychoanalityków.

Zach też był do niczego, ale przynajmniej nie świrował jak Trisha i Nelson. Trisha, choć miała za sobą tuzin kochanków i jednego męża, nigdy nie była szczęśliwa i Jason podejrzewał, że nigdy nie zapomniała Maria Polidorigo. Jeśli chodzi o Nelsona, to różne demony walczyły o tego chłopaka. Już praca w biurze publicznego obrońcy wskazywała, że coś z nim jest nie tak, a były jeszcze inne sprawy, które martwiły Jasona. Nelson hołdował zasadom moralnym, o których potrafił rozprawiać godzinami, jednak istniała też mroczna strona, która dochodziła do głosu, kiedy był zły lub zdenerwowany.

Jason nalał sobie drinka i zrzucił szorty. Teraz był już zupełnie nagi. Stał przy szklanych drzwiach w ciemnej sypialni i patrzył na wierzchołki drzew za oknem. Był człowiekiem czynu, który zawsze błyskawicznie podejmował decyzje i umiał żyć z ich konsekwencjami. Doprowadzał rzeczy do końca.

Teraz też bez wahania sięgnął po telefon i wykręcił numer, który zapamiętał wiele lat temu. Odezwała się automatyczna sekretarka i Jason westchnął.

- To ja, Danvers. Nadeszła chwila na wyciągnięcie asa z rękawa, a ty jesteś mi coś winien. Dużo winien. Mam dla ciebie robotę. Zadzwoń jutro.

Zaczęła go boleć głowa, ale pociągnął długi łyk whisky i natychmiast poczuł znajome ciepło rozlewające się po całym ciele.

Kilka godzin odpoczynku i będzie w stanie stawić czoło wszystkiemu i wszystkim. Włączając w to tę oszustkę Adrię Nash.

Adria zgasiła światło i położyła się do łóżka. W głowie jej szumiało. Pokój wydzieliał nieprzyjemny zapach

stęchliżny, dymu papierosowego i wieloletniego brudu. Ale motel był tani i zapewniał jej anonimowość. Przynajmniej na razie.

Zamknęła oczy, jednak wspomnienia wydarzeń dzisiejszej nocy nie pozwoliły jej zasnąć. Na pierwszy plan wysunął się Zachary, ale Adria próbowała nie myśleć o nim. Był jej potrzebny jako łącznik z rodziną. Nic więcej.

Jego energia i dumne spojrzenie obudziły wspomnienia, które spychała w najciemniejsze zakamarki świadomości, wspomnienia dawno minionych chwil. Nie chciała o nich pamiętać. Wiedziała jednak, że jeśli ma zamiar zrobić krok w przyszłość, musi najpierw uporać się z przeszłością. Zaciśnęła zęby i uchyliła zakazane drzwi, próbując przywołać w myślach twarz Marka.

Marka Kennedy'ego.

Który był zawsze w opozycji.

Który uratował ją przez Tommym Sinclairem.

Wobec którego zawsze miała dług wdzięczności.

Który był jej pierwszą miłością. I jedyną.

I który był tak podobny do Zachary'ego Danversa.

Ścisłała ją w gardle, z trudem oddychała. Mimo zdecydowanego sprzeciwu matki nie przestała spotykać się z Markiem przekonana, że jej miłość zmiecie wszystkie przeszkody, jakie życie postawi na ich drodze. Jak bardzo się myliła. Jaka była wtedy młoda i głupia. Jaka naiwna. Przekonała rodziców, żeby pozwolili jej pójść z nim na szkolny bal, i był to największy błąd, jaki popełniła w całym swoim życiu. Gdyby nie była tak uparta, gdyby nie nalegała, gdyby poszła z kimś innym, może tamta noc skończyłaby się inaczej. Jęknęła na samo wspomnienie tamtych wydarzeń.

- Nie pójdziesz nigdzie tak ubrana! - powiedziała Sharon, kiedy Adria zeszła po schodach w sukience ze srebrzystej tkaniny zakupionej za własne pieniądze.

Sharon mlasnęła z niesmakiem, wskazując na wycięcie przy szyi odsłaniające milimetr zagłębienia między piersiami.

- W tej sukience sama będziesz się prosić o kłopoty, kochanie. A jeśli w dodatku pójdziesz z tym chłopakiem, który...

- Mamo - ucięła Adria.

- Racja. - Wiktor siedział w saloniku, opierając stopy na otomanie, z okularami zsuniętymi na koniec nosa i czytał gazetę. - Zgodziliśmy się już co do tego, że obmawianie bliźnich za ich plecami nie przystoi dobrym chrześcijanom.

Sharon otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Choć w głębi duszy nigdy się z tym nie pogodziła, razem z Wiktorem pozwolili Adrii spotykać się z Markiem, dopóki przynosiła same dobre oceny ze szkoły i przestrzegала pory powrotu do domu.

- Idź i włóż tę śliczną żółtą sukienkę, którą ci uszyłam w zeszłym roku.

Adria jęknęła. Żółta sukienka miała biały koronkowy kołnierzyk, bufiaste rękawki i wyglądała na coś, w czym ośmioletnie dziewczynki chodzą do kościoła na Wielkanoc.

- Ale...

- Jeśli chcesz iść na tę zabawę, to włożysz żółtą sukienkę. I będziesz się przyzwoicie zachowywać. Inaczej ludzie zaczną gadać.

- Ludzie zawsze gadają, mamo.

- Zwłaszcza jeśli im się dostarczy tematu. A ty już sporo ich dostarczyłaś, moja panno, afiszując się z synem tej Janet Kennedy. - Sharon dotknęła palcem złotego krzyżyka na swojej szyi. - Janet kręci tyłkiem przed każdym mężczyzną, którego spotka, i to przed nosem swojego męża.

- Mark taki nie jest - odparła Adria. Serce w niej topniało na myśl o chłopcu, w którym była po uszy zakochana.

Gdyby jej matka domyślała się, jak daleko zaszły już między nimi sprawy, padłaby trupem na miejscu.

- Ten chłopak to nic dobrego. Zapamiętaj to sobie.

Adria przełknęła ślinę, ale broniła swojej sprawy. Założyła ręce na piersi, stojąc pod tykającym miarowo zegarem po dziadkach.

- Mark to jeden z najbardziej przyzwoitych ludzi, jakich znam.

- Rzeczywiście! - W oczach Sharon błysnęła iskierka nienawiści. - Wierz mi, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jego ojciec jest niewiele lepszy od matki. Od lat zagląda do kieliszka. Nawet w niedzielę nie może się dowlec do kościoła, bo po sobotniej libacji ledwo trzyma się na nogach! Nie obwiniam go. Od tylu lat musi żyć z Janet, która robi z niego głupka i rogacza. Nic dziwnego, że nie potrafi spojrzeć w twarz kongregacji i wielebnemu Phillipsowi.

- Sharon - przerwał Wiktor.

- Cóż, to prawda. Nie potępiam tego człowieka. I mnie zdarza się czasem wypić drinka, ale nie po to, żeby w nim topić problemy. A ty, gdybyś spotykała się z kimś takim jak na przykład Steven McFarland...

- Prędeż bym zdechła - mruknęła Adria pod nosem.

- W tym domu nie odzywamy się w ten sposób - syknęła Sharon. Adria poczuła zapach ginu z jej ust. - Zresztą lepiej, żebyś wiedziała, jak się rzeczy mają. Ten Kennedy myśli tylko o jednym tak jak jego mamusia. Napalony i

gotowy. - Sharon zmarszczyła brwi, jakby same słowa napęłniały ją niesmakiem. - Trzymaj nogi razem, Adrio. Żaden się z tobą nie ożeni, jak będziesz dawać za darmo. My tu jesteśmy bogobojną rodziną i nie chcemy, żeby ludzie gadali, że nie trzymasz majtek na tyłku.

- Sharon! Dość tego! - Wiktor złożył gazetę i wstał.

- Nie musisz się o to martwić - powiedziała Adria, czując, że się czerwieni.

- Cóż, martwię się, dziecko. Nie jesteś z mojej krwi, ale Bóg mi świadkiem, kochałam cię zawsze tak, jakbym cię sama wydała na świat - położyła spracowane ręce na ramionach dziewczyny i jej wzrok nagle znowu był pełen miłości. - Ale jesteś zbyt ładna, wierz mi. Mężczyźni zawsze będą próbowali się do ciebie dobrać. Nie pozwól im. Nigdy. Nie chcę być okrutna, mówię ci tylko, jak to jest.

- Nie możesz kierować moim życiem!

- Ależ mogę. I będę! - Oczy Sharon błysnęły twardo, a palce zacisnęły się w żelaznym uścisku na nagich ramionach Adrii. - Zrobisz, co ci mówię, panienko. Jeśli chcesz iść na bal, włóż żółtą sukienkę.

- Pracowałam wiele tygodni, żeby kupić tę suknię.

- Mówiłem ci, że głupich pieniądze się nie trzymają. Przyczepię metkę z powrotem i odniesiesz ją do sklepu w poniedziałek. Zdecyduj się... Możesz zostać z nami w domu. W telewizji będzie film z Johnem Wayne'em, który tata chce oglądać... - Wyszła z pokoju i jej głos ucichł.

Ze łzami w oczach Adria pobiegła na górę i zdjęła srebrną sukienkę. Otworzyła szafę, ale nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Śmiały pomysł, bardzo ryzykowny. Wzięła jednak swój długi zimowy płaszcz, rozerwała podszewkę i starannie przypięła pod nią srebrną suknię.

Szybko poprawiła makijaż w nadziei, że nikt nie zauważy śladów łez na policzkach. Usłyszała nadjeżdżającą furgonetkę Marka i stłumiła strach. Kiedy zadzwonił do drzwi, wybiegła z pokoju z płaszczem przerzuconym przez ramię. Matka czekała na dole, spoglądając na nią krytycznie.

- Zachowuj się - powiedziała tylko, kiedy Adria otwierała drzwi.

Mark stał na progu. Wyglądał na zdenerwowanego. Miał potargane jasnobrązowe włosy i orzechowe oczy, a na sobie garnitur rozmiar za mały. Uśmiechnął się i serce Adrii stopniało z miłości.

Wręczył jej mały kolorowy bukiet do przypięcia, a ona jemu kwiatek do butonierki. Zamknęli za sobą drzwi wolni i szczęśliwi. Tak, pomyślała Adria, podskakując na wybojach, będzie robiła, co jej się żywnie spodoba. Zmieni sukienkę, będzie tańczyć i pić szampana prosto z butelki, którą Markowi udało się kupić.

Wieczór spełnił wszystkie jej nadzieje. Rozmawiali i śmiali się przy kolacji w miłej restauracyjce w mieście, a potem w samochodzie wypili pół butelki szampana. Na zabawie tańczyli, całowali się po kątach i prawie nie zauważali nikogo poza sobą. Adria kochała Marka. Była tego pewna. Nie obchodziło jej nawet specjalnie, że Alice Weber próbowała zwrócić na siebie jego uwagę.

W przeciwieństwie do idealistycznych wyobrażeń Sharon Alice była szybka i zmieniała chłopców jak rękawiczki, a tego wieczoru wyraźnie interesowała się Markiem.

- Koniecznie przyjdźcie nad rzekę po pomocy - powiedziała do obojga, patrząc jednak na Marka zielonymi oczami. - Jeff skombinował beczkę piwa. Będzie niezły ubaw.

- Nie wiem... - powiedziała Adria.

- Przyjdziemy. - Mark objął ją ramieniem i pocałował w szyję. - Może być fajnie.

Później, kiedy muzyka przycichła i zwolniła tempo, Mark przytulił ją mocniej.

- Chodźmy stąd - wyszeptał Adrii do ucha. - Prawie wszyscy już poszli.

Rzeczywiście, Adria teraz dopiero zdała sobie sprawę, że prawie wszystkie pary zdażyły już gdzieś zniknąć.

- Zobaczymy, co słychać nad rzeką.

- Nie mogę - zaprotestowała Adria.

- Dlaczego?

- Muszę być w domu na czas. Jeśli się spóźnię, rodzice mnie zabiją.

- Ale dziś jest zabawa szkolna.

- Tak, i miałam dużo szczęścia, że puścili mnie z tobą.

Wyszli na zewnątrz i Mark objął ją ramieniem, zasłaniając przed deszczem, który właśnie zaczął padać.

- Chodź... - powiedział, pomagając jej wsiąść do samochodu.

- Mama wezwie policję, naprawdę. - Adria usiadła na siedzeniu obok niego.

- Mogłabyś wymknąć się z domu.

Adrii zrobiło się zimno.

- Mogłabyś udać tylko, że idziesz spać, i wymknąć się przez okno.

Przełknęła ślinę, a Mark nalał jeszcze po kieliszku szampana. Podał jej jeden i stuknął o niego swoim.

- Na pewno byłoby bardzo fajnie. - Potarł nosem o jej szyję. Adrii natychmiast zrobiło się gorąco. Omal nie wylała szampana na srebrną sukienkę.

- Chodź, Addie. - Mark dopił szampana i pozwolił szklance zsunąć się na podłogę. Pocałował Adrię w usta, od czego poczuła mrowienie w koniuszku nosa. - Napijemy się trochę piwa, a potem pójdziemy sobie sami do lasu. Mam śpiwór. - Ujął jej pierś w dłoń. - Kocham cię. Chodź ze mną.

Adria jęknęła w duchu.

- Chciałabym, wiesz, że chciałabym...

- Naprawdę? - Spojrzał na nią przez opadające na oczy brązowe włosy i zbliżył wargi do jej ust. Serce Adrii zaczęło walić jak młotem. Zatraciła się w jego dotyku i zapachu. - Więc chodź ze mną dzisiaj.

Odwiózł ją do domu, zatrzymali się w bocznej alejce. Jego dłonie, ciepłe i miękkie, błądziły po jej ciele.

- Pozwól mi, proszę - powiedział, kiedy byli na wpół rozebrani. - Kocham cię.

- Nie teraz. Jestem już pięć minut spóźniona.

Mark jęknął i odepchnął ją od siebie.

- Więc kiedy?

- Chcę, żeby to było... wyjątkowe - odparła Adria, czując, że jest głupią romantyczką.

- Będzie wyjątkowe.

- Na siedzeniu w furgonetcie?

- Z tobą wszędzie - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Kocham cię, Adrio. Chcę się z tobą ożenić, nie rozumiesz?

Serce Adrii zatrzymało się na chwilę.

- Ja też... chcę za ciebie wyjść.

- Więc się pobierzemy.

- Tak po prostu? - zapytała, śmiejąc się.

- Jak tylko skończysz osiemnaście lat, a ja dostanę pracę. Zaraz po skończeniu szkoły.

- Och, Mark! - Adria zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła usta do jego warg. Tak wiele chciała od życia - pragnęła skończyć college, zrobić karierę, odnaleźć swych prawdziwych rodziców - ale ponad wszystko chciała wyjść za Marka Kennedy'ego. Zdawało jej się, że stanęła na progu nieba.

- Chodź, kochanie - powiedział w końcu Mark, podnosząc głowę. Przyjdź do mnie nad rzekę. Będę na ciebie czekał. - Dokończył szampana, pijąc wprost z butelki.

- Nie mogę - wyszeptwała Adria, wkładając żółtą sukienkę i chowając srebrną pod podszewką płaszcza.

- Więc nie przyjdiesz. - Mark ze złością wrzucił biegi.

- Kocham cię, Mark.

- Jasne.

Idylla sprzed kilku chwil zniknęła bez śladu.

Dlatego że Adria bała się okazać rodzicom nieposłuszeństwo.

Mark podjechał pod jej dom. Adria wypadła z samochodu i jak strzała pomknęła po schodkach na ganek, modląc się, żeby rodzice już spali. Otworzyła drzwi z cichym skrzypnięciem. W kuchni zastała matkę, która siedziała w starym szlafroku przy stole nad otwartą Biblią, leżącą obok zapomnianego kubka z kawą. Siwe włosy miała starannie nawinięte na wałki. Spojrzała surowo na Adrię i wskazała na zegar.

- Spóźniłaś się.

- Przepraszam.

- Martwiłam się.

- Nic mi nie jest, przepraszam.

- Dobrze się bawiłaś?

- Cudownie - odparła Adria. Wiedziała, że ma zaczerwienione policzki i nienaturalnie błyszczące oczy.

Wybiegła z kuchni i omal nie przewróciła się na schodach. Od szampana kręciło jej się w głowie. Położyła się do łóżka, ale miała wrażenie, że cały pokój wiruje wokół niej. Zrzuciła buty, zamknęła oczy i po chwili zapadła w sen.

Śniło jej się, że była z Markiem, że w końcu zdecydowała się z nim kochać, że mieli zamiar się pobrać.

Całowali się właśnie, kiedy usłyszała pierwszy dźwięk syren, daleki, lecz dziwnie rozpaczliwy. Najpierw dźwięk był częścią jej snu, ale kiedy otworzyła oczy, słyszała go nadal, coraz wyraźniej, coraz bliżej.

Ogarnęło ją przerażenie. Wciąż trochę nieprzytomna znalazła pantofle i zbiegła na dół. Po drodze, mimo zapalonej w korytarzu nocnej lampki, wpadła na ojca, który siedział właśnie do kuchni. Słuchał syren ze zmarszczonymi brwiami.

- Wygląda na to, że coś się stało. - Wyciągnął z kieszeni pidżamy chusteczkę do nosa. - Jadą na zachód.

Nad rzekę! O Boże, żeby to tylko nie był Mark!

Matka weszła do kuchni i zapaliła światło. Ziewając, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Mam nadzieję, że to nie pożar...

Ale ciemnego nieba nie rozjaśniała luna.

- A ja mam nadzieję, że nikt się nie utopił - dodał ojciec.

Adria nie była w stanie dłużej znieść tego napięcia. Złapała kluczyki wiszące przy drzwiach.

- Muszę wyjść.

- Dokąd? - spytała Sharon podejrzliwie. - Adria, jest środek nocy.

- To Mark. Jest nad rzeką! Muszę... muszę tam pojechać! - Już stała w drzwiach.

- Nigdzie nie pójdziesz! Słyszysz? Adria!

Ale Adria była już na schodach. W strugach deszczu dopadła starego samochodu matki. Wkładając kluczyk do stacyjki, modliła się, żeby Mark był cały i zdrowy. To, że nad rzeką wyły syreny, nie znaczy jeszcze, że coś mu się stało ani... że ma kłopoty.

Żwir bryzgał spod łysiejących opon starego plymoutha, kiedy ruszyła w dół ulicy. Zwolniła, wjeżdżając w wiejską drogę. Samochód rzeził i podskakiwał na kamieniach, kiedy znowu przyspieszyła. Wycieraczki rozchlapwały wodę, ciemne pola znikwały z tyłu, ale Adria widziała przed sobą tylko dwa snopy światła odbijające się w mokrym asfalcie.

- Boże, proszę, nie! - szeptała w kółko, powtarzając te słowa jak litanie. - Nie pozwól, żeby coś mu się stało.

Droga prowadząca nad rzekę była zastawiona samochodami, niektóre rozpoznała, innych nie. Zwolniła, szukając żółtej furgonetki Marka. Zobaczyła ją w końcu i na moment serce przestało jej bić. Samochód był pusty.

- Proszę, proszę, proszę...

Światła omiatały pojazdy i drzewa nad brzegiem rzeki, błyskając gniewnie błękitem, czerwienią i bielą.

Dwa samochody szeryfa stały na poboczu obok karetki pogotowia i wozu strażackiego. Kilka innych samochodów policyjnych stało wzdłuż drogi, oświetlając teren kogutami. Serce podeszło Adrii do gardła. Zatrzymała się i wysiadła z plymoutha. Pantofle ślizgały się na mokrej trawie, ulewny deszcz w ciągu sekundy przemoczył ją do suchej nitki. Idąc w stronę stojącej dalej grupy ludzi, spostrzegła z przerażeniem lekarzy zatrzaskujących tylne drzwi karetki.

- Jedziemy - krzyknął kierowca.

- Chwileczkę, co się stało?! - zapytała Adria, ale zagłuszyły ją syreny; i karetka ruszyła, rozbryzgując kałuże na drodze.

- O Boże - wyszeptała Adria. Deszcz zalewał jej oczy. Spojrzała na wstrząśnięte twarze ludzi, nie słysząc prawie zanikających w oddali syren ani szumu galezi i rzeki w wiosennym deszczu.

- Tyle tragedii w jednej rodzinie - powiedziała jakaś kobieta, głośno pociągając nosem.

- Jego matka nigdy się po tym nie podniesie...

Zastępcy szeryfa rozmawiali przez radio i biegali między samochodami. Ludzie szeptali, potrząsali głowami, rozkładali ręce.

- Głupie dzieciaki.

- Większość z nich nigdy nie miała za wiele rozumu. A ten to już zwłaszcza...

Nie mogą mówić o Marku! Serce Adrii waliło jak młotem, drżała, szczekała zębami z zimna i z przerażenia. Rozpaczliwie szukając Marka w tłumie, zauważyła grupkę nastolatków z kocami narzuconymi na ramiona, rozmawiających z dwoma policjantami. Stali pod drzewem, szczekając zębami, bladzi, w zniszczonych, brudnych smokingach i wyjściowych sukienkach. Mark jest z nimi, na pewno. Adria dostrzegła jego przyjaciela Jeffa Hinsona. Miał zapuchnięte czerwone oczy i sine usta. On też ją zauważył i odwrócił wzrok. Z nosa skapywał mu deszcz zmieszany ze łzami.

- Gdzie on jest? - Adria przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą.

Nie. O Boże! Nie! Nie uwierzy w to, co przyszło jej do głowy, nigdy w to nie uwierzy. Ślizgając się, biegła po rozmokłym gruncie.

Jeden z policjantów mówił coś do przerażonej grupki.

- ...wezwiemy waszych rodziców. Zabiorą was do domów, ale będziemy musieli porozmawiać z każdym z was ponownie...

- Gdzie jest Mark? - Adria przepchnęła się do przodu, patrząc po twarzach kolegów i koleżanek. Jej wzrok pociemniał, gdy zauważyła wśród nich Alice z zaczerwienionymi oczami, bladą jak trup. W posępnym świetle policyjnych lamp jej opalona zazwyczaj skóra nabrała brzydkiego niebieskawego odcienia, rude włosy splątane w wodorostami opadały w strąkach na twarz. Mokra, brudna sukienka oblepiała jej ciało.

- A ty kim jesteś? - spytał policjant.

- Adria Nash. Jestem... jestem przyjaciółką Marka Kennedy'ego. Wiem, że miał tu dzisiaj być... - zauważyła, że z oczu Alice płyną łzy, a Jeff mruga i pociąga nosem. - Nie - powiedziała. Już wiedziała, że Markowi coś musiało się stać. Odwróciła się w stronę drogi, którą przed chwilą odjechała karetka. A więc zabrali go do szpitala. Ogarnął ją paniczny strach.

Policjanci wymienili zatroskane spojrzenia.

- Co mu się stało? - zapytała Adria.

Odpowiedziała jej cisza. Głucha, przerażająca cisza.

- Jestem jego dziewczyną! - krzyknęła Adria, bojąc się, że mogą ją okłamać. Chwyliła niższego policjanta za ramię. - Proszę mi powiedzieć!

- Przykro mi. - Policjant patrzył na nią z autentycznym smutkiem w zmęczonych oczach.

- Przykro? - powtórzyła Adria tępo.

Policjant odwrócił wzrok.

- Nie zdołaliśmy go uratować.

- Nie zdoła... Co?! - spytała Adria. Musiała źle usłyszeć. Jej umysł odmówił posłuszeństwa. Nie mogła zrozumieć

tego, co właśnie zostało powiedziane, ale wyraz twarzy policjanta... Serce prawie przestało jej bić. To na pewno tylko jakiś koszmarny, ohydny żart. Albo zły sen, który skończy się, gdy przy jej łóżku rozdzwoni się budzik. O to właśnie chodzi, trzeba się po prostu obudzić.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy, dziecko - powiedział policjant. - Ale było już za późno. Utonął, kiedy próbował uratować...

- Utonął? - wyszeptała Adria.

- Przykro mi...

- Nie! - krzyknęła, czując, jak grunt umyka jej spod nóg. - Nie! Nie! Nie! - Poczowała rozdzierający ból. Znowu spojrziała na drogę, gdzie zniknęła karetka, ale zobaczyła tylko smutne, zakłopotane twarze. - To jakieś nieporozumienie. Mylicie się! - powiedziała, odepchnęła policjanta i spojrziała na Jeffa, który stał z trzęsącą się brodą i oczami pełnymi łez. Zagryzał wargi. - Gdzie on jest? Gdzie on jest?!

- To prawda, Adrio. Skoczył do rzeki na ratunek Alice i dostał się w jakiś podwodny wir. Był pijany i... Chryste...

- Nie!

- Tak było. - Jeff otarł łzy z twarzy. - Mark nie żyje! Próbowaliśmy go ratować, kiedy wyciągnęli go na brzeg, ale umarł!

- Nieceeee! - Zdawało się jej, że jej własny głos dochodzi z bardzo daleka.. Ziemia zaczęła uciekać jej spod stóp. Adria pociemniało w oczach, poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Jak na zwolnionych obrotach widziała, że ziemia zbliża się do jej twarzy coraz bardziej. Wciąż jednak miała pewność, że zanim upadnie w błoto i zeschnie liście, zadzwoni budzik i matka powie jej, że to był tylko zły sen.

Nic więcej nie pamiętała. Później dowiedziała się, że ktoś - prawdopodobnie jeden z sąsiadów - odprowadził ją do samochodu i dwaj policjanci odwieźli ją do domu. Obudziła się we własnym łóżku, dzwoniąc zębami z przerażenia, i zobaczyła surową twarz matki. Poczowała, jak spada na nią ogromny ciężar, miała wrażenie, że tonie; pograżając się coraz głębiej w otchłani bez dna. Rodzice, przyjaciele, nawet pastor, wszyscy próbowali z nią rozmawiać. Mówili o boskiej mądrości, sile wiary, o niezbadanych wyrokach Pana, ale Adria, ogłuszona cierpieniem, nie chciała słuchać.

Mark odszedł.

Na zawsze.

Otępiała wzięła udział w pogrzebie. Był to smutny, mglisty dzień. Adria zapamiętała z niego niewiele poza śniegiem topniejącymi na trawniku i prostą sosnową trumną znikającą w głębokim czarnym dole. Ludzie płakali i szeptali, matka Marka łkała i zawodziła, ale Adria nie pamiętała nawet, jak właściwie przebrnęła przez ceremonię. Poruszała się, odpowiadała, kiedy ktoś się do niej odzywał, lecz duchem była nieobecna i zdawała się obserwować wszystko, łącznie z samą sobą, z daleka.

Kiedy wróciła do domu, matka powiedziała jej, że już najwyższy czas przestać się mazać.

- Nie zmienisz tego, co się stało - stwierdziła Sharon, otrzepując płaszcz ze śniegu i starając się mówić spokojnie, choć Adria, wypływając powoli na powierzchnię rozpacz, zauważyła nowe recepty na środki uspokajające w szafce na lekarstwa. - Musisz nauczyć się szanować wolę Boga. - Powiesiła płaszcz w szafie.

- Nie mów mi o woli Boga - powiedziała Adria, nie próbując nawet powstrzymać łez. - Bóg nie chciał, żeby Mark zginął.

- Nie ma sensu dyskutować na takie tematy. Niezbadane są Jego wyroki.

- Gówno prawda, mamó! Bóg nie każe ludziom przychodzić na świat tylko po to, żeby ich zaraz potem zabić!

- Nie wyrażaj się w ten sposób w tym domu! I uważaj, co mówisz! Nie możemy zrozumieć...

- Oczywiście, że nie możemy! - łkała Adria. - Bo to nie ma żadnego sensu! I nie wierzę w Boga, który odbiera komuś życie, żeby ktoś inny został uratowany! Jezu, mamó, posłuchaj, co mówisz...

Z głośnym plaśnięciem dłoni Sharon wylądowała na policzku Adria. Głowa dziewczyny aż odskoczyła w tył.

- Nigdy więcej nie waż się mówić do mnie w ten sposób! Będiesz szanować Boga i Jego Syna i nie będziesz wzywać ich imion nadaremnie! Bóg zesłał mi cię, Adrio, i w każdej chwili może mi cię odebrać, ot, tak! - Strzeliła palcami, podnosząc dłoń na wysokość swojej zaczerwienionej z gniewu twarzy.

- Tak jak mnie odebrał Marka? - krzyknęła Adria.

- Tak, tak jak Marka.

- Więc komu potrzebny jest taki Bóg?

Sharon oblała się purpurą.

- Wszyscy Go potrzebujemy, dziecko. A ty bardziej niż kiedykolwiek. Gdybyś tylko zechciała paść na kolana i modlić się za duszę tego biednego chłopca...

- Nigdy! - rzuciła Adria stanowczo, śmiało patrząc matce w oczy. - Nigdy już nie będę się modlić.

Z oczu Sharon zniknęły resztki współczucia.

- Zostaniesz więc ukarana.

- Już zostałam! Nie widzisz? Mark nie żyje, mamó, umarł! Nigdy już go nie zobaczę. Twój dobry Bóg mi go odebrał!

Sharon zacisnęła usta w przypiływie wściekłości.

- Masz zakaz wychodzenia z domu. Przez dwa tygodnie. A jeśli nie okażesz skruchy, to przez następne dwa tygodnie też nie wyjdiesz.

- Nie mam zamiaru okazywać skruchy. Niczym nie zgrzeszyłam.

- A kłamstwo to nie grzech?

- Kto kłamie, mamó? A kłamstwa, którymi mnie karmisz od lat? Kim jest moja prawdziwa matka, co?

- Ja jestem twoją matką.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?! - krzyknęła Adria histerycznie i pobiegła do swojego pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła się, łkając rozpaczliwie, na łóżko. Płacząc w poduszkę, zaczęła myśleć o ucieczce z domu. Ale po co? Nie ucieknie z Markiem. Marka już nie ma. I nie wróci. Nigdy go już nie zobaczy. Nie wyjdzie za niego, nie urodzi mu dzieci. Wstrząsały nią konwulsyjne dreszcze. Zacisnęła powieki, by odgrodzić się od bólu, wciąż jednak miała przed oczami twarz Marka, ciepłą i przystojną, i zastanawiała się, czy żyłby jeszcze, gdyby poszła do niego nad rzekę, gdyby nie bała się tak gniewu rodziców i gdyby kochała się z nim tamtej nocy, skoro on tak bardzo tego pragnął.

Nigdy się tego nie dowie. Była jednak pewna, że już nigdy też nie będzie nikogo darzyła takim uczuciem. To zbyt bolesne. Miłość rodzi zwątpienie, strach, winę. Miłość rodzi ból. Rozdzierający, straszny ból, który może nigdy nie minie.

Nigdy się nie dowie, co by się stało, gdyby poszła nad rzekę z Markiem. Tak jak nie wie, kim naprawdę jest. Przygryzając wargi, postanowiła nagle, że za wszelką cenę musi dowiedzieć się, skąd pochodzi.

Teraz, kiedy Marka już nie ma, co jej pozostało?

Od tej chwili nie ustawała w wysiłkach. Pisała listy, spotykała się z prawnikami i pracownikami rządowych agencji, prowadziła nawet dziennik. Próbowwała odszukać Virginię Watson, ale na próżno.

Dopiero teraz, po śmierci ojca, otrzymała pewną wskazówkę, coś, czego mogła się uchwycić.

I była zdecydowana przejść nawet przez bramy piekieł, jeśli za nimi miałyby znaleźć odpowiedź na pytanie, czy - jak sądził jej ojciec - istotnie jest zaginioną przed laty London Danvers.

9

Adrię zbudził rano pisk hamulców i warkot silnika ogromnej ciężarówki, która zatrzymała się na parkingu przed motelem. Z jękiem zsunęła się z łóżka i rozejrzała po obskurnym pokoiku. Cóż, to na pewno nie „Ritz” ani „Benson”, ani „Danvers”, ale musi wystarczyć.

Rury pokrywała warstwa rdzy, wanna cała była w rudych zaciekach, Adria jednak postanowiła przymknąć oko na te niedostatki i wzięła szybki prysznic. Woda był zaledwie letnia. Osuszyła włosy ręcznikiem, związała je w koński ogon i nawet nie spojrzała na kosmetyczkę. Nie musi być olśniewająca, ani grzebiąc w bibliotekach, ani odwiedzając biura lokalnej gazety i komisariat policji. Kiedy jednak spojrzała w lustro, serce zabiło jej mocniej. Całą noc przewracała się w łóżku, rozmyślając o portrecie, który widziała. I o Zachu. Miał taki dziwny wyraz twarzy, kiedy patrzył na Kat, jakby czekał na jakiś znak z jej strony.

- Świr - mruknęła do siebie. - Cała cholerna rodzina świrów. A ty chcesz być jej częścią, głupia.

Spojrzała na białą suknię, po czym wciągnęła sweter i zniszczone dżinsy, a na nogi włożyła stare adidasy. Na ramię zarzuciła wielką torbę i już była za drzwiami.

Podjechała przed przeznaczone dla kierowców okienko McDonalda, gdzie czekając na zamówioną kawę, przeglądała stary plan Portland. Próbowwała na nowo zapoznać się z miastem. Przecinająca je rzeka oddzielała część wschodnią, gdzie regularną sieć osiedli z rzadka tylko zakłócała jakaś dłuższa aleja czy trasa przelotowa, od zachodniej, starszej części miasta. Ta już na pierwszy rzut oka wydawała się mniej czytelna. Wąskie, kręte uliczki rozchodziły się we wszystkie strony, wiele z nich biegło równoległe do brzegu rzeki, reszta skomplikowanym labiryntem pokrywała wyrastające niemal z samej rzeki wzgórze.

Adria zapłaciła za kawę, upiła łyk i ruszyła na zachód w stronę rzeki i bliźniaczych wież Convention Center, mijając po drodze wysokie biurowce i sklepy. Ciekawe, co też porabia w tej chwili jej przyrodnie rodzeństwo, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Jeśli istotnie ci ludzie są jej rodzeństwem.

Popatrzyła w lusterko, które odpowiedziało jej spojrzeniem dwojga zatroskanych niebieskich oczu. Czy należą one do London Danvers, czy też może to wszystko jest tylko okrutnym żartem jej przybranego ojca? Cóż, za późno już, żeby się nad tym zastanawiać. Na razie jest London, a Jason, Nelson, Trisha, nawet Zachary, są nie tylko jej wrogami, ale też najbliższymi krewnymi.

Z metalicznym brzękiem ruszyła przez most Hawthorne. Skierowała się w stronę śródmieścia. Niestety, musiała po drodze minąć hotel „Danvers” i przejechać zaledwie trzy przecznice od siedziby Danvers International.

Postawiła samochód w rogu parkingu pod drzewem, skończyła kawę i wzięła torbę. Słońce świeciło, osuszając powoli mokre od deszczu ulice, ale od rzeki wiał przejmujący jesienny wiatr. Niósł chłód i wilgoć.

Wbiegając po schodach biblioteki, Adria poczuła nagle, że ktoś na nią patrzy. Wzdrygnęła się odruchowo i wzruszyła ramionami.

- Masz zadatki na paranoiczkę - mruknęła do siebie, ale nie potrafiła pozbyć się tego wrażenia.

- Coś się stało wczoraj na otwarciu hotelu, prawda? - Eunice Danvers-Smythe umiała czytać z twarzy Nelsona jak z otwartej księgi. W tej chwili był bardzo niespokojny i obgryzał paznokieć kciuka. Miał na sobie rozciągnięty podkoszulek i dżinsy, które dni świetności dawno już miały za sobą. Nie ogolił się i nie uczesał, a pod oczami miał głębokie cienie. - Coś złego? - odgadła, zrzucając wielkiego perskiego kota z krzesła.

- Można by tak powiedzieć. - Nelson siedział po drugiej stronie stołu w pokoju śniadaniowym w domu Eunice w Lake Oswego. Zadzwoił do matki rano ze swojego apartamentu i był przed jej drzwiami już po piętnastu minutach, bo tyle właśnie zajęło mu przebycie tej trasy bez przekroczenia ograniczeń prędkości.

- O co chodzi?

- Kolejna siostrzyczka.

- London?

- Tak twierdzi.

Eunice westchnęła, upiła łyk ze swojej filiżanki i spojrzała ponad ramieniem Nelsona w wychodzące na zatokę okno. Jezioro, w którym odbijały się mknące na zachód chmury, było zimne i szare. Podmuchy wiatru marszczyły miejscami powierzchnię wody i poruszały żaglówkami przycumowanymi na drugim brzegu.

- To oszustka - powiedziała Eunice.

- Oczywiście, że to oszustka, ale i tak przysporzy nam mnóstwa kłopotów. Kiedy prasa coś zwietrzy i nagłośni, wszystko zacznie się od nowa... Spekulacje na temat porwania i tak dalej. Dziennikarze, fotoreporterzy... Jak ostatnio. - Zanurzył dłonie w gęstych, jasnych włosach.

- Ani ona pierwsza, ani ostatnia - powiedziała spokojnie Eunice z uśmiechem zarezerwowanym wyłącznie dla swoich dzieci. - Musisz nauczyć się radzić sobie z takimi rzeczami. Tobie może to nawet pomóc. Jeśli rzeczywiście chcesz się kiedyś ubiegać o urząd burmistrza...

- Gubernatora.

- Gubernatora. - Eunice mlasnęła i potrząsnęła głową. - No, no, czyż nie jesteśmy ambitni? - dorzuciła, ale nie kpiła, była raczej zatroskana.

Usta Nelsona zadrgały, ale się nie uśmiechnął.

- My na pewno. Oboje poszlibyśmy do piekła po to, na czym nam zależy, prawda?

Eunice zignorowała zaczepkę.

- Jeśli jesteś wystarczająco inteligentny, będziesz umiał wykorzystać prasę do własnych celów.

- Jak?

- Powitaj cudownie odnalezioną siostrę z otwartymi ramionami - powiedziała. Nelson spojrzał na matkę, jakby nagle postradala rozum.

- Mówię poważnie - dodała. - Przemyśl to. Ty, obrońca uciśnionych, poszukiwacz prawdy, ty, przyszły polityk, wysłuchaj jej historii, postaraj się jej pomóc, a potem... kiedy już okaże się, że to oszustka... nie potępiaj jej, nie ma takiej potrzeby, po prostu wyjaśnij prasie, co się stało.

- Nie mówisz poważnie.

- Cóż, pomyśl o tym. - Eunice wlała do kawy śmietankę - odrobinę śmietanki. Była bardzo dumna ze swojej figury, której nie powstydziliby się żadna trzydziestolatka. Obserwowała, jak biała chmurka wypływa na powierzchnię ciemnego płynu. - No dobrze. - Podmuchała na kawę i upiła łyk. - Opowiedz mi o niej. - Ujęła delikatną porcelaną i czekała.

Nelson wszystko jej powie. Zawsze wszystko jej mówił. W ten sposób chciał być dla niej kimś szczególnym. Po rozwodzie z Wittem wszystkie dzieci cierpiały, każde na swój sposób, a ona obwiniła się nieustannie za ich ból. Nigdy nie chciała skrzywdzić dzieci, były w jej życiu tym, co najbardziej ceniła. To Witta miała nadzieję zranić, ale on szybko pogodził się ze stratą żony, odnosił kolejne sukcesy jako człowiek interesu, a potem ożenił się ponownie z dużo młodszą od siebie kobietą. Eunice nagle poczuła skurcz w żołądku.

Nelson podrapał się po głowie, wstał i podszedł do okna. Oparł się framugę i patrzył na jezioro. Zadzwoił do niej, prosił, żeby pozwoliła mu przyjechać i zrzucić ten ciężar z duszy, ale mimo to Eunice czuła, że teraz żałuje swojej decyzji. Zawsze był zmienny - nie tak otwarcie wrogi jak Zach - ale zmienny i humorzasty, jakby jakaś podskórna złość zawsze tylko czekała na możliwość ujścia i dodawała mu sił. Eunice często zastanawiała się, czy wie coś o tym, jak został poczęty, ale trzymała język za zębami.

Nelson był dzieckiem, które nie powinno było przyjść na świat. Kiedy Eunice zaszła w ciążę, jej małżeństwo z Wittem, który odkrył w końcu romans żony z Polidorim, było w stanie rozkładu. Dom zamienił się w piekło.

- Ty brudna makaroniarska dziwko! - ryczał Witt, kiedy odkrył prawdę. Wyczuł obecność Anthony'ego w swoim domu, w swoim łóżku, chociaż ten zdążył wymknąć się kilka minut wcześniej.

Uderzył ją z taką siłą, że jej głowa zakołysała się i Eunice upadła na wznak na łóżko. W ułamku sekundy Witt znalazł się na niej, przyciskając ją do materaca ciężarem swojego ciała i miażdżąc jej głowę potężnymi dłońmi. Eunice była postawną, silną kobietą, ale z nim nie mogła się równać.

- Jak mogłaś?! - wrzeszczał, siedząc na niej okrakiem. - Ty kłamliwa wredna dziwko, jak mogłaś?!

Eunice zaczęła płakać, łzy spływały jej po policzkach na jego palce. Wiedziała, że w tym stanie może ją nawet zabić. Jego dłonie trzymały jej twarz w żelaznym uścisku, a oczy lśniły wściekłością i nienawiścią. W kącikach

wykrzywionych grymasem pogardy ust zebrało się trochę śliny.

- Ja... Tak wyszło - wykrztusiła.

- Akurat! Jesteś moją żoną, Eunice, moją żoną! Żoną Witta Danversa. Wiesz, co to znaczy? - Potrząsnął jej głową z wściekłością i Eunice jęknęła słabo. Prawie nie była w stanie oddychać. - Może ci się nie podobam...

- Jesteś obrzydliwy - wyrzuciła z siebie Eunice.

- Ach tak, więc poszłaś do tego brudnego Włocha! Zdjęłaś majtki i zakreśliłaś mu w głowie swoim tyłkiem. Po co? Żeby się na mnie odegrać?

- Tak! - krzyknęła Eunice, nie mając odwagi przyznać, że kochała Anthony'ego tak, jak nigdy nie kochała Witta. Zaciśnął ręce na głowie żony ze zdwojoną siłą. Eunice miała wrażenie, że jej mózg zaraz wybuchnie. Szumiało jej w uszach.

- Ty dziwko! Ty kłamliwa dziwko!

- On przynajmniej jest mężczyzną! Wie, czego trzeba kobiecie!

Witt ryknął jak zranione zwierzę. Tym razem jego pięść spadła na twarz Eunice z taką siłą, że zgruchotała jej kość policzkową, która pękła z trzaskiem. Eunice jęknęła chrapliwie.

- Jest mężczyzną, co? - sapał Witt. - Ja ci pokażę mężczyznę.

Zadrzała, widząc, jak sięga do paska. Nigdy wcześniej jej nie bił, ale teraz była pewna, że to zrobi. Przeraziła się i zapomniała o dumie.

- Nie, Witt - wyszeptwała. - Proszę...

- Zasłużyłaś sobie na to.

- Nie - wolną ręką zasłoniła twarz. - Nie!

Witt zawahał się, dysząc ciężko.

- Jesteś dziwką, Eunice.

- Nie...

- I zasługujesz na to, żeby cię traktować jak dziwkę.

Wciąż siedząc na niej okrakiem, złapał ją za rękę i nakierował na swój rozporek.

- Rozepnij.

- Nie, ja... - Cofnęła dłoń i krzyknęła, widząc, jak mięśnie pod jego koszulą napinają się w paroksyzmie wściekłości. Wysunął pasek u spodni. W ułamku sekundy Eunice zobaczyła błysk srebrnej klamry ozdobionej wizerunkiem konia w biegu - metalowe kopyta mogły ciąć i ranić. O Boże. Ból przeszył całe jej ciało. Zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć.

- Rozepnij spodnie.

- Witt, nie...

- Rób, co ci mówię, Eunice. Ciągłe jesteś moją żoną.

- Proszę, Witt, nie każ mi tego robić - wyszeptwała, patrząc z przerażeniem w jego nabiegłe krwią oczy. Jak to się stało, jak mogło dojść do czegoś takiego? Jak mogła kiedykolwiek sądzić, że kocha tego człowieka?

- Ale już!

Drżały jej ręce i zrobiło jej się niedobrze na widok wybrzuszenia pod jego rozporkiem. Znęcanie się nad nią wyraźnie go podniecało i doprowadziło w końcu do erekcji po miesiącach impotencji, miesiącach cichej wściekłości. Najpierw składała to na karb przepracowania, stresu, potem zaczęła obwiniać ją, a teraz odbije sobie to wszystko.

Zamek rozporka zjechał w dół.

- Wiesz, co robić. Zrób dla mnie to, co robisz dla Polidoriego. Pokaż mi, jak doprowadzasz tego brudnego drania do szału.

- Witt, nie, nie chcę...

Złapał ją za włosy, jego oczy lśniły chorobliwą żądzą. Grube palce jednym szarpnięciem rozplotły jej francuski warkocz.

- Zrobimy tu, co zechcę, Eunice, i będziemy to robić przez całą noc. Mam zamiar pieprzyć cię tak długo, aż zrobi mi się niedobrze na twój widok. Raz za razem. A ty zrobisz wszystko, żeby mi sprawić przyjemność, choćby nie wiem ile miało cię to kosztować. - Szarpnął ją za włosy. - A kiedy skończę, ty już nigdy nie zobaczysz się z tym małym brudnym Włochem.

Walcząc z ogarniającymi ją mdłościami, Eunice uległa.

- Mamo? - W bolesne wspomnienia sprzed wielu lat wdarł się nagle głos Nelsona.

Eunice drgnęła, odchrząknęła i napiła się kawy. Sięgnęła po serwetkę i na moment przytknęła ją do oczu.

Nelson patrzył na nią zaniepokojony. Jej dziecko. Ostatnie z jej dzieci. Chłopiec poczęty tamtej strasznej nocy. Nigdy nie było żadnych wątpliwości co do tego, kto jest jego ojcem. Nawet teraz, kiedy patrzył na nią z wyrazem troski na twarzy, był żywym obrazem Witta z czasów jego młodości, Witta, którego Eunice kochała czy też sądziła, że kocha, Witta, którego prawie już nie pamiętała. Człowieka pełnego energii i ambicji. Miał swoją wizję Portland i wydawał się idealnym kandydatem na męża. Eunice nie należała do słodkich, filigranowych kobietek, ale jemu to nie przeszkadzało. Być może dlatego, że pochodziła z „odpowiedniej” rodziny, miała własny spory mająteczek i chciała go wspierać w jego dążeniach.

- To wszystko będzie kiedyś nasze - powiedział z uśmiechem, spoglądając z okien apartamentu na ostatnim piętrze na rozciągające się w dole miasto. - W każdej dzielnicy będą budynki z naszym nazwiskiem!

Wtedy wierzyła mu i ufała. Potem w jego życiu pojawiły się inne kobiety. A kiedy na świat przyszło drugie dziecko, seks przestał go interesować. Przynajmniej w domu.

Anthony podzielał jak balsam na jej dumę, tak głupio się w nim zakochała.

- Wszystko w porządku? - spytał Nelson i Eunice wróciła z bolesnej przeszłości. Twarz syna wyrażała troskę, jasnobrzowe brwi zbiegły się, tworząc jedną linię. Wyglądał zupełnie jak Witt. Biedne dziecko. Mimo kosztownych, upokarzających okoliczności, w jakich został poczęty, Eunice kochała go tak, jak kochała wszystkie swoje dzieci.

- Tak, kochanie - zmusiła się do uśmiechu. Spojrzała na syna i pomyślała, że warto było znieść ten koszmar i upokorzenie. Chrząknęła i wzięła go za rękę. - A teraz opowiedz mi o tej dziewczynie, która uważa, że jest London.

- Niewiele jest do opowiadania. Nikt nic o niej nie wie poza tym, czego dowiedzieliśmy się wczoraj.

Eunice wolno mieszała kawę, słuchając opowiadania Nelsona o kobiecie, która przyjechała do Portland, by zająć miejsce ich zaginionej przyrodniej siostry. Nelson był bardzo przejęty i zmartwiony, ale nie było to nic nowego. Przyszedł na świat, żeby się przejmować i martwić. Jako dziecko odznaczał się wybujałą wyobraźnią, marzył o fantastycznych miejscach i przygodach, a kiedy dorósł, bez przerwy starał się coś sobie udowodnić - jakby podświadomie czuł, że nie był chcianym, wyczekiwanym dzieckiem, że został poczęty w wyniku aktu przemocy. Jego praca w biurze obrońcy z urzędu miała wszystkim pokazać, że choć urodził się w czepku, to jednak troszczy się o słabych tego świata.

Pomoże mu, oczywiście, tak jak pomogłaby każdemu ze swoich dzieci. Żeby nadrobić lata nieobecności, stracony czas, kiedy przeznaczono jej rolę wyrodnej matki, Jezabel. Witt potrafił dopilnować, wykorzystał w tym celu swoją władzę i pieniądze - żeby nigdy się do nich nie zbliżyła. Mogła tylko z daleka patrzeć, jak kształtował jej potomstwo na swój obraz i podobieństwo, jak próbował zmienić jej dzieci w małe kopie siebie samego.

Oczywiście nie udało mu się to, jej dzieci były na to z jednej strony zbyt silne i uparte, a z drugiej zbyt słabe. Jason był najbardziej podobny do Witta i podobnie jak ojciec zdawał się nie interesować niczym poza nazwiskiem Danversów, majątkiem Danversów i korporacją Danversów. Trisha nigdy nie będzie w pełni szczęśliwą, spełnioną kobietą. Witt zadbał o to dawno temu.

Zach... uśmiechnęła się na myśl o swoim drugim synu. Był kimś szczególnym. Od chwili przyjścia na świat był solą w oku Witta, a Eunice była zachwycona buntowniczą naturą Zachary'ego. Nelson to konformista. Zgadzał się z Wittem, ale tylko wtedy, kiedy było mu to na rękę i sprzyjało jego własnym celom.

Rozwód był okropny, a prasa nie zostawił na Eunice suchej nitki. Przedstawiano ją jako bogatą, znudzoną kobietę wplątana w liczne romanse, w tym w związek z największym wrogiem swojego męża. Nie miała siły ani środków, jakimi dysponował Witt, by podjąć walkę, zdecydowała się więc pójść z nim na ugodę i zostawić dzieci pod jego opieką. Pod opieką ojca potwora. Jeszcze teraz na wspomnienie sposobu, w jaki Witt manipulował nią, aby wyrzekła się dzieci, zacisnęła zęby w bezsilnym gniewie. Powinna była się poświęcić i zostać z nim, nauczyć się żyć z jego zmiennymi nastrojami, impotencją i atakami wściekłości, żeby nigdy nie udało mu się odebrać jej dzieci. Ale stchórzyła, przyjęła jego symboliczne alimenty - splamione krwią pieniądze - i wyjechała z Portland.

Nigdy jednak nie żyła już pełnią życia. Nawet kiedy powtórnie wyszła za męża, dręczył ją niepokój i każdej nocy kładła się do łóżka przepełniona poczuciem winy i tęsknotą za wyciągniętymi do niej rączkami i ufnymi oczami dzieci.

Romans z Polidorim skończył się równie szybko, jak się rozpoczął, kiedy tylko Witt zorientował się w sytuacji. Często zastanawiała się, czy Anthony ją wykorzystał, czy uwiódł ją tylko po to, żeby odegrać się na Witcie. Eunice znowu poczuła pod powiekami piekące łzy. Zamrugowała szybko.

- Na pewno wszystko w porządku? - Nelson dotknął lekko jej ramienia.

- Na pewno, skarbie - odpowiedziała zdecydowanie. Nie podda się wspomnieniom. - A teraz chodź, spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o kolejnej London.

Adria zaciągnęła zamek błyskawiczny wielkiej torby, zamknęła oczy i pokręciła głową we wszystkie strony, żeby rozruszać zeszytniały kark. Wiele się dowiedziała o historii rodziny Danversów. Od ponad stu lat byli jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w Portland. Niektóre skandale, z którymi łączono ich nazwiska, zostały dokładnie opisane w prasie, o innych zamieszczono zaledwie krótkie wzmianki, ale Adria miała wrażenie, że posunęła się krok do przodu. Poznała daty i nazwiska, do których nie udało jej się dotrzeć w Montanie.

Rozpoczęła swoje poszukiwania od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego - wtedy to London została porwana - i posuwała się do przodu i do tyłu, zbierając tyle informacji, ile się dało. Nie skończyła jeszcze, nazwisko Danvers bardzo często pojawiało się w prasie przed porwaniem i po nim, ale Adria była już zmęczona i potrzebowała przerwy. Zebrała swoje rzeczy ze stolika przy oknie na drugim piętrze.

Na zewnątrz słońce wygrało właśnie swoją wojnę z deszczem i lśniło dumnie w kałużach na ulicy, wiatr ustał i zaledwie kilka chmur płynęło leniwie po głębokim błękitnie jesiennego nieba. Dzień był ciepły jak na tę porę roku.

Adria postanowiła przejść się pieszo do starego domu towarowego zamienionego na kilkupiętrowe centrum handlowe, pełne mniejszych i większych sklepików i restauracji.

Na pierwszym piętrze znalazła małą kafejkę. Brała właśnie do ręki kartę, kiedy zauważyła Zachary'ego i serce na chwilę przestało jej bić. Bez słowa, nie czekając na zaproszenie, odsunął krzesło przy jej stoliku, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem.

Adria zdążyła już niemal zapomnieć, jaki jest przystojny. Miał na sobie wypłowiałe džinsy, flanelową koszulę i skórzaną kurtkę. W tym stroju prezentował się równie doskonale jak w smokingu. Nie ogolił się tego ranka, a zarost nadawał jego twarzy wyraz twardości. Objął ramionami oparcie krzesła i patrzył na nią z lekkim niesmakiem.

- Okłamałaś mnie.
- Naprawdę? - Adria odwróciła wzrok.
- Naprawdę. Nie zatrzymałaś się w „Bensonie”.
- To przestępstwo?
- Guzik mnie obchodzi, gdzie postanowiłaś zamieszkać, ale reszta mojej rodziny uważa, że to bardzo istotne.
- Więc musiałam ich zaniepokoić.
- Na to wygląda - mruknął, patrząc na nią ponuro.
- A ty? Jeśli guzik cię to obchodzi, to co tu robisz?
- Zostałem wybrany.

Adria spojrzał na niego z niedowierzaniem. Nie wyglądał na człowieka, którego można by skłonić do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty.

- Jak mnie znalazłeś?
- To nie było trudne.

Adria postanowiła, że nie da się wyprowadzić z równowagi, ale było to coraz trudniejsze.

- Śledziłeś mnie.

Zach wzruszył ramionami, a cień uśmiechu, który na moment uniósł kąciki jego ust, doprowadził Adrię do wściekłości.

- Jak?
- To bez znaczenia. Jestem tu, żeby przekazać ci zaproszenie.

Adria spojrzała na niego podejrzliwie, ale w tej samej chwili przy stoliku pojawiła się ubrana w białą bluzkę i czarną spódniczkę kelnerka z muchą pod szyją. Umilkli oboje. Kelnerka odebrała zamówienie i odwróciła się do stolika obok.

- Cóż, tutaj nie zostałeś zaproszony - powiedział Adria.
- Ciebie wczoraj też nikt nie zapraszał.
- Dlaczego mnie śledzisz?
- Twoja wczorajsza wizyta zdenerwowała kilku członków mojej rodziny.
- Ciebie też?

Zach zawahał się i spojrzał na nią tak przenikliwie, że przez chwilę Adria miała ochotę schować się przed tym wzrokiem pod stół. Chłodne szare oczy patrzyły prosto w jej błękitne.

- Przeszkodziłaś mi - powiedział w końcu - ale twoje pojawienie się tu ani mnie nie zdenerwowało, ani nie zmartwiło.

- Ciągłe mi nie wierzysz.
- Chodzi o to, że sama sobie nie wierzysz.

Ta rozmowa nie ma sensu. Zach Danvers wierzy tylko w to, w co mu wygodnie wierzyć. Świetnie, powiedziała sobie, niech myśli, co chce. Ale cyniczne niedowierzanie w jego oczach sprawiło, że czuła się coraz bardziej nieswojo. Napila się wody mineralnej i postanowiła zawrzeć chwilowo rozejm z tym człowiekiem. Był jej jedynym łącznikiem z tą rodziną.

- Mówiłeś coś o zaproszeniu - przypomniała mu, smarując tost masłem.
- Moja rodzina chciałaby, żebyś zatrzymała się w hotelu „Danvers”. Uważają, że to dobry pomysł.

Powinna była się tego spodziewać, ale jakoś nie przyszło jej to do głowy.

- Żeby łatwiej im było mnie szpiegować.
- Może.

- Cóż, powiedz swojej rodzinie, żeby poszła do diabła.
- Już to zrobiłem. - Uśmiechnął się pod nosem.

- Posłuchaj, Zach. Nie lubię, kiedy ktoś próbuje mną manipulować, nie znoszę, kiedy ktoś mnie śledzi, i nienawidzę uczucia, że Wielki Brat na mnie patrzy.

- To ty do nas przyszłaś, pamiętasz?

To prawda. Adria westchnęła. Nie powinna była dać się sprowokować, ale czuła się zmęczona i niewyspana po nocy spędzonej na nierównym materacu. Burczało jej w brzuchu z głodu, a nerwy miała napięte jak postronki. Drżała na myśl o tym, że wkrótce znowu będzie musiała stawić czoło rodzinie Danversów, swojej rodzinie.

- Chciałabym tylko, żebyś pomógł mi poznać prawdę.
- Ja już ją znam.
- Jeśli jesteś tego taki pewien, to po co mnie śledzisz?
Zach spojrział na nią przeciągle.
- Myślę, że masz zamiar wsadzić kij w mrowisko, a tego, co się potem stanie, będziesz gorzko żałować.
- Cóż, to będzie mój błąd.
- Ja cię tylko ostrzegam.
- Przed czym? - Adria oparła łokcie na stole i pochyliła się do przodu. - Miałam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć, Zachary. Oczywiście, dręczyły mnie różne wątpliwości, ale nie mogę spędzić reszty życia, zastanawiając się, kim naprawdę jestem.
- A co, jeśli okaże się, że nie jesteś London?
Adria uśmiechnęła się powoli i tak zmysłowo, że serce mocniej zabiło mu w piersi.
- Wierzę, że wezmę każdą przeszkodę, jaka stanie na mojej drodze.
Kelnerka przyniosła zamówione dania i Adria energicznie zanurzyła widelec w swojej sałatce z krabów.
- Jason uważa, że byłoby ci wygodniej w apartamencie w naszym hotelu. - Zach zatopił zęby w kanapce.
- W trosce o moje zdrowie i bezpieczeństwo, co? - zadrwiła.
Zach wzruszył ramionami.
- Powiedz mu „dziękuję, ale nie”. Koszt byłby nieco za wysoki.
- Otrzymałabyś ten apartament gratis.
- Nie mówiłam o pieniądzach. - Spojrzała mu prosto w oczy znad swojej sałatki i serce znowu zabiło Zachowi mocniej. Dobrała się do niego z tymi swoimi błękitnymi oczami, zmysłowym uśmiechem i ciętymi ripostami. Nie odezwał się więcej, dopiero kiedy skończyli jeść, uparł się, żeby za nią zapłacić. Adria oczywiście oponowała, ale Zach był nieugięty, więc w końcu dała za wygraną i postanowiła oszczędzać siły na większe bitwy, które przyjdzie jej stoczyć w przyszłości. Tak w każdym razie powiedziała.
Kiedy ruszyli w powrotną drogę do biblioteki, ulice były już pełne ludzi kolorowym tłumem wymijających samochody i motocykle stojące przy krawężnikach i chodnikach. Adria zsunęła gumkę, która przytrzymywała jej włosy, i gęste czarne loki opadły jej na ramiona. Zachowi zaschło w gardle na widok ich prawie granatowego połysku. Ta dziewczyna była tak podobna do Kat, że aż przeszły mu ciarki.
- Więc jak doszło do tego, że poróżniłeś się z ojcem? - spytała, przekładając torbę z jednego ramienia na drugie.
- Zawsze były ze mną same kłopoty.
Adria zaśmiała się cicho.
- Wierzę.
- Często bywałem na bakier z prawem.
- Ach tak.
- Witt nie mógł tego znieść. Chciał, żebyśmy wszyscy byli najlepszymi uczniami w szkole, a potem poszli do najlepszego college'u w kraju... albo do Reeds College, bo to coś w rodzaju rodzinnej tradycji... Potem wszyscy mieliśmy pójść na studia prawnicze i pracować w najbardziej prestiżowych firmach.
- Jesteś prawnikiem? - Adria знаła odpowiedź na to pytanie, ale chciała usłyszeć ją od niego.
- Skąd - prychnął pogardliwie.
- Ale powiedziałeś właśnie...
- Ja się tak naprawdę nie liczyłem, pamiętasz? - Jego twarz przybrała twardy wyraz, który Adria nauczyła się już rozpoznawać. Nie wyglądał jednak, jakby czegokolwiek żałował albo oczekiwał od niej współczucia. Jego oczy pozostały chłodne, uniósł podbródek, jakby miał zamiar pokazać, ile jest wart.
Tylko komu?
- Czym się zajmujesz, kiedy nie odnawiasz hoteli?
- Daj spokój, dobrze? Przecież wiesz, że przez wiele lat remontowałem domy, a ostatnio odnawiam ranczo.
- Ranczo rodzinne.
- Tak.
- Teraz ty je przejąłeś?
- Przecież już to wiesz.
- A co z remontowaniem domów?
- Wciąż mam firmę budowlaną w Bend.
- Złota rączka czy człowiek renesansu?
- Robię, co trzeba. - Dotarli do parkingu przed biblioteką. Zach wskazał głową budynek. - Zdażyłaś już wygrzebać wszystkie brudy o mojej rodzinie?
- Jeszcze nie, ale już niedługo.
- I wtedy dowiesz się, czy faktycznie jesteś London.
- Mam nadzieję.
- Mogę oszczędzić ci czasu, pieniędzy i wysiłku: nie jesteś.

- Skąd ta pewność? - spojrzała na niego spode łba. Wiatr rozwiewał jej włosy.

- Z doświadczenia - odparł.

Adria uniosła pięknie wykrojoną brew dokładnie tak, jak miała to w zwyczaju Kat. Zachowi zrobiło się nagle lodowato.

- Masz zamiar chodzić za mną do końca życia?

- Czekam po prostu na odpowiedź.

- Odpowiedź? - Zmrużyła oczy, słońce świeciło teraz tuż nad jego ramieniem.

- Zgadza się. To jak będzie, Adrio? - spytał z nutą pogardy, której nie umiał ukryć. - Masz zamiar zostać w tym zatechłym moteliku na Osiemdziesiątej Drugiej czy może zechcesz przenieść się w przyjemniejsze miejsce i zamieszkać w najlepszym apartamencie hotelu „Danvers”?

10

Nie najlepszy był z niego detektyw, Zach wsadził ręce do kieszeni i patrzył na Adrię wbiegającą po schodach biblioteki. Nie przyjęła wprawdzie propozycji zamieszkania w apartamencie ich hotelu, ale Zach uważał, że to tylko kwestia czasu. Ulegnie w końcu i przyjmie pierwszy z długiej listy prezentów - w zasadzie łapówek - za pomocą których rodzina będzie chciała się jej pozbyć. Z drugiej jednak strony sądził, a właściwie miał nadzieję, że dziewczyna jest nieco mądrzejsza i uczciwa.

Oczywiście wcale nie jest. To typowa poszukiwaczka złota, pospolita oszustka, tyle tylko że diablo podobna do jego zmarłej macochy.

Kiedy ruszył do swojego jeepa, na niebie znowu zaczęły zbierać się chmury. Ma ważniejsze sprawy na głowie niż ściganie Adrii Nash, powtarzał sobie, ale coś kazało mu obejrzeć się za siebie. Ta dziewczyna zaintrygowała go - piękna i przewrotna, inteligentna i fascynująca. Zastanawiał się, w czym jeszcze jest podobna do Kat. Jaka byłaby w łóżku, w jego łóżku... Dość! No jasne, nie jest lepszy niż reszta rodziny. Zatrzasnął drzwi prowadzące do takich niebezpiecznych rozważań i zjechał w kierunku rzeki. Stał na parkingu w podziemiach hotelu i postanowił, że zostanie jednak w mieście jeszcze kilka dni. Ale tylko kilka. Poczekaj po prostu, aż się sprawy wyjaśnią, co nie powinno trwać zbyt długo. Trochę zabawy w kotka i myszkę, sumy oferowane i odrzucane, aż osiągną oczekiwany pułap albo ktoś w końcu dogrzebie się czegoś na jej temat i zagrozi wytoczeniem sprawy o oszustwo.

Tak czy inaczej, wynik będzie taki sam. Dziewczyna zniknie z Portland i wszystko wróci do normy.

Zach siedział jeszcze chwilę w samochodzie, słuchając cichnącego silnika. Patrzył przed siebie, ale nie widział nic - ani samochodów, ani ludzi wsiadających do wind. Nie mógł przestać myśleć o Adrii, a wcale nie chciał, żeby jakaś kobieta - jakakolwiek kobieta - zaprzętała jego myśli.

Ocknął się, wyjął z jeepa torbę i wszedł do windy dla pracowników. Wysiadł na poziomie głównego holu. Trzech urzędników w zielonych marynarkach pracowało przy komputerach, a przez frontowe drzwi bezustannie wchodzili i wychodzili boje z bagażami. Kilka osób siedziało w holu. Jakaś kobieta wyklócała się z pracownikiem hotelu o rachunek telefoniczny. Wprawdzie hotel „Danvers” przeszedł pomyślnie ostateczny test po remoncie, ale nie wszystko było jeszcze zapięte na ostatni guzik. Na trzech ostatnich piętrach były problemy z odbiorem telewizji kablowej, na parterze ciekły dwa krany, na szóstym piętrze w jedne drzwi wstawiono wadliwy zamek, woda w basenie była za mocno chlorowana, a kuchenny piekarnik odmawiał chwilowo posłuszeństwa. Wszystko to było jeszcze na głowie jego ekipy.

Zach odszukał Franka Gillette'a w kuchni nad piekarnikiem wymontowanym ze ściany. Papieros zwisał mu z kącika ust. Frank mrużył oczy przed dymem i sprawdzał przewody. Podniósł wzrok i zobaczył Zaczęła.

- Wszystko jedno, ile za to daliśmy, daliśmy za dużo.

- Sam to zamówiłeś.

- Więc popełniłem błąd - mruknął Frank. - Chwileczkę... - odwrócił się i spojrzał przez ramię. - Dobra, Casey, daj mu popalić!

Usłyszeli trzaśnięcie i światła w kuchni zamigotały. Frank wstał i z pomocą Zacha umieścił piekarnik z powrotem w ścianie.

- Ciężki, cholera - powiedział. - Zapal - poleciał kucharzowi, chudemu Chińczykowi z małą czarną bródką. Patrząc sceptycznie na Franka, kucharz wykonał polecenie. Światelka nad piekarnikiem zamrugały, a kiedy kucharz zapalił gaz, błękitne płomienie od razu strzeliły w górę.

- Sukinsyn. Chyba go naprawiłem - powiedział Frank. - Czasem sam siebie zadziwiam; - Zaciągnął się papierosem.

- Co jeszcze nie działa, jak należy? No, mów.

- A masz kilka godzin, bo to tyle zajmie?

- Mam mnóstwo czasu - powiedział Zach. Wyszedł z kuchni i wąskim korytarzykiem ruszył w stronę małego biura za recepcją.

- Dobra - Frank wypuścił kłęb dymu nosem. - Zaczniemy od tego pieprzonego systemu zabezpieczającego...

Oswald Sweeny był bardzo dumny ze wszystkiego, co odróżniało go od Jasona Danversa, no, prawie ze wszystkiego. Niski, krępy, o sokolim wzroku, Oswald przez dziesięć lat był pracownikiem wywiadu. Został

zwolniony ze służby w dość niechlubnych okolicznościach, za pobicie nowego człowieka, który popełnił duży błąd, próbując go poderwać. Oswald nazwał szczeniaka pieprzonym pedałem i wybił mu dwie jedyńki. Szczeniak okazał się pamiętliwy i starczyło mu jaj, żeby złożyć na Oswalda oficjalną skargę. W rezultacie obaj wylecieli na zbity pysk.

Oswald był z tego zresztą bardzo zadowolony, tak jak był zadowolony z faktu, że nie jest takim nadętym palantem jak Danvers. Byli biegunowo różni.

Jason był bogaty, Oswald zawsze pożyczał do pierwszego. Jason był wykształcony, Oswald uważał, że uniwersytety są dla idiotów. Jason miał żonę i stałą kochankę. Oswald zaspokajał żądze w towarzystwie prostytutek z ulicy, których nigdy nie pytał o imię.

Jego słabością były papierosy bez filtra, tanie kobiety i szybkie konie. Czasami kobiety okazywały się szybsze od szkap, na które stawiał.

Jednak mimo że różnili się od siebie tak diametralnie, Oswald i Jason mieli jedną wspólną cechę, obaj mianowicie zrobiliby wszystko, żeby dostać to, czego chcieli.

W tej chwili Jason chciał dowiedzieć się czegoś na temat kobiety nazwiskiem Adria Nash, która twierdziła, że jest zaginioną London Danvers, i postanowił nie liczyć się z kosztami. Wygląda na to, że ta kobieta jest niemal sobowtorem jego zmarłej macochy - pięknej kobiety, która odebrała sobie życie za pomocą potężnej dawki leków nasennych. Niewielu ludzi wiedziało, dlaczego Katherine LaRouche-Danvers postanowiła skończyć ze sobą. Sweeny był jednym z nielicznych, którzy znali odpowiedź na to pytanie. Powinien napisać książkę. Mógłby zbić fortunę na „całej prawdzie” o rodzinie Danversów.

- Pieniądze nie grają roli. - Jason chodził tam i z powrotem po wyłożonej linoleum podłodze małego biura Oswalda. Był to samotny pokój, w którym poza kilkoma metalowymi, zamykanymi na klucz szafkami znajdowały się jeszcze wypaczone biurko, dwa krzesła i automatyczna sekretarka podłączona do telefonu, którego Oswald nigdy nie odbierał.

Oswald nikomu też nie ufał, sam prowadził swoje księgi i pisał listy. Małe biuro z oknem wychodzącym na Strak Street opłacał tylko na miesiąc z góry - na wypadek gdyby musiał szybko opuścić miasto. Żadne roczne opłaty nie wchodziły w grę - Oswald chciał przede wszystkim zachować niezależność i chociaż jego biuro w starym betonowym budynku znajdowało się dość daleko od centrum, zaspokajało w zasadzie wszystkie jego potrzeby. Pieniądze trzymał w sejfie depozytowym i zgodnie z jego obliczeniami w skrytce znajdowało się już około dwudziestu tysięcy. Żadna fortuna oczywiście, ale całkiem zgrabna sumka.

Oswald zgasił papierosa w przepelnionej niedopałkami popielniczce.

- Dowiedz się o niej jak najwięcej. A tu- Jason otworzył skórzaną teczkę i wyciągnął kasetę wideo - jest kopia jej „dowodu”. Jakiś facet, który twierdzi, że jest jej adopcyjnym ojcem, wyznaje na łożu śmierci, że sądzi, iż ona może być zaginioną dawną córką Witta Danversa. To wyznanie śmierdzi na kilometr.

- Myślisz, że siedzi w tym sama?

- Nie mam pojęcia. - Jason położył kasetę na biurku i pchnął ją w stronę Oswalda. - Wiem tylko, że mamy duży problem. Jeśli zdecyduje się pójść z tym do prasy, udowadnianie braku autentyczności tej kasety będzie się ciągnęło latami.

- Dasz kopię policji?

- Jeszcze nie. - Jason zmarszczył brwi. - Za dużo mają tam teraz przecieków.

A więc Danvers chce uniknąć rozgłosu. Oswald wskazał na kasetę.

- Nie mógłbyś wziąć Watsona, żeby się tym zajął? - Zerknął na Jasona, który odpowiedział mu spojrzeniem zdolnym zabić. Strzał był celny. Bob Watson pracował czasami dla Danvers International jako prywatny detektyw. Nosił trzyczęściowe garnitury, krawaty za osiemdziesiąt dolarów i miał tuzin sekretarek i asystentów.

- Wiesz, dlaczego chcę, żebyś ty się tym zajął.

Oswald wiedział bardzo dobrze. Chętnie omijał lub naginał prawo i posuwał się w tym dalej niż ktokolwiek inny, łącznie z Watsonem. Jason dzwonił do Oswalda tylko wtedy, gdy miał nóż na gardle i potrzebował czegoś więcej niż prostej usługi detektywistycznej.

- Masz śledzić Nash. Dowiedz się, czy działa w pojedynkę, czy też ma jakichś współników. Sprawdź wszystko, co nam powiedziała. Twierdzi, że pochodzi z małego miasteczka w Montanie, Bellamy czy jakoś tak, i że jej wuj Ezra był prawnikiem w Bozeman. Zobacz, czego można się dowiedzieć o nim i o innych członkach tej rodziny.

- Ile tego chcesz? - Sweeny oparł się naglej chęci zatarcia rąk na myśl o pieniądzach Danversa.

- Wszystko. Liczy się każda informacja, która pomoże nam skompromitować tę kobietę i zmusić ją do wyjazdu. Każdy ma jakiś brudny sekret albo słabość. Dowiedz się po prostu, co ona przed nami ukrywa, a ja zajmę się resztą.

Sweeny nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Widok spoconego ze strachu Danversa zawsze sprawiał mu przyjemność, a tym razem Danvers był bardziej przerażony niż kiedykolwiek.

- A jakie są szanse, że to prawda? - Postukał pośliskim od nikotyny palcem w kasetę.

- Żadne oczywiście. Ale martwi mnie to wszystko. Ta dziewczyna zabrała się do tego inaczej niż jej poprzedniczki. - Jason ostrożnie usiadł na zniszczonym, skrzypiącym krześle dla gości i klientów. - Zamiast

awanturować się, żądać i grozić policją i prasą, panna Nash rozgrywa to bardzo chłodno. Zbyt chłodno. - Jason patrzył na Oswalda, ten jednak wiedział, że myśli Danversa błędą daleko stąd, wokół Adrii Nash.

- Ale chce tego samego. Pieniądzy - powiedział Oswald.

Jason zdawał się wracać z bardzo daleka. Zamrugał roztargniony.

- Twoim zadaniem jest tego dowieść. Niestety, może to być dość pracochłonne.

Sweeny uśmiechnął się szeroko, ukazując przerwę między żółtymi jedynkami.

- Masz szczęście. W tej chwili nie mam żadnych pilnych spraw. - Wziął z biurka notatnik i pogryziony ołówek. - Zobaczmy, co już mamy. Od początku. Twój stary wynajął eks-rządowego, kiedy London została porwana.

- Phelps, tak, ale on nic nie znalazł. Niby był najlepszy, a do niczego nie doszedł. Możesz pogadać z nim, jeśli chcesz, ale o ile wiem, jest już na emeryturze. Mieszka z córką w Tacomie.

- Pogadam z nim - powiedział Oswald. Wolałby wprowadzić sam wszystkim się zając, ale nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie, a czuł już, że powinien wybrać się do Montany i zebrać o pannie Nash tyle informacji, ile zdoła, korzystając z jej nieobecności w rodzinnym miasteczku. Miał kilku wypróbowanych ludzi, którzy przykleją się tu do niej i zdadzą mu sprawę ze wszystkich jej poczynań.

- Tylko żadnych numerów.

- Spokojnie. - Sweeny już poczuł pieniądze i nie miał zamiaru patrzeć, jak przechodzą mu koło nosa.

Jason przeszedł do szczegółów, a Oswald notował wszystko pilnie, utwierdzając się w przekonaniu, że o Adrii Nash na pewno można powiedzieć jedno: babka ma jaja. To się rzadko zdarza kobietom.

Dwie godziny później Jason wstał, strzepnął niedostrzegalny pyłek z rękawa marynarki i wyszedł, zostawiając Oswaldowi zaliczkę w wysokości trzech tysięcy dolarów. Oswald wsadził czek do kieszeni koszuli i podszedł do okna. Padało. Podciągnął żaluzję i obserwował Jasona, który szybko wślizgnął się do swego jaguara i odjechał.

Drań. Bogaty, brudny drań.

Oswald zauważył kilka martwych much przy szybie, zmarszczył brwi z niesmakiem i opuścił żaluzję. Tak, to brudne miejsce, ale w sam raz dla niego. Z górnej szuflady biurka wyciągnął butelkę Jacka Danielsa i otworzył ją. Otarł szyjkę rękawem marynarki i pociągnął z gwinta. Gorącym płomieniem whisky spłynęła mu do żołądka.

Uwielbiał, kiedy Jason Danvers przychodził do niego, skomląc o pomoc. Nie chodziło tylko o pieniądze, ale też o satysfakcję płynącą z faktu, że bogaty, arogancki sukinsyn rozpaczliwie potrzebuje jego usług. Widział pogardę w oczach Jasona i teraz rozejrzał się po swoim brudnym, ciemnym biurze. Zniszczone meble, niezamieciona podłoga, przepełnione popielniczki, brudne okno. Oswald dostrzegł też, jak arystokratyczny nos Jasona marszczył się lekko raz po raz, wyczuwając wyraźny zapach potu i dymu papierosowego. Zachichotał na to wspomnienie i wyciągnął camela z paczki leżącej na biurku. Pociągnął jeszcze raz z butelki i z optymizmem spojrzął w przyszłość. Tak, zdecydowanie idzie ku lepszemu.

W swoim apartamencie Zach odłożył słuchawkę i zaklął pod nosem. Mimo zapewnień zarządcy rancza Manny'ego, że wszystko jest w najlepszym porządku i że jego obecność nie jest tam w tej chwili konieczna, czuł się niespokojny i rozdrażniony. Przez tę kobietę. Niech ją diabli!

Próbował skontaktować się z Jasonem i powiedzieć mu, żeby sam bawił się w detektywa, ale sekretarka brata poinformowała go, że pan Danvers jest na spotkaniu i nie będzie go przez cały dzień. Zapewniła Zacha, że pan Danvers z pewnością do niego oddzwoni.

Telefon zadzwonił i Zach chwycił słuchawkę. Usłyszał spokojny, zmysłowy głos Adrii.

- Powiedziałaś, że oczekujesz odpowiedzi.

- Zgadza się.

- Postanowiłam przyjąć zaproszenie.

Dłoń Zacha zacisnęła się mocniej na słuchawce telefonu. Poczuł się rozczarowany, choć przecież właśnie tego się spodziewał. Przyjmie jeszcze niejedno, aż dostanie tyle, ile zamierzała, i zgodzi się na mały kompromis.

Spojrzął na zegarek.

- Spotkajmy się tu o szóstej.

Odłożyła słuchawkę, a Zach powiedział sobie, że nic go to nie obchodzi. Zamieszka w hotelu. Czemu nie? Ciekawiło go, co odkryła w bibliotece, szperając w starych gazetach i kolorowych magazynach. Witt, dopóki żył, potrafił utrzymać prasę z dala od rodzinnych sekretów. Po jego śmierci obowiązek ten spadł na Jasona. Ale Adria będzie kopać głęboko, nie zadowolili jej to, co znajdzie tuż pod wierzchnią warstwą kurzu. Jest na to zbyt inteligentna, zbyt przenikliwa.

Jak więc mogła uwierzyć, że jest London Danvers? Jak mogła uwierzyć w szytą tak grubymi nićmi bujędę? A może to gra? Istnieje w końcu prawdopodobieństwo, duże prawdopodobieństwo, że te śliczne usteczka kłamią jak z nut.

Muszą być naprawdę przerażeni, pomyślała Adria, kiedy Zach otwierał przed nią drzwi apartamentu na ostatnim piętrze. Apartament składał się z salonu z pięknym kominkiem, dwóch sypialni, dwóch łazienek i tarasu, z którego rozciągał się widok na całe miasto. Przestronne pomieszczenia zostały urządzone w odcieniach beżu i brzoskwini. Meble wyglądały na antyki, ale Adria domyśliła się, że zarówno wielkie, ocienione baldachimem łóżce, jak i stolik

do kawy i rzeźbione krzesła były tylko udanymi współczesnymi kopiami. Na podłodze leżał gruby dywan barwy kości słoniowej, a w barku stały butelki z alkoholami. Większość z nich Adria знаła dotychczas tylko z nazwy. Na szklanym blacie stolika do kawy stał wazon z wielkim bukietem białoróżowych róż.

- To łapówka? - spytała.

Zach umieścił jej torby w szafie i wzruszył ramionami.

- Nazwij to, jak chcesz.

Adria zgodziła się zamieszkać w hotelu w geście dobrej woli. Wiedziała, że chcą ją po prostu mieć na oku, ale mimo to przyjęła zaproszenie.

- Kto pociąga za sznurki? - spytała.

- Nie ja. - Zach zmrużył oczy. - Musisz zapytać Jasona, czego od ciebie oczekuje.

- Jeśli myśli, że może mnie kupić...

- Owszem, tak właśnie myśli. - Zach spojrział na nią z politowaniem. - To po prostu leży w jego naturze. Nie bierz tego do siebie. I nie daj się nabrać. Ta drobna uprzejmość nie oznacza, że rodzina postanowiła powitać cię z otwartymi ramionami.

- Wiem o tym.

- Dobrze.

Adria rzuciła zakiet na łóżko.

- Nie przepadasz za swoją rodziną, prawda?

- Niby czemu? - rzucił sarkastycznie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz do pokoju. Podrzucił go w górę i złapał. - Jesteś teraz gościem rodziny Danversów. Nie wiem, co to właściwie oznacza, ale jestem pewny, że mój brat wkrótce cię o tym poinformuje.

Ruszył do drzwi, ale Adria ujęła go pod ramię.

- Posłuchaj... czy naprawdę musimy skakać sobie wciąż do gardła?

Zach odwrócił się i spojrział w oczy błękitne jak letni słoneczny dzień. Spojrział też na białą szyję i rzeźbione gardło i poczuł, jak ogarnia go gorąca fala wspomnień. Kiedyś pozwolił się oczarować i uwieść takim samym błękitnym oczom, oczom Kat.

- To znaczy, że co... że mamy być bratem i siostrą, a poza tym przyjaciółmi? - spytał ironicznie.

- Dlaczego nie? - Uśmiech Adrii był tak szczery, że zdołał wdrzeć się do najciemniejszego zakamarka jego serca, zakamarka, który miał na zawsze pozostać zamknięty. - Nie znam w tym mieście prawie nikogo.

Zach milczał, jego twarz zastygła w pozbawioną wyrazu maskę. Nagle uświadomił sobie obecność drobnych palców na swoim przedramieniu.

- Chryste - mruknął w końcu.

- Pomyślałam, że może dałbyś się zaprosić na kolację.

- Dlaczego?

- Bo obojgu nam byłoby łatwiej, gdybyśmy przestali tylko czekać, żeby wbić drugiemu nóż w plecy.

- Myślisz, że to możliwe?

- Oczywiście - powiedziała i na ułamek sekundy wstrzymała oddech. - Zaufaj mi.

Zach wiedział, że powinien jak najszybciej wyjść. Otworzyć drzwi i wyjść, nie oglądając się za siebie. Mimo to stał jak kolek, patrząc na tę delikatną twarz i zastanawiając się, jak taka bezbronna, drobna istotka mogła być równie niebezpieczna.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział.

Adria zagryzła wargi, a on poczuł nagle gwałtowny przyptyk pożądania. Miał trudności z oddychaniem i poczuł jakieś poruszenie w swoich dzinsach.

- Czego się obawiasz?

Zach z trudem wydobywał głos ze ściśniętego gardła. W pokoju zrobiło się niemożliwie gorąco. Musi stąd zaraz wyjść.

- To nie kwestia obawy.

- Więc czego?

- Nie chcę zostać posądzony o kolaborację z wrogiem. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to zimno i zniechęcająco, ale Adria tylko zaśmiała się niskim, zmysłowym śmiechem.

- Czy twój brat nie wysłał cię, żebyś mnie szpiegował? Czy nie biwakowałeś przed moim motelem, a potem nie pojechałeś za mną do biblioteki? Przykro mi, że tak nudno spędziłam ten dzień i nie dostarczyłam ci przeżyć z gatunku płaszcza i szpady. Tak czy inaczej, siedzisz w tym po uszy, tak jak ja. Możesz się do tego nie przyznawać, ale ja i tak wiem, że sam bardzo chciałbyś wiedzieć, czy jestem twoją siostrą, czy nie.

- Przyrodnią siostrą - sprecyzował.

- Tak. - Zdjęła dłoń z jego ręki i odrzuciła w tył gęste czarne włosy. - Przyrodnią siostrą. Przebiorę się. To potrwa tylko minutę.

Powinien powiedzieć „nie” i wyjść. Natychmiast. Ale nie zrobił tego. Spojrzął za to na jej rozciągnięty sweter i stare sprane dzinsy.

- Wyglądasz świetnie.

- Wyglądam, jakbym właśnie opuściła farmę w Bellamy w Montanie. Zaraz wracam.

Nie czekając na jego odpowiedź, zamknęła za sobą drzwi głównej sypialni. Zastanawiała się, czy Zach tymczasem nie ochłonie i jednak nie wyjdzie, ale kiedy ubrana w biały sweter i czarne dzinsy wróciła do salonu, on wciąż tam był.

Stał przy oknie z ramieniem opartym o framugę i drinkiem w dłoni. Wypływały dzins opinał muskularne uda.

Zach usłyszał, że weszła, odwrócił się i znieruchomiał. Zacisnął usta, jakby w przypięty gniewu, i przesunął zdumionym czy może urażonym wzrokiem po jej postaci, z góry na dół i z dołu do góry.

- Gotowy?

- Jak zawsze. - Dopił drinka.

Przez całą drogę na dół milczał posepnie i patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem, którego nie rozumiała. Winda wydawała się dziwnie ciasna, powietrze gęste od zapachu whisky i skóry i choć Zach stanął tak daleko od Adria, jak to było możliwe, ona czuła ciepło bijące od jego ciała.

Jego buty uderzały głucho o betonową posadzkę garażu i Adria musiała podbiegać co chwila, by dotrzymać mu kroku.

- Gdzie chciałabyś pójść? - spytał, otwierając drzwiczki jeepa od strony pasażera.

- Ty jesteś tu u siebie - powiedziała Adria, wsiadając do samochodu.

- Sądziłem, że ty też, do diabła. - Zatrzasnął drzwiczki i przeszedł na drugą stronę jeepa.

- Myślałam tylko, że...

- Wiem, co myślałaś, moja panno. - Wsiadł, włożył kluczyk do stacyjki, wrzucił wsteczny, a potem pierwszy bieg. W ciągu kilku sekund jeep opuścił ciemny parking przed hotelem i wyjechał na zatłoczone ulice Portland. Lekka mgiełka opadała na miasto. Lśniła w światłach samochodów i spowijała wszystko srebrzystą poświatą.

- Myślałam, że zdołamy się przynajmniej na uprzejmość wobec siebie.

Zach spojrzął na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Dlaczego mnie tak nienawidzisz?

Zacisnął usta i wcisnął gaz. Przejeżdżali właśnie przez rzekę.

- Zach?

- Nie nienawidzę cię. Nawet cię nie znam.

- Zachowujesz się, jakbym była jadowitym węzem. Znowu zacisnął zęby i zatrzymał samochód na światłach.

- Może nim jesteś.

- Dlaczego nie chcesz dać mi szansy?

Para starszych ludzi przechodziła powoli przez ulicę na pasach. Zach niecierpliwie przebierał palcami na kierownicy. Kiedy zmieniły się światła, natychmiast wcisnął gaz.

- Nie mam zamiaru dać ci szansy, bo nie wierzę w twoją historyjkę.

- Nie lepiej odrzucić uprzedzenia?

- A co by to dało?

- Nic. Tobie pewnie nic.

Adria założyła ręce na piersi i patrzyła przed siebie. Nie ma sensu przekonywać go na siłę, skoro sama nie do końca była przekonana. Miała nadzieję, że Zach zostanie jej sprzymierzeńcem, ale chyba nic z tego. Spojrzała na niego kątem oka i poczuła, jak ogarnia ją zniechęcenie. Oczywiście, że nie może zostać jej przyjacielem. Gdyby nie był jej przyrodnim bratem, uznałaby go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Wysoki, smukły, dobrze zbudowany, szorstki i cyniczny, gwałtowny, ale ze zniewalającym uśmiechem... Ten uśmiech potrafił pewnie rozgrzać najzimniejsze serce. Impulsywny. Zdziorny. Nieobliczalny.

Nic dobrego.

Przyłapał ją na tym, jak mu się przygląda, i posłał w jej stronę kolejne nieprzyjazne spojrzenie.

- Jesteś cholernie podobna do Kat, muszę to przyznać.

- To zbrodnia?

- Może - warknął.

- Kat... Tak nazywałaś Katherine?

- Za jej plecami.

Adria oparła się o drzwi.

- A jak ją nazywałaś, zwracając się do niej?

- Najdroższa mamusiu - burknął ironicznie.

- Jak?

- Żartowałem. - Spojrzął na nią zimno. - Szczerze mówiąc, starałem się jej unikać.

- Dlaczego? - Adria patrzyła na jego ręce spoczywające na kierownicy.

- Były z nią same kłopoty - odparł i włączył radio. Głos Gartha Brooksa wypełnił wnętrze samochodu.

Więc nie chce rozmawiać o Katherine. Adria nie była tym zaskoczona. Podczas swych poszukiwań niewiele zdołała się dowiedzieć o kobiecie, która być może była jej matką. Wydawało się, że Katherine pozwalała mężowi

błyszczyć, sama zaś - zniewalająco piękna, wspierająca go w jego dążeniach - pozostawała zawsze nieco z tyłu. Adria zastanawiała się, czy Katherine świadomie unikała błysków fleszy i rozgłosu, czy też jej wszechwładny małżonek znalazł sposób, by trzymać rodzinę wraz z piękną żoną w cieniu.

Adria niewiele więc wiedziała o matce London. Ze skąpych notek prasowych dowiedziała się tylko, że Witt i Katherine poznali się w Kanadzie. Namiętny romans i szybki ślub ku przerażeniu i wściekłości całej rodziny. Można się było tego spodziewać, doszła do wniosku Adria. Wieść niesła, że rozwód Witta z jego pierwszą żoną Eunice był trudny i bolesny. Witt, zawsze zwycięski, dostał w końcu wszystkie dzieci. Nic dziwnego, że nikt nie powitał Katherine z otwartymi ramionami.

Adria, porównując się do drugiej pani Danvers, doszła do wniosku, że tak jak Katherine była obca w tej rodzinie dwadzieścia lat temu, tak ona sama jest w niej obca teraz. Pierwszy raz poczuła pewne pokrewieństwo z kobietą, która prawdopodobnie wydała ją na świat. Podejrzewała też, że Zach nie jest z nią szczery. Coś przed nią ukrywał, jakąś mroczną tajemnicę dotyczącą Katherine. Nie przyznał się do tego, rzecz jasna, ale ilekroć coś przywiodło mu na myśl macochę, stawał się posępny i milczący.

Wyjechali z centrum i drapacze chmur ustąpiły miejsca niższym zabudowaniom. Na ulicach rzadziej pojawiały się przejścia dla pieszych i światła, ruch żelaza i w końcu znaleźli się w dzielnicy willowej. Adria zastanawiała się, jakie było dzieciństwo Zacha. Witt Danvers był silnym, dominującym człowiekiem. Jego pierwsza żona była zbyt słaba, a druga... Jak niewiele ciągle wiedziała o kobiecie, która była macochą Zachary'ego.

- Jakie kłopoty miałeś na myśli, mówiąc o Katherine? - spytała w końcu.

- Najgorsze.

- To znaczy?...

- To znaczy, że przyszła tu jak zwycięskie wojsko. Kiedy zobaczyła coś, na co miała ochotę, zdobywała to w myśl zasady, że cel uświęca środki. Nie dawała za wygraną, dopóki nie dostała tego, czego chciała.

- A czego chciała?

Zach uparcie patrzył przed siebie, najwyraźniej zatopiony w ponurych wspomnieniach. Zaciśnął wargi w wąską kreskę, żyły na jego szyi nabrzmiały, jakby tłumił gniew albo walczył ze sobą. Mijały długie sekundy, jeep wyjechał już poza miasto i mknął teraz z dużo większą prędkością między zielonymi pastwiskami, za którymi były już tylko ciemne, posępne wzgórza. Zwolnił przed zakrętem, mgła zgęstniała i zaczął padać deszcz.

- Czego chciała Katherine? - powtórzyła Adria, kiedy znaleźli się na przełęczy między wzgórzami.

Spojrzał na nią chłodno. Opony zapiszczały na asfalcie.

- Wszystkiego.

Adria czuła, że próbuje ją zbyć, ale przynajmniej otworzył usta. Po wielu godzinach spędzonych w bibliotece na czytaniu suchych notek prasowych miała przy sobie nareszcie kogoś, kto - choć niechętnie - może udzielić jej ważnych informacji. Postanowiła, że będzie ostrożnie stąpać po tym niepewnym gruncie.

Droga, teraz wąska i nierówna, wiła się u podnóża gór. Adria nie myślała jednak o krajobrazie, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o swojej domniemanej matce.

- I dostała to? To „wszystko”, czego chciała

Zach zachnął się.

- Nie wiesz? - spytał sarkastycznie.

- Nie, ja...

- Po całym dniu w bibliotece i grzebaniu się w brudach nie wiesz, co się stało? Kat nie żyje. Popelniła samobójstwo.

Adria zbladła i przez chwilę nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Zadrzała, miała wrażenie, że temperatura w samochodzie nagle spadła o dziesięć stopni.

- Myślałam, że to był wypadek - szepnęła. - W gazetach napisali, że wzięła za dużo tabletek nasennych.

- To nie był wypadek - powiedział Zach, wjeżdżając na wysypiany żwirem podjazd przed jakąś gospodą. - Kat odebrała sobie życie. Otworzyła buteleczkę z tabletkami na sen i połknęła wszystkie, popijając całą butelką whisky.

- Nie wiesz przecież...

Zach zatrzymał samochód, wyłączył silnik, złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Kat popelniła samobójstwo. Sprawa została zatuszowana, ale Katherine Danvers stała się ofiarą własnych fantazji, własnych marzeń.

Patrzył na nią pociemniałymi oczami. Krople deszczu uderzały monotonicznie w dach samochodu, a muzyka wdzierająca się do wnętrza jeepa, ilekroć ktoś otwierał drzwi gospody. Adria nerwowo oblizła wargi, patrząc na człowieka, który mógł być jej przyrodnim bratem.

Czuła na twarzy jego ciepły oddech, a na ramionach silne dłonie, widziała oczy ciemne jak noc. Zaszło jej w gardle. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Jak zaczarowana patrzyła mu prosto w oczy i nagle zdała sobie sprawę, że ma zamiar ją pocałować. Serce zabiło jej mocniej i pożądanie - złe, zakazane i niechciane - ogarnęło jej ciało.

- Niech cię diabli - wyszeptał Zach chrapliwie, z twarzą tak blisko jej twarzy, że dostrzegła w jego oczach tę samą żądzę.

- Zachary...

- Wracaj do domu, Adrio - powiedział, puszczając ją tak gwałtownie, że omal na niego nie wpadła. Teraz patrzył na nią twardo, zimno. - Wracaj do domu, zanim stanie ci się krzywda.

11

Kto miałby mnie skrzywdzić? - spytała, odsuwając się od niego tak daleko, jak było to możliwe we wnętrzu jeepa. Serce biło jej tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Czuła, że chciał ją pocałować, wiedziała, że myślał o tym, ale odepchnął ją przerażony. A jej nie wolno wplątać się w żaden układ z tym człowiekiem. Okna samochodu zaszyły mgłą, odcinając ich od reszty świata, i kiedy Adria znowu spojrzała na Zachary'ego, odniosła wrażenie, jakby byli ostatnimi ludźmi na świecie. - Ty sama.

- Jak?

Jego oczy lśniły w ciemności.

- Igrasz z ogniem.

- A ty mówisz zagadkami.

- Doprawdy? - Ponownie złapał ją za ramiona i tym razem, kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuła bijące od niego ciepło. Serce jej mocniej zabiło z pożądania. Czuła na twarzy jego oddech, widziała błyszczące gniewnie oczy. - Dlaczego to robisz? - zapytał, zanim w końcu pochylił głowę i przycisnął wargi do jej ust w pocałunku, który był niemal brutalny. Poczuła jego palce we włosach. Ogarnęło ją jednocześnie pożądanie i złość. Próbowła się opanować i odepchnąć go od siebie, ale trzymał ją w żelaznym uścisku, a jego zaborczy pocałunek zdawał się brać ją całą w posiadanie. Jego język napierał na jej zęby, żądając całkowitego poddania.

Adria jęknęła cicho, umierając z zażenowania, i oddała mu pocałunek. Pulsowało jej w skroniach i po raz pierwszy od lat uśpiona, zwinięta w kłębek żądza przeciągnęła się leniwie, budząc się do życia. Adria nie była w stanie myśleć, nie była w stanie się ruszyć, nie była w stanie zaprotestować. Zarzuciła mu ramiona ha szyję, przyciągając go do siebie i przywierając do niego całym ciałem.

Zach, tak nagle jak wziął ją w objęcia, tak nagle ją od siebie odepchnął i zaklął cicho. Dysząc ciężko, zamknął oczy i odrzucił głowę w tył, na zagłówek fotela. Zaciśnął zęby i dłonie, jakby dotarło do niego, co właśnie zrobił. Zdawał się uciszać swe pożądanie siłą woli.

- Czego, u diabła, chcesz ode mnie, Adrio?

- Ja...

- I nie wciskaj mi tu kitu o przyjaźni, dobrze? Zdaje się, że niezupełnie o to ci chodzi, prawda?

Adria z trudem przełknęła ślinę. Ciągle miała wrażenie, że jej ciało płonie żywym ogniem.

- Zachary, ja nie mogę... to nie jest...

- Co nie jest? - Otworzył oczy i spojrzał na nią tak, jakby znowu chciał ją pocałować. Adria umilkła. Przez chwilę jego wahanie było niemal namacalne. - Cholera - mruknął, a potem znowu wziął ją w ramiona i pocałował długim, głodnym, namiętym pocałunkiem. Całym ciężarem swego twardego, silnego ciała przyparł ją do fotela. Adria czuła jego niecierpliwy język i twardniejącą męskość i wiedziała, że powinna go powstrzymać. Ale nie potrafiła tego zrobić. Małe, gorące płomyki pożądania zdawały się głąskać jej ciało, sprawiając, że nie była w stanie wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. A on całował jej usta, oczy, twarz, nie zwalniając uścisku. Kiedy w końcu podniósł głowę i spojrzał na nią, jego oczy błyszczały nienawiścią.

- Nie mów mi, że nie możesz. Możesz i zrobiłabyś to w każdej chwili. Ale nie mam zamiaru dać ci tej satysfakcji! Nie jesteś lepsza od niej. - Usiadł obok i sięgnął do klamki.

- Od... kogo? - spytała, chociaż wiedziała, że mówi o Kat.

- Brała wszystko, na co miała ochotę, bez skrpułów.

- Nie...

- Nie znałaś jej.

- Ale nie chciałam...

- Ja też nie.

- Przykro mi.

- Przykro ci? - Przeszedł włosy palcami. - Przykro? - Uśmiechnął się zimno w ciemności. - Nie udawaj niewinnej dziewczyny, nie nabiorę się na to. Chciałaś tego. Miałas ochotę.

W tej chwili miała ochotę uderzyć go w twarz, zaprzeczyć z oburzeniem temu, co było oczywistą prawdą, ale tylko zaciśnęła dłonie w pięści.

- Nie chciałam... - Gdyby tylko umiała skłamać i powiedzieć, że zupełnie niczego do niego nie czuje. Serce nadal waliło jej jak młotem, zaciśnięte dłonie drżały. Jego spojrzenie zdawało się sięgać do jej najgłębiej skrytych myśli i pragnień. Adria zrozumiała, że to, co poczuli do siebie, to czyste zwierzęce pożądanie, jest częścią jej przeznaczenia. Będzie musiała to w sobie zwalczyć. Zaszło jej w gardle, chciała uciszyć żądzę pulsującą w żyłach, ale nie była w stanie.

- Byłem ciekaw, jak bardzo jesteś podobna do Kat - powiedział, patrząc na jej potargane włosy, pognieciony sweter i nabrzmiałe wargi. - Jak daleko będziesz skłonna się posunąć.

Adria spojrzała na niego z niedowierzaniem i poczuła, jak ogarnia ją złość.

- Mam uwierzyć, że pocałowałaś mnie z ciekawości?
Zach wzruszył ramionami.
- Nie obchodzi mnie, w co uwierzysz, a w co nie.
- Nie kłam, Zach. Pocałowałaś mnie, bo mnie pragniesz. Mów, co chcesz, ja wiem, że czułeś to samo co ja.
- Chryste, teraz nawet mówisz jak ona!
W jakimś przeblasku olśnienia Adria zobaczyła szesnastoletniego chłopca i Katherine, jej matkę, w zmiętej pościeli. Lśniące od potu ciała, półprzymknięte oczy. O Boże.
- Co... co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptwała, kiedy zaczęła docierać do niej straszna, przerażająca prawda.
- Ona przyszła do ciebie? Była twoją... twoją...
- Nikim dla mnie nie była! - Jego spojrzenie było jak cios nożem.
- Nie wierzę...
- Wierz, w co chcesz. Jak już powiedziałem, nie obchodzi mnie, czym się mamisz. - Otworzył drzwiczki i do samochodu wpadł wilgotny chłód nocy.
Adria wysiadła i ruszyła za nim, prawie biegnąc, by nadążyć za jego wielkimi, szybkimi krokami. Znowu zaczął padać deszcz, ale nie zwróciła na to uwagi.
- Zaczekaj. - Spróbowała chwycić go za ramię, ale on wyrwał się jej i odwrócił do niej gwałtownie twarzą wykrzywioną gniewem i pogardą. W ciemności wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy niż dotychczas. Krople deszczu spływały mu z włosów na twarz i za kołnierz koszuli.
Uśmiechnął się szyderczo, w oczach błysnęły mu błękitne światła restauracyjnego neonu.
- Nie wiem, czego ode mnie chcesz, Adrio, ale lepiej uważaj. Bo możesz to dostać!
Odwrócił się na pięcie i dwoma wielkimi krokami pokonał dystans dzielący go od drzwi do gospody.
Adrii nie pozostało nic innego, jak pójść za nim. Policzyła wolno do dziesięciu, podeszła do drzwi i pchnęła je ramieniem. Przeszła wyłożony drewnem hol i dostrzegła Zacha stojącego przy barze. Nogę oparł o mosiężny pręt umieszczony pod zniszczonym blatem z drewna czereśni.
- Już zamówiłem. Dla ciebie też - powiedział, kiedy barmanka, szczupła blondynka z ustami pomalowanymi jaskrawoczerwoną szminką, postawiła przed nimi dwie zmrożone szklanki piwa, a następnie skrupulatnie przeliczyła monety, które położył na barze.
Zach spojrzał na Adrię w lustrze wiszącym nad barem chmurnym wzrokiem.
- Chodź. Tam jest wolne miejsce. - Wskazał głową stół pod zawieszonym na suficie drewnianym kołem, na którym stały stare lampy naftowe przerobione na elektryczne. Dawały słabe, przymgłone światło.
Adria zrobiła wszystko, żeby nad sobą zapanować. Była wściekła i czuła się upokorzona, ale posłusznie wślizgnęła się na obitą sztuczną skórą ławę i przyjęła piwo - znak pokoju.
Zach wypił swoje do połowy dwoma łykami.
- Chciałabyś wiedzieć coś jeszcze o rodzinie Danversów? - spytał ironicznie, podnosząc brew.
- Wysłucham wszystkiego, co zechcesz mi powiedzieć.
- Chodzi o to, że wolałbym niczego ci już nie mówić. Byłoby najlepiej, gdybyś się spakowała i wróciła do Bozeman...
- Bellamy.
- Obojętnie.
- Teraz mówisz jak reszta twojej rodziny.
- Boże uchowaj - mruknął i dokończył piwo. Dał znak kelnerce, cięższej wersji barmanki, która pojawiła się zaraz, przynosząc jeszcze jedno piwo i dwie karty. Spojrzała znacząco na Zacha, jakby znali się od wieków, i uśmiechnęła do Adrii.
- Dolać?
- Na razie dziękuję.
- Wrócę za chwilę. - Przeszła do stolika obok.
Adria ściszyła głos.
- Wiesz - powiedziała, sama nie wierząc w to, co mówi - mimo wszystko myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, gdybyśmy się trochę postarali.
Zach parsknął z niesmakiem.
- „Przyjaciółmi” - przedrzeźniał ją, uśmiechając się z pogardą. - Jesteś taka miła dla wszystkich swoich „przyjaciół”?
- Przestań...
- To ty przestań! Nigdy, nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi - warknął. Pochylił się nad stolikiem, wziął ją za ramiona i potrząsnął. - Zrozumiesz to w końcu?
- Dlaczego tak bardzo chcesz mnie nienawidzić?
- Bo tak jest łatwiej! - Opadł z powrotem na swoje miejsce, wbił wzrok w pianę piwa i zacisnął zęby. - Dla nas obojga.
- Boisz się, że mogłabym dostać majątek Danversów - powiedziała Adria. Doszła do wniosku, że bardziej

przypomina resztę rodziny, niż sam chciałby to przyznać.

Zach zachnął się i objął szklanę dłońmi.

- Nie dbam o majątek. Jeśli o mnie chodzi, mogłabyś dostać wszystko: całą cholerną firmę, tartaki, hotel, dom w Tahoe, nawet ranczo. Na zdrowie. Nie boję się ciebie.

- Nie wierzę.

- Wolno ci. - Wzruszył ramionami.

- Potrafisz być prawdziwym draniem, Danvers. Wiesz o tym, prawda?

Uśmiechnął się.

- Pracuję nad tym.

- Danvers z krwi i kości. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Złożmy zamówienie.

Nie powiedzieli już ani słowa. Adria patrzyła, jak kelnerka flirtuje z Zachem, wymieniając dania, które poleca dziś szef kuchni. W końcu oboje zamówili stek ze smażoną cebulą i sałatkę Cezara.

Jakaś smętna piosenka country o złamanym sercu i utraconej miłości bez powodzenia próbowała przebić się przez brzęk szklanek, szmer rozmów i dźwięk uderzających o siebie kul bilardowych. Knajpa, którą wybrał Zach, była bardziej gospodą niż restauracją. Jej klientela składała się w tej chwili głównie z kilkunastu robotników. Zmienili kaski na czapeczki bejsbolowe i kowbojskie kapelusze i wyglądali tak, jakby czuli się tu jak u siebie. Ich widok przypominał Adrii Bellamy.

- Dlaczego mnie tu przywozisz? - spytała, kiedy kelnerka położyła koszyk z gorącym pieczywem na stole.

- To był twój pomysł, pamiętasz?

- Ale dlaczego akurat tutaj, gdzie diabeł mówi dobranoc?

- Wolałabyś pójść do restauracji w centrum?

- Niekoniecznie. - Adria wzięła kromkę chleba i ułamała kawałek.

- Myślałem, że chcesz zobaczyć, jaki jestem naprawdę. - Oczy Zacha lśniły zmysłowo w półmroku. - Teraz wiesz.

- Nie sądzę. Myślę, że coś ukrywasz, Zach. Chcesz mnie odstraszyć. - Włożyła kawałek chleba do ust i patrzyła na niego nieustępliwie. - Nie uda ci się to. - Rozsiadła się wygodnie. - A więc dorastałeś w Portland.

- Staram się o tym zapomnieć.

- Dlaczego?

Zawahał się i wpatrzył w jakiś punkt ponad jej ramieniem, gdzie, jak się domyślała, widział swą młodość.

- Stary nie miał ze mnie żadnej pociechy. Same zmartwienia. Ciągłe wpadałem w tarapaty.

- Zostało ci to do dzisiaj.

Rozparł się na siedzeniu i pociągnął długi łyk ze swojej szklanki.

- Może.

- Nie może, tylko na pewno.

Wzruszył ramionami.

- No więc czego się dowiedziałaś o mojej świetnej rodzinie?

- Nie dość.

Spojrzał na nią uważnie i Adria zaczęła się zastanawiać, co mu odpowiedzieć.

- Dobrze - powiedziała w końcu, kiedy kelnerka postawiła przed nimi talerze. - Niewiele było w bibliotece. To znaczy znalazłam informacje o porwaniu i o rodzinie, ale... to tylko suche fakty. I to pewnie nie wszystkie.

- Więc nie odkryłaś nic nowego.

- Prawie nic. Ale nie skończyłam poszukiwań. - Napoczęła swoją sałatkę i Zach mruknął coś o upartych babach. Adria puściła to mimo uszu.

- A gdzie masz zamiar szukać teraz?

Uśmiechnęła się i pociągnęła łyk piwa, spoglądając na niego znad brzegu szklanki.

- Wszędzie. W lokalnych gazetach, towarzystwie historycznym, na policji. Wierz mi, dopiero zaczęłam.

- Nic nie znajdziesz.

- Tak? Dlaczego?

- W historii twojego ojca jest jedna wielka dziura. Wielka jak cała Montana.

- Zamieniam się w słuch - zachęciła go. Była ciekawa jego opinii, jakby mogła jej w czymś pomóc.

Zach odkroił kawałek steku.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, dlaczego Ginny Slade zabrała London? Kto to wie? Nikt, jak sądzę - powiedział w zamyśleniu. - Ale nie dlatego, że chciała dziecka. Nie zostawiłaby cię wtedy u Nashów.

- Wiem, ale...

- I nie dla pieniędzy, bo zostawiła sporą sumkę na swoim koncie i nigdy nie zażądała okupu.

- Może została przez kogoś oplacona.

- Mój ojciec wyznaczył nagrodę w wysokości miliona dolarów, bez żadnych pytań, dla tego, kto zwróci mu córkę. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku była to ogromna suma.

- Nadal jest ogromna.
- Ale Ginny nie zgłosiła się po nią.
- Może się bała, że zostanie postawiona przed sądem. Twój ojciec, nasz ojciec, nie zawsze dotrzymywał słowa. Był znany z mściwości.
- Wynika z tego jednak, że prawdopodobnie nie jesteś London.
- Ciągle mamy jeden motyw - powiedział Adria, stawiając pustą szklankę na stole.
- Jaki?
- Zemstę. Witt miał wielu wrogów, Zach. Szedł do celu po trupach, jeśli mu na czymś zależało. Wydaje mi się, że wielu ludzi bardzo chciało mu dopiec. Muszę tylko odkryć, kto to mógł być. Miałam nadzieję, że ty mi pomożesz.
- Niby czemu miałbym ci pomagać?
- Bo London była twoją przyrodnią siostrą i wiele osób w mieście podejrzewało, że maczałeś palce w jej zniknięciu.
- Sam byłem wtedy dzieckiem.
- Dzieckiem, które ciągle miało kłopoty. Dzieckiem, które już kilka razy było na bakier z prawem, o którym plotkowano, że jego ojcem jest Anthony Polidori, które często cierpiało z powodu Witta Danversa i które pamiętnej nocy znowu wpakowało się w tarapaty.
- Nie miałem nic wspólnego z porwaniem London - warknął Zach i zacisnął zęby.
- Dobra, Danvers, teraz możesz to udowodnić. Wszystko, co miałbyś zrobić, to pomóc mi dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Jeśli jestem London, to zostaniesz oczyszczony z podejrzeń. Jeśli ta mała przeżyła, to wychowała się w Montanie.
- A jeśli nie jesteś London?
- Nic ci nie grozi. Przynajmniej twoja rodzina i ludzie w mieście będą wiedzieli, że próbowałaś dotrzeć do prawdy.
- Tylko że...
- Tylko że co?
- Tylko że mnie guzik obchodzi, co myślą ludzie. - Opadł na oparcie i patrzył na nią wzrokiem nagle znowu zamglonym pożądaniem. - Twoja propozycja mnie nie interesuje.

Oswald Sweeny drżał z zimna w porywistych podmuchach wiejącego od gór wiatru. Ostatni raz zaciągnął się papierosem, rzucił go na wysypywany żwirem plac otaczający pensjonat i przydeptał. Wiedział już, że Bellamy w stanie Montana oznacza kres cywilizacji. Zamknął samochód i wszedł po schodach wiodących do budynku.

W środku było gorąco i coś pachniało, przypuszczalnie zupa. Słyszał, jak właścicielka trzaska w kuchni garnkami, ale nie miał w tej chwili ochoty na żadne pogawędki. Poszedł na górę, włączył światło i zdjął marynarkę. Niewiele dotąd znalazł w Bellamy w stanie Montana i martwiło go to, jako że miał już serdecznie dość tego miasteczka i jego prostolinijnych mieszkańców, o których w przewodnikach pisano zapewne, że są „solą tej ziemi”.

Podejrzewał, że Adria Nash jest bez grosza, i nie mylił się zbytnio. Wygląda na to, że tonie w długach: czekały tu na nią opłaty szpitalne, obciążona hipoteka, spłata pożyczki studenckiej i rachunki od lekarzy. Nawet wydzierżawienie farmy nie starczyłoby na pokrycie tego wszystkiego. Teraz musi się jeszcze tylko dowiedzieć, jak bardzo zależy jej na pieniądzach - na pieniądzach Danversów.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny dreptał po ulicach Bellamy, marząc niemiłosiernie, i sprawdzał historię Adrii szczegół po szczególe. Doszukał się kilku niekonsekwencji, ale niewielu, zaś jej opowieść o dorastaniu w Bellamy w roli adoptowanej córki Wiktora i Sharon Nashów była w stu procentach prawdziwa.

Jeszcze nic straconego. Kiedy pytał o Nashów, a zwłaszcza o Adrię, w oczach kilku obywateli miasteczka dostrzegł coś, co dało mu nadzieję. Teraz był już pewien, że Adria coś ukrywa, nie wiedział tylko co.

Informacje, które otrzymał od tych kilkorga ludzi, którzy zdecydowali się z nim porozmawiać, układały się w spójną całość. Sharon była niegdyś urodziwą dziewczyną, która wyszła za mąż za Wiktora Nasha, porządnego człowieka, farmera kilka lat starszego od siebie. Pragnęła w życiu tylko jednego: być dobrą żoną i matką, ale jej marzenia legły w gruzach, kiedy okazało się, że nie może zająć w ciążę. Medycyna w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych była bardziej nastawiona na nowe metody antykoncepcji niż na leczenie bezpłodności. Sharon chodziła od lekarza do lekarza, z biegiem lat wpadając w coraz większą rozpacz. Kiedy upowszechniono leki leczące bezpłodność, była już za stara. Pigułki, w których pokładała nadzieję, nie zadziałały. Zaakceptowała w końcu fakt, że nie może mieć dzieci, i doszła do wniosku, że jest to kara boska za nie dość silną wiarę.

Dla farmy nadeszły chude lata i żadna agencja adopcyjna nie zgodziła się na adoptację dziecka przez parę biednych, starzejących się farmerów, których zapewne nie byłoby stać na jego utrzymanie. Prywatna adopcja nie wchodziła w grę ze względu na koszty. Wyglądało na to, że przeznaczeniem Sharon jest umrzeć bezdzietnie.

W miarę upływu lat Sharon coraz więcej czasu i uczuć poświęcała Kościołowi. Jej mąż rzadko bywał na mszy, ale ona nie opuściła nigdy żadnej ani żadnej cotygodniowej modlitwy. Ponieważ na tym świecie wszyscy - mąż, lekarze i prawnicy - zawiedli ją, postanowiła zawierzyć Bogu i zaczęła niemal fanatycznie służyć Kościołowi.

Niespodziewanie jej modlitwy zostały wysłuchane, choć odpowiedź na nie nadeszła nie ze strony Kościoła, lecz z

firmy prawniczej należącej do brata Wiktora. Mała dziewczynka - daleko z nimi spokrewniona, jak sądzili ludzie - czekała na adopcję i państwo Nashowie mogli ją dostać, pod warunkiem że nie będą zadawać zbyt wielu pytań. Nie pytali o nic, uważając, że dziewczynkę zsyła im samo niebo. Wiktor wahał się trochę, bo oboje byli już niemłodzi, ale aby dopomóc matce dziewczynki, jakiejś kuzynce - piąta woda po kisielu - i uszczęśliwić żonę, wyraził zgodę. Później Adria była mu droższa niż żrenica oka.

Sweeny wyciągnął małą piersiówkę z kieszeni marynarki i pociągnął rozgrzewający łyk. Wszystko, czego się dotąd dowiedział, to czyste spekulacje i plotki, gadanie sąsiadów i znajomych. Nie zachowały się żadne dokumenty, Ezra Nash, który doprowadził do adopcji, już nie żył, a wszystko, co znajdowało się w jego biurze, spłonęło. To zaczynało być frustrujące. Wszystkie informacje idealnie pasowały do historii opowiedzianej przez Adrię i zgadzały się z zarejestrowanym na kasecie wideo testamentem jej adopcyjnego ojca, ale Sweeny węszył jakiś podstęp, a miał do tego nosa. Coś tu nie gra.

I to coś miało związek z pieniędzmi. Pieniędzmi, których Adria brakowało.

Panna Nash mogła mieć jak najlepsze intencje, ale Sweeny był pewien, że przyjechała do Portland po fortunę Danversów. Udało się jej skończyć college z bardzo dobrą lokatą i uzyskać stopień z architektury i ekonomii, ale potem pracowała tylko dla jednej firmy budowlanej.

Jutro postara się sprawdzić plotki na temat jej niespłaconego kredytu i zdobędzie trochę informacji na jej temat w wydziale komunikacji. To powinno okazać się pomocne.

Pociągnął kolejny łyk z piersiówki i nie zdejmując butów, rzucił się na łóżko. Będzie musiał zostać w tym zakazanym Bellamy jeszcze kilka dni, a nie była to miła perspektywa. Im prędzej się stąd wyniesie, tym lepiej.

Jego jedyną wskazówką jest Ginny Slade, czyli Virginia Watson-Slade, i musi ją namierzyć, choć nie będzie to łatwe. Trzeba czasu i pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy Jasona Danversa.

Zachary zarzucił torbę na ramię. Najwyższy czas wynosić się z miasta. Mieszkanie w tym samym hotelu co Adria, w dodatku na tym samym piętrze, do niczego dobrego nie doprowadzi.

Ostatni raz widział ją dwa dni temu i od tego czasu nie był w stanie przestać o niej myśleć. A miał się czym zająć, w tym przeklętym hotelu ciągle jeszcze było coś do zrobienia. Czuł się jednak dziwnie spięty, a ilekroć zobaczył Adrię gdzieś w przelocie czy usłyszał jej głos, cały sztywniał. Czuł, że powoli, lecz nieuchronnie, traci głowę. Nigdy nie uważał się za głupca. Zawsze stapał twardo po ziemi i wiedział, czego chce.

Do czasu, kiedy poznał Adrię.

W jej obecności czuł, że traci jasność umysłu i zaczynają nim kierować zmysły. Była piękna, niezwykle piękna i tak podobna do Kat, że za każdym razem, gdy na nią spojrzał, miał wrażenie deja vu. A jednak te mroczne wspomnienia mieszały się teraz z pożądaniem płonącym coraz mocniej. Topniały w nim uprzedzenia i zahamowania, krew zaczynała krążyć szybciej i Zach tracił poczucie rzeczywistości.

Co to znaczy?

Że ona naprawdę jest jego przyrodnią siostrą?

Może jest po prostu piękną przebiegłą kobietą, którą oślepiła chciwość? Czy postanowiła wykorzystać swoje wielkie, lecz przypadkowe, podobieństwo do Katherine do własnych celów, czy też naprawdę wierzy, że jest London?

Chryste, co jest prawdą? Zach poprawił torbę na ramieniu i ruszył do windy. Tym razem rzeczywiście wyjedzie, choćby na krótko. Cieszył się na myśl o trzygodzinnej podróży przez góry i nie mógł się już doczekać, kiedy znowu zobaczy ranczo. Potrzebował czasu i przestrzeni, chciał być sam. Sam z dala od tej zagadki, która stanowiła Adria Nash. Jason nie będzie zadowolony, ale nie ma to większego znaczenia.

Na parkingu Zach rzucił torbę na tylne siedzenie jeepa i ruszył w stronę zachodnich wzgórz do Jasona, który nalegał, aby Zach pojawił się na rodzinnym spotkaniu. Zach postanowił, że zadośćuczyni żądaniu brata i zjawi się u niego, a następnie zdetonuje swoją bombę, to znaczy poinformuje wszystkich, że właśnie wyjeżdża. Nawet jeśli za kilka dni będzie musiał wrócić. Potrzebuje teraz czasu, żeby wszystko sobie poukładać.

Drzwi garażu były otwarte, jaguar Jasona stał obok białego mercedesa jego żony Nicole, a za nim, w trzecim boksie, lśnił posepnie czarny rolls-royce. Jeden z pracowników zatrudnionych w gospodarstwie polerował właśnie nieskazitelną karoserię.

Zabawki. Jason zawsze uwielbiał zabawki. Konie wyścigowe, sportowe samochody, bogate żony, młode zmysłowe kochanki - Jason zawsze uwielbiał zabawki.

Zach spojrzał na dom, w którym upłynęło jego dzieciństwo, zignorował przykre wspomnienia i zastukał do drzwi. Po chwili stanęła w nich Nicole, bardzo szczupła, opalona platynowa blondynka. Uśmiechnęła się blade na widok szwagra i cofnęła trochę, by go wpuścić.

- Zachary.

- Jest Jason?

- Na dole.

- Dobra. Dam sobie radę - dodał, widząc, że ma zamiar mu towarzyszyć.

Sam ruszył po schodach, na których często bawił się jako dziecko. On i Nelson zjeżdżali po nich w kartonowych

pułdach, urządzali tu wyścigi, a czasami schodzili po nich w towarzystwie Witta, ilekroć uznał, że zasłużyli na karę. Witt, jedną ręką trzymając Zacha za kołnierz, a drugą za pasek, włókł go w dół schodów częściej, niż Zach chciałby pamiętać. Ojciec postanowił za wszelką cenę złamać swojego zbuntowanego syna i mimo próśb Eunice - „nie bądź dla niego zbyt surowy, Witt, to tylko dziecko” - Zach raz po raz czuł na skórze pas ojca.

- Cholera - mruknął teraz na wspomnienie tamtego bólu.

Witt był brutalny, ale nie zdołał złamać Zachary'ego.

Zach zacisnął zęby, aż rozboleła go szczęka, i postanowił myśleć o czymś innym. Jasona, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci, znalazł przed wiszącą na ścianie koło baru tarczą, do której właśnie celował kolejną rzutką. Poza tym największym sprzętem w pomieszczeniu był stół bilardowy. Powierzchnię jednej ze ścian prawie w całości zajmował wysoki kamienny kominek. Drzwi z przydymionego szkła prowadziły dalej, do sauny i jacuzzi. Na wszystkich ścianach wisiały myśliwskie trofea: głowy niedźwiedzi, skóry antylop, tygrysów i bizonów. Były to zdobycze dziadka Juliusa Danversa, który swoje zamiłowanie do polowań na grubego zwierza uważał za powód do dumy. Wypchany niedźwiedź polarny stał w kącie, wyciągając pazury, a czarno-biała skóra zebry została porządnie rozciągnięta obok płowej kangura. Szklane oczy i wyszczerzone zęby witały wszystkich, którzy tu wchodziłi.

- Czego się dowiedziałeś? - Jason nie spojrzał nawet w stronę Zacha, przymierzając się do kolejnego rzutu.

- Od Adrii? Niewiele. - Zach wziął kulę bilardową i obracał ją w dłoni. Mimo że jego kontakty z Adrią były ograniczone do minimum, poznał kilka faktów, nie widział jednak powodu, by dzielić się swą wiedzą z Jasonem. - Wychowała się w Montanie w ubogiej farmerskiej rodzinie. Jej matka była straszną dewotką, ojciec znosił to jakoś, choć sam nie był fanatycznie religijny. - Oparł się o stół. - Ona wie, czego chce, i zrobi wszystko, żeby to osiągnąć, nie licząc się z konsekwencjami.

- A więc to jej prywatne łowy.

Zach zmarszczył brwi, patrząc na ogień na kominku - błękitne i czerwone płomienie lizały ścianki z lśniących cegieł.

- Myślę, że ona chce po prostu dowiedzieć się prawdy.

Jason spojrzał na niego, odwrócił się, wycelował i rzucił, trafiając w centralny punkt tarczy.

- Zdaje się, że mięknie, kiedy mowa o naszej dawno utraconej siostrzyczce.

- Nadal uważam, że to nie jest London.

- Oczywiście, że nie. - Jason rzucił kolejną rzutką, ale tym razem chybił. - Będziemy ją obserwować, w końcu się potknie.

- Ja wracam na ranczo.

- Nie teraz.

- Dzisiaj.

Mięsień pod okiem Jasona zaczął nerwowo drgać.

- Nie możesz poczekać? Manny doskonale sobie radzi...

- Wrócę za kilka dni, ale teraz muszę załatwić parę spraw, zobaczyć, co się tam dzieje. I na ranczu, i w biurze.

Jason wyglądał przez chwilę tak, jakby szukał dalszych argumentów, powstrzymał się jednak, słysząc czyjeś kroki na schodach. Trisha bez słowa podeszła do baru i nalała sobie prawie pół szklanki tequili.

- Gdzie Nelson? - Przysiadła bokiem na wysokim stołku, sącząc drinka.

- Zaraz tu będzie.

- Słyszałam, że mama także została zaproszona.

- Cholera - mruknął Zach, odkładając bilę z powrotem na stół.

- Została wymieniona w testamencie - powiedział Jason.

- To była część umowy rozwodowej.

- Niemniej jednak ona też się liczy.

- Chryste.

Trisha wskazała dłonią bar.

- Może byś się napił, Zach?

- Nie dzisiaj.

Spojrzała na Jasona.

- Ta dziewczyna też przyjdzie?

Zach natychmiast zeszywniał.

- Adria? Zaprosiłeś ją tu?

Jason spojrzał na zegarek.

- Powinna się wkrótce pojawić. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli jej z tego nie wyłączymy, rozumiesz. Może uda się z nią dobić targu i wysłać od razu z powrotem do Montany.

- Nie sądzę. - Zach był wściekły. Nie miał ochoty znowu jej oglądać, czuć jej perfum, więc się pod spojrzeniem jej błękitnych oczu.

- Posłuchaj, nawet jeśli to oszustka, to jest zbyt podobna do Kat, żeby ta sprawa tak po prostu przycichła. Prasa

oszaleje, zamieszczą zdjęcia - zdjęcia Kat i Adrii. Będą porównywać... A czy nam się to podoba, czy nie, trzeba przyznać, że ta dziewczyna jest uderzająco podobna do naszej macochy.

- Ja nie mam zamiaru niczego przyznawać. - Trisha dokończyła drinka i natychmiast naląła sobie następnego. - I nie mam zamiaru tego słuchać.

- Prasa i telewizja to dopiero początek. Później ona weźmie prawnika, dobrego prawnika, takiego, który będzie gotów dużo zaryzykować, żeby dużo wygrać i zdobyć rozgłos. Wielu prawnikom bardziej zależy na sławie niż na pieniądzach.

Trisha prychnęła.

- No dobrze, w każdym razie zależy im na sławie prawie tak samo jak na pieniądzach.

- Co więc zamierzasz? - spytał Zach, coraz bardziej zaniepokojony. Rozmowa o Adrii za jej plecami, spiskowanie przeciw niej dręczyło go bardziej, niż powinno. Może Trisha miała rację, może powinien napić się piwa.

Jason uśmiechnął się przebiegle.

- Jak to ładnie ujęto w Ojcu Chrzestnym, mam zamiar „przedstawić jej propozycję nie do odrzucenia”.

- Nie ma takiej propozycji.

- Ależ jest. Myślę, że sto tysięcy będzie w sam raz.

Trisha otworzyła usta ze zdumienia.

- Dasz jej aż tyle?

- No, nie od razu, oczywiście. Zaczniemy znacznie niżej i spróbujemy ją zastraszyć. Ale nawet sto tysięcy to niewiele, jeśli wziąć pod uwagę, ile musielibyśmy wydać na prawników, gdyby ta sprawa trafiła do sądu. A czas, który zajęłoby poświadczanie autentyczności testamentu... Już jest niedobrze, a gdyby doszło jeszcze do tego... Przy majątku tej wielkości zajmie to całe wieki.

- Założę się, że nasz stary siedzi teraz w piekle i śmieje się w kułak, patrząc na nas - rzuciła Trisha, zapalając papierosa i wydmuchując małe kółeczka. - Pomyślcie tylko, zostawił pięćdziesiąt procent swojego majątku córce, której nie był w stanie odnaleźć, o której nie wiedział nawet, czy żyje. Co za wyśmienity kawał!

- Chyba że zdobędziemy dowód, że nie żyje - przypomniał Jason. - Wtedy podzielimy jej część między siebie.

Zach przeraził się, widząc zimny uśmiezek, który wykrzywił usta jego brata przy tych słowach. Jak daleko zamierzają się posunąć, żeby położyć ręce na fortunie Wittów? Każde z nich miało swój cel. Jason kocha pieniądze, Trisha zawsze chciała zemścić się na rodzinie. Nelson ma wybujałe ambicje.

A ty? Też nie jesteś nieskalany.

Zach nie miał wątpliwości, że jego bracia i siostra kłamałyby bez mrugnięcia okiem, byle dostać to, czego chcą, na pewno też nie zawahaliby się przed kradzieżą. Ale czy mogliby zabić? Zach bezwiednie zacisnął dłonie w pięści.

Trisha pociągnęła łyk ze swojej szklanki i westchnęła.

- Nasz ojciec, pokój jego duszy w piekle, zaprawdę był jednym z największych drani na tym świecie. - Podniosła głowę i napotkała wzrok Zacha. - Bez urazy, Zach.

Zach puścił to mimo uszu. Uwagi na temat tego, kto go spłodził, nie robiły już na nim wrażenia. Kogo to teraz obchodzi?

- Fakt, że ojciec uwzględnił London w testamencie, nie znaczy, że tak już musi pozostać. Nie wiecie, po co są testamenty? Otóż po to, żeby je obalać. Musimy tylko udowodnić, że ojciec cierpiał na starcze zdemencjonowanie, kiedy przygotowywał testament. To nie powinno nastręczać większych trudności. W końcu kto przy zdrowych zmysłach zostawiłby miliony dolarów dziewczynie, która zaginęła dwadzieścia lat wcześniej?

- Więc czemu dotąd nic z tym nie zrobiłeś? - spytała Trisha, mrużąc oczy w obłoku dymu. - Przecież jesteś prawnikiem.

- Bo adwokat ojca przysięgnie, że stary był sprawny umysłowo jak ty czy ja. Twierdzi, że doskonale wiedział, co robi.

- Jego słowo przeciw naszemu.

Zacha zaczynało już mdlić od tego. To konieczne, oczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Nie był też ani aż tak głupi, ani na aż tak bogaty, żeby się tym nie interesować, ale miał serdecznie dość całej tej cholernej rodziny. Chciwe sępy, oto czym się stali.

A ty? Też tu przyszedłeś, prawda? W nadziei, że zachowasz swoje ranczo.

Do diabła, ale się porobiło. I jeszcze ta Adria. Na myśl o niej zrobiło mu się gorąco, potarł podbródek zdezorientowany. Nie podobał mu się pomysł, żeby ją kupić, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Więc punkt pierwszy to pozbycie się naszej London - powiedział Jason. - Trzeba ją spakować i wysłać do domu, a potem spróbujemy obalić testament.

- Nie sądzę, żeby na to poszła - rzucił Zach pewnie, choć wcale się tak nie czuł. - W jej wypadku chodzi bardziej o dumę i prawdę niż o pieniądze.

Jason potrząsnął głową.

- Zawsze chodzi o pieniądze, Zach. Nie nauczyłeś się jeszcze, że każdy ma swoją cenę? Panna Nash także. Musimy się tylko dowiedzieć jaką.

Zach usłyszał głosy na schodach i poczuł nerwowe napięcie. Wyczuł obecność Adrii, zanim pojawiła się w pokoju za Nicole.

- Wszyscy poznaliście już Adrię? - powiedziała Nicole z wymuszonym uśmiechem.

Adria nie była ani trochę speszona, właściwie wyglądała tak, jakby rzeczywiście była tu na swoim miejscu. Ręce miała schowane w kieszeniach obszytej skórą kurtki i nie uznała za stosowne nawet się uśmiechnąć. Spojrzała na Zacha, który natychmiast zeszytniał. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Adria spokojnie przeniosła wzrok na Jasona.

- Otrzymałam wiadomość, że chciałbyś się ze mną spotkać.

- Istotnie. Usiądź, proszę. - Jason wskazał skórzany fotel przy kominku. - Napijesz się czegoś?

Adria zawahała się, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą. Uśmiechnęła się lekko.

- Dlaczego nie? Może białe wino? Chardonnay.

Jason podszedł do baru, jakby miał zamiar spełnić każdą jej zachciankę. Zach postanowił opuścić zebranie, ale zanim ruszył do drzwi, na schodach znowu rozległy się kroki i do pokoju weszła jego matka z Nelsonem. Eunice dostrzegła Adrię i na moment z jej twarzy odpłynęła krew. Doszła jednak do siebie szybko i wyciągnęła do Adrii rękę, choć nie był to przyjazny gest.

- Witam, panno Nash - patrzyła na nią chłodno, z ironicznym ćwierć- uśmiechem na ustach. - Jestem Eunice Smythe.

Adria wiedziała co nieco na temat tej kobiety o skórze jak pergamin i jakby woskowej dłoni, którą właśnie uściskała. Były to jednak głównie plotki, a bardzo chciałyby znać prawdę. Podobno Witt rozwiódł się z nią z powodu jej romansu z Polidorim, choć tylko Eunice wiedziała, jak było naprawdę. Cokolwiek wydarzyło się między Wittem a jego żoną, ona za to zapłaciła. Została pozbawiona prawa do opieki nad dziećmi, i to w czasach, kiedy z prawami ojców nikt się specjalnie nie liczył.

- Cóż, Adrio. Nelson powiedział mi, że uważasz się za zaginioną córkę Witta. - Uśmiech Eunice był tak zimny jak jej oczy.

Jason wręczył Adrii kieliszek wina, na które nie miała właściwie ochoty. Ujęła jednak szklaną nóżkę, czując, że pocą jej się dłonie.

- Dlatego tu przyjechałam - odpowiedziała. - Żeby poznać prawdę.

- Prawda - mruknęła Eunice, przyglądając się jej uważnie. - Jest czasem tak nieuchwytna.

Adria postawiła kieliszek z nietkniętym winem na stole.

- Przejdźmy do rzeczy, zgoda? - Eunice usiadła na obitym kremową materią krzesle. - Nicole, bądź tak dobra i nalej mi ginu z tonikiem - poprosiła synową, a kiedy ta podała jej drinka, poklepała ją po ramieniu. - Dobra dziewczynka.

- Zawsze - odparła Nicole jasnym głosikiem, patrząc przy tym na męża wzrokiem, którym można by ciąć granit.

Adria czuła się coraz bardziej nieswojo. Atmosfera zgęstniała tak bardzo, że Adria nie wiedziała już sama, co jest gorsze: wbite w nią szklane oczy wiszących na ścianach zwierzęcych głów czy wzrok żywych, żądnych jej krwi bestii, które się tu zebrały.

Sama tego chciałaś, przypomniła sobie. Wiedziałaś, że nie będzie łatwo, więc teraz wytrzymaj. Wzięła się w garść i usiadła na brzegu kanapy po drugiej stronie stolika, dokładnie naprzeciw Eunice. Miała ochotę spojrzeć na Zacha i wzrokiem poprosić go o pomoc, ale się powstrzymała. Jason usiadł obok niej na kanapie.

Zachary wyglądał na znużonego. Stał oparty o kominek, a jego twarz, nieogolona od kilku dni, nie wyrażała żadnych uczuć.

Adria uniosła się trochę, patrząc, jak Nelson przysuwa krzesło do matki i sadowi się obok niej. Nicole podchwyciła wymowne spojrzenie męża i powiedziawszy coś o córce, szybko wyszła z pokoju. Trisha została na swoim stołku barowym, skąd obserwowała wszystko z drinkiem w jednej i papierosem w drugiej dłoni.

- Nikt tutaj ci nie wierzy - zaczęła Eunice beznamiętnie.

- Spodziewałam się tego.

- Więc przyszłaś, gotowa przyznać się do błędu.

- Przyszłam, żeby...

- Wiem, wiem. - Eunice machnęła ręką, jakby odganiając natrętą muchę. - Prawda. Posłuchaj - pochyliła się do przodu - zostawmy już to poszukiwanie prawdy i tak dalej, dobrze? To nudne. Bardzo szlachetne oczywiście, ale nudne i wszyscy wiemy, że to bajka. Tak naprawdę chcesz żebyśmy potraktowali cię na tyle poważnie, żeby zaoferować ci przyzwoitą sumę za twój szybki i cichy powrót tam, skąd przybyłaś, gdziekolwiek to jest.

- Ja nie...

- Daj spokój - powiedział Nelson łagodnie. - Jesteśmy na to przygotowani i zapłacimy ci, jeśli podpiszesz dokument stwierdzający...

- Czy nikogo z was nie interesuje, że być może, być może jestem waszą siostrą? - spytała Adria. - Wiem, że boicie się o majątek, ale pomyślcie, może ja jednak jestem London?

- To dla nas bez różnicy - odezwała się Trisha ze swojego stołka, wydmuchując kłęb dymu. - Jesteś obca i nawet gdybyś nagle zniknęła z powierzchni ziemi, też by nas to nie obeszło. - Uśmiechnęła się cierpko. - No, może

kilkoro z nas ten fakt by ucieszył.

- Trisha! - ucieła ostro Eunice. Zwróciła się do Adrii.- Moja córka czasem przesadza.

- Nie rozumiem. Myślałam, że wezwaliście mnie tu dzisiaj, żeby ze mną porozmawiać, wypytać mnie, pomóc mi dojść prawdy, ale zdaje się, że popełniłam błąd. - Adria wstała i przerzuciła torebkę przez ramię. - Wierście lub nie, ale nie przyjechałam do Portland, żeby was zranić, wtrącać się w wasze życie czy ukraść wam wasze pieniądze.

- Oczywiście, że właśnie po to przyjechałaś - odparła Trisha.

Adria zeszywniała.

- Nie, i nie poddam się tak łatwo.

Trisha, z papierosem zwisającym z kącika ust, zaklaskała w dłonie.

- Brawo! Co za przedstawienie!

- Przestań, Trisha! - rzuciła Zachary tak gwałtownie, że Eunice spojrzała na niego, mrużąc oczy.

Jason nie zwrócił uwagi na wybuch brata.

- Tak czy inaczej, ta podróż może ci się opłacić.

- Nadal masz zamiar mnie kupić? - Adria podniosła kieliszek do ust.

- Hmm. Powiedzmy dwadzieścia pięć tysięcy? Adria omal się nie zakrztusiła. Spodziewała się łapówki, ale kwota zaskoczyła ją zupełnie.

- Nie... nie sądzę.

Uśmiech na twarzy Jasona stężał.

- Cóż, podniesiemy tę sumę do pięćdziesięciu.

Nelson przybladł. Adria popatrzyła na Zacha, który odpowiedział jej twardym, nieprzeniknionym wzrokiem. A więc on też jest w to zamieszany! On też chciałby ją kupić. W Adrii zawrzała krew. Powtarzała sobie, że on jest inny, że mógłby jej pomóc, że jemu, temu buntownikowi, zależy na prawdzie. Jakże się pomyliła.

- Wybaczcie - powiedziała, stawiając kieliszek na stole drżącymi palcami. - Pójdę spakować swoje rzeczy.

Jason wstał.

- Nie musisz wyprowadzać się z hotelu...

- Oczywiście, że muszę. Zamieszkanie tam było błędem. Jednym z wielu - popatrzyła na Zacha i tym razem zobaczyła jakąś iskierkę w jego szarych oczach. Przypomniała sobie ich pocałunki w jeepie, namiętność i gniew, które od niego wówczas były. Czy i to było częścią planu, który miał na celu złamanie jej obrony? Czy upadłby tak nisko, żeby ją uwieść tylko po to, żeby ją odstraszyć? Na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo. Wyprostowała się, odwróciła na pięcie i poszła na górę. Przybyła tu w pokojowych zamiarach. Ale teraz kości zostały rzucone. Rodzina Danversów dostanie to, czego chce.

12

Adria wyprowadziła się z hotelu „Danvers”. No i dobrze, powiedziała sobie, zwłaszcza że bez problemu dostała pokój w położonym zaledwie kilka przecznic dalej hotelu „Orion”. „Orion” intrygował ją, gdyż tu właśnie pobito i zostawiono na pastwę losu Zachary’ego tamtej nocy, kiedy zniknęła London.

Od tego czasu hotel „Orion” kilkakrotnie zmieniał właściciela, a ostatnio został odnowiony i zmodernizowany. Podczas gdy hotel „Danvers” po remoncie przywoływał wspomnienia starego, wiktoriańskiego Portland, „Orion” pozostał na wskroś nowoczesny. Grube beżowe dywany, pastelowe ściany w subtelnym odcieniu brudnego różu i fioletu oraz wmontowane w sufit mleczne lampy tworzyły przytulną atmosferę. Wnętrzem brakowało może oryginalności, ale w zamian hotel oferował gościom wiele wygod, w tym dwie restauracje, basen, siłownię i saunę.

Do drugiej w nocy Adria przeglądała swoje notatki, starając się nie myśleć o niedawnym spotkaniu z rodziną. Wiedziała teraz przynajmniej, na czym stoi, doszła też do wniosku, że nie ma co liczyć na to, że ktokolwiek z klanu Danversów zostanie jej sprzymierzeńcem.

Nawet Zachary. Kiedy w grę wchodziły pieniądze Witta, buntownik i marnotrawny syn był równie chciwy i podejrzliwy jak reszta rodziny. Chciał tylko jak najszybciej wynieść się z miasta, zrzucając na innych problemy związane z kolejną pretendencją do spadku po ojcu.

Nad ranem Adria zwinęła się w kłębek na wielkim hotelowym łóżku, wciąż myśląc o Zacharym. Pocałował ją tak szczerze, namiętnie, a jednak był to tylko test, nic więcej. Prawie uwierzyła, że naprawdę zechce jej pomóc, że mu na niej zależy, co oczywiście nie mogło być prawdą. Jeśli faktycznie jest London Danvers, on jest jej przyrodnim bratem i o żadnym romansie nie może być mowy. Jeśli nią nie jest, uzna ją za oszustkę i romans w dalszym ciągu nie będzie możliwy.

Poza tym wcale nie ma ochoty na romans. Już to przerabiała i wiele się nauczyła na własnych błędach. Nie ma zamiaru tracić głowy dla Zacha, nawet gdyby się okazało, że nie jest z nią spokrewniony.

Nie, teraz zależy jej tylko na tym, żeby dowiedzieć się, kim jest, i postanowiła, że dokopie się do prawdy, choćby rodzina Danversów zagrzebała ją w samym piekle.

Wjeżdżając na przełęcz Santiam, Zachary wyciągnął z kieszeni papierosa. Skrzywił się z niesmakiem, nie odrywając wzroku od dwóch snopów światła rzucanych na asfalt przez reflektory samochodu. Rzucił palenie wiele lat temu, ale odkąd po raz pierwszy ujrzął Adrię, czuł dręczący go bezustannie niepokój, niepokój, którego nie

mogła ukoić ani nikoty, ani nic poza jednym - nocą z Adrią Nash. Zach zmarszczył brwi, czując, jak jego dzinsy nagle stają się za ciasne.

Sytuacja wymykała mu się spod kontroli.

Na litość boską, ta dziewczyna może być twoją przyrodną siostrą!

Zacisnął zęby i wrzucił czwórkę.

Problem w tym, że Adria czy też London, czy kim tam, u licha, była ta dziewczyna, okazała się nagle najatrakcyjniejszą istotą, jaką widział, od bardzo, bardzo dawna. Piękna, pociągająca jak wszyscy diabli, pewna siebie. W spokojny, elegancki sposób potrafiła jednak sprawnie posługiwać się swoim ostrym językiem, kiedy zaszła taka potrzeba. Fascynowała go bardziej niż jakakolwiek inna znana mu kobieta. Nawet Kat. W drugiej żonie Witta było coś drapieżnego, co mu się nie podobało. Kiedy go uwodziła, Zach cały czas miał niejasne wrażenie, że nim manipuluje, i nie lubił tego uczucia. Kiedy w końcu poszedł z Kat do łóżka, obudził się w nim instynkt samca, ale później czuł się pusty, wypalony emocjonalnie i wykorzystany.

Starął się unikać kobiet, co nie było proste, bo im bardziej wyniosły i niedostępny próbował być, tym większe wzbudzał zainteresowanie. Problem w tym, że Zach uwielbiał seks. To takie proste. Nie chciał tylko żadnych emocjonalnych więzi, które pojawiały się z chwilą, gdy szedł z jakąś kobietą do łóżka. Postanowił więc żyć w celibacie. Nie udało mu się to, rzecz jasna, i w rezultacie Zach się ożenił.

Joannę Whitby poznał tuż po śmierci Katherine. Teraz, z perspektywy czasu, widział wyraźnie, że ten związek od początku skazany był na niepowodzenie. Zach, i tak już przygnieciony poczuciem winy, wpadł w depresję, kiedy Kat popełniła samobójstwo, i wtedy pojawiła się Joanna, jej czarodziejskie dłonie, niosące ulgę słowa, uległe ciało. Pomogła mu zapomnieć, a Zach poprosił ją o rękę. Wtedy nawet przez myśl mu nie przeszło, że ona czeka, by uszczknąć kawałek z wielkiego, słodkiego tortu rodziny Danversów, ale oczywiście głównie o to jej chodziło. Kiedy poinformował ją, że nie interesuje go fortuna Witta, nie uwierzyła.

- Nie mówisz poważnie, kochanie - powiedziała, uśmiechając się tak, jak tylko ona potrafiła. - To szczyt głupoty!

- Szczytem głupoty jest, moim zdaniem, siedzieć tu i podlizywać się staremu, żeby raczył uwzględnić mnie w testamencie.

Kiedy dotarło do niej, że Zach nie ma zamiaru zabiegać o pieniądze ojca, Joanna rozwiodła się z nim i wyprowadziła z miasta. Mówiono, że wyszła za dużo starszego od siebie człowieka ze Seattle - bezdzietnego wdowca, który zapewnił jej przyszłość.

Zach miał nadzieję, że to prawda. Dostał nauczkę i teraz już wiedział, czego kobiety chcą od życia. Dolarów, krótko mówiąc. Adria pod tym względem nie różniła się od innych.

Jack Logan nie miał czasu dla panny Nash. Po przejściu na emeryturę zamieszkał w Seliwood, małym miasteczku wciśniętym między południowo-wschodnie Portland i Milwaukee. Jego domek stał przecnicę od Trzynastej, zaraz za starym magazynem przerobionym na sklep z antykami, z których słynęło Seliwood.

Adria dzwoniła i zostawiała wiadomości na automatycznej sekretarce, nie doczekała się jednak żadnej odpowiedzi, postanowiła więc odwiedzić Jacka Logana osobiście. Niestety, za furtką stał dorodny owczarek niemiecki, groźnie warcząc. Najwyraźniej były policjant cenił sobie prywatność.

Niewiele więcej szczęścia miała z Rogerem Phelpssem, prywatnym detektywem, którego Witt wynajął dwadzieścia lat temu do poszukiwań zaginionej córki. Phelps także był już na emeryturze. Mieszkał w Tacoma i kiedy Adria wreszcie udało się do niego dodzwonić, oznajmił, że nigdy nie rozmawia na temat spraw swoich klientów. Wysłuchawszy wyjaśnień dziewczyny, roześmiał się i poradził jej, żeby „dołączyła do klubu”. Widział już w życiu więcej London Danvers niż gwiazd na niebie, zwłaszcza po tym, jak Witt wyznaczył nagrodę w wysokości miliona dolarów dla tego, kto zwróci mu córkę.

- Spróbujemy kiedy indziej - powiedziała sobie Adria, odkładając słuchawkę.

Jeszcze jednym powodem, dla którego zdecydowała się zamieszkać w tym hotelu, była nadzieja, że może pracuje tu jeszcze ktoś, kto pamięta noc, kiedy porwano London, a Zacha omal nie pozbawiono życia.

Jednak większość starych pracowników hotelu „Orion” dawno już odeszła. Została tylko Tajka w średnim wieku i człowiek, który prowadził kiosk w głównym holu. Pokojówka nie chciała z nią rozmawiać, powtarzając łamaną angielszczyzną, że nie rozumie, ale sprzedający gazety, papierosy i słodycze mężczyzna ucieszył się z okazji do wspomnień.

- Jasne, że pamiętam - powiedział, kiedy do niego podeszła. - Do diabła, siedziałem w tym samym miejscu, dokładnie tutaj, kiedy zobaczyłem dzieciaka Danversów, jak wychodzi z windy. Ledwo się ruszał. Od razu było widać, że spotkało go coś złego. Tyle że wtedy nie wiedziałem, kto to jest. Dopiero na drugi dzień napisali o tym w gazetach. - Wężłastą dłonią poklepał stos gazet na ladzie. - Tamtej nocy słyszałem, jak wielu gości, wszyscy bardzo ożywieni, mówiło o czymś, co się wydarzyło w hotelu „Danvers”. Jakieś morderstwo czy porwanie, ale nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi.

Cóż, wyszedłem na chwilę zobaczyć, co się dzieje, i widziałem policję, jak jechała na sygnale do hotelu „Danvers”. Niestety, nie mogłem zostawić kiosku na dłużej, bo paru chłopców hotelowych, którzy tu wtedy byli, miało lepkie rączki, jeśli wie pani, co chcę powiedzieć. Klucz do kasetki miałem oczywiście przy sobie, ale i tak

mogli mnie obrobić na cacy. Więc musiałem siedzieć tu na swoim krześle i czekać na wiadomości.

Nie trwało to długo. Chłopak wyszedł z windy, potykając się o własne nogi, i poszedł sobie. Ale nie minęło pół godziny i zaroilo się od glin. Polecieli na trzecie piętro, gdzie niby był z taką na telefon. To był pokój trzysta siedemnaście. Nie, nie trzysta siedemnaście, tylko trzysta siedem. Tak, trzysta siedem, na pewno. Kierownik zaprowadził ich tam i myślę, że znaleźli narkotyki i tak dalej. No i pełno krwi wszędzie. Ale ani dziewczyny, ani tych dwóch, którzy go tak urządzili, nie było.

- A kto wynajął pokój? - spytała Adria, opierając się o ladę.

- To największy numer, mówię pani. Na liście gości było nazwisko Danvers. Witt Danvers.

- Witt? - powtórzyła zaskoczona. - Ale...

- Dobrze, co? - zachichotał sprzedawca. - Podczas gdy Witt balował w swoim hotelu, ktoś podszył się pod niego i wykorzystał nasz pokój na burdel. - Podrapał się po głowie i podał gazetę mężczyźnie w ciemnym garniturze, który prosił o „Wall Street Journal”. Wydał mu resztę i zwrócił się ponownie do Adrii. - Jeśli chce pani znać moje zdanie, to za tym wszystkim stał Anthony Polidori. Między tymi dwiema rodzinami, Danversów i Polidorich, zawsze źle się układało. Od pokoleń. Pogorszyło się jeszcze, kiedy Witt stracił swoją małą, a Zach powiedział, że ci dwaj, którzy go napadli, byli Włochami. Ta dziwka też.

- To, że byli Włochami, nie znaczy chyba, że pracowali dla Polidorich?

- Tej samej nocy, kiedy Danversom porwano dziecko? - Szpakowate brwi sprzedawcy podjechały aż nad górną krawędź jego okularów. - Pani myśli, że to zbieg okoliczności?

Dobre pytanie. Adria wiedziała o wrogości między klanem Danversów i zamożną włoską rodziną Polidorich, nie wiedziała jednak, jaki związek mogłoby to mieć z porwaniem.

Zadała jeszcze parę pytań, ale nie dowiedziała się już niczego ciekawego. Kupiła więc kilka baloników i dwa magazyny poświęcone sprawom Portland, sprawdziła, czy nie przyszły do niej listy, i ruszyła do swojego pokoju.

Wiedziona nagłym impulsem zatrzymała się na trzecim piętrze i przeszła korytarzem, przystając przed drzwiami pokoju numer trzysta siedem. Więc to było alibi Zacha. Schadzka z włoską dziewczyną na telefon. Adria uśmiechnęła się pod nosem. Miał wtedy zaledwie szesnaście lat. Co taki dzieciak robił sam w hotelu, w dodatku z prostytutką?

Nagle poczuła bezsensowne ukłucie zazdrości o kobietę, z którą miał się tu wtedy spotkać. Cóż to mogło mieć dla niej za znaczenie - miała wtedy tylko pięć lat! I była jego przyrodnią siostrą! Do diabła, cała ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż jej się wydawało. Nie zamierzała tracić głowy dla Zachary'ego. Miała tylko nadzieję, że znajdzie w nim sprzymierzeńca, przyjaciela, który zechce jej pomóc. Nie planowała żadnych romantycznych, niebezpiecznych, grzesznych układów. Nagle przypomniała sobie matkę. Wiedziała, co by od niej usłyszała. Ścieżki występku są...

- Dość! - skarciła się szeptem.

Wytlumaczyła już sobie, że musi zapomnieć o Zacharym. Poza tym, że mógł być jej przyrodnim bratem, nie był mężczyzną, z którym chciałyby się związać. Szorstki, cyniczny, kilka razy wszedł w kolizję z prawem. Nie obchodziło go, co myślą o nim inni, i sądził, że skoro świat nie jest taki, jaki - jego zdaniem - powinien być, to tym gorzej dla świata. Kliniczny przypadek człowieka, którego należy się wystrzegać.

Tylko że ona go potrzebuje. Jeśli ma kiedykolwiek dotrzeć do prawdy.

Postanowiła przestać rozmyślać o Zacharym. Ujęła gałkę i przekreśliła, ale pokój był zamknięty na zasuwkę i nie mogła zajrzeć do środka. Zresztą co mogłaby tam znaleźć? Z pewnością był ze trzy razy odnawiany od czasu, kiedy Zach został w nim przerobiony na mielony kotlet. Ile prawdy jest w tej historii? Ile kłamstwa? Ile dodał od siebie właściciel kiosku?

Adria wiedziała, że Zach zna odpowiedzi na te pytania, że ma klucz do tej historii, ale on był wobec niej nieufny, podejrzliwy, niechętny. Musi jakoś zdobyć jego zaufanie. Nie będzie to łatwe, pomyślała, wchodząc do lustrzanego wnętrza hotelowej windy i wciskając guzik zamykający drzwi.

Zgodnie z umową Jack Logan siedział przy stoliku w „Czerwonym Oku”, małej kafejce niedaleko lotniska. Było to ciemne, zadymione wnętrze, w którym bywał już wcześniej, kiedy nie chciał, żeby go rozpoznano. Dostrzegł

Jasona Danversa i zaklął cicho. Jason miał na sobie dwurzędowy garnitur, który musiał kosztować fortunę, i wysiadał z lśniącego jaguara.

- Trzeba było jeszcze przyczepić sobie neon do zadka - warknął Logan, ściskając nerwowo szklankę.

- Słucham?

- Odstajesz od towarzystwa jak bolący palec.

Jason zmarszczył brwi.

- Nie zamierzam długo tu siedzieć.

- Ja też nie.

Jason zamówił whisky i poczekał, aż kelnerka przyniesie drinka. Nie zwracając uwagi na postawioną przed nim szklankę, sięgnął do kieszeni, wyjął kasetę wideo i położył ją na stole przed Loganem.

- Co to jest?

- Nic, mam nadzieję - odparł Jason i przedstawił policjantowi szczegóły sprawy.
- Ile kopii tego filmu już krąży po świecie?
- Bóg jeden wie. Dała mi jedną, a ja zrobiłem kopię dla Oswalda.
- Policja nic nie wie.
- Jak dotąd nie. Pomyślałem, że ty mógłbyś to sprawdzić.
- Powinieneś pójść z tym do komisariatu.
- Za dużo przecieków. Dam im kasetę, a potem zobaczę fragmenty w wieczornych wiadomościach.

Logan chrząknął, ale nic nie powiedział. Niestety, w słowach Jasona było wiele prawdy.

- Zobaczę, co da się zrobić, ale ona już tu węszyła.

Jason zmartwił.

- Co masz na myśli?
- Dzwoniła do mnie z dziesięć razy, a potem nawet przyszła do domu.
- Rozmawiałeś z nią?
- Jeszcze nie.
- Cholera! - Jason przeczesał włosy palcami. - Jest gorzej, niż myślałem.
- Gryzie cię to?

Jason odwrócił wzrok.

- Tak, gryzie mnie to jak wszyscy diabli.
- Myślisz, że ona jest London?
- Nie!
- Ale nie jesteś pewny.
- Niczego nie można być dzisiaj pewnym, Logan.
- Wygląda jak twoja macocha.

Spojrzeni po sobie znacząco. Jason dokończył drinka.

- Nie rozmawiaj z nią i dowiedz się wszystkiego, czego się uda dowiedzieć. Jeśli ona pójdzie do prasy, damy kasetę policji.

- Ale nie wcześniej.

- Nie.

- Mówisz, że Sweeny się tym zajął?

- Posłałem go do Montany. Sprawdza jej historijkę. Dzwonił wczoraj.

- To dupek.

- Postaraj się współpracować z nim przy tej sprawie, dobrze? Trzymaj język za zębami, a oczy i uszy miej szeroko otwarte. Jeśli policja coś zwietrzy, zaraz daj mi znać. - Jason położył na stoliku dwadzieścia dolarów i ruszył do wyjścia.

- Kutas - mruknął Logan pod nosem. Szybko zamienił dwudziestkę na piątkę.

Manny miał rację. Na ranchu niewiele Zach miał do roboty. Znowu poczuł się niepotrzebny. Refren jego życia. Uśmiechnął się ponuro, brnąc przez świeży śnieg do szopy, gdzie Manny naprawiał traktor. Ściany szopy były obwieszane najrozmaitszymi narzędziami, pod jedną stał stół warsztatowy, a w powietrzu unosił się kurz i zapach smaru.

Manny, klnąc, na czym świat stoi, leżał pod traktorem.

- Pieprzona maszyna - mruczał, majstrując coś przy przewodzie paliwowym.

- Jak idzie? - spytał Zach.

- Dobra jest. - Manny przykręcił jeszcze jakąś śrubkę kluczem francuskim i mruknął coś do siebie zadowolony.

Wypełzył spod traktora i wstał.

Jako pełnej krwi Kajun Manny był wysokim mężczyzną o gładkiej, jakby wypolerowanej skórze, długich siwiejących warkoczach i nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Teraz wzięł swój czarny kowbojski kapelusz z siedzenia traktora i włożył na głowę.

- Mówiłem, żebyś został w mieście, gdzie twoje miejsce. - Wytarł zatłuszczone ręce w kawałek brudnej szmaty.

- Nie mogłem już tam wytrzymać.

Manny uśmiechnął się szeroko, pokazując złote zęby.

- Nie dziwota. Jedyne powody, żeby jechać do miasta, to whisky i kobiety. Jedno i drugie możesz dostać i tu.

Zach pomyślał o Adrii. Teraz kobiety są niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli uważają się za jego przyrodnią siostrę. Lepsza już whisky.

Razem wyszli z szopy. Niebo było szaroniebieskie, powietrze czyste, a na zachodzie, nad linią gór, gromadziły się kłębiaste chmury.

- Sprawy rodzinne załatwione? - spytał Manny.

Gdzieś w oddali rozległo się rżenie konia.

- A skąd, końca nie widać - odparł Zach. Jeśli nie Adria, to inna oszustka wyciągnie chciwe rączki po ich spadek.

Przez resztę życia Zach będzie musiał spotykać kobiety udające London Danvers. Miał tylko nadzieję, że żadna nie zrobi już na nim takiego wrażenia jak Adria. Wiedział dobrze, że między innymi dlatego przejechał w tak szaleńczym tempie góry, że chciał znaleźć się z dala od niej i odzyskać jasność umysłu.

- Mam kupca na dwulatki.

- Na wszystkie? - spytał Zach, próbując zapomnieć o swojej nowej przyrodniej siostrze.

- Prawie.

- Dobry początek.

- Wejźmy do środka, zjemy śniadanie i powiesz mi, co słyhać.

Spędził na ranczu cały dzień, sprawdzając księgi i zapoznając się z ofertami kupna i sprzedaży ziemi i bydła. Potem wybrał się na przejażdżkę po polach. Pompa zasilająca dom i zabudowania gospodarskie w wodę zaczynała szwankować, dach jednej z szop przeciekał, spór z władzami o wycinanie starych sosen ciągnął się w nieskończoność, a jeden ze stałych nabywców, kupujący co roku kilkaset sztuk bydła, zwlekał z zapłatą. W sąsiednim hrabstwie wybuchła epidemia wśród bydła i kilka osób w okolicy było tym poważnie zaniepokojonych. Zach miał się wybrać na spotkanie Związku Hodowców Bydła do Bend i zamówić paszę na zimę.

- Nic nowego, nic nowego - powtarzał Manny, kiedy przemierzając pola, natknęli się na dziurę w ogrodzeniu, przez którą zwierzęta mogły się wydostać. Prawda. Na ranczu zawsze było coś do roboty, ale Manny ze wszystkim mógł sobie poradzić sam, gdyby Zach wrócił do Portland.

Zach zajął też do swego biura w Bend, żeby stwierdzić, że nie pracuje zbyt efektywnie - jak zwykle, odkąd jego uwagę pochłonął remont hotelu. Wykonał kilka telefonów, spotkał się z paroma pośrednikami w handlu nieruchomościami, którzy byli zainteresowani inwestycjami wokół pól golfowych, i omówił najpilniejsze sprawy ze swoją sekretarką Terry. Była to drobna, rudowłosa kobieta koło trzydziestki, oczekująca w lutym narodzin trzeciego dziecka. Doskonale zorganizowana i obrotna, mogłaby prowadzić biuro z zamkniętymi oczami. Zacha znała jak własną kieszeń, podobnie jak niemal wszystkich w miasteczku.

- Co tam słyhać w wielkim mieście? - spytała Terry, kiedy Zach wszedł do biura. Siedziała za biurkiem przy maszynie do pisania i zapomnianym kubku z kawą z ołówkiem zatkniętym za ucho. Sprawdzała właśnie wyciągi z banku, marszcząc osłonięte rudą grzywką czoło.

- Nic dobrego.

- Jason dzwonił. - Przesunęła się w tył na krzesło, które zaskrzypiało rozpaczliwie.

- Tutaj?

- Dzwonił najpierw na ranczo, ale cię nie zastał. Manny powiedział mu, że pojechałeś do miasta, więc próbował namierzyć cię tutaj. Mówił, że ma do ciebie pilną sprawę.

- Jason ma same pilne sprawy.

- Nalegał bardziej niż zwykle. - Odłożyła okulary na biurko, wzięła kubek i wstała. Podparła ręką plecy i podeszła do ekspresu do kawy. Podniosła szklany dzbanek z gorącej podstawki.

- Napijesz się kawy? Bezkofeinowa.

Zach potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

Terry nalała słabej kawy do swojego kubka.

- Dlaczego Jason chce, żebyś wrócił do Portland? Chodzi o hotel?

- Tak, najprawdopodobniej - odparł Zach, choć dobrze wiedział, że tą niecierpiącą zwłoki sprawą jest Adria Nash. Będzie musiał wrócić do miasta. Czuł, jak rodzi się w nim bunt. Nie miał ochoty znowu się z nią widzieć, nie miał ochoty znowu poddawać się sprzecznym uczuciom, jakie w nim wzbudzała.

Chwycił ucho szklanego dzbanka i nalał sobie trochę pozbawionego smaku płynu. Zadzwoił telefon i Terry podniosła słuchawkę.

- Chwileczkę - powiedziała ze słodkim uśmiechem i przycisnęła guzik przełączający rozmowę na aparat Zacha. - To znowu twój brat. Zdaje się, że jest zdenerwowany.

- Czym znowu?

- Mówi, że sprawy przyjęły niepomyślny obrót - powiedziała Terry, wracając do wyciągów.

Zach westchnął ciężko i wszedł do swojego gabinetu, zamykając za sobą drzwi nogą. Wziął słuchawkę do ręki i przysiadł na brzegu biurka.

- Słucham.

- Gdzie byłeś, do cholery? - spytał Jason.

Zach dosłyszał w jego głosie nutkę hysterii.

- O co chodzi?

- Wiesz, o co chodzi. O tę dziewczynę! Zdaje się, że postanowiła podzielić się swoją historią z prasą.

- Powiedziała ci, że ma zamiar to zrobić?

- W pewnym sensie.

Zach zdętwiał.

- Co się stało?

- Zadzwoń do niej. Zaproponowałem trochę większą sumę.
- A ona się wkurzyła.
- Wkurzyła to bardzo łagodnie powiedziane.
- Chryste, Jason, nigdy nie dajesz za wygraną, co?
- Wracaj już, dobrze?
- Tak, i napraw, co spieprzyłem.
- Dobrze już, dobrze... Sam wiesz, że siedzisz w tym tak samo jak my wszyscy!

Anthony Polidori nie lubił, by przeszkadzano mu w śniadaniu. Wraz z wiekiem zaczął odbierać wszelkie zakłócenia posiłków i drzemek jak osobisty afront. Wszyscy domownicy i służba otrzymali ściśle instrukcje, aby mu wtedy pod żadnym pozorem nie przeszkadzać. Dotyczyło to nawet jego syna.

W tej chwili siedział przy oknie w pokoju śniadaniowym, leniwie skubiąc croissanta i przeglądając lokalną gazetę. Dzień, mimo że październik dobiegał już końca, był jasny i słoneczny i Anthony zasłonił oczy ciemnymi okularami.

Mario, rozczochrany i nieogolony, cicho wsunął się do pokoju z fajansowym kubkiem w dłoni. Z ponurą miną nalał do kubka kawy ze srebrnego imbryka stojącego na stole. Mario był źle wychowany - nie umiał się zachować.

Anthony nie widział powodu, by ukrywać irytację, która ogarnęła go na widok syna. Złożył gazetę i rzucił ją na stolik koło szklanki z sokiem.

- O co chodzi?

Mario rzadko wstawał tak wcześnie.

- Mam interesującą wiadomość. - Mario błysnął zębami w słynnym zabójczym uśmiechu, któremu zawdzięczał swoje powodzenie u kobiet.

Podszedł do wielkiego okna wychodzącego na zachód i patrzył na płynącą pod prąd barkę na rzece.

- Musi być bardzo interesująca, skoro wstałeś przed zachodem słońca.

Mario wzruszył ramionami i przysunął krzesło z kutego żelaza do stołu. Usiadł naprzeciw ojca.

- Myślę, że cię to zainteresuje.

- Słucham.

- Wygląda na to, że do miasta zawitała pewna dama.

- To ma być ta elektryzująca wiadomość?

Mario powoli nalał sobie śmietanki do kawy.

- Owszem. Bo ta dama twierdzi, że jest London Danvers.

Anthony zmrużył ukryte za ciemnymi szklami oczy.

- To żadna wiadomość - powiedział z namysłem. - Łatwo było przewidzieć, że tak będzie. Bardzo łatwo.

Mario zamrugał. Sięgnął nad stołem i przysunął sobie miskę z owocami, które jego ojciec zawsze zostawiał na deser. Poirytowany Anthony spojrzał na pokojówkę, która jednak odgadła jego życzenie i już była w drodze do kuchni.

- Zawsze jest ktoś, kto uważa się za London.

Mario potarł szczękę, patrząc na ojca.

- Musiałbyś ją zobaczyć. Skóra zdarta z pieprzonej żony Witta... jak jej tam było... Katherine?

Anthony zeszywniał. Nie tolerował języka, jakiego używał Mario, zwłaszcza przy stole.

- Mówisz, że przypomina...

- Nie, nie przypomina, tylko wygląda jak jej pieprzone odbicie w lustrze!

Anthony odłożył widelec. Pokojówka przyniosła drugą miskę z owocami oraz talerzyk i sztucce dla Maria, który z zapalem zabrał się do jedzenia. Wziął kawałek kielbasy i zaczął ją kroić, kładąc przy tym łokcie na stole i naruszając harmonię otoczenia.

- Może powinienem się z nią spotkać, z tą... Jak ona się nazywa?

- Adria Nash. Pochodzi z jakiegoś zadupia w Montanie. Kilku gości już nad nią pracuje.

- Skąd się o niej dowiedziałeś? W gazetach ani w telewizji nic o tym nie było.

- Nie ujawniła się jeszcze, ale pewnie to zrobi. Jeden z naszych ludzi zauważył ją na przyjęciu z okazji otwarcia hotelu „Danvers”. Była z Zachem, a potem została przedstawiona „rodzinie”. - Mario napił się kawy, siorbiąc głośno. - Jason omal nie narobił w gacie.

Anthony skrzywił się z niesmakiem.

- Nie wątpię - powiedział sucho. - Sądzisz, że to może być London?

- Owszem. - Mario spojrzał twardo na ojca. - Wiesz, że wielu ludzi sądziło, że to ty porwałeś tę małą.

Anthony wziął to, co zostało z jego croissanta, do ręki.

- Gdybym to ja ją porwał, myślisz, że wróciłyby teraz do Danversów, oznajmiając radośnie, że jest ich dawno zaginioną siostrzyczką? - Mario zbłądł i Anthony odczuł pewną satysfakcję. - Co o tym sądzi Trisha? Boi się?

W twarzy Maria coś drgnęło.

- Skąd mam wiedzieć?
- Już się z nią nie widzisz?
- Zadbaleś o to dawno temu, nie pamiętasz? - odparł Mario z goryczą.
- Trisha Danvers to dziwka - oznajmił zimno Anthony.

Oczy jego syna błysnęły wściekłością.

- Wykorzystała cię, żeby się odegrać na ojcu. Nic więcej. - Anthony ponownie rozłożył gazetę, ale wciąż myślał o kobiecie podającej się za London. Musi dowiedzieć się o niej jak najwięcej. - Może powinniśmy zaprosić pannę Nash - dodał, spoglądając na syna ponad gazetą.

Mario siedział z łokciami na stole i brodą opartą na dłoniach, rozmyślając o czymś posepnie.

- Po co?
- Ze względu na dawne czasy.
- Witt nie żyje, a jakie to może mieć znaczenie dla ciebie?

Anthony nie odpowiedział. Jak wytłumaczyć synowi, że nienawiść nie umiera? Nieważne, ilu graczy pożegnało się już z życiem, łańcuch zemsty nie ma końca. Dopóki ktoś w Portland nosi nazwisko Danvers, Anthony nie zazna spokoju. Tak, to dobra wiadomość, że pojawiła się kolejna London.

Adria zapukała do drzwi małego mieszkania w Tigard, na przedmieściu po zachodniej stronie Portland. Po chwili zobaczyła w wizjerze czyjeś ciemne oko i usłyszała odgłos zwalnianej zasuwy.

Drzwi otworzyła drobna Indianka o szpakowatych włosach ściągniętych w węzeł na karku i nieprawdopodobnie białych zębach.

- Pani Santiago?

- Na miłość Chrystusa, Pana naszego - wyszeptała kobieta, składając dłonie. - Toż to jakby nasza pani wstała z grobu.

- Mogę wejść?

Adria dzwoniła wcześniej do Marii Santiago, która pracowała dla rodziny Danversów aż do emerytury, na którą przeszła krótko po śmierci Witta. Wyjaśniła, kim jest, i Maria, choć niechętnie, zgodziła się z nią spotkać.

- Proszę, proszę. - Maria odsunęła się, wpuszczając Adrię do malutkiego pokoiku. - Proszę usiąść.

Adria przysiadła na obitej kwiecistym materiałem podniszczonej kanapie, a Maria usiadła w bujanym fotelu przy oknie i położyła stopy na podnóżku.

Adria już przez telefon wyjawiała jej cel przyjazdu do Portland i opowiedziała pokrótce swoją historię, wyjaśniając, że została adoptowana, a teraz poszukuje korzeni, ale niestety wszelkie dokumenty uległy zniszczeniu. Maria, najwyraźniej samotna, zgodziła się z nią porozmawiać.

- Nie oczekuję, że złamie pani zasady dyskrecji - powiedziała Adria - ale tylu rzeczy jeszcze nie wiem o rodzinie Danversów. Pomyślałam, że mogłaby mi pani pomóc.

Maria pogłaskała się po brodzie i odwróciła głowę do okna.

- Jeszcze kilka lat temu nic bym nikomu nie powiedziała - przyznała - ale potem pan umarł, a Jason mnie zwolnił. Teraz... - zatarła ręce z zapalem. - Co by pani chciała wiedzieć?

- Wszystko.

- Aaa... No, to zabrałoby sporo czasu. Tyle tego jest.

Adria nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nareszcie. Uśmiechnęła się do tej miłej starszej kobiety.

- Mam mnóstwo czasu. Całe życie - rozsiadła się wygodnie.

Kiedy wróciła do hotelu, była prawie dziesiąta. Dobrze, że nagrała zwierzenia Marii na kasetę, bo w głowie miała chaos. Znalazła odpowiedzi na kilka pytań i poznała kilka sekretów, między innymi dowiedziała się w końcu, skąd się wzięła w pełni odwzajemniona wrogość Danversów do Polidorich.

Postanowiła uczcić to kieliszkiem wina i gorącą kąpielą w hotelu „Orion”, tym bardziej że następnego dnia będzie musiała poszukać czegoś tańszego. Później będzie miała mnóstwo spraw na głowie. Skoro rodzina Danversów nie przyznaje się do niej, najwyższy czas pójść na policję i powiadomić prasę. Jak tylko znajdzie miejsce, w którym będzie mogła zatrzymać się na dłużej, skontaktuje się z policją i udzieli wywiadu jakiejś lokalnej gazecie. Potem oczywiście będzie musiała porozmawiać z prawnikami zajmującymi się majątkiem Wina. Musi przez to wszystko przejść, choć pewnie będzie ciężko.

Nazwą ją oszustką, intruzem, łowczynią cudzych majątków. Danversowie będą próbowali ją zniszczyć, a mają do dyspozycji wielkie pieniądze. Zrobią wszystko, żeby wygrzebać jakieś brudy na jej temat i zdyskredytować ją w oczach prasy i policji. Dokładnie sprawdzą jej przeszłość i wykorzystają każdą nieścisłość, jaką odnajdą, by udowodnić, że jednak nie jest ich przyrodnią siostrą.

Sama tego chciała.

A Zachary?

O Boże, tak. Co z Zacharym?

Adria zdjęła ubranie, nalała sobie kieliszek chabli i weszła do wanny pełnej gorącej wody. Sączyła wino i rozmyślała o swoim przyrodnim bracie.

Pociągający.
Inteligentny.
Szorstki.
Zbuntowany.

Nic dobrego. Podobnie jak Marka Kennedy'ego, Zacha Danversa powinna za wszelką cenę unikać. Chyba że chce znowu stracić głowę.

13

Woda w wannie całkiem wystygła, kieliszek był pusty, lecz zatopiona w myślach Adria straciła rachubę czasu. Granica między przeszłością a teraźniejszością uległa zatarciu. Życie w Bellamy wydawało jej się teraz dziwnie odległe i choć bardzo się starała, nie mogła przypomnieć sobie rysów twarzy Marka, mimo że z przerażającą dokładnością pamiętała szczegóły tamtej nocy, kiedy utonął. Wydarzenie to odcisnęło na jej psychice niezatarte piętno, a wspomnienie rozpaczy, jaką wtedy odczuwała, nachodziło ją w najmniej oczekiwanych momentach.

Wylew matki, a potem jej śmierć położyły się cieniem na ostatnich latach życia ojca. Choroba przysporzyła mu tak wielu cierpień, że jego śmierć wydała się Adrii błogosławieństwem, choć utrata obojga rodziców w tak krótkim czasie nappełniła ją głębokim smutkiem, pozbawiła poczucia zakorzenienia i bezpieczeństwa.

Adria wyszła z wanny i wytarła się do sucha grubym hotelowym ręcznikiem, rozmyślając o celu swojej podróży do Portland. Przybyła tu, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, kim jest, kim byli jej biologiczni rodzice. Czy jest London Danvers? A jeśli tak, to jakie to ma znaczenie? Czy naprawdę chciałaby być spokrewniona z tymi ludźmi - z rodziną Danversów? Żaden z jej członków specjalnie jej się nie podobał.

Z wyjątkiem Zachary'ego.

Nie ufa mu. Nie był lepszy od innych, ale nie potrafiła przestać o nim myśleć. Był szorstki, podczas gdy jego bracia byli dumni ze swej śliskiej ogłady, otwarcie lekceważył oczekiwania innych w przeciwieństwie do Nelsona, który ustawicznie przybierał różne pozy i odgrywał jakieś role. Zachowywał się arogancko, ponieważ gwizdał na pieniądze i przywileje i na niczym mu nie zależało. Jason także bywał arogancki, ale dlatego, że uważał, iż należą mu się pieniądze i władza, i to wszystko, co miał od urodzenia.

Zachary był inny.

Ponieważ w jego żyłach płynęła inna krew? Bo mógł być Polidorim? Adria skrzywiła się, ale zaintrygowała ją ta myśl. Jej stosunek do Zacha byłby bardziej zrozumiały, gdyby nie należał do rodziny Danversów. Przetarła zaparowane lustro ręcznikiem, zastanawiając się, jaki też Zachary może być jako mężczyzna, jakby to było pozwolić mu się wziąć do łóżka...

Ta myśl była jak zimny prysznic. Co ona sobie właściwie wyobraża, fantazując na temat człowieka, który nią otwarcie pogardza, człowieka, który może być jej przyrodnim bratem? Wzruszyła ramionami i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Musi nauczyć się myśleć o nim jako o swoim bracie: irytującym, nie znoszącym kobiet, przysparzającym wszystkim wokół samych problemów, bracie, który w dodatku jest jej zaprzysięgłym wrogiem.

Jak cała reszta rodziny.

Adria włożyła za duży podkoszulek i wskoczyła na łóżko. Pościel była czysta i szeleszcząca, ale brakowało jej tego zapachu świeżości, jaki wydzielala pościel suszona na wiejskim powietrzu w domu w Bellamy. Zabawne, spędziła tam tyle lat, marząc o jednym - żeby stamtąd uciec. Światła wielkiego miasta fascynowały ją i wzywały, ale obowiązek trzymał ją w tym małym miasteczku, jedynym miejscu, jakie kiedykolwiek nazywała domem. Nie miało to teraz wielkiego znaczenia, ale zielone łąki Montany nie wydawały się jej już tak okropne i po raz pierwszy od lat na myśl o Bellamy poczuła wzruszenie i tęsknotę.

Nie wróci tam jednak, do bezpieczeństwa i nudy małego miasteczka. Zaszła już zbyt daleko. Kto nie ryzykuje, nie wygrywa, powiedziała sobie, ugniatając poduszkę.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w dobiegający z ulicy szum samochodów, przerywany od czasu do czasu jakimś głośniejszym dźwiękiem i dalekim wyciem syren. Gdzie teraz jest Zachary? Zirytowana, że znowu zaczęła o nim myśleć, przewróciła się na bok. Po dwudziestu minutach spała już twardo i nie usłyszała lekkich kroków, które zatrzymały się przed drzwiami jej pokoju, nie obudziła się też, kiedy na podłodze pojawił się wsunięty pod nie liścik.

Dopiero następnego ranka, kiedy przecierając oczy, ruszyła w stronę drzwi, żeby wziąć gazetę z korytarza, dostrzegła białą kartkę papieru porządnie złożoną na pół, leżącą na dywanie pod szafą. Podniosła ją i rozłożyła. List był prosty i zwięzły: WRACAJ DO DOMU, DZIWKO.

Nagle zaschło jej w gardle.

Przeczytała list jeszcze raz i jeszcze raz, czując, jak na ciele pojawia się jej gęsia skórka.

Na moment ogarnęła ją panika, później zmięła kartkę w dłoni.

- Świetnie - mruknęła do siebie. Powinna się przerazić, bo oto otrzymała ostrzeżenie - pierwsze z wielu, jakie zapewne jeszcze otrzyma - ale oprócz strachu odczuła też satysfakcję.

Ktoś bardzo przejął się jej przyjazdem do miasta.

Przejął się na tyle, że postanowił ją nastraszyć.

Uśmiechnęła się do siebie pierwszy raz tego ranka i pomyślała, że może, może jest jednak na dobrej drodze.

Automat telefoniczny wisiał w rogu gospody, między stolami bilardowymi a drzwiami do toalety. Sweeny zamówił rozmowę na swój koszt i czekał, aż w odległym Portland zadzwoni telefon. Musi też zdać sprawozdanie Danversowi, ale najpierw postanowił załatwić ważniejszą sprawę.

Po kilku sygnałach usłyszał w słuchawce głos Foster'a.

- Tu biuro Michaela Foster'a. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Proszę podać nazwisko i numer, oddzwonię, gdy tylko...

- Gówno prawda! - warknął Sweeny. Foster cierpiał na porażenie dolnych kończyn. Gdzie, u diabła, mógł pójść? Miał oczywiście specjalny samochód z ręcznymi hamulcami i tak dalej, ale i tak chyba ciężko było mu się ruszać. Poza tym Oswalda niepokoił fakt, że Foster związał się z młodą, piękną kobietą. Co taka lala mogła widzieć w kalece? W słuchawce rozległ się przeciągły pisk.

- Foster? Jesteś tam? To ja, Sweeny. Odbierz ten cholerny telefon. - Zaczekał, ale nikt nie podniósł słuchawki. - Do diabła - mruknął. - Słuchaj, wiem, że tam jesteś, więc odbierz. Mam dla ciebie robotę. Dobrze płatną. Jeśli cię to interesuje... - przerwał, ale po drugiej stronie wciąż panowała cisza. Zabębnił palcami po zniszczonej książce telefonicznej. - Dobrze, zadzwonię później. - Poddał się w końcu i odwiesił słuchawkę.

Próbował nie dać się złemu nastrojowi, który go ogarnął, ale bez powodzenia. Na zewnątrz wiał zimny posepny wiatr, przysypując śniegiem to małe wstrętne miasteczko.

Sweeny usiadł przy barze i wypił piwo, przysłuchując się smętnej balladzie country o mężczyźnie oplakującym zmarłą kochankę. Chryste, co za żałosne miejsce. Do knajpy weszło kilku miejscowych. Zamienili kilka słów z barmanem i wdrapali się na swoje stołki. Jak w jakiejś pieprzonej telenoweli. Sweeny znał już ich wszystkich po imieniu - Norm, Cliff, Sam - ale nie miał ochoty z nimi gadać. Wbił wzrok w zawieszony nad barem telewizor i zaczął oglądać mecz baseballowy, który go zresztą guzik obchodził.

Ostatniej nocy odwalił kawał roboty i teraz bolały go wszystkie kości. Najpierw pojechał na farmę, gdzie wychowała się Adria, i rozmawiał z małżeństwem, które ją dzierżawiło, ale niewiele się dowiedział. Albo oboje byli małomówni z natury, albo wyczuli kłamstwo. Oswald przedstawił się im jako agent ubezpieczeniowy. Chciał ubezpieczyć ich dom i zabudowania gospodarskie od ognia, ale nie udało mu się nawet wejść do środka. Kobieta patrzyła na niego nieufnie przez zamknięte na klucz zewnętrzne drzwi z gęstej metalowej siatki i udzieliła mu półgębkiem kilku niechętnych informacji.

Rozczarowany opuścił farmę i pojechał do jedynej przechowalni w miasteczku, przekupił dzieciaka, który robił tam za stróża, i dostał się do komórki wynajmowanej przez pannę Nash. Spędził kilka godzin wśród zniszczonych mebli, pełnych różnych bezwartościowych rzeczy pudeł i wypełnionych papierami segregatorów. Przejrzał je wszystkie i znalazł starą rodzinną Biblię oraz kopie zeznań podatkowych świadczących o oplakanyim stanie finansów Adria Nash. Nic dziwnego, że tak się zainteresowała pieniędzmi Danversów. Biblia i segregatory spoczywały teraz z powrotem w przechowalni. Oswald zrobił kopie zeznań podatkowych i strony z drzewem genealogicznym zawierającej informacje o rodzinie Nashów i zostawił stróżowi pięćdziesiątkę. Adria prawdopodobnie nigdy nie dowie się o jego wizycie.

Ciągle jednak siedział w tej dziurze. Wypił jeszcze jedno piwo i spojrzął na zegarek. Wziął swój neseser i pośpieszył do telefonu. Tym razem Foster podniósł słuchawkę.

- Nareszcie - burknął Sweeny.

- Oswald. Jak zwykle miło cię słyszeć. - Foster nie krył sarkazmu.

- Jasne.

- Dobra, odebrałem twoją wiadomość. O co chodzi?

- Prosta sprawa. Chcę, żebyś odszukał dla mnie kilka osób. Pierwsza może występować jako Ginny Slade, Virginia Watson albo Virginia Watson-Slade. Ma teraz koło pięćdziesiątki, jak sądzę. Była żoną niejakiego Bobby'ego, czyli Roberta Slade'a.

- To wszystko, co o niej wiesz?

- A co jeszcze byś chciał?

- Watson i Slade to dość popularne nazwiska. Może wiesz coś na temat miejsca ich zamieszkania? Na wschód czy na zachód od Missisipi?

- Chwilę - rzucił zniecierpliwiony Oswald i otworzył neseser. Wyciągnął kopie drzewa genealogicznego. - Zaraz sprawdzę - powiedział, przesuwając palcem w dół strony. - Wygląda na to, że Virginia urodziła się w Memphis w stanie Tennessee. Wyszła za Bobby'ego w kościele pod wezwaniem Pierwszych Chrześcijan w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego. Nie mam tu żadnych innych dat, wiem tylko, że kiedyś przejeżdżała przez Montanę i zostawiła tam swoją córkę, która miała na imię Adria czy jakoś tak, do adopcji. Starsze małżeństwo - Wiktor i Sharon Nashowie - zaadoptowali dziewczynkę pod koniec roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego. Mniej więcej, bo nie mogłem znaleźć żadnych dokumentów na ten temat.

- To wszystko?

- Niezupełnie - Sweeny lubił budować napięcie, zanim zdetonował bombę. - Teraz najważniejsze. Podejrzewamy, że ta Virginia Watson-Slade mogła być guwernantką London Danvers.

Po drugiej stronie rozległ się przeciągły, znaczący gwizd.

- Ginny Slade.

- Bingo.

- Czemu się tym zajmujesz? Nie mów, niech zgadnę. Córeczka wróciła i żąda swojej części spadku.

- Zgadza się.

- To może być interesujące.

- Zobaczymy, co ci się uda ustalić.

- Jak się z tobą skontaktować?

- Zadzwoń do ciebie. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Może numer książeczki ubezpieczeniowej?

- Racja. - Sweeny przejrzał notatki na temat Ginny Slade. - Mam - powiedział i podał numery, których Ginny używała jako guwernantka London. Dodał jeszcze kilka szczegółów i odłożył słuchawkę. Był dobrej myśli, Foster na pewno się czegoś dowie. W latach osiemdziesiątych był jednym z najlepszych hakerów i znalazł sposób, by przełożyć swe zdolności na pieniądze. Sweeny nie miał pojęcia, jak Foster właściwie działa, czy włamuje się do akt, czy ma kogoś w rządzie, ale wiedział, że pracuje dla agencji zajmującej się poszukiwaniem osób zaginionych i ma spore sukcesy na swoim koncie.

Zadowolony Sweeny zamknął neseser i wrócił na swoje miejsce przy barze. Poczul się lepiej. Napije się jeszcze jednego i zadzwoni do Jasona Danversa.

Adria obejrzała się za siebie, ale w tłumie ludzi mijających wejście do hotelu „Orion” nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Skarciła się w duchu. Czy to przypadkiem nie początki manii prześladowczej? Powiedziała sobie, że na pewno nikt jej nie śledzi, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Przez cały dzień krążyła po mieście, próbując znaleźć jakieś lokum, gdzie mogłaby zatrzymać się na dłużej, i wciąż czuła na sobie czyjś wzrok. Może to przez liścik, który odkryła rano pod drzwiami.

Spodziewała się niejasno, że znowu wpadnie gdzieś na Zachary'ego, ale się nie pokazał. Pozostawanie w cieniu nie leżało jednak w jego naturze. Mógłby ją śledzić, tak jak przedtem, ale w końcu na pewno by się ujawnił.

Kto więc śledzi każdy jej ruch?

Doszła do wniosku, że nikt, i ponownie rozejrzała się ukradkiem dokoła. Nikt nie skrywał twarzy za gazetą ani nie czał się za budką telefoniczną, nikt też nie skręcił gwałtownie do najbliższego sklepu, kiedy na niego spojrzała. Rodzina Danversów rozstroiła jej nerwy, to wszystko. Zaczyna się bać własnego cienia.

Pomachała właścicielowi kiosku, weszła do hotelu i zapytała o listy w recepcji. Dostała jeden, w białej sztywnej kopercie, na której ktoś dużymi literami wypisał jej imię i nazwisko. Recepcjonista przekazał jej także informację o telefonie. Nie chcąc czytać wiadomości w holu, gdzie każdy mógł ją swobodnie obserwować, poszła do windy.

W pokoju zdjęła buty i usiadła na łóżku. Dzwonił do niej Nelson Danvers, który „pilnie” chciał się z nią skontaktować. Dobrze. To już jakiś postęp. Ale Nelson może jeszcze trochę poczekać.

W białej kopercie, zupełnie nieoczekiwanie, znajdowało się ręcznie napisane zaproszenie. Przeczytała je zdumiona: „Pan Anthony Polidori ma zaszczyt zaprosić panią na obiad, na godzinę siódmą, do restauracji »Antonio«”. Szofer odbierze ją spod hotelu.

Żadnego adresu ani numeru telefonu. Tylko zaproszenie pozostawione w hotelowej recepcji. Adria przeczytała je jeszcze raz. Dlaczego Polidori chce się z nią spotkać? Na pewno dowiedział się, że przyjechała do miasta, twierdząc, że jest zaginioną córką Witta Danversa. Ale skąd? I skąd wie, gdzie się zatrzymała? Zadrzała i znowu poczuła, że ma gęsią skórę. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Zastanawiała się, czy ktoś nie obserwuje jej pokoju. Nikt jednak nie stał oparty o latarnię, spoglądając w jej okna i pałac papierosa, nie dostrzegła też żadnej podejrzanego figury czającej się w cieniu przeciwległej bramy.

- To tylko nerwy - szepnęła do siebie, przytykając białą karteczkę do ust.

Podeszła do szafy i przejrzała skromną garderobę. Chyba nie zaszkodzi, jeśli spotka się z Polidorem? A może nie powinna tego robić, może to jakiś podstęp?

Uśmiechnęła się do siebie, bo zauważyła, że zaczyna myśleć jak rodzina Danversów. Nie ma powodu obawiać się niczego ze strony Polidorich, a rozmowa z odwiecznym wrogiem Witta może rzucić światło na wiele spraw. Wszyscy członkowie rodziny Danversów zgodnie twierdzili, że Anthony jest pierwszym podejrzanym o porwanie London.

Włożyła prostą czarną spódnicę i białą jedwabną bluzkę, narzuciła na nią żakiet w kolorze głębokiego błękitu, a włosy upięła z tyłu głowy.

Kiedy wyszła z windy i zmierzała holem w stronę wyjścia, przed hotel zajęła limuzyna. Szofer otworzył jej drzwiczki i znalazła się w mrocznym, przestronnym wnętrzu samochodu. Nie była jednak sama. Czekają na nią dwóch mężczyzn siedzących naprzeciw siebie. Starszy z nich, krępy i szpakowaty, w eleganckim popielatym garniturze i okularach przeciwsłonecznych, wyciągnął do niej rękę i pomógł jej usiąść na siedzeniu obok.

- Witam, panno Nash - powiedział. - Witam. Jestem Anthony Polidori. Mój syn Mario.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Mario uprzejmie. Miał ciemną skórę, regularne rysy twarzy,

nieprzeniknione oczy barwy obsydianu i kręcone czarne włosy, dłuższe, niż nakazywała obowiązująca moda.

- Pańskie zaproszenie zaskoczyło mnie. - Adria doszła do wniosku, że nie ma sensu niczego udawać.

Anthony uśmiechnął się i poklepał syna po kolanie.

- Zaskoczona, no, no. - Dotknął lekko jej ramienia. Limuzyna odjeżdżała już sprzed hotelu. - Nic pani nie słyszała o waśni między rodzinami Danversów i Polidorich? - spytał z niedowierzaniem.

- Trochę - odparła Adria ostrożnie.

- Trochę, no tak, a jest tego dużo więcej. - Zamyślił się i ocknął, kiedy wewnątrz samochodu wypełniły ciche dźwięki muzyki klasycznej. - Mario, gdzie twoje maniery? Zapytaj pannę Nash, czy nie ma ochoty na drinka.

- Może później - powiedziała, ale Mario nie zwrócił na to uwagi i nalał do kieliszka białego wina z butelki umieszczonej w kubelku z lodem.

- Proszę - nalegał Mario. Dobiegał czterdziestki lub niedawno ją przekroczył i obnosił swą południową urodę jak kosztowny garnitur. Siedząc naprzeciw Adrii, zdawał się pozować do zdjęcia. Podał jej kieliszek schłodzonego wina, muskając przy tym jej palce. Trwało to ułamek sekundy, ale Mario zdążył jej przy tym spojrzeć w oczy.

Wyglądając przez przyciemnione szyby, Anthony mlasnął językiem.

- Wszystko to jest bardzo smutne - przyznał - ale nic na to nie można, poradzić. Ta waśń trwa od pokoleń, rozumie pani. Zaczęło się od Juliusa Danversa i mojego ojca.

Tyle Adria rozumiała. Maria, która przez wiele lat pracowała u Danversów, opowiedziała jej o tym, jak Stefano Polidori stał się wrogiem Juliusa.

Patriarcha rodziny Julius dorobił się fortuny pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Imigrant, prosty kupiec handlujący drewnem, zaczął budować swe imperium, skupując, dzierżawiąc, a nawet kradnąc porośnięte gęstymi lasami ziemie. W końcu nie tylko założył firmę zajmującą się handlem drewnem, ale także sieć tartaków, obejmującą teren od północnej Kalifornii aż po granicę z Kanadą na północ od Seattle.

Powiadano, choć te plotki nie zostały nigdy potwierdzone, że Julius był skąpym i chciwym sukinsynem, który nie zawahałby się zabić, byle utrzymać pozycję najpotężniejszego magnata drzewnego na Północnym Zachodzie. Posądzano go o to, że stoi za kilkoma „wypadkami”, które kosztowały życie ludzi niezbyt ponoć wobec niego lojalnych. Nigdy mu jednak niczego nie udowodniono.

Na przełomie wieków już jako bogaty człowiek Julius zajął się transportem rzeczonym i hotelarstwem, rozszerzając zasięg swych wpływów na inne branże. Otworzył luksusowy hotel „Danvers” w centrum Portland podczas wystawy Lewisa i Clarka w tysiąc dziewięćset piątym roku. Hotel, cieszący się opinią najlepszego w mieście, stał się szybko przystanią dla elity przybywającej do Portland rzeką Wilamette.

Mimo że sam nie otrzymał żadnego wykształcenia, Julius ufundował także Reed College, pierwszą tego typu szkołę w mieście. Uczęszczały do niej jego dzieci, zdobywając dyplomy i towarzyską oglądę.

Mówiono o nim, że nie ma skrupułów, że kupuje lub zastrasza polityków, sędziów i policjantów, że nic w mieście nie dzieje się bez jego wiedzy i aprobaty. Szczególnie dbał o to, żeby nikt nigdy nie stanął mu na drodze i nie zagroził jego rodzinie.

Jego największym rywalem był Stefano Polidori, włoski imigrant - jeden z niewielu w Portland - który rozpoczął karierę, pracując na farmie położonej na południowy wschód od miasta. Sprzedawał warzywa z wozu, a potem z własnej furgonetki, oszczędzając każdego centa. Za swoje oszczędności kupił kilka farm, a ponieważ miasto rozwijało się i rozrastało, otworzył przynoszący wielkie zyski targ warzywno-owocowy, potem także restaurację. Jego majątek rósł i w końcu Stefano otworzył także hotel, który klasą i atmosferą mógł konkurować z hotelem „Danvers”.

Tak więc rodzina Polidorich również dorobiła się fortuny, a pomnażając swój majątek i poszerzając zainteresowania, Stefano w końcu zaczął deptać Juliusowi po piętach. Najpierw przebił ofertę Juliusa i kupił na aukcji pierwszorzędne tereny nad rzeką, potem przekonał uczestników Zjazdu Handlowców, że jego hotel lepiej spełni ich oczekiwania.

Między Juliušem a Stefanem rozpoczęła się ostra rywalizacja.

Julius nie wierzył, że brudny Włoch może nadawać się do czegokolwiek poza sprzedawaniem sałaty i pomidorów ze swojego wozu, ale Stefano był kuty na cztery nogi i w niczym nie ustępował swemu rywalowi. Podobnie jak Julius, Stefano wykorzystywał pieniądze do zdobywania kolejnych szczebli społecznej drabiny Portland.

Rywalizacja i wrogość między oboma mężczyznami i ich rodzinami pogłębiały się z biegiem lat.

- Słyszałam o Juliusie i pańskim ojcu - powiedziała Adria, kiedy limuzyna wjechała na parking przed restauracją.

- Uparci ludzie. Obaj. - Anthony westchnął głośno. - My wszyscy obwinialiśmy Juliusa o śmierć mojego ojca, jak pewnie już pani wie.

Adria czytała o pożarze. Była to historia, która przez wiele tygodni elektryzowała czytelników w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Przyczyną tragedii było zapalenie się tłuszczu w kuchni, ale kilku dziennikarzy zastanawiało się, czy śmierć Stefana była faktycznie skutkiem wypadku, a nie podpalenia opłaconego przez Juliusa. Z hotelu i otaczających go budynków zostały zgłiszcząca.

Nad grobem swego ojca - w obecności wielu przedstawicieli prasy - Anthony, teraz głowa rodziny Polidorich, poprzysiągł zemstę Danversom.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Anthony, wskazując restaurację. - Należy do jednego z moich przyjaciół. Szofer otworzył drzwiczki limuzyny i Anthony, z rzadka tylko podpierając się laską, ruszył żwawo do wejścia. W środku zostali powitani przez maitre d'hotel. Z kuchni także dobiegały powitalne okrzyki kucharzy i kelnerów. W tej włoskiej restauracji Anthony nie miał wrogów.

- Jak miło znowu pana widzieć - powiedział maitre. - Stolik już czeka. Proszę tędy. - Poprowadził ich schodami na górę, do gabinetu, z którego rozciągał się widok na wszystkie mosty rozwieszane nad ciemnymi wodami Wilamette.

- Pięknie, prawda? - spytał Anthony.

- Bardzo pięknie. - Adria kiwnęła głową, siadając na krześle podsuniełym przez ich przewodnika.

- Ta rzeka to życiodajny krwiobieg miasta. - Anthony patrzył przez okno, jakby nigdy nie miał dość widoku rzeki i wznoszących się nad nią drapaczy chmur.

Nie czekając na zamówienie, młody smukły kelner przyniósł wino i chrupiące włoskie pieczywo.

- To co zwykle? - zapytał, rozlewając wino do trzech kieliszków.

- Tak, dla nas wszystkich - odparł Polidori.

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? - spytała Adria, kiedy kelner już zniknął.

- Nie domyśla się pani? - Anthony błysnął diabelsko czarnymi oczami i zachichotał. Mario pospieszył jej na ratunek.

- Ponieważ wiemy, że przyjechała pani do Portland odzyskać swoje prawa. Wiemy, że uważa się pani za London Danvers.

Adria upiła łyk chianti.

- Dlaczego panów to interesuje?

- Proszę spróbować tego chleba - powiedział Anthony. Nie odpowiedział na jej pytanie. - Najlepszy w Portland, a może nawet na całym Północnym Zachodzie. - Sięgnął po kromkę.

- Czy rodzina Danversów wciąż stanowi dla pana problem?

Została nagrodzona powolnym uśmiechem.

- Cóż, zawsze interesuje mnie, co się dzieje w rodzinie dawnego rywala. - Spojrzał na nią spod oka i otrzepał palce z okruszków. - Byłem zaszokowany, kiedy porwano najmłodszą córkę Witt, ale uznano mnie wtedy za głównego podejrzanego. - Potrząsnął głową, jakby nadal nie mógł tego zrozumieć. - Mimo moich zapewnień i alibi Witt i jego zausznik, niejaki Logan, uważali, że miałem z tym coś wspólnego. Podejrzewali też Maria, choć był wtedy na Hawajach. A ponieważ średni syn Witt Zachary twierdził, że tego dnia został pobity przez dwóch Włochów, moja rodzina została umieszczona na czele listy podejrzanych. Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że tych dwóch, którzy go ponoć napadli, miało niepodważalne alibi i było tego wieczoru gośćmi w kilku restauracjach. - Machnął ręką. - Nic nie miało znaczenia. To Danvers ich oskarżył, a w tym mieście to wiele znaczy, bardzo wiele. - Wzniósł dłoń w górę. - Tak więc chciałbym oczyścić nasze nazwisko. A pani, jeśli istotnie jest London, chciałbym pomóc.

- Wbił zęby w kromkę chleba i westchnął z ukontentowaniem, jakby nagle zapomniał o rozmowie, ale Adria wiedziała, że tak nie jest. - Naturalnie rodzina Danversów nie chce uwierzyć, że jest pani ich siostrą. Mam rację? - podjął, kiedy nie odpowiadała.

- Napotkałam pewien opór - powiedziała Adria oględnie.

Mario parsknął śmiechem i odkroił nożem grubą pajdę chleba.

- No, myślę.

Anthony zamachał ręką, jakby chciał odebrać znaczenie sarkastycznej uwadze syna.

- Oczywiście nic nie wiem o pani sytuacji finansowej, ale nie jest przecież tajemnicą, że rodzina Danversów jest bardzo bogata i wpływowa. Jeśli postanowią z panią walczyć - a będą walczyć, proszę mi wierzyć, jak sfora rannych wilków, wykorzystując wszelkie dostępne środki - ja chciałbym pani pomóc.

- Pomóc mi? - Adria nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

- Tak, tak.

Mario opadł na oparcie krzesła, przyglądając się jej w zamyśleniu zmrużonymi oczami. Poglądził palcami podbródek.

- Nasza rodzina także coś znaczy w tym mieście. Uważamy, że mamy najlepszych prawników w Portland. Gdyby potrzebowała pani pomocy prawnej lub pożyczki...

- Nie sądzę, żeby był to dobry pomysł. - Wyglądało na to, że chcą ją zwerbować do swojego obozu. Poczula się nagle zaniepokojona.

- Chce pani udowodnić, że jest zaginioną London Danvers, czy nie? - spytał Anthony i w jego oczach błysnęło światło, które było zimne jak śmierć.

- Oczywiście.

- Więc powinna pani przyjąć moją propozycję. Przynajmniej tyle, żeby wyrównać krzywdy, których doznała moja rodzina, a także pani.

Adria miała zamiar stanowczo odmówić. Choć zarówno Mario, jak i jego ojciec robili wszystko, by ją oczarować, miała wrażenie, że sterują rozmową i próbują doprowadzić do takiej sytuacji, w której ona zostanie ich dłużniczką

do końca życia. Wiedziała jednak, że nie powinna otwarcie się im sprzeciwiać, jeszcze nie. Nauczyła się już, że cierpliwość jest cnotą, która procentuje, choć czasem trudno się na nią zdobyć. Poza tym każda pomoc mogła jej się przydać. Choć rodziny Polidorich i Danversów od pokoleń znajdowały się na wojennej ścieżce, ona potrzebuje sprzymierzeńców obojętne po której stronie.

- Jest pan bardzo wspaniałomyślny.

- Zatem postanowione.

- Niezupełnie. - Adria zakołysała kieliszkiem. - Wie pan, rodzina Danversów nadal jest zdania, że to pan stał za porwaniem London.

Polidori uśmiechnął się swoim najszerszym uśmiechem, wpatrując się w kieliszek i grę światła w czerwonej głębi wina. Napił się i spojrzął na Adrię.

- Przekonanie, że maczałem palce w porwaniu tej małej, było koszmarem mojego życia, ale także jedną z największych radości - powiedział. - Wtedy nie było to takie miłe. Policja ciągle tu przychodziła. Logan, on był najgorszy. Bardzo denerwujący. Ale po latach - wzruszył lekko ramionami - zaczęło mi to schlebiać. Danversowie najwyraźniej uważają, że jestem tak potężny, żeby zorganizować porwanie tuż przed ich zarozumiałymi nosami. - Jego oczy zamigotały ponuro.

Adrię ścisnęło w żołądku, ale postanowiła, że ani ten człowiek, ani jego reputacja jej nie przestraszą. Po mieście krążyły plotki, prawdopodobnie rozsiewane głównie przez Danversów, że rodzina Polidorich ma powiązania ze zorganizowaną przestępczością.

- Czy to pan porwał London? - spytała.

Anthony zachichotał.

- Prawdę mówiąc, pani Nash, żałuję, że o tym nie pomyślałem, choć, naturalnie, nie skrzywdziłbym tego dziecka. Ale z rozkoszą patrzyłbym, jak Witt cierpi. Byłaby to... cóż, ironia losu. Żadne lepsze określenie nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Jestem pewien, że Julius Danvers jest odpowiedzialny za śmierć mojego ojca.

- Może, ale Witt nie miał z nią nic wspólnego;

Anthony przechylił się w tył na oparcie krzesła.

- Dzieci muszą płacić za grzechy rodziców.

Adria spojrzała na Maria, który spochmurniał nagle. Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym odwrócił głowę do okna i zaczął obserwować barkę płynącą powoli w górę rzeki.

- Czy to dlatego Robert Danvers musiał zginąć? - zapytała Adria, patrząc na Anthony'ego.

Uśmiech z jego twarzy zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Najstarszy syn Juliusa miał wypadek, o ile sobie przypominam.

- Niektórzy uważali, że pan go zaaranżował.

- Ludzie lubią rzucać bezpodstawne oskarżenia.

Adria pochylił się nad stołem.

- Julius miał troje dzieci, trzech synów. Tylko jeden, Witt, przeżył.

Anthony westchnął głęboko.

- Drugi syn Juliusa Peter zginął na wojnie. - Zmarszczył brwi. - Z tym także nie miałem nic wspólnego. Danversowie uważają zapewne, że popierałem

Hitlera i Mussoliniego, ale nie zapłaciłem nazistom, żeby zastrzelili Petera. Nie zrobiłem także nic z motorówką, którą Robert pływał tamtego lata. Słyszałem, że wypił wtedy za dużo i podpłynął za blisko skał. Motorówka wpadła na nie, rozbiła się i nastąpił wybuch. Zginął na miejscu. Tragedia. Ale to był wypadek.

- Wypadek, po którym Juliusowi został tylko jeden spadkobierca.

- Zgadza się. Ale zakładając, że to ja jestem tym potworem, który zabił dwoje jego dzieci, czemu miałbym pozostawiać przy życiu Witta?

Adria myślała przez chwilę, w końcu postanowiła iść na całość. Przejechała palcem po brzegu swojego kieliszka.

- Może chciał pan zabawić się z nim trochę. Doszły mnie słuchy, że rywalizował pan z Wittem. Niewykluczone też, że uznał pan, iż jeden z synów Juliusa powinien poznać smak cierpienia. - Nie wspomniała o romansie Anthony'ego z Eunice, choć ta przemilczana kwestia cały czas wisiała w powietrzu.

Anthony uśmiechnął się lodowato.

- Myśli pani, że jestem jakimś wielkim mafiosem, prawda? - spytał i wymienił znaczące spojrzenia z synem.

- Nie wiem, nie znam pana - stwierdziła Adria. - Właściwie nie byłam pewna, czy powinnam przyjąć to zaproszenie.

- A to czemu?

- Dlatego, panie Polidori...

- Anthony, proszę - uśmiechnął się, ukazując białe, ostre zęby. - Mimo wszystko jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Adria wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

- Że może chciał się pan ze mną spotkać, żeby zdobyć informacje o Danversach.

- Nie ufa mi pani.

- Powiedziała, że nie znam pana.

Uśmiechnął się lekko.

- Danversowie mocno przesadzają - wtrącił się Mario. Patrzył na nią ciemnymi, zmysłowymi oczami tak uważnie, jakby szukał w jej twarzy najdrobniejszej niedoskonałości albo chciał zajrzeć w głąb jej serca. - To prawda, nasze rodziny odnosiły się do siebie niechętnie przez długi czas, ale to już skończone.

- Jaki sens miałyby podsycać starej waśni? - spytał Anthony. - Witt już nie żyje.

- Nie żyje. - Adria kiwnęła głową.

- A pani wierzy, że był pani ojcem - dodał beznamiętnie.

Adria dostrzegła nagle drugą twarz Włocha, skrzętnie skrywaną pod warstwą dobrych manier. Twarz okrutną, bezlitosną.

- Co to ma za znaczenie dla pana, panie Polidori?

- Mówiłem...

- Nie wierzę panu - rzuciła Adria niecierpliwie. Miała już dość zabawy w kotka i myszkę i postanowiła ją zakończyć. - Zaprosił mnie tu pan dzisiaj z jakiegoś powodu i chyba nie dlatego, że w Montanie nie miałam okazji zapoznać się z urokami włoskiej kuchni.

Anthony uniósł posiwiałą brew.

- Cóż, jestem ciekaw, to wszystko.

- Czego?

- Mówi się, że jeśli London Danvers kiedykolwiek wróci, odziedziczy lwią część Danvers International.

A więc o to chodzi.

- Konkurujemy z korporacją Danversów, więc miałem nadzieję, że gdyby odziedziczyła pani fortunę Wina, może byłaby pani skłonna odsprzedać część swego spadku. - Oparł łokcie na stole, a brodę na dłoniach. - Interesuje mnie zwłaszcza hotel „Danvers”.

Serce podeszło Adrii do gardła. Hotel? Pomyślała o sali balowej oświetlonej kryształowymi żyrandolami, o starych windach, o czasie i pieniądzech włożonych w remont tego pięknego budynku.

- Więc zaprosił mnie pan tu, żeby mnie... przekupić? - Potrząsnęła głową i zaśmiała się krótko. Ten mały Włoch, choć nigdy nie dopuściłby do siebie takiej myśli, był dokładnie taki sam jak kilka znanych jej osób o nazwisku Danvers. - Obawiam się, że musi pan wziąć numerek i ustawić się w kolejce. Danversowie już stanęli do licytacji. Zdaje się, że także uważają, że można mnie kupić.

- A nie można?

- Nie.

- Aaa... no tak. Kobieta, która ma swój honor. I szlachetne intencje. - W oczach Anthony'ego pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Chcę się po prostu dowiedzieć prawdy.

- Oczywiście. - Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł następną butelkę wina.

- A pan chce dostać hotel, żeby móc pokazać dzieciom Witta, że go pan w końcu pobił.

Zanim Anthony zdążył odpowiedzieć, kelner przyniósł chianti i wielką wazę minnestrone. Napełnił kieliszki i bezgłośnie rozlał zupę do trzech głębokich miseczek. Ustawił je przed gośćmi. Kiedy odszedł, Anthony wskazał na zupę, nakłaniając Adrię do jedzenia.

- Cóż, nasz hotel spłonął w trzydziestym piątym, a mojej rodzinie nie udało się już wybudować niczego, co mogłoby się z nim równać. Pieniądzy z ubezpieczenia nie wystarczyło na odbudowę. A moim marzeniem zawsze było, żeby jeden z najstarszych hoteli w mieście nosił nazwę „Polidori”.

- W Portland jest mnóstwo hoteli na sprzedaż. - Adria wzruszyła ramionami. - Dlaczego akurat „Danvers”?

- Dlaczego? - Anthony podniósł łyżkę i uśmiechnął się tryumfująco. - Dobre pytanie. Bo ten hotel jakoś mi pasuje. Byłoby to posunięcie, które nawet Witt musiałby uznać za godne podziwu. Nie sądzi pani?

14

Zach wyczuł kłopoty. Zdawały się wisieć w powietrzu jak napięcie przed burzą. Właśnie to przecucie spowodowało go z powrotem do Portland, a nie natarczywe telefony Jasona ani nie niecierpiące zwłoki interesy czy obawa, że jeśli Adria udowodni, że jest ich przyrodnią siostrą, on utraci swoje ranczo. Wskoczył do jeepa i przejechał góry, pędząc jak do pożaru, ponieważ zmusił go do tego jakiś wewnętrzny głos, instykt, którego musiał usłuchać, choć nie potrafił go nazwać.

- Idiota - mruknął do siebie, spoglądając przez zalaną deszczem przednią szybę na zbliżające się światła Portland. Wskazywały mu drogę.

Do czego?

Do Adrii.

Chwycił kierownicę, jakby miał zamiar wycisnąć z niej sok. Nie wiedział nawet, gdzie Adria postanowiła się zatrzymać.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, było kilka minut po dziesiątej. Rozcierając stopę, usiadła na brzegu łóżka i wolną ręką podniosła słuchawkę telefonu. Wykręciła numer pozostawiony przez Nelsona w recepcji i położyła

słuchawkę na ramieniu, przytrzymując ją głową. Już miała zamiar ją odłożyć, kiedy w końcu, po piątym sygnale, Nelson odebrał telefon.

- Nelson Danvers.

- Mówi Adria - powiedziała. - Dzwoniłeś do mnie?

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Tak, ja... - odezwał się w końcu. - Pomyślałem, że powinniśmy się spotkać. Wiesz, pogadać, poznać się lepiej. Miałem nadzieję, że może jeszcze dzisiaj... Mógłbym przyjechać i spotkać się z tobą w barze w twoim hotelu.

Adria spojrzała na zegar. Dlaczego nie? Było jeszcze wcześniej i nieczuła się ani trochę zmęczona. Po kolacji z Polidorim była raczej zdenerwowana i chciała się uspokoić. Umówiła się z Nelsonem za dwadzieścia minut w barze i odłożyła słuchawkę. Wtedy jej wzrok padł na białą, starannie złożoną kartę papieru z jej nazwiskiem, leżącą na biurku. Tym razem wiadomość nie została wsunięta pod drzwi.

Adria zeszytniała z przerażenia. A więc coś takiego jak prywatność nie istnieje w jej wypadku, w każdym razie nie w tym mieście. Drżącą ręką ujęła kartkę i rozłożyła ją.

WYNOŚ SIĘ STAD, DZIWKO.

Obłął ją zimny pot, wszystkie włoski na jej skórze zjeżyły się z przerażenia. Nie mogła złapać tchu, prawie upuściła kartkę na podłogę.

Weź się w garść!

Odetchnęła głęboko i doszła do wniosku, że to nie treść liściku tak na nią podziałała, ale raczej fakt, że ktoś zostawił go w zamkniętym na klucz pokoju. Na samą myśl o tym znowu zrobiło jej się słabo. Ktoś - komu bardzo się nie podobała - wiedział, gdzie się zatrzymała, i mógł bez problemu wchodzić do jej pokoju i wychodzić z niego, kiedy jej nie było albo kiedy spała.

Znowu poczuła ślepy, zwierzęcy strach, taki sam jak wtedy na szkolnym boisku, kiedy napadł ją Tommy Sinclair, ale stłumiła go. Nie pozwoli, żeby jakiś głupi liścik tak ją przeraził. Przypomniała sobie, że przecież niełatwo ją zastraszyć. Wychowała się na farmie, ojciec zabierał ją na polowania, chodziła z nim łowić ryby, wspinała się nawet na skały Bitterroots. Skakała na główkę do jeziora Flathead, goniła bydło na koniu, nauczyła się być twardą i panować nad sobą. Patrzyła, jak jej ukochany koń został zastrzelony, kiedy złamał nogę, i sama wiedziała, jak obchodzić się z bronią. Przetrwiała śmierć wszystkich swoich bliskich i, na Boga, dopóki ma tu coś do załatwienia, nie pozwoli nikomu wykurzyć się z tego miasta. Nie za pomocą takich głupich liścików. Cholerny tchórz. Zmięła kartkę i wcisnęła ją do torebki, gdzie spoczywała już poprzednia. Chciała ją wyrzucić, jednak po chwili namysłu rozprostowała list i postanowiła go zatrzymać. Może pokaże oba Nelsonowi i zobaczy, co będzie miał na ten temat do powiedzenia.

Dziesięć minut później siedziała już w barze przy stoliku koło okna. Ulicą ciągnął nieprzerwany sznur samochodów, przechodnie stawiali kołnierze zimowych płaszczy, zasłaniając się parasolami przed zacinającym deszczem. Wyglądali jak szczury w labiryncie biegnące jedną ślepą uliczką, by zaraz skrócić w następną drogę bez wyjścia. Zawsze w pośpiechu.

Gdy umawiała się z Nelsonem, nie miała ochoty na drinka, ale odkrycie liściku sprawiło, że zmieniła zdanie. Czekała na Nelsona, sączyła uspokajający rum z colą. Nie poznała najmłodszego Danversa, kiedy się w końcu pojawił. Pamiętała go ubranego w nienaganny garnitur, który musiał kosztować równowartość jego miesięcznej pensji. Tym razem jednak miał rozczochrane wilgotne włosy, a na sobie gruby wełniany sweter, czarne dżinsy i czarną skórzaną kurtkę lotniczą - wyglądała tak, jakby przed chwilą kupił ją w sklepie specjalnie na tę okazję.

Podczas gdy swobodny, a nawet trochę niedbały strój Zachary'ego był czymś zupełnie naturalnym, Nelson sprawiał wrażenie, jakby był przebrany. Wszystkie części jego ubrania były nowiutkie i zbyt modne, by wyglądały na przypadkowe. Zagadka.

Nelson rozglądał się przez chwilę nerwowo po barze, zanim dostrzegł Adrię. Kiedy ją zobaczył, wyraźnie mu ulżyło. Ruszył w jej stronę wielkimi krokami. Był blejszy i mniej pewny siebie niż podczas ich ostatniego spotkania, wyglądał trochę jak zagubiony mały chłopiec.

- Adria! - Uśmiechnął się szeroko, opadł na krzesło po przeciwnej stronie stolika i zamówił bourbona. - Mój telefon pewnie cię zaskoczył - powiedział, zdejmując kurtkę.

- Spodziewałam się go.

- Naprawdę?

- Jesteś pierwszy, ale przypuszczam, że każdy z was będzie miał mi coś do powiedzenia od siebie. Cóż, spróbuj mnie przekonać, że dla własnego dobra powinnam stąd jak najszybciej wyjechać.

Nelson nadal uśmiechał się szczerze i szeroko, ale Adria wydawało się, że dostrzegła w jego ciepłych błękitnych oczach lodowaty błysk.

- Cóż, muszę przyznać, że istotnie zaoszczędziłaś sobie w ten sposób kłopotów.

- Ach, tak. Więc powinnam podkulić pod siebie ogon i wiać?

- Niezupełnie.

- Ale wtedy znalazłabym się znowu w punkcie wyjścia.

- Co w tym złego?

- Co w tym złego? - Adria zaczynała już tracić cierpliwość. - Czy zdajesz sobie sprawę, od ilu lat próbuję dowiedzieć się, kim jestem? Skąd pochodzę? Kelner przyniósł drinka i Nelson ujął szklankę w obie dłonie.

- Nie ma więc znaczenia, czy okaże się, że jesteś London, czy nie. Chcesz tylko dowiedzieć się, kim jesteś.

- Jestem London.

Nelson odgarnął włosy z twarzy.

- Czego chcesz od nas?

- Już powiedziałam: rozpoznania.

- A wraz z nim swojej części spadku - dodał uprzejmie, obojętnie, jakby stwierdzał oczywisty fakt, bez cienia złośliwości czy cynizmu, jaki zawsze słyszała w głosie jego braci i siostry. Sprawiał wrażenie, jakby dał za wygraną i postanowił jej pomóc, ale Adria mu nie ufała.

Patrzyła na plasterek cytryny w swojej szklance pływający między dwiema kostkami lodu.

- Posłuchaj, Nelson, nie oczekuję, że przyjmiecie mnie do rodziny z otwartymi ramionami, nie zadając żadnych pytań. To nie miałyby sensu.

- Nie...

- I zdaję sobie sprawę, że nie jestem pierwszą osobą, która twierdzi, że jest waszą przyrodnią siostrą.

- Faktycznie. - Uśmiechnął się do niej chłopcim, czarującym uśmiechem.

Adria położyła obie ręce na stole.

- Chcę tylko, żebyście dali mi szansę. Nie wiem, co robi twoja rodzina, ale domyślam się, że wszyscy stają na rękach, żeby udowodnić, że jestem oszustką. Domyślam się, że macie całą armię prawników i prywatnych detektywów, którzy pracują nad tym dzień i noc. - Nelson odwrócił oczy i Adria poczuła, że ma rację. Ktoś ją śledzi, jakiś opłacany przez rodzinę obserwator. Opanowała się z trudem. - Cóż, świetnie. Jeśli otrzymacie jakąś informację, z której będzie wynikało niezbicie, że nie jestem London Danvers, wycofam się natychmiast. Zbadam krew, poddam się testom na wykrywaczu kłamstw i testom DNA, zrobię wszystko, żeby dowiedzieć się prawdy. Więc kiedy wasz prywatny detektyw przedstawi wam swoje sprawozdanie, dajcie mi znać.

Nelson nerwowo przełknął ślinę.

- Skąd wiesz, że...

- To jasne. - Adria rozsiadła się wygodnie i patrzyła na niego chłodno. - Sama tak właśnie bym postąpiła, gdybym była na waszym miejscu.

- Możesz wyjść z tego z pustymi rękami.

- Wiem. - Nie spuszczała z niego wzroku. Nelson zamrugał i z nagłym zainteresowaniem zaczął przyglądać się swojej szklance. - Chcę tylko poznać prawdę. Może ciebie nie obchodzi prawda, ale chyba obrońca publiczny powinien jej szukać wszędzie.

Nelson pociągnął łyk bourbona, a Adria pomyślała, że chyba to właśnie on najbardziej ze wszystkich dzieci Witta przypomina swojego ojca. Witt był wprawdzie potężniejszym mężczyzną, ale miał takie same niebieskie oczy, prosty arystokratyczny nos, gęste włosy i kwadratową szczękę. Jednak mimo zewnętrznego podobieństwa Nelson bardzo różnił się od ojca, a w każdym razie od wyobrażenia, jakie Adria miała na temat Witta. Wyrobiła sobie o nim zdanie na podstawie artykułów i notek prasowych, a także na podstawie obejrzanych zdjęć. Witt Danvers był dominujący, bezwzględny i okrutny. Nelson sprawiał wrażenie delikatnego, a Adria domyślała się, że delikatność raczej nie leżała w naturze Witta. Czułość i tkliwość, jeśli istniały w jego mrocznym sercu, były przeznaczone tylko dla London. Dla jego małego skarbu.

Nagle zrobiło jej się bardzo smutno i poczuła się zaskoczona, że głęboko współczuje siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie. Wszystkie dzieci Witta odniosły emocjonalne rany, rany, które być może nigdy się nie zbliznią. Jednak nie dowie się niczego, jeśli okaże choć ślad słabości, jeśli pozwoli, by zawładnęły nią emocje.

- A jeśli okaże się, że jednak jestem waszą siostrą? - spytała, unosząc brew. - Co wtedy?

- Nie wiem... Trudno nawet spekulować na ten temat. Nie żyje od tak dawna, ...ją w każdym razie... to znaczy my przywykliśmy uważać ją za zmarłą. Cała rodzina.

- A jeśli okaże się, że jestem waszą małą słodką London, będziesz musiał oglądać mnie co dzień i uwzględnić mój udział w rodzinnych interesach, prawda?

- Ja właściwie nie pracuję dla firmy.

- Jesteś w zarządzie. Nie grasz może pierwszych skrzypiec, ale też w tym siedzisz. Wiem, że to Jason pociąga za sznurki, ale ty i twoja siostra również macie coś do powiedzenia. - Nie odpowiedział, ciągnęła więc zdecydowanie:

- Moja sprawa mogłaby ci pomóc. Czytałam gdzieś, że masz zamiar zająć się polityką. Gdybyś pomógł mi odkryć prawdę, to by dobrze wyglądało w twoich papierach. - Zmrużyła jedno oko, jakby byli parą konspiratorów. - Gazety rozpisywałyby się na temat twojej dobrej woli i umiłowania prawdy, a to nie zaszkodziłoby ci w wyborach. Już widzę: „Nelson Danvers pomaga cudownie odnalezioną siostrze”. Albo: „»To moja siostra« - potwierdza Nelson Danvers” czy też: „Nasz kandydat odnalazł zaginioną siostrę przyrodnią”. I tak dalej. - Nelson spojrzął na nią nieufnie. - Aż drugiej strony - dodała, wzruszając ramionami - jeśli rzeczywiście okaże się, że jestem London, będę mogła w każdej chwili mocno utrudnić ci realizację twoich ambitnych planów. Pewnie bardzo liczysz na swoje udziały w fortunie Witta. - Mlasnęła językiem, zastanawiając się, co takiego jest w tym mężczyźnie, że wyzwała w

niej najlepsze, a zaraz potem najgorsze instynkty.

- Wiesz, Adria - przyglądał się jej, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jest kimś realnym - przyszedłem tu dziś w nadziei, że uda nam się dogadać. Nie lubię, jak mi się grozi.

- Cieszę się, że to mówisz, bo ja też nie. Zobacz, co znalazłam u siebie w pokoju. - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła anonimy. Nelson otworzył usta, zamknął je gwałtownie i wyciągnął rękę, ale Adria szybko cofnęła dłoń. - Nie, ręce przy sobie. Na wypadek, gdyby policja chciała je sprawdzić swoimi metodami. Wiesz, odciski palców i tak dalej. - Rozłożyła kartki tak, żeby mógł przeczytać, co na nich napisano.

Nelson przeczytał i zbladł jak ściana.

- Kto ci to przysłał?

- Nie wiem. Zauważ, że nie są podpisane. To oznacza śmierdzącego tchórza.

- Jak je dostałaś? Przez posłańca? - Zapytał, próbując opanować nerwowe drganie powieki.

- Jeden został wsunięty pod drzwi. Drugi znalazłam na biurku. Niewiele osób wie, że zatrzymałam się w tym hotelu. Oczywiście ty wiedziałeś, więc zakładam, że reszta rodziny też została o tym poinformowana. Domyślam się, że wasz obserwator donosi wam, co robię, i wszyscy wiecie, kiedy nie ma mnie w pokoju. - Odrzuciła włosy do tyłu, patrząc na niego zimno. - Przekaż rodzinie wiadomość: to nie działa. Możecie przysłać mi tysiąc takich liścików, gorszych nawet niż te dwa, nie wycofam się. Często słyszałam, że jestem uparta. Cóż, naprawdę uparta staję się wtedy, kiedy ktoś próbuje mnie zmusić, żebym zrobiła to, czego ode mnie oczekuje. - Oparła łokcie na stole pochylając się do przodu. - Krótko mówiąc: im bardziej ktoś na mnie naciska, tym większy napotka opór. Takie rzeczy - potrząsnęła trzymanymi w ręce kartkami - to tylko strata czasu.

- Nie mam pojęcia, kto mógł przysłać ci te liściki - powiedział Nelson, mrugając nerwowo.

- Nie? Zabawne, bo ja zaryzykowałabym twierdzenie, że wiem, kto to mógł być. I założę się, że ty też. - Rzuciła listy na stół. - Przekaż swojemu uroczemu rodzeństwu wiadomość ode mnie. Powiedz im, żeby sobie dali spokój. Jestem gotowa w każdej chwili pójść do prasy, a takie pogrożki tylko pomogą mi trafić do redakcji największej lokalnej gazety. „Oregonian”, tak? Wiem o kilku poważnych dziennikarzach, którzy chętnie zajmą się moją sprawą, a zapewne tuziny reporterów niezwiązanych z żadną gazetą z radością namieszają trochę w tym mieście, zwłaszcza w tak zwanym towarzystwie. Każdy z nich chętnie napisze coś w rodzaju expose na temat rodziny Danversów. - Pociągnęła długi łyk ze swojej szklanki. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę - powiedział Nelson, zdumiewająco spokojnie - że jesteś, jak wszystkie twoje poprzedniczki, oszustką.

- A ja sądzę, że ktoś w waszej rodzinie mocno się przestraszył. - Postukała palcem po leżących na stole listach. - Naprawdę mocno.

- Nie wiesz nawet, czy rzeczywiście dostałaś je od kogoś z naszej rodziny.

- A od kogo jeszcze mogłabym je dostać?

Złożyła kartki i włożyła je do torebki. Nie podobała jej się rola, którą zaczęła odgrywać, ale nie ma wyboru. Ktoś postanowił, że już czas wyciągnąć ostrą broń. Czy to Nelson? Nie podejrzewała go o to, ale przecież właściwie go nie zna. Jeśli Nelson faktycznie jest jej bratem, to ona może mu tylko współczuć. Za dnia nosi sztywne drogie garnitury, wieczorami przebiera się w pachnącą nowością skórzaną kurtkę, a cały czas myśli tylko o tym, jak utrzymać się w grze o wielką politykę, w grze rozpoczętej dawno temu przez jego ojca. Miała wrażenie, że choć stary Witt od dawna leży w grobie, Nelson ciągle próbuje udowodnić ojcu - albo samemu sobie - że jednak jest coś wart.

- Chciałbyś dowiedzieć się ode mnie czegoś jeszcze? - spytała.

- Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?

- Nie mogę.

- To twoja cholerna misja, co?

- Trafiłeś w dziesiątkę, Nelson. - Doszła do wniosku, że ta rozmowa donikąd nie prowadzi, i wstała. - Ale to przecież nie znaczy, że musimy prowadzić wojnę.

- Oczywiście, że musimy - odparł Nelson, patrząc na nią dziwnie martwym, pozbawionym wyrazu wzrokiem. Adria miała ochotę schować się przed tym wzrokiem pod stół, ale zdołała się opanować. - Jeśli znasz już moją rodzinę choć trochę, to powinnaś o tym wiedzieć.

- Cóż, przynajmniej wiem, na czym stoję. - Ruszyła w stronę baru. - Nie kłopotz się rachunkiem, zapisałam drinki na mój pokój.

Nelson patrzył, jak znika za oszklonymi drzwiami. Do diabła, spieprzył to. Miał nadzieję, że się z nią zaprzyjaźni i wyciągnie z niej coś niecoś, ale ona tak pokierowała rozmową, że niemal zapomniał języka w gębie. Na ogół umiał zachować jasność umysłu, jeśli chodziło o kobiety, był na swój sposób uodporniony, ale czasami trafiał na taką, której udawało się zburzyć jego spokój. Adria Nash, bez względu na to, kim, u diabła, była, udało się to lepiej niż komukolwiek do tej pory.

Miał straszne przecucie, że ta dziewczyna faktycznie jest London. Nie tylko jej wygląd, ale i sposób bycia świadczyły o pewności siebie i sile. Spodziewał się, że Adria okaże się nieśmiałą prowincjuską z Montany, która chętnie weźmie kilka dolarów i wróci, skąd przyszła, ale ona miała w sobie coś, czego nie było widać na pierwszy rzut oka, co jednak przerażyło go nie na żarty.

Rozprostowując kołnierzyk ukrytej pod swetrem koszuli, dostrzegł swoje odbicie w wiszącym nad barem lustrze i nagle zaschło mu w gardle. We wzroku mężczyzny w lustrze dostrzegł pożądanie, pierwotną seksualną żądzę, której siła i natężenie jego samego zdumiały i przeraziły. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Zawładnęła nim tłumiona od wielu lat mroczna namiętność. Z trudem oderwał wzrok od tego obcego, zmysłowego człowieka w lustrze, odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Szkoda czasu na jedną noc rozkoszy. Poza tym to zbyt niebezpieczne. Musi myśleć o swojej karierze i dla jednego wilgotnego języka zsuwającego się powoli w dół jego kręgosłupa nie może poddać się mrocznym pragnieniom, które będą jego przekleństwem, dopóki seks będzie go w ogóle interesował. Jedna taka noc mogłaby zniszczyć jego przyszłość. Zwłaszcza teraz.

Starając się nie zwracać uwagi na to, co zaczęło się dziać w jego spodniach, postawił kołnierz kurtki i wyszedł na ulicę, po której hulał październikowy wicher. Szybko, zanim demony żądzы zdążyły nim zawładnąć, ruszył w stronę hotelu „Danvers”, przed którym stał jego samochód. Usiadł w cadillacu i nie zastanawiając się długo, zadzwonił do Jasona z telefonu komórkowego.

- Spotkałem się z Adria- powiedział, rozglądając się wokół jakby w obawie, że ktoś może go obserwować z okien. - Jadę do ciebie.

- Świetnie! - Jason rzucił słuchawkę i potarł kark. To był okropny dzień. Cały ranek użerał się z przedstawicielami znaczącej grupy nacisku związanej z przemysłem drzewnym, próbując nakłonić tych durniów do myślenia w kategoriach zdrowego rozsądku. Negocjował z nimi przez telefon, nieco później jadł lunch w towarzystwie pewnego senatora, a następnie grał w tenisa z człowiekiem, który chciał kupić ich stare magazyny i przekształcić je w centrum handlowe, i cały czas myślał o jednym - o Adrii Nash. Ta myśl była jak natrętna mucha.

Jak pozbyć się tej dziewczyny? Było w niej coś, co doprowadzało go do szału, i albo wyobrażał sobie, że bije ją do nieprzytomności, albo się z nią kocha, albo jedno i drugie. Sama myśl o tym, że mógłby przewrócić ją na łóżko i wypieprzyć trzy razy z rzędu, natychmiast doprowadzała go do stanu gotowości.

- Weź się w garść - mruknął.

Samo fantazjowanie o tym było żalosne i niebezpieczne. Nie mógł się jednak powstrzymać, prawdopodobnie dlatego, że ta dziewczyna przypominała mu Kat. Zaciśnął zęby na myśl o żonie ojca i roli, jaką odegrał w ponurym przedstawieniu, które w końcu doprowadziło do jej śmierci. Poczucie winy zjadało go po kawałku od prawie dwudziestu lat.

Boże, ma problemy! Zbyt wiele problemów!

Teraz czekał na telefon od Oswalda. Był już i tak mocno podenerwowany, bo wcześniej rozmawiał z Kim, jak zwykle pełną pretensji. Błagała go, żeby się rozwiódł, co kiedyś jej głupio obiecał. Zdaje się, że Nelson jeszcze dołoży mu dzisiaj zmartwień. Problem z Adria-London chyba pomału odbiera mu rozum. Zazwyczaj zrównoważony i opanowany, Nelson niebezpiecznie zbliżał się do granicy szaleństwa. A to zdecydowanie nie jest odpowiedni moment, by ktokolwiek z nich się załamał. Jason spojrzął na zegarek.

- No, Sweeny - szepnął zniecierpliwiony. Nalał sobie kolejnego drinka i wychylił go jednym haustem.

Dziesięć minut później telefon zadzwonił. Jason podniósł słuchawkę i usłyszał nosowy głos Oswalda.

- Sprawdziłem wszystko, co się dało w tej cholernej dziurze - oznajmił Oswald bez zbędnych wstępów. - Nasza przyjaciółka panna Nash była bardzo zajęta. Znalazła kasetę nagranych przez ojca, a potem odwiedziła wszystkie biblioteki i czytelnice w hrabstwie i przeczytała wszystko na temat przemysłu drzewnego i hotelarskiego, a także na temat transportu rzeczno- i rynku nieruchomości.

Jason w ułamku sekundy poczuł, że oblewa go zimny pot. Danvers International. Wszystkie wkłady kapitałowe i kilka źródeł dochodu firmy.

- Odrobiła zadanie domowe.

- Odrobiła, do diabła, łącznie z lekturami nadobowiązkowymi. Zamówiła książki z innych bibliotek z Północnego Zachodu: z Portland, Seattle, Spokane, Oregon City i tak dalej. Nie tylko książki zresztą, ale również gazety i magazyny branżowe. Skontaktowała się także urzędami w kilku stanach. Jak powiedziałem, była bardzo zajęta.

Jason czuł wyraźnie, jak drżą mu kolana. Miał nadzieję, że ta dziewczyna jest tylko chciwym prowincjonalnym kociakiem polującym na kilka dolców.

Sweeny nadal przekazywał hiobowe wieści.

- Cóż, pamiętaj, że ukończyła swój college ze wszystkimi możliwymi wyróżnieniami. *Summa cum laude*.

- Chryste!

- Ta dziewczyna nie przypomina poprzedniczek. Ma głowę na karku. Postanowiła dowiedzieć się wszystkiego na temat twojej rodziny, ciebie i tego, jak pomnażasz majątek Wina, i wygląda na to, że wiedziała, jak się do tego zabrać.

Jason oparł się o ścianę przy oknie i zapatrzył w ciemność. Miał wrażenie, że podłoga ucieka mu spod stóp.

- Jeśli przejrzysz listy udziałowców, zobaczysz, że ma trochę akcji Danvers International, niedużo, około setki, ale to wystarczy, żeby dostać wszystkie informacje, które wysyłasz inwestorom.

- Jezu! - Jason z trudem powstrzymał się, żeby nie krzyknąć. - Coś jeszcze? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- O tak. Nic, co mogłoby ci się spodobać. Otóż panna Nash ma właściwą grupę krwi. A Rh- . Nie jest to aż tak

rzadka grupa, ale ponieważ Witt miał O Rh- , a Katherine A Rh+, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ich córka miała grupę A Rh- . Nie udało mi się niestety dotrzeć do informacji, jaką grupę miała London. Wielka szkoda, że nie ma już ani Witta, ani Katherine, żeby można było przeprowadzić testy DNA. Zastanawiające, że czekała, aż oboje rodzice London zostaną skremowani, nie sądzisz?

- Bardzo wygodnie.

- Na razie jednak wygląda na to, że panna Nash trzyma cię w garści - stwierdził Sweeny i Jason dosłyszał w jego głosie nutę satysfakcji. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

- No, dobrze, czas na dobre wiadomości - powiedział, modląc się w duchu, żeby jakieś były.

- Ma kłopoty finansowe...

- Jak duże?

- Jest splukana. Tonie w długach. Wydzierzawiła farmę, ale chyba będzie musiała ją sprzedać. Czekają na nią niezapłacone rachunki za szpital. Dolary Danversów zmieniłyby oczywiście sytuację.

To istotnie dobra wiadomość. Jeśli sprawa trafi do sądu, panna Nash przegra, chyba że uda jej się wynająć jakiegoś szalonego prawnika, który w nadziei przyszłych zysków z fortuny Danversów podejmie się tej sprawy bez zaliczki. Jason ma wielu przyjaciół w mieście, prawników, którzy nie odważyliby się wystąpić przeciw jednej z najpotężniejszych rodzin Portland, ale znajdują się zapewne i tacy, którzy zrobiliby wszystko dla rozgłosu i sławy.

- Dobrze, co jeszcze?

- To wszystko na razie, ale wyruszam teraz do Memphis, gdzie bardzo liczę na pewne spotkanie.

- Z kim?

- Z Bobbym Slade'em.

- Mężem Virginii? - W serce Jasona wstąpiła nadzieja. - Odnalazłeś go?

- Tak sądzę i mam dla ciebie dobrą radę. Módl się, żeby miał grupę krwi A Rh- . To by nam bardzo pomogło. Aha, jeszcze jedno. Dziś wieczorem pod hotel „Orion” podjechała limuzyna i zabrała pannę Nash na kolację.

- Kto to był?

Sweeny milczał przez chwilę, żeby wzrosło napięcie. Jason pomyślał, że Oswald chyba przeciąga strunę.

- Tak, to dopiero jest bomba - rzucił w końcu Sweeny. - Zdaje się, że nasz przyjaciel Anthony Polidori zaprosił ją, żeby spróbowała włoskiej kuchni.

- Posłuchaj. - Nelson przerzucił marynarkę przez oparcie krzesła. - Ona jest nieobliczalna. Nie da się przewidzieć, co ma zamiar zrobić. Powiedziała, że poinformuje prasę, że zrobi wszystko, byle dostać to, czego chce, i ja jej wierzę. Nie blefowała.

Zach stał oparty o kominek. W tym salonie zawsze czuł się nieswojo, pamiętał jeszcze, że kiedy był dzieckiem, nie wolno mu było do niego wchodzić. Pokój utrzymany był w bieli, z dodatkiem czerni i złota - sprawiał zimne, nieprzytulne wrażenie. Zach czuł chłód włoskiego marmuru, wzrok rodzeństwa i miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Popatrzył na Nelsona. Najmłodszy Danvers był znany ze skłonności do przesady, co zresztą na pewno przyda mu się w karierze politycznej. Fakt, że bierze łapówki i umie kłamać jak z nut, też mu nie zaszkodzi.

Nelson nerwowo przemierzał salon tam i z powrotem, zerkając na Zacha, który niespodziewanie pojawił się na tym pospiesznie zwołanym rodzinnym spotkaniu. Zach wiedział, że jego obecność zaniepokoiła rodzeństwo i, prawdę mówiąc, nie miał zamiaru brać udziału w ich intrygach, postanowił jednak zostać do końca, po części dlatego, że lubił ich drażnić, a po części dlatego, że chciał dowiedzieć się jak najwięcej na temat Adrii.

- Co więc, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić? - spytał młodszego brata, który też często wydawał mu się nieobliczalny. Nelson zawsze był zagadką. Miły i uprzejmy w jednej chwili, okrutny w następnej - zupełnie jakby siedziało w nim dwóch różnych ludzi. Zach nigdy go nie rozumiał, nawet kiedy obaj byli jeszcze dziećmi.

- Cholera, nie wiem, co powinniśmy zrobić! Dlatego tu jestem.

- Będziesz wspaniałym burmistrzem, Nelson - zauważył Zach, podnosząc do ust butelkę piwa.

- Gubernatorem - poprawił go Nelson.

Trisha pstryknęła zapalniczką i zapaliła trzymanego w ustach papierosa.

- A ty co byś zrobił, Zach?

- Zostawiłbym ją w spokoju i zobaczył, co robi.

Trisha zaśmiała się, wydmuchując kłęb dymu.

- To, że ty masz to wszystko gdzieś, nie znaczy, że my też.

- Masz lepszy pomysł?

- Owszem. Wynajmijmy płatnego zabójcę. - Trisha łożyła nogę na nogę, opierając się o wielkie białe poduszki na kanapie.

- Nawet o tym nie myśl! - wykrzyknął Nelson.

- Chryste, nie wiesz, kiedy żartuję? - Spojrzała w górę.

Nelson zatrzymał się i spojrzał na siostrę.

- Nikt nie wie, kiedy żartujesz. Nawet ty sama.

- Dobrze powiedziane, Nelson, bardzo dobrze. - Zaciągnęła się głęboko dymem z długiego mentolowego papierosa. Nelson był bardziej przejęty i zdenerwowany niż zwykle. Przeczesał włosy palcami obu rąk.

- Lepiej, żebyśmy uważali. Ona już dostała kilka listów z pogrózkami.

- Jak miło to słyszeć - rzuciła Trisha nonszalancko, ale Zach zeszytniał.

- O czym ty mówisz?

W miarę jak Nelson relacjonował przebieg swojej rozmowy z Adrią, Zach czuł, że robi mu się zimno. Ktoś groził Adrii? Ale kto? O tym, że przyjechała do miasta, wiedziały na razie tylko osoby zgromadzone w tym pokoju, ich matka oraz rodzina Polidorich. Nie, nieprawda. Jeszcze ludzie, którzy pracują dla rodziny, służba, która mogła podsłuchać rozmowy telefoniczne, i prywatny detektyw oraz ci wszyscy, których już zdążył zatrudnić.

Trisha ze znużonym wyrazem twarzy zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce.

- Czy przyszło wam w ogóle do głowy, że ta dziewczyna może faktycznie być tym, za kogo się podaje? Może to naprawdę jest London, a jeśli tak, to zdaje się, że wszyscy wpadliśmy jak śliwka w kompot.

- London nie żyje - powiedział Jason, chcąc uciąć dalsze spekulacje.

- Skąd wiesz? Skąd możemy mieć taką pewność? - spytała Trisha spokojnie.

- Wszyscy o tym wiemy. Zginęła wiele lat temu, choć można uznać, że istnieje szansa, jedna na milion, że żyje gdzieś daleko stąd, nieświadoma faktu, że urodziła się jako London Danvers.

- Cóż, równie dobrze można uznać, że właśnie niedawno dowiedziała się, kim jest - rzucił Zach, spoglądając spod przymkniętych powiek na twarze rodzeństwa.

- Boże, co za beznadzieja. - Trisha wstała z kanapy. - Wiecie co, niedobrze mi się już od tego robi. Co chwila pojawia się tu jakaś panienska, wciska nam kit, że jest London, małą księżniczką potężnego Witta Danversa. Tak ją nazywał, wiecie o tym - spojrzała na Zacha podkrążonymi oczami. - Pamiętasz, prawda? Była jedyną osobą, na której mu zależało. My moglibyśmy wszyscy naraz zniknąć z powierzchni ziemi, nawet by tego nie zauważył. Ale ponieważ zginęła London - ponieważ spotkało to małą, pieprzoną London - wydarzyła się tragedia! - mówiła coraz głośniej, jej głos przeszedł w końcu w zduszony, chrapliwy krzyk latami ignorowanej córki, która nigdy nie usłyszała od ojca dobrego słowa. Witt dostrzegał ją tylko wtedy, kiedy nadepnęła mu na odcisk.

Cała ta cholerna rodzinka jest bombą z opóźnionym zapłonem.

- Ona nie żyje, to pewne - uparcie powtarzał Jason.

- Może to któreś z nas ją zabiło. - Zach nie mógł się powstrzymać.

- Jezu, Zach, posłuchaj, co mówisz. Nawet tak nie myśl. - Nelson podwinął rękawy swetra do łokci, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. - Słuchajcie, jeśli zaczniemy się kłócić, nic nie zdziałamy. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby udowodnić, że nie jest naszą siostrą. Zapewniła mnie, że z chwilą, gdy przekona się, że nie jest London, natychmiast wyjedzie i zostawi nas w spokoju.

- Wierzysz w to? - Trisha zaśmiała się sarkastycznie. - Nelson, ale ty jesteś naiwny. Im więcej o tym myślę, tym większą mam pewność, że będziesz doskonałym urzędnikiem państwowym.

- Dość tego - uciął Jason. - Sweeny sprawdza jej historię, a tu na miejscu śledzi ją jego człowiek. Jeśli panna Nash ma współnika, dowiemy się o tym.

- Sweeny? - powtórzył Zach z niesmakiem. Podejrzewał, że Jason kazał śledzić Adrię, ale Oswald Sweeny sprzedałby własną matkę, gdyby akurat potrzebował gotówki.

- To fachowiec, który zna się na rzeczy.

- To śmieć najgorszego rodzaju - stwierdziła Trisha.

Był to jeden z rzadkich wypadków, kiedy Zach zgadzał się z siostrą, ale teraz nie miał czasu, żeby sprzeczać się z bratem. Sweeny - jak głodny terier na polowaniu - nie przestanie, póki nie dowie się wszystkiego o swojej ofercie. Jak terier rzuci się do gardła każdemu, kto będzie na tyle nieostrożny, by stanąć mu na drodze.

Zach spojrzał na Nelsona, który był tak podekscytowany i zdenerwowany, jakby wziął przed spotkaniem jakieś prochy.

- Widziałeś te listy? - spytał, starając się myśleć logicznie. Z jednej strony miał ochotę rozerwać swoje rodzeństwo na kawałki za ich pogardliwe uwagi na temat Adrii, z drugiej sam jej nie ufał, nie był aż takim głupcem. Był pewien, że chciała go wykorzystać.

Pokrewna dusza.

Nelson spojrzał na niego podejrzliwie.

- Do czego zmierzasz?

- Mogła je sama napisać.

- Ale po co?

Zach zdarł etykietę z butelki po piwie.

- Żeby zdobyć współczucie ogółu.

- Ty naprawdę jesteś kopnięty - stwierdziła Trisha.

- Zaraz, zaraz. Dlaczego nie? - spytał Jason. - Jest wystarczająco inteligentna, żeby wpaść na taki pomysł. Cholera, na pewno to zrobiła. - W jego oczach pojawił się błysk podziwu.

- Jeśli jednak nie napisała ich sama, może być w poważnym niebezpieczeństwie - powiedział Zach głośno. Na

samą myśl o tym zrobiło mu się zimno. - Możecie mi powiedzieć, gdzie ona teraz mieszka?

- W hotelu „Orion” - odparł Nelson. - Ale nie znam numeru pokoju.

Zach poczuł nagle, jak krew odpływa mu z twarzy. Hotel „Orion”. Nie był tam od owej nocy, kiedy porwano London. Nawet kiedy mijał betonową fasadę budynku, zawsze opadały go wspomnienia tamtego koszmarnego dnia, kiedy został pobity do nieprzytomności, a potem stał się głównym podejrzanym o uprowadzenie siostry.

- Kto jeszcze wie, że się tam zatrzymała?

Nelson przygryzł dolną wargę.

- Pewnie pół Portland już się dowiedział. Zach, nie słyszałeś, co powiedziałem? Zagroziła, że poinformuje prasę! Wiesz, co się stanie, jeśli to zrobi? Zacznie się tu cholerny cyrk, a...

- A co ciebie to obchodzi? - spytała Trisha, sięgając po kolejnego papierosa i spoglądając uważnie na Zacha. - Sam mówiłeś, że sprawy rodzinne cię nie interesują.

- Bo to prawda.

- Ale w tym wypadku jest inaczej, co? - Zapaliła papierosa i wypuściła dym kątem ust. - Wiesz, Zach, gdybym nie знаła cię lepiej, pomyślałabym, że interesujesz się Adrią. W sensie, hm, romantycznym.

Zach nie raczył odpowiedzieć.

- Zupełnie tak samo jak z Kat. Nie mogłeś utrzymać rąk z dala od niej, choć wiedziałeś, że to samobójstwo. - Trisha uważnie obserwowała żarzący się koniuszek papierosa, jakby spodziewała się odkryć tam odpowiedź na wszystkie tajemnice wszechświata. - Mam nadzieję, że tak wierna kopia naszej macochy nie zatopiła jeszcze pazurów w twoim sercu.

Zach uśmiechnął się zimno.

- No, no, a ja myślałem, że w naszym gronie tylko ty masz pazury. Spojrzała na niego gniewnie przez gęstą zasłonę papierosowego dymu i odwróciła głowę.

- Nadal uważam - odezwał się Jason - że najlepiej byłoby ukryć ją gdzieś daleko, na przykład na ranczu.

- Nie licz na to - Zach powiedział sobie, że go to nie interesuje.

- Byłbyś z nią sam - wtrąciła kusząco Trisha. - Sam na sam na odległym ranczu. Jak z Kat.

Zach zacisnął palce na butelce po piwie, którą ciągle trzymał w ręce. Jason uśmiechnął się szeroko i podniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Uspokójcie się oboje. Rozejm. A ty, Zach, weź się w garść. Wiesz, kto jest prawdziwym wrogiem.

Oczywiście, Zach wiedział. Ale wcale mu się to nie podobało. Jason sugerował, że powinien przekonać Adrię, żeby wyjechała z Portland z nim na ranczo. Nie miał jednak ochoty słuchać argumentów za tym, że będzie najlepiej, jeśli dziewczyna znajdzie się po drugiej stronie gór, z dala od rodziny. Postanowił, że musi jak najszybciej opuścić ten pokój pełen nienawiści. Doszedł też do wniosku, że Adria nie kłamała, mówiąc o anonimach. Wbiegł na górę i wyszedł na zewnątrz, w zacinający zimny deszcz. Tak, niech się dzieje, co chce, pojedzie do hotelu „Orion”.

15

Fasada hotelu „Orion” wyglądała niemal tak samo jak wtedy, kiedy Zach, z niezłomnym postanowieniem, by stracić cnotę, przekroczył jego progi po raz pierwszy. Wnętrze jednak przeszło wiele zmian. Pozostał wprawdzie stary dębowy blat recepcji, koło którego stał kiosk z gazetami i słodyczami, ale poza tym hol został odnowiony. Teraz stały tu małe stoliki ze szklanymi blatami i obite kwiecistą materią kanapy, a potężne palmy zdawały się wyrastać wprost z wyłożonej terakotą podłogi.

Tłumiąc wspomnienia, od których cierpła mu skóra, Zach bez wahania podszedł do dwojga młodych recepcjonistów, kobiety i mężczyzny, którzy mieli nocną zmianę.

- Proszę zadzwonić do panny Nash - powiedział Zach - i powiedzieć jej, że ktoś czeka na nią w holu.

Recepcjoniści wymienili spojrzenia i rudowłosa kobieta z przybladłym makijażem popatrzyła na zegarek.

- Panna Nash oczekuje pana?

- Nie.

- Jest już późno i...

- Zapewniam, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

Palce o wypielęgnowanych paznokciach wystukały coś na klawiaturze komputera.

- Pozwoli pan, że sprawdzę, czy nie prosiła, by jej nie przeszkadzać. - Dziewczyna spojrzała na ekran, wzruszyła lekko ramionami i podniosła słuchawkę telefonu. - Pana godność?

- Zachary Danvers.

- Panna Nash zna pana?

- Tak.

- Chwileczkę.

- Zaczekam w barze.

Przy trzecim dzwonku Adria sięgnęła po omacku do telefonu i spojrzała na zegar. Wpół do pierwszej. Spała niecałą godzinę, ale bardzo głęboko, więc teraz nie mogła się rozbudzić. Ujęła słuchawkę jedną ręką, drugą

przecierała oczy.

- Halo?

- Pani Nash, tu recepcja. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale ma pani gościa. Pan Danvers oczekuje pani na dole.

- Kto?

- Pan Zachary Danvers.

- Zach? - Adria oprzytomniała nagle. Serce zabiło jej mocniej, jednak szybko zdała sobie sprawę, że to kolejny atak zdesperowanej rodziny. Zagroziła, że poinformuje prasę, więc Danversowie zwarli szeregi. Ciekawe, jak też Zach spróbuje nakłonić ją do wyjazdu.

Włożyła dzinsy i gruby sweter. Gęste czarne włosy spięła na karku i chwyciła torebkę.

- Trzecia runda - mruknęła do siebie na wspomnienie spotkań z Anthonym Polidorim i Nelsonem. Nagle stała się bardzo popularna. Zbyt popularna. Zbyt wielu ludzi wie, gdzie przebywa. Najwyższy czas przenieść się w jakąś tańszą, bardziej dyskretną okolicę.

Mimo panującego półmroku zauważyła Zacha, kiedy tylko weszła do baru. Siedział przy stoliku w rogu i był jedynym mężczyzną bez krawata, jako jedyny też nie miał na sobie garnitur. Rękawy błękitnej flanelowej koszuli miał podwinęte do łokci, a długie nogi w dzinsach trzymał wyciągnięte przed sobą. Obserwował wejście wzrokiem raczej jastrzębia niż człowieka. On także dostrzegł ją natychmiast i nie spuszczał z niej oczu, kiedy torowała sobie drogę między stolikami.

Adria zapomniała już niemal, jaki jest przystojny: znowu uderzyła ją linia jego ust i grubych brwi, gęste ciemne włosy, twarz upadłego anioła i oczy, które zdawały się przewiercać ją na wylot.

Ściskając w dłoni szklanekę piwa, patrzył na nią, kiedy się zbliżała. Nie uśmiechnął się ani nie odezwał. Adria pomyślała nawet, że ma minę, jakby jej przyjście go zirytowało.

- Wiesz, która godzina? - spytała, kładąc torebkę na stoliku i pobrzękując kluczami.

Zach wzruszył ramionami.

- Po północy.

- Jeśli przyszedłeś tu, żeby zaproponować mi kolejną łapówkę, to tracisz czas.

- Siadaj, Adrio. - Nogą przesunął krzesło w jej stronę i Adria, mimo przypływu złości, który spowodowało jego zachowanie, opadła na międko wyściełane siedzenie.

- Jestem zmęczona, Zach.

- Słyszałem, że dostałaś jakieś listy.

- Złe wieści szybko się rozchodzą.

Pojawił się kelner i po chwili wahania Adria postanowiła zamówić drinka. Obecność Zacha zawsze ją rozstrajała. W jego postawie było coś, co wytrącało ją z równowagi, coś związanego z jego seksualnością, jak przypuszczała, jakby miał świadomość, że bardzo podoba się kobietom. Był typem dzikiego, nieujarzmionego mężczyzny, który dla większości kobiet stanowi wyzwanie i jedna po drugiej tracą czas, próbując go oswoić. Adria wiedziała, że powinna wystrzegać się takich mężczyzn, samotnych kowbojów z cynicznym uśmiechem zmierzających ku swemu przeznaczeniu.

- Proszę kieliszek chardonnay.

- Co to za listy?

Adria wyciągnęła obie kartki z torebki. Zach nie sięgnął po nie, przeczytał je tylko i zmarszczył gęste czarne brwi.

- Zdaje się, że wiesz, jak zdobywać nowych przyjaciół - powiedział.

Adria chwyciła listy i wepchnęła je z powrotem do torebki.

- Nie sądzę, żeby napisał je ktoś, kogo określiłabym mianem przyjaciela.

Zach napił się piwa i spojrzał jej w oczy.

- Lepiej idź z tym na policję. Ktokolwiek ci to przysłał, nie ma dobrych zamiarów. Może być niebezpieczny.

- Ktokolwiek to przysłał, jest tchórzem i prawdopodobnie nosi nazwisko Danvers.

- Może - powiedział Zach ugodowo.

- Ale mnie nie powstrzyma. Nie przestraszyłam się, przeciwnie, postanowiłam opowiedzieć moją historię prasie - rzuciła Adria, obserwując jego reakcję.

Zach obojętnie wzruszył ramionami.

- Zrobisz, co zechcesz. - Pociągnął kolejny łyk piwa i postawił szklanekę na stole.

- Nie interesuję cię to?

Zach nie spuszczał z niej wzroku i Adria poczuła, że serce podeszło jej do gardła.

- Nie, nie bardzo.

- Ale przyszedłeś tu. Dlaczego?

- Ponieważ pani, panno Nash, choć mi zapewne pani nie uwierzy, potrzebuje ochroniarza.

- Kogo?

- Słyszałaś, co powiedziałem.

- Daj spokój. - Adria prawie wybuchnęła śmiechem. Ten człowiek traktuje ją, jakby była laleczką z porcelany, która w każdej chwili może się rozsypać na tysiąc kawałków. Cóż, nie wie nic o jej przeszłości, nie ma pojęcia, że Wiktor Nash, mimo protestów żony, wychował córkę tak, jakby była chłopcem. Miała być twarda i umieć się bronić.

- Tym razem się mylisz, Zachary. Wierz mi, umiem o sobie zadbać. Wychowałam się na ranczu w Montanie i...
- I otrzymujesz listy z pogróżkami.
- Od jakiegoś tchórza.
- Kimkolwiek jest, może być niebezpieczny.
- Próbuje mnie zastraszyć, ale mu się to nie uda. - Napiła się schłodzonego białego wina. - Mam jedno pytanie - powiedziała, patrząc prosto w jego szare oczy. - Czy to ty miałbyś objąć posadę mojego ochroniarza?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią nieruchomo, a Adria poczuła, że nie może złapać tchu.
- Nie sądzisz, że byłoby z mojej strony głupotą, prawdziwą głupotą, pozwolić, żeby ochraniał mnie jakiś Danvers?

- Nie możesz występować sama przeciw całemu światu.
- Nie przeciw światu, Zach, tylko przeciw Danversom.
- To potężna rodzina.
- Czyli i ty jesteś potężny, tak? Bo czy ci się to podoba, czy nie, należysz do tej rodziny.

Zach wziął swoją szklanę z piwem w dłoń.
- Po pierwsze, nie podoba mi się to. - Na jego twarzy pojawiło się ni to skrzywienie, ni to ironiczny półśmiech, jakby rodzina irytowała go, a zarazem śmieszyła. Adria poczuła nagły przypływ sympatii do tego człowieka. Czyż i ona przez całe życie nie buntowała się przeciw swojej rodzinie?

- Ale jesteś z nimi związany, prawda? - rzuciła. - Z powodu pieniędzy tatusia.
Szybki jak myśl Zach błyskawicznie sięgnął nad stolikiem i chwycił ją za nadgarstek.
- Posłuchaj, panienko - powiedział z naciskiem niskim, gniewnym głosem. - Próbuję wyświadczyć ci przysługę, a ty piłujesz gałąź, na której siedzisz. Sikasz pod wiatr.

- Nie potrzebuję żadnych przysług. - Adria dumnie uniosła podbródek, zauważyła jednak pięć małych czerwonych śladów w miejscu, gdzie jego silne palce trzymały jej szczupłą rękę. Nagle zaschło jej w gardle. Zachary spuścił wzrok i przez kilka sekund, długich jak całe godziny, wpatrywał się w pulsujące miejsce u nasady jej szyi.

- Próbuję ci pomóc.
Chciała mu wierzyć, ale wiedziała, że prawdopodobnie kłamie, że został wysłany przez rodzinę, żeby ją unieszkodliwić. Tak, przyszedł tu jako wysłannik rodziny Danversów, nawet jeśli nie chce się do tego przyznać. Na myśl o tym, że oni próbują ją manipulować, krew się w niej zagotowała. Odkąd mogła sięgnąć pamięcią, zawsze był ktoś, kto chciał zmusić ją do uległości, dyktować, co ma robić. Tym razem jednak postanowiła, że, na Boga, nie cofnie się ani o centymetr. Zaciśnęła zęby i wstała.

- Nie potrzebuję pomocy.
- I tu się mylisz.
- Wątpię. - Ogarnęła ją zimna, ślepa furia. - Dobranoc, Zachary. I przy okazji, idź do cholery! - Odwróciła się na pięcie i jak burza wypadła z baru.

Zach patrzył, jak szybkim krokiem wychodzi przez oszklone drzwi, dostrzegł miękkie wygięcie bioder, prostą linię pleców i szczupłych, ale nie chudych nóg. Ciekawe, jakby to było, gdyby go nimi oplótła i...

- Cholera! - mruknął z niesmakiem. Co też mu chodzi po głowie. W jej obecności zawsze w końcu zaczynał myśleć o seksie jak kot w marcu. Znowu źle to rozegrał. Zdaje się, że z tą kobietą nie uda mu się dojść do ładu.

Cóż, panna Nash nie będzie pewnie zachwycona, ale on i tak rozbija obóz pod jej drzwiami. Zach zostawił na stoliku kilka banknotów i ruszył za nią. Kiedy wszedł do holu, drzwi windy już się zamykały. Oparł się o filar, obserwując wskaźnik piętra: winda stanęła na piątym. Zach uśmiechnął się przebiegle i czekał. Zjeżdżając w dół, winda nie zatrzymała się na żadnym piętrze. Drzwi otworzyły się z cichym szumem i Zach bez wahania wszedł do środka. Będzie siedział na korytarzu, skoro nie ma innego wyjścia, ale sam przekona się, czy rzeczywiście ktoś na nią nastaje.

Na piątym piętrze winda stanęła i rozległ się cichy dźwięk gongu. Zach wyszedł na pusty korytarz i rozejrzał się dokoła. Pod oknem stało krzesło i sztuczna roślina w wielkiej donicy. Zach rozsiadł się wygodnie. Miał z tego miejsca doskonały widok na oba skrzydła hotelu. Zaczeka i zobaczy, czy ktoś się tu nie pojawi. Zapowiada się interesująca noc. Jeśli panna Nash oznajmi, że rano znalazła kolejny list, będzie miał niemal stuprocentową pewność, że napisała go sama. Uśmiechnął się zadowolony, rozparł wygodnie na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i postanowił czekać.

Adria zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju. Nie dość, że dopadły ją demony przeszłości, to teraz jeszcze nie może uwolnić się od tego człowieka. Arogancja Zachary'ego wytrącała ją z równowagi, sposób, w jaki próbował ją sobie podporządkować, doprowadzał ją do furii. Co za bezczelność! Ona potrzebuje ochrony! Cała ta rodzina

zachowywała się tak, jakby sądzili, że Adria brakuje piątej klepki, jakby sama nie była w stanie się o siebie zatroszczyć, jakby była jakąś naiwną prowincjonalną gąską, która przyjechał do miasta, żeby wydrzeć im kilka dolarów.

Adria rozpuściła włosy i rzuciła spinkę na łóżko.

- Sukinsyn- mruknęła sfrustrowana, sama zdumiona łatwością, z jaką wypowiedziała to słowo.

Cóż, w końcu to bardzo adekwatne określenie. Gdyby pozwoliła sobie na całkowitą, bezwarunkową szczerość wobec samej siebie, musiałaby przyznać, że skrywa gdzieś bardzo głęboko nadzieję, że Zacha spłodził inny mężczyzna, jakikolwiek inny mężczyzna, byle nie Win, którego uważała za swojego ojca.

Ponieważ, do diabła, Zachary zrobił na niej większe wrażenie niż wszyscy inni mężczyźni, których dotąd poznała, razem wzięci.

Serce zabiło jej mocniej. Czy Zachary jest synem Witta? A zresztą kogo to obchodzi? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ona musi się tylko dowiedzieć, czy naprawdę jest córką starego Danversa. Nie powinno interesować jej to, czy Zach należy do rodziny, nie powinna w ogóle o nim myśleć.

Wzięła ze stolika gazetę i otworzyła ją. Drżącymi ze złości palcami przewróciła kilka stron, aż znalazła rubrykę z nagłówkiem „Pokoje do wynajęcia”. Jutro najpierw znajdzie dla siebie nowe lokum, a następnie uda się tanecznym krokiem do „Oregonian”, gdzie zasunie taką historię, że wszystkim dziennikarzom opadną szczęki. Później spaceruje się do radia i telewizji.

Zdaje się, że Danversowie lubią grać ostro. Cóż, Adria postanowiła, że pośle im taką podkręcaną piłkę, jakiej jeszcze nie widzieli.

Trisha zaparkowała tam, gdzie zawsze, między garażem i altaną w lesie na terenie posiadłości Polidorich. Altana, w której ogrodnik przechowywał kiedyś swoje narzędzia, stała pusta i Mario przekształcił ją w mały wiejski domek, który służył im jako miejsce schadzek od ponad dwudziestu lat.

Poczuła, że serce zabiło jej mocniej, i skarciła się w myślach za taki brak opanowania. Schyliła się, przechodząc pod zwieszającymi się prawie do ziemi gałązkami clematisu, i zapukała do drzwi, a potem przekreśliła gałkę.

Czekał na nią. Zobaczyła jego sylwetkę w padającym z kuchni świetle i nagle zabrakło jej tchu w piersi. Mimo że stała się w ciągu dwudziestu długich lat bezduszną i cyniczną, na widok Maria serce jej topniało, a krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach.

Mario stał w progu, nagi do pasa, w luźnych spodniach z szelkami opadającymi po bokach.

- Spóźniłaś się - powiedział miękko głosem, który sprawiał, że pod Trishą ugięły się kolana.

- Kłopoty w domu.

- Zapomnij o tym. - Wyciągnął rękę ponad jej ramieniem i pchnął drzwi, które zamknęły się z trzaskiem. Objął ją i przywarł wargami do jej ust w gorącym, głodnym, namiętym pocałunku. Trisha zadrzała. Czowała jego zapach - zapach męskiego potu, wody kolońskiej i tytoniu. Niecierpliwe dłonie szybko ściągnęły z niej zakiet i rozpięły guziki bluzki.

- Chodź - wymruczał, kiedy już rozebrał ją do pasa.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do sypialni, gdzie na jednej ze ścian wisiało wielkie lustro.

- Chcę, żebyś patrzyła, co robię. - Spojrzał na nią bardzo błyszczącymi oczami i ujął jej pierś w dłoń. Opadł na kolana i zacisnął wargi na sutku, dotykając go ciepłym, wilgotnym, tak dobrze znanym językiem. Całował jej piersi zachłannie, gorączkowo. Trisha oparła się o niego, czując, jak udziela się jej jego niespożyta energia. Mario potrafił dokonywać cudów. Nie przestając jej całować, przesunął dłońmi po nagich plecach Trishy i delikatnie zahaczył palcami o gumkę majtek, ściągając je w dół. Z nim mogła robić wszystko, pozwolić sobie na wszystko, nic nie było w stanie go zrazić. Zawsze wiedział, czego ona chce, był czuły, gdy potrzebowała czułości, gwałtowny, gdy czekała na szybki, ostry seks.

- Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić - zapytał, kiedy jedwabna bielizna zsunęła się jej z bioder, ukazując gniazdko loczków.

- Właśnie... właśnie to robisz- odparła cicho, choć prawie nie była w stanie oddychać. Czowała jego dłoń między nogami wsuwającą się coraz wyżej, coraz głębiej. Napięcie i zdenerwowanie opadły z niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Teraz czuła tylko nieokiełznaną, narastającą z każdą minutą żądzę.

- Dostaniesz więcej... dużo więcej. Będziesz błagać o jeszcze, kochanie. - Przesunął palce wyżej i Trisha jęknęła cicho. Poczuła falę gorąca. - Czego chcesz, Trisha, najdroższa moja, powiedz. Jestem twoim niewolnikiem.

Trisha prawie rozplynęła się ze szczęścia. Trisha, najdroższa moja.

- Chcę ciebie. Ciebie całego.

- Więc dostaniesz mnie całego - obiecał i pchnął ją na ścianę. Rozpiął spodnie i wszedł w nią jednym szybkim ruchem. Trisha krzyknęła, ale zaraz potem oplotła go nogami. Przywarł ją do ściany całym ciężarem swojego ciała. Trisha miała wrażenie, że z każdym jego ruchem unosi się coraz wyżej, a cały świat wiruje w dzikim pędzie u jej stóp.

- Pieprz mnie, Trisha - wyszeptał przez zaciśnięte zęby do jej ucha. - Pieprz mnie!

Pokój kręcił się wokół własnej osi, nabierając prędkości, a wraz z nim lustro, w którym widziała szczupłe,

brązowe plecy Maria, pracujące pod gładką, lśniącą od potu skórą mięśnie i własne oczy zasnute mgłą rozkoszy. Na jej skórze także wkrótce pojawiły się krople potu, weszła w szalony rytm Maria. Ramiona miała zaczerwienione od tarcia o szorstki tynk.

Mario zadrżał konwulsyjnie, odrzucił w tył swoją piękną głowę i krzyknął chrapliwie. Wtórował mu jej zduszony, pierwotny jęk poddania. Padli, spleceni w spazmatycznym uścisku, na łóżko. Trisha nie zwróciła uwagi na fakt, że pościel już była zmięta, a w powietrzu unosił się ciężki zapach seksu.

- Tęskniłem za tobą - szepnął Mario chrapliwie.

- O Boże, Mario, ja też za tobą tęskniłam. - Trisha poczuła piekące łzy pod powiekami, ale nie pozwoliła im popłynąć. Mario leniwie pieścił jej pierś.

- Możesz zostać całą noc?

- Oczywiście - uśmiechnęła się do niego.

- Więc będziemy się kochać jeszcze raz i jeszcze raz i zapomnisz o wszystkim, co Cię martwi.

Gdyby tylko było to możliwe. Przewróciła się na bok i sięgnęła do szuflady nocnej szafki stojącej przy łóżku. Wyciągnęła stamtąd otwartą paczkę papierosów.

- O tym, co mnie martwi, niełatwo zapomnieć. - Zapaliła, zaciągnęła się mocno i podała mu papierosa. Nie chciała myśleć o jego kochankach, choć podejrzewała, że ma ich jeszcze kilka. Czego mogła się spodziewać? Wiele lat temu, kiedy była młoda i tak głupio naiwna, wierzyła, że ich przeznaczeniem jest iść przez życie razem, że uda im się przewyciężyć zły los i kochać się jawnie, że łącząca ich namiętna miłość jest jedyna w swoim rodzaju i nic nie zdoła jej zniszczyć. Jaka była młoda i głupia, jak bardzo się myliła! Szybko to zrozumiała. Bolesnie dano jej to odczuć.

Mario zaciągnął się papierosowym dymem i zaczął wydmuchiwać kóleciska. Siwoszare pierścienie dryfowały pod sufitem tylko po to, by nagle rozpląnąć się w powietrzu i zniknąć - jak miłość, jak wszystko, co w życiu piękne.

- Masz jakiś kłopot? - zapytał, pocierając nosem o jej szyję.

Trisha roześmiała się i wzięła z jego ręki papierosa.

- Jak zawsze.

- Opowiedz mi o nim.

- Nie muszę. Twój ojciec zabrał go na kolację.

- Ach, tak, Adria Nash - powiedział, jakby doskonale orientował się w tej sprawie. Trisha poczuła nagłe ukłucie w sercu. - Spotkałem się z nią.

- Co takiego? - Gwałtownie zgasiła papierosa w czystej szklanej popielniczce.

- Na tej kolacji. Byłem z ojcem.

Zazdrość już zatopila kły w jej sercu, choć właściwie nie było powodu.

- I co o niej sądzisz?

- To oczywiście. Jest piękna. - Teraz Trisha miała wrażenie, że zazdrość szarpie jej wnętrzności. - Bardzo podobna do Kat. Mogłaby być twoją przyrodnią siostrą, ale jest tylko jeszcze jedną oszustką.

- A co powiedział twój ojciec?

- Myślałem, że mamy układ. Nie rozmawiamy o naszych ojcach, pamiętasz?

- Witt nie żyje.

- Ale mój ojciec niestety żyje jeszcze, i to bardzo intensywnie. Chcesz drinka?

Trisha potrząsnęła głową. Tylko wtedy, kiedy była z Mariem, nie potrzebowała alkoholu ani prochów. Jej miłość do niego, która narodziła się tyle lat temu, była jej błogosławieństwem i przekleństwem jednocześnie. Nieuleczalna jak malaria. Trisha wyszła za męża, ale to małżeństwo z góry było skazane na niepowodzenie. Nie potrafiła i nie chciała zapomnieć o swym pierwszym kochanku.

Mario wstał i przeszedł przez pokój, a jej serce zabiło mocniej na widok jego ciała. Patrzyła na linię jego pośladków w lustrze i na jego potężną męskość, teraz w stanie spoczynku. Nalał do szklanki bourbona.

- A ty co sądzisz o Adrii? - spytał i Trisha natychmiast poczuła niepokój.

- To jedno wielkie oszustwo, w dodatku szyte grubymi nićmi!

Mario zaśmiał się, spoglądając na nią kątem oka.

- Ale martwi cię to.

- Nie tak bardzo - skłamała Trisha. Odrzuciła włosy na plecy i usiadła z kolanami pod brodą. Czy tylko jej się wydaje, czy rzeczywiście Mario wykazuje coś więcej niż tylko zwykłą ciekawość? Dostrzegła w jego oczach isierkę zainteresowania, które chciał ukryć.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - spytał.

- Sugerowałam, żebyśmy wynajęli płatnego zabójcę - powiedziała Trisha. - Znasz kogoś godnego zaufania?

Mario mlasnął językiem z niesmakiem.

- Mój ojciec nie ma powiązań z mafią, wiesz o tym. Poza tym nie możesz tak po prostu kazać jej zabić.

- To tylko żart.

- Kiepski. - Mario zakręcił butelkę i spojrzął jej w oczy w lustrze. - Myślę, że ta dziewczyna się nie podda. Potrafiła postawić się mojemu ojcu, a niewiele kobiet na to stać. Dużo wody w rzece upłynie, zanim się jej pozbę-

dziecie. - Wziął szklanę i wrócił do łóżka, uśmiechając się z namysłem. - Jason... albo ktoś inny... będzie musiał coś z tym fantem zrobić.

Trisha zeszywniała, kiedy usiadł koło niej na materacu. Czuła się coraz bardziej nieswojo, miała już dość tej rozmowy. Mimo że kiedyś zaufała Mariowi całym swoim młodym sercem, teraz miała się na bacności. Takie pogawędki w łóżku miały czasem przerażającą siłę niszczenia. Jak to mówią? Milczenie jest złotem.

- Zresztą może ona naprawdę jest waszą zaginioną siostrą?

Trishy na samą myśl o takiej możliwości robiło się niedobrze.

- Nie denerwuj mnie.

- Cóż, odgrywam tylko rolę adwokata diabła. - Pociągnął długi łyk bourbona i podał jej szklanę. - Wiem, jak bardzo kochałaś małą biedną London.

- Wstrętny bachor! - rzuciła Trisha z goryczą. - Nienawidziłam jej. Ojciec uważał ją za ósmy cud świata, ale ona już w wieku czterech lat była małą wredną dziwką. Jak jej matka.

Mario postawił szklanę na stoliku.

- Nadal jesteś spięta. Zaraz się tym zajmę. - Uśmiechnął się uwodzicielsko, dotknął jej piersi i spojrzał na nią dziko. - Tym razem, kotku, zrobimy to po mojemu - dodał.

Trisha zadrżała i zamknęła oczy.

Ostry dźwięk budzika stojącego na nocnym stoliku wyrwał Adrię ze snu o szóstej, choć właściwie miała wrażenie, że w ogóle tej nocy nie spała. Przewracała się z boku na bok, nasłuchując, czy ktoś nie próbuje wejść do jej pokoju. Kiedy zapadała w płytką drzemkę, śnił się jej Zachary - jako jej wróg, ale głównie jako kochanek. Budząc się, za każdym razem przypominała sobie tamten wieczór, kiedy Zach pocałował ją w jeepie tak dziko i namiętnie, a potem tę krótką chwilę w gospodzie, gdy ponad stołem chwycił ją za rękę z taką siłą, że nagle zabrakło jej tchu w piersi. Czuła, jak bardzo ten mężczyzna ją pociąga.

To śmieszne. Nie może go pożądać. Jej fantazje wynikają wyłącznie stąd, że ten najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego spotkała w życiu, to zakazany owoc. Jeszcze jeden twardy facet, do którego nie wolno jej się zbliżyć.

- Ułomność mojej natury - powiedziała sobie, patrząc w lustro i myjąc zęby.

Weszła pod prysznic i stała pod gorącym strumieniem wody tak długo, aż poczuła się całkiem rozbudzona. Tego dnia postanowiła pójść do gazet. Na myśl o tym poczuła skurcz w żołądku. Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale to była z jej strony naiwność. Rozmowa z prasą jest nieunikniona.

Przedtem jednak ma jeszcze coś do zrobienia. Przede wszystkim musi poszukać jakiegoś stałego lokum. Ubrała się szybko, a następnie z wczorajszą gazetą w dłoni wyszła z pokoju i stanęła jak wryta. Serce podeszło jej do gardła, chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Zachary Danvers z nogami wyciągniętymi przed siebie i cieniem zarostu na twarzy patrzył na nią spokojnie szarymi oczami. Potarł szyję i uśmiechnął się krzywo.

- Dzień dobry - rzucił swobodnie, jakby zawsze spotykali się o świecie na hotelowych korytarzach.

- Co tu robisz? - spytała Adria, kiedy już odzyskała mowę.

- Czekam na ciebie.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że powinienem się tu pokręcić i sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś cię nachodzi - rozejrzał się po pustym korytarzu - czy też wymyśliłaś historię z listami.

- Po co miałabym to robić?

- No, tego ci nie powiem, sama powinnaś wiedzieć. - Wzruszył ramionami i wstał.

- Cóż, cokolwiek robię, nie jest to na pewno tak idiotyczne jak siedzenie na krześle na korytarzu przez całą noc. Dziwię się, że ochrona cię nie wyrzuciła.

- Prawie nikt mnie nie widział, z wyjątkiem kilku rannych ptaszków, którzy albo szli pobiegać, albo wychodzili z teczkami na ważne spotkania. - Przeciągnął się i przez chwilę wydawał się wyższy i smukłej szyi. Opuścił ręce i rozluźnił mięśnie. - A więc tej nocy nikt cię nie nagabywał?

- Nikt nie dzwonił, ale prosiłam recepcjonistę, żeby odbierał wiadomości. Nie dostałam też żadnego uroczego liściku na dzień dobry.

Razem weszli do windy.

- Masz coś przeciw temu, żebym postawił ci śniadanie?

Adria spojrzał na niego z ukosa. Byli sami i Zach zdawał się całkowicie wypełniać to małe pomieszczenie swoją obecnością. Tym razem w jego oczach nie było wrogości i Adria odczuła pokusę, żeby zjeść śniadanie ze swoim ochroniarzem, choć miał on zdolność wyprowadzania jej z równowagi w ciągu ułamka sekundy. Przyda jej się jednak przyjaciel, ktoś, kto pozostanie jej łącznikiem z rodziną, kto nie okazuje jej wyłącznie jawnej nienawiści. Z drugiej strony jednak Zachary był niebezpieczny, niebezpieczny na dużo głębszym, emocjonalnym poziomie.

Winda stanęła na parterze i drzwi otworzyły się z cichym szumem. Adria wyszła i wypuściła z płuc powietrze. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od dłuższej chwili wstrzymywała oddech. Podeszła do recepcji i zapytała o wiadomości. Recepcjonista uśmiechnął się sztucznie.

- Jest pani bardzo popularna - podał jej plik złożony z ośmiu lub dziesięciu kartek papieru.
- Co to jest? - zapytała głośno, wertując karteczki: Mary McDonough z KPTV, Ellen Richards z gazety lokalnej, Robert Ellison, reporter z „Oregonian”. Serce podeszło jej do gardła. - Zdaje się, że bomba wybuchła - powiedziała do Zacha.

W tej chwili mężczyzna w lśniących brązowych spodniach i marynarce w jodelkę wstał z fotela na wpół ukrytego za wielką paprocią.

- Adria Nash? - spytał z uśmiechem. Zachary spojrział na niego zimno. - Jestem Barney Havoline z „Portland Weekly”. - Podał Adrii legitymację, którą szybko obejrzała. - Chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli można. Słyszałem - kontynuował, nie czekając na odpowiedź - że przyjechała pani do miasta, twierdząc, że jest London Danvers. Czy to prawda? - Podsunął jej pod nos mikrofon, uśmiechając się przy tym tak, jakby była jego najbliższą przyjaciółką.

Zach przysunął się do Adrii.

- To w zasadzie prawda. - Adria uśmiechnęła się z przymusem.
- Jak dowiedziała się pani, że jest dziedziczką fortuny Witta Danversa?
- Od ojca.
- Od Witta?
- Nie, od mojego adopcyjnego ojca. Proszę posłuchać, panie Havoline, nie wiem, skąd pan wie, że przyjechałam do Portland i gdzie się zatrzymałam, ale...

- Czy może pani udowodnić, że jest London?

- Miałam zamiar zwołać konferencję prasową dziś po południu i wyjaśnić wszystko.

Adria wiedziała, że kilka osób przygląda im się z zainteresowaniem, nawet jeden z chłopców hotelowych zatrzymał się w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Havoline uśmiechnął się szeroko.

- To zajmie tylko kilka minut - nalegał.

- Pani wyraźnie powiedziała, że zwoła konferencję później - uciął Zach, stając między Adria i reporterem.

- Ale jesteśmy tu teraz. - Havoline ciągle uśmiechał się w wysiłkiem, jednak w jego oczach pojawiła się obawa, że ofiara wymknie mu się z sieci. - Może postawię państwu kawę albo śniadanie... A pan kim jest? - spytał, patrząc na Zacha tak, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Jestem pańskim najgorszym koszmarem. - Zach spojrział na niego wściekle. Żyły na szyi zaczęły mu niebezpiecznie nabrzmiewać.

- Co...

- Wynocha.

- Zachary Danvers. - Oczy reportera zaczęły niemal świecić. - A więc ta kobieta może być pańską zaginioną przyrodnią...

- Powiedziałem wynocha!

- Zaraz, zaraz. Kim pan dla niej jest, osobistym ochroniarzem czy może kimś więcej? - Próbował spojrzeć na Adrię ponad ramieniem Zacha, który w tej chwili jednak złapał go za koszulę na piersiach i zaczął zdecydowanie popychać w kierunku wyjścia. - Co jest! Nie może pan tego zrobić! Ja mam prawo... - Zach szybko otworzył szklane drzwi i wyrzucił dziennikarza na ulicę. - Pozwę cię do sądu, ty draniu! - ryknął Havoline, otrzepując marynarkę.

Przed hotel podjechał samochód lokalnej telewizji.

- Cholera - mruknął Zach i chwycił Adrię za ramię. Kiedy z samochodu zaczęli wysiadać dziennikarze, pociągnął ją szybko z powrotem do recepcji.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział do recepcjonisty. - Na pewno macie tu jakieś tylne wyjście. Inaczej zacznie się tu prawdziwa jatka.

- Nie wiem...

Drugi samochód, z konkurencyjnej stacji telewizyjnej, zatrzymał się przed hotelem. Grupa dziennikarzy ruszyła w stronę szklanych drzwi.

- No, już! - rozkazał Zach i recepcjonista zawołał ochroniarza.

- Wyprowadź tych państwa z hotelu i zawołaj Billa, żeby zajął się resztą.

- Tędy! - Ochroniarz, potężny czarny mężczyzna, który niejedno już widział, poprowadził ich na tyły holu, a potem przez podwójne oszklone drzwi do kuchni. Cały czas słyszeli za sobą podekscytowane głosy dziennikarzy. Adria z ulgą wsiadła do windy z nierdzewnej stali. Nie, nie jest jeszcze gotowa na spotkanie z prasą. Jeszcze nie teraz. Potrzebuje czasu, żeby przygotować oświadczenie i odpowiedzi na pytania, które będą jej zadawać.

Kilka minut później byli już na ulicy. Szybko pokonali niewielką odległość dzielącą hotel „Orion” od hotelu „Danvers”, przed którym także zebrał się już spory tłumek. Trzymając ją pod ramię, Zach wprowadził Adrię prywatnym wejściem. Przeszli kilka wąskich korytarzy i zeszli na parking, gdzie stał jeep Zacha.

- Gdzie jedziemy?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Wrzucił bieg i ruszył przez parking. Jego twarz była zimna i nieprzenikniona jak smagane wiatrem równiny Montany.

- Chyba mam prawo wiedzieć.
- Sama się wpakowałaś w kłopoty. Równie dobrze mógłbym cię zostawić na pożarcie tym hienom.
- Nie zadzwoniłam do prasy.
- Jasne - mruknął, kierując samochód w stronę wyjazdu.
- Nie wierzysz mi, tak? - spytała rozczarowana.
- Wyjechali na jasną, zatłoczoną ulicę.
- Nie - odparł, patrząc na nią z ukosa. - Ale może pocieszysz cię fakt, że odkąd się tu pojawiłaś, nie uwierzyłem w ani jedno twoje słowo.

16

Na jej twarzy malował się spokój raz powziętej decyzji. Uniosła zdecydowanie podbródek, przenosząc spojrzenie błękitnych oczu z jednego dziennikarza na drugiego. Zasnute ciężkimi chmurami niebo groziło deszczem, zimny wiatr przeganiał po chodnikach zeschnięte liście. Adria stała na niewielkim podwyższeniu na skwerze, wygłaszając swoje oświadczenie skierowane do grupy dziennikarzy. Policzki miała zaróżowione od wiatru, uśmiechała się swobodnie i szczerze i Zach domyślił się, że w college'u musiała często publicznie przemawiać.

Na razie pośpiesznie zwołana konferencja prasowa przebiegała bez zakłóceń. Kilku przechodniów zatrzymało się, by posłuchać jej silnego głosu.

- .. i dlatego przyjechałam do Portland. Aby poznać prawdę. Żeby dowiedzieć się, czy rzeczywiście jestem zaginioną córką Wina i Katherine Danversów.

Dziennikarze wyciągali w jej stronę mikrofony, reporterzy robili zdjęcia i filmowali Adrię małymi, trzymanymi na ramieniu kamerami. Wiatr rozwiewał jej włosy, czarne pasma unosiły się i opadały na twarz. Od ulicy dobiegały dźwięki przejeżdżających samochodów, odgłos rozbryzgiwanych kołami kałuż i pisk hamulców.

- Czy ma pani jakiś dowód poza kasetą pani adopcyjnego ojca - spytał dziennikarz o wąskich ustach i spiczastym nosie - że rzeczywiście jest pani London Danvers?

- Nie, w zasadzie nie...

- Kasetą to słaby dowód, nie sądzi pani? Kamery wideo są obecnie tak powszechne. Każdy mógł nakręcić taką bajkę.

Zach spojrzął wściekle na dziennikarza i zatknął kciuki za pasek, bo zaczęły go świerzbić ręce.

- To nie jest bajka - odparła Adria dobitnie.

- Tak się pani wydaje, ale nie ma pani pewności. Nie wie pani, czym kierował się pani adopcyjny ojciec.

- A co się stało z Ginny Slade? - zapytała rudowłosa kobieta dźwięcznym głosem

- Sama chciałabym wiedzieć.

- Dlaczego nie zażądała okupu?

Ulicą z łoskotem przejechała wielka ciężarówka, płosząc gołębie na skwerze. Ptaki z trzepotem wzbily się w powietrze.

- Nie mogę za nią odpowiadać. - Adria wzruszyła ramionami.

Inna kobieta podsunęła jej mikrofon pod nos.

- Kiedy London została porwana, wielu ludzi sądziło, że stał za tym miejscowy biznesmen Anthony Polidori. Witt Danvers utrzymywał, że Polidori maczał palce w tej sprawie.

- Nie wiem, kto zlecił uprowadzenie London.

- Polidori przez długi czas był pod obserwacją policji, ale przysiągł na życie swoich dzieci, że nie miał z tym porwaniem nic wspólnego.

- Nie mogę tego komentować.

- Kto stał za tym porwaniem?

- Nie wiem...

- A pan, panie Danvers? Co pan o tym sądzi, pan i pańska rodzina?

Mgła gęstniała z każdą chwilą. Zach spojrzął na kobietę lodowato.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Ale jest pan tutaj, razem z kobietą, która twierdzi, że jest pańską przyrodnią siostrą.

- To jej cyrk, nie mój. - Zach zaczynał się już gotować.

- Więc co pan na ten temat sądzi? - Kobieta zamrugnęła rzęsami pokrytymi grubą warstwą czarnego tuszu. - Jakie stanowisko zajęła pańska rodzina wobec tej sprawy?

- Nie mogę wypowiadać się w jej imieniu.

- A we własnym?

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Czy nie był pan jednym z głównych podejrzanych o porwanie London?

- Na litość boską - odparł gniewnie. - Miałem wtedy szesnaście lat! - opanował się. - Z tym pytaniem powinniście zwrócić się do policji. - Złapał Adrię za ramię z zamiarem zakończenia tego widowiska. Dziennikarze to stado hien, wszyscy, co do jednego. Przekonał się o tym wiele lat temu, kiedy London została porwana.

- A co teraz mówi policja? - spytała ruda dziennikarka.

Adria spojrział na Zacha.

- Jak dotąd nic. - Nie dodała, że za namową Zacha ostatnie trzy godziny przed konferencją spędziła w komisariacie, gdzie opowiedziała swoją historię, zostawiła kopię taśmy i pokazała listy z pogrózkami. - Dziękuję wszystkim za przybycie. Gdyby chcieli się państwo ze mną w przyszłości skontaktować, proszę zostawić wiadomość w hotelu „Orion”.

- „Orion”? Dlaczego nie w hotelu „Danvers”? - krzyknął ten ze spiczastym nosem.

- Proszę zaczekać...

- Jeszcze tylko kilka pytań...

Zach zacisnął palce na łokciu Adrii i pociągnął ją do jeepa.

- Cholerne zoo - mruknął. Pospieszenie wpełznął do samochodu i sam szybko wskoczył za kierownicę. Spojrzął w lusterko i zobaczył kilku dziennikarzy biegnących do swoich wozów w nadziei, że dogonią ofiary. Powodzenia, pomyślał Zach rozbawiony. Znał Portland jak własną kieszeń, spędził tu całą młodość na mniej lub bardziej udanych ucieczkach przed policją. Wrzucił bieg i z piskiem opon wyjechał na ulicę. Ruszyło za nim kilka samochodów i Zach uśmiechnął się usatysfakcjonowany.

- Chyba nieźle poszło, prawda? - spytała Adria.

- Fatalnie.

- Mówisz jak Danvers z krwi i kości.

Zach przyhamował przed zakrętem i opony zapiszczały na asfalcie.

- Ktoś za nami jedzie?

- Owszem. - Zach spojrzął w boczne lusterko, zmarszczył brwi i skręcił w aleję wiodącą do Burnside. - Kilka sępów nie dostało jeszcze tego, czego chcieli. - Przyspieszył na moście, kierując się w stronę gór, potem znowu skręcił i wjechał na kolejny most. Przejechał rzekę z powrotem i ruszył na południe, cały czas zerkając we wsteczne lusterko. W końcu udało mu się zgubić prześladowców. - No, tym razem naprawdę wsadziłaś kij w mrowisko.

- Najwyższy czas.

- Nie powinnaś była tak szybko informować prasy...

- Powiedziałam ci już, że to nie ja.

- Cóż, ktoś to zrobił.

- Tak - przyznała. Czowała zamęt w głowie. Spojrzął przez okno, wyjeżdżali właśnie z miasta. - Ktoś to zrobił - powtórzyła w zamyśleniu. Kto zadzwonił do gazet? Któreś z Danversów? Anthony Polidori? Tchórz, który podrzucał jej te wstrętne liściki? Ktoś, kto podsłuchał jakąś jej rozmowę? Trisha? Jason? Nelson? Zach? Rozboliła ją głowa i uświadomiła sobie, że poza ciemnym, mętym płynem, który policjanci w komisariacie nazywali kawą, nie miała jeszcze nic w ustach tego dnia.

- Będziesz musiała wyprowadzić się z „Oriona”.

- Wiem.

- Wiesz już, gdzie się zatrzymasz?

- Jeszcze nie.

- Jason uważa, że powinnaś pojechać na ranczo.

- Z tobą? - Wnętrze jeepa nagle wydało jej się ciasne i duszne. Ciekawe, jak by było mieszkać gdzieś daleko od miasta, w leśnej głuszy z Zacharym. Czy byłaby w stanie wytrzymać jego obecność dzień w dzień? Spojrzała ukradkiem na jego profil, na silną, zdecydowaną linię brody i bliznę koło ucha. Serce znowu zabiło jej mocniej. Nie przyjmie tej propozycji, ma wiele rzeczy do zrobienia, tu, w dolinie Wilamette. Nie ma czasu na włóczęgi po górach. To tylko kolejny podstęp obmyślony przez tę rodzinę, by utrudnić jej osiągnięcie celu. - Nie obchodzi mnie zdanie Jasona.

- To nie jest zły pomysł. Byłabyś tam bezpieczna.

Bezpieczna? Sama z Zacharym Danversem? Wolne żarty. Zbliżenie się do tego człowieka rodziło tyle niebezpieczeństw, że nie była ich w stanie policzyć. W jego towarzystwie nigdy nie jest bezpieczna.

- Chciałbyś, żebym się zgodziła, prawda? - spytała, ścierając parę z szyby po swojej stronie. - W końcu udałoby się wam zamknąć mnie w klatce i kontrolować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Moglibyście nagrywać moje rozmowy telefoniczne i obserwować każdy mój ruch. Dziękuję, ale nie skorzystam.

Zach zjechał z autostrady na wielki parking dla ciężarówek, gdzie potężne, osiemnastokółowe samochody stały między kilkoma specjalnie przystosowanymi do ich obsługi stacjami benzynowymi i stacją napraw. Za nią na niewysokim budynku błyskał neon całodobowej restauracji. Zach zaparkował prawie przed samymi drzwiami.

- Chodź, zjemy coś, a potem zdecydujesz. - Pochylił się nad nią, żeby otworzyć drzwi po jej stronie. Przez chwilę czuła jego ciało, ciepłe i twarde, na swoich udach, silne ramię musnęło jej piersi. Adria miała wrażenie, że temperatura w samochodzie podniosła się nagle o kilka stopni, poczuła dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Przestań!

Spojrzał jej w oczy i przez ułamek sekundy myślała, że chce ją pocałować. Patrzyła w jego pociemniałe źrenice, widziała zarys brody, teraz prawie czarnej, bo nie zdążył się ogolić. Pachniał kawą, dobrze wyprawioną skórą i

męską wodą toaletową. Czują na twarzy jego oddech.

Nieokrzesany i prymitywny.

Pierwotny i namiętny.

Zbuntowany i nieobliczalny.

Taki właśnie jest Zachary Danvers, a to tylko część prawdy o nim. Adria oblizła spierzchnięte wargi i wstrzymała oddech. Czekając... czując, że on czyta w jej myślach.

- Słodki Jezu - wyszeptał i wyprostował się szybko, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

Adria potrzebowała chwili, żeby złapać oddech i odzyskać jasność umysłu.

- Co ja mam, u diabła, z tobą zrobić?

- Nie musisz się mną zajmować.

- Naprawdę? - uniósł brew i spojrzał na nią ironicznie.

- Posłuchaj, Zach, chyba powinnam ci podziękować za pomoc, jakiej udzieliłeś dziś rano, ale naprawdę nie potrzebuję niańki.

- Och, mogłabyś się zdziwić. - Uśmiechnął się rozbrajająco. Zwycięski samiec. Zaszło jej w gardle. Zach wyskoczył z samochodu i ruszył szybko zwirową alejką w stronę restauracji, nie czekając, aż ona wygramoli się z jeepa. Adria podbiegła za nim. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby się od niej raz na zawsze odczepił, ale nie potrafiła. Był zawsze pod ręką, kiedy go potrzebowała, a kiedy postanowiła zwołać konferencję prasową, nie tylko nie próbował jej od tego odwieść, ale nawet pomógł jej wybrać miejsce i przeszedł wraz z nią przez ten koszmar. Nie wiedziała, jakie kierowały nim motywy, ale była pewna, że nieczyste. Przyjęła z wdzięcznością jego obecność na konferencji, była jednak przekonana, że sama również doskonale by sobie poradziła. Podejrzewała, że uczeplił się jej jak rzep psiego ogona, żeby ją śledzić i informować o jej poczynaniach rodzinę. Ale w takim razie dlaczego nalegał, żeby poszła na policję? Może nie miał wyboru, może czuł się przyparty do muru, skoro ona postanowiła się ujawnić i oznajmić miastu, że oto kolejna dziedziczka fortuny Witta Danversa przybyła do Portland.

Weszli do kafejki, gdzie powitał ich zapach kawy, dymu papierosowego i tłuszczu. Zach wskazał wolny stolik przykryty żółtą ceratą i Adria usiadła na ławce, która ugięła się z cichym skrzypnięciem pod jej ciężarem.

Prawie natychmiast podeszła do nich otyła kelnerka w co najmniej dwa numery za małej sukience w pepitkę. Podała im kawę i obiecała wkrótce wrócić, by odebrać zamówienie. Adria wzięła ze stolika plastikowe menu i usiłowała skupić się na nim, ale ponieważ Zach siedział naprzeciw, spoglądając na nią kątem oka, było to dość trudne.

Kiedy złożyli już zamówienie, Zach wypił kawę i rozparł się wygodnie na swoim krześle.

- Lepiej mi powiedz, co teraz zamierzasz, Adrio. - Popatrzył na nią przenikliwie, jakby chciał zajrzeć jej w głąb duszy. - Zabawa już się skończyła.

Odezwał się interkom.

- Wiem, że prosił pan, żeby nie przeszkadzać, panie Danvers - powiedziała zdenerwowana Frances, sekretarka Jasona - ale pański brat jest właśnie na linii i chce natychmiast z panem rozmawiać. Próbowałam się go pozbyć, on jednak nalega i...

- W porządku, odbiorę.

Przeszedł przez pokój i odebrał telefon.

- Kanał drugi. Wiadomości. - Usłyszał podekscytowany głos Nelsona, a zaraz potem trzask odkładanej słuchawki.

Jason miał wrażenie, że na szyi zaciska mu się pętla. Złapał pilota i drżącą ręką skierował go na stojący w przeciwległym kącie pokoju telewizor. Nie patrząc na telefon, odłożył słuchawkę. Ekran zamigotał i Jason zobaczył w telewizorze swój nocny koszmar. Zrobiła to ta suka, naprawdę to zrobiła! Zwołała pieprzoną konferencję prasową na skwerku w samym środku miasta, a obok niej, widoczny tylko chwilami, stoi Zach. Dobry stary Zach, wrzód na dupie rodziny. Nieogolony i nieprzenikniony. Nieobliczalny. W zmiętym ubraniu wygląda jak jakiś cholerny kowboj, ale zdaje się, że nic sobie z tego nie robi.

Jason zaklął szpetnie. Poczuł znajome drganie pod okiem, ale nie odrywał wzroku od ekranu telewizora.

Boże, jaka ona jest piękna. Stoi wyprostowana, czarne loki powiewają na wietrze, błękitne oczy patrzą odważnie i szczerze. Wygląda zupełnie jak Katherine. Pod Jasonem ugięły się kolana. Pamiętał uwodzicielski uśmiech Kat, jej kokietyjny śmiech, ten szczególny błysk w oczku. Na początku interesował ją wyłącznie Zach, ale on był tylko dzieckiem, a potem, kiedy Witt nakrył go z żoną w łóżku i Zach został wygnany, sytuacja się zmieniła. Kat w końcu dostrzegła Jasona.

Zaczęło się niewinnie. Jakiś uśmiech. Spojrzenie. Żart. Dotyk o ułamek sekundy za długi. Pomogły długie okresy nieobecności Witta, który dużo wtedy podróżował w interesach.

Za pierwszym razem była to mroźna zimowa noc. Na strychu wył wiatr. Byli sami w domu i Katherine udała, że się czegoś przestraszyła. Jason objął ją, żeby ją uspokoić i ogrzać. Kiedy uniosła twarz, najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem wydało mu się pocałować ją, pogłaskać, zdjąć jej pizamę, a następnie wziąć ją szybko i gwałtownie, jakby był samcem wspinającym się na cudzą samicę. A ona była nieokiełznana, szalona po latach bólu, frustracji i zniewolenia.

Po tej pierwszej wspólnej nocy zaczęli spotykać się coraz częściej, eksperymentować z narkotykami, głównie z

kokainą i marihuaną, i z seksem. Nawet teraz, po tylu latach, kiedy o niej myślał, czuł większe podniecenie niż kiedykolwiek z powodu innej kobiety. Jego żona Nicole zawsze była oziębła. Kim jest wprawdzie niezła, chętnie realizuje jego fantazje i robi wszystko, żeby go zadowolić, ale ciągle naciska na rozwód. Nie ma w niej też tej pierwotnej zmysłowości, tej dzikiej żądzy, która wyróżniała Kat spośród wszystkich jego kochanek. Kat uwielbiała seks, a Kim stawiała na głowie, żeby się wydawało, że go uwielbia. Mimo że spełnia wszystkie jego zachcianki, to, co robi, jest zawsze trochę sztuczne i wymuszone.

Nikt nie mógł się równać z Katherine LaRouche-Danvers, z jej narcyzmem i niepohamowaną żądzą cielesnych uciech.

A Adria - kimkolwiek jest, do cholery - jest do niej tak podobna. Oblał go zimny pot.

Na Boga, całkiem niezłe radzi sobie z tą zgrają szakali. Uśmiecha się, zręcznie odpowiada na pytania, jest spokojna i opanowana. Jason oparł się o biurko. Tak, Adria Nash jest poważnym przeciwnikiem. Żeby ją pokonać, trzeba zacząć traktować ją naprawdę poważnie. Ciekawe, jaka jest w łóżku. Pozbawiona zahamowań i żadna wrażeń jak Kat czy bezwolna i sztuczna jak Kim?

Zmarszczył brwi na myśl o kochance i jej rosnących wymaganiach. Nie może rozwieść się z Nicole. I nie robi tego. Jego żona, choć w łóżku przypomina lalkę, nie jest głupia. Zgarnęłaby połowę wszystkiego, co posiadała, a co, ma nadzieję, będzie wkrótce największą fortuną w Portland. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby zastraszyć Kim i skompromitować Adrię Nash.

Spojrzał na zegarek i jęknął. Tego popołudnia ma odwiedzić kilka mniejszych zakładów produkcyjnych. Helikopter należący do firmy zabierze go do Lebanon, Mill City, Pendleton i Dallas.

Obejrzał relację z konferencji do końca, wysłuchał rozmowy pary prezenterów spekulujących na temat zaginionej dziedziczki, a następnie zobaczył jeszcze stary materiał filmowy z nocy, kiedy zaginęła London. Aż skreśliło go na widok ojca, Kat i zdjęcia małej London. Artysta plastik, posiłkując się najnowszą technologią komputerową, stworzył na jego podstawie portret ukazujący, jak wyglądałaby teraz jego przyrodnia siostra. Twarz na ekranie nie różniła się zbyt od twarzy Adrii Nash. Zrobiło mu się zimno ze strachu. A jeśli?... O mój Boże, a jeśli?...

To nie może być London. To po prostu niemożliwe.

Znowu odezwał się interkom. Wyłączył telewizor.

- Przepraszam, panie Danvers, naprawdę, ale pan Sweeny twierdzi, że zechce pan z nim porozmawiać. Powiedziałam, że jest pan bardzo zajęty, ale wtedy on zaczął używać takich słów...

- W porządku, Frances, odbiorę.

- Znowu na drugiej linii.

- Dziękuję. - Zaczęły mu się pocić ręce. Podniósł słuchawkę. - Jason Danvers.

- Powiedziałeś, żebym zadzwonił, jak przyjadę do Memphis, no i jestem tu - oznajmił Sweeny beztrząsk.

- Znalazłeś Bobby'ego Slade'a?

- Znalazłem całe mnóstwo Bobbych Slade'ów. Robert E. Slade to tutaj coś w rodzaju nazwiska rodzowego. Ciężko było, ale zredukowałem już listę do kilku kandydatów.

- Mam nadzieję, że wyłoniś w końcu właściwego.

- Spokojnie. A tak przy okazji, pewnie zainteresuje cię fakt, że nasza mała Adria nie traci czasu.

Jason zacisnął palce na słuchawce.

- Naprawdę?

- Tak. Mam informatora w domu Polidorich. Twierdzi, że wiąże z nią pewne nadzieje. Jeśli to naprawdę London, stary Polidori chciałby ją wykorzystać do swoich celów, a jak pewnie wiesz, chętnie odkupiłby część Danvers International.

- Mów dalej - powiedział Jason przez zaciśnięte zęby. Cholerny Polidori.

- To by było na tyle. Z tym że młody Polidori, jak się zdaje, bardzo się nią zainteresował.

- Mario?

- Hm, może być ciepłutko, co? Twoja siostra nadal się z nim spotyka, wiesz chyba.

- Wiem - warknął Jason. Trisha nigdy się nie nauczy.

- No, Danvers, niezły ubaw z tą twoją rodziną. Zadzwoń, jak dowiem się czegoś więcej.

Brzdęk. Słuchawka odłożona.

- Zaczekaj! - krzyknął Jason. Wolałby sam zakończyć rozmowę z detektywem. Poza tym czuł pewien niedosyt. Sweeny dostarczał zazwyczaj dobrych, wiarygodnych informacji, jeśli zaś faktycznie miał informatora w rezydencji Polidorich, to Jason mógł sobie powiedzieć, że nie wyrzuca pieniędzy w błoto. Ale chciał wiedzieć więcej. Znacznie więcej.

Pętla na jego szyi zaczęła się zaciskać.

Popatrzył na zegarek, zmarszczył brwi i wziął stojący na biurku neser. W sekretariacie Frances rozmawiała przez telefon. Jason miał zamiar iść prosto do windy, ale zamachała do niego.

- To Guy z ochrony - powiedziała, odkładając słuchawkę. - Mówi, że na dole czeka tłum dziennikarzy, którzy chcą rozmawiać z panem albo kimś innym z rodziny. A to - pokazała mu plik wizytówek i liścików - od reporterów i dziennikarzy. Niektórzy są aż z Seattle. Chcą z panem porozmawiać o London. - Podniosła brwi nad górną

krawędź okularów. - Mamy nową London?

- Tak, i to bardzo przekonującą. - Jason nie był w stanie opanować zdenerwowania.

- O Boże. - Pulchne usteczka ułożyły się w grymas niezadowolenia. Frances Boothe oddałaby życie za Danvers International. - Guy przypuszcza, że wolalby pan nie przechodzić przez główny hol.

- Zgadza się. - Jason uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. - Nie spodziewają się, że ruszę z dachu. Coś jeszcze?

- Panna Monticello dzwoniła dwa razy. Prosiła, żeby pan do niej zadzwonił.

Jason zacisnął palce na uchwycie teczki, temat Kim nie działał ostatnio na niego najlepiej. Cóż, nie zaszkodzi, jeśli ją trochę przetrzyma. Nauczy się cierpliwości. Teraz, kiedy Adria poinformowała już prasę, Kim nic na niego nie ma. Z wyjątkiem ich romansu, rzecz jasna. Zmarszczył brwi i wyszedł z sekretariatu. Ruszył korytarzem wraz z dwoma swoimi zastępcami - łysawym, nijakim dyrektorem do spraw operacji finansowych i energicznym szefem sprzedaży. Obaj mówili do niego naraz, potakując skwapliwie, kiedy z rzadka otwierał usta. Ci ludzie bardziej dbali o Danvers International niż o własne rodziny. Odpowiedział automatycznie na jakieś pytanie, kiedy jechali windą na lądowisko helikoptera, który już na nich czekał, hałasując niemiłosiernie. Jason przyjął to z ulgą. Hałas uciął rozmowę przynajmniej na kilka minut. Kiedy oderwali się już od dachu, Jasona nagle dopadły złe przecucia. Spojrzał w dół na miasto. Kiedyś był pewien, że pewnego dnia zostanie niekoronowanym królem Portland. Teraz, kiedy w jego życiu pojawiła się Adria Nash, miał co do tego wątpliwości.

Zach spojrzął na Adrię. Wciśnięta w róg między oparciem siedzenia a drzwiczkami jeepa patrzyła prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie zdawała sobie chyba sprawy, że Zach ją obserwuje, a on nie mógł przestać myśleć o tym, że jest tak blisko. W jej obecności zawsze miał wrażenie, że jego zmysły ulegają wyostreniu, a całe ciało jest napięte jak struna.

Adria wysunęła lekko dolną wargę, nerwowo postukując palcami leżącej na udzie dłoni. Rozpuszczone włosy, potargane przez wiatr, przełożyła przez jedno ramię. Dostrzegł zarys jej piersi pod żakietem. Był ciekaw, czy jej podobieństwo do Kat kończy się na twarzy, czy obejmuje też skryte pod ubraniem ciało...

Skarcił się w myślach, włączył światła i wyjechał z parkingu przed restauracją, gdzie wypili wspólnie butelkę wina i zjedli krabie udka w maśle z chrupiącymi grzankami. Wypili też kawę. Przez cały czas Zach robił wszystko, żeby nie patrzeć na nią bez przerwy, ale nie mógł oderwać oczu od miękkiego zarysu jej twarzy, dołeczków w policzkach, kiedy się uśmiechała, od bieli jej szyi i krągłości piersi.

Był podniecony i pogardzał sobą za to, że znowu zachowuje się jak niezaspokojony nastolatek. Ale nie tylko jej ciało wydawało mu się tak pociągające, jej umysł był równie fascynujący jak cała reszta.

Adria udzieliła kilku wywiadów, jeden po drugim, i choć Zach nie był tym zachwycony, nie próbował jej też powstrzymać. Trzymał się na uboczu, obserwując, jak radzi sobie z pytaniami dziennikarzy. Była naprawdę niezłą, opanowana i pewna siebie, choć insynuacje niektórych pismaków nie mogły przecieżyć jej uwagi. Nawet sugestie, że jest łowczynią fortun, która chce skraść pieniądze zmarłego Witta, nie wyprowadziły jej z równowagi. Odpowiadała na wszystkie pytania spokojnie, a nawet z pewnym poczuciem humoru. W prasie i telewizji wypadnie korzystnie - bardzo korzystnie - i jeśli rodzina nie potraktuje jej jak uczciwej osoby, szukającej prawdy o swoim pochodzeniu, będą mieli problemy z własnym, wypracowanym przez speców od public relations wizerunkiem.

Zach pogardliwie wzruszył ramionami. Wizerunek i kontakty z mediami to działka Nelsona. Chłopak pewnie już się porządnie spocił.

- Dobra, to gdzie teraz?

- Chyba z powrotem do hotelu.

- Pewnie rój dziennikarzy już czeka na ciebie w holu - stwierdził Zach - a telefon się urywa.

Adria uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, pozostawiam to ochronie hotelu - powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. - Poza tym sądzę, że sobie z nimi poradzę.

- To twój pogrzeb - mruknął Zach ponuro i Adria roześmiała się rozbawiona. Ruszyli do hotelu. Jest twarda, bardziej, niż przypuszczałem, pomyślał Zach. Miał już kilka okazji, żeby się przekonać, że niełatwo ją przestraszyć. Niezależna i odważna, zapracowała na jego szacunek. - Dziennikarze potrafią być bezwzględni.

- Zdążyłam się do tego przyzwyczaić. - Spojrzała na niego i przez ułamek sekundy dostrzegł w jej oczach coś więcej niż zwykłą wrogą nieufność, coś, od czego ugięły się pod nim kolana. - Nie martw się, Zach. Poradzę sobie.

Zach przeklął w myślach pożądanie, które budziło się w nim, ilekroć Adria znajdowała się poblizu. Stanęli przed hotelem i wysiedli z samochodu.

- Chodźmy - rzucił krótko i ujął ją pod ramię, Adria słyszała głuchy odgłos ich kroków na chodniku. Nad ulicami zbierała się mgła, rozwiewana od czasu do czasu przez silniejszy podmuch wiatru.

Zach spodziewał się tłumu głodnych sensacji dziennikarzy, ale hol był prawie pusty. Tylko kilka osób w płaszczach przeciwdeszczowych, z parasolami w rękę wchodziło do restauracji lub wychodziło z niej.

Adria poczuła ulgę. To był długi dzień i miała wrażenie, że jest na krawędzi wytrzymałości - jeśli nie z powodu dziennikarzy i ich pytań, to ze względu na obecność Zachary'ego. Na konferencji był nieufny, rozglądał się wokół,

obserwując tłum. Odpowiadał monosylabami na zadawane mu pytania. Adria widziała, że był spięty, zauważyła, jak zeszytniał, kiedy jeden z dziennikarzy zadał szczególnie złośliwe pytanie, czuła, kiedy zwrócił wzrok na nią. Spędził z nią prawie cały dzień, zostawił ją tylko na pół godziny, kiedy udzielała wywiadu dziennikarce z „Oregonian”.

Nie mogła uwierzyć, że mógłby być jej przyrodnim bratem. Jest zbyt pociągający, zbyt zmysłowy na swój mroczny sposób, by być jej krewnym. Na pewno nie wydawałby się jej tak atrakcyjny, tak niebezpiecznie zniewalający, gdyby w ich żyłach faktycznie płynęła ta sama krew. Jakby czytając w jej myślach, odwrócił się i spojrzął na nią, a ona dostrzegła w jego szarych oczach iskrę pożądania, której nie był w stanie ukryć.

Zaschło jej w gardle, czas stanął w miejscu. Przez krótką chwilę byli jedynymi żyjącymi ludźmi na ziemi. Jeden mężczyzna. Jedna kobieta. Oblizwała nerwowo wargi i zauważyła, że on patrzy na jej usta. Z trudem przełknęła ślinę.

- Panna Nash? - odezwał się recepcjonista.

- Tak - powiedziała wdzięczna, że przerwał tę chwilę. Odchrząknęła, starając się zapanować nad głosem. - Są dla mnie jakieś wiadomości?

- A w Oregonie ciągle pada? - zapytał sucho, siląc się na dowcip, i wręczył jej gruby plik wizytówek, kopert i kartek papieru. Przejrzała je szybko. Niektóre były od dziennikarzy, inne od nieznanymi jej osób, ciekawych zapewne kobiety, która ośmieliła się twierdzić, że jest London Danvers.

Podeszli do windy i Zach znowu rozejrzał się wokół nieufnie. Dotknął jej ramienia.

- Nie masz nic przeciwko, żebym wszedł z tobą na górę i zobaczył, czy twój przyjaciel nie zostawił dla ciebie jeszcze jednej wiadomości?

Adria miała wrażenie, że serce na moment przestało jej bić. Milczała, zagryzając wargi. To byłoby nierozsądne, Adria, po prostu głupie. Nigdy nie brakowało ci rozumu i lepiej, żeby tak zostało. Pomyśl, dziewczyno, na litość boską! Sama w hotelu z Zacharym Danversem - prosisz się, nie, błagasz o kłopoty, i to bardzo poważne! On chce czegoś, co jest absolutnie niemożliwe!

Wzruszyła ramionami i wcisnęła guzik, żeby przywołać windę.

- Jak chcesz - rzuciła niedbale.

Boże, czy naprawdę to powiedziała?

Weszli do windy, ciasnej i dusznej, która nagle wydała jej się za mała dla dwojga. Zachary odsunął się tak daleko, jak to możliwe, opierając się o lśniącą mosiężną ściankę. Winda zadrżała, a potem szybko ruszyła w górę. Kiedy stanęła i drzwi otworzyły się powoli, Adria wyszła pospieszenie, jakby przez ostatnią minutę się dusiła. Przeszła szybko korytarzem, tłumacząc sobie, że to tylko wytwór jej zmęczonej wyobraźni.

Wiedziała już, że popełniła błąd, zapraszając Zacha na górę. Otworzyła drzwi, weszła do środka i stanęła jak wryta, starając się powstrzymać wzbierający jej w gardle krzyk. Bezwiednie cofnęła się i rzuciła do ucieczki, choć czuła, że przesadza. Na lustrze ktoś napisał krwią:

WYNOŚ SIĘ Z MIASTA, PÓKI JESZCZE MOŻESZ, TY CHCIWA DZIWKO.

Wyciągnęła odruchowo dłoń, by zmasać ohydny napis, ale Zach złapał ją za rękę.

- Policja powinna to zobaczyć.

- Policja? - powtórzyła. - O Boże, nie chcę znowu dzwonić na policję.

Zach zacisnął zęby.

- Chcesz czy nie, musisz to zrobić.

- Jak on się tu dostaje? - spytała wstrząśnięta, choć list na lustrze bardziej ją rozgniewał, niż przestraszył.

- To bez znaczenia. - Nie czekając dłużej, odszukał wizytówkę, którą detektyw Ned Fisk dał mu wcześniej.

Fisk miał akurat wolne, ale jego partnerka detektyw Celia Stinson, przyjechała zaraz z kilkoma policjantami, którzy zajęli się napisem i odciskami palców. Stinson była drobną kobietą o jasnych kręconych włosach i zdecydowanym sposobie bycia. Szybko zorientowała się w sytuacji i poradziła Adrii, żeby się wyprowadziła.

- I nie mówię o innym pokoju - dodała, rozglądając się po pomieszczeniu. - Powinna pani zamieszkać w innym hotelu, najlepiej gdzieś dalej. Teraz, kiedy była pani w mediach, takie rzeczy - wskazała na list - mogą stać się pani chlebem powszednim. Takie i jeszcze gorsze.

Kiedy policjanci w końcu opuścili hotel, było już po drugiej i Adria poczuła się śmiertelnie zmęczona. Napięcie, które musiała opanowywać przez tak długi czas, świadomość, że jest „na wizji”, a także bliskość Zacha - wszystko to skrajnie ją wyczerpało.

Zachary potarł ręką kark.

- Myślę, że powinnaś posłuchać jej rady.

- Zaraz?

- Natychmiast.

- Rano, kiedy już...

- Do cholery, dziewczyno, nie rozumiesz? To nie żarty. Jakiś świr, który może być bardzo niebezpieczny, wchodzi bezkarnie do twojego pokoju. Wyprowadzisz się stąd, i to już. - Podeszedł do szafy, wyciągnął jej walizkę i rzucił ją na łóżko.

- Zaraz, zaraz! Nie możesz mi mówić, co mam...

Odwrócił się tak szybko, że musiała się cofnąć, żeby na nią nie wpadł. Patrzył na nią gniewnie, zaciskając i rozprostowując palce w bezsilnej złości.

- Posłuchaj, ktokolwiek to napisał, posuwa się coraz dalej. Jest zdecydowany na wszystko...

- Jest chory.

- Nazwij to, jak chcesz, na pewno jest na krawędzi. Nie wiesz, co teraz zrobi. - Otworzył walizkę.

- Nie boję się.

- Więc jesteś głupsza, niż przypuszczałem. - Wyciągnął szufladę z biurka i wysypał jej zawartość do walizki.

- Zach - próbowała jeszcze dyskutować i przeciągnęła strunę. Zach rzucił szufladę na łóżko i odwrócił się wściekły. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że jest bliski furii.

- Nie wciskaj mi tu kitu, Adria. Nie sprzeciwiałem się, kiedy postanowiłaś pójść do prasy, stałem przy tobie, kiedy udzielałaś swoich wywiadów. Byłem nawet zadowolony, kiedy w końcu poszłaś na policję, ale nie mam zamiaru patrzeć, jak głupio narażasz się na poważne niebezpieczeństwo tylko dlatego, że jesteś zbyt uparta, żeby zrozumieć, co ci grozi!

- Zaczekaj, nie mogę przecieżyć...

- Możesz, i zaraz to zrobisz, moja panno! - Adria patrzyła mu prosto w oczy w nadziei, że spuści z tonu, ale nic sobie z tego nie robił, odpowiadając jej wściekłym wzrokiem. - Albo spędzisz tę noc tutaj w moim towarzystwie, albo się natychmiast stąd wyprowadzisz. To jak będzie?

17

Piekło.

Oto czym były ostatnie trzy dni: czystym piekłem.

Zach spędził większość tego czasu z Adria albo znosząc cierpliwie prasowo-telewizyjny cyrk wywołany jej oświadczeniem, albo biwakując na progu jej pokoju w małym, zakazanym hoteliku „Estacada”, daleko za miastem. Wynajęli dwa przyległe pokoje, a Zach uparł się, żeby łączące je drzwi nie były zamknięte na klucz na wypadek, gdyby Adria potrzebowała pomocy. Od tej chwili każdej nocy przez wiele godzin patrzył na nie jak sroka w gnat, rozmyślając o śpiącej za nimi kobiecie - jak słodko i niewinnie zmusi wyglądać z włosami rozsypnymi na poduszce, ciemnymi rzęsami spoczywającymi na różanych policzkach, pierśmi sterczącymi nad krawędzią kołdry. Ten obraz doprowadzał go do szaleństwa.

Poddał się raz, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Przez chwilę patrzył na śpiącą w nikłym świetle księżycy wpadającym przez okno. Westchnęła, rozchylając wargi, i przewróciła się na drugi bok. Jej powieki zadrżały i Zach stał, wstrzymując oddech, nieruchomy, ale się nie obudziła, on zaś znalazł dość siły, by się odwrócić, wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Zaciśnął zęby i poszedł do łóżka, ale niewiele spał. W tym czasie spędził więcej czasu, biorąc zimne prysznic, niż chciałby pamiętać.

Na razie wydawało się, że nikt nie wie, gdzie Adria teraz mieszka. Nie powiedziała nikomu i dopóki będzie trzymała język za swoimi ślicznymi ząbkami, prawdopodobnie nic jej nie grozi. Planowała wprawdzie wynajęcie czegoś na dłużej, ale Zach przekonał ją, że powinna móc szybko się przemieszczać na wypadek, gdyby jej korespondencyjny przyjaciel świr znowu się pojawił.

Siedzieli teraz w małej knajpce na przedmieściu, gdzie nikt ich nie rozpoznawał. Adria uśmiechnęła się ze złośliwym błyskiem w oku.

- Cierpisz na manię prześladowczą - powiedziała, spoglądając na Zacha znad swojego talerza.

Kilku mężczyzn w ubraniach roboczych siedziało przy barze, gdzie podawano darmowe orzeszki, precelki i prażoną kukurydzę. Oglądali mecz piłki nożnej w telewizji, a sądząc po okrzykach tłumu, wygrywali Denver Broncos.

- To rodzinne. - Zach odsunął swój talerz. - Nie możesz być członkiem rodziny Danversów, jeśli jesteś całkiem zdrowa psychicznie.

- Chyba mogę - przekomarzała się Adria z kokieteryjnym uśmiechem, od którego zakręciło mu się w głowie. Cholera, głupieje na punkcie tej dziewczyny.

Adria nagle spuściła oczy, jakby coś przed nim ukrywała i czuła się winna, a teraz w końcu postanowiła go o tym poinformować.

- Miałam telefon - przyznała się.

Zach czekał na ciąg dalszy, domyślając się, że spędziła wiele godzin, a może nawet dni, zastanawiając się, czy mu zaufać.

- Kto dzwonił? - spytał jednak w końcu, tracąc powoli cierpliwość.

- Mario Polidori.

- On wie, że tu jesteś? - Uśmiech na twarzy Zacha zamienił się w wyraz niesmaku. Polidori! Zawsze ci cholerni Włosi. Jak niejeden, to drugi. Przekleństwo jego rodziny.

- Prawdopodobnie wiele osób już o tym wie - stwierdziła Adria, wyciągając w jego stronę łyżkę. - Twoja rodzina wynajęła kogoś, kto mnie śledzi, jestem pewna. I prawdopodobnie nie oni jedni. A przy tym zainteresowanie mediów...

- Chryste! - Zach potarł dłonią kark i poczuł charakterystyczny ucisk w żołądku - nieomylny znak, że będą kłopoty. Nie zawsze był tak przewidujący, ale zazwyczaj udawało mu się jakoś wywinąć. Dlaczego nie powiedziała mu wcześniej? Przenieśliby się do innego zapchlonego hoteliku, gdzieś wyżej jeszcze na wzgórzach albo przeciwnie, bliżej plaży. Gdzieś, gdzie byłoby bezpiecznie.

- Dzwonił ktoś jeszcze?

Adria potrząsnęła głową i czarne loki zatańczyły jej wokół twarzy.

- Tylko Polidori.

- Czego chciał?

- Porozmawiać ze mną. - Adria odłożyła łyżkę na talerz, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Zachary'emu o ofercie Polidorich. Rozważała to, ale na razie postanowiła trzymać język za zębami. Co by to dało? Gdyby dowiedział się, że rodzina Polidorich szuka sposobu, żeby wykupić część Danvers International, zrobiłby się pewnie jeszcze bardziej podejrzliwy i wściekły. A Adria nie życzyła sobie, żeby wyładowywał swoją złość na niej. Zresztą gdyby udało się jej udowodnić, że faktycznie jest London, nie miała zamiaru sprzedawać hotelu ani niczego, co należało do rodziny ani Polidorim, ani nikomu innemu.

- Trzymaj się od niego z daleka - poradził Zach.

- Dlaczego?

- Cóż, nasze rodziny nie przepadają za sobą.

- Och, daj już spokój, znowu ta stara rodzinna wojna.

Ktoś włączył szafę grającą i przez gwar rozmów popłynęła piosenka The Judds.

- Ona trwa, a ja sam w niej kilka razy oberwałem.

Adria spojrzała na cienką bliznę biegnącą przed jego uchem i zachodzącą aż na policzek. Nie rzucała się w oczy, ale jemu nieustannie przypominała o nocy sprzed dwudziestu lat. Nadal był święcie przekonany, że został wówczas pobity na zlecenie Anthony'ego Polidoriego.

Kibice przy barze wzniesli kolejny tryumfalny okrzyk. Ich ożywione rozmowy zagłuszyły głos komentatora i śpiew Naomi i Wynony. Zdaje się, że Denver Broncos znowu zdobyli bramkę.

- Czemu nie powiesz mi więcej o tej rodzinnej waśni - zaproponowała Adria, kiedy zapadła względna cisza, a jeden z podchmielonych miłośników futbolu oświadczył, że stawia wszystkim kolejkę. - Wtedy sama zdecyduje, czy chcę się spotkać z Mariem, czy nie.

- To jest wojna - uciął Zach. Wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać.

- Wiem już co nieco na ten temat.

- Ja myślę.

- No, Zach. Opowiedz mi o tym.

Spojrzał na nią zamyślony, obracając w dłoni butelkę po piwie. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

- Dobrze, czemu nie? I tak znasz pewnie większość szczegółów. To trwa, odkąd sięgam pamięcią. Już jako dziecko czułem tę niechęć, nienawiść do rodziny, której nigdy nie spotkałem. Na pewno o tym wszystkim czytałaś - powiedział, a Adria kiwnęła głową, nie wspominając jednak o rozmowie z Marią Santiago.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka. Przyniosła kolejną butelkę piwa dla Zacha, sprzątnęła ze stołu puste talerze i zostawiła rachunek. Kiedy już oddaliła się, niosąc ciężką tacę, Zach wrócił do opowieści.

- Cała ta waśń jest idiotyczna, jeśli chcesz znać moje zdanie. Ciągnie się to od pokoleń, od czasów Juliusa Danversa i Stefana Polidoriego. Krótko mówiąc, Anthony, syn Stefana, uważa, że to Julius zorganizował zamach na jego ojca. Stefano zginął w wielkim pożarze hotelu Polidorich. To był wtedy jedyny hotel, który mógł konkurować z naszym. Kto wie, czy to prawda? Anthony poprzysiągł zemstę naszej rodzinie, a potem dwóch synów Juliusa zginęło, jeden na wojnie, a drugi w podejrzanym wypadku na motorówce. Win twierdził, że to Anthony był odpowiedzialny za obie śmierci, ale to oczywiście tylko przypuszczenie, i to trochę naciągane. Rozumiesz, jeden z nich zginął na froncie gdzieś w Niemczech.

- Rzeczywiście trudno w to uwierzyć.

- Bardzo trudno. - Zach pociągnął łyk z butelki, postawił ją stole i zapłacił rachunek.

Wyszli na zewnątrz. Noc była chłodna, ale bezchmurna, na czarnym aksamicie nieba lśniły miliony gwiazd. Nad starą tawerną pochylały się wysokie jodły, drząc lekko na wietrze. Ciszę mącił tylko szmer strumienia spływającego po kamieniach ze wzgórz.

Wsiadając do jeepa, Adria była prawie przekonana do pomysłu Zacha. Nagle jego obecność wydała się jej czymś zupełnie naturalnym. A przecież znała go zaledwie od kilku dni. - Chyba że... Miała w każdym razie wrażenie, że zna go od wielu lat.

Zach ruszył krętą drogą wijącą się u podnóża gór wzdłuż rzeki Clackamas. Zatrzymał się na szerokim poboczu i pokazał jej zarośniętą ścieżkę wiodącą nad brzeg rzeki. Powietrze pachniało czystą wodą, wilgotną ziemią i żywicą. Rzeka z dzikim rykiem spadała w dół po wielkich głazach, a wraz z nią, jak jeździec na grzbiecie swego konia, wiał z gór zimny wiatr. Adria zadrżała i skuliła ramiona, Zach zaś zdjął swoją dzinsową kurtkę i zarzucił jej na ramiona, ani razu jej przy tym nie dotykając.

- Pomyślałem, że ci się tu spodoba - powiedział, jakby chciał się wytłumaczyć. - Zawsze kiedy sytuacja się

komplikuje i nie bardzo wiem, o co chodzi, jadę tam, gdzie moc natury objawia się z największą siłą. To czasem pomaga wiele wyjaśnić. Jak jestem gdzieś blisko wybrzeża, jadę nad morze i patrzę na fale przyboju. Kiedy jestem na ranczu, jadę w góry, nad któryś ze strumieni wpadających do rzeki Deschutes, a kiedy jestem w mieście, cóż, najczęściej przyjeżdżam właśnie tutaj.

- Sam? - zapytała Adria, a Zach błysnął uśmiechem w odpowiedzi.

- Zawsze.

Jakiś nocny ptak rozpoczął swą rzewną pieśń. Stare omszałe drzewa zdawały się otaczać ich coraz ciaśniejszym kręgiem, odgradzając od reszty świata.

- Mówiłeś o tej starej waśni - podjęła Adria i Zach znowu spojrzął na nią nieufnie.

- No cóż, jej końca nie widać. Stary dobry Witt, ten wielki człowiek, o którym sądzisz, że może być twoim ojcem, był równie twardy i uparty jak Julius. Wiele się od niego nauczył i postanowił, że zrobi wszystko, byle tylko utrzymać fortunę Danversów i ochronić rodowe nazwisko. Jak jego ojciec, zdołał kupić wielu polityków, sędziów i policjantów.

- Nie lubiłeś go.

- Nigdy.

- Ale go szanowałeś?

- Nienawidziłem sukinsyna - powiedział Zach zimno, spoglądając na rzekę. W bladym świetle księżyca Adria widziała jego twardą, zamkniętą w sobie twarz. Bez śladu wyrzutów sumienia.

- A co powiesz o swojej matce?

Zach wzruszył ramionami i zamyślił się.

- Eunice... Ona zawsze była taka... - urwał, jakby ważąc słowa - skomplikowana. Pokręcona. Mówiła coś, a potem robiła coś zupełnie innego.

Adria słyszała historię Eunice. Jako młoda kobieta była pod wieloma względami doskonałą kandydatką na żonę Witta Danversa. Jedyna córka bogatych rodziców, posiadała własny pokaźny majątek, była bystra, inteligentna i ładna. Niestety, na wiele tematów miała własne zdanie i była do niego przywiązana. Niektórzy uważali, że jest zepsuta i że się wywyższa. Podobno w życiu Witta, zwłaszcza kiedy był młodszy, były inne kobiety. Maria, pokojówka, potwierdziła, że Witt miał romanse, o których plotkowano w mieście, i że te plotki często docierały też do uszu Eunice. Mimo że dała mu dwoje dzieci, syna i córkę, Witt nie cenił swojej pełnej dobrej woli żony i spędzał wiele nocy poza domem.

Maria wspomniała także, że podsłuchiwała kiedyś rozmowę, w której Eunice nazwała Witta impotentem, ale musiał to być tylko wybuch rozgoryczonej kobiety, który nie miał nic wspólnego z prawdą. Przecież Eunice dała Wittowi kolejnych dwóch synów Zachary'ego i Nelsona.

Na początku były wprawdzie pewne wątpliwości co do tego, kto jest ojcem Zacha.

W odwecie za niewierność Witta Eunice dała się uwieść Antony'emu Polidoriemu. Zach został poczęty w tym właśnie czasie i wiele osób komentowało później śniadą, dużo ciemniejszą od skóry rodzeństwa cerę Zachary'ego. Jason, najstarszy, miał brązowe włosy i niebieskie oczy jak ojciec, a Trisha, drugie dziecko Witta, była ciemną blondynką o porcelanowej cerze. Tymczasem Zachary miał oliwkową skórę, czarne włosy i oczy o odcieniu szarej zieleni. W mieście opowiadano sobie na ten temat nieprzyzwoite dowcipy i spekulowano, że jego ojcem jest Polidori, największy wróg Witta.

Małżeństwo Witta i Eunice chyliło się ku upadkowi, a ich dom stał się widownią wielu awantur i niekontrolowanych wybuchów gniewu Witta. Maria twierdziła, że nikt nie wyszedł z tego piekła bez szwanku. Witt, człowiek mściwy i gwałtowny, dopilnował, by ci, których nie udało mu się złamać, słono za to zapłacili.

Eunice i Witt rozwiedli się wkrótce po narodzinach Nelsona. Z pomocą całej hordy najlepszych prawników Witt zdołał zatrzymać dzieci przy sobie, Eunice natomiast dostała dość pieniędzy, by siedzieć cicho.

Wiele kobiet marzyło o tym, żeby zostać drugą panią Danvers, ale Witt ożenił się w końcu z Katherine LaRouche i w wieku prawie czterdziestu sześciu lat po raz piąty został ojcem. Na świat przyszła London, zaś jej ojciec odmłodził o dziesięć lat, stał się nowym człowiekiem.

Zachary nie odrywał wzroku od ciemnej, gniewnie spienionej rzeki.

- Zdaje się, że twojej matce bardzo na was wszystkich zależało - odezwała się Adria cicho.

- Moja matka od nas odeszła.

- Bo nie miała wyboru.

Zachary zacisnął zęby.

- Tak mówiła. - Schylił się, podniósł z ziemi kamień i cisnął go z całej siły w rwący nurt rzeki.

- Wolałbyś, żeby została z waszym ojcem?

- Nie. - Zach podniósł kolejny odłamek skalny i ponownie zamachnął się w kierunku rzeki. Potem, jakby nagle dotarła do niego daremność jego działań, podszedł do potężnej starej jodły i oparł się o jej szorstki pień. -

Wolałbym, żeby zabrała nas ze sobą.

- Ale ona nie mogła...

- Nie chciała, to chyba miałaś na myśli. Wtedy sądy przyznawały prawo do opieki nad dziećmi matkom, nawet

jeśli ich ojcowie byli tak potężni jak Witt Danvers. Ale Eunice bała się rozgłosu, bała się, że mogłoby zrujnować jej reputację, gdyby wszyscy dowiedzieli się, że jej mąż był dziwkarczem, a ona miała romans z Polidorim. - Spojrzał na Adrię, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie robią na niej jego słowa. - Nie sądzisz chyba, że jestem aż tak naiwny albo głuchy. Dobrze wiem, co ludzie myślą, i słyszałem nieraz, co mówili. - Uśmiechnął się gorzko. - Odkąd pamiętam, słyszałem, jak ludzie szeptali za moimi plecami, że moim ojcem jest Polidori. Ale to nieprawda.

Adria podeszła do niego i stanęła pod zwieszającymi się nisko gałęziami drzewa. Czowała zapach wilgotnej ziemi i czystej rzecznej wody zmieszany z ledwo wyczuwalną nutą piżma, ciepłą, samczą. Noc uwodziła ich coraz bardziej, otulając dwie samotne postaci czarnym aksamitnym płaszczem.

- Już wtedy można było zrobić badanie krwi. Mogłeś udowodnić, że...

- Żartujesz? Witt Danvers miałby pójść do lekarza, żeby udowodnić, że to on spółdził swojego syna? Już to widzę! - Mówił chrapliwym, cichym głosem, zagłuszonym prawie przez szum wiatru w wierzchołkach drzew. - Nie masz pojęcia, co to był za człowiek. Mogę ci powiedzieć... To był podły sukinsyn, który bił swoją żonę, wychowywał swoje dzieci za pomocą pasa i kupował bankrutujące firmy, a potem bez mrugnięcia okiem wyrzucał ich pracowników na bruk. Wycinał lasy, całe połacie lasów do gołej ziemi, a sam nigdy nie posadził ani jednego drzewa. Nie obchodziła go erozja ani inne zagrożenia dla środowiska. Myślał tylko o jednym: jak za pomocą piły tarczowej zarobić jeszcze więcej pieniędzy. Bez skrupułów zamykał tartaki, pozostawiając całe rodziny bez pracy i środków do życia, jeśli mógł na tym zaoszczędzić dwa dolary. Był uparty, okrutny i dumny ze swojej siły. Nigdy nie poddałby się żadnym testom w celu ustalenia ojcostwa. Musisz zrozumieć jedno, Adrio. To był człowiek, który nie dbał o nic i o nikogo poza samym sobą, swoimi przychodami, swoją dumą i London. Tak, do cholery, zależało mu jeszcze tylko na London. - Odwrócił się gwałtownie.

- Nie lubiłeś jej.

- Była zepsutą manipulantką...

- Miała dopiero cztery lata...

- To nie ma znaczenia - odparł, odwracając głowę i przyglądając się jej inaczej niż dotychczas, jakby szukał w jej twarzy czegoś, co nie pasowałoby do wizerunku London, jakiegoś potwierdzenia, że ona, Adria, nie może być tamtą małą dziewczynką, którą pamiętał. Serce Adrii zabiło mocniej, zabrakło jej tchu. Zach wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. - London była nad wiek rozwinięta, uparta i sprytna jak wszyscy diabli. Owinęła sobie Witta wokół palca i wiedziała o tym. Miałem wtedy szesnaście lat, a ona łączyła za mną jak cień. Wkurzało mnie to trochę, ale nie powiem, żebym jej nie lubił. Właściwie nawet mnie bawiło, że stary tak tracił dla niej rozum. - Podniósł dłoń i ujął kręcone pasmo czarnych włosów. Adrii nagle zaschło w gardle. - Nie wiem, czy jesteś London - powiedział powoli, błyskając w ciemności białymi zębami - ale jeśli jesteś, wszystko tu stanie na głowie. - Spojrzał jej w oczy. Adria z trudem przełknęła ślinę. Serce waliło jej jak młotem.

W tej krótkiej chwili, która zdawała się jej wiecznością, Adria wiedziała, że on chce ją całować, że chce jej dotykać, słuchać bicia jej serca. Jęknęła cicho, kiedy pochylił głowę, ale go nie powstrzymała. Jego usta odnalazły w ciemności jej wargi. Ciepłe, niecierpliwe, władcze, płonące zakazaną namiętnością żarliwie wpiły się w jej usta. Adria słyszała głuche dudnienie własnego serca. Zach objął ją mocniej, przyciskając się do niej całym swoim silnym, twardym, rozgorączkowanym ciałem

Naciskał na nią z całej siły, wsuwając język między jej wargi. Adria wiedziała, że powinna jak najszybciej go powstrzymać, że nie wolno jej być tak krótkowzroczną, ale magia jego ruchliwego języka i silnego ciała wzięła ją już w swoje władanie. Nie potrafiła wyzwolić się spod tego czaru, przeciwnie, chciała dostać więcej, chciała posunąć się jeszcze dalej. Ogarnęło ją gwałtowne, nieczyste pożądanie, rozpalając piekielnym ogniem jej ciało i pozostawiając po sobie pustkę, którą tylko on - on jeden - mógł wypełnić.

Zarzuciła mu ręce na szyję, pod palcami miała jego włosy uniesione nad kołnierzem kurtki, a na wargach słonawy smak jego skóry. Doleciał ją zapach piżma, poczuła twarde wybrzuszenie w jego dżinsach.

Nie przestawał jej całować. Adria słyszała już tylko jego przyspieszony oddech i dudnienie własnego serca. Świat wokół przestał istnieć. Zach wsunął dłonie pod jej sweter i dotknął brzucha, a potem przesunął twarde, szorstkie od ciężkiej pracy palce wyżej. Adria czekała z drżeniem, kiedy w końcu spoczną na jej piersiach.

- Boże, jesteś cudowna - wyszeptał, wsuwając dłonie pod cienką koronkę.

Adria jęknęła cicho. Teraz już nic nie mogło jej powstrzymać.

- Adria - wymruczał, przesuwając kciukiem po twardym, sterczącym sutku. Pocałował ją znowu, a ona odpowiedziała mu takim samym długim, głodnym pocałunkiem. Powoli zsunął zakiet z jej ramion i ściągnął z niej sweter. Poczuła chłód nocnego powietrza na brzuchu i piersiach. Zach całował jej oczy, usta, szyję i to małe zagłębienie u jej nasady, gdzie pod cienką skórą niespokojnie pulsowała wzburzona krew.

Adria oparła się o pień drzewa. Kiedy Zach podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

- Pragnę ciebie - wyszeptał cicho, jakby przez ściśnięte gardło.

- Wiem.

- Nie możemy tego zrobić.

- Wiem... wiem.

Ujął jej piersi w dłonie. Adria zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Powtarzała sobie, że nie może, że w żadnym wypadku nie może się z nim kochać, ale gdy tylko jego usta chwyciły osłonięty koronką sutek i zaczęły ssać go namiętnie, poczuła, jak jej wola słabnie, a kolana mięknie. Osunęli się na ziemię, na miękki gruby dywan jodłowych igieł. Rzeka huczała wściekle w ciemności. Adria przycisnęła głowę Zacha do swojej piersi, zatapiając palce w jego gęstych włosach. Ostrzegawcze myśli ustąpiły miejsca zapamiętaniu i żądzy. Dlaczego nie? Nie wiesz, czy to naprawdę twój brat...

- Adria, na litość boską - powiedział, wtulając twarz w jej brzuch. Oddychał ciężko, z trudem. Czowała jego gorący oddech na spodniach. Pocałowała go w czubek głowy. Zach wziął głęboki wdech, na moment wstrzymał powietrze w płucach i odsunął się od niej.

Zawisło nad nimi wspólne przekleństwo. Zach odwrócił się do niej tyłem i wsunął we włosy palce obu dłoni.

- Sukinsyn. Pieprzony sukinsyn.

- Zach...

- Zostaw mnie w spokoju.

- Ale...

- Na rany Chrystusa, ubierz się - rozkazał, nawet na nią nie patrząc.

- Wszystko w porządku, ja...

- Nic nie jest w porządku. Ubierz się, do cholery, i udawaj, że to się nigdy nie stało. - Zerwał się na równe nogi, kopnął latarkę w jej stronę i ruszył pogrążoną w ciemności ścieżką do samochodu.

A niech go! Potrafi doprowadzić ją do szału! Adria pospiesznie wciągnęła sweter. Nie czuła wyrzutów sumienia. Nie próbowała uwieść Zacha, a to, co od tygodnia wisiało w powietrzu między nimi, teraz dopiero prawdziwie zapłonęło. Wiedziała, że balansuje na skraju przepaści i powinna być bardzo ostrożna. W głębi serca czuła też, że on ma rację. Nie wolno jej kochać się z człowiekiem, który może być jej przyrodnim bratem, to prawda. Nigdy jednak nie da sobie wmówić, że ponosi całą odpowiedzialność za to, co się między nimi wydarzyło. Chwyła latarkę i poszła ścieżką w górę, dla dodania sobie otuchy nucąc pod nosem jakąś melodię. Wątki snop światła niewiele wydobywał z ciemności. Za jej plecami cichł powoli szum rzeki.

Wyszła zza ostatniego zakrętu i zobaczyła jeepa stojącego dokładnie tam, gdzie go zostawili, z włączonymi światłami. Oświetlały gruby, szorstki pień drzewa, na którym ktoś wyciął inicjały w koślawym serduszku. Co za ironia.

Wsiadła do samochodu i spojrzała gniewnie na Zacha.

- To był błąd - powiedział.

- Nie zaprzeczam.

- Dobrze.

- Tylko nie zachowuj się tak, jakbym to ja zaczęła.

- Stało się, i tyle. Więcej się nie powtórz - odparł, wzruszając ramionami, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda. Nie uda mu się w jej obecności utrzymać rąk przy sobie.

Kilka godzin później Adria postanowiła spotkać się z Mariem, nie widziała jednak powodu, żeby informować o tym Zacha, który wpadał w furję na samo wspomnienie telefonu młodszego Polidoriego. Adria miała już dość jego nadopiekuńczości. Zachowywał się albo jak przewrażliwiony starszy brat, albo jak zazdrosny kochanek.

Pod wpływem sprzecznych emocji zdecydowała, że musi pobyć trochę sama, odzyskać jasność umysłu i zająć się na powrót tym, co jest dla niej najważniejsze i z powodu czego przyjechała do Portland. Musi dowiedzieć się, czy naprawdę jest London Danvers. Jeśli nią jest, zwycięży cały klan Danversów i odzyska prawa należne jej z urodzenia, jeśli natomiast nią nie jest... Cóż, wtedy wyjedzie. Albo zostanie kochanką Zacha. Jedno i drugie będzie pewnie prostą drogą do emocjonalnego samobójstwa.

Zaparkowała na ulicy przy starym targu owocowo-warzywnym, od którego Stefano Polidori zaczął budowę swojej fortuny. Leżący tylko kilka przecznic od hotelu „Danvers” targ był teraz zamknięty, a na jego terenie miał stanąć kolejny drapacz chmur.

Mario czekał, paląc papierosa, na rogu pod irlandzkim pubem.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział, błyskając olśniewającym uśmiechem. Rzucił papierosa na ziemię.

Adria czuła się nieswojo, ale potrafiła nad sobą zapanować.

- Powiedziałam, że przyjdę.

- Wiem, ale pomyślałem, że może twój przyjaciel zdołał cię zniechęcić. - Kolejny zniewalający uśmiech.

- Mój przyjaciel?

Mario otworzył przed nią drzwi do baru.

- Zachary Danvers. Twój brat. - Adria nagle zaschło w gardle. - Czy nie odgrywa roli twojego ochroniarza?

- Między innymi - odparła, wchodząc do zadymionego pubu. Wnętrze wypełniała głośna muzyka, śmiech i rozmowy. Brzęczały szklanki, bile uderzały o siebie z głuchym stukiem, w powietrzu świszczwały rzutki, mniej lub

bardziej celnie rzucając do wiszących na ścianach tarcz. Na prowizorycznej scenie grała jazzowa kapela, zagłuszana chwilami głosami gości.

Nie pytając Adrii o zdanie, Mario zamówił dwie kawy po irlandzku, zapalił kolejnego papierosa i przeszedł do sedna.

- Mój ojciec i ja zastanawialiśmy się, czy przemyślałaś naszą propozycję. - Wypuścił kłęb dymu kącikiem ust.

- Cóż. - Adria zaczekała, aż szczupła kelnerka, która przyniosła im kawę, odeszła i stanęła przy innym stoliku. - Prawda jest taka, że nie mogę robić żadnych interesów ani z tobą, ani z twoim ojcem. - Cienką plastikową słomką zamieszała bitą śmietaną.

- Nie wiesz, czy rzeczywiście nie możesz.

- Nie wiem tylko, kim naprawdę jestem. Ale jeśli okaże się, że jestem London Danvers, nie zgłoszę żadnych pretensji do firmy.

Mario uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

- W takim wypadku dostaniesz połowę.

- Nadal będę obca.

- Ale...

- Tam, skąd pochodzę, Mario, długo myślimy, zanim przystąpimy do działania. Krótko mówiąc, nie planuję żadnych sprzedaży ani w ogóle żadnych zmian w Danvers International. Jeśli nie natknę się na rażący brak kompetencji, nie będę niczego zmieniać.

- Cóż, jestem trochę... zaskoczony. - Mario upił łyk kawy, przyglądając się Adrii w zamyśleniu.

- Zasada jest prosta: jeśli coś dobrze działa, lepiej tego nie naprawiaj - powiedziała Adria. Przypomniały się jej długie letnie dni pełne gorącego słońca Montany i ojciec, który powtarzał jej te słowa niezliczoną ilość razy. Jej ojciec. Człowiek, który ją wychował, który tak często kładł spracowaną dłoń na jej ramieniu w geście zarezerwowanym wyłącznie dla niej. Czasami rozpaczliwie jej go brakowało i wiedziała, że jeśli nawet spłodził ją Witt Danvers, to Wiktor Nash jest i zawsze będzie jej ojcem.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił Mario, ale Adria tylko się uśmiechnęła.

- Byłaby to raczej nudna opowieść, naprawdę. Wychowałam się na farmie w Montanie. W tygodniu pracowałam, w niedziele chodziłam do kościoła. Koniec opowiadania.

- Wątpię - Mario spojrzał na nią przebiegle.

- Może ty opowiesz mi o sobie i swojej rodzinie. Wasze życie musi być znacznie ciekawsze niż zbieranie siana i robienie powideł.

- Przekomarzasz się tylko.

- Nie, naprawdę chciałabym się czegoś o tobie dowiedzieć - powiedziała. - No, dalej. Powiedz mi, jak to jest być synem Anthony'ego Polidoriego.

Mario uśmiechnął się, a w jego oczach błysnęły jakieś iskierki.

- To piekło. - Zaciągnął się dymem. - Służący, szoferzy, dwa domy w Portland, bungalow na Hawajach i willa w Meksyku. Żadne dziecko nie powinno tak strasznie cierpieć.

Adria roześmiała się rozbawiona.

Mario opowiedział jej o prywatnych katolickich szkołach i porywczym zakonnicach, zawsze gotowych linijką wymierzyć karę dzieciom, których pobożność wydawała się im nie dość szczerą. Opowiedział o przedwczesnej śmierci swojej matki, udręczonej przeprowadzami z dominującym mężem i upartym synem, i o własnych kłótniach z ojcem.

- Ale teraz jesteście sobie bliscy - zauważyła Adria.

- Kiedyś byłem młodszy. Napalony i zbuntowany. - Wyciągnął rękę nad stolikiem i dotknął wierzchu jej dłoni smukłymi palcami. - Na pewno sama wiesz, jak to jest.

- Skąd ta pewność?

- No, Adria, twoja kolej. Opowiedz mi o sobie.

Adria spojrzała w jego senne czarne oczy i doznała nagłego olśnienia, zrozumiała, że niezależnie od tego, jakie plany ma jego ojciec, Mario postanowił ją uwieść. Uśmiechnęła się kwaśno i wysunęła rękę spod jego palców. Oparła łokcie na stole, a brodę na dłoniach.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

- W sprawie Danvers International - odparł wyraźnie rozbawiony jej reakcją. Chyba lubił wyzwania. - A także dlatego, że jesteś fascynująca. Chciałbym cię lepiej poznać. - Napił się kawy, zmarszczył brwi i wsypał do kubka łyżeczkę cukru. - Czy to cię niepokoi?

- Nie - skłamała Adria. Nie ufała mu, ale wiedziała, że może dostarczyć jej interesujących informacji na temat Danversów. - Ale nie jestem łatwym kąskiem.

- Wiem o tym. I bardzo mi się to podoba. - Pstryknął palcami, patrząc na kelnerkę. - Myślę, że wiele moglibyśmy się od siebie nauczyć. - Uśmiechnął się lubieżnie.

Trisha stała w bramie po drugiej stronie ulicy. Widziała Maria - jej Maria - z Adrią i miała wrażenie, że serce

rozpada jej się powoli na tysiąc kawałków. Niezliczone poświęcenia dla niego, cała miłość, jaką go obdarzyła, wspólne chwile szczęścia i cierpienia - to wszystko nie miało dla niego żadnego znaczenia.

Gorące łzy napłynęły jej do oczu, czuła, jak dolna warga zaczyna jej niebezpiecznie drżeć. Zawsze była dumna z tego, że jest taka twarda i potrafi ukryć swój ból, który nigdy nie ustępował, nawet pod wpływem alkoholu i narkotyków.

Trzęsącymi się rękami zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno. Powinna była zakończyć romans z Mariem wiele lat temu, ale nie potrafiła tego zrobić, nie potrafiła o nim zapomnieć. Zawsze kiedy wydawało się jej, że ma to już za sobą, że odzyskała spokój, Mario przysyłał jej kwiaty albo po prostu dzwonił, a ona bez zastanowienia rzuciła mu się w ramiona. Nawet podczas swojego krótkiego małżeństwa potajemnie spotykała się z nim, okłamując męża, bo Mario był jej największym, nieuleczalnym nałogiem.

Była bardzo młodą dziewczyną, kiedy go poznała, i randki z nim dostarczały obojgu dreszczyku emocji. Ukrywali się przed jej ojcem, a także przed jego ojcem. Mario nauczył ją pić wino i palić marihuanę, a Trisha w zamian oddała mu swoje dziewictwo na tylnym siedzeniu czerwonego cadillaca należącego do jego ojca. Straciła zainteresowanie sztuką i zaczęła opuszczać lekcje, żeby spotykać się z nim nad rzeką, w pokojach wynajmowanych na godziny albo na okolicznych polach - wszędzie, gdzie mogli czuć się wolni i nieskrępowani, gdzie mogli śmiać się ze swoich nieustępliwych starych ojców i ich głupiej waśni.

Teraz Trisha patrzyła w okna irlandzkiego pubu i czuła, jak coś ściska ją za gardło. Mario odrzucił właśnie głowę w tył i zaśmiał się, błyskając swoimi białymi zębami. Zrobiło jej się słabo, zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Nie, nie zostanie tu ani chwili dłużej, żeby patrzeć, jak upokarza ją z tą kobietą, z tą wredną dziwką, która uważa się za London.

Na myśl o swojej przyrodniej siostrze Trishy zrobiło się niedobrze. Ciężko jej będzie pogodzić się z utratą Maria, zwłaszcza z powodu kogoś, kto udaje, że jest London. London, która odebrała im wszystkim zainteresowanie i uczucie ojca, London, która od urodzenia zapowiadała się na skończoną piękność. London, księżniczkę, największy skarb Danversów.

Walcząc z mdłościami, Trisha odwróciła wzrok od okna i ruszyła do swojego samochodu. Szła coraz szybciej, ściskając papierosa w zębach, zaciągając się coraz częściej i coraz mocniej. Buty na wysokich obcasach stukały na chodniku jak odjeżdżający pociąg. Pod powiekami poczuła znowu piekące łzy i przysięgła sobie, że Mario słono, bardzo słono zapłaci jej za ten policzek. Wypluła z ust niedopałek i pobięła do samochodu, próbując wymazać z pamięci obraz Maria, roześmianego, przekomarzającego się w pubie z tą oszustką.

Chce ją uwieść, to pewne. Mario zawsze uważał się za niezwykle utalentowanego kochanka, a Trisha dobrze wiedziała, że to prawda. Niestety, jego apetyt na seks był równie wielki jak jego zdolności. Mario nigdy nie był jej wiemy, nawet wtedy, kiedy Trisha była w ciąży. Pamięta tamtą noc tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Zdobyła się w końcu na to, żeby powiedzieć mu o dziecku.

Tamtego wieczoru kochali się w tanim hoteliku w pobliżu lotniska. Na zimnym ciele Maria wciąż jeszcze lśniły krople potu. Trisha położyła się obok niego i przesunęła palcami po jego ramieniu.

- Znam pewną tajemnicę - powiedziała, kiedy sięgnął po paczkę papierosów.

- Naprawdę? - Zapalił i wydmuchnął kłęb dymu kącikiem ust. - Co to za tajemnica? - spytał z uśmiechem.

- To coś bardzo niezwykłego. Szczególnego.

- Tak?

- Zostaniesz ojcem.

Odpowiedziała jej cisza. Martwa cisza.

- We wrześnie - ciągnęła, widząc, jak marszczy brwi i wydmuchuje gniewnie dym nosem. Spojrzał na nią zimno, a potem nagle uśmiechnął się zwycięskim, szerokim uśmiechem i Trisha poczuła, że wszystko będzie dobrze.

- Ojcem? Ja? Akurat - powiedział sarkastycznie i zaśmiał się, klepiąc ją po pośladku. - Dobry kawał, Trisha, prawie udało ci się mnie nabrać.

Trisha zeszywniała i poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Wyobrażała sobie tę scenę tysiące razy i marzyła, że on uśmiechną się ciepło, przytuli ją, weźmie na ręce i poprosi o rękę. Naiwnie sądziła nawet, że ich miłość - i ich dziecko, ich cudowne słodkie małżeństwo - położą kres niezgodzie od lat panującej między ich rodzinami. Że miłość zwycięży nienawiść.

- Żartowałaś, prawda? - zapytał, widząc łzy spływające jej po policzkach.

- Będę miała dziecko, Mario - rzuciła ze złością, wyskoczyła z łóżka i wciągnęła przez głowę sweter. - Z tobą.

Mario patrzył na nią nieruchomym wzrokiem przez kilka sekund, zapomniany papieros żałośnie zwisał mu z kącika ust.

- Nie...

- To nie żarty, do cholery, to prawda. Czy ci się to podoba, czy nie, zostaniemy wkrótce rodzicami.

- O, Boże, Trisha, jak mogłaś mi to zrobić? - Wyszpełtał z pobladałą twarzą. Potarł dłonią czoło, jakby chciał wymazać tę rozmowę z pamięci.

- To nie ja to zrobiłam, ale my.

- Ale... Jesteś pewna?

- Zrobiłam test w klinice.
- Cholera. - Mario rzucił się na materac, zasłaniając twarz dłońmi. - Jak to się mogło stać?
- Chyba wiesz, jak to się dzieje.
- Ale to najgorszy moment, jaki można sobie wyobrazić. Mój stary...
- Na litość boską, Mario! Nie planowałam tego. Przykro mi, jeśli to dla ciebie tak wielki problem - powiedziała, w środku aż skręcając się z bólu. Cały pokój zadrżał, nad motelem przeleciał właśnie wielki odrzutowiec. Trisha miała wrażenie, że umiera.

Mario zgasił papierosa i spojrzął na nią z ukosa. Raptem jakby dotarło do niego, jaka jest zrozpaczona. Otworzył ramiona i wskazał miejsce koło siebie na łóżku.

- Chodź, Trisha. To jeszcze nie koniec świata.
- To cud - odparła, gotowa bronić swojego nienarodzonego dziecka. - Prawdziwy cud.
- Oczywiście. To cud.

Spojrziała na niego z niedowierzaniem i jej oczy znowu napęłniły się łzami.

- Nie cieszysz się.
- Ależ oczywiście, że się cieszę- powiedział posępnie. - Tylko... jestem bardzo zaskoczony, nie, jestem zaszokowany tym wszystkim. Do diabła, to nie jest wiadomość, jaką się słyszy co dzień. - Poklepał łóżko i Trisha usiadła na brzegu poplamionego materaca. Objął ją silnym ramieniem, a ona znowu chciała mu zaufać, uwierzyć w ich miłość. Jego oddech, ciepły, pachnący dymem, połaskotał ją w ucho.

- Chcesz go, prawda? Chcesz tego dziecka?

- Och tak, oczywiście, że tak.

Trisha uspokoiła się trochę, choć wołałaby, żeby to powiedział z większym przekonaniem.

- Zdaje się, że nadeszła ta chwila, kiedy powinienem poprosić de o rękę, co?

Połykając łzy, Trisha kiwnęła głową.

- Myślę, że to byłoby na miejscu.

- Na miejscu, jasne. Ja zawsze przecież robię, co trzeba. No, więc proszę. Trisha, wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, że tak! - wykrzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję i przewracając się wraz z nim na łóżko. - Kocham cię, Mario, zawsze cię kochałam i będę cię kochać do dnia mojej śmierci.

- Moja dziewczynka - odparł, całując ją i dotykając jej piersi ukrytych teraz pod swetrem. Wspiął się na nią i bez dalszych czułości kochał się z nią dziko, gwałtownie, jakby walcząc z jakimś wewnętrznym demonem, którego tylko taki ostry, wściekły seks mógł ujarzmić.

Dwa tygodnie później powiedzieli o wszystkim rodzicom i obu ojców, Witta i Anthony'ego, załaza krew.

Mario twierdził, że ojciec nazwał go tępym kutasem i kategorycznie zabronił mu kiedykolwiek spotkać się z Trisha. Jeśli Mario odczuje potrzebę zabawienia się z dziewczyną, Anthony znajdzie mu kilka czystych dziwek. Jeśli zapragnie zakochać się i ożenić, w sąsiedztwie mieszka ta miła dziewczyna z rodziny Lanzów. A jeśli znowu przyjdzie mu do głowy zmajstrować komuś dzieciaka, Anthony przerobi go na mięso do spaghetti. Ma przestać myśleć futem i zacząć słuchać głosu rozsądku. Anthony podsunął mu alternatywę - pod postacią Cynthii Lanzy, miłej katolickiej dziewczyny o wielkim biuście i małym rozumku - ale Mario nie był zainteresowany. Anthony jednak poważnie ostrzegł syna przed konsekwencjami dalszych spotkań z Trisha i uzyskał od niego stosowne przyrzeczenie.

Mario złamał je już tydzień później i opowiedział Trishy ze szczegółami o awanturze z ojcem. Trisha miała wrażenie, że bardzo mu ulżyło.

Witt był jeszcze bardziej wściekły niż Anthony. Kiedy Trisha powiadomiła go o ciąży i związanych z nią planach, pracował akurat w swoim gabinecie. Gdy treść jej słów w końcu do niego dotarła i zrozumiał, że dobrze słyszy, jego twarz nabrała barwy czerwieni wpadającej w fiolet. Trisha zaczęła się obawiać o swoje życie.

- Nigdy nie wyjdiesz za tego brudnego, śmierdzącego Włocha! - ryknął Witt, wstał zza biurka i ruszył do niej, po drodze kopiąc z furją cenną antyczną wazę, która rozprysła się na milion kawałków.

- Nie powstrzymasz mnie! - Trisha potrafiła być równie uparta jak ojciec.

- Jesteś jeszcze nieletnia. Masz szesnaście lat, do cholery! Moglibyśmy oskarżyć tego gnojka o gwałt.

- On mnie kocha, tato. Chce mnie poślubić.

- Po moim trupie! - wył Witt z twarzą wykrzywioną wściekłością i na- biegłymi krwią oczami. - Wpadłaś, źle się stało, ale można zapobiec najgorszemu. Jest jeszcze czas.

- O czym ty mówisz? - Trisha nie chciała zrozumieć, ale nagle do jej serca zakradł się zimny strach.

- Znam lekarza, który...

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy nie usunę tej ciąży! O Boże, tato, nie mówisz tego poważnie! - Cofnęła się przerażona. Stracić dziecko? Nie! Raczej ucieknie z domu, niż pozwoli ojcu zmusić ją do skrobanki. Obronnym gestem zasłoniła brzuch rękami.

- Albo załatwimy tę sprawę po mojemu - wysyczał Witt z grymasem nienawiści na twarzy - albo doprowadzę do aresztowania tego chłopaka. I nie przeciągaj struny, Trisha, bo niczego nie chciałbym bardziej, niż zobaczyć jedynego synalka Polidorich w pierdlu.

- Nie zrobiłbyś...

W oczach Witta zalśniła nienawiść.

- On cię zhańbił. Zgwałcił, a w dodatku zrobił ci dziecko. Wykorzystał cię jak pospolitą dziwkę. I jeśli sądzisz, że pozwolę ci urodzić tego brudnego włoskiego bękarta, to bardzo się mylisz.

- Ja nie...

Witt podniósł dłoń z zamiarem uderzenia córki i Trisha krzyknęła przerażona.

- Ja się tym zajmę. - Do pokoju weszła Kat, zupełnie jakby podsłuchiwała pod drzwiami i czekała na właściwy moment, żeby pojawić się na scenie.

- To moja córka.

- Właśnie tracisz już panowanie nad sobą. - Kat zacisnęła usta. - Powiedziałam, że się tym zajmę. To kobiece sprawy.

- Nie zmienię zdania - warknął Witt i wyszedł z gabinetu, kopniakiem otwierając drzwi.

Kat zamknęła je za nim cicho, zamek szczęknął głucho, jakby ostateczna decyzja już zapadła i wszystko było przesądzone. Trisha poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Wiedziała już, że przegrała.

- No, Trisha, porozmawiajmy rozsądnie o tym, co się stało - powiedziała Kat. - Wiem, że jesteś teraz bardzo zdenerwowana, a twój ojciec, no cóż, on też. Ale to dlatego, że tak bardzo cię kocha.

- Gówno prawda!

- Kocha cię na swój sposób. Ale równie mocno, jak kocha ciebie, nienawidzi Polidorich. I nie żartuje. Naprawdę ma zamiar skierować sprawę do sądu. Mario spędzi pewnie sporo czasu w więzieniu. Myślisz, że to będzie dobre dla ciebie i dziecka?

Trisha łkała cicho, poddając się już powoli presji rodziny, bezustannej i nieubłaganej jak chińska tortura wody. Kropla za kroplą, sekunda po sekundzie, minuta po minucie, godzina za godziną i dzień po dniu jej ojciec będzie na nią naciskał, aż w końcu przeprowadzi swoją wolę. Zawsze tak było. Dziecko niczego tu nie zmieni.

Ostatecznie Kat przekonała ją, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem - najlepszym dla wszystkich - jest aborcja. Następnego dnia, zanim Trisha zdążyła zmienić zdanie, zawiozła ją do prywatnej kliniki, gdzie dyskretnie załatwiano takie sprawy. Trisha pozbyła dziecka, jedynej rzeczy - jedynej istoty - jaka kiedykolwiek miała dla niej znaczenie.

Nigdy więcej nie zaszła w ciążę. Straciła dziecko i miłość Maria. Twierdził wprawdzie, że nadal mu na niej zależy, ale ich związek już nigdy nie był taki jak przedtem. Utracili niewinność, którą przedtem dzielili.

Teraz, wiele strasznych lat później, Trisha oparła głowę o kierownicę swojego sportowego samochodu. Ona i Mario byli tylko ukrywającymi się kochankami, wymykającymi się pod osłoną ciemności na zakazane rendez-vous. Łączył ich wyłącznie seks, nic więcej. Trisha nawet przed sobą nie chciała się przyznać, że nadal kocha Maria, ale zawsze coś przypominało jej o tym uczuciu i budziło dawne, pogrzebane już emocje, jakby ten mały okrucieństwo życia, któremu tak krótko pozwolono istnieć, połączył ją z Mariem na zawsze.

Miłość, a także towarzysząca jej zazdrość i pragnienie wyłączności zawsze w końcu wypływały na powierzchnię. Będzie kochać Maria do ostatniego tchu. Tego wieczoru, patrząc na Maria rozmawiającego z Adrią, Trisha wiała się z bólu i poczucia straty, z miłości i zazdrości. Uczucia te jednak wkrótce stłumiła wszechogarniająca nienawiść, do białości rozpalająca jej ciało i umysł.

Mario był z Adrią.

Z piękną Adrią, tak podobną do Kat. Zbyt podobną do London.

18

Wychodzę - powiedział Jason, zatrzymując się przy drzwiach sypialni swojej żony.

- O tej porze? - Nicole w szlafroku czesała włosy przy toalecie. Spojrzała na niego w lustrze, zastanawiając się, jak mogła być kiedyś tak głupia, by wierzyć, że on ją kocha. Spojrzała na zegarek. - Po co?

- Mam późne spotkanie.

- Jest już prawie północ - odparła zła, że w jej głosie znowu pobrzmiwa płaczliwa nuta.

- Wiem.

Nicole zamknęła oczy, próbując wziąć się w garść. Odłożyła szczotkę.

- Wiesz, Jason - powiedziała spokojnie - powinnam się z tobą po prostu rozwieść i mieć to wszystko za sobą. Nie musiałbyś wtedy ciągle kłamać.

- Nie kła...

- Proszę - podniosła wypielegnowaną dłoń. - Daj spokój, dobrze?

Kiedy spojrzała na niego, Jason uśmiechał się sztucznie. Zdążyła szczerze zniechęcić ten uśmiech, który zdawał się przeznaczony wyłącznie dla niej.

- Za gorąco ci się zrobiło na tej patelni, kochanie?

Nicole zrobiło się niedobrze przy tym pieszczotliwym określeniu.

Jak bardzo oddalili się od siebie w ciągu tych wszystkich lat. Za daleko, by mogli się jeszcze kiedyś odnaleźć.

- To nie patelnia jest za gorąca, tylko twoja kochanka, która aż płonie z niecierpliwości - odparła spokojnie, choć gotowała się w środku. Myślała, że przestała go kochać wiele lat temu, ale jego kłamstwa nadal ją raniły. Miał

przynajmniej dość przyzwoitości, by zblednąć. - Dzwoniła tu Kim, tak? Ta blondyneczka z nogami do samej ziemi, ale za to bez biustu? - Nicole wklepywała delikatnie krem nawilżający w skórę twarzy. Zabieg miał opóźnić pojawianie się szpecących zmarszczek. - Nie sądziłeś chyba, że o tym nie wiem?

Jason nadał się trochę, tak jak to miał w zwyczaju, kiedy w sądzie zdarzyło mu się trafić na szczególnie krnąbrnego świadka.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Przestań, Jason - Nicole wtarła nadmiar kremu w dłonie. - Choć pewnie tego byś sobie życzył, nie jestem głupia i wiem, co jest grane z tą waszą nową London. Boisz się, prawda? - Odrzuciła jasne włosy na plecy i zdjęła kolczyki - diamenty otoczone szafirami - które zamigotały w miękkim świetle lamp wokół lustra. Sama je wybrała, a Jason kupił z okazji ich piątej, a może szóstej rocznicy ślubu. - Ta nowa London rzeczywiście mogłaby być twoją siostrą.

- Nie sądzę.

Czasem, kiedy udało się jej spojrzeć na niego z dystansu, bez emocji, nawet bawiło ją obserwowanie go, jak kłamie. Robił to z takim wdziękiem, z takim... przekonaniem, jakby sam wierzył we wszystkie bzdury wychodzące gładko z jego ust.

- Zachary nie siedziałby w mieście, gdyby sprawa nie była poważna - powiedziała. - Nelson wygląda, jakby był na skraju załamania nerwowego, z Trishą jest gorzej niż kiedykolwiek - dostają dreszczy na myśl o tym, co jej jeszcze może przyjść do głowy - a twoja matka, która zazwyczaj trzyma się na uboczu, nagle zaczęła się bardzo interesować rodziną. O, ty się boisz - powiedziała, wrzucając kolczyki do obitej aksamitem szkatułki i zamykając ją z trzaskiem. - Wszyscy się boicie, i to bardzo.

- A ty nie? - Jason stanął za żoną i delikatnie objął jej szyję dłońmi. Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Nicole uniosła podbródek, jakby nagle poczuła ucisk i chciała się uwolnić. Tak łatwo byłoby mu zacisnąć palce i udusić ją, ale Nicole nie czuła strachu. Spojrzała tylko znacząco na oprawione zdjęcie stojące w rogu toaletki.

Ich córka Shelly, roześmiana, z włosami rozwianymi wiatrem wiejącym od oceanu, patrzyła na nich ze zdjęcia. Shelly była tą jedną rzeczą w małżeństwie, na której obojgu zależało. Jedyną.

Jason opuścił wzrok na fotografię i rozluźnił palce. Nigdy nie zrobiłby nic, przez co mógłby stracić Shelly, ponieważ podobnie jak Witt nie widział świata poza ukochaną córką. W jego oczach była ideałem i nic, co zrobiła czy powiedziała, nie mogło być złe. Małe diablątko owinęło go sobie wokół palca.

- Wiesz, nie chciałabym, żeby zaszła jakaś drastyczna zmiana - powiedziała Nicole miękko, choć w jej głosie brzmiała ledwo dosłyszalna, twarda jak stal nuta. - To miałyby fatalny wpływ na Shelly.

Uśmiech Jasona przybladł.

- Dzieciaki wiele przetrzymają.

- Naprawdę? - spytała ostro. - A ty?

- Nie narzekam.

- Czyżby? Nie byłabym tego taka pewna. Są jeszcze twoi bracia i siostra...

Spojrzał jej w oczy w lustrze.

- Zachary zawsze spada na cztery łapy. A inni... Kto to wie? - odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Nie życzę sobie wywekowania naszych spraw na widok publiczny, Jason. Jeśli twoja przyjaciółeczka ma zamiar prać brudy na ulicy, wiedz, że ani ja, ani Shelly nie damy się w to wciągnąć. Albo przestań się spotykać z tą małą dziwką, albo ją kontroluj. Jest mi obojętne, na co się zdecydujesz. - Nie do końca była to prawda, obchodziło ją to, niemiała była jej też myśl, że inna, młodsza kobieta może zawrócić mu w głowie, miała jednak dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że Jason nie należy do mężczyzn, którym do szczęścia wystarcza żona. Chciał być nieustannie podziwiany i adorowany, a do rozgrzania w łóżku potrzebował czegoś więcej niż tylko termoforu. Potrzebował czegoś, co połaskocze jego uzależnione od pieczyt ego.

Na myśl o tym, co mąż wyprawia za jej plecami, robiło się jej niedobrze, ale nauczyła się z tym żyć. Dla Shelly. Ale będzie tolerować tę sytuację, tylko dopóki jedna z tych głupich dziewczyn nie wpadnie na pomysł, żeby sprzedać historię swojego romansu z Jasonem pierwszej z brzegu gazecie, która zechce ją kupić. Dotychczas nie miała powodów, by się obawiać, że tak się stanie, ale z Kim sprawa była poważniejsza. Trzeba mieć niezły tupet - do diabła, trzeba było mieć jaja ze stali - żeby zadzwonić do Jasona Danversa i zacząć stawiać żądania.

Sytuacja zmieniła się, kiedy do miasta przybyła niejaka panna Nash, i to nie na lepsze.

Rozległo się donośne pukanie do frontowych drzwi. Serce podeszło jej do gardła. Co teraz? Przeszło jej przez myśl, że to może być Kim, zdesperowana na tyle, by mieć czelność osobiście się tu pokazać. Jason podał jej pewnie kod otwierający bramę i Kim postanowiła doprowadzić do konfrontacji.

Shelly! Pomyślała o córce. Nie, Shelly nie może spotkać tej kobiety! Chwyciła satynowy szlafroczek leżący na brzegu łóżka, wciągnęła go pospiesznie i wypadła na korytarz, w biegu zawiązując pasek. Ta wywłoka nie może pokazać się jej córce. Jason wyprzedzał ją o dwa kroki i to on otworzył drzwi, wpuszczając do środka powiew zimnego, nocnego wiatru.

Zachary, w dzinsach i sportowej kurtce, wyglądał obco w domu, w którym spędził dzieciństwo. Był spięty, a

niespokojna energia, którą Nicole zawsze łączyła z jego osobą, nagle wypełniła dom i udzieliła się jego mieszkańcom. Emanowała z całej jego postaci, z jego ruchów i rzucanych wokół nerwowych spojrzeń. Ciemne, zbyt długie włosy były w nieładzie, mógłby się też w końcu ogolić - wyglądał, jakby dopiero co przyjechał z rancza. Był przy tym tak zniewalająco atrakcyjny, że Nicole unikała jego wzroku w obawie, że dostrzeże w jego szarych oczach słodką obietnicę upojenia.

Wskazała mu krzesło, ale Zach tylko potrząsnął głową i spojrzał na brata.

- Chcę numer Sweeny'ego.

- Właśnie wychodziłem... - zaczął Jason.

- Teraz?

- Mam późne spotkanie.

Zach nie naciskał, jakby to, co robi brat ze swoim czasem, zupełnie go nie interesowało.

- Świetnie. To idź, tylko daj mi ten numer.

- Sweeny wyjechał z miasta. - Teraz Jason zaczął się denerwować.

- Więc mi powiedz, jak mogę go złapać. - Zach powiedział to tonem, który dobitnie świadczył o tym, że tym razem lepiej mu się nie sprzeciwiać.

- Przyjeżdża i wyjeżdża, ciągle teraz podróżuje, więc naprawdę trudno się z nim skontaktować - odparł Jason niepewnie. Tracił panowanie nad sobą. Wyćwiczoną przez lata pracy w sądzie pokerową twarz diabli wzięli. Nicole natychmiast zorientowała się, że znowu kłamie. Ale kłamstwa z większą trudnością przechodziły mu przez gardło, kiedy patrzył na twardą, surową twarz brata. Czy ten łańcuch oszustw naprawdę nie ma końca?

Oczy Zacha pociemniały.

- Daj mi ten cholerny numer, Jason, albo go wykręć. Chcę z nim porozmawiać.

Jason cofnął się o krok.

- Wygląda na to, że powinieneś się napić. Mam butelkę...

- Nie mam ochoty się napić - rzucił ostro Zach. - Dawaj numer.

Jason spojrzał na brata i w końcu się poddał.

- Dobrze. Chodź do gabinetu. - Spojrzał na zegarek. - W Memphis jest teraz prawie druga.

- To dobrze, mam szansę go zastać.

- Ale może śpi.

- Więc się obudzi. - Zach nie krył napięcia, w jakim się znajdował od czasu, gdy trzymał Adrię w objęciach. Jej usta obiecywały wszystko, co najśłodsze, odrzuciła głowę ruchem całkowitego poddania, napierając na niego obciążonymi delikatną koronką piersiami. Niewiele brakowało, a kochałby się z nią tam, nad rzeką. Była taka miękka, taka chętna i uległa. Całując się z nią, musiał stoczyć ze sobą walkę, kłął, na czym świat stoi, dotykając jej piersi, i prawie stracił rozum, kiedy wyczuł wargami jej sutek. Nigdy w życiu nie był tak podniecony. Nigdy niczego więcej nie chciał. Nigdy też jego własne żądze nie wzbudzały w nim takiego obrzydzenia.

Na samą myśl o tym poczuł przypływ podniecenia. Wsadził rękę do kieszeni, żeby ukryć wybrzuszenie formujące się w spodniach. Jason pokazał mu numer nabazgrany na wierzchniej stronie notesu leżącego na biurku. Przytrzymując słuchawkę brodą, Zach wystukał numer i czekał, niecierpliwie bębniąc palcami o blat biurka.

- No, dalej - mruczał.

Jason zamknął drzwi gabinetu. Sweeny odebrał po siódmym sygnale.

- Taaak?

- Mówi Zachary Danvers.

- Jezu, wiesz, która godzina?

- Czego się dowiedziałeś?

- Miałem zamiar zadzwonić do Jasona rano.

Zach rzucił okiem na zegarek.

- No to masz szczęście. Jest już rano, a obok siedzi Jason.

- Jesteś kopnięty, Danvers. - Głos w słuchawce brzmiał teraz przytomniej, Zach usłyszał pstryknięcie zapalniczki.

- No dobra, na razie jest tego niewiele, ale zawsze coś. - Zach wstrzymał oddech. Jeśli Sweeny dowiedział się, że Adria nie jest London, to znaczy, że ma do czynienia z tanią oszustką, poszukiwaczką przygód. Ale jeśli odkrył, że nią jest... do diabła, to gorzej, bo w takim wypadku jest z nią spokrewniony. Serce waliło mu jak młotem. Tak czy inaczej, nic dobrego z tego nie wyniknie. - Ale to było jak szukanie igły w stogu siana - ciągnął Sweeny - albo właściwego fragmentu puzzli na samym początku jakiegoś dużego obrazka, kiedy wydaje ci się, że każdy może pasować. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odparł Zach niecierpliwie.

- No właśnie. Więc miałem tu długą listę ludzi o tym nazwisku, ale udało mi się zawęzić krąg podejrzanych i wygląda na to, że facet, który ożenił się z Ginny Slade, przeniósł się jakiś czas temu do Kentucky. Do Lexington, o ile się nie mylę. Jutro mam zamiar złożyć mu wizytę.

- Masz jego numer?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Masz czy nie?

- Jasne, że mam, ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie pojawić się u niego osobiście. Kiedy już wpuścisz kogoś do mieszkania, nie możesz odłożyć słuchawki przy pierwszym niewygodnym pytaniu.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Spokojnie, chłopcze. Będziesz miał okazję - powiedział Sweeny łagodnie - ale pozwól mi przełamać pierwsze lody. Zadzwoń, jak tylko zdobędę więcej informacji. Zostawię wiadomość Jasonowi.

- Gdzie się zatrzymasz? - spytał Zach.

- Gdzie się zatrzymam? Dobre pytanie. Może w pieprzonym „Ritzu”? Albo w hotelu „Danvers”, macie jakiś w Kentucky? Skąd, do cholery, mam wiedzieć, gdzie się zatrzymam?! - wrzasnął Oswald zirytowany i rzucił słuchawkę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał Jason, nalewając whisky do dwóch szklanek z rżniętego kryształu i patrząc na brata podejrzliwie.

- Mam już po prostu dość czekania i nie ufam Sweeny’emu.

- Ja też nie, ale on umie trzymać język za zębami, a kiedy się czegoś dowie, szybko nam o tym doniesie. Tylko że to kosztuje. Tak przy okazji, gdzie jest Adria? Ukryłeś ją gdzieś?

Zach nie odpowiedział i Jason uśmiechnął się krzywo.

- Postanowiłeś zatrzymać ją dla siebie?

- Zdaje się, chciałeś, żeby się zbytnio nie rzucała w oczy.

- Była już w telewizji i w kilku gazetach. Nie powiem, żeby się nie rzucała w oczy. - Jason podszedł do biurka, wysunął szufladę i wyciągnął z niej plik kserokopii i faksów. - Była nawet w międzynarodowym serwisie, wiesz chyba... I nie chodzi mi tylko o tę wzmiankę w AP. Dzwonią wszystkie sieci i gazety, w tym kilka wschodnich. Nie można włączyć tego cholernego telewizora, żeby ktoś nie mówił o niej przynajmniej na jednym kanale, a dziennikarze całymi dniami okupują hol w firmie.

- Darmowa reklama - zadrwił Zach.

- Idź do diabła. - Jason wychylił swoją whisky. - Tu, w domu, też się już zaczęło. To bardzo denerwuje Nicole i Shelly, a ja... ja czuję się tak jak wtedy, kiedy London została porwana. - Ci wszyscy dziennikarze biwakujący przed bramą...

Zach pamiętał tłum reporterów zarzucających rodzinę pytaniami, dzwoniących o każdej porze dnia i nocy, czuwających nocą przed bramą domu. Teraz też siedzieli w holu hotelowym, jak dowiedział się od swoich pracowników, którzy ciągle jeszcze robili tam drobne naprawy. Nawet w jego biurze w Bend nie było bezpiecznie - Terry dzwoniła, donosząc, że kilku dziennikarzy szukało go tam po tym, jak Adria wystąpiła w telewizji.

- Jest gorzej, niż przypuszczałem - stwierdził Jason, znowu sięgając po butelkę. - Nawet prawnicy już się niepokoją. Chcą rozmawiać z panną Nash, ale poradziłem im, żeby jeszcze trochę poczekali.

- Pozwól, że ja się nią zajmę. - Zach nie chciał, żeby żadne krwi stado prawników rodziny chwyciło ją w swoje szpony. Niecierpliwie przeczesał palcami włosy.

- Wynajęła już prawnika?

Zach wzruszył ramionami.

- Nie sądzę. Ale wyszła dziś wieczorem z Mariem Polidorim.

- Z Polidorim? - Twarz Jasona wyrażała niedowierzanie i odrazę. - Po co?

- Nie wiem. Nie powiedziała.

- A więc sępy już krążą. Świetnie, Zach, po prostu świetnie - powiedział sarkastycznie i wycelował palec wskazujący w młodszego brata. - Nie możesz pozwolić mu się do niej dostać.

- To nie moja sprawa.

- Jasne! Polidori pod zasłoną dymną różnych holdingów, cichych partnerów i swoich ludzi od lat próbował wykupywać wszystko, co tylko należy do Danvers International: hotel, ziemię, nieruchomości, nawet kilka tartaków. Kup coś, a on zaraz tego chce. Interesuje go wszystko, na czym widnieje nasze logo. Na razie udaje się nam trzymać go z dala od naszych interesów.

- A co, jego pieniądze są gorsze od innych?

- Tu nie chodzi o pieniądze, ale o ideę. On chce tego, co jest nasze - odparł Jason i Zach nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Co za ironia.

- Czy to nie ty powiedziałeś, że zawsze chodzi o pieniądze?

- Nie w wypadku Polidorich. Im chodzi o zemstę - powiedział Jason, patrząc ponuro w swoją szklankę. Zach nie zaprzeczył. Odkąd sięgał pamięcią, słyszał, że Polidori to nic dobrego, brudni makaroniarze, najgorsi w swoim rodzaju. Dorastając, wyrobił sobie na ten temat - jak i na wiele innych - własne zdanie, ale ciągle im nie ufał. Zwłaszcza jeśli w grę wchodziła Adria.

Zanim Jason zdążył zadać pytanie, na które nie miałby ochoty udzielać odpowiedzi, Zachary wstał i wyszedł. Zdenerwowanie Jasona zaczęło mu się udzielać.

Pojechał do miasta i zatrzymał się przed hotelem „Danvers”. Wziął pozostawioną dla niego dokumentację i plik wiadomości. Przejrzał je szybko i wyrzucił do kosza. Dziennikarze, dziennikarze i jeszcze raz dziennikarze. Jeśli o

to chodzi, Jason miał rację- jak tylko sępy wyczują skandal, będą krążyć tak długo, aż każdy wyrwie dla siebie krwawy ochłap.

Wsiadł do jeepa i wyruszył z powrotem do Adrii. Mocniej wcisnął pedał gazu. Prawda jest taka, że niepokoiło go jej spotkanie z Polidorim, choć niepokój ten nie miał nic wspólnego z wrogością panującą od lat między rodzinami ani nawet z London Danvers. Problem leżał dużo głębiej. Czy też może niżej, bo koncentrował się poniżej pasa. Czy mu się to podoba, czy nie, był zazdrosny. Pędząc krętą drogą na złamanie karku, nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą. W głębi duszy wiedział jednak, że nie życzy sobie, by Adria spotykała się z jakimkolwiek innym mężczyzną.

- Idiota - mruknął do siebie i włączył radio. Mrużąc oczy przed światłami nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów, wysłuchał półgodzinnej audycji poświęconej nagraniom Bruce'a Springsteena, ale nie potrafił skupić się na tekstach piosenek. Nie mógł przestać myśleć o Adrii. Chryste, co on ma z nią zrobić? Wiedział oczywiście, czego chce - było to albo niesmaczne, albo po prostu głupie, a może trochę jedno i drugie, w zależności od tego, kim ta dziewczyna naprawdę jest.

Adria podjechała pod motel „Fir Glen” i zaparkowała, usiłując stłumić uczucie rozczarowania. Jeepa Zacha nie było w zasięgu wzroku, a widok małego brzydkiego motelu z kilkoma zaledwie światłami w brudnych oknach nie podniósł jej specjalnie na duchu. W dodatku zaczęła ją boleć głowa. Spotkanie z Mariem wyczerpało ją kompletnie. Dowiedziała się wprawdzie trochę na temat rodziny Polidorich i ich konfliktu z Danversami, ale cały wieczór siedziała jak na szpilkach. Zainteresowanie Maria szybko przekroczyło granice zwykłej kurtuazji i zmierzało w kierunku, który jej zupełnie nie odpowiadał. Bezbłędnie rozpoznała ten błysk, który zapala się w oczach mężczyzn jego pokroju, kiedy trafią na prawdziwe wyzwanie. Wyglądał, jakby nagle postanowił ją uwieść, i nie ustawał w wysiłkach, by tego dokonać. Na początku mówiła sobie, że ulega złudzeniu, że na pewno mylnie interpretuje jego zachowanie. Ale w miarę upływu czasu Mario stawał się coraz śmielszy, uśmiechał się coraz bardziej znacząco, przysuwał się coraz bliżej i w końcu dotarło do niej, że planuje spędzić z nią tę noc. Nie dlatego że faktycznie uznał ją za fascynującą. Po prostu była czymś nowym, była zastrzykiem świeżej krwi - być może krwi Danversów - i wyzwaniem dla tego zepsutego powodzeniem bawidamka. A Mario Polidori uwielbiał wyzwania.

Na myśl o tym, że mogłaby być kolejną pozycją na długiej liście jego podbojów, zrobiło jej się niedobrze. Próbowала sobie wytłumaczyć, że powinno jej to pochlebiać, że przecież tylko z nią flirtował, ale w głębi duszy wiedziała, że igra z ogniem i z ulgą pożegnała w końcu rozpalonego Włocha. Może, pomyślała, wyłączając silnik, kazania jej matki na temat nieczystej żądz zapadły jednak głęboko w jej młode serce.

Ale myśl o miłości z Zacharym tak cię nie przeraża, a związananie się z nim może być bardziej niż niebezpieczne.

Zagryzła wargi i postanowiła nie myśleć już tego dnia o niczym, co mogłoby ją jeszcze bardziej rozstroić. Przypomniała sobie, jak niewiele brakowało, żeby naprawdę kochała się z Zachem. Bardzo niewiele. W ostatniej chwili cofnęła nogę znad przepaści. Jeszcze chwila, a byłoby dla niej za późno. Na wspomnienie jego ust przesuujących się jej po ciele zrobiło się jej nagle gorąco.

- Dość tego! - Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki i wysiadła z samochodu.

Wiał zimny wiatr. Adria, rozcierając ramiona, przeszła szybko żwirową ścieżką do motelu, otworzyła drzwi i sięgnęła, żeby włączyć światło. Ale nie zdążyła. Ktoś całym ciężarem ciała rzucił się na nią i przewrócił na podłogę. Uderzenie było tak silne, że na chwilę zabrakło jej tchu w piersi. Upadając, uderzyła głową o podłogę. Próbowала się podnieść, ale napastnik był silny. Ciężki. Przyciskał ją do ziemi z nieludzką siłą.

Poczuła rozdzierający ból w plecach. Krzyknęła. Przed oczami stanął jej nagle dzień sprzed wielu lat, kiedy Tommy Sinclair miażdżył jej żebra. Poczuła ból i gniew.

- Nie!

- Zostaw mnie! Kim jesteś? Dlaczego mi to robisz?

Napastnik trzymał ją twarzą do podłogi i Adria prawie nie mogła oddychać, nie mówiąc o wzywaniu pomocy.

- Dzwinka! - powiedział chrapliwy głos, kiedy spróbowała się uwolnić.

Zrobiło jej się zimno ze strachu. Próbowала krzyczeć, ale dłoń w rękawiczce zatkała jej usta. Dokładnie jak Tommy! Ogarnęło ją nieopisane przerażenie.

- Nigdy się nie nauczysz, co? Ty głupia dzwinka.

O Boże.

Znowu spróbowała się podnieść, ale natychmiast poczuła kolano na plecach. Usiłując zapanować nad strachem, zaczęła wierzgać dziko i machać rękami, żeby za wszelką cenę zrzucić ten straszliwy ciężar z pleców.

W zamian otrzymała tak brutalny cios w głowę, że miała wrażenie, iż mózg eksploduje jej pod czaszką. Przed oczami stanęły jej gwiazdy, ale zaraz oślepił ją ból i poczuła mdłości.

- Ty chciwa idiotko.

Czyj to głos? Czy już go kiedyś słyszała? Czuiła w powietrzu krew i strach, ale doleciał ją też zapach czegoś jeszcze, jakby rzadko spotykanego gatunku herbaty. Nie potrafiła się jednak w tej chwili skoncentrować na niczym poza walką o życie. Drapała i wierzgała, ale napastnik był silny, ciężki i zdeterminowany.

- Wracaj do Montany, bo pożałujesz.

Zmuszając zmęczone mięśnie do wysiłku, Adria podniosła się trochę i z całej siły wbiła zęby w obciążoną rękawiczką dłoń.

Zupełnie jak wtedy z Tommym!

Napastnik syknął z bólu i puścił ją. Adria tylko na to czekała. Była prawie wolna. Zaczęła krzyczeć i wierzgając, posuwała się pomału w stronę drzwi. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś przedmiot, ciemny i ciężki, wymierzony w jej twarz. Przekreśliła się, zasłaniając twarz ręką. Bum! Przedmiot uderzył ją w tył głowy. Poczowała rozdzierający ból i przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Jak przez mgłę usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i podniesiony męski głos.

- Co się tam dzieje?

Jakiś pies, jakby czując zapach krwi, zaczął wyc w lesie.

Napastnik znieruchomiał. Ostatkiem sił Adria zdołała się podnieść i usiadła na podłodze.

- Pomocy!

W tej chwili dostała potężnego kopniaka w klatkę piersiową. Ból kazał jej się zwinąć w obronnym geście.

- Ty pieprzona dziwko!

Dyszając ciężko i utykając, napastnik podniósł się i niepewnym krokiem ruszył do drzwi. Adria z trudem łapała powietrze. Czując w ustach metaliczny smak krwi, zdołała wstać i dowiec się na próg. Jedno spojrzenie - nic więcej - i rozpozna tego, kto ją zaatakował. To ktoś, kogo już spotkała, była tego pewna. Ból jednak nie pozwalał jej się skupić i jasno myśleć. Przed oczami latały jej czarne plamy, jakby miała za chwilę stracić przytomność. Próbowwała się skoncentrować, wbiła wzrok w ciemność, gdzie między wielkimi drzewami dostrzegła uciekającą sylwetkę.

Odetchnęła kilka razy głęboko, mocno trzymając się drzwi. Patrzyła w noc, widziała gwiazdy i światła w pozostałych domkach, ale jej napastnik zniknął. Do diabła z tym wszystkim, pomyślała, wypluwając krew z ust. Spróbowała znowu krzyczeć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Zaledwie dwa domki dalej ktoś otworzył drzwi, oświetlając mały ganek.

Gdzieś daleko zaszczekał pies.

- Hej tam! Wszystko w porządku? - Męski głos. Nieznajomy. Odetchnęła głęboko.

Kroki. Chrząst żwiru. Zbliżają się. Obute stopy. Gotowe, by znowu zacząć ją kopać. Skuliła się odruchowo. Mężczyzna zapalił światło w jej pokoju i pochylił się nad nią. Poczowała, jak chwytają ją torsje.

- Do diabła - powiedział mężczyzna. Rozejrzał się po pokoju i przykląkł przy niej na jedno kolano.

- Proszę się nie ruszać, jest pani ranna.

Adria spojrzała na niego, mrużąc oczy, ale nie widziała jego twarzy. Odwrócił się do drzwi.

- Marge! - zawołał głośno. - Marge, zbudź kierownika i zadzwoń pod dziewięćset jedenaście!

- Co? - odkrzyknął damski głos.

Jakieś drzwi otworzyły się i znowu zamknęły z trzaskiem, aż szyby zadrżały w oknach. Mężczyzna ukląkł koło Adrii.

- Proszę leżeć spokojnie, zaraz sprowadzimy pomoc.

Głosy unosiły się w powietrzu, odbijając się echem pod jej obolałą czaszką.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - spytała kobieta.

- Zamknijcie się w końcu! Ludzie chcą spać! - dodał męski głos.

- Co wy tam wyprawiacie pod trzynastką? - zawołał młodszy mężczyzna. - Mary, chodź. Zobaczmy, co tam się dzieje, dobrze?

- Nie wtrącaj się. - Mary nie paliła się do pomocy.

Adria zamrugała, próbując nie stracić przytomności. W napastniku było coś znajomego, znajomego, i straszego i... ukrytego na samej granicy pamięci. Co to było? Kto to był?

- Nie wiem, co się tu stało, ale nie wygląda to najlepiej - powiedział klęczący obok niej człowiek.

Podniosła rękę i dotknęła tyłu głowy. Poczowała na dłoni gęstą, lepką ciecz. Podciągnęła się na rękach i usiadła, jęcząc z bólu i mrużąc oczy przed światłem. Rozejrzała się wokół i zamarła z przerażenia. Pokój był zdewastowany. Poprzewracane krzesła, rozbity telewizor, pościel podarta i pocięta nożem, jakby ktoś był tak wściekły, że musiał dać swej wściekłości upust. Na lustrze nad stolikiem tłustą czarną kredką wypisana była kolejna krótka, przerażająca wiadomość: ŚMIERĆ DZIWCZE.

- O Boże. - Nagle znowu poczuła mdłości i pokój zawirował jej przed oczami. W ustach miała nieprzyjemny smak. Wydawało się jej, że złoczyńca wciąż czai się pod łóżkiem albo za zasłoną. Z trudem opanowała panikę.

- Co się tu stało? - zapytał mężczyzna. - Nie, proszę nic nie mówić, tylko spokojnie leżeć. Powie pani policji.

Kroki. Krzyki. Ludzie - jedni ciekawi, inni przejęci. Wszystko jednak tak ją bolało, że nic poza tym jej nie obchodziło.

- Sukinsyn, patrz tylko na to!

- Czy ktoś wezwał pogotowie?

- Rany, to wygląda, jakby grasował tu niedźwiedź.
 - Jasne, teraz niedźwiedzie umieją pisać.
 - Proszę pani, chwileczkę. Marge, kierownik...?
- Światła samochodu błysnęły w oknach, a na podjeździe zachrząsał żwir.

- Adria!

Usłyszała ten głos i natychmiast go rozpoznała, był jak rzucona na ratunek lina. Zachary! Łzy napłynęły jej do oczu. Niezdarnie próbowała się podnieść, ale bez skutku.

- Leż, nie ruszaj się! - Zachary przecisnął snę przez tłum, który zaczął już się zbierać przed drzwiami, ukląkł i objął ją.

- Adria, o mój Boże, Adria - powtarzał, przytulając ją tak, jakby mógł ją ochronić, i ulżyć jej bólowi, odegnąć strach. Adria przyłgnęła do niego, starając się zapanować nad rozpaczliwym łkaniem. Gardło miała ściśnięte, ale czuła nieopisaną ulgę. Jest z Zacharym, jest już bezpieczna.

- Hej tam, ja bym jej nie ruszał! - poradził jakiś człowiek. - Lepiej ją tak zostawić, aż przyjedzie lekarz. Karetka jest już w drodze. Mocno krwawi, nie ma żartów... Pan jest jej mężem?

- Co się tu, do cholery, stało? - ryknął kierownik, rzucając na Adrię gniewne spojrzenie. - Kto to zrobił? Święty Piotrze, co za burdel!

- Czy ktoś zadzwonił na policję? - spytał Zach.

- Pod dziewięćset jedenaście, zaraz tu będą- odparł kierownik, niski, łysiejący mężczyzna w bokserkach i koszuli pidżamowej, wyraźnie zły z powodu zdewastowanego pokoju. - Ci z ubezpieczenia zrobią w gacie, jak to zobaczą!

- Nie martw się. - Zach pocałował Adrię w czoło i objął ją ramieniem. - Wszystko będzie dobrze - powiedział, jakby chciał przekonać o tym samego siebie. Adria zadrżała i mocniej się do niego przytuliła.

W oddali rozległo się wycie syren. Zach zamknął oczy, ale siedział wciąż na podłodze, trzymając Adrię w objęciach, jakby się bał, że zniknie. Słyszał bicie jej serca tuż przy swoim. Pocałował ją w czubek głowy, kołysząc się delikatnie, uspokajająco, i modlił się, żeby karetka zdążyła na czas.

Adria opuściła szpital tej samej nocy, ale przedtem musiała jeszcze odpowiedzieć na pytania policjantów z Departamentu Szeryfa Hrabstwa Clackamas. Ponieważ motel znajdował się już poza granicami miasta, policja z Estacady nie zajmowała się tą sprawą. Tak więc Adria i Zach spędzili dwie godziny, rozmawiając z policjantami. Kolejną godzinę zajęła im telefoniczna konferencja z detektywami Celią Stinson i Nedom Piskiem z Portland. Wszyscy podejrzewali, że Adrię napadł ktoś z rodziny Danversów albo jakiś świr pod wpływem jej historii.

Adria odpowiedziała na wszystkie pytania, uśmiechała się nawet przy kiepskich policyjnych żartach i wypila trochę kiepskiej policyjnej kawy, ale kiedy w końcu wsiadła do jeepa, a Zach troskliwie opatulil ją pledem, poczuła, że jest śmiertelnie zmęczona. Szumiało jej w głowie, bolało ją całe ciało. Pojechali z powrotem do motelu „Fir Glen”, ale zanim wjechali na motelowy parking, Zach zaklął pod nosem. Adria otworzyła oczy i zobaczyła, że mimo policyjnych barier broniących wstępu do jej domku wokół niego stało kilka ekip telewizyjnych.

- Świetnie - mruknął Zach i szybko zawrócił. Ruszyli prosto na wschód, w stronę ośnieżonych gór, lśniących w oddali w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

- Gdzie jedziemy? - spytała Adria, chociaż właściwie jej to w tej chwili nie interesowało. Była zmęczona i obolała mimo zaaplikowanych jej w szpitalu leków i środków przeciwbólowych. Chciała tylko znaleźć się już u kresu tej podróży, chciała się zatrzymać, uciszyć ból i kłębiące się w jej potłuczonej głowie pytania.

- Do mnie.

- Do ciebie? - powtórzyła, z trudem wymawiając wyrazy i patrząc przed siebie. Samochód wspinał się na przełęcz. Przed nimi wznosiły się ozdobione śnieżnymi czapami skaliste szczyty gór. - Nie wiedziałam, że masz dom.

Zach spojrzął na nią z ukosa.

- Jedziemy na ranczo.

- Do Bend? - spytała i potrząsnęła głową. - Nie mogę tam jechać.

- Dlaczego?

- To za daleko. Jestem umówiona z różnymi ludźmi w Portland. Mam kilka wywiadów i spotkań z prawnikami.

- To wszystko może poczekać - uciał. Rzadko odzywał się podczas większości wywiadów i rozmów, ale kiedy tej nocy opowiadała, co się stało, jak spotkała się z Polidorim, a po powrocie do motelu została zaatakowana przez nieznanego sprawcę, stał się jeszcze bardziej milczący i posepny.

- Nie, Zach, naprawdę nie mogę...

- Omal nie zostałeś dziś zabita - krzyknął, chwytając ją za nadgarstki jedną silną dłonią. Drugą trzymał kierownicę i nie spuszczał wzroku z drogi. - Może nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się stało, ale ja mam tego pełną świadomość. Człowiek, który przysyłał ci ostrzegawcze liściki, stał się właśnie trochę śmielszy i posunął się nieco dalej. Gdyby uderzył cię trochę mocniej albo gdzie indziej, to może nie rozmawialibyśmy teraz.

Adria nagle zrobiło się zimno. Próbowała rozetrzeć sobie ramiona, ale Zach trzymał jej ręce w żelaznym uścisku.

- Ale nie mogę przecieź...

- Oczywiście, że możesz. Czekałaś ponad dwadzieścia lat, żeby poznać prawdę, poczekasz jeszcze kilka dni. Adria przypomniała sobie Tommy'ego Sinclaira, jego złośliwy uśmiech i obrzydliwe pomówienia. Boże, jak pragnęła udowodnić jemu i innym, że jej matka wcale nie była dziwką. Tommy Sinclair, który tak niebezpiecznie zbliżył się do niej tej nocy, obudził lęk wciąż czający się w jej sercu.

- No, Adrio. Daj sobie trochę czasu, żeby się po tym wszystkim pozbierać.

Adria chciała oponować, powiedzieć mu, że nie może kierować jej życiem, ale nie umiała znaleźć właściwych słów. I była przerażona. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

- To tylko na jakiś czas, tak?

Na twarz Zacha wypłynął szeroki, szelmowski uśmiech.

- Nie jesteś moją zakładniczką, jeśli tego się obawiasz.

Adria nagle zaschło w gardle. Oblizwała nerwowo wargi.

- Tego się właśnie obawiam.

- Możesz wyjechać z rancza, kiedy będziesz chciała.

- Ale mój samochód...

- Poślę po wszystkie twoje rzeczy. Włączając w to tę kupę złomu, którą nazywałeś samochodem - oczywiście jak tylko mój mechanik sprawdzi, czy jest sprawny.

- Oczywiście, że jest - zaprotestowała Adria z oburzeniem.

- To wrak.

- Proszę, potrzebuję go...

- Będziesz go miała. Za kilka dni. Tymczasem możesz korzystać z innego samochodu, na ranczu jest ich kilka - osobowe, furgonetki, do diabła, jest nawet traktor, gdyby cię naprawdę przycisnęło.

- Bardzo zabawne.

- Też tak sądzę - odparł, ale zaraz spoważniał. - Daj spokój, Adrio. Powinnaś odpocząć chociaż kilka dni.

Wzruszyła ją jego opiekuńczość, choć nie była pewna, czy jest autentyczna, czy też może Zach spełnia tylko swój obowiązek. Rodzina z pewnością oczekuje od niego, że będzie pilnował Adrii i zapobiegnie dalszym skandalom.

- Nie... no wiesz, nie musisz tego robić. Zach puścił jej nadgarstki i położył obie dłonie na kierownicy. Patrzył przed siebie ze zmarszczonym czołem.

- Oczywiście, że muszę. - Nie dodał, że uczeplił się jej jak rzep psiego ogona, bo obawia się o jej życie, że zżera go poczucie winy, ponieważ nie usłuchał swojej intuicji, która mówiła mu bardzo wyraźnie, że nie powinien spuszczać Adrii z oka.

Dolinę oświetliły jasne promienie słońca wylaniającego się zza ośnieżonych szczytów. Zach włączył radio i spojrzał na siedzenie obok, na którym Adria, opatulona kocem, z głową opartą o szybę, oddychała głęboko, równo, jakby miała wkrótce zapaść w sen.

Dobrze. Wcisnął pedał gazu i jeep skoczył do przodu. Zach zacisnął zęby. Zaklął w duchu i przysiągł sobie, że jeśli kiedyś znajdzie drania, który ją tak urządził, zabije go gołymi rękami.

19

Idiota! Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz! - Anthony nie uderzył syna od czasu, kiedy dawno temu oznajmił mu, że dziewczyna Danversów jest z nim w ciąży. Teraz z trudem opanował chęć rozwalenia głowy Mariowi swoją łaską. Z furią wbił ją w miękką ogrodową ziemię.

- Chciałem ją tylko... wy badać...

- Nie wątpię. To jest właśnie twój problem. Kobiety. Zawsze kobiety. Na miłość boską, trzymaj się od niej z daleka, bo wpakujesz się w kłopoty! - wysyczał Anthony przez zęby zaciśnięte tak mocno, że aż rozboleła go szczęka. Ciekawe, czym zasłużył sobie na tak głupiego syna. Ruszył sztywno przez ogród, próbując opanować gniew, który nie pozwolił mu zmrużyć oka przez całą noc - od chwili, gdy zadzwonił jego informator obserwujący Nash. Od razu wiedział, że będą kłopoty, i oczywiście miał rację.

Zatrzymał się przy kortach tenisowych, na których tyle godzin spędził, grając z jedynym synem. Teraz trawa i mlecze wyrastały ze szczelin w betonie. Pnąca róża, od dawna nie przycinana, rozrastała się bujnie na siatce wysokiego ogrodzenia jak na treliazu. Dobry Boże, kiedy minął ten szczęśliwy czas? Czy rzeczywiście połknęła go ta nienasycona bestia, jaką stała się stara waśń? Czy i on, Anthony, podobnie jak rodzina Danversów, stracił poczucie rzeczywistości? Chwytał palcami siatkę z grubego drutu, wspominając czasy, kiedy miał jeszcze nadzieję, że jego syn wyrośnie na bystrego człowieka, przywódcę zdolnego zająć się wielkimi interesami przekazanymi mu przez starzejącego się ojca. Bo przecież robił to wszystko dla niego, dla swojego syna, jedyne go syna. Ale Mario nigdy nie interesował się biznesem. Był raczej typem sportowca i już w szkole stało się oczywiste, że brak mu jeśli nie inteligencji, to w każdym razie chęci do pracy. Problem w tym, że ten chłopak - a teraz mężczyzna - miał zawsze tyle samo szarych komórek co jego rówieśnicy, ale nie chciało mu się robić z nich użytku. Poza małym salonem gier, który prowadził przez krótki czas, Mario nie splamił się żadną pracą. Życie było dla niego zbyt łaskawe. Przystojny jak gwiazdor z Hollywood, z wdziękiem machający rakieta tenisową i jeżdżący świetnie na nartach Mario nie widział powodu, żeby się uczyć. W szkole osiągał wyniki, oględnie mówiąc, mierne, ale za to nauczył się, jak postępować z dziewczętami. Ze wszystkimi dziewczętami. Włączając w to Trishę Danvers.

Kiedy Trisha zaszła w ciążę - co było zapewne sprytnym posunięciem tej małej dziwki, żeby usidlić Maria i zmienić życie jego ojca w piekło - Anthony wpadł we wściekłość, ale złożył ten nieszczęśliwy wypadek na karb młodości i braku doświadczenia swojego jedynaka. Jednak te... te zaloty do panny Nash - chłopak sam prosi się o kłopoty. Tym bardziej że ostatniej nocy została napadnięta i poważnie pobita. Wybryków Maria nie można już było usprawiedliwiać młodym wiekiem.

Anthony westchnął ciężko.

- Policja już tu była, pytali o ciebie. I zgadnij, kto dzwonił? Pamiętasz Jacka Logana? Jest już na emeryturze. W czasie kiedy porwano małą Danversów, był detektywem. Zdaje się, że ciągle dla nich pracuje i tylko czeka, żeby znów dobrać nam się do skóry.

Mario nie przejął się tym specjalnie. Tego dnia miał na sobie koszulkę polo od Ralpa Laurena, świetnie skrojone markowe spodnie i włoskie klapki. Swobodny wygląd uzupełniał jednodniowy zarost, który Mario mylnie uważał za niezwykle modny, i pogodny wyraz twarzy. Przechadzał się z ojcem po ogrodzie, słuchając jego reprimend, ale nie zdradzał najłżejszych wyrzutów sumienia.

- Skąd miałem wiedzieć, że ktoś ją napadnie? Jezu, tato, nie miałem pojęcia! Do głowy by mi to nie przyszło. - Zmarszczył gęste, ciemne brwi. - Cholera! Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to twoi ludzie tak ją urządzili?

- Oczywiście, że nie! - sapnął Anthony i skrzywił się pod wpływem nagłego bólu w piersi. Ból odzywał się zawsze, kiedy starszy pan Polidori był czymś mocno zdenerwowany. Odetchnął głęboko i postanowił, że nie będzie zwracał na niego uwagi. - Negocjujemy z nią przecież, prawda?

Mario w zamyśleniu wysunął dolną wargę i potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło. Ona twierdzi, że nie jest zainteresowana.

- Ale będzie, jeśli gra stanie się dla niej warta zachodu. - Anthony był bardzo pewny siebie. Dobrze znał tę grę i był w niej dobry. Zawsze wygrywał. - Musimy jednak być ostrożni. Nie możemy z niczym przesadzić. Sytuacja wymaga od nas wiele cierpliwości, taktu i uwagi. Nie możemy się przedwcześnie zdradzić.

- Po co te ceregiele? Ona już przecież wie, czego od niej chcemy. Sam jej powiedziałeś, że chciałbyś kupić ten stary hotel. Niczego jej nie zdradziłem.

- Nie?

Wyłożoną kamieniami ścieżką przeszli przez rosarium do wejścia na tyłach domu. Mario przytrzymał drzwi do pokoju śniadaniowego i przepuścił ojca przodem. Anthony, któremu przeszło klucze pod żebrami, mógł znowu swobodnie oddychać i sprężystym krokiem wszedł po schodach. Usiadł na swoim krześle, wsypał trochę cukru do kawy i rzucił poranne wydanie „Oregonian” na talerz Maria. Gazeta wylądowała na równiutko przekrojonym grejpfrucie.

- Co to... - Mario urwał, kiedy jego wzrok padł na duże zdjęcie przedstawiające jakiś tani motel i na drugą, mniejszą fotografię poniżej, na której widniała urocza buzia Adrii Nash. Nawet na tym gruboziarnistym, czarno-białym zdjęciu wyglądała pięknie. Natychmiast przypomniało mu się, że jej pragnie. I to bardzo. A jeśli czegoś pragnie, musi to mieć. Czuł już niemal jej gibkie ciało pod palcami, wyobrażał sobie, jaka jest w łóżku. Wiele lat temu często fantazjował na temat Katherine Danvers, a teraz... ta kobieta jest czymś znacznie bardziej realnym. Czymś dosłownie w zasięgu ręki.

- Przeczytaj to - polecił Anthony, rozkładając serwetkę na kolanach. Spojrzał niecierpliwie na drzwi, czekając, aż pokojówka wniesie sok i kawę. - Znajdziesz swoje imię i nazwisko gdzieś na początku trzeciego akapitu, o ile się nie mylę. Detektyw Stinson przyjeżdża dziś rano, żeby cię przesłuchać. Jest z policji w Portland i zajmuje się sprawami Nash. Ta mała podobno już wcześniej otrzymywała listy z pogrózkami. - Zamieszał kawę, pobrzękując srebrną łyżeczką o wiekową porcelaną filizanki.

Mario czytał artykuł, zaciskając usta i marszcząc brwi. Dotarło do niego znaczenie faktu, że był ostatnią osobą, która widziała Adrię przed napadem.

- To oczywiście tylko przypuszczenie, choć oparte na latach doświadczeń - dodał Anthony - ale sądzę, że w porannych wiadomościach telewizyjnych także omawiano te sprawy.

Pokojówka w milczeniu postawiła koszyczek z ciepłymi drożdżówkami przykrytymi kraciastą serwetką na stole i bezszelestnie wycofała się do kuchni. Pokój wypełnił aromat cynamonu i pomarańczy. Anthony odsunął serwetkę, żeby przyjrzeć się bułeczkom. Wybrał w końcu jedną i przeniósł wzrok na Maria.

- Odtąd, synu - powiedział - powiadaj mi zawsze, kiedy masz zamiar spotkać się z panną Nash. - Przełamał bułeczkę na pół i włożył do środka spory kawałek masła, które zaczęło szybko topnieć na gorącym cieście. - Może uda mi się zaoszczędzić tobie i całej rodzinie zbędnych nieprzyjemności.

Zach chodził po pokoju tam i z powrotem, rozciągając sznur telefonu do granic jego wytrzymałości. Kłął przy tym pod nosem i niewiele brakowało, a rzuciłby słuchawkę na aparat z siłą, od której kobiecie po drugiej stronie, niejkiej Ellen Rigley, na pewno popękałyby bębni.

- Mogłabym umówić się z panią Nash na wywiad w najdogodniejszym dla niej terminie - miauczała Ellen. Była wścibska i nieustępliwa, najwyraźniej nie znała znaczenia słowa „nie”. Zach spojrział przez okno na ranczo ciągnące się jak okiem sięgnąć. Było wielkie, ale ciągle za małe. Za małe, żeby bezpiecznie ukryć na nim Adrię.

- Jestem pewna, że pani Nash chciałaby, żeby ta historia została opowiedziana z jej punktu widzenia.

Zach ścisnął słuchawkę i patrzył w dół, na rozłożoną na biurku gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Adrii, a obok fotografia rodzinna: Witt, Katherine i mała London. Tytuł artykułu brzmiał: DOMNIEMANA DZIEDZICZKA DANVERSÓW POBITA W MOTELU. Wielkie czarne litery zdawały się krzyczeć. Prasa zareagowała błyskawicznie. Zach przywiózł Adrię na ranczo dwa dni temu i w tym czasie zmieniło się ono w dom wariatów. Zachary miał wrażenie, że brnie przez ruchome piaski. Im szybciej się poruszał, im dalej próbował zejść, tym głębiej się zapadał. Czuł, że jeszcze chwila, a zacznie się dusić i już nigdy nie znajdzie sposobu, żeby się stąd wydostać. Nie znajdzie sposobu, by uratować Adrię.

Świetnie, pomyślał ironicznie, coraz lepiej. Przebywać tak blisko Adrii i jednocześnie nie móc jej nawet dotknąć było piekłem, zapewnienie jej bezpieczeństwa granoczyło z niemożliwością - już mówiła o powrocie do Portland, chociaż guz na jej głowie był jeszcze całkiem duży.

Kobieta po drugiej stronie linii nie dawała za wygraną.

- ...mogłabym przylecieć jutro rano albo jeszcze dziś wieczorem, spotkać się z nią na ranczu i...

- Już mówiłem, że panna Nash nie ma nic do powiedzenia. - Zach miał już tego dość.

- Muszę z nią porozmawiać, panie Danvers. - Dziennikarka najwyraźniej postanowiła, że dopnie swego. - Adria Nash pojawiła się w Portland, twierdząc, że jest London Danvers, a wkrótce potem została napadnięta przez nieznanego osobnika w małym moteliku poza miastem. Chciałabym przeprowadzić z nią wywiad i wysłuchać jej...

Zach rzucił słuchawkę i wcisnął guzik automatycznej sekretarki. Miał już serdecznie dość dziennikarzy, policji i całej tej afery.

Telefon znowu zaczął dzwonić. Zniecierpliwiony Zach rzucił klucze na stół. Postanowił nie odbierać.

Właśnie wrócił na ranczo ze swojego biura, gdzie spędził trzy bezsensowne godziny. W tym czasie telefon się urywał i Terry musiała uporać się z całą hordą dziennikarzy, którzy dzwoniли i żądali informacji. Kilku pojawiło się w firmie osobiście. Kręcili się bezczelnie po biurze i narzekali na kawę, czekając, aż Zach złoży jakieś oświadczenie. Istotnie, doprowadzony do ostateczności powiedział im w końcu kilka słów, w większości nie nadających się do druku. Mniej odporni zastosowali się do jego życzeń i chyłkiem opuścili biuro, ale kilka twardych starych wyg ociągało się z wyjściem w nadziei, że Zach jednak się złamie i powie coś, czego inni nie mieli na swoich dyktafonach.

Zach zignorował ich, porzucił też jednak myśl o pracy. Dzień należało spisać na straty. Powiedział Terry, żeby zamknęła biuro do końca tygodnia, wsadził trochę papierów do torby, wziął dokumentację pod pachę i zdecydowanie wyprosił pozostałych dziennikarzy. Wsiadł do jeepa i popędził na złamanie karku z powrotem na ranczo, w oko cyklonu. Nie wyłączył domowego telefonu, ponieważ ciągle musieli pozostawać w kontakcie z policją z Portland i biurem szeryfa w Estacadzcie. Zach czekał też niecierpliwie na wiadomości od Sweeny'ego. Ostatni raz rozmawiał z nim dwa dni temu, a od tego czasu, jak twierdził Jason, Oswald nie dawał znaku życia. Niewykluczone, że ukrywa przed nim jakieś informacje. On albo Jason.

Od napadu na Adrię Zach nikomu nie ufał.

Zdjął kurtkę z haka w garderobie i ruszył do tylnego wyjścia. Na zewnątrz powitał go powiew zimnego wiatru. Wprawdzie śnieg na dachu topniał, ale góry nadal pyszniły się białymi czapami. Niebo było czyste, zimowe słońce stało wysoko i świeciło jasno, choć nie grzało. Tylko kilka chmur wyłaniało się zza ośnieżonych szczytów.

Kiedy indziej Zach cieszyłby się tym krystalicznie czystym powietrzem i zapowiedzią zimy. Ale nie dziś. Okazało się, że ranczo nie jest twierdzą nie do zdobycia, jak mu się wydawało. Kiedy w końcu wyrzucił wszystkich dziennikarzy czekających nie wiadomo na co przed frontowymi drzwiami, rozboleła go głowa i nie słyszał własnych myśli.

Na szczęście Manny postanowił wziąć sprawy w swoje indiańskie ręce. Z kamienną twarzą narzucił na ramiona gruby koński pled i usiadł w furgonetce przed frontową bramą. Przed przednią szybą umieścił strzelbę, a na ogrodzeniu powiesił znak z napisem ZAKAZ WJAZDU.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, że groźnie wyglądająca dwudziestka- dwójka nie jest naładowana ani że Manny Clearwater jest najgorszym strzelcem w okolicy, a przy tym jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich Zach spotkał w życiu. Jego surowa twarz, skryta w cieniu czarnego filcowego kapelusza ozdobionego srebrnymi piórami, skutecznie powstrzymywała najambitniejszych nawet dziennikarzy przed wdarciem się na teren rancza.

Na razie.

Zach wyobrażał sobie, że przywiezie Adrię do oazy spokoju, gdzie będzie mogła odpocząć i wydobrzeć, miał też nadzieję, że w tym czasie sensacja wywołana napadem umrze śmiercią naturalną. Ten piękny plan wziął jednak w łeb, gdyż cały świat wiedział już, gdzie jest panna Nash.

Łącznie z tym, kto ją napadł. Zach zacisnął zęby. Skoro Adria nie zgodziła się na ochronę policji, on wziął na siebie odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo. Za jej życie. Zdawało mu się jednak, że cały świat, a wraz z nim i Adria, sprzyścił się przeciw niemu.

Krótko mówiąc, Adria nie była na ranczu bezpieczna. I to go niepokoiło. Jak wszyscy diabli.

Znalazł Adrię przy stajniach. Słońce lśniło w jej czarnych włosach, które teraz wydawały się prawie granatowe. Oparła ramiona o najwyższą belkę ogrodzenia i patrzyła na stado kłaczy i podrośniętych źrebiąt, skubiących resztki

trawy na wybiegu. Podmuchy wiatru wzbijały w górę tumany kurzu i zeschłe liście. Konie leniwie przechodziły od jednej pośliskiej kępy do drugiej. Ich sierść, zakurzona i nierówna, zaczynała już gęstnieć na zimę.

Nieświadoma tego, że stoi tuż za nią, uniosła się trochę i oparła nogę o niższą belkę, odwracając się do niego bokiem. Teraz widział jej profil, czysty i jasny w obramowaniu ciemnych włosów. Zaschło mu w gardle i po raz dziesiąty postanowił nie dopuszczać do siebie myśli, że ona jest kobietą.

- Zrobiłaś się bardzo sławna. Telefony się urywają.

- Jak myślisz, dlaczego uciekłam aż tutaj? - przejechała palcem po górnej belce. Policzki i dłonie miała zaróżowione z zimna. - Najpierw rozmawiałam z nimi, ale zaczęli zadawać takie pytania, że postanowiłam zrobić sobie przerwę.

- Manny pilnuje, żeby znowu nie przedostali się za ogrodzenie. Na sekretarce będzie wszystko, co powinniśmy wiedzieć. - Zach oparł stopę o dolną belkę ogrodzenia. Stał tuż przy niej. - Jak się czujesz? - zapytał obojętnie, patrząc z udawanym zainteresowaniem na linię dalekich gór.

- Jakby przejechał po mnie walec drogowy. - Uśmiechnęła się lekko, ukazując mały dołeczek w policzku, który Zach uważał za niezwykle pociągający. - Ale żyję i obawiam się, że wielu ludzi jest tym bardzo rozczarowanych.

- Daj spokój.

- Wiesz, Zach - ciągnęła, zwracając ku niemu twarz - że nie mogę zostać tu na zawsze.

- Na razie jesteś tu zaledwie kilka dni.

- Mam swoje życie.

- To znaczy życie London. - Zach śledził wzrokiem lot stadka gęsi bey skutecznie usiłujących utrzymać kształt klucza. Leciały jednak dalej na południe, jakby chciały nadrobić stracony czas.

Adria przesłoniła oczy dłonią. Słońce świeciło jej teraz prosto w twarz

- Już czas, żebym załatwiła swoje sprawy.

- Jak?

- Myślę, że powinnam wziąć prawnika i wynająć prywatnego detektywa. Posunąć się choć o krok do przodu.

Patrzyła na niego, przesuwając wzrok z jego oczu na usta i z powrotem. Zach poczuł nagły przypływ pożądania tak silnego, że chyba żaden mężczyzna, żaden śmiertelnik nie byłby w stanie mu nie ulec. Przypomniał sobie smak jej ust i tamte chwile nad rzeką, kiedy tak niewiele brakowało, żeby się z nią kochał. Wsadził ręce do kieszeni, żeby ukryć podniecenie. Miał ochotę chwycić ją i całować tak długo, aż obojgu zabrakłoby tchu w piersi. Wyobrażał sobie, że przechylają w tył, jej włosy opadają na ziemię, a gibkie, wygięte w łuk ciało o pełnych piersiach poddaje się jego woli. Wtedy...

Do diabła, ta droga donikąd go nie zaprowadzi!

Adria kontynuowała rozważania o detektywie:

- ...to byłoby zdecydowanie najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich.

- Jason wynajął jednego. To śmieć, który nazywa się Oswald Sweeny. On się wszystkim zajmie.

- Pracuje dla ciebie. I dla Jasona.

Zach zacisnął zęby.

- Mówiłaś, że chcesz poznać prawdę.

- Bo chcę - odparła Adria, mrużąc oczy. - Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę, dobrze? Sweeny pracuje dla rodziny, tak? Robi, co może, żeby udowodnić, że nie jestem London. Może mnie więc nie poinformować, że nią bez wątpienia jestem, albo rodzina może nie zechcieć podzielić się ze mną tą wiadomością. - Otarła dłonie o spodnie. - Będzie lepiej, jeśli poszukam kilku ludzi do własnej drużyny. Kilku dobrych ludzi.

Zach kopał butem w piachu.

- Z tego, co słyszałem, nie stać cię na wiele.

Spodziewała się tego, ale nie po Zachu. Po całej reszcie oczywiście, ale nie po nim. Poczula nieprzyjemne ukłucie w sercu. Zach dowiedział się kilku rzeczy na jej temat, ale jej o tym nie powiedział. Podzielił się tymi informacjami tylko z rodziną. Z małym kółkiem wybrańców. Przełknęła ślinę. Zawsze uważała Zacha za „obcego”, ale tak naprawdę to ona - i tylko ona - była obca. Najwyraźniej Zach miał przed nią wiele tajemnic. Ciekawe, jak często omawia jej sprawy z rodziną. Czy przekazał im wszystko, co opowiedziała mu o swoim domu w Montanie, czy śmiał się, kiedy odkrył, że jest bez grosza i tonie w długach, czy z satysfakcją wspominał tę chwilę, kiedy niemal się z nim kochała?

Przebywanie z Zacharym było jak spacer po linie nad przepaścią. Jeden niepewny krok, a spadnie z wysokiego urwiska własnych uczuć. Jeden zbyt gwałtowny ruch, a deska pęknie z trzaskiem. Adria była zbyt inteligentna, by sądzić że wtedy on rzuci się jej na ratunek.

- Czego właściwie ode mnie chcesz?

Zach zawahał się i spojrzał jej prosto w oczy. Miała wrażenie, że gdyby zechciał, mógłby zajrzeć w głąb jej duszy.

- Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

- Tak, a twoja rodzina w tym czasie spokojnie dowiedzie wszystkim, że jestem oszustką - powiedziała. - Nie możesz mnie tu trzymać, nie wbrew mojej woli.

- A robię to? Tak uważasz?

Adria oblizwała wargi.

- Tak. Tak uważam.

Oczy Zacha pociemniały nagle, zmarszczył brwi, choć sam nie wiedział, czy jest zły na nią, czy na samego siebie, czy na swoją rodzinę, czy może na cały świat. Stali już dość blisko siebie, ale teraz przysunął się jeszcze bliżej i chwycił ją za poły starej skórzanej kurtki. Patrzył na nią z wyrazem dziwnej twardości, a nawet okrucieństwa na twarzy.

- Zapomniałaś już, że ktoś chciał cię zabić? - zapytał niskim, chrapliwym szeptem. - Zaledwie czterdzieści osiem godzin temu?

- Nie mogę się wystraszyć i uciec - odparła, ale oddech miała przyspieszony i płytki. Poczula zapach wody kolońskiej, kawy i skóry.

Zach potrząsnął nią lekko, patrząc na nią gniewnie.

- Nie pamiętasz już, jak to jest, kiedy ktoś chce rozbić ci czaszkę czymś ciężkim?

Adria zbladła.

- Oczywiście, że pamiętam.

- Jak sądzisz, kto to mógł być?

- Nie... nie wiem.

- Ja też nie, ale on jest ciągle na wolności, moja droga, i moim zdaniem nie podda się tak łatwo.

- Też tak uważam.

- Dobrze. - Przysunął się do niej tak blisko, że widziała szare i zielone prążki jego tęczy. - Porozmawiajmy więc o twojej pościeli w motelu. Dobrze się jej przyjrzałaś?

Adria z trudem przełknęła ślinę, ale zdołała opanować odruch, który kazał jej się cofnąć. Zach mocniej zacisnął palce na jej kurtce.

- Była pocięta nożem na strzępy, jakby jakieś wściekłe zwierzę z zębami ostrymi jak brzytwy szarpało je z wściekłości i nie mogło przestać.

Przyciągnął ją bliżej i niemal uniósł nad ziemią, zbliżając swój złamany nos do jej nosa.

- A skoro już o tym mowa, zauważyłaś może wiadomość pozostawic na lustrze? Była skierowana do ciebie? Pamiętasz, co tam było napisane?

- To nie znaczy, że...

- Co tam było napisane? - Powtórzył głośnie.

- Coś o...

- Nie coś, tylko „śmierć dziwce”. Dość wyraźnie powiedziane. Niezwykle, cholera, precyzyjnie. Wiesz, kim trzeba być i co trzeba mieć w głowie żeby robić takie rzeczy?

- Naprawdę, ja... nie chcę o tym mówić.

- Cóż, ja też nie, ale zmuszam się, bo wiem, że to jeszcze nie koniec.

Adria zdołała unieść trochę głowę i spojrzała na niego oczami błyszczącymi uporem.

- Nie mogę od tego uciec, Zachary. Muszę doprowadzić do końca to, co zaczęłam.

- Albo poczekać, aż to, co zaczęłaś, skończy z tobą - rzucił ironicznie i spojrzał na jej usta w taki sposób, że nagle zrobiło jej się dziwnie słabo.

Puścił ją równie szybko i gwałtownie, jak ją złapał, i Adria omal się nie przewróciła. Poczula się dziwnie rozczarowana, kiedy się od niej odsunął.

- Moim zdaniem nie masz wyboru, musisz poczekać, aż policja wytropi tego świra, a przynajmniej póki sprawa nie przycichnie. W tej chwili jesteś łatwym celem nie tylko dla człowieka, który cię napadł, ale i dla wszystkich, którzy zechcą pójść w jego ślady dla kawału, albo tylko po to, żeby zobaczyć swoje nazwisko w gazetach. To niebezpieczna gra, Adrio, więc lepiej daj sobie z tym spokój na jakiś czas. - Patrzył na nią jeszcze przez kilka sekund, jakby chciał coś dodać, ale w końcu tylko zaklął głośno i ruszył w stronę stajni.

Adria pobiegła za nim z mocno bijącym sercem. Opanowała strach, który obudził w niej, i postanowiła nie zwracać uwagi na błysk pożądania, który dostrzegła w jego oczach, ilekroć na nią patrzył.

- Nikomu nie dam się zastraszyć, ani tobie, ani żadnemu wariatowi tnącemu nożem pościel. Nikomu.

- Więc nie jesteś tak mądra, jak mi się wydawało - odparł Zach i otworzył drzwi. Adria złapała je, zanim zamknęły się z hukiem, i weszła za nim, zaciskając pięści, do mrocznego wnętrza stajni.

Kilka koni zarżało cicho na powitanie. O zakurzone szyby małych okienek obijały się ćmy i muchy. Na parapetach leżało mnóstwo martwych owadów. Pachniało kurzem, sianem, skórą i końmi. Wszystko to przypominało Adrii farmę, którą opuściła, aby przyjechać do Portland, do tego przeklętego Portland! Dotknęła surowej jodłowej belki podtrzymującej strop, na której ciągle jeszcze wisiała zapomniana stara lampa naftowa, zardzewiała i pokryta grubą warstwą kurzu.

Zach przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Stare zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Adria zastanawiała się, czy już pójść, ale w końcu postanowiła zostać przy koniach. Dotykała wyciągniętych ciekawie w jej stronę aksamitnych pysków, czując na dłoni delikatne nozdrza i ciepły oddech.

Co ona tu robi? Co chce udowodnić? Powinna iść do domu i zostawić go samego z jego humorami. Nie, powinna zabrać jego furgonetkę i wracać do Portland, gdzie czeka odpowiedź na dręczące ją od lat pytanie.

Zamiast tego siedzi tu jednak - niby w sanatorium - z dala od cywilizacji Sama z jedynym mężczyzną, który zdołał poruszyć jej serce. Przez wiele lat broniła do niego dostępu, ale kiedy pojawił się Zachary, coś w niej drgnęło i z przerażeniem odkryła, że jej na nim zależy... O Boże...

Jego kroki zadudniły znowu w stajni i Adria szybko podniosła głowę. Zach spojrział na nią gniewnie. Niósł siodło, uzdę i gruby pled. Kopniakiem otworzył drzwiczki do pierwszego boksu, gdzie stał ognisty kary ogier. Koń parsknął i rzucił głową, ale Zach zdołał wsunąć mu wędzidło między zęby i przypiąć do niego uzdę. Nawykły do przeprowadzania swojej woli, wygrał walkę ze zwierzęciem. Adria przypuszczała, że zazwyczaj wygrywa, że wie, czego chce, i dąży do celu bez wahania. Podobnie jak Witt Danvers. Jego ojciec. Jej ojciec.

Zach rzucił pled na grzbiet konia, umieścił na nim siodło i podciągnął popręg. Skupiony na tym, co robi, zdawał się nie pamiętać o jej obecności. W stajni, pomijając niespokojne parskanie koni, panowała zupełna cisza, która aż dzwoniła Adrii w uszach.

- Wybierasz się na przejażdżkę? - spytała w końcu.

- A jak sądzisz?

- Dokąd?

Zach spojrział na nią przez ramię. W przyćmionym świetle stajni jego szare oczy błyszczały gniewem, choć raczej była to furia. Adria wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund, potem nagle zabrakło jej tchu w piersi.

- Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Stała bez ruchu i miała wrażenie, że Zach rozbiera ją powoli płonącym wzrokiem. Serce waliło jej jak młotem, nie potrafiła przełknąć śliny.

Zach spojrział na małe zagłębienie u nasady jej szyi, gdzie krew pulsowała w oszalałym rytmie. Kiedy znowu spojrział jej w oczy, Adria poczuła, że już ją uwiódł, że wziął ją w posiadanie.

- Chciałabyś się przejechać? - spytał tak cicho, że jego głos ledwo było słychać wśród szelestu siana i parskania koni.

O Boże! Z trudem łapiąc powietrze, Adria dotknęła sznura związanego wokół belki. W całym ciele czuła uderzenia spłoszonego serca. Spojrzała na Zacha i ugięły się pod nią kolana.

- Słucham?

- Chciałabyś się przejechać? - spytał głośniejszym głosem, powoli rozdzielając wyrazy.

Adria nie była w stanie oddychać ani myśleć.

- Więc? - ponaglił ją.

Tak! Oblizwała spieczone usta.

- Tak... chyba tak. - Nie rozpoznawała własnego głosu.

- Jesteś pewna? - Zach zatknął kciuki za pasek i spojrział na nią, w powątpiewaniu unosząc brew. - Może być ciężko.

Pod Adrią ugięły się nogi, które nagle okazały się z wosku. Oparła się o zbawczą belkę.

- Wiem.

- Może być niebezpiecznie.

Adria z trudem przełknęła ślinę. Poczwała kropelki potu między piersiami.

- Nie boję się - powiedziała, jakby chciała przekonać samą siebie. Serce cały czas boleśnie szybko biło jej w piersi, umysł podsuwał dzikie erotyczne wizje, w których Zach grał zawsze główną rolę.

- Więc jesteś głupia - rzucił Zach i zaklął pod nosem. Młasnął językiem i wyprowadził konia z boksu.

Adria miała wrażenie, że właśnie wylano na nią wiadro zimnej wody. Zaraz potem ogarnęła ją wściekłość. A więc on bawi się nią, drażni, kokietuje. Niewiele myśląc, poszła za nim.

- Czekaj! - zawołała, widząc, że wskakuje na konia.

Nie zwrócił na nią uwagi. Wbił pięty w boki ogiera, który wspiął się na tylne nogi i niemal z miejsca ruszył galopem.

- Zaczekaj, Zach! Proszę...

Zach zawrócił. Koń kręcił się w miejscu, niecierpliwie przebierając nogami. Zach spojrział na Adrię pogardliwie, gniewnie zaciskając usta. Twardy kowboj, który zawsze dopnie swego.

- Przecież wcale nie masz na to ochoty - powiedział chłodno.

- Nie wiesz, na co mam ochotę!

- Jasne, że wiem. Wszystko, na co masz ochotę, to pieniądze mojej rodziny. Cóż, ja nie mam zamiaru pomagać ci w ich zdobyciu.

Zerwał się wiatr i poderwał do tańca suche liście i czarne włosy Adrii.

- Nie o to chodzi, i dobrze o tym wiesz. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czego tak naprawdę się obawiasz?

- Czego się obawiam?

- Tak, Zach. Jesteś przerażony i to nie ma nic wspólnego z tym, co stało się w nocy w motelu.

Zach uśmiechnął się gorzko.

- Czego się boję? To chyba oczywiste? - Spojrzał jej w oczy i Adria nagle wydało się, że patrzy na jej nagą duszę.
- Ciebie, Adrio. Ciebie się boję.

Zagwizdał, odwrócił się i pochylił w siodle. Koń ruszył z kopyta, wzbijając tumany kurzu. Adria została sama. Oparła się o ścianę stajni, zamknęła oczy i przechyliła głowę w tył. Czuła na plecach grubo ciosane cedrowe bale. Zacisnęła pięści w przyływie nagłego poczucia bezsilności tak mocno, że aż zbieleły. Jej kostki.

- Nie bój się, Zach - powiedziała cicho. Oczy piekły ją od łez, którym nie pozwoliła popłynąć. - Proszę, nie bój się.

Ten mężczyzna, taki silny, atrakcyjny i pewny siebie... a jednak... o Boże a jednak... Adria czuła, że zaraz się w nim zakocha.

Nie możesz!

Ale to jest silniejsze ode mnie. To twój brat!

Nie wiesz, czy to prawda. Nie masz pewności.

Ale nie wolno ci ryzykować! Nie wolno ci rzucać na szalę wszystkiego, co osiągnęłaś tak wielkim kosztem! Do diabła z tym!

- On ma rację - mruknęła Adria wściekła na samą siebie. - Jesteś głupia.

Odepchnęła się od ściany i poszła w stronę domu. Musi o nim zapomnieć, musi skupić się na czymś innym, musi trzymać się na dystans. Może rzeczywiście pożyczycie sobie jego jeepa albo tę starą furgonetkę... a może ktoś zgodzi się zabrać ją z powrotem do miasta...

A może pojedzie za nim.

W oddali rozległo się przeciągłe wycie kojota. Słońce schowało się za chmury. Adria zwolniła. Nagle zdała sobie sprawę, że nie potrafi się okłamywać, że udawanie nie leży w jej naturze. Zbyt wiele już przeszła, zbyt wiele wycierpiała, żeby teraz tak po prostu schować głowę w piasek i czekać, aż sprawa rozwiąże się sama.

Zawróciła do stajni z mglistym przeczuciem, że rusza na spotkanie swojego przeznaczenia. Szła coraz szybciej, nogi same ją niosły. Pędem wpadła do małego pomieszczenia, gdzie przechowywano uprząże i zgrzebła, znalazła uzdę i wróciła do stajni. Kara klacz wysunęła pysk nad drzwiczkami swojej przegrody. Adria natychmiast skorzystała z okazji i założyła jej uzdę. Wyprowadziła konia na zewnątrz. Zach był już tylko małą kropką na horyzoncie, ale Adria postanowiła, że nie pozwoli mu uciec. Wskoczyła na nie- osiodlaną klacz, pochyliła się do przodu i cmoknęła niecierpliwie.

- Dalej! - Wbiła pięty w boki konia, który spał się do skoku.

Adria czuła grę mięśni zwierzęcia, widziała żwir i małe kamienie przyskające spod podkutych stałą kopyt. Wiatr rozwiewał jej włosy, w oczach stanęły jej łzy. Klacz zdawała się unosić nad ziemią, pędząc przez zeschnięte pastwiska ciągnące się aż do podnóża gór. Tam zieleniły się jodły i sosny, a nad nimi, wysoko, białe połacie śniegu odcinały się od martwej szarości posępnych górskich masywów.

Adria popędzała konia bez ustanku w obawie, że jeśli zwolni choćby na sekundę, uświadomi sobie niebezpieczeństwo tego szaleńczego pościgu i zatrzyma się, a potem zawróci na ranczo. Czyli wybierze bezpieczeństwo z dala od jedyne go człowieka, który może ją uratować albo zniszczyć.

Zach wpadł galopem w jodłowy zagajnik i Adria na chwilę straciła go z oczu.

- Dalej, dalej! - krzyczała, choć głos rwał się jej pod naporem powietrza. Czuła strach kłębiący się gdzieś tuż pod powierzchnią świadomości, ale nie zwolniła, ścigając chmurnego mężczyznę na szybkim koniu i swój sen. Każda chwila przybliżała ją do nich.

Zach popuścił w końcu lejce i krok jego konia przeszedł w kłus, a potem w spokojnego stępa. Dotarli już nad brzeg rzeki przecinającej wzgórze szerokim korytem, by z rykiem spadać w dół wysokiego urwiska. Nagle - jakby wyczuwając czyjąś obecność - Zach odwrócił się w siodle.

Adria serce zabiło mocniej na widok twardej, surowej linii jego profilu. Przypomniał jej posępne góry, które majestatycznie wznosiły się teraz przed nimi. Tak dziki jak spieniona, nieokiełznana rzeka płynąca wśród drzew przez kanion. Zacisnął zęby i zmrużył oczy. Była to milcząca nagana. W jego oczach nie było śladu rozbawienia, ale Adria postanowiła nie zwracać na to uwagi. Ponagliła konia. Zach obserwował uważnie jej poczynania. Kiedy w końcu się z nim zrównała i ściągnęła lejce, spojrzał jej w oczy.

- Powinnaś wracać.

- Wracać do Montany?

- Wracać do domu.

- Jeszcze nie. - Zeskoczyła na ziemię. Zach zrobił to samo i podszedł do niej wielkimi krokami, marszcząc brwi. Wyglądał, jakby miał zamiar ją udusić albo jeszcze gorzej... jakby miał zamiar ją pocałować, a potem całować i całować bez końca.

- Dlaczego...

- Dla mnie. Dla ciebie - przerwała mu, dysząc ciężko. Patrzyła na niego uparcie, prosta jak struna, niespieszona jego złością.

- Nigdy nikogo nie słuchasz, co?

- Nie, zwłaszcza jeśli to coś, czego nie chcę usłyszeć. - Czuła na szyi chłodną mgiełkę wznoszącą się nad

ryczącym dziko wodospadem. Stała oko w oko z Zachem, nie cofając się ani o krok, rzucając mu spojrzeniem milczące wyzwanie.

- Sama nie wiesz, o co się prosisz - powiedział chrapliwie.

- Więc mi powiedz.

Patrzył na nią dłuższą chwilę w milczeniu, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu. Jego oddech parował w zimnym górskim powietrzu.

- Nigdy się nie poddajesz - powiedział zmęczonym, udręczonym głosem, jakby walczył sam ze sobą i przegrywał tę bitwę. Z wahaniem wyciągnął rękę i odsunął z jej twarzy czarne, kręcone pasmo włosów.

- Bo nie widzę powodu.

- Jest ich bardzo wiele, wierz mi.

- Żaden mnie nie interesuje. - Stała przed nim z uniesioną głową, prowokując go, rzucając mu wyzwanie. Chciała, żeby zaoponował, żeby się z nią kłócił.

Zach patrzył jej nieustępliwie w oczy i Adria wyczekująco uniosła brwi. Jego szare źrenice pociemniały nagle mrocznym, dzikim pożądaniem. Dostrzegła to i zabrakło jej tchu w piersi. Czyżby miała rację? Czyżby ten szalony pościg nie był jednak tak bezsensowny, jak jej się wydawało? Pragnie go, tak może nawet go kocha, ale bycie z nim oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo, bo nigdy nie ma go dosyć.

Jakby czytając w jej myślach, Zach położył jej dłoń na karku i gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją zachłannie, gorąco, z jakimś dzikim, pierwotnym ogniem. Drugą ręką objął ją w pasie, przyciskając uległe ciało mocniej, jakby chciał, żeby usłyszała oszalałe bicie jego serca, poczuła budzącą się męskość, namacalny dowód jego pożądania. Pachniał skórą i potem, smakował kawą i whisky. Wszystko to, zmieszane z krystalicznie czystym chłodnym powietrzem, obudziło w niej nieopanowaną żądzę, falą gorąca obejmującą ciało.

Zach wsunął język między jej wargi, smakując, pieszcząc, biorąc w posiadanie jej dziką duszę.

Jego ramiona i dłonie obejmowały ją zaborczo, ich serca, jedno przy drugim, były tym samym gwałtownym rytmem.

Adria zarzuciła mu ręce na szyję, oddając się bez reszty jego pocałunkom, odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości dotyczące łączącego ich być może pokrewieństwa. To niemożliwe, żeby Zach był jej przyrodnim bratem, żeby ta miłość, tak czysta i wyjątkowa, mogła być zakazana. Otworzyła usta tak, jak chciała otworzyć dla niego całe ciało.

Zach pociągnął ją na ziemię, na dywan zeschłej trawy i liści między drzewami, całując jej twarz i szyję.

- Jesteś pewna? - spytał bez tchu, szeptem tak cichym jak wiatr szeleszczący w gałęziach drzew.

- Chcę tego, Zach - odparła Adria, patrząc mu w oczy. - Chcę ciebie.

Zawahał się, ale ona przycisnęła usta do jego warg, tłumiąc wszelkie obawy. Znała przyczynę jego wahania. Nadal sądziła, że mogą być bratem i siostrą, Adria jednak była pewna, że to niemożliwe. Nie mogą być spokrewnieni. Nigdy w to nie uwierzy, nie zakochałaby się przeciw w swoim przyrodnim bracie. Wielu ludzi uważa, że ojcem Zacha jest Anthony Polidori, i trudno nie zauważyć, że faktycznie Zachary jest dużo bardziej podobny do Włocha niż do Witta Danversa. To jasne! Nie może być żadnych wątpliwości. Zach ujął w dłoń jej pierś, a ciało Adrii w odpowiedzi niemal wygięło się w łuk. Pocałował ją w szyję, ona zaś odchyliła głowę w tył, prosząc o więcej.

Jego palce odnalazły guziczki jej bluzki, potem zatrząski stanika. Naga do pasa nie czuła zimna, rozgrzana płonącym w niej ogniem.

Dłonie Zacha, twarde, lecz delikatne, dokonywały cudów. Dotknął końcem palca każdej dumnie sterczącej ciemnej brodawki, przesunął dłonią wzdłuż jej kręgosłupa, a Adria, drżąc z nieznanego rozkoszy, objęła go ramionami, jakby go nigdy nie chciała puścić.

Zach całował jej piersi, czując pod sobą konwulsyjne drżenie jej ciała kiedy drażnił językiem ich sterczące zwieńczenia. Pieścił je delikatnie, rozpalając w niej ogień.

Szepcząc jego imię, Adria pozwoliła mu ssać je, całować, pieścić. Chciała więcej. Dużo więcej.

Kochaj mnie, Zachary, krzyczała bez słów.

Zach włożył palce za pasek jej dżinsów, zsuwając niepotrzebne spodnie. Teraz miała na sobie tylko skąpe jedwabne majteczki. Jęknęła, kiedy ponownie zaczął całować jej piersi, i sięgnęła do guzików jego koszuli. Pod palcami czuła gęste ciemne włosy na jego szerokiej piersi. Dotykała twardych mięśni grających pod gładką skórą ramion, gładziła silne, proste plecy.

Zach jęknął cicho, a ją przebiegł dreszcz. Zaciśnęła palce na jego ramionach.

- Adria - wyszeptał chrapliwie, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

Położyła mu palec na ustach.

- Ćśś - wyszeptała. Zach ujął jej palec w usta i zaczął ssać, budząc w niej nieznaną dotąd uczucie gorąca. Wilgoci. Głodu.

Kiedy otworzył oczy i spojrzał na nią, poczuła w podbrzuszu płomień, pulsujący, płynny ogień, parzący i lodowaty jednocześnie.

Zaschło jej w gardle, ale jej rozbudzone ciało zaczęło także wydzielać inną wilgoć, ciepłą, obfitą. Tak, pragnie

tego mężczyzny bez względu na konsekwencje. Nie spuszczać z niej wzroku, przesunął dłonie niżej, wzdłuż miękkiej linii pośladków.

- Jesteś pewna? - spytał szeptem, patrząc na nią z bliska oczami, których ogromne czarne źrenice przesłoniły niemal chmurną szarość tęczy.

- T- tak.

- To może być błąd. - W jego oczach znowu pojawiła się niepewność. Nad nimi ciemne chmury powoli zasnuwały niebo.

- Nigdy - szepnęła, ujmując jego głowę w dłonie i przyciągając ją do swojej. - Kochaj mnie, Zach - powiedziała gwałtownie, zamykając oczy i uszy na głosy demonów w jej głowie. - Kochaj mnie i zapomnij o wszystkim.

Zerwał się wiatr. Zach z trudem przełknął ślinę. Pocałował ją i przesunął dłońmi po jej ciele. Powoli włożył je pod jedwab majtek. Zsunął się niżej, znalazł językiem pępek. Adria wyprężyła się, w milczeniu prosząc o jeszcze. Zach przesunął się jeszcze niżej, powoli ściągając w dół jedwabne majteczki. Adria wydawało się, że umrze, kiedy poczuła jego gorący oddech między nogami. Drżąc, pozwoliła mu się dotykać, najpierw wolno, potem szybciej, aż jej ciało roztopiło się w rozkoszy.

- Zachary! - krzyknęła.

- Jeszcze nie - szepnęła i poprowadził jej rękę na zapięcie swoich spodni. Rozpięła zamek i powoli zsunęła dzinsy z jego smukłych bioder. Objęła Zacha konwulsyjnie, pieszcząc jego pośladki i czując pod palcami naprężone i twarde mięśnie. Przesunęła dłonie na płaski brzuch i usłyszała, jak Zach gwałtownie wciąga powietrze.

- Jesteś pewna? - zapytał znowu, kiedy nadzy już, ciężko oddychając, patrzyli na siebie w pełnym napięcia oczekiwaniu na ostateczne spełnienie.

W odpowiedzi Adria pocałowała go, a Zach położył się na niej, obejmując ją mocno ramionami, przytrzymując jej głowę dłonią i patrząc jej w oczy. Jego spojrzenie zdawało się sięgać dna jej duszy.

Pocałował ją, a potem gwałtownie, jakby stoczył ze sobą zawziętą walkę i przegrał, rozchylił jej nogi. Adria uniosła biodra i poczuła jego twardą męskość, która wypełniła ją bez reszty. Oboje wiedzieli, że ta chwila zmieni ich życie, że odtąd już nic nie będzie takie samo.

Adria zamknęła oczy, ale on pocałował ją w policzek.

- Patrz na mnie - powiedział cicho. - Nie możemy zapomnieć, co się dzieje. Nigdy nie możemy o tym zapomnieć.

- Te słowa zabrzmiały jak przepowiednia. Adria podniosła powieki i patrzyła w oczy Zacha, kołysząc się w tym samym rytmie. Zach poruszał się nieprzerwanie, coraz szybciej, coraz mocniej, aż oczy zasły jej łzami i widziała twarz Zacha jak przez mgłę.

Rozgrzana i wilgotna, poczuła, jak on zbiera się w sobie. Chwilę potem w jej ciele eksplodował wszechświat.

- Adria, och Adria! - krzyknął Zach, a jego chrapliwy głos odbił się szerokim echem od kamiennych ścian kanionu. I jej serca. Ciasno objęła go nogami i ramionami, jakby w obawie, że mogłaby utracić to, co w tak cudowny sposób ich połączyło. Drżała konwulsyjnie.

Kochaj mnie, krzyczała bez słów, przytulając się do niego, kiedy opadł już na nią wyczerpany. Ich ciała pasowały do siebie idealnie. Kochaj mnie, Zachary. Nigdy nie przestawaj mnie kochać.

Łzy napłynęły jej do oczu - łzy radości, a może ulgi, Adria nie była tego pewna. Postanowiła jednak że nie będzie płakać ani myśleć o tym, co przyniesie kolejny dzień. Bo on i tak nadejdzie za szybko.

20

Opowiedz mi o mojej matce - poprosiła Adria, drżąc z chłodu. Przez zwieszające się nisko gałęzie sosny patrzyła na dalekie błękitne niebo. Teraz płynęło po nim tylko kilka pierzastych, białych chmur.

Leżący obok Zach zeszytywniał.

- Nie znałem twojej matki. - Sięgnął po swoje spłowiałe dzinsy. - Mieszkała w Montanie.

- O mojej prawdziwej matce - sprecyzowała. Tym razem nie da się zbyć tak jak przedtem. Teraz, kiedy są kochankami, mogą dzielić się wszystkim. - O Katherine.

Ziemia była zimna i wilgotna i Adria dostała gęsiej skórki. Odszukała swoje spodnie i sweter.

Kochali się dziko i namiętnie, a potem leżeli nadzy, trzymając się w objęciach. Adria widziała bliznę na jego ramieniu i przypomniała sobie, że został ranny tamtej nocy, kiedy porwano London. To oczywiste, że nie są spokrewnieni, nie mogą być. Albo on jest synem Anthony'ego Polidoriego, albo ona nie jest London Danvers. Jednak kiedy emocje opadły, nie była już tego taka pewna.

Zach wydawał się teraz bardziej odległy niż kiedykolwiek, jakby znaczenie tego, co zrobili, dotarło właśnie do niego i podziało na niego jak zimny prysznic.

- Katherine nie była twoją matką - powiedział z przekonaniem.

- Nie wiesz tego.

To była prawda. Zach włożył buty. Musi uciec stąd jak najdalej. Ta kobieta jest jak pająk - rozsuwa swą ciepłą, lepką sieć i fascynującą, ale śmiertelnie niebezpieczną. Czy postanowiła się z nim kochać dlatego, że nagle doszła do wniosku, że nie są jednak spokrewnieni, czy dlatego że chciała go w ten sposób podejść i dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie, móc go później szantażować? A może, uchojaj Boże, jej motywy były czyste i nagle się w nim zakochała? Zach wiedział, że to nie ma sensu. Powinien był wykazać się większym opanowaniem. Od czasu tamtej

afery z Kat ani razu nie stracił kontroli nad sobą, ani razu nie pozwolił się uwieść żadnej kobiecie. To on był myśliwym. To on decydował o wszystkim. Potrafił wykazać silną wolę, zwłaszcza kiedy w grę wchodziły gorące, zmysłowe kobiety. Aż do chwili, kiedy spotkał Adrię. Zaciął zęby i wstał, otrzepując dzinsy z piachu.

Nie potrafił oprzeć się Adrii - uporowi widocznemu w jej błękitnych oczach, wyzywającej linii podbródka, miękkim, zmysłowym wargom, jej prowokacyjnemu zaproszeniu, które połehtało jego męską dumę. Udało się jej sprawić, że jego ciało wygrało bitwę z rozumem. Zapragnął seksu. Z nią. Gorącego, namiętnego, dzikiego seksu. I dostał więcej, niż się spodziewał. Zbyt wiele. Wir emocji groził, że wciągnie go i utopi.

Tak jak z Kat!

Zamknął oczy i powiedział sobie, że to tylko kwestia czasu. Jeśli uda mu się zachować dystans i trzymać z dala od jej zmysłowego ciała, może się uratuje i nie straci kontroli nad własnym życiem. Musi zdobyć się na ten wysiłek, przynajmniej dopóki wszystkiego dokładnie nie przemyśli.

Jasne, Danvers. Ciekawe, jak zamierzasz trzymać się od niej z daleka? Teraz, kiedy już skosztowałeś tej rozkoszy, jak zwalczysz pożądanie, które w tobie płonie?

Był tak spięty, że aż zaczęły go boleć wszystkie mięśnie. Ze złością wsadził ręce w rękawy zniszczonej kurtki.

- Musimy wracać. Jest zimno.

Zesztywniał, kiedy poczuł dłoń Adrii na ramieniu.

- Nie musisz czuć się winny - powiedziała cicho. Jej głos nikał w huku wodospadu.

- Nie czuję się winny.

- Więc dlaczego...

- Posłuchaj, Adrio, nie możemy tego robić. Nigdy więcej. Przynajmniej dopóki... nie dowiemy się, kim jesteś. - Odwrócił się i położył jej dłonie na ramionach, poważnie patrząc jej w oczy. - To nie może się już powtórzyć.

- Więc zaczynasz mi wierzyć.

- Na litość boską, wiesz, o czym mówimy? - Zach prawie krzyczał. - O kazirodztwie! - To słowo zawisło między nimi, rzucając cień na las, zasłaniając błękit nieba, zagłuszając szum wody.

- Niemożliwe...

- Skąd ta pewność? Nie masz przecież wątpliwości co do tego, że jesteś London. Więc to chyba bardzo możliwe? Adria z trudem przełknęła ślinę.

- Nie - powiedziała, odrzucając włosy z twarzy. - Uważam, że ty nie jesteś synem Witta.

- Chryste! - wykrzyknął Zach z poszarzałą nagle twarzą. - Więc tak wygląda twoja logika! - Chwyił ją za ramiona, wbijając boleśnie palce w jej ciało. - Posłuchaj mnie uważnie, siostrzyczko. Nie jestem synem tego Włocha.

- Skąd ta pewność? - rzuciła mu w twarz słowa, które usłyszała od niego kilka minut wcześniej.

- Kiedy Witt i Eunice się rozwodzili, Witt zabrał jej wszystko, co pragnęła zatrzymać. Nie sądzisz, że Eunice roześmiałaby mu się w twarz i powiedziała, że jestem synem jego największego wroga? Nie sądzisz, że należałoby, żebym został przy niej?

- Nie, jeśli zależało jej na reputacji. Moim zdaniem reputacja była dla niej równie ważna jak jej dzieci i nie zrobiłaby nic, co mogłoby ją zniszczyć.

- Ale dopuściła się zdrady?

- W grę wchodziła jej duma, jej godność. - Zach z niesmakiem mlasnął językiem. - I nie chciała cię zranić.

Zach przypomniał sobie słowa Eunice wypowiedziane przy jego łóżku w szpitalu. „Źle, że o tym mówię, Bóg jeden wie, że matka nie powinna, ale ty zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem. Ze wszystkich moich dzieci ty byłeś zawsze najbliższy memu sercu”. O Boże, nie! Nagle zaschło mu w ustach. Patrzył na Adrię, jakby była oknem, za którym rozciąga się jego przyszłość.

- Nie zrobiłaś tego chyba - podszedł do niej po miękkiej ściółce sosnowych igieł - dlatego, że twoim zdaniem nie jestem synem Witta.

- Zrobiłam to z wielu powodów, Zach. Ponieważ tego właśnie chciałam. Ponieważ to było silniejsze ode mnie. Ponieważ od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, wiedziałam, że to się musi stać. Ponieważ... do diabła, ponieważ myślę, że cię kocham.

Wspięła się na palce i pocałował go w usta. Zach powtarzał sobie w myślach, że powinien się wycofać, że igra z ogniem, że ta historia nie może się dobrze skończyć, ale nie umiał się powstrzymać. Wziął ją w ramiona, pocałował i zdjął z niej ubranie. Pożerał ją wzrokiem, oszołomiony doskonałością jej piersi, krągłych i białych, z delikatną siateczką błękitnych żyłek pod skórą, idealnym kształtem wyzywających, okrągłych brodawek, które stwardniały wyczekująco, kiedy ich dotknął. Ucałował je, jedna po drugiej, i ukrył twarz między dwoma jędrnymi wzniesieniami.

Całował aksamitną skórę jej brzucha i łagodne, miękkie zagłębienie pępka, a potem zsunął się jeszcze niżej. Adria poruszyła się i jęknęła cicho. Pachniała kobiecością i ziemią, i wszystkim, co odwieczne i pierwotne.

Wiatr igrał z jej czarnymi lokami, a ona, delikatnymi, czarodziejskimi palcami ściągając z niego powoli ubranie, muskając jego pierś i plecy, wsunęła dłonie w jego dzinsy.

Jej oczy lśniły błękitem nieba, jakie można spotkać tylko w Montanie, kiedy całowała go w zapamiętaniu,

dotykając językiem jego twardych, płaskich sutków i ciemnych kręconych włosów na piersi, wąskim pasmem schodzących aż do pępka i niżej.

Zach zwalczył chęć, by zamknąć oczy, i patrzył na nią, na tę zakazaną kobietę, która, jak sądził, myślała tylko o sobie, która potrafiła jednak dotrzeć do najciemniejszych zakamarków jego duszy i wpuścić w nie trochę światła.

Drżał, kiedy ją w końcu posiadał, tak jak za pierwszym razem - gwałtownie i dziko, z siłą, która przegnała dręczące jego umysł demony. Słyszał jej urywany oddech, czuł, jak obejmuje go wilgotny, miękki aksamit jej wnętrza. W tej chwili stracił rozum, wolę, zdolność kontrolowania swoich reakcji. Świat eksplodował i Zach, wyrzucony w końcu na powierzchnię tego cudownego chaosu, leżał na Adrii, dysząc ciężko i próbując zebrać myśli. Zatracił się w jej czarze i wątpił, czy kiedykolwiek zdoła się wyzwolić spod jego mocy. Czy zresztą zechce tego kiedykolwiek? Całując wilgotne od potu loczki na jej karku, marzył tylko o tym, żeby cały świat odpłynął gdzieś daleko i zostawił ich samych. Żeby, daj Boże, mogli na zawsze już pozostać kochankami. Bez strachu. Bez dręczących go i wystawiających na tak ciężką próbę wątpliwości.

Boże, to niebezpieczne. Nigdy jeszcze Zach nie zatracił się tak całkowicie, nigdy nie przekroczył tej cienkiej linii, nigdy nie oddał się nikomu tak bez reszty.

Nigdy też nie kochał się z kobietą, która twierdziła, że jest London Danvers. Zaciśnął pięści, czując w dłoniach piasek, kurz i sosnowe igły. Adria przytuliła się do niego mocniej. Zach słuchał bicia jej serca i zastanawiał się, jak może w ogóle oddychać pod ciężarem jego ciała. Podniósł się na łokciu i spojrzął na nią.

Czarne włosy rozsypały się wokół jej głowy. Kilka loków spoczywało na unoszonych oddechem piersiach. Odsunął je delikatnie.

- Jesteś zbyt piękna - powiedział. Uważał jej urodę za przekleństwo. Taka podobna do Kat, a jednak taka inna.

- Dlaczego? - Uśmiechnęła się, a Zach pomyślał, że nigdy tego pełnego ciekawości uśmiechu nie zapomni. Słońce ozłociło jej twarz, zmrużyła więc oczy, a poruszane wiatrem gałęzie drzewa rzucały na jej policzki rozdragane cienie.

- Bo to... cóż, to niebezpieczne, choć może nie jest to właściwe słowo.

- Dla kogo?

- Dla każdego mężczyzny, który się do ciebie zbliży, i dla ciebie samej.

- Nie kochałeś się ze mną dlatego, że wyglądam tak, jak wyglądam. - Przewróciła się na bok i przeciągnęła leniwie. Zach patrzył na delikatne linie jej żeber i wklęsłość brzucha, który zapadł się miękko, kiedy znowu położyła się na wznak, wkładając ręce pod głowę.

- Cóż, nie przeszkadzało mi to - zażartował, obserwując grę światła na jej skórze.

- Nie, ale nie o to chodziło, i dobrze o tym wiesz. - Uśmiechnęła się i przez ułamek sekundy Zach miał wrażenie, że to Kat leży obok. - Nie mogłeś się oprzeć, bo byłam dla ciebie wyzwaniem. Kimś, do kogo nie powinienes się zbliżać. Kimś, kogo wcale nie chciałeś w swoim życiu.

- Zaraz, zaraz. To ty się na mnie rzuciłaś. Ścigałaś mnie aż tutaj. - Zach podszedł do koni skubiących resztki trawy między drzewami. - Właściwie, gdybym ci nie uległ, leżałbym teraz pewnie na dnie kanionu.

Adria roześmiała się głośno i Zach się uśmiechnął.

- Jak to? Po tych wszystkich zamglonych spojrzeniach, które mi posyłałeś, po tym, jak tyle razy chciałeś mnie pocałować, po tym, jak uparłeś się, żeby mnie zabrać do Ciacamas River, żeby mnie uwieść? Po tym wszystkim to ja mam być tą podstępą uwodzicielką? - Zmrużyła jedno oko i serce Zacha znowu zabiło mocniej. - Nie wydaje mi się.

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

Zach ujął jej ręce i spojrzął na nią miękko.

- O to, że sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Oboje o tym wiemy.

- Jak więc zaczniemy ją znowu kontrolować? - spytała Adria, sięgając ponownie do jego dzinsów. - Może będziemy udawać, że wcale się sobie nie podobamy.

- Może.

- To się nam nie uda.

- Więc zrobimy coś, co ma jakieś szansę na powodzenie - powiedział Zach pośpiesznie. Zaczął się ubierać, tym razem bardzo szybko. Nie może dłużej tracić czasu. Musi poznać odpowiedź na kilka pytań, i to jak najprędzej. Kiedy się odwrócił, zauważył ze zdumieniem, że Adria także narzuciła na siebie ubranie, choć we włosach miała wciąż sosnowe igły i suche źdźbła trawy. Wyglądała na usatysfakcjonowaną, jakby dostała to, na co od dawna czekała.

Wskoczyła lekko na swoją karą klacz i uśmiechnęła się olśniewająco.

- Pośpiesz się - rzuciła.

Zach dopiero wciągał buty. Adria krzyknęła na konia i wbiła pięty w jego boki. Nie umilkło jeszcze echo jej głosu, kiedy zniknęła między drzewami. W ciągu kilku sekund Zach skończył się ubierać i wskoczył na swojego ogiera. Ruszył z kopyta i już po chwili wyjechał z lasu. Niebo, góry i drzewa, wszystko zniknęło. Przed oczami miał tylko jeden cel - kobietę o czarnych, rozwianych wiatrem włosach, na karym koniu.

I miał zamiar ją dogonić, a kiedy to zrobi, był pewien, że ziemia znowu zadrży.

Adria nie spodziewała się jednak, że Zach zmieni zdanie co do jej pobytu na ranczu, i to tak szybko. Kiedy jednak zgodziła się w końcu na rozmowę z dziennikarzami i zapewniła ich, że wkrótce nastąpi ciąg dalszy jej historii, Zach stał się niespokojny i oznajmił, że powinni wracać do Portland, tak jak sobie tego życzyła.

Adria przyjęła jego decyzję zmieszany mi uczuciami. Z jednej strony niczego nie pragnęła bardziej, niż zostać tu, na odciętym od świata ranczu z Zachem, udając, że nic innego się nie liczy, z drugiej jednak wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie może się teraz poddać.

Kiedy Zach wyszedł porąbać drwa do kominka, Adria nalała sobie kieliszek wina i poszła do salonu. Był to pokój o ścianach z cedrowych, grubo ciosanych bali, na których wisiały akwarele przedstawiające konie, rasowe bydło i spokojne scenki rodzajowe z życia ranczerów. Na podłodze stały kosze ze starymi czasopismami, a na starych meblach leżały wielobarwne indiańskie pledy. Jedną ścianę zajmował kominek z jasnego kamienia rzeczno, a całe to przytulne pomieszczenie przenikał lekki zapach dymu i palonego drewna. Adria oczami duszy zobaczyła Zachary'ego odpoczywającego tu wieczorami, kiedy zrzuciwszy buty, opiera nogi o starą otomanę i patrzy w ogień. Była to przyjemna, ciepła wizja i Adria bez trudu wyobraziła sobie, że jest jej częścią. Ale to czyste szaleństwo. Tylko dlatego, że kochali się nad wodospadem, nie może fantazjować na temat wspólnej przyszłości.

To głupie.

Przesunęła palcem po grzbietach książek w biblioteczce i odkryła wciśnięty w kąt stary rodzinny album.

- Nie wiedziałem nawet, że ciągle go mam - powiedział Zach, spoglądając na album.

Wszedł do pokoju z drewnem na opał, wpuszczając do ciepłego wnętrza chłodny jesienny wiatr. Ułożył kilka mniejszych, suchych drewnienek na palenisku i podpalił. Drewno zajęło się natychmiast i wkrótce na kominku buzował wesoly ogień, a po pokoju rozszedł się zapach dymu i sosnowej żywicy. Adria zwinęła się w rogu kanapy.

- Nalałam ci kieliszek - powiedziała, wskazując głową swoje wino. - W kuchni.

Zach wyszedł i wrócił, niosąc oprócz kieliszka także butelkę piwa. Usiadł naprzeciw Adrii i patrzył, jak popijając swoje chardonnay, przewraca powoli strony albumu.

- Niewiele tu znajdziesz. - Podniósł butelkę do ust, patrząc na nią niespokojnie.

- Tak sądzisz? - Adria nie odrywała oczu od zdjęć. Niektóre z nich były stare i wyblakłe, inne w trochę dziwnych, nienaturalnych kolorach. Na żadnym z nich nie było Eunice, w kilku miejscach widniały natomiast wymowne ślady po oderwanych od czarnego kartonu fotografiach. Było kilka zdjęć Zachary'ego - na wszystkich patrzył ponuro w obiektyw jak w oczy swego śmiertelnego wroga. Za to Katherine była najczęściej roześmiana. Spoglądała w obiektyw zalotnie, bawiąc się okularami przeciwsłonecznymi albo włosami. Adria zagryzła wargi. Przewróciła stronę i serce zabiło jej szybciej na widok fotografii uśmiechniętej Katherine, trzymającej na biodrze ciemnowłosego niemowlaka.

Zach pociągnął długi łyk piwa ze swojej butelki, dorzucił drewna do ognia i otrzepał dłonie.

- Właściwie nigdy mi o niej nie opowiadałeś - powiedziała Adria.

Zach patrzył w pomarańczowo-czerwone płomienie tańczące na kominku.

- Niewiele jest do powiedzenia.

Adria wiedziała, że nie powinna w to wierzyć. W jego głosie było coś, co ją zaniepokoiło. Wyczuła, że chce zmienić temat, i postanowiła do tego nie dopuścić.

- O co ci właściwie chodzi, Zach? - spytała, patrząc na niego uważnie. - Co ona ci zrobiła?

- Poza tym, że oskarżyła mnie o porwanie London?

- Nie mówiła tego poważnie. Sam byłeś wtedy jeszcze dzieckiem.

Nie spuszczała z niego wzroku, wstrzymując oddech. Zach zawahał się i zagryzł wargi. Wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku winowajca. Kiedy podniósł w końcu głowę i spojrzał jej w oczy, Adria nagle zobaczyła w jego źrenicach przeszłość i poczuła lodowaty, śmiertelny chłód. Z przenikliwością zakochanej kobiety zrozumiała, że Katherine, jej matka - jej matka - i Zach byli kochankami!

- Nie - wyszeptwała, potrząsając głową. Zrobiło jej się słabo i gdyby nie siedziała, musiałaby się chyba o coś oprzeć. - Och, nie! - Mgliste podejrzenie, zrodzone gdzieś na peryferiach umysłu, zaczęło się krystalizować, nabierać wyrazistości. Album zsunął się jej z kolan na podłogę. - Zach, nie!

Zaciskając usta, Zach wstał i ruszył w jej stronę, ale Adria gestem prosiła, żeby się nie zbliżał. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy, jakby ktoś kopnął ją w żołądek. Na ułamek sekundy zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- O Boże. Nie, ty nie mogłeś przecież... nie, nie, nie...

- Adria...

- Ty... ty i Katherine byliście kochankami? - zapytała słabym, pełnym niedowierzania głosem.

Zach zamknął oczy, jakby spojrzenie wstecz było zbyt bolesne, i zacisnął zęby.

Adrii zrobiło się niedobrze.

- Ona była moją...

- Wiem, kim była - rzucił Zach i zamachnął się pięścią na jakiegoś niewidzialnego wroga, ale opuścił ją zaraz bezradnie. Przechesał włosy palcami obu rąk. - To... to się po prostu stało.

- Stało się tak po prostu? - powtórzyła Adria z niedowierzaniem. - Na litość boską, Zach, ona była twoją macochą!

Zach uśmiechnął się gorzko.

- A ty mogłabyś być moją przyrodnią siostrą. Niezbyt przyjemna myśl, co? - powiedział drwiąco i sięgnął po swoje piwo.

Adria poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Zerwała się na równe nogi.

- Nie jestem...

Zach wstał równie szybko i stanowczo pchnął ją z powrotem na kanapę. Położył dłonie na oparciu po obu stronach dziewczyny, więżąc ją wśród starych poduszek. Jego twarz była tak blisko, że Adria widziała pory na jego skórze, czuła lekki zapach piwa w jego oddechu.

- Czy nie po to tu przyjechałaś, London? Czy to nie jest część twojego planu? Udowodnić, że jesteś moją małą siostrzyczką i...

- Nie, nie, nie, nie! - krzyczała Adria, nie chcąc uwierzyć, że to prawda. Zerwała się z kanapy, ale on chwycił ją za ramiona. - Nie jesteś... nie możemy być... - Zaczęła histerycznie walić pięściami w jego szeroką pierś, aż złapał ją za nadgarstki i odsunął od siebie.

- Ostrzegałem cię...

- Robiłeś tylko mgliste aluzje. Ale nie do tego! Nigdy! Mogłeś mi powiedzieć, że ty... że ty...

- Że co? - Zach patrzył jej prosto w oczy. - Że kochałem się z kobietą, która być może była twoją matką?

Słowa te zabrzmiały ostro jak trzaśnięcie bicia.

Pod Adria ugięły się kolana. Gdyby nie trzymał jej tak mocno, upadłaby i podłogę.

- A gdybym ci powiedział, to co? Wycofałabyś się? - Zmrużył oczy. - Nie sądzę.

Przyciągnął ją do siebie szybko i pocałował ostro, brutalnie, gniewnie. Był wściekły. Na nią. Na siebie. Na cały cholerny świat. Kiedy oderwał się od jej warg, oboje ciężko dyszeli.

- Czy dlatego... czy dlatego kochałeś się ze mną, że jestem podobna do...

- Nie, do diabła! Wcale nie chciałem Kat! Nie chciałem jej, jeszcze zanim się pojawiła! Ale ona wiedziała, jak dostać to, na co miała ochotę.

- Nie chcę tego słuchać...

- To była gorąca kobieta, Adrio, a ja byłem napalonym dzieciakiem. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Źle zrobiłem.

- Więc to dlatego Witt cię wydziedziczył.

Zach uśmiechnął się z goryczą.

- Tak, to był jeden z wielu powodów.

- O Boże. Jak to się mogło... - zapytała, choć właściwie wołała nie wiedzieć.

- Kiedy zaczęła sypiać z Jasonem, stary jakby mi przebaczył. Sporo czasu upłynęło, ale w końcu zawarliśmy umowę. Ja dostałem ranczo, a on odnowiony hotel, tak jak chciał. - Zaciśnął palce na jej ramionach. - Jak sądzisz, dlaczego Kat popełniła samobójstwo? - spytał. - Z mojego powodu. Z powodu Jasona. Z powodu London i Wina. Z powodu przekleństwa, jakim jest nazwisko Danvers. Przekleństwa, o którym tak marzysz!

Adria odsunęła się od niego, oddychając z trudem.

- Nie pogarszaj sytuacji - rzuciła i zobaczyła, jak w jego twarzy drgnął jakiś mięsień. Przez chwilę sądziła, że znowu ją pocałuje, i jakaś jej część nadal tego chciała, chciała go całować, tulić, kochać się z nim...

- Pogarszać? Chyba nie może być gorzej - odparł i wypadł z pokoju. Postanowił się upić. Nie tak po prostu upić się, ale zalać się w trupa, ohydnie, odrażająco się schlać. Złapał kurtkę i wyszedł z domu. Temperatura spadła i w powietrzu wirowały pierwsze płatki śniegu. Tak, upije się i znajdzie sobie kobietę. Kobietę, której jeszcze nie zna. Kobietę na jedną noc. Kobietę, która nawet nie zapyta go o imię.

Zatrzasnął za sobą drzwi z taką siłą, że szyby w oknach zabrzęczały cicho.

Mimo chłodu Manny siedział w fotelu na biegunach na ganku małego domku stojącego na końcu parkingu. Z kącika ust zwisał mu papieros. Słuchał stojącego na parapecie radia i nucił coś cicho. Podniósł wzrok, kiedy Zach przeszedł koło niego w drodze do jeepa.

- Wyjeżdżasz?

- Tak.

- Wyglądasz, jakby cię coś wkurzyło.

- Zgadza się.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. - Zach wskazał głową dom. - Miej ją na oku, dobra?

- Ja jestem Kajunem, Danvers, a nie klawiszem.

- Dopilnuj tylko, żeby nie nawiała.

- Kłopoty z babami - powiedział Manny z nieprzeniknioną twarzą. - Najgorsze kłopoty.

- Amen. - Zach wsiadł do samochodu, wsadził kluczyki do stacyjki i odjechał.

Do cholery, co się z nim dzieje? Najpierw Kat, a teraz ta kobieta, tak niesamowicie do niej podobna.

Musi znaleźć sposób, żeby uwolnić się od jej uroku, wyrwać się z tego błędnego koła grzechu i niebezpiecznych fantazji erotycznych.

Wyruszyli w powrotną drogę do Portland dopiero wieczorem następnego dnia. Zachowi bardzo to odpowiadało. Głowa mu pękała po nocy spędzonej w towarzystwie Jacka Danielsa. I nikogo innego. Pojawiła się wprawdzie w pobliżu urocza piegowata blondyneczka, ale Zach nie wyszedł poza etap zachęcających uśmiechów. Mimo że okazała mu wiele zainteresowania, a jej okazały biust zalotnie opinał żony podkoszulek, Zach nie był w stanie utopić wspomnienia Adrii w żadnej ilości alkoholu. Blondynka spotkała w końcu kowboja, który wiedział, czego chce, i zniknęła, a Zach niemal utonął w whisky. Manny przyjechał po niego do miasteczka nad ranem i zabrał go do domu.

Dzisiaj płacił za wybryki poprzedniego dnia. Słono płacił.

Włożył ciemne okulary, choć prawdę mówiąc, słońce zasłoniły ciemne chmury. Zach cierpiał jednak na światłowstręt, a powieki piekły go z niewyspania i od dymu papierosowego.

Włączył radio i słuchając jakiejś melodii country, zastanawiał się, co, u licha, powinien zrobić z Adria, kiedy już wróci do Portland. Nie zdradziła mu swoich planów, ale podejrzewał, że zamierza go porzucić. Cóż, nic dziwnego, zachował się wobec niej okrutnie poprzedniego wieczoru, ale tylko tak mógł się uwolnić od jej towarzystwa, a musiał zostać sam. Dla dobra ich obojga.

- Zarezerwowałem dla ciebie pokój - powiedział, kiedy wjeżdżali do miasta.

- Niech zgadnę, nie w hotelu „Orion” - rzuciła sarkastycznie. Nawet nie odwróciła głowy w jego stronę.

- W tym hotelu nic ci nie będzie groziło.

Adria spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Z czyjej strony? - Sceptycznie uniosła brew. - Rodziny Danversów? Człowieka, który na mnie napadł? Twojej? Nie sądzę. - Dostrzegła jego irytację i powiedziała sobie, że nic ją to nie obchodzi. Zranił ją zbyt mocno. Na samą myśl, że on i Katherine... Boże, przecież był wtedy jeszcze dzieckiem, a Katherine była jej matką... i... - Znowu zrobiło jej się słabo i postanowiła nie myśleć już o tym, co dręczyło ją całą noc. Oczami duszy widziała Zacha, zdenerwowanego, spoconego szesnastolatka, napalonego jak wszyscy diabli, robiącego to z żoną swojego ojca.

Nie jesteś lepsza, robiłaś to z człowiekiem, który może być twoim przyrodnym bratem.

Omali nie zwymiotowała, zanim nie zatrzasnęła tej wizji w najciemniejszym zakamarku swojego umysłu i nie zabarykadowała drzwi. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe!

- W porządku. Więc w którym hotelu chcesz się zatrzymać?

- Nie wiem. Po prostu wysadź mnie przy moim samochodzie i...

- Twój samochód nie jest jeszcze gotowy.

- Nie jest gotowy? Do czego? Przecież był sprawny...

Zach prychnął. Rano rozmawiał z mechanikiem.

- Nie wiem, co to słowo oznacza w Montanie, ale człowiek, który dobrze się na tym zna, twierdzi, że potrzebujesz nowych hamulców, amortyzatorów, świece, paska klinowego i tak dalej. Lista jest dość długa.

- Świetnie. Nic mnie to nie obchodzi. Ty go do tego upoważniłeś! - Adria wiedziała, że nie będzie jej stać na odebranie starego auta z warsztatu.

- Nie martw się o to, dostaniesz samochód. Taki, na którym można polegać.

- Nie potrzebuję twojej pomocy, Zach.

- Ale...

- Ani twojego współczucia.

- Potrzebujesz samochodu.

- Ani twojej uprzejmości, zrozumiałeś? Po prostu zawieź mnie na lotnisko. Sama wynajmę sobie samochód - rzuciła kwaśno.

Wszystko wymyka jej się spod kontroli. Musi wziąć się w garść, dowiedzieć się prawdy, a potem zdecydować, co robić dalej.

Zach spojrzał na nią z ukosa.

- Powinnaś zostać ze mną.

- Och, z tobą. Tam, gdzie nic mi nie grozi? - zadrwiła, chcąc zranić go tak boleśnie, jak on zranił ją.

- Tak.

- Nie licz na to.

Zach popatrzył na nią przeciągle, ale nic nie powiedział. W milczeniu przejechał koło lotniska, kierując się w stronę centrum miasta. Zatrzymał się dopiero na parkingu przed hotelem „Danvers”.

Adria wpadła w furję.

- Znakomicie. Wezwę więc taksówkę - wycedziła przez zaciśnięte zęby i sięgnęła po torbę leżącą na tylnym siedzeniu.

- Proszę bardzo.

- Siedzenie tu jest stratą czasu.

- Skoro tak uważasz. - W ręce trzymał walizkę Adrii, przycisnął guzik windy łokciem i czekał, niecierpliwie stukając butem o podłogę. Kiedy winda w końcu przyjechała, przepuścił Adrię. Na górze, w głównym holu, poprosił recepcjonistę na bok.

- Panna Nash potrzebuje apartamentu - powiedział, patrząc na niego zimno. - Prywatnego apartamentu, do którego jest tylko jeden klucz. Nikomu nie wolno jej nachodzić, dotyczy to zarówno obsługi hotelowej, jak i członków mojej rodziny, rozumiano?

- Oczywiście. - Mężczyzna przełknął ślinę i jego jabłko Adama podskoczyło zabawnie.

- Życzę sobie także, żeby przed drzwiami apartamentu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę stał ochroniarz. Przez cały czas...

- Daj spokój, Zach, to śmieszne - wtrąciła Adria.

- Bez przerwy. Kiedy panna Nash będzie w apartamencie i kiedy jej tam nie będzie, ochrona ma stać przed drzwiami. Jasne?

- Oczywiście, panie Danvers.

- Panna Nash będzie odbierać telefony, a jej goście będą czekać w holu, aż ich sprawdzi. I nikt, nawet Jason, nie ma prawa odwołać moich zaleceń. A gdyby ktoś próbował, proszę mnie o tym natychmiast powiadomić. Zajmę swój apartament, ten co zawsze. Aha, panna Nash nie musi się meldować. Jest moim gościem.

- Tak, panie Danvers - odpowiedział kierownik. Odwrócił się i zdjął klucz z haczyka. Przesunął go po szerokim blacie recepcji w stronę Adrii, która po chwili wahania wzięła go, zagryzając wargi. Przyjmie zaproszenie. Na jakiś czas. Dopóki nie wynajmie samochodu i nie znajdzie sobie nowego lokum.

Zachary jeszcze nie skończył.

- Sam zaniosę bagaż panny Nash. Jak pan wie, osoba, która zajmuje ten apartament, jest VIP-em i nikt, absolutnie nikt nie ma prawa wiedzieć, że tam mieszka.

Adria już otwierała usta, by zaprotestować, ale zmieniła zamiar. Niech robi, co chce. Jeszcze tylko kilka minut i odzyska upragnioną niezależność. A może nie taką upragnioną? Serce nie zgadzało się z rozumem, miało własne pragnienia. Patrzyła na Zacha, tak spokojnie i władczo wydającego polecenia. Powiedziała sobie, że musi się uodpornić, i poszła za nim do windy. W małym pomieszczeniu wbiła oczy w podłogę, ale i tak nie była w stanie zapomnieć o jego obecności. Wysiedli na szóstym piętrze i przeszli do narożnego apartamentu, składającego się z kilku pokoi i balkonu. W jednym pokoju był kominek, a łazienkę wyposażono dodatkowo w jacuzzi. Zach rzucił walizkę na kanapę i zamknął za sobą drzwi. Szczęk zamka był tak głośny, że Adria niemal nie podskoczyła.

- Czułbym się lepiej, gdybym mógł tu z tobą zostać - powiedział, wskazując głową na kanapę obitą kwiecistą materią, na której teraz spoczywał jej bagaż.

- Myślę, że biorąc pod uwagę okoliczności, byłby to duży błąd - odparła Adria. Czowała jednak, że jej serce zaczęło bić mocniej. Na myśl o tym, że mogłaby tu być z nim sama, zaczęła drzeć, jakby w jej wnętrzu motyl zatrzepotał skrzydłami.

- Jeśli nie zostanę z tobą, nie będę mógł cię chronić - powiedział. Stał niecałe pół metra od niej. Ta bliskość wydała się Adrii nieznośna.

- A ja nie mogę się bronić, kiedy jesteś w pobliżu. - Oparła się o parapet. - Sprawy zaszły za daleko, Zachary. Nie obwiniam cię, ale to, co się zdarzyło, było błędem. Wiem o tym teraz, ale nie jestem pewna, czy mogę sobie zaufać... czy będę umiała ci się oprzeć, gdy będziesz tak blisko.

Mówiła szczerze. Miała przy tym wrażenie, że rozdziera własną duszę, bo jakaś jej część tęskniła do jego uścisków, pocałunków, do dotyku jego rąk. Zagryzła wargi, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby żałować.

Zach patrzył na nią oczami szarymi jak niebo nad pustynią. W tej chwili wyzierał z nich głęboki smutek.

- Ty decydujesz, Adrio - powiedział miękko, łagodnie, prawie pieszczotliwie.

Adria zadrżała. Przypomniała sobie dotyk jego dłoni, zapach skóry, jego oddech tuż przy swoim uchu.

- Więc niech będzie tak, jak powiedziałam.

Zach zeszywniał i zacisnął usta.

- Jestem w apartamencie siedemset czternaście - powiedział po chwili.

Adrię ścisnęło w gardle na wzmiankę o pokoju, z którego porwano London przed prawie dwudziestu laty.

- Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Potrzebuję cię! Potrzebuję cię teraz! Adria zacisnęła palce na parapecie. Miała ochotę wykrzyknąć te słowa głośno, a potem podbiec do niego i rzucić mu się na szyję. Powstrzymała się z trudem.

Zach odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Klnąc pod nosem, Zach podjechał przed główną siedzibę Danvers International. Budynek był oczywiście zamknięty, ale Zach użył specjalnej karty i drzwi otworzyły się przed nim jak przed królem. Przed królem o nazwisku Danvers.

Zach nie miał właściwie ochoty wychodzić z hotelu - czuł, że Adria może w tym czasie zniknąć - ale miał kilka pytań do Jasona, który przez telefon udzielał mu mglistych, nic nie znaczących odpowiedzi. Postanowił więc złożyć mu wizytę i zrobić wszystko, co będzie trzeba, żeby wydusić z niego prawdę.

Zanim sam zmarnuje Adrii życie do reszty.

Przygotowując się psychicznie do czekającej go potyczki z bratem, zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla wiceprezesa. Wjechał windą na piętro, gdzie mieściły się biura Jasona. W ciągu dnia budynek był pełen ludzi, nocą stał pusty i ciemny niby grobowiec.

Przeszedł przez wyludniony korytarz, oświetlony tylko małymi lampkami wskazującymi drogę pożarową, minął stanowisko sekretarki i pchnął drewniane, rzeźbione drzwi do biura prezesa.

Jason, w eleganckim garniturze i krawacie, leżał na skórzanej kanapie naprzeciw wielkiego telewizora stojącego w drugim kącie pokoju. Musiał mieć za sobą naprawdę ciężki dzień - wskazywały na to zmierzwiłone nieco włosy i poluzowany węzeł krawata. Jedną stopę opierał o szklany blat niskiego stolika, a w ręce trzymał szklanekę z bursztynowym płynem.

Zach wszedł, pozwalając drzwiom zatrzasnąć się za nim z hukiem. Rozejrzał się po pokoju, w którym zapadały najważniejsze decyzje dotyczące firmy. Przez dwie szklane ściany widać było panoramę miasta, błyskającego teraz w ciemności tysiącami małych światełek, i dwa mosty na Wilamette. Na trzeciej, wyłożonej grubo ciosanymi cedrowymi balami - dla upamiętnienia lasów, które w tak wydatnym stopniu przyczyniły się do powstania fortuny Danversów - wisiały w ramach dyplomy i inne trofea.

- Jesteś zdenerwowany - stwierdził Jason, wstając i wpychając koszulę w spodnie.

Eufemizm roku.

- Odrobinę.

- Adria? - Jason wyłączył telewizor i sięgnął po swoją szklanekę.

- Jest bardzo niezależna.

- Myślałem, że to właśnie lubisz w kobietach.

- Nie w tej.

Jason sceptycznie podniósł brew.

- Napij się, proszę.

- Nie dziś. - Zach oparł się o biurko Jasona. - Przyszedłem, ponieważ muszę się skontaktować ze Sweenym.

- Dzwonił dzisiaj. - Jason dopił drinka. - Złe wieści.

Zach poczuł, że robi mu się zimno.

- Właściwie sprawa jest jasna. - Jason podszedł do barku i dolał whisky do topniejących kostek lodu. - Odnalazł Bobby'ego Slade'a. Wiesz, liczyliśmy że okaże się ojcem Adrii. Nazywa się Robert E. Lee Slade. Jest byłym mężem Ginny Watson, to się zgadza, i mieszka w Lexington w stanie Kentucky. Ma tam mały interes, warsztat samochodowy czy coś w tym rodzaju - Jason machnął ręką, jakby zajęcie Bobby'ego Slade'a, bez względu na to, jakie było, nie miało najmniejszego znaczenia. - Sweeny twierdzi, że Slade nie ma pojęcia, gdzie jest jego była żona, nie kontaktował się z nią od czasu, kiedy dwa lata temu podjęła pracę opiekunki do dziecka w San Francisco.

Zach poczuł, że spoczęły mu się ręce. Pamiętał Ginny Slade jako prostą, przypominającą trochę ptakę kobietę w bezkształtnych sukniach, która - zwłaszcza na tle Kat - wyglądała nijako i trochę archaicznie. Ale ta ptasiogłowa Ginny zdołała porwać ukochane dziecko Witta i ukryć się tak dobrze, że nikt nie był w stanie jej odnaleźć.

- Co jeszcze mówił Sweeny?

- Dość dużo. Wszystko jeszcze przed tobą. Bobby twierdzi, że jego żona była kopnięta. Kompletna wariatka. Straciła kontakt z rzeczywistością, kiedy ich kilkuletnia córka zginęła w wypadku na łódce. Utonęła. Ginny oskarżała o to męża, a on ją. Beznadziejny przypadek. Ich małżeństwo nie przetrwało tego kryzysu. Sweeny mówi, że Slade z ulgą w końcu się jej pozbył.

- A London?

- Dochodzimy do sedna. - Jason spojrzął w sufit. - Slade twierdzi, że wiele lat temu - w połowie lat siedemdziesiątych czy coś koło tego, tuż przed tym, jak przeniósł się do Kentucky - Ginny ni stąd, ni zowąd pojawiła się w Memphis. Miała ze sobą dziecko, ciemnowłosą dziewczynkę, mniej więcej czteroletnią. Wydało mu się to dziwne, ale kiedy mu powiedziała, że to jej córka, nie miał powodu nie wierzyć. Zawsze miała fioła na punkcie dzieci, jeszcze zanim straciła własne. - Jason spojrzął bratu w oczy i jego gniewne spojrzenie stało się prawie nienawistne. - Zdziwiło go tylko, i poczuł się trochę nieswojo, że nazwała dziewczynkę Adria, tak jak miała na imię ich zmarła córka.

- Jezu Chryste - wyszeptał Zach zmartwiającymi wargami.

- Tak właśnie zareagowałem, stary. Cóż, ciężko mi to mówić, ale zdaje się, że Adria Nash rzeczywiście może być naszą siostrą.

Zach chwycił się krawędzi biurka. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe! Adria nie może być jego przyrodną siostrą. W żaden sposób! Nie jest z nim spokrewniona. Pomyślał o niej - nagiej, lśniącej od potu, szepczącej mu czułe słówka urywanym głosem... Na litość boską...

- Nelson już wie. Jest w drodze.

- A Trisha? - spytał Zach, choć z trudem nadążał teraz za rozmową zaprzątnięty własnymi myślami.

- Nie udało mi się do niej dodzwonić - powiedział Jason. - Pewnie znowu się zaćpała.

- Muszę porozmawiać ze Sweenym. Prawdopodobnie kłamie...

- Zach, weź się w garść.
- Muszę się z nim skontaktować!
- Po co?
- Mam do niego kilka pytań - odparł Zach, a Jason spojrział na niego przeciągle i uśmiechnął się pod nosem, dając mu do zrozumienia, że czyta w nim jak w otwartej księdze.
- Numer jest na biurku, ale rozmowa z nim nic ci nie da. Fakty to fakty. Adria Nash jest prawdopodobnie naszą siostrą. Na szczęście ona o tym nie wie.
- Na razie - powiedziała Zach pośpiesznie.
- Nie dowie się nigdy. - Jason wyprostował się i wysunął dolną szczękę, patrząc twardo na brata. Był w tej chwili tak bardzo podobny do Witta, że Zach aż drgnął. - Jeśli o mnie chodzi - oznajmił Jason - zrobię wszystko, żeby się o tym nie dowiedziała.

21

W końcu wiemy, na czym stoimy - powiedział Sweeny. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony.
Zach był tak spięty, że z trudem oddychał.
- Masz obecny adres Ginny Slade?
- Nie, ale wiem, u kogo pracowała w San Francisco jakiś czas temu.
- Dawaj.
Detektyw zawahał się, ale ostatecznie podał Zachowi nazwisko i adres ostatniego pracodawcy Virginii Watson, którego miał na swojej liście. Nie było to wiele, Zach jednak niczego więcej nie potrzebował. Odwiesił słuchawkę, gdy tylko do biura wszedł Nelson.
Nelson, zdyszany i trupio blady, zatrzymał się na środku pokoju.
- Co się dzieje?
- Sweeny odnalazł Ginny Slade - odparł chłodno Jason. - No, prawie. Uważa, że jest gdzieś w San Francisco.
- Więc to prawda? - Nelson opadł na krzesło i potarł skronie palcami. Wyglądał, jakby cały jego świat rozpadł się właśnie na kawałki. - Nie mogę w to uwierzyć. Więc ona naprawdę jest London?
- Na to wygląda - powiedział Zach z roztargnieniem.
- Nie musimy w to wierzyć. - Jason był niewzruszony. - Nie musimy kupować tej historii ani nikomu jej sprzedawać. Wystarczy, jeśli będziemy trzymać język za zębami.
- Mowy nie ma. Ona powinna się o tym dowiedzieć - rzucił Zach. W ustach poczuł dziwnie gorzki smak, kiedy uświadomił sobie, że nadal jej pragnie. Mimo że prawie na pewno jest jego siostrą, nie mógł przestać o niej myśleć jako o kobiecie.

Nelson zmarszczył nos, jakby chciał pozbyć się uporczywego bólu głowy.
- O Boże, najpierw matka miała wypadek, a teraz to...
- Eunice miała wypadek? - Zach podniósł głowę.
- Poślizgnęła się i upadła, goniąc za jednym z tych cholernych kotów. Nic jej nie jest, tylko trochę się potłukła. Ma kilka zadrapań. Nic poważnego na szczęście. Ale ta sprawa z London, to niewiarygodne. - Spojrzął na Zaczę i uśmiechnął się słabo. - Wiesz, dawno temu byłeś moim bohaterem. Zostałeś napadnięty, omal cię nie zabili. Wzięłaś sobie prostytutkę... - umilkł i spuścił oczy. Westchnął ciężko i było to westchnienie udręczonej duszy, która już wiele lat temu pobłądziła. - To wszystko już minęło. I nigdy nie wróci.
Zach nie miał ochoty na podróże sentymentalne, zwłaszcza we własną przeszłość. Nelson zawsze przesadzał, nie było powodu, żeby nagłe pojawienie się ich zaginionej siostry miało cokolwiek zmienić. Poklepał młodszego brata po ramieniu i ruszył do drzwi. Z nagłym postanowieniem otworzył je na oścież i wyszedł.
- Hej, a ty dokąd? - zawołał za nim Jason. - Zaczekaj chwilę. Zach! Co on, do cholery, ma zamiar teraz zrobić?
- A co to ma za znaczenie? - powiedział smutno Nelson. - To już koniec, Jase.
- Jeszcze nie...

Reszty Zach już nie dosłyszał. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Uderzył w guzik przy windzie pięścią. Adria okazała się jednak London. Poczuł dziwny ucisk w piersi, ale powiedział sobie, że to było nieuniknione i że może lepiej, że tak jest. Gdzieś w głębi duszy jednak wcale w to nie wierzył. Dobrze, że zbliżyli się do prawdy i że w końcu spadnie zasłona tajemnicy wisząca nad rodziną. Źle, bo on już nigdy nie będzie mógł dotknąć kobiety, która tak głęboko zapadła mu w serce.

Trisha, lekko zawiana, wsiadła do swojej alfy romeo i ruszyła, wyciskając z małego sportowego samochodziku, ile się dało. Jechała bez celu, w noc, w ciemność. Miała nadzieję, że zobaczy się z Mariem, ale nic z tego nie wyszło. Znowu. Zaciśnęła palce na kierownicy i wzięła zakręt zdecydowanie za szybko, bo opony zapisały na asfalcie, a samochód zjechał na drugi pas. Światła nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu oślepiły ją na moment, kierowca skręcił gwałtownie, cudem unikając zderzenia. Rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu. Trisha wróciła na właściwy pas.

- Ty też się pieprz, kretynie - mruknęła pod nosem, spoglądając we wsteczne lusterko, żeby się upewnić, czy „kretyn” przypadkiem nie zawrócił i nie jedzie za nią. Cóż, nawet gdyby tak było, proszę bardzo. Pokazałaby mu

co może dobry samochód. Była w fatalnym nastroju.

Z powodu Maria. I Adrii.

Mario oznajmił, że nie może się nią spotkać, ponieważ razem z ojcem musi zająć się jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą. Trisha nie była jednak na tyle głupia, żeby mu uwierzyć. Przepraszał ją w kółko, jednak w jego głosie nie było śladu żalu i Trisha była pewna, że prawdziwym powodem jest kobieta. Nowa kobieta, ktoś bardziej od niej podniecający, ktoś, kto był dla niego wyzwaniem. Trisha nie miała wątpliwości, że chodzi o Adrię Nash. Odkąd widziała go z tą dziewczyną w pubie, Mario unikał Trishy, wymyślając same głupie, niewiarygodne wymówki. Ale ona dobrze wiedziała, co się święci. Ilekroć poderwał jakąś nową laleczkę, stawał się roztargniony i bardzo zajęty, w końcu jednak - czasami już po kilku dniach, czasami po kilku wykańczających dla niej miesiącach - zawsze wracał, nie okazując śladu skruchy, jakby nic się nie stało, twierdząc, że tylko ją kocha. Ponownie wchodził w rolę jej kochanka, zasilając ich związek świeżymi pokładami energii i namiętności.

Seks z nim wart był kilku tygodni oczekiwania.

Nie był wart psychicznego wyczerpania, jakim Trisha opłacała tę emocjonalną huśtawkę.

A teraz zainteresował się Adrią Nash. Trisha była przerażona bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

- Dziwka! - syknęła przez zęby i pomyślała o pistolecie ukrytym w schowku na rękawiczki. Nie wiedziała, kogo najpierw zastrzelić, Maria czy Adrię. A może oboje naraz. Kupiła pistolet, żeby móc się bronić, i nigdy dotąd nie miała okazji go użyć. Dziś jednak, gdyby spotkała Maria - jej Maria - z tą suką z Montany, bez zastanowienia załatwiłaby ich oboje.

Poruszyła spoconymi palcami na kierownicy i weszła w następny zakręt. Myśl o podwójnym morderstwie była pociągająca, ale Trisha wiedziała, że to tylko miła, dziecinna fantazja, której nigdy nie zrealizuje. Zła na samą siebie wcisnęła zapalniczkę, zastanawiając się, czy nie kupić sobie czegoś mocniejszego. Odrobina koki na pewno podniosłaby ją na duchu, może nawet dałaby jej dość odwagi, by wprowadzić w czyn mordercze plany, od których roilo jej się w głowie. Na razie wytrząsnęła papierosa z paczki salemów i wsadziła go do ust. Telefon komórkowy zadzwonił i Trisha uśmiechnęła się do siebie. Mario jednak zmienił zdanie. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą sięgnęła po telefon.

- Tak? - rzuciła z nadzieją.

Rozczarowana usłyszała głos Nelsona.

- Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć - powiedział. - Wygląda na to, że Adria rzeczywiście jest London.

- Cholera, nie...

Zapalniczka wyskoczyła z głuchym szcęknięciem. Trisha przytrzymała telefon podbródkiem i przytknęła rozżarzony koniuszek zapalniczki do papierosa. Nie spuszczała wzroku z drogi. Wypuściła dym kącikiem ust.

- Mnie też nie chcę się w to wierzyć, ale Sweeny twierdzi, że ma na to niezbyty dowód. Odnalazł...

- Ten dupek nie umiałby odnaleźć własnego ptaka, gdyby nie był przyczepiony do jaj - ucięła Trisha.

Odłożyła zapalniczkę i zaciągnęła się papierosem.

- Zawsze musisz być taka wulgarna?

- Prasa już wie?

- Jeszcze nie. Ale dowiedzą się wkrótce. Zach całkiem oszalał...

- Zach? - Trisha zmarszczyła brwi, wydmuchując z ust kłęb dymu, który na chwilę niemal zasłonił przednią szybę.

- Tak, wrócił do miasta.

- Z tą dziwką?

- Tak sądzę.

Trisha zmartwiała. A więc jej podejrzania były prawdziwe. Nic dziwnego, że Mario był tak zajęty tego wieczoru.

- Jason chce utrzymać to w tajemnicy - ciągnął Nelson. - Nie chce, żeby ktokolwiek spoza rodziny się o tym dowiedział, zwłaszcza Adria, ale Zach wypadł ze spotkania jak burza i chyba ma zamiar jej powiedzieć.

- Szlag by to trafił. - Trisha miała wrażenie, że cały świat wali jej się na głowę. Najpierw Mario, a teraz to. Wszystko, co łączyło się z rodziną Danversów - całe jej życie, jej przyszłość - rozpadało się na kawałki. Z powodu Adrii.

- Wyrażasz emocje ogółu.

- Gdzie ona jest?

- Chętnie ci powiem - powiedział Nelson ironicznie. - Wyobraź sobie, że Zachary ukrył ją w tym cholernym hotelu. Jason już to sprawdził, chociaż ten mały gad Rich nie chciał mu powiedzieć, w którym pokoju. Jason zagroził, że go zwolni, ale on i tak nie puścił pary z gęby.

- Zach musiał go nastraszyć śmiercią lub kalectwem. - Trisha przyhamowała, stając na czerwonym świetle.

- Możliwe. To do niego podobne.

- Coraz lepiej.

- Raczej coraz gorzej - powiedział Nelson ponuro.

- Dlaczego właściwie Zachowi tak zależy, żeby Adria poznała prawdę?

- Ty mi powiedz. W końcu jesteś rodzinnym psychologiem.

Wszystkie fragmenty układanki nagle znalazły się na swoim miejscu. Światła się zmieniły i Trisha ruszyła z piskiem opon, uśmiechając się do siebie złośliwie.

- Założę się, że nasz niewzruszony braciszek, na co dzień hołdujący zasadzie „kochaj, a potem rzuć”, wpadł tym razem po uszy. Zakochał się w hożej dziewczynie z Montany. - Na samą myśl o tym ogarnął ją głęboki niesmak. - To obrzydliwe. Ona jest przecież... naszą... do diabła, to nieprawdopodobne. - Zbliżyła się do kolejnych świateł, dodała gazu i przejechała na żółtym. - Cóż, to może być dla nas nawet korzystne.

- Niby jak?

- Zobaczysz - obiecała Trisha, wyłączyła telefon i skręciła w stronę rzeki. Włączyła radio i zaczęła nucić wraz z Tiną Turner. Teraz była już pewna, że poradzi sobie z Adrią.

Kiedy Zach wyszedł, Adria z miejsca zabrała się do pracy. Zadzwoiła do kilku firm wynajmujących samochody i w jednej znalazła nieduże, tanie auto. Wykręciła numer mechanika i zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość, że potrzebuje swojego samochodu jak najszybciej. Następnie postanowiła, że czas już wynająć dobrego prawnika.

Od czasu konferencji prasowej poznała kilku i miała w torebce prawie tuzin wizytówek, wręczonych jej przez wygadanych eleganckich mężczyzn w drogich wełnianych garniturach, którzy twierdzili, że chętnie zajmą się jej sprawą. Kilku z nich było nawet skłonnych zrezygnować z zaliczki. Wszyscy jednak wydawali się tacy śliscy... zbyt sprytni, żeby miało jej to wyjść na dobre. Dotychczas nie zdecydowała się na żadnego z nich.

Ale sytuacja się zmieniła.

Na gorsze.

Adria rzuciła się na łóżko i zakryła oczy ramieniem.

Zapomnij o nim!

Gdyby tylko wiedziała, jak to zrobić. Niestety, nie potrafiła przestać myśleć o Zachu. Ciągle miała przed oczami jego twarz o surowych rysach, czuła na ustach jego wargi, drżała na myśl o dotyku jego dłoni.

Głupia! Myślisz, że mu na tobie zależy? Prawdopodobnie zadziałał tylko urok nowości... a ty...

Zadzwoił telefon i Adria zerwała się na równe nogi. To na pewno Zach. Nikt inny nie widział przecież, że tu mieszka. Podniosła słuchawkę, starając się nadać swojemu głosowi spokojne, chłodne brzmienie.

- Halo?

- Adria? - powiedział kobiecy głos. - A więc tu jesteś.

Adrii nagle zaschło w gardle. Rozpoznała ten głos. Należał do Trishy.

- Zach nikomu nie powiedział, gdzie cię szukać, ale pomyślałam, że spróbuję szczęścia. W recepcji nie chcieli mi wprawdzie zdradzić numeru twojego pokoju, ale w końcu raczyli połączyć mnie z tobą. - Trisha była wyraźnie zirytowana.

- Czego chcesz? - spytała Adria, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby była spokrewniona z tą kobietą.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Teraz?

- Masz coś innego do roboty? Jestem na parkingu przed hotelem - dodała, nie czekając na odpowiedź. - Mogłabym się spotkać z tobą za pięć minut w barze, chyba że... wolałabyś pójść gdzie indziej-

- Dobrze, spotkajmy się barze - powiedziała Adria. - Zaraz zejść.

Aby zachować bezpieczeństwo, pomyślała, chociaż właściwie nie obchodziło jej, kto wie, gdzie jej szukać. Może już czas wykurzyć z kryjówki tego, kto porwał London, i dowiedzieć się w końcu, co wydarzyło się w tym hotelu dwadzieścia lat temu. Przeczesła włosy, narzuciła żakiet i wyszła, zamykając drzwi na klucz.

Odwróciła się i omal nie wpadła na ochroniarza - wielkiego mężczyznę stojącego pod drzwiami.

- Pan Danvers kazał mi się stąd nie ruszać - powiedział przepaszająco. - Pani wychodzi?

- Tylko na chwilę.

- Dokąd?

- Na dół - odparła zirytowana faktem, że jakiś obcy facet wtrąca się w jej życie, choć wiedziała, że robi tylko to, co mu kazano. Popędziła do windy, wcisnęła guzik i czekała, niecierpliwie stukając palcami o drzwi, które po chwili rozsunęły się z cichym szumem. Adria wpadła do środka i zjechała na dół.

W holu czekał na nią Zach.

Stał oparty o filar, z rękami założonymi na piersi i wzrokiem wbitym w winę, jak tygrys polujący na niczego nie podejrzewającą antylopę.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał i uśmiechnął się w taki sposób, że Adrii natychmiast serce zabiło szybciej.

- Nie, ja tylko... - zaczęła się jąkać. Opanowała się jednak szybko i spojrzała na niego gniewnie. - Cały czas tkwisz tu na dole, czekając, aż spróbuję uciec?

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odpowiedział jej równie ostrym spojrzeniem.

- Za dużo sobie wyobrażasz, siostrzyczko.

- Wybacz, proszę - powiedziała wyniośle, próbując go wyminąć.

- Dokąd to?

- Do baru.
- Spragniona?
Adria zmrużyła oczy.
- Nie muszę ci się tłumaczyć. Jeśli jednak tak bardzo chcesz wiedzieć, to idę na spotkanie z twoją siostrą.
- Trisha tu jest? - Zach spojrział na drzwi baru.
- Czeka na mnie. Pozwól więc, że cię opuszczę.
Zach jednak nie pozwolił. Ruszył przodem, pchnął drzwi baru i rozejrzał się po pomieszczeniu. Dostrzegł siostrę siedzącą przy stoliku w rogu z krótką szklanką wypełnioną jakimś przezroczystym alkoholem w jednej ręce i papierosem w drugiej. Szybkim krokiem podszedł do niej. Adria deptała mu po piętach.
- Co tu się, do cholery, dzieje? - spytał przez zaciśnięte zęby.
- Pomyślałam, że wypiję drinka z moją... z naszą siostrą. - Trisha strzepnęła popiół do popielniczki. - Przyłączysz się do nas?
Adrię zatkalo.
- O Boże, nie mów, że zepsułam niespodziankę. - Trisha otworzyła szeroko oczy, udając zdumienie, i zamachała rękami. - Nie powiedział ci? - Przeniosła wzrok z Adrii na brata i młasnęła językiem. - Wierz mi, Zach, ona zasługuje na to, żeby poznać prawdę. - Znowu spojrzała na Adrię. - Prawie odnaleźli już Ginny Slade i wygląda na to, że jednak wygrasz tę wojnę. Och, Zach, nie udawaj, że jesteś zaskoczony. Wiem, że dowiedziałeś się o tym przede mną. - Trisha zaciągnęła się papierosem, a potem powoli wypuściła dym nosem.
- Nikt jeszcze nie rozmawiał z Ginny.
- To tylko kwestia czasu.
- Jeszcze? - wyszeptano Adria. Nie mogła uwierzyć, że po tylu latach udręki, po niebezpieczeństwach ostatnich tygodni może się jednak okazać, że jest... Spojrzała na Zachary'ego. Jeśli ona jest London, to Zach... Chyba że nie jest synem Witta... Czują, jak krew odpływa jej z twarzy. Kolana się pod nią ugięły, chociaż właściwie cały czas wiedziała, że ta chwila może nadejść. I czy na nią nie czekała?
- Niezły moment, żeby odpalić bombę, prawda? - spytała Trisha, spoglądając złośliwie na Zacha, który usiadł naprzeciw niej i pociągnął za sobą Adrię na miękko wyściełaną kanapkę.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Adria spojrzała na niego w osłupieniu. Zach, który ją chronił. Zach, który zabrał ją na ranczo. Zach, który się z nią kochał. Przez chwilę myślała, że zemdleje.
- Dopiero co się dowiedziałem.
Trisha popatrzyła na Adrię spod oka.
- To komplikuje nieco sytuację, prawda?
Zach rzucił jej wściekle spojrzenie.
- Sytuacja zawsze była skomplikowana.
- Naturalnie, ale miałam na myśli was dwoje.
Do stolika podszedł kelner i ponownie napełnił szklankę Trishy. Zach zamówił piwo, a Adria białe wino. Trisha uśmiechnęła się krzywo.
- Białe wino to chyba najpopularniejszy napój w... Jak się nazywa to zadupie w Montanie?
- Przestań, Trisha - powiedział Zach ostrzegawczo.
- Och, mój mały braciszku, masz pecha. Tak jak i twoja przyrodnia siostra. Wpadliście w niezłe gówno. - Pociągnęła duży łyk ze swojej szklanki. - Naprawdę w niezłe gówno.
Kelner przyniósł piwo i kieliszek wina, który Adria natychmiast ujęła drżącą ręką. Całe ciało zeszytywniało jej ze zdenerwowania. Wszystko docierało do niej teraz jak przez grubą warstwę waty. Tak wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie - nie była w stanie się z tym wszystkim uporać.
- Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? - zapytała.
Trisha uśmiechnęła się słodko.
- Żeby ci powiedzieć, że lepiej zrobisz, trzymając się z dala od Maria Polidoriego. - Adria wzruszyła ramionami i Trisha dodała: - Od dawna jesteśmy razem.
- Nie widuję się z nim.
- Naprawdę? - Trisha spojrzała w sufit.
- To nie to, co myślisz. Wypiłam z nim drinka, to wszystko. Rozmawialiśmy o tej sytuacji.
- Trzymał cię za rękę, śmiał się z twoich żartów. - Trisha zgasila papierosa.
- Daj sobie spokój, dobrze? Zazwyczaj to ja wygrywam. Zostaw Maria.
- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - Adria straciła cierpliwość. - Co wy sobie oboje wyobrażacie? Ty - popatrzyła na Zacha - sądzisz, że możesz mnie więzić w tym hotelu jak średniowieczną księżniczkę, a tobie, Trisha, może wydaje się, że możesz mi mówić, z kim mogę, a z kim nie mogę się spotykać, ale tak nie jest. Wychodzę... - Podniosła się, Zach jednak złapał ją za ramię i pociągnął z powrotem na kanapkę.
- Chwileczkę - powiedział i spojrzał na siostrę. - To już wszystko?
- Niezupełnie. - Trisha napiła się ginu z tonikiem. - Lepiej, żebyście zdawali sobie sprawę z kilku rzeczy. Jeśli coś między wami zaszło, możecie mieć spore kłopoty.

- Odczep się, Trisha - warknął Zach.

- Jeśli jesteś London, Adrio, a na to wygląda, musisz przyjąć do wiadomości, że Zach jest twoim przyrodnim bratem. Przez całe życie oczywiście nasłuchiwałam się plotek, tak jak i Zach. I założę się, że oboje liczycie na to, że jest on synem Anthony'ego Polidorigo. Otóż nie jest.

Zach zacisnął zęby i zbladł jak ściana.

- Ostrzegam cię...

- To prawda. Mama sprawdziła to wiele lat temu. Pamiętasz, Zach, jak kiedyś powiedziałeś, że bez przerwy podsłuchuję i podglądam wszystkich przez dziurkę od klucza? Cóż, podsłuchiwałam i podglądałam, kiedy tylko nadarzyła się okazja. W ten sposób mogłam przetrwać w tym domu, tylko tak mogłam się dowiedzieć, co się wokół mnie dzieje. I wierz mi, wiele się dowiedziałam. Pamiętam dzień, kiedy mama, za pomocą dość dyskretnych metod, dowiedziała się, jaką grupę krwi ma Anthony Polidori. Była zdruzgotana, bo uzyskała absolutną pewność, że nie mógł być twoim ojcem. A miała nadzieję, że ty, jej ukochane dziecko, nie będziesz należał do Witta. - Oczy Trishy błyszczały niezdrowo i Adria poczuła, że robi się jej niedobrze. - Więc jeśli wy dwoje mieliście jakieś plany, to pamiętajcie, że jesteście ze sobą bardzo blisko spokrewnieni.

- Zamknij się, Trisha.

- Niedobrze mi na samą myśl o tym, Zach, po prostu niedobrze.

- Chodźmy stąd. - Zach wypchnął Adrię zza stolika.

- Brukowce byłyby zachwycone tą historią, nie sądzicie? - spytała Trisha, niewinnie trzepocząc rzęsami. - Ciekawe, jak dziennikarze by to nazwali. .. Kazirodztwo to takie brzydkie słowo. Pomogę im znaleźć ładniejsze określenie, możecie na mnie liczyć. - Ze zmiętej paczki wyłuskała następnego papierosa.

- Tylko spróbuj, a skręcę ci kark - wysyczał Zach.

- Jasne. Chryste, Zach, daruj sobie te melodramatyczne sceny. Nie nadajesz się do tego.

- Chcesz się przekonać? - spytał Zach bardzo cicho i łagodnie. Trisha otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. - Na twoim miejscu nie przeciągałbym struny.

Adria doszła do wniosku, że nie znieśie tego ani minuty dłużej. Musi wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem, wszystko przemyśleć, opanować tę nienawiść i ból, które teraz przesłoniły jej cały świat. Z trudem trzymając się na nogach, wygrzebała się zza stolika i szybko ruszyła do wyjścia. Przebiegła przez hol, pchnęła oszklone drzwi i wyszła w ciemność jesiennego wieczoru. Zaczął padać deszcz, znacząc zakurzony asfalt ciemnymi śladami. Ludzie idący chodnikiem otwierali parasole i stawiali kołnierze, kryjąc się przed zimnymi podmuchami wiatru.

Nie zatrzymując się, Adria przebiegła przez ulicę przy wtórze trąbiących wściekle samochodów. Czowała, jak krople deszczu spływają jej za kołnierz. Gęsta mgła rozmazywała kontury budynków i latami, rozjaśniała kolory, tylko rozpacz pozostała czarna tej nocy.

- Adria! - Gdzieś z tyłu dobiegł ją głos Zacha i Adria potknęła się o wyciągnięte nogi człowieka siedzącego w bramie.

- Może ma pani drobne? - zapytał, ale Adria nie słyszała go, biegnąc przed siebie na oślep, ku nieznanemu przeznaczeniu. Uciekała od bólu, gniewu i miłości do niewłaściwego mężczyzny. Krople deszczu na jej twarzy zmieszały się ze łzami, których nawet nie próbowała powstrzymać. Po co, po co przyjechała do Portland? Po co? Jeśli nawet okaże się, że jest London, co jej teraz z tego przyjdzie?

- Adria, zaczekaj! - Zach doganiał ją, Adria słyszała za sobą jego kroki i chłopot rozbryzgiwanych kałuż. Przyspieszyła, choć była już zmęczona. Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj! Wracaj do domu. Wracaj do życia Adrii Nash. Zapomnij, że chciałaś być London Danvers! Zapomnij o Zacharym!

Na przejściu dla pieszych zeskoczyła z krawężnika na czerwonym świetle. Jakiś samochód w ostatniej chwili ją wyminał, prawie się o nią ocierając i ochlapując od stóp do głów. Zach złapał ją za ramię.

- Nie! - krzyknęła.

- Ćśś. Wszystko będzie dobrze - powiedział, przyciągając ją do siebie z powrotem na chodnik, pozwalając jej łkać, krzyczeć i uderzać bezładnie w jego pierś w bezsilnej, niepomahowanej rozpacz. Adria zawodziła jak ranne zwierzę, tłukąc go pięściami, dając upust złości, bólowi, rozczarowaniu.

Kilka osób zatrzymało się na moment, obrzucając ich zaciekawionymi spojrzeniami.

- Adria, proszę... ćśś. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci.

- Jak możesz! - wykrzyknęła w rozpacz. - Nigdy nie będzie dobrze! - Ale jego zapach, bliskość jego ciała, siła rąk, miękka koszula pocierająca o jej policzek, wszystko to w końcu podziało na nią uspokajająco. Łkając cicho, przyłgnęła do jego szerokiej piersi. Kurczowo trzymała się j ego kurtki. Zach objął ją i pocałował w czubek głowy.

- Ja... ja tego nie chciałam - powiedziała Adria łamiącym się głosem. - Nie chciałam się w tobie zakochać.

- Wiem. Cicho już.

- A teraz, a teraz... - Zach pocałował ją znowu, zamykając jej usta swoimi. Poczul na wargach jej łzy, pot i deszcz. Adria spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach ból równie głęboki jak jej własny. Ciemne włosy, zupełnie mokre, opadały mu w strąkach na twarz. Odsunął się od niej i wyszeptał cicho jej imię.

Gdyby tylko mogli uciec stąd gdzieś daleko, gdzie nikt ich nie zna, gdzie nie dopadliby ich ani dziennikarze, ani rodzina Danversów, ani ta straszna prawda. Zach przełknął ślinę.

- Chodź - powiedział szorstko.
- Dokąd?
- Wziął ją pod ramię i zawrócili w stronę hotelu.
- Musimy pojechać do San Francisco. To jeszcze nie koniec.

Kiedy stanęli przed dużym domem na Nob Hill w San Francisco, serce Adrii waliło tak mocno i szybko, jakby chciało wyskoczyć jej z piersi.

Nie tracili czasu. Poprzedniego dnia rano wsiedli do pierwszego samolotu lecącego nad zatokę. Po wylądowaniu Zach wynajął samochód i zarezerwował dwa osobne, lecz połączone ze sobą pokoje w hotelu. Tak jak kiedyś. Tylko tym razem Adria wiedziała, że już nigdy nie będą się kochać, że Już nigdy nie dotknie blizny na jego twarzy ani silnych, ciepłych dłoni.

Już nigdy nie poczuje jego ciała tuż przy swoim.

Tymczasem sama jego obecność doprowadzała ją do szaleństwa.

Wyczerpana, spała kilka godzin w hotelu, choć był to niespokojny sen. W tym czasie Zach próbował odszukać Ginny Slade. Najpierw zadzwonił pod numer, który podał mu Sweeny. Kobieta, która odebrała telefon, powiedziała mu, że Ginny już dla niej nie pracuje. Zach dostał od niej numery innych osób, które się z nią kontaktowały, żeby sprawdzić referencje Virginii, a następnie zadzwonił pod wszystkie. Po wielu godzinach udało mu się dodzwonić do Velmy Basset, obecnej pracodawczyni Ginny Slade.

Teraz wchodzili niepewnie po schodach wielkiego, szaro- białego domu w stylu wiktoriańskim. Szerokie ceglane stopnie wiodły na przestronny ganek, do dębowych drzwi z szybkami z rżniętego szkła.

Zach nacisnął dzwonek, który zabrzączał miłym, jasnym dźwiękiem.

Adrii zrobiło się niedobrze ze zdenerwowania.

Drzwi otworzyła smukła kobieta koło trzydziestki. Miała przestraszony wzrok i drżały jej ręce. Bez przerwy też nimi gestykulowała.

- Pani Basset? - spytał Zach. - Jestem...

- Pan Danvers, tak, wiem. A to panna Nash - uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz była wyraźnie zdenerwowana. - Proszę dalej. Zrobiłam, jak mi pan poradził, i zadzwoniłam do Portland. Przetłumaczyli mi państwa fotografie i artykuły o porwaniu małej London. Powinnam pana przeprosić - dodała, prowadząc ich przez hol, w którym głośno tykał wielki antyczny zegar, do małego pokoju, służącego kiedyś za salonik. - Nas niewiele tu interesuje poza lokalnymi wiadomościami. Mój mąż jest bankierem i lepiej ode mnie orientuje się w tym, co się dzieje na świecie, natomiast ja naprawdę nie wiedziałam nic o tym porwaniu. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem i mieszkałam w Nowym Jorku... Ale nie chcę zabierać państwu czasu. Zawołam Virginie, żeby mogli państwo z nią porozmawiać. Proszę, proszę usiąść. Marta przyniesie państwu coś do picia. Herbaty, lemoniady, a może coś mocniejszego? Na co mają państwo ochotę?

- Dziękujemy, naprawdę - powiedział Zach.

- Więc herbata. A jeśli okaże się, że Ginny jest tą Slade, która... O mój Boże, przecież nie będę mogła powierzyć jej mojej Chloe! - Wyszła, zostawiając ich samych. W pokoju utrzymanym w jasnej, pastelowej kolorystyce zapanowała cisza. Adria usiadła na pasiastej dwuosobowej kanapce, a Zach stanął przy oknie wychodzącym na zatokę. Po chwili do pokoju niemal bezszelestnie weszła pokojówka i postawiła na szklanym blacie niskiego stolika srebrny serwis do herbaty.

W holu rozległy się kroki i Adria, napięta, pochyliła się do przodu. Czy rozpozna kobietę, która prawdopodobnie odebrała ją jej biologicznym rodzicom, kobietę, która zmieniła bieg jej życia na zawsze?

- Nikogo się nie spodziewam - protestował cienki damski głos.

- Wiem, ale ci ludzie mówią, że są twoimi starymi znajomymi.

- Naprawdę, pani Basset, nie znam nikogo, kto...

Ten głos jak zapach wypełnionej suszonymi kwiatami szaszetki przywołał zamglone wspomnienia dawno minionych dni. Serce Adrii podskoczyło. Wstała, a kiedy do pokoju weszła niska, ptasiogłowa kobieta o siwiejących ciemnych włosach, wydało jej się, że podłoga ucieka jej spod stóp. Kobieta zobaczyła ją i stanęła jak wryta.

- Nie - powiedziała bezgłośnie. Krew odpłynęła jej z twarzy. - O mój Boże - wyszeptwała. Zdołała się jednak opanować. - Z kim mam przyjemność? - uśmiechnęła się z przymusem, ale wargi jej drżały.

- Zgadnij - zaproponował Zach.

- Nie znam...

- Oczywiście, że znasz, Ginny. To jest London.

Kobieta przenosiła wzrok z Adrii na Zacha i z powrotem.

- London?

- London Danvers, dziewczynka, którą zabrałaś ze sobą do Montany i zostawiłaś u Wiktora i Sharon Nashów, dziewczynka, którą przedstawiłaś im jako swoje dziecko, choć twoja córka od dawna już wtedy nie żyła.

- Nie wiem, o czym pan mówi! - wykrzyknęła kobieta, ale nerwowo oblizła wargi. - Pani Basset, nie wiem,

jakich kłamstw ci ludzie pani naopowiadali, ale...

- Zadzwoiłam już na policję, Virginio - powiedziała Velma spokojnie. - Jeśli istotnie kłamią...

- Matko Boska! - Ginny przyłożyła dłoń do serca. - Nie...

- Może powiesz nam, co się wtedy wydarzyło - Zach podszedł do krzesła - i spróbujemy coś wymyślić.

- O mój Boże... - jęknęła, ale usiadła na sofie. Spojrzała w okno, za którym nad zielonymi wodami zatoki płynęły po niebie białe kłębiaste chmury. Jej oczy zaszklily się łzami, które powoli spłynęły po policzkach. - Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

- Opowiedz nam o wszystkim, Ginny - powiedział Zach nieustępliwie. Adria zrobiło się żal tej kobiety, która wyglądała w tej chwili tak, jakby w ciągu pięciu minut postarzała się o dwadzieścia lat.

Velma Basset ciągle stała w drzwiach, trzymając się framugi i patrząc w osłupieniu na opiekunkę, której od osiemnastu miesięcy powierzała swoje dziecko.

- Ja... ja nie chciałam tego zrobić - powiedziała Ginny, wyciągając z kieszeni chusteczkę i ocierając oczy. - Ale to było tyle pieniędzy.

- Ile?

- Obiecano mi, że jeśli zabiorę London, dostanę pięćdziesiąt tysięcy.

Adria zrobiło się dziwnie słabo.

- Wiedziałam, że to złe, ale nie mogłam się oprzeć. Miałam tylko zniknąć razem z dziewczynką.

- Ale dlaczego? I kto ci to zaproponował?

- Nie wiem.

Adria nagle wróciła mowa.

- Przecież ktoś ci zapłacił, ktoś musiał się z tobą spotkać...

- Wszystko zostało uzgodnione przez telefon. Najpierw pomyślałam, że to jakiś żart. Potem jednak dostałam paczkę... dziesięć tysięcy dolarów. Więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek w życiu widziałam. Ta osoba znowu zadzwoniła i zaproponowała jeszcze czterdzieści tysięcy. Miałam tylko zniknąć z miasta. Kolejne pięć tysięcy czekało na mnie w skrytce na lotnisku, a resztę dostałam, kiedy przyleciałam do Denver. Stamtąd miałam pojechać gdziekolwiek, byle dalej od Portland. To wszystko miało się zacząć trochę wcześniej, ale London nie chciała iść spać i omal nie spóźniłyśmy się na samolot... Tak się bałam, ale byłam już zdecydowana. O mój Boże, mój Boże, co ja teraz zrobię?

- Cóż, na pewno nie będziesz się już opiekować moim dzieckiem - powiedziała pani Basset drżącym głosem. - Dam ci odpawę, ale nie spędzisz już tej nocy pod moim dachem. - Wypadła z pokoju, stukając obcasami czerwonych pantofli po schodach. - Chloe! Gdzie jesteś?

Ginny odsunęła pasmo siwiejących włosów z twarzy drżącą ręką.

- Jak mnie znaleźliście?

- Cóż, trochę to trwało - przyznał Zach.

Adria przysunęła się bliżej.

- Wiesz, kto ci zapłacił?

Kobieta potrząsnęła głową i spojrzała na Adrię wzrokiem winowajcy.

- Nie mam pojęcia.

- Mężczyzna? Kobieta?

- Naprawdę nie wiem, wierzcie mi. Nigdy tej osoby nie widziałam. Zapłacono mi gotówką, w banknotach po dziesięć dolarów.

Wyglądała tak nieszczęśliwie z zaczerwienionymi od płaczu oczami i zapadniętymi policzkami, patrzyła tak szczerze, że Adria jej uwierzyła.

- Ktoś ci jednak zapłacił.

- Tak.

- Ktoś, kto miał dużo pieniędzy.

Ginny kiwnęła głową, ale Adria miała wrażenie, że nie słucha, że wróciła myślami do dnia, kiedy z cudzym dzieckiem wsiadała do samolotu.

- Będziesz musiała porozmawiać z policją - powiedział Zach.

- Wiem.

- To nie będzie łatwe.

Spojrzała na niego.

- Nigdy nie było mi z tym łatwo - powiedziała. - Przez dwadzieścia lat bałam się własnego cienia, czułam, że ten dzień w końcu nadejdzie. Wiedziałam, że wróciłaś do Portland - dodała, patrząc na Adrię. - Widziałam cię w wiadomościach, słyszałam twoją historię. Wiedziałam, że połączysz się z rodziną.

- Mogłaś uciec - powiedziała Adria.

Ginny tylko machnęła ręką.

- Dokąd? - zapytała bezradnie. - Naprawdę nie mam dokąd pójść. I nie sądziłam, że mnie znajdziecie. - Wstała. - Jesteś do niej taka podobna, wiesz? Taka podobna... że to aż przerażające.

- Słyszałam.
- Dlaczego nie zgłosiłaś się po nagrodę? - spytał Zach.
Ginny patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.
- Ponieważ Witt Danvers zabiłby mnie za to, że odebrałam mu jego ukochane dziecko. - Chrząknęła. - Pójdę się spakować, nie zabierze mi to więcej niż dziesięć minut. - Uśmiechnęła się słabo. - Potem pojedę z wami na policję.
- Świetnie - powiedziała Adria.
- Chyba powinniśmy mieć ją na oku - wtrącił Zach.
- Proszę się nie martwić, panie Danvers - powiedziała Ginny, patrząc na zbuntowanego syna najbogatszego człowieka w Portland. - Czas z tym wszystkim skończyć. - Wyszła i po chwili usłyszeli, jak cicho schodzi po schodach.
- Więc jak mam cię teraz nazywać? - spytał Zach, podchodząc do okna. - Adria czy London?
- Adria - odparła, czując, jak łzy napływają jej do oczu. To pierwsze z ich pożegnań. - Mam nadzieję, że dla ciebie zawsze będę Adria.

Zapadła cisza przerywana jedynie tykaniem zegara i odgłosami przejeżdżających ulicą samochodów.

Adria zastanawiała się, ile im jeszcze zostało czasu, by być razem, ile minut. Miała wrażenie, że jej serce rozpada się na tysiące kawałków. Patrzyła na niego, nie mogła oderwać oczu od jego szerokich pleców, długich nóg w spłowiałych dżinsach, zarysu szczęki pociemniałej od kilkudniowego zarostu, dłoni bezradnie zwisającej wzdłuż ciała i drugiej opartej o framugę okna. Zmrużył oczy i patrzył uporczywie przez szybę, marszcząc brwi, ale w rzeczywistości chyba nic nie widział.

- Cholera, dlaczego to tak długo trwa?

- Cóż, musi się spakować... - powiedziała Adria, ale i jej wydawało się, że minęło już sporo czasu.

Do pokoju weszła pani Basset, prowadząc za rękę mniej więcej siedmioletnią dziewczynkę o kręconych jasnych włosach. Ubrana była w granatową sukienkę z marynarskim kołnierzykiem i mosiężnymi guzikami.

- Nie wiem, jak wam dziękować - powiedziała pani Basset, rzucając szybkie spojrzenie za siebie. - Pomyśleć, że oddałam w jej ręce Chloe. O Boże, na samą myśl o tym dostaję dreszczy. Dzwoniłam do Henry'ego. Postanowił oskarżyć ją o przedstawienie fałszywych referencji. Właśnie rozmawia z prawnikiem. O Boże. - Pocałowała córkę w czubek głowy. - Może poćwiczysz trochę, kotku?

- Nie chcę - odparła Chloe, krzyżując pulchne ramionka na piersi i nie ruszając się z miejsca, choć matka pchnęła ją lekko w stronę pianina stojącego przy kominku.

- No, trudno. - Pani Basset dostrzegła teraz koszyczek z ciastkami na stoliku. - To może ciasteczko? - Postawiła koszyk przed dziewczynką. - Och, przepraszam, nie wiem już sama, co się ze mną dzieje! Mają państwo ochotę na filiżankę herbaty? Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Dziękuję - powiedziała Adria.

Zachary tylko potrząsnął głową, spoglądając w stronę schodów, jakby się bał, że Ginny Slade znowu zniknie na wiele lat.

Pani Basset zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że zadzwoniliście na policję.

- Zadzwoniliśmy. Powinni tu być lada chwila...

- Czy z suterenu jest jakieś inne wyjście? - spytał nagle Zach.

- Och, nie... to znaczy jest stara zsuwnia do węgla i przejścia do piwnic, ale zabite deskami. Na wypadek pożaru okienka są dość duże, żeby...

- Chryste! - Z prędkością błyskawicy wypadł z saloniku i pobiegł schodami do suterenu.

Jak mógł być tak głupi? Przeskoczył przez poręcz i wylądował z hałasem na betonowej posadzce. Poczł powiew świeżego powietrza i zobaczył poruszone wiatrem firanki. W suterenu było ciemno, ale Zach bezbłędnie trafił do małego przytulnego pokoiku oświetlonego tylko nocną lampką.

- Ginny? - zawołał, czując na karku powiew jak dotyk śmiertelnie zimnej dłoni.

Zrobiło mu się nieswojo. Wszedł do pokoju, gdzie na łóżku leżała otwarta walizka. Ubrania wisiały jeszcze na wieszakach w otwartej szafie. Jedna szuflada niewielkiej komody była wysunięta, wystawały z niej koszule nocne i bielizna. Kilka rzeczy leżało na podłodze.

- Ginny? - zawołał znowu, ale w pokoju panowała złowroga cisza.

Zach przeszedł przez pokój, pchnął drzwi małej łazienki i poczuł, jak włosy stają mu dęba na głowie. Łazienka była cała w czerwonych plamach. Krew spływała po ścianach, znaczyła wannę i umywalkę. Na popękany linoleum leżał Ginny z językiem zwisającym bezwładnie z ust, otwartymi oczami wbitymi w sufit i podciętymi żyłami. Z głębokich ran na nadgarstkach ciągle jeszcze płynęła krew. W prawej ręce zaciśniętej w pięść trzymała brzytwę.

Zach gwałtownie wciągnął powietrze, cofnął się i tyłem wyszedł z zakrwawionej łazienki.

- Dzwonieć na policję! - krzyknął w górę schodów. - Adria, zadzwoń na policję! Nie, pod dziewięćset jedenaście! Potrzebujemy karetki!

Usłyszał kroki na schodach i po chwili Adria pojawiła się na podeście.

- Nie schodź tu! I na litość boską, niech to dziecko zostanie na górze!
- Co... - Adria urwała, widząc ślady krwi na dywanie. - O Boże.
- To Ginny. Dzwon na policję.
- Pani Basset już zadzwoniła.

Zach nie słuchał. Zmusił się do powrotu do łazienki. Przyłożył palce do tętnicy szyjnej kobiety, szukając najsłabszych choćby oznak życia, ale wiedział, że jest już za późno. Ginny Slade, jedyny świadek tego, co się stało z London Danvers dwadzieścia lat temu, była martwa.

22

Więc to nie było samobójstwo? - spytała Adria, kiedy już złożyła zeznania. Siedziała w obskurnym pokoju przesłuchań za starym stołem z blatem z formiki. Zach stał przy drzwiach, opierając się o boazerię. Pokój był przesiąknięty zapachem tytoniu. Poza stołem i kilkoma krzesłami stała w nim jeszcze tylko pełna niedopałków popielniczka i kosz na śmieci, w którym znajdowały się głównie plastikowe kubki.

Sprawą zajął się detektyw John Fuller. Nosił okulary o bardzo grubych szklach, a jego dbałość o wygląd zewnętrzny przejawiała się wyłącznie w próbach ukrycia łysiny. Pożądany efekt osiągał, sczesując długie pasma bezbarwnych włosów z tyłu głowy na czoło.

Fuller był człowiekiem pełnym nerwowej energii. Jednocześnie palił papierosa i żuł gumę, na zmianę to zaciągając się dymem, to poruszając kilka razy szczęką.

Od chwili, kiedy Zach odkrył ciało Ginny w łazience, minęło już wiele godzin i Adria zdążyła wyrobić sobie zdanie na ten temat. Była pewna, że Virginia Slade, wiedząc, że zostanie oskarżona o porwanie, postanowiła odebrać sobie życie. Fuller jednak był innego zdania.

- Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, gdzie jej szukać? - spytała Adria, grzejąc dłonie o kubek z mocną gorącą kawą.
- Nie mamy jeszcze pewności co do tego, a poza tym nie chcielibyśmy w tej chwili wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Wiele jednak wskazuje na zabójstwo. Okno zostało otwarte z zewnątrz. Wygląda na to, że ktoś był w domu i czekał na nią. - Zdjął okulary i przetarł je brzegiem koszuli, poruszając szczęką.

Zach spojrzął na Adrię.

- Ona była leworęczna - powiedział. - Trzymała brzytwę w prawej ręce, a była leworęczna. I nacięcia były pod złym kątem.

Detektyw znieruchomiał i popatrzył uważnie na Zacha.

- Wiedział pan o tym?
- Owszem. - Zach patrzył przed siebie, ale Adria wiedziała, że myślni jest daleko stąd, że wrócił do czasów, kiedy był jeszcze chłopcem.
- Skąd? - spytała.

- Ginny... Wiele lat temu, jeszcze przed porwaniem London, zostawiła kiedyś na wierzchu swoje nożyczki. Używała ich do szycia, jak sądzę, to były dość duże krawieckie nożyce. Chciałem coś otworzyć, nie mogłem nigdzie znaleźć mojego noża, więc je wziąłem. Ale te cholerne nożyczki nie chciały ciąć. Najpierw nie wiedziałem, o co chodzi, ale potem zorientowałem się, że są dla osoby leworęcznej. W tamtych czasach to była rzadkość. Ginny oczywiście przyłapała mnie z nimi i była zła. Zabroniła mi ruszać swoich rzeczy. - Wzruszył ramionami. - Nie przepadałszy za sobą. - Spojrzął na Adrię. - Nic dziwnego.

Detektyw zaciągnął się papierosem i zgasił go w przepelnionej popielniczce.

- Nie dostałem jeszcze oficjalnego raportu na temat przyczyn zgonu. Musimy poczekać na opinię biegłego. Ale wygląda na to, że ktoś ją obezwładnił, wcisnął jej do ręki brzytwę i przeciął jej żyły. I tyle.

Adria wzdrygnęła się.

Detektyw wypróżnił popielniczkę do kosza i zapalił następnego papierosa. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż w końcu Zach i Adria mogli opuścić komisariat.

- Słuchajcie, wiem, że to nie wy załatwiliście starą Ginny - powiedział detektyw, wręczając im wizytówki - ale możemy mieć jeszcze kilka pytań...

Zach spojrzął na Adrię.

- Może się pan z nami kontaktować przez Danvers International albo hotel „Danvers” w Portland - powiedział, pisząc numery telefonów na swojej wizytówce.

Wyszli na korytarz. Adria czuła się wyczerpana i dziwnie pusta. Całe jej życie stanęło do góry nogami.

Jednak okazało się, że jest London Danvers.

Odziedziczy miliony dolarów.

Tylko co z tego?

- Chodź, postawię ci kolację - zaproponował Zach, choć wyglądał na równie zmęczonego jak ona. Był blady, a pod oczami miał głębokie cienie. Wypadki ostatnich dni odbiły się na nich obojgu. Adria zastanawiała się, jak długo jeszcze będą poprawnie odgrywać swoje role, udając, że pociąg, jaki czują do siebie, nie istnieje. - Znam fajną knajpkę w Chinatown. Przenocujemy w San Francisco, a jutro wrócimy do domu i podzielimy się naszymi rewelacjami z rodziną.

Do domu. Czy ona kiedykolwiek nazwie Portland domem? Zadrżała na myśl o tym, jak szybko zakończyło się

smutne życie Ginny.

- Jak sądzisz, kto mógł to zrobić?
- Nie mam pojęcia - odparł, marszcząc brwi.

Opuścili komisariat. Na zewnątrz było ciemno, a od oceanu wiał zimny, porywisty wiatr, przenikając ich ubrania i szarpiąc włosy. Adria drżała, choć sama nie wiedziała, czy z zimna, czy z emocji.

Zach wziął ją za rękę. Próbowwała oswobodzić dłoń z jego uścisku, ale on trzymał ją mocno. Tak przeszli trzy przecznice, do miejsca, gdzie zaparkowali wynajęty samochód. Wsiedli do niego w milczeniu, Zach spojrzął we wsteczne lusterko i włączył się w sznur pojazdów.

- Patrz w boczne lusterko - powiedział, zmieniając pas.
- Myślisz, że ktoś nas śledzi?
- To bardzo możliwe, nie sądzisz?

- Tutaj, w San Francisco? - spytała, ale wiedziała już, o co mu chodzi. Myśląc o tej sprawie, doszła do tych samych wniosków co on i policja. - Uważasz, że to my zaprowadziliśmy mordercę... - Urwała, patrząc w lusterko. Zobaczyła kilka innych samochodów zmieniających pas, ale nie było w tym nic podejrzanego.

- Wygląda na to, że porwanie London było wynikiem jakiegoś spisku - Zach z namysłem zmarszczył brwi - o którym twoja matka ani... ani Witt nie mieli pojęcia. Możemy więc założyć, że ktoś, komu zależało wtedy, żebyś zniknęła, teraz zabił Ginny, żeby jego tajemnica nie wyszła na jaw.

- Ale kto to mógł być? - szepnęła Adria.
- Ktokolwiek.
- Ktoś z rodziny.
- Może.

- Albo któryś z Polidorich - dodała, choć lista podejrzanych znacząco się skurczyła. Fakt, Anthony Polidori mógł stać za tym porwaniem i Adria była pewna, że śledził ją po jej powrocie do Portland. Jednak niektórzy ze spadkobierców Witta również mogli maczać w tym palce. Jasonowi nigdy nie dość było władzy. Trisha, tylekroć zraniona przez ojca, mogła chcieć odplącić mu pięknym za nadobne. Nelson miał wtedy zaledwie czternaście lat, był jeszcze dzieckiem. Również Zachary był wówczas tylko zbuntowanym nastolatkiem.

Zadowolony, że nikt ich nie śledzi, Zach wjechał w chińską dzielnicę i zaparkował w wąskiej uliczce. Restauracja była mała, hałaśliwa, słabo oświetlona i zatłoczona. Naczynia i sztucce brzęczały, w kuchni skwierczał tłuszcz, ludzie rozmawiali głośno w obcym, egzotycznie brzmiącym języku. Udało im się dostać dwuosobowy stolik tuż przy drzwiach kuchni. Adria nie oponowała, ale zupełnie nie rozumiała, co mówi kelnerka ani inni goście, najwyraźniej stali bywalcy. Doszła do wniosku, że wszyscy mówią po chińsku z angielskim akcentem, choć zapewne było na odwrót.

Ten hałaśliwy tłum nie przeszkadzał jednak Adrii, gdyż sam na sam z Zacharym stawało się dla niej coraz trudniejsze.

Zjedli supkę słodko- pikantną, kurczaka w pięciu smakach i jakąś potrawę z krewetek, która była tak ostra, że Adrii zaczęło cieknąć z nosa. Wypiła duszkiem szklankę chińskiego piwa i poczuła, jak mija napięcie. Uśmiechnęła się słabo do Zacha.

Po kolacji napili się jeszcze jasnej herbaty o delikatnym kwiatowym aromacie. Adria podniosła filiżankę do ust i znieruchomiała. Ten zapach obudził w niej nagle wspomnienie - straszne wspomnienie. Tamtej nocy, kiedy została pobita w motelu, poczuła coś bardzo podobnego - słodką, łagodną woń jaśminu. Filiżanka wysunęła jej się z ręki. Herbata wylała się na błyszczący blat stolika i gorącą struzką spłynęła jej na uda.

- Adria? - Zach spojrzął na nią zaniepokojony.

Adria w ułamku sekundy zrozumiała, kto ją napadł.

- O co chodzi?

- O... o wszystko. - Zaczęła nerwowo wycierać herbatę, nie podnosząc na niego wzroku. Nie, to niemożliwe, powtarzała sobie, ale w głębi duszy wiedziała, że to prawda. Zach złapał ją za rękę i ścisnął mocno, uniemożliwiając dalsze sprzątanie.

- O co, do diabła, chodzi?

- Chyba już wiem, kto mnie wtedy pobił w motelu - powiedziała. Tak bardzo chciała się mylić.

- Co?

- I kto przysyłał mi te okropne listy.

- Skąd wiesz?

- Stąd. - Adria wskazała na imbryczek i filiżanki. - To herbata jaśminowa. Ta osoba, która wtedy mnie napadła, pachniała jaśminem.

Zach zbladł, wziął swoją filiżankę do ręki i powąchał napar. Potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć, a potem gwałtownym ruchem postawił filiżankę na stoliku, wylewając część jej zawartości na stół.

- Eunice - powiedział przez zacisnięte zęby.

Adria kiwnęła głową w milczeniu. Ona także nie była w stanie wypowiedzieć głośno słów, które zawisły między nimi, że to matka Zacha zabiła Ginny Slade.

Cudem udało im się uniknąć spotkania z dziennikarzami, choć wiadomość, że Adria Nash jest London Danvers, jakimś sposobem przeciekła do mediów. Wszystkie gazety w San Francisco zamieściły na ten temat artykuły.

Kiedy wrócili do Portland, dziennikarze już oblegali hotel „Danvers” i dom Jasona na wzgórzach. Adria wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała złożyć oświadczenie, najpierw jednak musi spojrzeć w twarz kobiecie, która próbowała ją zabić. Niemał natychmiast po wylądowaniu ruszyli do domu Eunice.

Zach, pośpny i milczący, ścisnął kierownicę tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. W ciszy słysząc było tylko monotony stukot deszczu o dach samochodu i odgłos pracujących wycieraczek.

Było wczesne popołudnie, ale w domu na brzegu jeziora paliły się już światła. Adria z bijącym sercem i spoconymi dłońmi szła za Zachem wąską, wyłożoną kamieniami dróżką wiodącą na werandę. Zach zapukał do drzwi, uderzając w nie kilkakrotnie pięścią. Gniew zmienił rysy jego twarzy.

Po chwili drzwi otworzyła jego matka w jedwabnym, eleganckim szlafroku.

- Zach? - Wyraźnie ucieszyła się na widok syna, jednak kiedy jej wzrok padł na Adrię, iskierka nadziei i radości w jej oczach nagle zgasła.

Zach pchnął drzwi i wszedł do domu, który zawsze wydawał mu się sterylny jak sala operacyjna. Wszystko stało tu zawsze na swoim miejscu, czyste, nietknięte nigdy brudnymi rączkami dzieci. Żadnych porzuconych na podłodze zabawek, żadnego piasku przywleczonego z podwórka. Nigdy. Tutaj Eunice mieszkała ze swoim drugim mężem, doktorem Lyle'em Smythe'em.

Przechodząc obok matki, Zach poczuł delikatny zapach jaśminu i przypomniał sobie, jak mściwa potrafi być ta kobieta.

- Musimy porozmawiać.

- Teraz? - Uśmiechnęła się z przymusem. - Czy to nie może poczekać?

- Aż zjawią się gliny? - spytał beztłonie. Eunice poblądła lekko, spoglądając na Adrię.

- O co chodzi?

- To już koniec, Eunice - powiedział bez ogródek.

- Nie wiem, o czym...

- Daj spokój, mam - rzekł Zach ostro i Adria dostrzegła w jego oczach głęboko skrywany ból, niedowierzanie i cierpienie małego chłopca, którego opuściła najważniejsza w życiu osoba, jedyny sojusznik we wrogim, zimnym domu, ktoś, kogo kiedyś bardzo kochał.

Eunice, utykając lekko, zaprowadziła ich do przestronnej kuchni. Przy stole stały wygodne krzesła z grubymi, miękkimi poduchami. Na jednej z nich leżał duży perski kot. W kryształowym wazonie świeżo ścięte chryzantemy pochylały swoje ciężkie złote głowy.

Eunice zdołała się opanować i pełniła teraz z wdziękiem obowiązki pani domu, tylko ręce drżały jej trochę, kiedy zaczęła rozlewać kawę do filiżanek.

- Nie mamy ochoty na kawę - powiedział Zach.

- Cóż, ja mam.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Kot podniósł głowę, przeciągnął się leniwie i ziewnął, po czym znowu zamknął oczy.

- Siadajcie, proszę - powiedziała cicho Eunice.

- Nie, dzięki.

- Usiądź, Zach, i wypij ze mną filiżankę kawy - powiedziała, dumnie podnosząc głowę - bo to może ostatnia, jaką razem wypijemy.

Nie odpowiedział, opadła więc na krzesło i chociaż głowa jej ciążyła siedziała sztywno wyprostowana, jakby miała kręgosłup ze stali. Adria, nie zwracając uwagi na podaną jej filiżankę, patrzyła przez okno.

- Jesteście tu z powodu Ginny - powiedziała Eunice, dolewając śmietanki do swojej kawy.

- Zgadza się. - Głos Zacha był szorstki i ostry.

- Ja jej nie zabiłam.

- Och, daj spokój...

- To prawda! - wykrzyknęła z rozpaczą, patrząc na niego błagalnie.

Nawet Adria wydał się teraz przerażającą postacią, kiedy tak stał, wysoki, potężny, nad stołem. Gniew sprawił, że wydawał się jeszcze wyższy. Jego zaciśnięte usta były tak blade, jakby odpłynęła z nich krew.

- Nie kłam, mam, to do ciebie nie pasuje - powiedział zimno.

- Mówię prawdę, Zach. Och, chciałam ją zabić, Bóg jeden wie, jak bardzo, ale nie jestem morderczynią. Obojętne, kogo twój ojciec ze mnie zrobił, jak bardzo mnie upokarzał, jak się nade mną znęcał, nie potrafiłam zabić. - Upiła łyk ze swojej filiżanki i spojrzała na kota. - Gdybym kiedykolwiek miała kogoś zabić, zabiłabym Witta wtedy, kiedy odebrał mi moje dzieci.

Zach prychnął z niedowierzaniem i chwycił torebkę Adria. Otworzył ją i wysypał na stół zawartość: klucze, kosmetyki, grzebień, portmonetkę i duplikaty listów, których oryginały Adria oddała policji. Wskazał palcem jeden z nich.

- To nie ty jej to przysłałaś?

Eunice drżącym palcem potarła siwiejącą brew.

- To moja robota, owszem - powiedziała. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Adrię. - I to ja napadłam cię w motelu. Byłam taka wściekła... To, że wy dwoje... o mój Boże. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Nie mogłam znieść myśli, że jesteście razem. - Zamrugnęła gwałtownie. - Ty... jesteście bratem i siostrą- powiedziała z mimowolną odrazą. - Ty, Zach, moje najdroższe dziecko, i córka tej wywłoki Katherine. - Wykonała jakiś bezsensowny gest w powietrzu. - I to wszystko moja wina, moja wina. Gdybym się wtedy nie zadała... - Jej głos załamał się i przeszedł w cichy jęk. Zatknęła głośno i opadła na oparcie krzesła, wycierając oczy.

Adria oparła się o framugę okna.

- Nie wierz w tę historię o Anthonym. On nie jest twoim ojcem. Sprawdziłam to... Mój Boże, jak bardzo pragnęłam, żeby nim był, jak gorąco modliłam się, żebyś nie był synem Witta, ale niestety... - urwała, próbując opanować szloch. - Nienawidziłam Witta. Dopuszczał się wobec mnie... potwornych rzeczy. Ale kiedy doszło do rozwodu, byłam zbyt słaba, nie miałam dość siły, żeby z nim walczyć, nie chciałam utracić tej resztki szacunku dla samej siebie, jak mi jeszcze pozostała. I w końcu straciłam to, co było dla mnie najważniejsze. Moje dzieci. Wszystkie. A potem Witt ożenił się z tą kobietą niewiele starszą od Jasona. - Zmarszczyła nos, jakby poczuła nagle jakiś odrażający zapach. - Jakimś sposobem zdołała zajść w ciążę. Mimo że Witt od lat był właściwie impotentem, ta wywłoka zaszała w ciążę i dała mu orkę którą on uznał za ósmy cud świata. Była jego „księżniczką”, jego „ukochaniem”, jego cholernym „skarbem”. Niedobrze mi się robiło, wierz mi. Zapomniał, że ma już trzech synów i córkę. Nie obchodzili go. - Eunice spojrzała na Adrię i w jej oczach błysnęła nienawiść. Jej słowa ociekały jadem. - Dla ciebie, dla małej London zrobiłby wszystko, ale nie dla moich dzieci. Moja rodzina rozpadła się, a ja pomyślałam, że jeśli mam im coś jeszcze dać, to muszę pozbyć się ciebie. - Westchnęła ciężko i zapatrzyła się w stojące na stole chryzantemy. - Ale nie umiałam cię zabić, i to był mój błąd. Bo zawsze była szansa, że kiedyś wrócisz i zamienisz życie moich dzieci w piekło.

- I po tym wszystkim mamy uwierzyć, że nie zabiłaś Ginny Slade? - spytała Adria, ale Eunice patrzyła tylko na syna.

- Ty uwierzysz tylko w to, w co chcesz wierzyć, prawda, Zach? Zawsze tak było i zawsze będzie. Skoro jednak już zrzucam ten ciężar z serca, powiem wam wszystko. Tak, to ja zapłaciłam Ginny Slade pięćdziesiąt tysięcy dolarów za porwanie London. Nie obchodziło mnie, dokąd ją zabierze. Miała tylko obiecać, że London nigdy nie wróci. - Zamglone oczy Eunice na moment spoczęły na Adrii z wyrazem gniewnego rozczarowania. - Zdaje się, że Ginny nie do końca wywiązała się ze zobowiązania. - Westchnęła, podniosła ręce i potarła palcami skronie. - Ja mieszkalam już wtedy w San Francisco. Powtórnie wyszłam za mąż i prowadziłam spokojne, szczęśliwe życie. Tak to w każdym razie musiało wyglądać. A ponieważ od dawna znałam Jacka Logana, nietrudno było mi go przekonać, że nie miałam nic wspólnego z tym porwaniem. Wszyscy wiedzieli, że... Nieważne zresztą, w każdym razie później Lyle zmarł, a ja przeprowadziłam się tutaj, żeby być bliżej mojej rodziny. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy - ciągnęła, patrząc wrogo na Adrię - od razu wiedziałam, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Wyglądasz zupełnie jak ona. Nikt inny nie mógł wydać cię na świat. A kiedy spostrzegłam, jak Zach na ciebie patrzy, jak traci dla ciebie głowę... Mój Boże, nie mogłam stać z boku i spokojnie się temu przyglądać. Więc zaczęłam pisać te listy, udało mi się nawet ukraść klucz do pokoju hotelowego, a potem, kiedy okazało się, że nie dałaś jednak za wygraną, pomyślałam, że zniechęci cię fizyczne zagrożenie.

- I wtedy zostałaś zraniona. Powiedziałaś Nelsonowi, że upadłaś, goniąc za kotem - wtrącił Zach - i dlatego kulejesz.

Eunice wzruszyła ramionami.

Ale Zach jeszcze nie skończył.

- A potem polecałaś za nami do San Francisco i zabiłaś Ginny.

- Nie, Zach, myśl o mnie, co chcesz, ale nie jestem morderczynią. Zapytaj Nelsona. Tamtego wieczoru, kiedy Ginny została zabita, był tu ze mną.

- Skłamię dla ciebie.

- Byłam tutaj, Zach.

- Nie ufam Nelsonowi.

- Więc może zaufasz jego przyjacielowi. - Eunice podniosła głowę i odpowiedziała synowi równie nieustępliwym spojrzeniem. - Tego wieczoru Nelson nie był tu sam. Nie zostali na całą noc, bo Nelson nie chce, żebym wiedziała, że Tom jest jego kochankiem, ale spędzili tu kilka godzin. Rozumiesz, starzy kumple, nic więcej. Zjedliśmy kolację, a potem graliśmy w karty.

- Będziesz musiała powiedzieć o tym policji.

- Wiem - odparła. - Już rozmawiałam z moim prawnikiem. Zadzwoniłam do niego, kiedy tylko dowiedziałam się, że Ginny została zamordowana. Czułam, że się tu pojawicie. - Uśmiechnęła się smutno i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać Zacha po policzku, ale on cofnął się, zanim zdążyła go dotknąć. Patrzyła na niego z bólem w oczach. - Zawsze byłeś inteligentny, Zach. Zawsze byłeś moim najmądrzejszym, najlepszym synem. Moim ukochanym dzieckiem.

Anthony Polidori nie lubił, żeby ktokolwiek przerywał mu sen, ale kiedy tego ranka zadzwonił jego informator i powiedział, że Eunice Danvers-Smythe została aresztowana za porwanie London Danvers, Anthony uśmiechnął się do siebie i podziękował mu za telefon. A więc to Eunice za tym się kryła. Na myśl o niej w jego sercu obudziło się coś więcej niż tylko zwykłe poczucie winy. Wiedział, że zakochała się w nim bez pamięci trzydzieści pięć lat temu. Jemu też na niej zależało, nie kochał jej jednak tak namiętnie jak ona jego i, prawdę mówiąc, poszedł z nią do łóżka głównie po to, żeby zrobić na złość Wittowi. Eunice domyśliła się, co nim powodowało. Pod tym względem byli pokrewnymi duszami. Największą przyjemność sprawiała im zabawa kosztem Witta.

Tego sukinsyna.

Zatem Eunice postanowiła zniszczyć Wittowi życie. Mimo że to jego rodzinę podejrzewano o porwanie przez wiele lat, Anthony uśmiechnął się - z uznaniem. Ma kobieta tupet. Może nie powinien był tak szybko jej rzucać, kiedy Witt odkrył ich romans.

Wstał z łóżka i sięgnął po stary zniszczony szlafrok w paski, przetarty na mankietach i wystrzępiony u dołu. Żona kupiła mu go prawie pół wieku temu i choć była to już teraz tylko stara szmata, wciąż nie miał serca go wyrzucić.

Ciekawe, czy Mario jest w domu, czy też zabawia się z jakąś kobietą, pomyślał. Rzecz jasna, nie ma to żadnego znaczenia. Śpiesząc korytarzem, Anthony pomyślał o swoim życiu i ze zdumieniem stwierdził, że głęboko zakorzeniona w nim nienawiść do Danversów z biegiem lat straciła na intensywności.

Zapukał do drzwi i czekał. Cisza. Klnąc pod nosem, zapukał głośniejsze, a następnie chwycił za gałkę. Drzwi były zamknięte.

- Mario, synu, otwórz. To ja.

Za drzwiami rozległo się niewyraźne mamrotanie.

- No dalej, otwieraj.

- Jezu Chryste - mrużąc coś i potykając się po drodze, Mario podszedł w końcu do drzwi i otworzył je. Był rozczochrany, nieogolony i zaspany.

- Co?...

- Musimy porozmawiać.

- Chyba zwariowałaś! Jest czwarta rano!

- Wstawaj i schodź na dół.

Mario potarł twarz dłońmi i ziewnął. Przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w kościach.

- Wezmę tylko papierosy i kapcie - powiedział, odwrócił się, znowu na coś wpadł i zaklął cicho.

Ten chłopak nigdy nie wydorósł.

Anthony zszedł na dół i otworzył butelkę szampana. Po chwili Mario, szurając pantoflami, pojawił się w kuchni.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - spytał Mario. Przejechał językiem po zębach i wzdrygnął się.

- Świętujemy.

- Cholera, czy to święto nie mogłoby się zacząć o jakiejś przyzwoitej godzinie, powiedzmy o szóstej czy siódmej?

- Nie. I to nie pora na sarkazm.

- Jeśli tak uważasz, papo. - Mario wsadził papierosa do ust i pstryknął zapalniczką. - No dobrze, umieram z ciekawości. Co takiego się wydarzyło?

- Kilka rzeczy. Chodź tutaj. - Anthony poklepał poręcz swojego krzesła, chcąc, żeby Mario usiadł na niej, tak jak siadywał jako mały chłopiec. Wydmuchując dym kącikiem ust, Mario spełnił prośbę ojca. - Dobrze. A teraz... - Anthony podał kieliszek z szampanem synowi. Mario wziął go do ręki, a Anthony stuknął go brzegiem swojego kieliszka. Kryształ zabrzączał cicho. - Za przyszłość.

- Jasne. W porządku. Za przyszłość. - Mario, przekonany, że ojciec naprawdę zwariował, doszedł do wniosku, że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Podniósł kieliszek do ust, ale ojciec chwycił go za rękę. - I za koniec starej rodzinnej waśni.

- Chryste!

- Tak, i za Boga - dodał Anthony wspaniałomyślnie.

- O czym ty mówisz? Koniec waśni? Jak to możliwe? Otwierasz najlepszego szampana i oznajmiasz, że to już koniec i że gówno, w którym tkwimy od prawie stu lat, ma nagle zostać zapomniane? Ot, tak? - Mario pstryknął palcami, a potem przetarł oczy. - Ja śnię. Tak, to jakiś pieprzony koszmar.

- Pijemy za jeszcze jedną rzecz.

- Znakomicie. Za co to takiego?

- Za twój ślub.

- Teraz już na pewno wiem, że to sen.

- Nie, Mario. Już najwyższy czas. Potrzebujesz żony. Ja potrzebuję wnuków. Musimy patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość. Ożenisz się, będziesz miał dzieci i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Jasne. Naturalnie. Co się właściwie stało? - spytał Mario. - Kiedy szedłem spać, wszystko było po staremu, a o czwartej rano ty nagle wywlekasz mnie z łóżka, gadając jak jakaś cholerna wróżka. Upadłeś na głowę czy co?

Anthony, nie zwracając najmniejszej uwagi na narzekania syna, znowu stuknął swoim kieliszkiem w kieliszek

Maria. Jest tyle interesujących dziewcząt, z którymi mógłby się ożenić, nie wykluczając Adrii Nash - czy też London Danvers - z grona kandydatek. Piękna, bogata, inteligentna. Kto mógłby żądać więcej od przyszłej synowej? Oczywiście może się zdarzyć, że nie będzie go chciała. Cóż, są inne odpowiednie młode kobiety. Płodne, piękne, choć pewnie nie tak inteligentne jak London. Może to i lepiej dla Maria...

- Jest tylko jedna kobieta, z którą kiedykolwiek chciałem się ożenić. - Mario nagle oprzytomniał i Anthony z wysiłkiem stłumił odruch obrzydzenia. - Trisha.

Anthony zacisnął zęby i milczał przez chwilę.

- Cóż, nie stanę na przeszkodzie twojemu szczęściu.

Upił łyk szampana, spojrzał na osłupiałego syna i zaczął się śmiać, głośno i serdecznie, tak jak nie śmiał się od wielu lat. Poklepał Maria po kolanie z zadowoleniem, jakiego od dawna nie odczuwał - wtedy jego żona jeszcze żyła, a Mario miał cztery czy pięć lat i nie sprawiał żadnych kłopotów.

- Pij. To najlepszy szampan. A ja ci opowiem, co się wydarzyło...

Ponury i milczący Zach wyszedł z dworca głównego. Wcześniej, również milczący, był świadkiem pojawienia się policji, prawnika Eunice i Nelsona. Wszyscy oni mówili równocześnie i gwałtownie gestykulowali. Przybył także Jason z wyjątkowo kwaśną miną. Trisha przyszła później, w długim do ziemi futrze z gronostajów. Minęła obojętnie Adrię i podeszła do Zacha.

- Zobacz, co narobiłeś.

Tłum przekrzykujących się dziennikarzy czekał już przed drzwiami.

- Panno Nash, czy to prawda, że w końcu okazało się, że jest pani zaginioną London Danvers?

- Cóż, na to wygląda. Tak.

- Co pani czuje teraz, kiedy już odnalazła pani swoją prawdziwą rodzinę?

- Jestem jeszcze trochę oszołomiona.

- Odziedziczy pani ogromną sumę pieniędzy, ma pani w związku z tym jakieś plany?

- Jeszcze nie.

Zach wyglądał tak, jakby miał zamiar się wtrącić, ale Adria położyła mu dłoń na ramieniu.

- Proszę państwa - powiedziała do zwróconych w jej stronę mikrofonów. - Jestem bardzo zmęczona. Oczywiście cieszę się z odkrycia prawdy, z tego, że jestem London - unikała wzroku Zacha; patrzenie na niego teraz, kiedy już wiedziała, że jest jej przyrodnim bratem, było zbyt bolesne - ale nie mam jeszcze żadnych konkretnych planów na przyszłość.

- Przeprowadzi się pani na stałe do Portland?

- Nie wiem.

- O co zostanie oskarżona Eunice Smythe?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy to prawda, że to ona napadła panią w motelu?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Ale teraz, kiedy jest pani jedną z najbogatszych kobiet w stanie, na pewno...

- Przepraszam państwa, do widzenia.

Adria ujęła Zacha pod ramię i przepchnęła się przez tłum. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy, nie miała odwagi myśleć o tym, co czeka ją w przyszłości. Od prawie roku sądziła, że jeśli dowiedzie, że należy do rodziny Danversów, jeśli odnajdzie swoich krewnych, jej życie zmieni się na lepsze. Oczywiście fantazjowała na temat pieniędzy i widziała się w roli twardej kobiety interesu, żelazną ręką zarządzającej Danvers International, ale także hojnie wspierającej organizację charytatywne. Zaginiona „mała księżniczka” Witta Danversa. Jego skarb, ceniony znacznie wyżej niż wszystko inne, w tym również jego pozostałe dzieci.

Była taka głupia. Głupia i naiwna.

W jej planach nie było miejsca na miłość do Zachary'ego.

Wsiadli do jeepa i wyjechali na ulicę. Pół tuzina samochodów natychmiast ruszyło za nimi.

- Świetnie - mruknął Zachary, patrząc w lusterko. - Po prostu świetnie.

Spojrzał na Adrię. Była śmiertelnie zmęczona. Oparta o drzwi patrzyła na niego tymi przekłętymi oczami, które zdawały się zaglądać w głąb jego duszy.

- Będą też w hotelu - powiedział, odwracając się gwałtownie i patrząc na podążające za nimi samochody. - Sępy.

Jechał bardzo szybko, zmieniając pasy w ostatniej chwili, z piskiem opon wchodząc w zakręty. Adria wyczuła, że zmienili kierunek. Światła centrum zostały w tyle.

- Dokąd jedziemy?

- Gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie.

- Tylko my dwoje?

Zach zawahał się, zaciskając palce na kierownicy, w końcu zdecydowanie kiwnął głową. Coś w jej wnętrzu - coś mglistego i mrocznego - zaczęło budzić się do życia.

- Tylko my dwoje.

Jack Logan był już za stary na takie szaleńcze gonitwy. Był zmęczony i kłął pod nosem, narzekając na wariata w jeepie. Gdyby nie butelka whisky, która dodała mu animuszu, zadzwoniłby do Jasona i powiedział mu, żeby sam śledził członków swojej kopniętej rodziny. Ale wziął sporo pieniędzy i doszedł do wniosku, że wywiąże się ze zobowiązania, a potem, jeśli zechce, będzie spał cały dzień.

Przejście na emeryturę nie podziałało na niego najlepiej, Jack tęsknił za policyjnymi akcjami i dreszczykiem emocji. Prawda, artretyzm mocno go już pokręcił, stary policjant kulał i nie był już tak szybki jak niegdyś, ale jego umysł pozostał sprawny. Marnowałby się, uprawiając tylko ogródek i dłubiąc w drewnie, co jego córka Risa uważała za zajęcie o niezwykłych właściwościach terapeutycznych. Brakowało mu ruchu i poczucia, że żyje pełnią życia. Na myśl o tym, że tylko z powodu wieku został wysłany na zieloną trawkę, ogarniała go wściekłość.

Nie przestał więc przyjmować pieniędzy Danversów nie dlatego, że chciał dorobić do emerytury, ale po to, żeby krew nie zastygła mu w żyłach. Jechał za jeepem ostrożnie, zostając sporo w tyle, skręcając w inne ulice, kilka razy prawie go gubiąc, ale zawsze znajdując z powrotem.

Miał nosa do tych rzeczy i szybko domyślił się, dokąd pędzi Zach, klucząc i przyspieszając na zakrętach. Jechał wciąż na północ, w kierunku międzystanowego mostu i wielkiego rozlewiska oddzielającego południową granicę stanu Washington od Oregonu. Jego celem był mały port na Columbia River, gdzie stał przycumowany jacht Danversów.

Jeep zjechał z autostrady i przejechał przez most. Jack nie spuszczał go z oka, lekceważąc zupełnie szeroką, czarną otchłań Columbii. Na drugim brzegu rzeki w Vancouver, tuż za granicą stanu Washington, skręcił na południe i znowu wjechał na autostradę. Aby uczcić sukces, pociągnął łyk z wypełnionej bursztynowym płynem butelki, a następnie zawrócił w stronę portu. Mignawszy swoją starą i nieważną już odznaką przy wjeździe, dostał się na teren portu i natychmiast zauważył jeepa stojącego na parkingu w ocienionym miejscu.

Bingo.

- Ciągłe jesteś dobry w te klocki, Logan - mruknął do siebie i znowu sięgnął po butelkę. Ognisty płyn rozgrzał mu żołądek i sprawił, że poczuł się przyjemnie odprężony. Nie miał telefonu komórkowego, ale wiedział, że w pobliskim supermarkecie Safeway jest kilka automatów. Oczywiście pozwoli Jasonowi porządnie się spocić ze strachu. Najpierw wypije więc kilka drinków w barze topless nieco dalej, a dopiero potem zadzwoni do tego drania. I nie omieszka przy okazji poprosić o podwyżkę. Do diabła, zasłużył na nią.

23

Zapach rzeki unosił się nad wodą i wędrował wraz z wiatrem, który rozwiewał Adria włosy i szarpał jej bluzkę.

Była tu, na tym białym, lśniącym jachcie, sama z Zachem ostatni raz w życiu. Powinna być szczęśliwa, dostała to, czego chciała, a jednak... Na myśl o przyszłości miała wrażenie, że przytłacza ją ogromny ciężar. Bo ta przyszłość była jałowa, pusta, samotna. Bez miłości. Bez Zacha.

- Napijesz się? - spytał, kiedy już zeszli po schodkach w dół do saloniku pełnego lśniących mosiężnych przedmiotów.

- Chyba... chyba tak - powiedziała, choć najpierw potrząsnęła głową i opadła na sofę w kolorze burgunda, która była częścią ściany. Poczula, że zaraz się rozplacze. Objęła się ramionami. - Sama nie wiem, czego chcę.

- Co takiego? - zakpił Zach, nalewając brandy do dwóch szklanek. - Zgarnęłaś pulę, London.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Dlaczego? Ciężko na to zapracowałaś.

- Nie wiem... To jakoś do mnie nie pasuje. - Stał przed nią, wysoki, potężny, nieogolony, w dzinsach zsuniętych dość nisko na biodrach, i wyglądał tak, jakby dopiero co opuścił ranczo... albo jej łóżko.

- Cóż, będziesz musiała się przyzwyczaić. - Podał jej szklankę. Ich palce zetknęły się na ułamek sekundy i Adria miała wrażenie, że przebiegł ją prąd. Przeklinając w duchu swój los, wzięła szklankę, pociągnęła łyk, a potem szybko wychyliła resztę zawartości w nadziei, że alkohol przytępi jej zmysły i patrząc na Zacha, nie będzie już czuła tego dojmującego bólu, nie będzie pamiętała jego rąk, jego spojrzenia, jego skóry.

Wyciągnęła do niego dłoń ze szklanką. Zach pytająco uniósł brew.

- Postanowiłaś się upić?

- Może.

- To nie jest dobry pomysł.

- Nie pouczaj mnie. - Adria wstała szybko i podeszła do barku. Nalała sobie kolejną porcję brandy i poruszyła szklanką. Żłocisty płyn zakołysał się łagodnie, rzucając bursztynowe błyski. Pierwszy drink zaczął już działać i Adria poczuła miękką falę ciepła ogarniającą jej ciało i nagły przyływ śmiałości. Jakiś tęskne uczucie, głęboko ukryte i zakazane, zakiełkowało znowu, zaczęło pięć się ku światłu.

- Co zamierzasz? Teraz, kiedy już wiesz, że jestem twoją siostrą?

- Wiać, gdzie pieprz rośnie.

- Ciągłe tu jesteś.

- Ciągłe gdzieś tu jest morderca.

- Myślisz, że nie dał za wygraną?

- Nigdy nie da za wygraną.
- I w związku z tym masz zamiar zostać moim ochroniarzem? - spytała Adria, podnosząc szklanę do ust.
- Zgadza się.
- Może ja nie potrzebuję ochroniarza. - Adria nagle pozwoliła sobie na absolutną szczerość. - Może chcę kochanka.

- Więc musisz poszukać sobie kogoś odpowiedniego, prawda? - Zach wychylił zawartość swojej szklanki. Miał wielką ochotę natychmiast znowu ją napełnić, ale zdołał się powstrzymać. Jeśli się zaleje, pogorszy tylko i tak niewesołą sytuację. Adria już trochę za dużo wypila. Zach nie miał do niej zresztą o to pretensji. Oboje mieli nerwy napięte jak postronki.

Adria patrzyła ponuro w swoją szklanę. Po chwili podniosła smutne błękitne oczy i wbiła je w Zacha.

- Ale ja chcę ciebie.

Zach zamknął oczy i zaklął pod nosem.

- To niemożliwe. Wiesz o tym.

Adria dokończyła brandy jednym haustem, wstała i szybko do niego podeszła. Potrząsnęła głową i czarne włosy zakołysały się wokół jej bladej twarzy.

- Ty też mnie chcesz.

- Chryste, Adria, nie rób tego - powiedział zduszonym głosem, odwracając wzrok. Adria przysunęła się bliżej, jeszcze bliżej, aż w końcu wspięła się na palce, położyła dłonie na jego szerokiej piersi i przytknęła usta do jego warg.

- Już to kiedyś zrobiliśmy.

- Ale wtedy żadne z nas nie wiedziało... O Boże.

Adria pieścizotliwie potarła nosem o jego szyję, dotknęła lekko jego ust językiem. Zach poczuł, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą. Zebrał wszystkie siły i chwycił ją za nadgarstki.

- Przestań!

- Zach, proszę. Kocham cię...

- Na litość boską, nie możesz! Nie możemy! - Ale jakiś głos wewnątrz mówił mu co innego. Dlaczego nie? Przekroczyliście już tę granicę. Jeszcze tylko raz, ostatni raz, a potem adios, żegnaj na zawsze. Weź ją, weź ją teraz! poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Serce waliło mu jak młotem, w skroniach dudniła krew. Obudzona męskość napierała na zamek w spodniach. Zaciśnął powieki, żeby nie patrzeć w jej lśniące, pełne miłości oczy. - Będziemy tego żałować.

- Nigdy - odparła z mocą i ból w jej głosie w końcu go złamał. Nie panując już nad sobą, pchnął ją na ścianę i zaczął całować gniewnie, brutalnie, konwulsyjnie ściskając jej dłonie i przyciskając je do ściany ponad głową. Czuł, jak jej piersi podnoszą się i opadają, poruszane przyspieszonym oddechem. Nakrył dłonią jedną z nich. - Czy tego właśnie chcesz, London? - spytał, całym ciałem przygniatając ją do ściany.

Żrenice Adrii rozszerzyły się z przerażenia.

- Nie jestem...

- Jesteś! Lepiej przyjmij to do wiadomości - rzucił twardo, choć drżał z pożądania, gotów zapomnieć o wszystkim i wziąć ją taką chętną i uległą. Między nimi nie było nic poza cienką warstwą ubrań, którą tak łatwo można zerwać. I zostaną nadzy. Sami. Kobieta i mężczyzna.

Siostra i brat.

Nie! Zach czuł, że jeśli nie zaprzestaną tej niebezpiecznej gry, ulegnie strasznej żądzy. Do diabła, gdyby tylko ona przestała tak na niego patrzeć... Pocałował ją znowu, tym razem czule, z miłością. Puścił jej ręce i przyciągnął ją do siebie. Wsunął palce w gęstwinę kręconych, czarnych jak noc włosów. Adria rozchyliła usta, a on delikatnie wsunął w nie język i zadrżał, słysząc jej cichy jęk.

Dotknął jej piersi, wsunął dłoń pod stanik, czując pod palcami twarde, krągły sutek.

- Nie... nie mogę - szepnęła nagle Adria. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Wiem. - Odsunął się od niej i nagle sam znieruchomiał, słysząc dźwięk, którego się tu nie spodziewał. Cichy, ledwo słyszalny odgłos czyichś ostrożnych kroków na pokładzie. Serce na moment stanęło mu w piersi.

Nie byli sami.

Cholera!

Powoli podniósł głowę i położył dłoń na ustach Adrii, pokazując jej, żeby się nie odzywała. Zobaczył, jak ponad jego ręką brwi Adrii najpierw zbiegły się, a potem szybko podskoczyły w wyrazie zrozumienia.

- Zostań tu - wyszeptał jej do ucha.

- Nie! - powiedziała bezgłośnie, ale Zach odpowiedział jej spojrzeniem nieznoszącym sprzeciwu. Pchnął ją lekko w stronę kajut, a sam bezszelestnie ruszył w stronę schodków.

Adria z mocno bijącym sercem patrzyła w niemym przerażeniu, jak wchodzi na górę. A jeśli człowiek, który tam jest, to morderca? Bo kto jeszcze mógłby to być? Nie może pozwolić, żeby Zachary był zdany tylko na siebie. Rozejrzała się po saloniku, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, ale niczego takiego nie znalazła, więc cicho wspięła się na prowadzące na pokład schodki.

- Więc fakt, że to twoja siostra, nie ma dla ciebie znaczenia. Nadal chcesz się z nią pieprzyć. - Jason stał na głównym pokładzie oparty o bum. Jego marynarka trzepotała na wietrze. Zaczął padać deszcz. - Chryste, Zach, nigdy się nie nauczysz, co? Najpierw Kat, a teraz jej córka.

- Ty też byłeś z Kat - przypomniał mu Zachary. Stał tyłem do schodków, nie spuszczać wzroku z brata.

- Nie przeniosłem swojego zainteresowania na London.

- Ale zabiłeś Ginny.

Jason zmarszczył brwi, a Adria kucnęła w cieniu na schodkach, zagryzając wargi, żeby powstrzymać się od krzyku. Może w kajucie jest telefon?

- Nie mogłem pozwolić, żeby zaczęła gadać.

- Skąd o niej wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Sweeny ją odnalazł, a ja pojechałem za wami do San Francisco.

Adria próbowała zsunąć się cicho w dół, ale Jason zauważył ją, uśmiechnął się kpiąco i wykonał zapraszający gest.

- Witaj, siostrzyczko. - Adria dostrzegła rewolwer w jego dłoni i zrobiło jej się słabo. - Jak to jest być najbogatszą kobietą w Portland?

- Co tu robisz? - spytała.

- Przyjechałem uciąć sobie pogawędkę z rodzeństwem.

- Jak nas znalazłeś? - zapytał spokojnie Zach.

- Wiedziałem, że będziecie razem, trzeba było tylko ustalić, gdzie się wybieracie na zakazane rendez-vous. Jezu, Zach, wiedziałem, że nigdy nie obchodziły cię konwenanse, ale żeby pieprzyć własną siostrę?

- Ty draniu! - wybuchnął Zach, ale Jason tylko uśmiechnął się zimno. Ten uśmiech przeraził Adrię.

- Nie! - krzyknęła, oczekując w każdej chwili wystrzału. Ale Jason nie strzelił. Zamiast tego przesunął się trochę i z całej siły pchnął bum na Zachary'ego. Ciężka drewniana belka uderzyła Zacha w brzuch, odrzucając go na reling. Na moment stracił równowagę.

- Nie! - krzyknęła Adria, ruszając w jego stronę, ale Jason ją wyprzedził, wymierzając bratu potężny cios w głowę kolbą rewolweru. Zach podniósł nogę i kopnął Jasona w krocze. Jason ryknął z bólu i zgiął się wpół. Zach gotował się do następnego kopniaka, ale tym razem Jason był szybszy. Złapał brata i pchnął na reling, wykręcając mu stopę.

Adria skoczyła Jasonowi na plecy, kopiąc i drapiąc go z całej siły, ale on ponownie wykręcił kostkę Zacha, aż chrupnęło, a potem szybkim ruchem przerzucił go nad relingiem, strącając w zimne wody rzeki. Adria przed oczami stanął Mark Kennedy.

- O Boże, nie! Nie! - krzyczała, kopiąc ze zdwojoną siłą.

- Od początku były z tobą same kłopoty. - Jason strzasnął ją z pleców i odwrócił się, mierząc jej prosto w serce. Ale Adria było w tej chwili wszystko jedno. Zach tonął.

- I vice versa, braciszku - odparła zimno, zrzucając zakiet.

- Nie przeżyjesz nawet dwóch minut w tej wodzie. Jest dość zimna, żeby zamarznąć... - powiedział Jason, opuszczając rewolwer. Najwyraźniej nie będzie musiał go użyć. Adria sama się zabije. Dla Zachary'ego.

- Niech cię piekło pochłonie - rzuciła mu na pożegnanie i skoczyła.

Jason chciał mieć pewność, że utonie, ale nie zdążył uderzyć jej w głowę. Wychylił się za burzę, ona jednak zniknęła już pod powierzchnią wody. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że zamarźnie albo utonie. Na jedno wyjdzie.

Był pewny że Zach nie żyje, i ten fakt wzbudzał w nim pewien niepokój. Zawsze czuł coś w rodzaju szacunku dla młodszego brata. Zbuntowany, nieczuły na pieniądze, ciągle pakujący się w tarapaty Zach wszystko robił po swojemu, zgodnie z zasadami własnego kodeksu honorowego. Wiele lat temu, kiedy był jeszcze niemal dzieckiem, dochował tajemnicy i nie powiedział prawdy o Sophii, dziwce, do której Jason wysłał go pamiętnej nocy. Oczywiście Jason wystawił go wtedy. Nie miał wprawdzie pojęcia, że London zostanie porwana akurat wtedy, ale spodziewał się wizyty Rudy'ego i Joeya albo kilku innych koleśków pracujących dla Polidorich. Jason bowiem przegrał pewien zakład, ale nie spieszył się z zapłatą.

Były to sprawy między nim i Mariem. Ani Anthony, ani Witt nie mieli pojęcia, że Mario na boku zajmuje się zakładami. Witt był zbyt zaprzątnięty swoją nienawiścią do Polidorich i dogadzaniem najmłodszej córce, a Anthony uważał, że Mario to bałwan. Zach zaś nie puścił pary z gęby. Przez prawie dwadzieścia lat. Cóż, teraz nie żyje, i może tak jest lepiej.

Jason przeszedł się powoli po pokładzie, spoglądając uważnie w wodę. Niespokojnie szukał wzrokiem jakichś śladów życia i modlił się, żeby London w końcu na dobre zniknęła z jego życia. Szkoda tylko, że była taka piękna, tak podobna do matki. Skrzywił się. Wszystko zaczęło się od samobójstwa Kat. Kiedy Witt zaczął podejrzewać, że spotyka się z Jasonem, wzięła całą fiolkę tabletek i popiła je butelką whisky. Przez wiele dni Jasona dręczyły wyrzuty sumienia, w końcu jednak otrząsnął się z nich, pogodził z jej śmiercią i doszedł do wniosku, że właściwie dobrze się stało. On i jego rodzeństwo z nikim nie będą się musieli dzielić. Dostaną całe Danvers International.

Chyba że London wróci, by upomnieć się o swoją część.

Kiedy zobaczył Adrię, wpadł w panikę. A potem Sweeny poinformował go, że to naprawdę ich przyrodnia siostra. Był to bolesny cios, ale Jason instynktownie wiedział, co powinien zrobić. Dziwne, jak łatwo przyszło mu

zabić, łatwiej, niż się spodziewał. Choć naturalnie nie zamordował Ginny własnoręcznie. Wiedział, że musi mieć żelazne alibi. Bez trudu jednak znalazł kogoś, kto się tym chętnie zajął. Za nędzne pięć tysięcy. Odwalił kawał dobrej roboty, a Jason był poza wszelkimi podejrzeniami.

Zapłacić komuś za usunięcie Ginny było łatwo, nic go nie obchodziła, była właściwie zupełnie obca. Ale zabicie Zacha - własnymi rękami - tu sprawa była cięższa, Adria zaś... Zacisnął zęby i powiedział sobie, że właściwie powinien być z siebie dumny. Zrobił to, co musiał, i będzie mógł spać spokojnie.

A potem zaczął krzyczeć.

- Pomocy! Pomocy! Człowiek za burtą! - Zbiegł na dół, znalazł telefon i wystukał dziewięćset jedenaście. Począł, aż na pokład najbliższej łódki wyszli ludzie, a w oddali rozległ się dźwięk syren. Potem zdjął marynarkę, zrzucił buty i dał nurka do zimnej wody. Do czasu, kiedy przybędzie policja, prąd rzeki zniesie ciała cudownie odnalezionego London Danvers i jej kochanka - jej przyrodniego brata - do morza. Policja będzie go zapewne podejrzewać, ale niczego nie będą mu w stanie udowodnić. W rzece tonie co roku tyle osób...

Zach zakaszał, zakrztusił się, a potem znowu zaczął kaszleć. Było mu zimno. Okropnie zimno i bolała go głowa. Odruchowo usiłował wydostać się na powierzchnię, walcząc z silnym nurtem wciągającym go w głąb. Wypływał, nabierał powietrza w płuca i znowu zniknął pod wodą.

Czuł się dziwnie ociężały, prawie nie poruszał jedną nogą, ale zdobył się na kolejny wysiłek. Wystawił głowę nad wodę i nabrał powietrza w płuca. Wiedział, że coś się stało - coś bardzo złego - tylko nie mógł sobie przypomnieć co. Dostrzegł światła, niezbyt daleko, i zaczął płynąć, kaszłając bez przerwy, w ich stronę, z trudem posuwając się naprzód. Czuł, jak wciąga go lodowata woda.

Nagle przypomniał sobie wszystko i usiłował przyspieszyć, modląc się, aby okropny ciężar przytroczony do jego nogi w końcu odpadł.

Adria! Jest z Jasonem na jachcie. O Boże, jeśli jeszcze żyje. Adrenalina dodała mu sił. Rozpaczliwie walczył z zimną, zalewającą oczy wodą. Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Po czterystu metrach w końcu uchwycił się metalowej drabinki. Drżąc i kaszłając, wspinał się na betonowe nabrzeże. Znajdował się na terenie całonocnej stacji porcie.

Mężczyzna z papierosem w ustach siedzący za kontuarem na widok Zacha sięgnął po rewolwer.

- Jezu Chryste, patrzcie tylko na to - powiedział, choć w pomieszczeniu nie było nikogo poza nim samym.

- Muszę wezwać policję - wykrztusił Zach.

- Jasne, już o tym pomyślałem... - Z rewolwerem wycelowanym nadal w stronę Zacha mężczyzna wystukał drżącymi palcami odpowiedni numer. - Tu Louie z Texaco na Marine Drive. Mamy tu mały problem...

Po kilku minutach przed stacją zajechał policyjny samochód. Zach, owinięty w koc, został zawieszony z powrotem na jacht. W eskorcie dwóch policjantów wskoczył na pokład, gdzie zastał Jasona, który właśnie wyszedł z wody. W ich stronę płynęły łódki, oświetlając powierzchnię rzeki białymi światłami, jakby czegoś lub kogoś szukały. Zach poczuł, jak z przerażenia włosy jeży mu się na głowie.

- Gdzie Adria? - spytał.

Jason patrzył na Zachary'ego tak, jakby zobaczył ducha. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

- Gdzie ona jest? - Zach rzucił się na niego, omal się nie przewracając, kiedy stanął na wykręconej kostce. Chwycił brata za mokrą koszulę na piersi. - Jeśli coś jej się stało, zabiję cię, ty draniu!

- No, no, tylko spokojnie - powiedział ostrzegawczo policjant, kiedy pięść Zacha wylądowała na szczęce Jasona. - Nie możecie...

Dwóch mężczyzn odciągnęło Zacha od brata.

- Ty morderco, ty cholerny, pieprzony morderco! Gdzie ona jest? - krzyczał Zach.

- Pan Danvers powiedział, że skoczyła za panem do wody, kiedy się pan potknął i wypadł za burtę - odezwał się członek załogi patrolu przybyłego na wezwanie Jasona.

- Potknąłem się, akurat!

- Zach - Jason odzyskał mowę. - Strasznie mi przykro, ale... - Jego głos ociekał bólem.

Zach natychmiast zrozumiał, czego brat od niego oczekuje. Chce, żeby go krył tak samo jak wtedy, wiele lat temu. A niech to!

- Próbowaleś mnie zabić! - rzucił przez zęby. - A z tego, co wiem, ją także!

- Zajmiemy się tym wszystkim w mieście - powiedział jeden z policjantów.

- Mowy nie ma! Musicie ją znaleźć! - Zach przechylił się nad relingiem, patrząc w ciemne wody rzeki. - Musicie ją uratować!

- Minęło już pół godziny...

Zach usiłował przełożyć nogę przez reling, ale policjanci wykręcili mu ręce na plecy. Usłyszał szcęk kajdanków.

- Nie możecie...

- Idziemy, panie Danvers.

Próbował się wyrwać, ale poczuł ból w kostce i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Policjanci zawlekli go do samochodu.

Zach od wielu dni nie mógł spać. Niebo ciemniało wieczorami i rozjaśniało się o świcie, ale on stracił poczucie czasu. Nie wiedział, jaki to dzień tygodnia, nie patrzył na zegarek. Słyszał, że jego matka i Jason siedzą w więzieniu. Wspólnik Jasona, wielki ponury facet na zwolnieniu warunkowym, puścił farbę w barze koło „Fisherman’s Wharf” i policyjny informator szybko go przyskrzypił. Nie trzeba go było specjalnie namawiać, zaczął sypać, a wtedy padło nazwisko Jasona.

Nicole spakowała córkę i wysłała ją do Santa Fe, a następnie wystąpiła o rozwód. Kim zniknęła. Nikt nie wiedział, co się z nią stało, choć podejrzewano, że to ona poinformowała prasę o tym, kim jest Adria Nash.

Zach uważał, że Jason i jego kochanka zasłużyli na wszystko, co ich spotkało.

Trisha klęła Maria w żywy kamień i odmówiła mu ręki, wyrażając życzenie, żeby na zawsze zniknął z jej życia. Zach był pewien, że wkrótce zmieni zdanie. Zawsze miała słabość do Maria.

Nelson ochłonął w końcu trochę, z zaangażowaniem pomagając matce. Od urodzenia niemal był biedną, złąkaną duszą, która próbowała sprostać wyobrażeniom ojca, zaprzeczając własnej naturze.

Powszechnie uważano, że Adria nie żyje.

Ból i rozpacz zjadały Zacha po kawałku, powoli, lecz nieubłaganie.

Policja i ochotnicy przeszukiwali rzekę w poszukiwaniu jej ciała, ale coraz częściej pojawiały się opinie, że zostało zniesione do oceanu.

Zach zamknął oczy, czując, że gorące łzy napływają mu do oczu. Nie płakał od lat, ale teraz miał ochotę usiąść i szlochać jak dziecko.

Widział ją oczami duszy, niewinną i zmysłową jednocześnie, figlarnie uśmiechniętą, wpatrzoną w niego błękitnymi, zakochanymi oczami. Pamiętał jej gibkie białe ciało i nawet teraz, kiedy wiedział, że już nie żyje, na myśl o niej odczuwał palące pożądanie. Adria poświęciła się dla niego, oddała swoje piękne ciało rzece, aby go ratować. A przecież powinno być na odwrót. To on powinien był ją ocalić. To on powinien zginąć, a nie ona. Adria taka młoda, taka piękna i odważna - powinna teraz rozpocząć nowe życie jako London Danvers.

- Sukinsyn - mrucał. - Cholerny sukinsyn. - Otworzył butelkę whisky i nalał zbawczego eliksiru do pustej szklanki znalezionej w łazience apartamentu hotelu „Danvers”. Ciekawe, czy ojciec widzi go teraz. - Pewnie turlasz się tam ze śmiechu! - Spojrzał w górę, ale zaraz spuścił wzrok, gdyż doszedł do wniosku, że jeśli istnieje życie pozagrobowe, Witt Danvers trafił do piekielnych czeluści, gdzie zapewne próbuje puścić z torbami samego szatana.

Zazgrzytał zębami w beznadziejnej złości.

Media miały używanie, rozpisując się na temat kolejnych sensacji związanych z rodziną Danversów. Dziennikarze koczowali bez ustanku przed hotelem, w porcie, na ranczu, przed główną siedzibą Danvers International, a nawet przed należącymi do firmy tartakami. Zach wychylił whisky i spojrzał na zegarek. Nie ma jeszcze dziesiątej. Chryste, co za burdel. W ustach miał ohydny alkoholowy posmak, paliła go zgaga. Zadzwoił telefon i Zach podniósł słuchawkę, mimo woli spodziewając się, że usłyszy głos Adrii, choć wiedział, że to już nigdy nie nastąpi.

- Tak?

- Ty tam teraz rządzisz, co?

- Kto mówi?

- Nie mów, że nie poznajesz.

- Sweeny - mruknął Zach niechętnie.

- Twój brat, ten, który poszedł siedzieć, jest mi winien co nieco.

- Nie wątpię.

Zach sięgnął po opróżnioną już do połowy butelkę i pociągnął z niej łyk.

- Pomyślałem, że może ty zechcesz uregulować rachunek.

- Niby czemu?

- Mam nowe informacje.

- Odpieprz się.

- Na temat London.

Zach czuł, że powinien po prostu odłożyć słuchawkę, ale nie zrobił tego. Wstrzymał oddech i czekał.

- Najpierw musisz mi zapłacić.

- Dobra. Pokój siedemset czternaście.

- Zaraz będę.

Szczęknięcie. Zach spojrzał na butelkę, zastanawiając się, czy zdoła ją wykończyć, zanim pojawi się Sweeny.

Wstał z łóżka bez pomocy kuł, spojrzał w lustro i wykrzywił się szpetnie. Był błydy jak ściana, a dwudniowy zarost na jego twarzy wyglądał tak, jakby hodował go co najmniej od tygodnia.

- Cholera - mruknął.

Zdjął ubranie i usiadł pod prysznicem, starając się nie zamoczyć przeklętego gipsu. Gdyby tylko ta gorąca woda mogła wypłukać z niego wszystkie bolesne wspomnienia o Adrii. Niestety, jej twarz tak mocno wryła mu się w

pamięć, że widział ją wszędzie bezustannie.

Ogolił się, spojrzął ponownie w lustro i zmarszczył brwi. Nadal wyglądał okropnie.

Kiedy przybył Sweeny, Zach stanął w drzwiach o kulach, trzymając w ręce butelkę.

- Ile jestem ci winien? - spytał bez zbędnych wstępów, kiedy Oswald wszedł do środka.

Sweeny zawahał się.

- Sprawdzę to, jak spotkam się z bratem - powiedział Zachary. Wiedział, że detektyw chętnie naciągnąłby go na kilka dolarów. Podeszedł do stołu i oparł się o niego. - Chcesz drinka?

Sweeny uśmiechnął się, pokazując drobne ostre zęby, ale coś w twardym, nieustępliwym wzroku Zacha powiedziało mu, że stąpa po cienkim lodzie.

- Mam tu rachunek - powiedział zrezygnowany. Podał Zachowi złożony na pół kawałek papieru.

Zach wziął go, ale nie rozłożył.

- Mów, czego się jeszcze dowiedziałeś.

- Najpierw pieniądze.

Zach nawet nie drgnął, patrzył tylko na Oswalda, jakby miał przed sobą wyjątkowo wielkiego karalucha.

- Gazety sporo zapłaca za to, co wiem.

- Brukowce? - prychnął Zach pogardliwie. - Chyba za dużo się spodziewasz.

- No dobra. - Oswald podniósł do góry swoje pulchne dłonie. - Po prostu nie mogłem tego tak zostawić. Ta sprawa z London była zbyt intrygująca. Pomyślałem sobie, co tam, może napiszę książkę w rodzaju „cała prawda”. O waszej rodzinie, rzecz jasna.

Urwał, widząc wzrok Zacha.

- Tak czy inaczej - podjął po chwili - grzebałem w tym dalej i zgadnij, co odkryłem? Twój stary był impotentem.

- Umilkł, czekając na reakcję, ale impotencja Witta nie była już tajemnicą, przynajmniej dla Zacha.

Do czego on zmierza?

- Tak, to prawda - ciągnął Sweeny. - Witt Danvers niewiele już mógł, a w każdym razie bardzo rzadko mu się udawało. Zbyt rzadko, by mógł spłodzić jeszcze jedno dziecko, małą London. Trochę to trwało, ale odkryłem, że twoja macocha w czasie, gdy rzekomo odwiedzała przyjaciół w Victorii, tak naprawdę pojechała do prywatnej kliniki w Seattle, gdzie poddała się zabiegowi sztucznego zapłodnienia nasieniem anonimowego dawcy.

Zachary'emu nagle zakręciło się w głowie.

- Co... co ty gadasz?

Sweeny uśmiechnął się szeroko zadowolony, że w końcu udało mu się zainteresować Zacha swoją historią.

- Mówię, że Adria Nash jest London Danvers, ale nie jest córką Witta Danversa, nie jest jego biologicznym dzieckiem.

Szklanka wyslizgnęła się nagle z dłoni Zacha i spadła na podłogę. Whisky ochlapała mu dzinsy i dywan.

- Gdyby żyła, i tak pewnie odziedziczyłyby majątek. Musiałyby zaangażować całą bandę dobrych prawników, ale ponieważ była dzieckiem, poza którym Witt świata nie widział, pozostałaby, jak sądzę, jego małą księżniczką. I dziedziczką jego fortuny. Zwłaszcza że połowa waszej rodziny nie żyje albo siedzi za kratkami.

- Gdyby żyła - powtórzył Zach pośpiesznie.

- Tak... No cóż, nic na to nie możemy poradzić.

- Przypuszczam, że masz coś na potwierdzenie tych rewelacji?

- Oczywiście. Są akta, do których, za nakazem sądowym, można uzyskać dostęp. Znalazłem też pielęgniarkę, która będzie mówić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wielka szkoda, że London nie żyje.

- Cholera - zaklął Zach. Czuł, że musi się napić.

- Hej, Danvers. - Detektyw niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. - To co z tym czekiem?...

Zach zniósł torby do holu. I tak został w Portland dłużej, niż planował. Od czasu rozmowy ze Sweenym minął już tydzień i media straciły zainteresowanie nazwiskiem Danvers. Ciągle miał na nodze gips, ale mógł już chodzić i postanowił jak najszybciej wynieść się z miasta. Wątpił, czy kiedykolwiek tu wróci.

Czas ruszać w drogę.

Pod wpływem impulsu zostawił bagaż koło recepcji i wszedł po schodach do sali balowej, tej samej, w której po raz pierwszy zobaczył Adrię. Otworzył drzwi w mglistej nadziei, że ją za nimi znajdzie. Włączył światło. Sala była pusta i zimna. Nic nie mąciło martwej ciszy.

Zostały mu tylko wspomnienia, złamana kostka i bolesna świadomość, że już nic nie będzie takie jak dawniej.

- Głupiec - mruknął i przestąpił próg. Drzwi zamknęły się za nim z cichym szcękaniem.

Przypomniał sobie London tamtej nocy, kiedy została porwana, jaka była wesoła, jaka sprytna. Cóż, wyrosła na wspaniałą kobietę. Pomyślał o Adrii w czarnej pelerynie, a potem w tej olśniewającej białej sukni. Pomyślał o jej błękitnych oczach, trochę złośliwych, a trochę zamyślonych. Poczuł się nagle dziwnie martwy, jakby i jego życie się skończyło.

Ale jest przecież człowiekiem praktycznym i rozsądnym. Przynajmniej był nim kiedyś. Czy mu się to podoba, czy nie, musi spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z faktem, że Adria zginęła, że on ją kochał i że już nikogo w

zyciu nie pokocha. I dobrze, bo najwyraźniej nie został stworzony do miłości. Znowu poczuł, że łzy napływają mu do oczu, i zaklął pod nosem. Nie ma zamiaru rozczulać się nad sobą. To i tak nic nie da.

Zły na siebie zgasił światła i wyszedł z sali. Pojedzie do Bend i upije się tak, że Manny będzie musiał odwieźć go do domu. Ale nie poszuka sobie kobiety. Nie, i jeszcze długo, długo nie.

Zostawił samochód na parkingu przed hotelem. Wynosząc swój bagaż, czuł na twarzy słabe ciepło bladego zimowego słońca prześwitującego między drapaczami chmur. Promienie odbijały się od mokrego asfaltu i szyb pobliskich wieżowców. Zach założył okulary przeciwsłoneczne, poprawił torbę na ramieniu, skrzył za róg hotelu i stanął jak wryty.

Z włosami rozwianymi przez wiatr, z oczami błękitnymi jak dalekie, chłodne niebo Adria stała przy jego samochodzie, opierając się o niego.

W pierwszej chwili pomyślał, że ma halucynacje.

- Co u...

- Masz zamiar sterczeć tu cały dzień z otwartymi ustami czy może w końcu zabierzesz mnie do domu? - zapytała. Zach miał wrażenie, że jej głos trafia prosto do jego serca.

- Adria!

Niemożliwe!

Serce zaczęło mu bić dwa razy szybciej niż przed chwilą, ale jeszcze nie wierzył własnym oczom. Nie mógł.

- I co, kowboju?

Zach przełknął z trudem ślinę. Upuścił torby i zrobił krok naprzód. Adria podbiegła do niego ze śmiechem i rzuciła mu się na szyję. Powtarzając sobie, że to jednak prawda, Zach przycisnął ją do siebie z całej siły. Poczował ciepło jej ciała.

- Ale ty... Co się stało?

Adria pocałowała go namiętnie i łzy, z którymi walczył od tygodnia, w końcu popłynęły z jego oczu.

- Nie potrafię trzymać się od ciebie z dala - powiedziała cicho. - Próbowałam. - Teraz była poważna. - Udało mi się dopłynąć do brzegu, ale doszłam do wniosku, że będzie dla ciebie najlepiej, jeśli pomyślisz, że utonąłam. Miałam w kieszeniach dość pieniędzy, żeby wynająć tani pokój, kupiłam nawet trochę nowych ubrań. Przyczaiłam się, próbując wymyślić sposób na odzyskanie dokumentów i samochodu. Chciałam wrócić po cichu do Montany. A ty nigdy byś się o tym nie dowiedział.

Zach spochmurniał.

- Jak to, chciałaś, żebym sądził...

- Óóó. - Adria położyła mu palec na ustach. - Nadal sądziłam, że jesteśmy bratem i siostrą. A potem... cóż, ta historia wyszła na jaw. Dowiedziałam się, że nie jestem córką Witta, i pomyślałam... - Uśmiechnęła się, patrząc na niego z miłością. - Pomyślałam, że to zmienia postać rzeczy.

- Dlaczego nie przyszedłaś wcześniej? - zapytał Zach ochryple.

- Chciałam mieć pewność. I nie chciałam wracać jako London Danvers - odparła, odrzucając włosy do tyłu. - Doszłam do wniosku, że bardzo lubię być Adria Nash i nie potrzebuję ani nazwiska, ani pieniędzy Witta. - Przełknęła ślinę i podniosła dumnie głowę. - Wróciłam, ponieważ cię kocham, Zachary - powiedziała odważnie - i chcę być z tobą. Bez żadnych zobowiązań.

Zach patrzył na nią przez chwilę i uśmiechnął się szeroko.

- Kochałem cię od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię tam, w sali balowej. Co ty na to? - spytał. - Przeszedłem przez piekło, żeby cię w końcu zdobyć. Bez zobowiązań? O nie, moja droga. Ze wszystkimi zobowiązaniami! - Ciągłe się uśmiechając, wziął ją na ręce i nie zwracając uwagi na ból w kostce, zaniósł do hotelu. Adria zaśmiała się zmysłowym, gardłowym śmiechem, który przyprawiał go o dreszcze, i zamiotła podłogę długimi czarnymi włosami. Ludzie przystawali i odwracali się za nimi, unosząc brwi i otwierając usta kiedy Zach pchnął ramieniem drzwi hotelu „Danvers”. Przeszedł przez hol i poszedł dalej po schodach do sali balowej.

Tam postawił Adrię na lśniącej posadzce i zamknął drzwi na klucz. W ciemności wziął ją w ramiona i pocałował w szyję.

- A teraz, panno Nash, zacznijmy wszystko jeszcze raz - zaproponował, rozpinając jej bluzkę.

Adria uśmiechnęła się do ukochanego mężczyzny. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Przyjechała do Portland w poszukiwaniu korzeni... Pragnęła pieniędzy i luksusu, a odkryła, że to miłość jest największym skarbem na ziemi.

Zach patrzył w jej piękne błękitne oczy, rozpinając guziki bluzki.

- Tym razem, kochanie, wszystko będzie, jak należy. Zaufaj mi.